THE BEATLES

JEDYNA
AUTORYZOWANA BIOGRAFIA

Hunter Davies

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Hunter Davies

THE BEATLES

Tłumaczenie:
Aleksandra Machura
Współpraca – Aleksandra Kubiak

Kraków 2013

Przedmowa

Dokładnie czterdzieści lat temu[1] – no, może nie aż tak dokładnie – ukazało się pierwsze wydanie niniejszej książki. Wyszła w roku 1968 i nigdy bym nie przypuszczał, że po tylu latach ktoś nadal będzie chciał ją drukować. Znakomita jej część to wierny zapis wydarzeń z tamtego okresu – niezmieniona, szczera relacja z pierwszej ręki, dokładny zapis tego, co Beatlesi myśleli i robili w latach sześćdziesiątych, a także skąd się w ogóle wzięli. Dziś traktuje się ją jako „źródło pierwotne", co chyba zasadniczo oznacza, że można czerpać z niej cytaty i inne informacje, ponieważ siłą rzeczy wielu spośród tamtych osób nie ma już wśród nas i nie można z nimi porozmawiać. Udało mi się oprzeć pokusie, by przepisywać lub zmieniać oryginał, wygładzać lub polerować go z dzisiejszej perspektywy, gdy wszyscy jesteśmy starsi i mądrzejsi. Za to tutaj, w *Przedmowie*, postanowiłem dodać nowy materiał, próbując mniej więcej doprowadzić historię zespołu do dzisiaj i zawrzeć najnowsze wydarzenia, jak również wytłumaczyć czytelnikowi, jak w ogóle doszło do powstania tej książki. Również na końcu dodałem kilka uwag i przemyśleń na temat osób, o których wspominam, a których nie ma już wśród nas. Część z nich poznałem w latach sześćdziesiątych, część natomiast w późniejszym okresie.

Przygotowując niniejsze wydanie, przeglądałem swoje archiwum z materiałami, płytami i pamiątkami – archiwum to naturalnie stale się rozrasta, ponieważ nadal jestem zapalonym, niepoprawnym kolekcjonerem wszystkiego, co związane z Beatlesami. Natknąłem się na odręcznie zapisane słowa piosenki, o których kompletnie zapomniałem. Jest to pismo

George’a, co bez problemu rozpozna każdy fan zespołu, ale sama piosenka nie doczekała się nagrania, ba!, chyba nawet nie doczekała się muzyki. Na drugiej stronie znajdują się odręcznie zapisane wytyczne, jak dotrzeć do wiejskiej posiadłości Briana Epsteina w Sussex. Pewnie Brian napisał je dla George’a. Tak więc jako pamiątka po Beatlesach kartka ta ma podwójną wartość.

Oto osiem linijek zapisanych przez George’a:

Cieszę się, że to tylko sen,
gdy spotykam ludzi podobnych tobie.
To tylko sen, a przez ciebie jest nieprzyzwoity
przez to, co myślisz, i to, co robisz.
Nie masz pojęcia, jak bardzo cierpię
i jak bardzo ci zazdroszczę tego, czego nie możesz.
Czasami wydaje mi się, że nie masz szans,
Ale zarazem wiem, że to nieprawda.

W tekście jest tylko jedno skreślenie, zbędnego „s” przy pierwszym *that*, z czego wnoszę, że nie jest to brudnopis. Jestem pewien, że w wersji ostatecznej dodałby też apostrofy w takich słowach jak *youre*, ponieważ oczywiście skończył szkołę średnią. Wiersz ten trąci lekko młodzieńczym lękiem egzystencjalnym – być może powstał kilka lat wcześniej i leżał gdzieś zapomniany, póki nie poprosiłem George’a o próbkę charakteru pisma. Dziś już dokładnie nie pamiętam, kiedy konkretnie dał mi tę kartkę i co wtedy powiedział, ale wydaje mi się, że musiało to być w pierwszej połowie 1967 roku, gdy odwiedziłem go w Esher. Mógł mieć wówczas około dwudziestu trzech, dwudziestu czterech lat.

Wcześniej poprosiłem o próbki charakteru pisma Johna i Paula, jakieś fragmenty piosenek, które mógłbym wykorzystać w książce, więc tę samą prośbę skierowałem do George’a. Wtedy właśnie trafiła do mnie ta kartka. Później jednak George dał mi coś znacznie cenniejszego – odręcznie zapisane słowa piosenki *Blue Jay Way*, która weszła do repertuaru Beatlesów (płyta *Magical Mystery Tour*). Oczywiście była to o wiele

większa gratka niż ten strzępek papieru, który dostałem wcześniej i którego ostatecznie nie wykorzystałem w książce ani w jej kolejnych wydaniach. Wrzuciłem go do szuflady i zupełnie o nim zapomniałem. Aż do dziś. Oczywiście jest już za późno, by spytać autora, co zainspirowało go do napisania tych słów, kiedy powstały, skąd je wziął i czy kiedykolwiek doczekały się podkładu muzycznego.

Skontaktowałem się nawet z wdową po George'u, Olivią, ponieważ potrzebowałem jej zgody na opublikowanie tego tekstu. Potwierdziła, że to pismo George'a i że czytając te słowa, słyszy nawet jego głos, jednak niestety nie wie nic na ich temat, ponieważ zostały zapisane na długo zanim się poznali. Fragment ten przesłałem też do pierwszej żony George'a, Pattie Boyd. I ona potwierdziła autentyczność pisma, ale nic więcej nie była w stanie mi powiedzieć.

Mam zamiar przekazać tę pamiątkę British Library, by uzupełniła kolekcję Beatlesów. Znajdują się tam piosenki Johna i Paula, wystawione w sali z manuskryptami, obok rękopisów Szekspira, tekstu *Wielkiej karty swobód*, Beethovena czy Wordswortha, jednak do tej pory biblioteka nie dysponowała piosenkami napisanymi ręką George'a. Wszystkie te utwory Beatlesów to skrawki papieru, które zbierałem z podłogi w studiu przy Abbey Road. Beatlesi pozwalali mi je zatrzymać na pamiątkę, miały też posłużyć jako pomoc w pisaniu niniejszej biografii. W innym przypadku trafiłyby do kosza lub zostały spalone. Zawsze zbieram różne zapiski, notatki, listy, dokumenty, bilety i inne śmieci związane z książką, nad którą aktualnie pracuję. Naturalnie nie miałem wówczas pojęcia, że wiele lat później okażą się aż tak wartościowe – pierwszą aukcję memorabiliów związanych z muzyką popularną zorganizował w 1981 roku dom aukcyjny Sotheby's. Gdy przekazywałem je British Museum, sądziłem nawet, że nie będą ich chcieli, uznając je za zbyt trywialne i mało doniosłe. Te, które jeszcze posiadam, zapisałem w testamencie narodowi brytyjskiemu. Olivia Harrison oraz przedstawiciele British Library są zadowoleni, że wreszcie

kolekcja wzbogaci się o próbkę pisma George’a, która trafi do sali z manuskryptami i znajdzie się obok notatek Paula i Johna. Opowiadam tę historię, żeby uzmysłowić czytelnikowi, że czterdzieści lat temu nie sądziłem nawet, iż skrawek ten warto zamieścić w książce. W ciągu tych czterech dekad trochę się pozmieniało.

Jeden z licznych „ekspertów od Beatlesów”, których jest dziś na świecie cała masa, a wszyscy niebywale mądrzy i oczytani, z pewnością przedstawi nam kilka pomysłów dotyczących genezy i interpretacji tych słów. Kim była dziewczyna, o której marzył? Czy chodziło o ówczesną żonę, Patti, czy o kogoś innego? Może kogoś z lat młodzieńczych? A może w ogóle nie chodziło o dziewczynę? Ja podejrzewam, że adresatem był chłopak, a konkretnie John Lennon. George miał zaledwie czternaście lat, gdy poznał Johna – macho i lidera grupy – a John, jak wiemy, potrafił być zarówno okrutny, jak i nieprzyzwoity. Z drugiej jednak strony George był fantastycznym gitarzystą, znacznie lepszym niż John, i być może z tego powodu John trochę mu zazdrościł? Wielu twierdziło, że John nie ma szans na dobre życie i nigdy nie znajdzie sensownej pracy, czego i sam zainteresowany się obawiał. Ale George czuł, że to nieprawda, i wierzył w Johna – może właśnie tę wiarę wyrażają dwie ostatnie linijki odnalezionego tekstu? Uczeni będą analizować każdy wers, zastanawiając się, czy którykolwiek z nich mógł zostać zaczerpnięty z innego źródła. Jakie były poetyckie inspiracje? Czy *youre so unaware of the pain that I bear* to dobry rym wewnętrzny, czy może jest raczej nieudolny, chaotyczny i wtórny? Zostawię to ekspertom. Może to zabawne, ale mnie już nic nie jest w stanie zdziwić, jeśli chodzi o zainteresowanie Beatlesami. Co więcej, im większy dystans czasowy, tym jawią nam się więksi i bardziej niezwykli.

Był taki okres w połowie lat siedemdziesiątych, gdy wszystko wskazywało na to, że gwiazda Beatlesów gaśnie, że przegoniły ich nowe, bardziej popularne zespoły i bardziej przebojowi wokaliści, że nowe trendy i nowa muzyka poślą Beatlesów do lamusa. Jeśli spojrzymy na statystyki,

możemy uznać, że faktycznie tak się stało. Nowi wykonawcy, jak Michael Jackson, sprzedawali swoje albumy w niebotycznych nakładach, bijąc nawet niektóre z rekordów sprzedaży ustanowionych przez The Beatles. Ale ostatecznie Beatlesi jako wielka twórcza siła nie zniknęli. W każdym rankingu, czy to głosami muzyków, czy fanów, zawsze pojawiają się jako ten najważniejszy, najbardziej inspirujący, najbardziej kochany i najwspanialszy zespół w historii świata. *Sgt. Pepper* jest najczęściej wymieniany jako najlepszy album w historii muzyki, podobnie zresztą jak sama okładka. Ich stare piosenki i płyty, wydawane wciąż na nowo w różnych wersjach (na przykład *Anthology*), po dziś dzień sprzedają się w milionach egzemplarzy. W roku 2000 składanka utworów, które dotarły do pierwszego miejsca list przebojów, sama trafiła na szczyty list aż w trzydziestu czterech krajach.

Na początku lat osiemdziesiątych zostałem poproszony o przyjęcie roli niezależnego eksperta, ponieważ jeden ze studentów Uniwersytetu Londyńskiego pisał pracę doktorską na temat słów piosenek Beatlesów. Pomyślałem, że ktoś mnie wkręca. Nie mogłem uwierzyć, że tak szacowna instytucja zgodziła się na taki numer. Dziś w szkołach, *College*'ach i na uniwersytetach na całym świecie dzieci i młodzież uczą się o Johnie, Paulu, George'u i Ringo. Beatlesów się studiuje, analizuje i bada. Co roku wychodzi na ich temat więcej książek niż kiedykolwiek wcześniej, a co tydzień gdzieś na świecie ktoś organizuje konferencję, której są tematem. W samej Japonii w roku poświęconym Beatlesom odbywa się aż czterdzieści niezależnych imprez. Znajduje się tam też wspaniałe muzeum Johna Lennona. W przeróżnych krajach dziesiątki zespołów złożonych z sobowtórów Beatlesów działają i na okrągło grają w klubach i na koncertach.

Stosunkowo późno Liverpool zorientował się, że sławne chłopaki działają na turystów jak magnes. Obecnie miasto posiada hotel o nazwie Hard Day's Night, lotnisko przemianowano na Port Lotniczy im. Johna

Lennona w Liverpoolu, a co roku setki tysięcy osób biorą udział w wycieczkach z przewodnikiem śladami Beatlesów. Czynszowy dom, w którym kiedyś mieszkał Paul, obecnie pod opieką National Trust[2], jest otwarty dla zwiedzających, podobnie jak szeregowiec, który zajmowali John i jego ciotka Mimi. Szacuję, że mniej więcej pięć tysięcy osób na całym świecie utrzymuje się dziś z Beatlesów – pisarzy, badaczy, handlarzy, profesorów, artystów, osób związanych z turystyką i muzealnictwem. Tymczasem nawet u szczytu swej potęgi Apple – organizacja założona przez Beatlesów[3] – nie zatrudniała więcej niż pięćdziesięciu pracowników.

Ceny pamiątek po Beatlesach osiągają poziom trudny do ogarnięcia, zwłaszcza jeśli dana rzecz pretenduje do miana oryginału. W roku 2008 odręczny zapis piosenki *A Day in the Life* został sprzedany przez nowojorski dom aukcyjny Bonhams za milion trzysta tysięcy funtów. Cena za zestaw autografów całej czwórki złożonych na fotografii może sięgać pięciu tysięcy funtów. Dla porównania w 1981 roku, gdy rynek na beatlesowskie memorabilia dopiero się rozkręcał, cena takiego zestawu wynosiła pięćdziesiąt funtów. W 1975 roku włamano się nam do domu, a jedną ze skradzionych rzeczy była płyta *Sgt. Pepper*, którą podpisała dla mnie cała czwórka. Z ubezpieczalni otrzymałem trzy i pół funta, czyli koszt nowej płyty. Podpisów nie dało się wycenić, miały jedynie wartość sentymentalną. Dziś są warte pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Kilka tygodni temu spotkała mnie kolejna bolesna strata. Przez czterdzieści lat, czyli od pierwszego wydania książki, miałem w domu oryginalne odbitki czterech pierwszych zdjęć Beatlesów autorstwa Ringo, które wykonał specjalnie na potrzeby książki. Wisiały u mnie w przedpokoju. Nie wiedziałem, że ubikacja na górze przecieka, dopóki na ramkach nie pojawiła się pleśń. Na nieszczęście trzech zdjęć nie dało się uratować.

Bardzo mnie śmieszy, gdy włoscy lub inni europejscy fani futbolu śpiewają *Yellow Submarine* – z własnymi słowami, oczywiście. Zawsze się wtedy zastanawiam, czy Sony, które jest obecnie właścicielem praw autorskich do utworów Beatlesów, będzie się ubiegać o tantiemy od stacji telewizyjnych, które transmitują te śpiewy. Pewnie większość włoskich kibiców nie ma nawet pojęcia, że to piosenka Beatlesów. W roku 2007 Daniel Levitin, profesor muzyki na Uniwersytecie McGill w Montrealu, przewidywał, że słowa i muzyka Beatlesów są znane tak szerokim masom na całym świecie, że za sto lat będą traktowane tak, jak traktuje się tradycyjne rymowanki dla dzieci. „Większość zapomni, kto je stworzył. Będą tak głęboko zakorzenione w kulturze popularnej, że będzie nam się zdawało, iż są z nami od zawsze, niczym *Zuzanna*, *This Land Is Your Land* czy *Panie Janie*".

W tym samym roku sędzia z Montany podczas odczytywania uzasadnienia wyroku skazującego mężczyznę za kradzież piwa, popisał się znajomością twórczości Beatlesów. Gdy spytano oskarżonego, jaki wymiar kary byłby jego zdaniem na miejscu, rzekomo odpowiedział: „Jak mawiali Beatlesi, *Let It Be*[4]". Te słowa zainspirowały sędziego do użycia czterdziestu dwóch tytułów utworów Beatlesów w podsumowaniu wyroku:

> Nie trzeba się udawać w interpretacyjną *Magiczną wyprawę w nieznane*, by wiedzieć, że *Słowo* mówi: zostaw. Ufam, że możemy *Spotkać się* w tym rozumieniu. Gdybym miał przymknąć oko na pański czyn, musiałbym zupełnie zignorować *Ten jeden dzień z życia*, czyli 21 kwietnia 2006 roku. Tego wieczoru powiedział pan sobie: *Czuję się świetnie*, spożywając piwo. Później, nie wiem, czy dla *Pieniędzy*, Czy po prostu chciał pan *Nie wzbudzać podejrzeń*, ale ostatecznie został pan *Głupkiem na wzgórzu*… Mam nadzieję, że *W wieku sześćdziesięciu czterech lat* powie pan sobie *Trzeba było być mądrzejszym*…[5]

W starych archiwach bez przerwy ktoś buszuje w poszukiwaniu rzekomo istniejących nieupublicznionych filmów, taśm i nieznanych fotografii. Zazwyczaj są to te same ujęcia, które znamy, tylko pod ciut innym kątem, mniej lub bardziej wyraźne. Wcale nie powstrzymuje to fotografów przed umieszczaniem ich w książkach i na wystawach, czy drukowaniem i

sprzedawaniem serii limitowanych z podpisem autora za setki funtów. Boże broń, nie krytykuję, skoro sam odkopałem stare zapiski George'a i sam zawsze rzucam się na „nowe" fotki. Niedawno zresztą nabyłem jedno zdjęcie, którego wcześniej nie widziałem. Zrobiono je w moim rodzinnym Carlisle w 1963 roku, gdy Beatlesi występowali w kinie Lonsdale. Zdjęcie – które okropnie mnie śmieszy – przedstawia członków zespołu w windzie z operatorką tejże o wyjątkowo dzikiej aparycji. Wykonał je Jim Turner z „Cumberland News" i, owszem, poprosiłem go o autograf.

Oprócz wyszperanych nowości ciągle odgrzewane i na nowo oceniane są starocie, na wypadek gdyby jakiś element czy aspekt został wcześniej przeoczony. Sądziłem, że już wszystkie materiały archiwalne BBC na temat Beatlesów się wyczerpały, a tymczasem jedna z teczek z 1962 roku jakiś czas temu doczekała się ponownego badania. Okazało się, że Beatlesi mieli przesłuchanie do programu radiowego w Manchesterze. Znaleziono notatkę z tego przesłuchania, którą sporządził producent programu, a czytamy w niej między innymi: „Paul McCartney nie, John Lennon tak. Niebanalny zespół, nie tak rockandrollowy jak większość. Bardziej country i western z tendencją do grania muzyki. Ogólnie – tak". Wydaje mi się, że to dość istotny komentarz, ponieważ zwykle słyszy się, że to głos Paula był powszechnie bardziej akceptowany.

Kolejny temat to zapaleńcy i kujony, którzy bez końca analizują słowa piosenek Beatlesów w nadziei na jakąś świeżą perspektywę albo robią zestawienia i statystyki, które nikomu innemu nie przyszłyby nawet do głowy. Ben Schott, dobrze znany ze swego *Miscellany*[6], stworzył *Beatles Miscellany*, które ukazało się w „Timesie" w czerwcu 2007 roku, jako część specjalnej wkładki wydanej w czterdziestą rocznicę premiery płyty *Sgt. Pepper.* (Rocznice: doskonała wymówka, by publikować jeszcze więcej). Ben przeanalizował wszystkie piosenki Beatlesów pod kątem najczęściej pojawiających się słów, tworząc listę stu czternastu najpopularniejszych. Na

szczycie znalazły się: *you* [ty] (260 razy), *I* [ja] (178), *to* [do] (149), *me* [mnie] (137) oraz *love* [miłość] (125). Listę zamykają: *yesterday* [wczoraj] (11), *hand* [ręka] (10) oraz *lonely* [samotny] (10). Fascynujące, nieprawdaż?

Niedawno mój przyjaciel Rod Davis – z oryginalnego składu The Quarrymen – przysłał mi ciekawy materiał badawczy. Wiedział, podobnie jak my wszyscy, że jego kumpel ze szkoły John Lennon urodził się w Liverpoolu o szóstej trzydzieści rano 9 października 1940 roku podczas nalotu bombowego. Informacja o nalocie powtarza się w każdej książce, ale Rod zaczął się zastanawiać, czy to aby na pewno prawda. Podjął się więc wyprawy do archiwum prasowego British Library w Colindale w północnym Londynie i przestudiował każdy numer „Liverpool Echo" z października 1940 roku w poszukiwaniu informacji o nalotach. Znalazł wiadomość o bombardowaniu przeprowadzonym przez trzydzieści lub czterdzieści samolotów, ale dziesiątego, nie dziewiątego października. Rod stwierdził więc, że faktycznie można powiedzieć, iż John przyszedł na świat w okresie nalotów, ale nie istnieją dowody na to, że w dniu jego narodzin miasto było bombardowane. Mam nadzieję, że to wyjaśnia całą sprawę w sposób wystarczający.

Kto więc jest źródłem informacji, której najwyraźniej nie poprzedziły wnikliwe badania? Chyba ja. Gdy czytelnik dojdzie do rozdziału o Johnie, przeczyta: „Mały chłopiec przyszedł na świat podczas nalotu bombowego". Taką relację usłyszałem od samego Johna, który powtarzał ją słowo w słowo po ciotce Mimi i ojcu Fredzie. Była to rodzinna legenda, nadal żywa jeszcze w 1968 roku. Nie mam zamiaru teraz jej zmieniać. Gdybym chciał się sugerować wszystkimi większymi i mniejszymi nowymi odkryciami oraz teoriami i opiniami, musiałbym co roku na nowo przepisywać całą książkę. Jest to kolejny powód, dla którego postanowiłem pozostawić wersję z 1968 roku bez zmian. To relacja rzetelna w takim stopniu, w jakim było to możliwe.

Niemniej są fakty, o których należy wspomnieć, by zaktualizować opowieść o Beatlesach. Mimo że nadal interesuje nas głównie to, co działo się wtedy, czyli gdy Beatlesi byli na szczycie, koncertowali i tworzyli, to historia toczy się dalej. Tragiczne odejście w listopadzie 2001 roku George'a Harrisona – najmłodszego Beatlesa – oznacza, że została ich już tylko dwójka. George miał pięćdziesiąt osiem lat i od jakiegoś czasu chorował na raka. Informację o jego śmierci zamieściły na pierwszych stronach wszystkie gazety, a wyrazy uznania dla jego osoby płynęły zewsząd – od czołowych polityków po gwiazdy muzyki. George był zawsze postrzegany jako ten cichy, ten, który unikał rozgłosu i którego nie interesowały media, spotkania z fanami czy podgrzewanie reakcji tłumów. Przez jakiś czas był nawet traktowany jako na wpół pustelnik – w latach 1982–1987 nie wydał żadnej płyty. W roku 1989 pojawił się – bardzo dobrze przyjęty przez publiczność – jego album *Cloud Nine*. W roku 1991 i 1992 znowu był obecny w mediach i koncertował, po czym nastąpił kolejny okres ciszy. Na początku roku 2001 wyszła reedycja jego klasyki – albumu *All Things Must Pass*. Większość czasu George poświęcał swoim domom, ogrodom, myślom, wiódł życie kontemplacyjne i tworzył muzykę tylko dla siebie.

To okrutna ironia losu, że ktoś, kto wycofał się z życia publicznego, pragnąc żyć w spokoju, otarł się o śmierć, gdy nieznany napastnik wtargnął do jego domu i dźgnął go nożem. Stało się to w roku 1999 w pobliżu Henley. Na szczęście George doszedł do siebie. Do samego końca był bardzo uduchowiony. Nadal interesował się muzyką i religią hinduską, nawet gdy pozostali Beatlesi już dawno porzucili ten temat. Zachował też doskonałe poczucie humoru. Ostatnią piosenkę, nad którą pracował tuż przed śmiercią w 2001 roku, *Horse to the Water*, opatrzył taką oto linijką na temat praw autorskich: „Spoczywaj w Pokoju, Sp. z o.o. 2001".

Moje osobiste wrażenie na temat George'a mogę streścić tak: głęboka powaga połączona z samoświadomością. Godzinami potrafił mówić o teorii reinkarnacji, aż miałem ochotę ziewać lub krzyczeć, po czym przerywał i

wyśmiewał się z samego siebie, przybierając zabawny ton głosu. Pewnego razu byłem u niego w Esher i przez dłuższą chwilę próbował wyjaśnić mi jakieś swoje przemyślenia natury duchowej. Nagle zadzwonił telefon. George podniósł słuchawkę i z akcentem z robotniczych dzielnic Londynu oznajmił: „Sklep z winem w Esher”.

Przeżyli go jego żona Olivia, którą poślubił w 1978 roku, urodzona w Meksyku w 1948, a wychowana w Ameryce, oraz ich syn, jedyne dziecko George’a, Dhani, który przyszedł na świat w roku ślubu rodziców. „Dhani” w sanskrycie oznacza „bogaty”.

Kolejnym przykrym wydarzeniem, które przyciągnęło uwagę mediów, był rozwód Paula i Heather Mills w 2008 roku. Tematem tym media karmiły się przez wiele miesięcy, podobnie zresztą jak całym ich burzliwym związkiem. Linda, pierwsza żona Paula, zmarła w roku 1998 na raka piersi. Ta sama choroba była przyczyną śmierci mamy Paula, Mary. Paul bardzo wiele zawdzięcza Lindzie, a ich małżeństwo było długie, szczęśliwe i oboje się w nim realizowali. Praktycznie cały czas spędzali razem, więc po jej śmierci Paul był załamany, zdruzgotany, zagubiony i bardzo samotny. „Czy cokolwiek mnie jeszcze czeka w życiu?”, pytał siebie samego. Przez dwa lata nie był w stanie komponować.

Rok po śmierci Lindy (1998) spotkał Heather Mills. Poznali się podczas jednej z ceremonii wręczenia nagród i bardzo zaimponowała mu jej praca na rzecz organizacji charytatywnych oraz determinacja w walce z własną niepełnosprawnością po częściowej amputacji nogi. Heather była od niego o dwadzieścia pięć lat młodsza, przez krótki czas pracowała jako modelka. Oprócz silnego charakteru na pewno przemówiła do niego również jej uroda. Na pewno nie było to zauroczenie, a miłość – od pierwszego wejrzenia. Media nie były co do tego przekonane. Paul stał się przecież ikoną, dobrem narodowym, więc wszyscy się zastanawiali, czy Heather ma czyste intencje. Tym samym sugerowano, że może zależy jej na pieniądzach. Przyglądano się jej pochodzeniu, ujawniając, że kariera w

świecie mody nie była aż tak oszałamiająca, jak twierdziła sama zainteresowana. Kwestionowano jej uczciwość, udowadniając niefrasobliwy stosunek do prawdy. Paul stał za nią murem. Twierdził, że media są po prostu, jak zawsze, zawistne i złośliwe i nie mają żadnych podstaw, by ją krytykować. W kilku plotkarskich gazetach pojawiły się artykuły, że dzieci Paula też nie darzą Heather nadmierną sympatią – informacjom tym zaprzeczyli i Paul, i Heather.

Czytając te doniesienia praktycznie bez znajomości faktów, pomyślałem, że może historia jednak lubi się powtarzać. Gdy Jim, ojciec Paula, ożenił się po raz drugi, ani Paul, ani jego brat Michael nie zapałali szczególną miłością do macochy. Osobiście uważałem to za niesprawiedliwe. Jim wydawał mi się taki szczęśliwy i zadowolony – po długim okresie samotności, kiedy zmagał się z wychowywaniem dwóch synów w pojedynkę, wreszcie odnalazł szczęście.

Szum wokół Heather, Paula i ich relacji wzmógł się, gdy wyszło na jaw, że w ich małżeństwie faktycznie nie układa się najlepiej. Gdy tylko ogłosili informację o planach rozwodowych, wyciekły przeróżne niepoparte dowodami zarzuty na temat zachowania obu małżonków – ich źródłem rzekomo była każda ze stron. Wszystko to mogło pozostać w sferze plotek, czyli w królestwie informacji niesprawdzonych i mało wiarygodnych, ale sędzia prowadzący sprawę rozwodową, ku zaskoczeniu większości, zdecydował się upublicznić proces.

W marcu 2008 roku sędzia Bennet zdecydował, że szczegóły ugody rozwodowej, liczącej łącznie pięćdziesiąt osiem stron, mogą zostać ujawnione. Uzasadnił tę decyzję chęcią położenia kresu spekulacjom pojawiającym się w mediach. Skutek był oczywiście odwrotny – wszyscy poznali intymne szczegóły życia pary, które inaczej pozostałyby tajemnicą. Doprowadziło to do jeszcze większej fali spekulacji i plotek. W wyroku sądowym czytamy, że para poznała się w roku 1999, zaręczyła 22 lipca 2001 roku, pobrała 11 lipca 2002 roku, a rozstała 29 kwietnia roku 2006.

Małżeństwo w oczach sędziego trwało więc cztery lata, ponieważ para nie mieszkała razem *de facto* aż do zawarcia małżeństwa. Ujawniono, że przed ślubem Paul stosował środki antykoncepcyjne, ponieważ w tamtym okresie nie chciał mieć więcej potomstwa. Ich jedyne dziecko, Beatrice, urodziło się 28 października 2003 roku.

Większość tych pięćdziesięciu ośmiu stron dotyczy kwestii finansowych. Heather początkowo zażądała stu dwudziestu pięciu milionów funtów, Paul zaoferował szesnaście milionów. Heather utrzymywała, że majątek Paula wart jest osiemset milionów – ta kwota pojawiała się w wielu gazetach przez kilka następnych lat. Paul zaprzeczył, a jego księgowy potwierdził, że jest to jedynie czterysta milionów funtów. Heather upierała się, że na życie potrzebuje trzech milionów dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów rocznie, z czego czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy wyszczególnione było jako fundusz wakacyjny, trzydzieści dziewięć tysięcy – na wino, mimo że, jak zauważył sędzia, Heather nie pije alkoholu. Domagała się też sześciuset dwudziestu siedmiu tysięcy funtów rocznie na działalność charytatywną, z czego sto dwadzieścia tysięcy miała przeznaczyć na przeloty helikopterem, a sto dziewięćdziesiąt dwa tysiące na loty czarterowe. Sędzia określił te żądania jako „absurdalne”. Heather twierdziła również, że potrzebuje pięciuset czterdziestu dwóch tysięcy funtów rocznie na ochronę dla siebie i Beatrice. Dla porównania, z tego, co udało się ustalić, Paul funkcjonuje praktycznie bez ochrony – wiadomość dość zaskakująca w świetle tego, co stało się z Johnem Lennonem i również George’em. Wygląda na to, że Paul nie ma żadnych ochroniarzy w swoim londyńskim domu, a jeśli chodzi o posiadłość w Sussex – po prostu polega na pracownikach, ufając, że będą czujni w obliczu jakichś podejrzanych zajść. W zeznaniu Paula czytamy, że żadne z jego dzieci w okresie dzieciństwa – a każde z nich chodziło do szkoły publicznej – nie miało ochroniarzy, chyba że towarzyszyły ojcu podczas trasy koncertowej.

W dokumencie widnieją pełne adresy zarówno jego posiadłości w Sussex o powierzchni tysiąca pięciuset akrów, którą sędzia określił jako „skromną własność”, jak i domu w Londynie. Zapaleni fani zespołu znają oczywiście te adresy, ale obecnie każdy podejrzany typ, któremu wcześniej były one nieznane, może być wdzięczny sędziemu. Paul poczynił ciekawą uwagę, gdy wyjaśniał, że większość dzisiejszych dochodów z muzyki pochodzi z materiału, który powstał na długo przed znajomością z Heather. Przyznał, że muzyka, którą stworzył w trakcie ich małżeństwa, czyli w latach 2001–2006, nie ma się aż tak dobrze jak starsze utwory: „Stworzyłem nowy materiał w trakcie naszego małżeństwa i mimo że został on dobrze przyjęty przez krytykę, nie jest zbyt dochodowy”.

Możemy się też zapoznać z długą listą rzeczy będących w posiadaniu Paula – są na niej między innymi domy i dzieła sztuki, w tym obrazy Picassa i Renoira – oraz jego interesów, z których większość była nieznana nawet najbardziej zagorzałym fanom. Przyznając, że Heather była „oddana sprawom charytatywnym” oraz miała „silny charakter i stanowczą osobowość”, sędzia uznał ją zarazem za mało wiarygodnego świadka z uwagi na niedokładność i nie najlepsze wrażenie, jakie robiła w tej roli. Określił ją jako największego wroga dla samej siebie, osobę fałszywą o „zmiennej i wybuchowej naturze”. Paula z kolei ocenił jako szczerego i precyzyjnego. Jeszcze przed rozprawą rozwodową część osobistych zarzutów Heather pod adresem Paula wyciekła do prasy, między innymi na temat zażywania narkotyków i alkoholu oraz agresywnego zachowania. Do tych historii sędzia odniósł się bardzo pobieżnie, określając je jako nieistotne dla sprawy, ponieważ ta miała dotyczyć ugody finansowej.

Ostatecznie sędzia przyznał Heather kwotę dwudziestu czterech milionów trzystu tysięcy funtów, czyli o około stu milionów mniej, niż żądała. Paul wyszedł więc z całej sprawy finansowo dużo lepiej, niż mógł, zachował też dobre imię, nawet jeśli musiał ujawnić szczegóły, które na pewno wolałby zatrzymać dla siebie. Stres, ból i rozmiar nieszczęścia, które

było udziałem ich obojga w następstwie tego rozwodu, musiały być niewyobrażalne. Znakomitą większość dwóch lat musieli poświęcić na składanie zeznań, spotkania z prawnikami i księgowymi, śledztwo, reagowanie na oskarżenia i oszczerstwa, w efekcie czego ich życie prywatne stało się własnością całego świata. Wyszło na jaw między innymi to, jak bardzo hojny był Paul podczas ich pierwszego roku znajomości, gdy wpompował w Heather i jej rodzinę ogromne pieniądze w postaci domów, pożyczek i darowizn. Wiele faktów ujawnionych przez sędziego będzie doskonałą pożywką dla biografów Paula przez wiele następnych lat, przede wszystkim jednak stanowiły one żniwa dla prasy.

Dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć? Dlaczego Paul, zwykle tak ostrożny i sprytny, zwykle prześwietlający ludzi, ich charaktery i historię – w przeciwieństwie na przykład do Johna, który wierzył każdemu, kto pukał do jego drzwi – dał się wmanewrować w tę sytuację? Była to najpewniej wypadkowa pożądania, miłości i samotności po śmierci ukochanej Lindy.

* * *

Jeśli chodzi o rewelacje na temat innych osób z otoczenia Beatlesów, najbardziej zaskakująca, ba!, niewiarygodna, wiadomość dotyczy Mimi Smith – ciotki Johna, która go wychowała. Mimi odegrała istotną rolę w jego wczesnym życiu i w swojej książce przedstawiłem ją, zgodnie z relacją Johna i rodziny samej Mimi, jako osobę surową, snobistyczną, staroświecką i autorytarną. Taka też jawiła mi się podczas licznych rozmów, które z nią przeprowadziłem. Niewątpliwie miała silny charakter i nie bała się iść pod prąd. Wcześnie owdowiała, a jej mężem był dość nieciekawy, mało ambitny typ imieniem George, były mleczarz. Mimi utrzymywała, że „prowadził gospodarstwo mleczarskie”. Zmarła w roku 1992, a w 2007 przyrodnia siostra Johna, Julia Baird, w swojej książce pod tytułem *Imagine This:*

Growing Up with My Brother John Lennon[7] napisała, że Mimi, mieszkając w Liverpoolu i wychowując Johna, miała jednocześnie wieloletni romans z jednym ze swoich lokatorów – studentem o dwadzieścia lat od niej młodszym, który później wyemigrował do Nowej Zelandii. Julia nigdy nie lubiła Mimi, więc początkowo miałem wątpliwości co do prawdziwości tych informacji. Podejrzewałem, że jest to wymysł autorki książki, ale dziś fakt ten potwierdza wielu znawców historii Beatlesów. Mimi naturalnie nie może temu zaprzeczyć. Nadal trudno mi w to uwierzyć. Mimi – ze wszystkich ludzi akurat ona. Wniosek z tego, że nigdy nie należy się kierować pozorami. Jaka szkoda, że John się o tym nie dowiedział, po tych wszystkich reprymendach, których nasłuchał się od niej przez lata na temat swojego zachowania i rzekomo pozostawiającej wiele do życzenia postawy. Już sobie wyobrażam jego zdziwienie, jak mówi: „Ożeż kurwa”, po czym zwija się ze śmiechu i przeciera mokre od łez okulary.

Kolejna tego typu rewelacja, tym razem na temat George’a, pojawiła się w książce autorstwa jego pierwszej żony, Pattie Boyd. Pattie pisze, że George miał romans z Maureen, żoną Ringo, gdy oba małżeństwa były już w fazie schyłkowej. Ta plotka jakoś nie zaskoczyła mnie aż tak, jak historia o Mimi.

Wiele pikantnych szczegółów ujrzało światło dzienne dopiero po latach, część z pewnością jeszcze poznamy. Główni bohaterowie tych anegdot i opowieści zazwyczaj już nie żyją, jak Mimi, George czy Maureen, nie zdementują więc pomówień i plotek i nie przedstawią własnej wersji zdarzeń. Być może przydałby się jakiś sędzia, który spojrzałby na fakty, orzekł, co naprawdę zaszło, i oczywiście na koniec podzielił się z nami swoją wiedzą.

Dwaj żyjący Beatlesi mają się bardzo dobrze i oby tak było jeszcze przez długi czas. Obaj wystąpili w 2008 roku na uroczystości z okazji ogłoszenia Liverpoolu Europejskim Miastem Kultury. Obaj są niezwykle zapracowani,

choć Ringo przebywa głównie za granicą, a konkretnie w Stanach, gdzie jeździ w trasy z zespołem All-Starr Band. W ciągu tych wszystkich lat skład zespołu zmieniał się, a sam Ringo okazjonalnie koncertował z różnymi sławnymi muzykami. Regularnie wydaje też płyty. W roku 2000, w wieku sześćdziesięciu lat, zapowiedział, że kończy karierę, jednak skończyło się wyłącznie na deklaracji. Ringo jest wciąż aktywny artystycznie nie dla pieniędzy – muzyka po prostu czyni go szczęśliwym. Nadal jest żonaty z Barbarą Bach. Czas dzielą głównie między Stany Zjednoczone a Monako.

Paul wypuszcza płyty równie często co Starr. Zbierają pozytywne recenzje, choć – jak sam mówi – nie sprzedają się tak dobrze jak te stare. *Memory Almost Full z* roku 2007 została bardzo pozytywnie przyjęta przez fanów, a większość osób dostrzegła w niej wspomnienia i emocje związane z Lindą – w końcu powstała w czasie, gdy miał szczególnie wiele powodów, by o niej myśleć. Paul tworzy również poezję, maluje, pisze książki dla dzieci i komponuje muzykę poważną. Jego album *Ecce Cor Meum* został okrzyknięty brytyjską płytą roku 2007 w kategorii muzyka klasyczna. Teraz, gdy ma już za sobą koszmar rozwodu z Heather, może będzie tworzył jeszcze więcej. Niedawno zapowiedział, że planuje ostatnią, aż dwuletnią trasę po świecie, potem zaś zamierza więcej czasu spędzać z dorastającą córką Beatrice. Jak będzie – zobaczymy.

* * *

Sam oczywiście najbardziej lubię klasyczny okres w historii zespołu i to on jest głównym tematem tej książki. Jakoś nigdy nie wciągnęły mnie późniejsze historie sporów i kłótni między muzykami oraz detale rozpadu grupy. Oczy szklą mi się też, gdy słyszę znawców mądrzących się na temat różnych wersji albumów, piratów i najdrobniejszych szczegółów każdej sesji nagraniowej – gdzie wtedy byli Paul, John, George i Ringo, z dokładnością co do dnia, a nawet do minuty. Pozostawiam to współczesnym Ekspertom od Beatlesów. Ich wiedza jest niezwykle

obszerna. Przyszłe książki o zespole będą o wiele bardziej opasłe, w wielotomowych wydaniach, w miarę jak autorzy będą robić coraz więcej wycieczek w poboczne tematy, opowiadając nam o życiu zupełnie marginalnych postaci i o szczegółowym przebiegu zupełnie nieistotnych wydarzeń. Oczywiście szalenie mi imponuje i cieszy zarazem ta skrupulatność, obecna zwłaszcza w pracach Marka Lewisohna. Imponuje mi też, że ludzie, którzy nigdy nawet nie spotkali Beatlesów, nie widzieli ich na żywo, nadal zgłębiają ich historię, żywiąc pasję, dzięki której będzie można przekazać pałeczkę następnym pokoleniom.

Najważniejsza jednak jest muzyka. Beatlesi dali nam sto pięćdziesiąt piosenek i one pozostaną z nami na zawsze, póki światu starczy sił i oddechu, by je nucić. Celem niniejszej książki było zgłębienie tamtego właśnie okresu, gdy Beatlesi pozostawali najbardziej twórczy. Ale najpierw zobaczmy, jak w ogóle doszło powstania tej biografii…

Pierwszym poznanym przeze mnie Beatlesem był Paul, a do naszego spotkania doszło we wrześniu 1966 roku. To był wielki rok. W lipcu Anglia wygrała mistrzostwa świata w piłce nożnej na Wembley – nasz pierwszy światowy sukces piłkarski. Sprzedałem wytwórni United Artists prawa do sfilmowania mojej pierwszej powieści, która ukazała się rok wcześniej, i dostałem od BBC zlecenie na napisanie sztuki dla teatru telewizji. W październiku 1966 roku odbyła się światowa premiera *Georgy Girl* – filmu nakręconego na podstawie książki autorstwa mojej żony.

Moim głównym zajęciem była praca w charakterze dziennikarza londyńskiego „The Sunday Times”, dla którego prowadziłem stałą rubrykę pod tytułem *Atticus*. Do zespołu redakcyjnego dołączyłem w 1960 roku, ale przez pierwsze trzy lata byłem typowym nadgorliwcem, urabiającym sobie ręce po łokcie, choć moje nazwisko nie pojawiło się w gazecie ani razu. Dziś trudno w to uwierzyć, ale takie wtedy były czasy – linijki z nazwiskiem autora należały do rzadkości, a moja gazeta była bardzo tradycjonalistyczna. *Atticus*, czyli nasza kronika towarzyska, była równie

staroświecka, a skupiała się głównie na informacjach na temat biskupów, ambasadorów i klubów dżentelmenów. Jako chłopak z robotniczej rodziny z północy kraju, który dorastał w mieszkaniu komunalnym, chodził do miejscowej szkoły powszechnej, a potem kończył prowincjonalny uniwersytet, nie miałem ani odpowiedniego pochodzenia, ani akcentu, ani zainteresowań, żeby spełniać warunki typowego autora *Atticusa*. Zazwyczaj rubrykę tę redagowali wyjadacze z Eton czy Oksbridge[8], którzy osobiście znali biskupów i należeli do najlepszych klubów. Wśród nich były postacie wyjątkowo zasłużone – sam Ian Fleming zrezygnował z tej rubryki stosunkowo niedawno przed moim przybyciem (w 1959 roku), a przed nim na tym zaszczytnym stołku zasiadali i inni pisarze, tacy jak sir Sacheverell Sitwell. Ale w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku w Anglii wydarzyło się coś ciekawego. Nie tylko w naszym *Atticusie*, ale i na całym bożym świecie tradycyjne role i zasady wywrócone zostały do góry nogami.

Gdy przejmowałem rubrykę, skupiałem się na postaciach takich jak pisarze z północnej Anglii, fotografowie z robotniczego Londynu, młodzi gniewni projektanci mody i wyszczekane młode wilki biznesu. To był złośliwy dobór repertuaru, ponieważ wiedziałem, że zirytuję nim starą gwardię, szczerze nienawidzącą tych osobników, ale pisałem o nich głównie dlatego, że fascynował mnie ich sukces. Wszyscy drwiliśmy i szydziliśmy, gdy nowojorski „Time” ukuł określenie „Swinging London”[9] i przysłał do miasta tabuny dziennikarzy oraz fotoreporterów mających rejestrować i analizować wszystkie te niesamowite rzeczy, które miały się tu rzekomo dziać. Patrząc z perspektywy czasu, Londyn faktycznie przeżył w latach sześćdziesiątych swego rodzaju eksplozję. Porównując go z dzisiejszymi czasami, które dla tak wielu są niewyobrażalnie dramatyczne i beznadziejne, to, co działo się wtedy, było dla młodych porywające i graniczyło z rewolucją. Beatlesi naturalnie (myśleliście, że już o nich

zapomniałem?) stanowili niezwykle istotny element obalania starego porządku i systemu wartości.

Jeśli chodzi o pojawienie się *Love Me Do*, zlekceważyłem je, sądząc, że oto mamy do czynienia z kolejną nierozwojową gwiazdą jednego przeboju, a gdy pierwszy raz usłyszałem, jak John naśladuje Amerykanów, wykrzykując *Twist and Shout*, rozbolała mnie głowa. Ale za to szczerze pokochałem *I Want to Hold Your Hand* i od tamtej chwili nie mogłem się doczekać każdej kolejnej ich płyty. Poszedłem na jeden z koncertów – wydaje mi się, że grali wtedy w Finsbury Park – i było to fascynujące przeżycie (choć irytowały mnie piszczące dziewczyny). Chciałem ich dobrze słyszeć, a nie ogłuchnąć od wrzasków nastoletnich ekspedientek i fryzjerek.

Bez reszty utożsamiałem się z ich pochodzeniem i poglądami. Sam pochodzę z Carlisle, położonego na północny zachód od Liverpoolu, gdzie uważamy się za ludzi północy, a Liverpool to dla nas miasto prawie nad Morzem Śródziemnym. Mimo że byłem od Johna starszy o cztery lata, czułem pokrewieństwo typowe dla rówieśników, ponieważ i on, i Paul, i George chodzili do takich szkół jak ja. Beatlesi jako pierwsi śpiewali piosenki dla mnie, piosenki, które miały jakiś związek z moim życiem – czerpiąc z własnego doświadczenia, śpiewali o moim własnym. Lubiłem, ale zarazem gardziłem amerykańską papką, na której wszyscy się wychowaliśmy, z wszystkimi tymi panami w średnim wieku, w błyszczących garniturach, mówiących nam, jaką to jesteśmy wielce cudowną publicznością i jak bardzo się cieszą, że mogą dla nas zagrać – a potem grali, kolejną łzawą balladę z banalnym tekstem. Nie zmienia to faktu, że do dziś znam na pamięć słowa przynajmniej trzech największych przebojów Guya Mitchella.

Mimo ogromnej popularności Beatlesów w połowie lat sześćdziesiątych nadal wielu ludzi gotowych było twierdzić, że ich sukces to tylko kwestia mody. Stroje, fryzury, akcent, lekceważący stosunek do otoczenia, poczucie

humoru – to za to ludzie ich lubili, nie za muzykę. Wszystko to media i promocja. Wkrótce zastąpi ich nowy zespół. W sierpniu 1966 roku wyszedł singiel *Eleanor Rigby* (jako strona B *Yellow Submarine*) i to był dowód, że Beatlesi potrafią pisać teksty. Muzyka, jak zwykle, była kolejnym krokiem naprzód – tym razem wykorzystali instrumenty klasyczne i harmonie.

Z Paulem spotkałem się w jego domu przy Cavendish Avenue, w dzielnicy St. John's Wood. Nie mogłem sobie tego odmówić. Chciałem go oczywiście poznać, ale równie mocno pragnąłem poznać kulisy powstawania *Eleanor Rigby*. Zakładałem, że to on był autorem piosenki, ponieważ on ją wykonywał, choć wówczas była to po prostu spółka Lennon-McCartney i nikt nie traktował ich jako osobnych artystów. Nigdy nie czytałem wywiadu, w którym ktokolwiek pytałby ich poważnie o proces twórczy. Gazety popularne miały obsesję na punkcie pieniędzy i szaleństwa tłumów, podczas gdy czasopisma dla fanów interesowały tylko ich ulubione kolory i ulubieni aktorzy. Planowałem przepisać całą piosenkę, żeby ignoranci mogli się przekonać, z jakim dziełem mają do czynienia – podziwiać metafory, poczuć jakość. Niestety moi zwierzchnicy nie zgadzali się na to. Nie chcieli marnować miejsca na jakieś tam banalne piosenki pop. Napisałem więc tylko, że obecnie nie ma piosenki pop, która byłaby lepsza od *Eleanor Rigby* pod względem tekstu i muzyki.

Wywiad był bardzo ciekawy, przynajmniej z mojego punktu widzenia, choć z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, że Paul wyszedł na ciut zbyt zadowolonego z siebie, a jednocześnie nieśmiałego lub nawet umniejszającego swoje zasługi. Czyżby tak bardzo się zmienił? W wywiadzie tym użył słowa „na haju". W tamtych czasach określenie to odnosiło się do alkoholu, nie narkotyków, i wówczas tak to zrozumiałem. Wydaje mi się, że całkiem się polubiliśmy. Rozmawialiśmy o tle powstania wielu innych utworów, choć nie miałem zbyt wiele miejsca, żeby się o tym rozpisywać. Później dotarło do mnie, że nie wiem tak wielu rzeczy o nich i

o ich pracy i że każdy zadaje im te same durne pytania o sławę i sukces, i o to, kiedy ta bańka pęknie.

Udało mi się znaleźć jedynie dwie pozycje na temat Beatlesów – obie niesatysfakcjonujące. Jedna to książka fanklubowa, krótka, w miękkiej oprawie, zatytułowana *The True Story of the Beatles*[10], która wyszła w 1964 roku, wypuszczona przez tych samych ludzi, którzy wydawali „Beatles Monthly". Druga to praca młodego Amerykanina, Michaela Browna, pod tytułem *Love Me Do* – znacznie lepsza, ale ograniczająca się jedynie do rozmów, które autor przeprowadził z zespołem podczas jednej z tras koncertowych. I ona ukazała się w 1964 roku. Zespół dokonał tak wiele, ale nikt nie wpadł na to, by spojrzeć na całą ich karierę czy też poświęcić czas i poważnie porozmawiać z nimi, ich przyjaciółmi i rodziną. Nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, co tak naprawdę działo się w Hamburgu, że nie wspomnę o czasach szkolnych.

Pomyślałem, że to całkiem niezły plan, ale czy Beatlesi zgodzą się na takie przedsięwzięcie? W 1966 roku stali się już milionerami – byli wystarczająco bogaci, sławni i doceniani, by nie musieć zawracać sobie głowy kolejnymi nudnymi pogawędkami na temat bycia Beatlesem. Zapomniałem więc o tym i zająłem się codziennym życiem i pracą. W 1966 urodziło mi się drugie dziecko – Jake. Byłem w połowie pracy nad trzecią książką. To miał być reportaż o uniwersytetach, spojrzenie na studentów i nauczycieli w Wielkiej Brytanii. Miała nosić tytuł *Class of '66*[11]. Ukończyłem między innymi rozdziały o dwóch młodych studentkach – jednej z Uniwersytetu w Manchesterze, Annie Ford, a drugiej z Sussex, Buzz Goodbody. Każdy rozdział zawierał po dziesięć tysięcy słów. W grudniu zrobiłem sobie przerwę, żeby naszkicować plan scenariusza do sztuki pod tytułem *Here We Go, Round the Mulberry Bush*, którą zakupiła wytwórnia United Artists. Była to z życia wzięta historia z północy Anglii o chłopaku z osiedla domów czynszowych, marzącym o dziewczynie z

domku jednorodzinnego. Zdziwiłem się, gdy prawa do niej kupiła wytwórnia filmowa, a jeszcze bardziej, gdy postanowili nakręcić film. Odsetek zakupionych książek, które faktycznie doczekają się ekranizacji, nie jest aż tak duży. To miał być film dla ówczesnych nastolatków, a reżyser – Clive Donner – wpadł na pomysł, że może Paul McCartney napisałby do niego muzykę, miał już przecież na koncie tego typu projekty. Z tej okazji pojawiłem się na Cavendish Avenue nie jako dziennikarz szukający ciekawych cytatów, ale jako scenarzysta filmowy z nadzieją na współpracę przy projekcie. Paul wydawał się zainteresowany i rozmawialiśmy jeszcze kilka razy twarzą w twarz i przez telefon, ale ostatecznie odmówił. (Muzykę zrobił w końcu Steve Winwood wspólnie z zespołem The Spencer Davis Group i efekt okazał się znakomity).

Rozmawiając z Paulem, tym razem z trochę innej pozycji, sprzedałem mu pewien pomysł: a może byśmy tak napisali porządną książkę o Beatlesach – podjęli poważną próbę opowiedzenia całej historii, raz a dobrze, tak że gdy później ktoś zada wam po raz kolejny to samo durne pytanie, moglibyście odesłać go do książki? To chyba byłoby coś, prawda? Próba skupienia uwagi któregokolwiek z Beatlesów na jednej rzeczy przez czas dłuższy niż kilka sekund zawsze stanowiła spore wyzwanie. Nawet w domu czyhała na nich cała kolejka ludzi z wytwórni, projektantów, artystów, asystentów, czekających, aż któryś znajdzie czas, by się z nimi spotkać. Tak więc rzuciłem ten pomysł, nie oczekując ani reakcji, ani odpowiedzi, a tymczasem on powiedział coś w rodzaju: „Jasne, czemu nie, przydałoby się coś takiego. Ale jest pewien problem”. Od razu pomyślałem, że jakiś dziennikarz mnie ubiegł i otrzymał ich zgodę.

– Przede wszystkim będziesz musiał pogadać z Brianem – zastrzegł Paul. – To on podejmie decyzję. Ale chodź, siadaj, pomogę ci naszkicować prośbę.

Usiadłem więc i napisałem list na brudno. Na drugi dzień przepisałem go na maszynie i wysłałem do Briana Epsteina. To śmieszne, ale do dziś

mam kopię tego listu. To Paul zasugerował jego ton i kazał zaznaczyć, jakim to jestem ważnym panem dziennikarzem i że „już kilka razy przeprowadzałem wywiady z Beatlesami”. Zmyśliłem to? A może pamięć mnie zawodzi? Nie. Przypominam sobie teraz, że faktycznie przeprowadzałem z nimi wywiad na planie *A Hard Day’s Night* w 1964 roku. Pamiętam nawet pewien skomplikowany żart Johna. Mieli właśnie nagrywać piosenkę i zapaliło się światełko „Dźwięk”. John zaczął się bawić w rymowanki w stylu „Dźwięczy dźwięk”. Kiedyś „dźwięczy” oznaczało, że coś jest fajne, w porządku. Wydaje mi się, że zupełnie się wyłożyłem, próbując wyjaśnić ten żart, bo z tego, co pamiętam, artykuł ostatecznie się nie ukazał.

Na spotkanie z Brianem Epsteinem umówiłem się w środę 25 stycznia 1967 roku. W ostatniej chwili odwołał je z powodu natłoku obowiązków i przełożyliśmy rozmowę na następny dzień. Ponieważ kazał mi na siebie czekać, spacerowałem sobie po jego salonie, podziwiając dwa przepiękne obrazy Lowry’ego. W tamtym okresie mieszkał w londyńskiej Belgravii pod numerem dwudziestym piątym przy Chapel Street – luksusowy adres w samym sercu dzielnicy dyplomatów. W końcu przyszedł, ubrany jak zawsze w garnitur. Wyglądał na wypoczętego, zdrowego z tymi swoimi pulchnymi policzkami, choć był lekko rozkojarzony. Puścił mi *Penny Lane* i *Strawberry Fields Forever* – nowy singiel, który miał się ukazać lada moment. Siedział tak niczym dumny ojciec i przyglądał mi się. Wcale nie słuchał muzyki, po prostu obserwował, jak ja jej słucham. *Strawberry Fields* mnie oczarowały. To był ogromny krok naprzód, wielki postęp w porównaniu do młodzieńczej twórczości Beatlesów. Pełno tam było przeskoków dysharmonijnych i upiornego echa, niemal jak u Stockhausena. Zadałem sobie pytanie, czy fanom Beatlesów to się spodoba. Spytałem Briana, co oznacza ten tytuł. Nie wiedział. Powoli i z namaszczeniem odłożył taśmy i zamknął je pod kluczem, podkreślając, że ostrożności nigdy za wiele. Poprzednia taśma Beatlesów została wykradziona i dla wszystkich

było to dość krępujące. Na takich taśmach można zbić majątek, gdyby udostępnić je stacjom pirackim przed oficjalną premierą.

W tamtym okresie w Wielkiej Brytanii funkcjonowało kilka rozgłośni pirackich. Nie mogłem uwierzyć Brianowi, że ktoś faktycznie mógłby wykraść taśmy tylko po to, żeby wyprzedzić konkurencję o kilka dni. W końcu udało mi się sprowadzić rozmowę na temat mojego listu. Spytałem go, co sądzi i czy zastanawiał się nad propozycją. Początkowo sprawiał wrażenie, jakby miał bardzo ograniczoną wiedzę na ten temat, chociaż uśmiechał się i był czarujący, więc postanowiłem po kolei omówić szczegóły. Powiedział, że faktycznie pomysł jest dobry i będzie musiał przedstawić go całej czwórce. Ja z kolei postanowiłem dodać kilka informacji, których nie zamieściłem w liście, a mianowicie, że podzielę się z nimi zaliczką z wydawnictwa, jeśli dadzą mi wyłączne prawo do współpracy na tym obszarze. Wydawało mi się, że to najuczciwsza propozycja. Brian machnął ręką – w białym mankiecie podkreślającym wyjątkowo zadbane dłonie – jakby chciał podkreślić, że to najmniej istotne. Powiedziałem, że mój wydawca to Heinemann – marka z górnej półki – na co on stwierdził, że chciałby się z nimi spotkać, jak również z moim agentem, żeby omówić szczegóły. Termin kolejnego spotkania wyznaczył na następną środę, 31 stycznia. Do tego czasu obiecał zdobyć opinię Beatlesów.

Spencer Curtis Brown, szef agencji reprezentującej autorów, której klientem wówczas byłem (to na owe czasy największa taka instytucja na świecie), postanowił pójść na spotkanie osobiście. Podobną decyzję podjął Charles Pick – dyrektor naczelny wydawnictwa Heinemann. Zaproponowałem, że zadzwonię po nich z biura Epsteina, jeśli okaże się, że plan faktycznie ma szansę na realizację. Spotkałem się z Brianem o piętnastej i dowiedziałem się, że Beatlesi nie mają nic przeciwko, więc zadzwoniłem do Spencera Curtisa Browna i Charlesa Picka i poprosiłem ich o stawienie się u Briana tak szybko, jak to możliwe. Jestem pewien, że

chcieli zjawić się tylko po to, żeby zobaczyć, jak żyje człowiek u szczytu kariery, bo przecież nasza umowa nie była niczym nadzwyczajnym. Rozmawiałem wcześniej z kilkoma pracownikami wydawnictwa na temat planów powstania tej książki i na żadnym nie robiło to specjalnego wrażenia. „Wiemy już o nich wszystko, co człowiek chciałby wiedzieć – powiedziała mi jedna z osób. – Poza tym książki o gwiazdach muzyki się nie sprzedają. Popatrz na tę o Cliffie Richardzie". Odparłem, że to będzie raczej socjologia – książka o zespole, który przedefiniował świat, w którym żyjemy. „Socjologia? A po co komu socjologia? To też się nie sprzedaje".

Brian poinformował całą naszą trójkę, że mogę zabrać się do pisania i że on stworzy mi do tego warunki, ale nie da rady zmusić żadnego z Beatlesów, żeby nie rozmawiali z nikim poza mną. Trochę mnie to zmartwiło. Spencerowi pozostawiłem temat podziału zaliczki. Zaproponował jedną trzecią przekazać Beatlesom, a dwie trzecie mnie, ponieważ większą część pracy miałem wykonać sam i potrzebowałem funduszy na podróże zagraniczne, by rozmawiać z dawnymi przyjaciółmi i współpracownikami zespołu. Uznał, że to spore przedsięwzięcie, „ponieważ wszystkim nam zależy, żeby książka była rzetelna, a nie żadne tam tanie czytadło, sklecone naprędce dla fanów". Brian zgodził się na taki układ.

W końcu powstała umowa, którą osobiście przygotował Epstein jako menedżer zespołu. Heinemann zgodził się zapłacić za książkę trzy tysiące funtów, co oznaczało, że ja otrzymam dwa tysiące minus dziesięć procent wynagrodzenia dla agenta. Nawet jak na tamte czasy nie była to suma zawrotna. Dziś oczywiście wydaje się śmiesznie niska, gdy wiem, że autor jednej z późniejszych książek o Beatlesach, powstałej w latach osiemdziesiątych, zarobił sto razy tyle. Niemniej byłem szczęśliwy, bo oto zapewniłem sobie dostęp do czterech ludzi, których chciałem poznać najbardziej na całym świecie. Nawet jeśli całe to przedsięwzięcie miałoby wziąć w łeb, ja i tak byłbym już szczęściarzem, który gościł w ich domach i

widział ich podczas pracy w studiu. Martwiłem się tylko, że ktoś dowie się o książce i zrobi szybszą wersję w oparciu o jakieś przelotne rozmowy albo wycinki z gazet, więc postanowiliśmy zgodnie, że zachowamy całą sprawę w tajemnicy. Wstyd mi się do tego przyznać, ale trochę się martwiłem, że być może jest trochę prawdy w powszechnym poczuciu, które podzielało tak wiele osób w 1966 roku, że bańka kiedyś musi pęknąć. Lubiłem muzykę Beatlesów, ale przez te dwa lata świat mógł przecież przerzucić się na coś zupełne innego. To by tłumaczyło, dlaczego nikt wcześniej nie podjął się podobnego zadania. Nie chciałem, żeby wyszła z tego lipa, która się nie sprzeda, a ja będę się musiał wstydzić, że wziąłem zaliczkę. Co do mojej rozpoczętej książki *Class of ’66*, postanowiliśmy odłożyć ją na później. Zawsze będzie można zmienić tytuł na *Class of ’67*.

* * *

7 stycznia 1967 roku, czyli w moje trzydzieste pierwsze urodziny, zacząłem pracę od rozmowy z Ringo. Pomyślałem, że z nim pójdzie mi najłatwiej. Jak to bywa z biografiami, zwłaszcza osób żyjących, zawsze istnieje ryzyko, że popadnie się w niełaskę albo że dwie osoby nie polubią się od początku, zanim jeszcze cały proces się rozpocznie. Ringo zawsze wydawał mi się bardzo sympatyczny. Jako fan takie właśnie miałem wrażenie. Tego samego dnia odebrałem w redakcji „The Sunday Times” dziwny telefon. Nadal pracowałem jako redaktor rubryki *Atticus*, ponieważ książkę o Beatlesach planowałem pisać wieczorami i w weekendy – tak jak moje poprzednie książki. Po drugiej stronie słuchawki właścicielka dość dziwnego głosu przedstawiła się jako Yoko Ono. Powiedziała, że z tego, co słyszała, jestem najlepszym felietonistą w Londynie (lizus, lizus) i że chciałaby mnie w związku z tym zaprosić do udziału w swoim filmie, w którym miałbym pokazać gołe siedzenie. „Bez jaj – powiedziałem. – Kto to?”. Przypuszczałem, że jakiś pijany dziennikarz z „Observera” próbuje mnie wkręcić.

„Nie, nie, skądże – odparła – to bardzo poważna oferta” i zaczęła wymieniać listę filmów, które do tej pory zrobiła. Wszystkie tytuły brzmiały równie głupkowato. Podała mi adres planu filmowego i nalegała, żebym przyszedł. Powiedziałem, że może będę, ale niczego nie obiecuję. Tak czy inaczej, jeśli chodzi o obnażenie siedzenia, muszę porozmawiać z moim agentem. Poszedłem, ponieważ historia wydawała się idealna do mojej rubryki, choć część mnie ciągle podejrzewała podstęp. Jak można się było spodziewać, na miejscu, czyli w eleganckim mieszkaniu przy Park Lane, zastałem kolejkę mężczyzn czekających, by wejść na obrotową scenę, niczym na karuzelę, podczas gdy Yoko filmowała ich po kolei opuszczających spodnie. Zacząłem rozmawiać z dość rozkojarzonym Amerykaninem, niejakim Anthonym Coxem, który okazał się mężem Yoko, i z rozmowy wywnioskowałem, że to on finansuje cały projekt, ponieważ ona jest bez grosza. Wyglądał tak elegancko – typowy Amerykanin z Ivy League[12] – że aż trudno mi było uwierzyć, że dał się namówić na całą tę bzdurę. Im więcej mi opowiadał, tym bardziej wychodziło na to, że ona faktycznie chce przez to powiedzieć coś ważnego. Niestety nie pamiętam, co to było.

Yoko próbowała mnie namówić na zdjęcie spodni. Przeprosiłem i grzecznie wyszedłem, wzorem wszystkich najlepszych dziennikarzy od zarania dziejów. Powiedziałem, że nie mógłbym pisać obiektywnie o filmie, w którym sam występuję. Poczyniłem artykulik na ten temat w wydaniu z 12 lutego 1967 roku. Miałem nadzieję, że za bardzo się z niej nie natrząsam, choć obawiałem się, że może poczuć się urażona doborem tytułu: *Oh, no, Ono*. Tymczasem okazało się, że właśnie tego chciała – reklamy. Nawet do mnie zadzwoniła z podziękowaniami.

Nigdy więcej jej nie spotkałem, aż do momentu, gdy pojawiłem się w studiu przy Abbey Road pewnego wieczoru w 1968 roku. Ujrzałem ją,

siedzącą w pozycji kwiatu lotosu, obok John wpatrywał się w nią z uwielbieniem, a pozostali Beatlesi wyglądali na zupełnie skołowanych.

Odbyłem pierwsze, szybkie spotkanie z Ringo i z pozostałą trójką. Nie były to bynajmniej wywiady. Chciałem się tylko przywitać, przedstawić, wyjaśnić koncepcję książki i zdobyć listę dawnych przyjaciół, nauczycieli, sąsiadów, no i przede wszystkim dostęp do rodziców. Wiedziałem, że będzie mi to potrzebne, by utorować sobie drogę do samych Beatlesów. Postanowiłem, że przez pierwsze pół roku pracy w ogóle nie będę rozmawiał z Beatlesami. Czułem podskórnie, że na pewno mają dość tych samych durnych pytań ludzi, którzy swoją wiedzę czerpią jedynie z gazet. Ja chciałem wybrać się w podróż w przeszłość, a potem iść powoli, krok po kroku przez ich karierę, tak by za każdym razem przychodzić do nich z nowymi wiadomościami i obserwacjami na temat tych wszystkich miejsc i ludzi, których mijali gdzieś po drodze. Pomyślałem, że w ten sposób będę im się jawił jako miły gość. No, chyba że sukces i sodówka tak bardzo uderzyły im do głowy, że mieli w nosie swoje korzenie.

Tak więc nasze pierwsze rozmowy były bardzo krótkie, pospieszne, prowadzone głównie w studiu przy Abbey Road przed rozpoczęciem sesji. Na starcie musiałem zachować czujność, żeby nie nadużyć ich gościnności, pamiętając, że panowie zawsze odmawiają, gdy ktoś obcy chce ich oglądać podczas pracy.

John musiał mnie słuchać uważnie podczas tego wstępnego przelotnego spotkania, gdy opowiadałem, kim jestem, skąd się wziąłem i czym się zajmuję. Jakiś czas później dostałem od niego list, zaadresowany w następujący sposób: „White Hunter[13] Davies, William Heinemann Ltd, 15 Queen Street, Londyn, W1”. Niezły żart. W środku był wycinek prasowy, bez widocznej daty. Wyglądało na to, że jakaś miejscowa gazeta z Liverpoolu donosi, iż zespół o nazwie The Beatles zadebiutował w Neston Institute. Dopiero niedawno udało mi się w końcu ustalić datę tej

informacji, po długich poszukiwaniach w Liverpoolu i kwerendzie w czytelni czasopism w British Library. Ukazała się ona 11 czerwca 1960 roku (w dniu mojego ślubu) w lokalnym dodatku do „Birkenhead News” z Heswall i Neston. Wychodzi na to, że to w tym miejscu słowo „Beatles” pojawiło się drukiem po raz pierwszy. (Wydawane w Liverpoolu czasopismo muzyczne „Mersey Beat”, które pisało o nich bez przerwy, pojawiło się na rynku dopiero rok później, czyli w czerwcu 1961 roku).

To ciekawe, że gazeta nazwała ich „The Beatles”, skoro zaledwie dwa tygodnie wcześniej, 27 maja w „Hoylake News and Advertiser” byli jeszcze „The Silver Beatles”. Na nazwę, którą wszyscy znamy, zdecydowali się ostatecznie dopiero pod koniec roku 1961. Z tego wycinka możemy dowiedzieć się, że John pozostał przy własnym nazwisku, Paul przeistoczył się w Paula Ramona – przybierając maskę gwiazdy Hollywoodu z lat dwudziestych. George pojawia się jako Carl Harrison – w hołdzie dla swego idola Carla Perkinsa, a Stu Sutcliffe został Stu de Stijl, niczym kierunek w sztuce. Natomiast Thomas Moore – ówczesny perkusista – też brzmi jak pseudonim artystyczny, ale okazuje się, że gość faktycznie tak się nazywał.

Mimo że John zawsze sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie obchodziła go historia The Beatles, domyśliłem się od razu, że to tylko pozory, ponieważ to właśnie on przez te wszystkie lata nie wyrzucił tego skrawka gazety i na pewno był to wówczas dla niego wielce ekscytujący moment. Z tyłu koperty, w której przesłał mi ten wycinek, napisał: „TAKI Z NIEGO JAKE JAK Z KOZIEJ DUPY TRĄBA”. Musiałem mu się podczas tego spotkania zwierzać z dość osobistych spraw, na przykład że niedawno urodził mi się syn, chociaż przez te niedowidzące oczy schowane za grubymi szkłami korekcyjnymi i nieobecne, zamyślone spojrzenie, wydawało mi się pewnie, że wcale mnie nie słucha. Najwyraźniej uznał, że taki prosty chłopak z Północy nie powinien nadawać swoim dzieciom takich ciotowatych imion. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o istnieniu Juliana

(ponieważ jego żona i syn byli wówczas sprawą bardzo prywatną). Później naturalnie przy każdej okazji komentowałem, że Julian to wyjątkowo drobnomieszczańskie imię, strasznie afektowane, a właściwie to ciotowate.
Spotkania z rodzicami były zdecydowanie najdziwniejszą częścią zbierania materiału do książki. Chciałem im poświęcić sporo miejsca – im oraz ich reakcji na sukces synów. Zgromadziłem sto stron notatek. Ostatecznie starczyło mi miejsca, żeby tylko w kilku akapitach streścić, jakie były dalsze losy rodziców (Rozdział 28). Sława synów zupełnie ich zaskoczyła, a niedawny nagły przeskok z robotniczych mieszkań do luksusowych domów na podmiejskich osiedlach był dla nich jeszcze większym szokiem. Inaczej było tylko w przypadku Mimi – ciotki Johna, która zawsze deklarowała, że należy do klasy średniej. W przeciwieństwie do pozostałych trzech par ona i jej mąż posiadali dom na własność. Fakt, że był to skromny bliźniak przy ruchliwej ulicy, ani bogaty, ani w dobrej dzielnicy, nie przeszkadzał Mimi, która zawsze miała większe ambicje i była bardzo niezadowolona, że John brata się z pospólstwem. Niemniej nawet ona odczuła swego rodzaju szok kulturowy, emocjonalny i społeczny. I nie chodziło tylko o to, że chłopcy stali się sławnymi postaciami i milionerami. Również ich rodzice zostali teraz osobami publicznymi, a wszyscy traktowali ich jak milionerów. Każde z nich zareagowało na to w inny sposób.

Mama Ringo, Elsie, oraz jego ojczym, Harry, byli tym wszystkim najbardziej zdumieni – właściwie prawie przerażeni, niczym małe króliczki, które namierzył reflektor sławy. Właśnie przeprowadzili się do nowego, luksusowego domu parterowego i czuli się zupełnie odizolowani od świata. Nikogo nie znali i nie wiedzieli, co ze sobą począć. Nie chciałem, żeby ich obraz w książce wyszedł aż tak żałośnie, ale tak naprawdę to było mi ich żal. Zostali zmuszeni do wyprowadzki ze swojego starego szeregowca w Dingle, ponieważ życie tam stało się nieznośne. Wyjaśniłem im przez telefon, czym się zajmuję i że dostałem zgodę na kontakt z nimi. Siedząc w

nowym salonie, który ciągle pachniał nowością i farbą, wyczuwałem ich zdenerwowanie. Jakby bali się, że powiedzą coś nie tak. Zadzwoniłem więc do Ringo i poprosiłem, żeby z nimi porozmawiał. Dopiero wtedy się rozluźnili.

„Mieliśmy już tego wszystkiego naprawdę dość – opowiadała Elsie – gdy zaczęli kraść skrzynkę na listy, obskubywać po kawałku drzwi wejściowe i zabierać kamienie z podwórka. Pewnego wieczoru wracamy do domu, a tam na drzwiach i na każdym oknie namalowane »Kochamy cię, Ringo«. Większość z nich to były fajne dzieciaki. Kupowali płyty, więc coś im się należało. Prosili o jego stare skarpetki albo koszule czy buty. Rozdawałam, aż nie zostało nic. Gdy Ritchie akurat był w domu, mógł wyjść tylko po kryjomu nocą. Gdy o niego wypytywali, kucał, a ja mówiłam, że go nie ma. No więc w końcu musieliśmy się tu przeprowadzić”.

Z drugiej strony Louise Harrison, mama George’a, mieszkała w swoim nowiuteńkim domu niesamowicie szczęśliwa. Od samego początku z radością powitała w swoim życiu fanów i całe to zamieszanie. Lubiła z nimi rozmawiać, otwierać festyny, rozdawać autografy, wygłaszać małe przemówienia. Z bycia mamą Beatlesa uczyniła pełnoetatową pracę. Gdy spotkałem ją po raz pierwszy, na początku 1967 roku, akurat znowu gruchnęła plotka, że Beatlesi się rozstają (zazwyczaj plotkowano właśnie o tym lub że Paul nie żyje). Żeby ogarnąć pocztę przychodzącą w tych doniosłych chwilach, pani Harrison przygotowała pisane na maszynie odpowiedzi, które rozsyłała fanom. Dzięki temu, że była mamą George’a, otworzyła w Liverpoolu sklep, a nawet poznała kilka miejscowych gwiazd, jak Ken Dodd czy Jimmy Tarbuck. Razem z mężem zostali ostatnio zaproszeni na pogrzeb wokalisty jednego z liverpoolskich zespołów, mimo że zupełnie go nie znali. Pani Harrison poczuła się w obowiązku, żeby się pojawić i reprezentować George’a.

Louise była jedyną spośród wszystkich rodziców, która aktywnie wspierała ich działania od samego początku i sama została swego rodzaju *groupie*, chodząc na większość ich wczesnych koncertów. W 1967 roku nadal uwielbiała o nich rozmawiać. W końcu miała to wszystko jeszcze świeżo w pamięci. „Kiedy nagrali *Love Me Do* – swój pierwszy singiel, George powiedział mi, że może puszczą go w Radiu Luxemburg. Nie spaliśmy do drugiej w nocy, przyklejeni do odbiornika radiowego, ale nic się nie działo. Harold [mąż] poszedł do łóżka, bo o piątej musiał wstać na pierwszą zmianę, był kierowcą autobusu. W końcu i ja poszłam spać. Byłam właśnie w łazience, gdy George z impetem wbiegł na górę z radiem pod pachą, krzycząc: »Grają, grają!«. Harold obudził się i rzucił: »Kto tu przywlókł ten cholerny odbiornik?«”.

Pani Harrison, która lepiej pamięta wczesne występy Beatlesów niż oni sami, wykazała się nieocenioną pomocą przy ustalaniu chronologii zdarzeń. Oni w kwestii dat byli zupełnie do niczego, nawet jeśli chodziło o daty roczne. „Byłam na czterdziestu ośmiu koncertach, odkąd zostali Beatlesami. Manchester, Preston, Southport, cała północ kraju. Zawsze siadałam w pierwszych rzędach. Raz w Manchesterze ich występ miał być rejestrowany przez telewizję. Jak zawsze kupiłam bilety, i to na oba koncerty, jeden po drugim. George powiedział, że oszalałam i że w życiu tego nie wytrzymam, bo będą musieli grać bardzo głośno ze względu na filmowców. Pierwszego koncertu wysłuchałam bez problemu, ale na początku drugiego piski tak mnie ogłuszyły, że prawie zemdlałam i musiałam poprosić policjanta, żeby pomógł mi wyjść. Nie mógł uwierzyć, kiedy przyznałam, że byłam też na pierwszym występie…

Po raz pierwszy George pomógł nam w roku 1963. Powiedział, że kupił dla mnie prezent na urodziny, ale nie mogę go ani zobaczyć, ani dotknąć. Miałam się tylko przygotować, bo w środę lecę na Jamajkę. Powiedziałam, że będą mi potrzebne nowe ubrania. Odparł, że przyda mi się jedynie kostium. Te wakacje w Montego Bay były najlepszymi w moim życiu.

Pewnego dnia przysiadł się do mnie na plaży pewien gość i przywitał się, mówiąc: »Dzień dobry, pani Harrison«. »Skąd pan wie, że to ja?«, spytałam. W hotelu powiedzieli mu, w co byłam ubrana, gdy wychodziłam. To był dziennikarz. Obudziłam Harolda, mówiąc, że jakiś dziennikarz notuje jego chrapanie. Zasugerowałam, że jestem zbyt spragniona, by udzielić mu wywiadu, i że chętnie bym się napiła. Posłał gdzieś swojego fotografa Japończyka, a ten wrócił z ośmioma butelkami piwa. Wieczorem zabrał nas na rundkę po barach. Świetnie się bawiliśmy.

Wydaje mi się, że najbardziej dumni byliśmy z George'a podczas spotkania z władzami miejskimi Liverpoolu. Przyszło tylu mieszkańców. Z lotniska w Speke do samego miasta po obu stronach ulicy ciągnął się tłum o grubości ośmiu osób. Trzeba było widzieć tych wszystkich staruszków machających do nas śnieżnobiałymi chusteczkami. Wyszli ze swoich domów spokojnej starości, może pierwszy raz. Boże, co to był za dzień". W tamtym czasie George dopiero zaczął interesować się muzyką hinduską, a pani Harrison w dość specyficzny sposób upatruje w tym swego udziału. „Zawsze bawiłam się radiem, żeby złapać muzykę hinduską. Raz na nią trafiłam przez przypadek i bardzo mi się spodobała, więc potem już zupełnie świadomie jej szukałam. Nie mówię, że to wywarło wpływ na George'a. To było jeszcze zanim się urodził…".

Jim McCartney, ojciec Paula, równie bezboleśnie przerzucił się na nowy styl życia, choć na trochę innych zasadach, ponieważ próbował trzymać się z dala od świateł jupiterów. W odróżnieniu od pozostałych Jim zamiast domu typu bungalow kupił starą edwardiańską willę, elegancką i okazałą, a sam stał się niejako dżentelmenem w swych szykownych marynarkach sportowych i spodniach w kratkę; do tego posiadał konia wyścigowego i uprawiał winorośl. Oczywiście już wcześniej jako przedstawiciel handlowy nosił się schludnie i dbał o prezencję.

Jim zorientował się, że chłopcy są popularni, gdy jego telefon zaczął dzwonić bez przerwy. Mimo mieszkania w domu czynszowym, zawsze

mieli telefon, ponieważ jego żona była akuszerką. „Dzwonił dosłownie co sekundę. Odbierałem na wypadek, gdyby to jednak było coś ważnego. Dzwoniły dziewczęta z Kalifornii z prośbą o rozmowę z Paulem. Co za marnotrawstwo pieniędzy. Gdy przybywały do nas z dalekich stron, zapraszałem je do środka na herbatę, po czym wskazywałem im drogę do kuchni. Wchodziły i zaczynały piszczeć, bo rozpoznawały to miejsce ze zdjęć. Wiedziały o mnie więcej niż ja sam. Fani byliby świetnymi detektywami. Zastanawiałem się nieraz, jak długo to potrwa. Wszystkie gazety podawały codziennie, że policja znowu musiała interweniować, bo dzieciaki oszalały. A cała ta promocja za darmo, Brian nie wydał ani centa. Wydaje mi się, że młodzi ich tak lubili, bo chłopcy reprezentowali ich punkt widzenia, reprezentowali wolność i bunt. A ponieważ uwielbiali to robić, robili to dobrze”.

Kilka razy gościłem w domu Jima i jego nowej żony, Angie, i zawsze były to bardzo przyjemne wieczorne wizyty. Gdy przyjeżdżał do Londynu, dzwonił do mnie i wpadał na herbatę. Pewnego wieczoru, gdy byliśmy razem w Cheshire, Paul przysłał nam pierwszy egzemplarz *When I’m Sixty-Four* z informacją, że napisał to dla taty. Tego wieczoru Jim i Angie puścili ten kawałek chyba ze dwadzieścia razy, tańcząc po całym salonie. Byłem pewien, że Jim zaraz zejdzie na zawał. A Angie, znacznie młodsza od niego, jeszcze go zachęcała do wygłupów.

Michael, młodszy brat Paula, mieszkał wówczas z rodzicami i opowiedział mi historię o wrodzonym takcie Paula, ujawniającym się już od najmłodszych lat. „Byłem z nimi w Paryżu, gdy George Martin zorganizował im sesję nagraniową, podczas której mieli zaśpiewać *She Loves You* po niemiecku. Czekał na nich w studiu dwie godziny, a ich nie było i nie było. W końcu przyjechał do hotelu Jerzy V, w którym się zatrzymaliśmy, a na jego widok cała czwórka dała nura pod stół. »Idziecie to nagrać czy nie?«, spytał. John powiedział, że nie. Potem potwierdzili to George i Ringo. Tylko Paul się nie odezwał. Wszyscy wrócili do obiadu, a

po chwili Paul nagle zwrócił się do Johna i mówi: »Hej, kojarzysz ten wers jakiś tam? Może zrobilibyśmy go tak?«. John wysłuchał pomysłu Paula i po chwili zastanowienia powiedział: »Jasne, o to chodziło«. To był prawdziwy powód, dla którego nie stawili się na nagranie. Bez wszczynania kłótni Paul sprytnie powrócił do tematu i wszystko się wyjaśniło. Po chwili wszyscy weszli do studia".

Mimi jako jedyna wyjechała z okolic Liverpoolu i przeprowadziła się na południe do nowego parterowego domu w pobliżu Bournemouth. I ona uznała, że jej liverpoolskie życie zostało zdominowane przez fanów, chociaż zawsze starała się być dla nich miła i na ich prośbę wynajdywała stare przedmioty należące do Johna. „Pewnego dnia nie mogłam już znaleźć niczego. »Nie ma nawet guzika?«, spytała mnie jakaś dziewczyna. Tak się składa, że miałam taki zwyczaj, że przed wyrzuceniem starych ubrań zawsze odcinałam guziki. Wyjęłam więc wielką puszkę, w której zbierałam je przez te wszystkie lata, i dałam jej guzik. Rzuciła mi się na szyję i wycałowała. Powiedziała, że nigdy nie zapomni, co dla niej zrobiłam. Później napisała, że nosi ten guzik na złotym łańcuszku, a wszystkie dziewczyny w fabryce jej zazdroszczą".

W efekcie oczywiście wszystkie jej koleżanki napisały do Mimi listy z prośbą o guziki Johna, a następnie, gdy wieść się rozniosła, zaczęli pisać fani z całego świata. „Wysyłałam te guziki do każdego zakątka na ziemi. Stany, Czechosłowacja, wszędzie". Skończyło się jednak dużym zawodem, gdy dwie fanki włamały się do jej domu, gdy leżała chora. Nie zamknęła drzwi od podwórka, żeby lekarz mógł wejść bez problemu, a gdy usłyszała hałas na dole, pomyślała, że to włamanie. Cichutko zeszła na dół i zastała tam dwie dziewczyny, wyłożone na jej nowiuteńkiej kanapie, a wokoło pełno papierków po cukierkach. Kazała im się wynosić, wściekła, że weszły bez pozwolenia, traktując jej dom jak dobro publiczne. Wyszły, ale po drodze ukradły klucz do drzwi od podwórka. Mimi usiadła i się rozpłakała. „Dalej siedziałam taka [zapłakana], gdy przyjechał dostawca z piekarni. Był

tak miły, że zadzwonił do jakiegoś swojego znajomego zakładu, więc przyjechali wymienić mi zamek i dali nowy klucz. To był dostawca ze Scott's. Jedna z najmilszych rzeczy, jakie ktoś dla mnie zrobił". Wkrótce potem Mimi opuściła Liverpool na zawsze.

Niesamowite, gdy człowiek sobie uświadomi, że tak wiele z tych pamiątek po Beatlesach pojawia się teraz po latach w londyńskim domu aukcyjnym Sotheby's i sprzedają się za bajońskie sumy, a następnie zdobią salę bilardową czy bar jakiegoś japońskiego milionera. Rozmowy z Mimi bardzo mi pomogły, choć wiele spośród jej historii na temat dzieciństwa Johna zdawało się stać w sprzeczności do jego opowieści i relacji jego szkolnych kolegów. W jej przekonaniu John odebrał doskonałe wychowanie typowe dla klasy średniej. Owszem, bywał czasem niegrzeczny, ale to były raczej wygłupy i żarty w stylu bohatera serii *Just William*, nic poważnego czy złośliwego, a już na pewno nic nielegalnego. Zupełnie nie rozumiała, skąd biorą się takie plotki. Jej własne opowieści dotyczyły głównie wczesnego dzieciństwa Johna, zupełnie jakby na resztę spuściła zasłonę milczenia, nie chcąc, by jej John dorastał, lecz na zawsze pozostał słodkim i niewinnym chłopcem – przynajmniej w jej głowie.

Mimo że wzięła udział w triumfalnym koncercie Beatlesów w Boże Narodzenie 1963 roku – pierwszym liverpoolskim występie od czasu wielkiego sukcesu ich singla – jej myśli nadal uciekały do okresu, gdy John był małym chłopcem. Stała z tyłu i zdecydowanie odmówiła zajęcia miejsca w pierwszym rzędzie. „To było w Liverpool Empire. Przyglądałam się Johnowi na scenie, ale widziałam tam jedynie małego chłopca. Zawsze go zabierałam do Empire w okolicach Bożego Narodzenia, taki coroczny prezent. Pamiętam, jak oglądaliśmy tam razem *Kota w butach*. Padał śnieg i w teatrze John siedział w wielkich kozakach. Gdy pojawił się na scenie Kot w butach, John wstał i krzyknął: » Mimi, on też jest w kozakach, tak jak ja!«. Jego głosik rozniósł się po całej sali, przyciągając spojrzenia i wywołując uśmiechy. Oczywiście, że byłam z niego dumna, jak grali na tej

scenie w Empire. Wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, jak silnie działają na ludzi. Musiała przyjechać policja konna, żeby kontrolować tłum. Razem ze mną stała z tyłu Bessy Braddock. To wszystko było niesamowite. Ale przez cały czas nie mogłam odgonić od siebie myśli, że przecież on nie jest Beatlesem, tylko tym maluszkiem, który kiedyś siedział ze mną na widowni i krzyczał: »Mimi, on też jest w kozakach«”. To prawda. Jeśli spojrzeć na zdjęcia Johna z dzieciństwa – zwłaszcza na portrety z automatu do zdjęć – faktycznie wygląda jak słodki, niewinny chłopiec.

Jednym z problemów, które napotkałem podczas odkrywania wczesnej historii Beatlesów, było to, że dwoje rodziców już nie żyło. Julii, mamy Johna, nie było wśród nas już od dawna, podobnie jak mamy Paula. Wiedziałem, że biologiczny ojciec Ringo, który rozwiódł się z Elsie wiele lat wcześniej, nadal żyje. Podejrzewałem też, że Freddie Lennon, czy też „Alfred”, jak nazywała go część rodziny od strony Mimi, też się kręci gdzieś po świecie, bo nigdzie nie natrafiłem na informację o jego śmierci. Przez wszystkie lata szkolne Johna Mimi obawiała się, że Alfred zjawi się pewnego dnia. Skontaktowałem się ze wszystkimi armatorami, a także hotelami, gdzie rzekomo miał pracować na zmywaku, ale nie udało mi się niczego ustalić.

Więcej szczęścia miałem, tropiąc ojca Ringo, noszącego to samo co syn imię: Richard, zdrobniale Ritchie. W pierwszym liście chyba go obraziłem, przekręcając jego nazwisko. Oj, niełądnie. Nigdy nie byłem mistrzem ortografii. Zwróciłem się do niego per panie Starkie, zamiast panie Starkey. Każdy fan Beatlesów to wie. Skarcił mnie lekko w odpowiedzi, ale wyraził chęć rozmowy. Mieszkał wówczas w Crewe i pracował dorywczo przy myciu okien. Nie miał mi za wiele do powiedzenia, ale podziwiałem go za to, że po rozwodzie trzymał się z dala od Ringo i nawet teraz, gdy jego syn jest sławny, nie próbuje się na tym dorobić i nie utrzymuje kontaktu z Ringo i byłą żoną.

Oprócz rozmów z rodzicami spędziłem też sporo czasu w okolicach Liverpoolu, tropiąc dawnych kolegów ze szkoły, nauczycieli i ludzi, którzy kiedyś grali z nimi w The Quarrymen. Chodziłem do klubu The Cavern, który w roku 1967 nadal miał się świetnie, choć powrócił do pierwotnego, jazzowego profilu. Spotykałem się tam z takimi osobami jak Bob Wooler czy Alan Williams. Kupowałem stare wydania „Mersey Beat", zbierałem stare plakaty i programy, gdzie się tylko dało. John odgrzebał gdzieś i dał mi program z występu, w którym brali udział jako suport dla Little Richarda. Na pierwszej stronie John miał jego autograf, jak przystało na fana, oraz jego adres w Stanach, gdyby kiedyś sam poleciał do Ameryki. Gdy go zapisywał, wydawało się to dość mało prawdopodobne.

Najważniejszym liverpoolskim wywiadem, który najbardziej zapadł mi w pamięć, była rozmowa z Pete'em Bestem. Pete był perkusistą The Beatles, który wyleciał z zespołu 16 sierpnia 1962 roku (Rozdział 17). Pięć lat później był już żonaty i pracował w piekarni. Ignorował wszystkie moje wiadomości i propozycje spotkania. W końcu udało mi się porozmawiać z jego mamą – Mo Best – która tak bardzo pomogła Beatlesom w trudnych początkach kariery, pozwalając im grać w swoim niewielkim klubie o nazwie Casbah. Spotkaliśmy się w Hayman's Green, w wielkim wiktoriańskim domu porośniętym bluszczem, w którego piwnicach kiedyś mieścił się Casbah. Pukałem przez piętnaście minut i zacząłem już myśleć, że dom jest opuszczony, ale w końcu drzwi się otworzyły. To, że pracowałem nad „autoryzowaną biografią", w tym przypadku nie przemawiało raczej na moją korzyść. Nadal była wściekła na to, jak potraktowano Pete'a, i musiałem się nieźle natrudzić, żeby ją przekonać, że ja po prostu szukam prawdy i pragnę wysłuchać obu stron. Obiecała, że przekaże to Peterowi, ale ostrzegła, że syn nie chce rozmawiać na temat Beatlesów z nikim. W końcu spuściła z tonu i opowiedziała mi o swoich doświadczeniach z Beatlesami i o historii Casbahu. Wszystkie te informacje wykorzystałem w książce.

Nie byłem świadom, że podczas naszej rozmowy w domu pojawił się Peter, który przyszedł odwiedzić matkę. Siedział sam w pokoju obok i nie chciał wyjść, by ze mną porozmawiać. Poprosiłem panią Best, żeby zawołała młodszego syna Roaga i spytała go, czy zgodzi się na rozmowę i pomoc przy ustaleniu pewnych dat związanych z Hamburgiem. W końcu powiedziała: „Dobra, niech pan idzie za mną. Zaprowadzę pana do Pete'a, nie będzie tak źle". Spędziłem z nim dużo czasu, choć w książce wykorzystałem tylko część jego opowieści. Na mój widok Pete wstał i wymusił zmęczony uśmiech, tak jakby akceptował tę zasadzkę, w którą wpędziła go matka. Widać było, że jest skrępowany i zmęczony. Głowę odchylał nieśmiało na bok, jakby się garbił czy coś. Sprawiał wrażenie człowieka smutnego, wręcz żałosnego. Mówił powoli i ściszonym głosem. Wychodziło z niego zmęczenie po długiej zmianie w piekarni. W jego sposobie mówienia dało się wyczuć jeszcze dużą dawkę dumy.

Opowiadał mi o Hamburgu i wcześniejszym okresie, rozchmurzając się przy co śmieszniejszych historiach, na przykład wspominając, jak John paradował po ulicy w kalesonach. „Chyba w dużej mierze odpuściłem już to wszystko. Zajęło mi to sporo czasu. Musiałem się przyzwyczaić do życia w świetle fleszy fotoreporterów. Odrzuciłem liczne propozycje, żebym sprzedał swoje wspomnienia. Nie chciałem. Co dobrego by z tego przyszło poza pieniędzmi? I tak było już po wszystkim, koniec kropka. Dwa razy upadłem nisko, naprawdę nisko i nie wiedziałem, co począć z życiem. Kitty, moja żona, powiedziała: bądź mężczyzną, wróć i spróbuj raz jeszcze. Mo też bardzo się starała. Zawsze chciała, żebym odniósł sukces w show-biznesie. Wspierała mnie we wszystkim, ale koniec końców to była moja walka.

Rozstanie z show-biznesem nie było takie złe. Nie miałem do czynienia z innymi zespołami, które mogłyby powiedzieć, że jestem kiepski. Na początku ciężko było się przyzwyczaić do normalnej pracy. Byli tacy,

którzy mówili, że powinienem był trzymać się show-biznesu. W pracy gapili się na mnie i zastanawiali, co robię wśród nich.

Gdy idę do pubu, ludzie nadal podchodzą i pytają, czy nie jestem przypadkiem tym a tym z Beatlesów. Wsiadają na mnie, zadając te same pytania. Nakręcają mnie. Wtykają nos w nie swoje sprawy, a ja tego nie lubię. Nikt tego nie lubi. Staram się nie komentować.

Nigdy nie czułem do nich nienawiści, nawet wtedy. Na początku faktycznie myślałem, że zachowali się podle, knując za moimi plecami i nie informując mnie o swojej decyzji osobiście. Potem mi przeszło. Chyba rozumiem, czemu tak się zachowali.

Bolała mnie świadomość, że kiedyś będą wielcy. Byłem tego pewien. Wszyscy byliśmy. Na nasze koncerty w Liverpoolu przychodziły tłumy, zawsze. Wiedziałem, że ominie mnie związana z tym zabawa.

Próbuję sobie przypomnieć jakieś kłótnie, ale nie mogę. Ostatnio odgrzebałem w głowie jeden incydent. Mniej więcej dwa miesiące przed tym całym zdarzeniem doszły do mnie plotki, że mam wylecieć. Spytałem Briana. Odparł, że o niczym nie słyszał, ale się dowie. Zbadał temat, jednak powiedział mi, że wszystko jest w porządku i nie mam się czym martwić.

Myślę, że może byłem za bardzo konformistyczny, może to o to chodziło. Albo o to, że nie chciałem zmienić fryzury na taką z grzywką. Coś takiego mogło być jednym z powodów.

Nie zdzierżyłbym myśli, że nie byłem wystarczająco dobry. To boli. Bo kto to jest dobry perkusista? Przecież chodzi po prostu o różne style gry, a nie o bycie dobrym. Jak można zmierzyć czyjeś umiejętności? Gdy wróciliśmy do Liverpoolu, mój styl był w modzie. Gdy inni zobaczyli, jak dobrze nam idzie, wszyscy perkusiści zaczęli naśladować moje żywiołowe granie.

Wiem, że mama uważa, iż mi zazdrościli, ale nie sądzę, że to o to chodziło. Mieliśmy fajne brzmienie jako zespół. To nie była robota jednego

człowieka. Moja technika pasowała im dość długo, a potem przestała – i tyle. Nigdy nie poznamy prawdziwych powodów.

Oczywiście, że ich wizerunek odbiegał od prawdy. Na scenie wyglądali jak aniołki w tych swoich marynarkach bez kołnierzyków, niczym chór chłopięcy. Ja wiem, że daleko im do aniołków. Musieli tak wyglądać, żeby przekonać do siebie mamusie i tatusiów.

Zawsze oglądam w telewizji wywiady z nimi. John wydaje się ciągle taki sam. A jednak zmienili się, dojrzeli. Są dużo bardziej przebiegli. Chociaż zupełnie nie rozumiem, skąd u nich to zainteresowanie religią. To ostatnia rzecz, której bym się po nich spodziewał".

Nie widział się i nie rozmawiał z Beatlesami od dnia rozstania, poza kilkoma słowami, które wymienił raz z Johnem niedługo potem, pewnego wieczoru, gdy grał z Lee Curtisem w The Cavern. John miał z Pete'em najlepszy kontakt z całej trójki. „Mógłbym przyjąć od nich pomoc. Gdybym ich spotkał i na przykład dobrze by się nam rozmawiało, a oni zupełnie spontanicznie powiedzieli: masz. Ale gdyby zaoferowali mi jakąś kwotę po prostu w ramach zapomogi, nie wziąłbym".

Po rozmowie z Pete'em Bestem, wszystkimi rodzicami i starymi znajomymi z Liverpoolu wróciłem do Londynu spotkać się z Beatlesami i poopowiadać im, czego dowiedziałem się podczas tych podróży. Słuchali mnie z dużym zainteresowaniem do czasu, gdy wypłynął temat Pete'a Besta. Jakby zupełnie się wyłączyli. Jakby nigdy nie był częścią ich życia. Nie zareagowali, gdy powiedziałem, że kroi chleb za osiemnaście funtów tygodniowo, choć Paul zrobił niewyraźną minę. John zadał mi jeszcze kilka pytań, a potem wrócili do piosenki, nad którą pracowali.

Wydaje mi się, że przypomniałem im, jak nieszczerze się zachowali, nie mówiąc Pete'owi w cztery oczy, że chcą się go pozbyć. Musieli też zdać sobie sprawę, że gdyby nie palec Boży czy Brian Epstein wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej i dziś też kroiliby chleb, zarabiając osiemnaście funtów na tydzień. Podczas późniejszego spotkania z Johnem u

niego w domu zmusiłem go, żeby przyznał, że mogli potraktować Pete’a trochę lepiej. „Zachowaliśmy się jak tchórze”, powiedział.

Pete zaimponował mi tym, że nigdy nie sprzedał swoich wspomnień. Mógł przecież bez problemu opowiedzieć o czasach hamburskich i ujawnić skandaliczne zachowanie Beatlesów z tamtego okresu. Przecież nie miał już nic do stracenia. Całkiem możliwe, że ich zachowanie takie właśnie było, bo w tamtym okresie Brian Epstein nadal usilnie próbował stworzyć im bardziej przyjazny wizerunek. Ostatecznie oczywiście John sam ujawnił prawdę, a może nawet więcej niż prawdę – o tamtych czasach, o życiu na *backstage*’u – i w ten sposób ubiegł rewelacje, które mogłyby pochodzić od Pete’a. Jakiś czas później Best napisał książkę. Mam nadzieję, że coś na niej zarobił. W końcu był Beatlesem w bardzo ważnym momencie, w przeciwieństwie do tych wszystkich chwilowych sekretarek i szoferów, którzy tłumnie rzucili się do wydawnictw, choć znali zespół tylko przez kilka tygodni i to po tym, jak prawdziwe czasy Beatlesów dawno minęły.

Hamburg okazał się wyjątkowo dużym wyzwaniem. Myślałem, że w życiu nie uda mi się dociec, co tam faktycznie się działo. Wspomnienia Beatlesów były wyjątkowo niespójne co do ilości wizyt, kolejności klubów, w których występowali, i chronologii towarzyszących temu wydarzeń. Z każdym z nich rozmawiałem na ten temat bardzo długo i zdałem sobie sprawę, że Hamburg był dla nich wyjątkowo istotnym etapem, że ukształtował ich jako zespół, rozwinął ich jako artystów i jako ludzi, dał nowe brzmienie, no i oczywiście nowy wygląd. Nikt wcześniej nie próbował pisać o tym ważnym etapie w ich życiu ani nie wybrał się tam z wizytą, by zbadać sprawę osobiście. Dopóki tam nie pojechałem, nie miałem pojęcia, do jakiego stopnia faszerowali się pigułkami, żeby nie zasnąć podczas dwunastogodzinnego grania. Nic dziwnego, że tak kiepsko szło im przywołanie w pamięci tamtych miejsc, dat i ludzi.

Udałem się do Hamburga w 1967 roku i odwiedziłem kluby, w których grywali, rozmawiając przy tym z każdym, kto mógł ich znać i pamiętać.

Dotarłem nawet do egzemplarza kontraktu na nagranie, który zawarli z Bert Kaempfert Production. Widniała na nim data 5 grudnia 1961 roku, co pomogło mi ustalić ostateczną chronologię zdarzeń. Przede wszystkim wywnioskowałem z tego kontraktu, że nie było już wtedy z nimi Stu Sutcliffe'a (to ten Beatles, który zmarł w Hamburgu w kwietniu 1962 roku). Paragraf czwarty sześciostronicowego kontraktu dawał im prawo do „odsłuchania nagrania zaraz po jego ukończeniu oraz do zgłaszania wszelkich uwag na miejscu". To była bardzo uczciwa umowa, jak na nieznany zespół akompaniujący przy zaledwie kilku szybkich nagraniach i to w roku 1961. W paragrafie siódmym czytamy, że „Pan John W. Lennon ma prawo podjąć wynagrodzenie jako reprezentant zespołu".

Uzbrojony w tego typu dokumenty oraz wiedzę po przestudiowaniu starych planów koncertowych różnych klubów uznałem, że Beatlesi odbyli trzy wyprawy do Hamburga. (John twierdził, że dwie, Paul, że cztery, a George nie był pewien). Cały czas czułem jednak, że może nie mam racji co do ich kolejności i po jakimś czasie ktoś wyskoczy z jakimś dowodem, że źle ulokowałem Beatlesów w takim czy innym miejscu. Jestem stale przygotowany, by przyznać się do błędu w przypadku niektórych hamburskich dat. Ale czy ma to jakieś znaczenie? Gdy pisałem tę książkę, nie martwiłem się aż tak bardzo, sądząc, że i tak nikt poza mną w życiu nie zada sobie trudu zbadania takich szczegółów. Od tego czasu oczywiście zastępy badaczy odwiedziły Hamburg, przeszukując stygnące popioły. Jednym z nich był dr Tony Waine z Uniwersytetu w Lancaster, który dogłębnie zbadał pobyt Beatlesów w Hamburgu, pisząc o tym dla różnych czasopism naukowych w Wielkiej Brytanii i Niemczech. Badacze Beatlesów nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

Najważniejszym elementem mojej wizyty w Hamburgu było spotkanie z Astrid Kirchherr. Jej wspomnienia z tamtego okresu okazały się niezwykle pomocne. Astrid była ponadto pierwszą z napotkanych przeze mnie osób z głębokimi i trafnymi przemyśleniami na temat ich osobowości

i talentu. Wraz z grupą przyjaciół ze studiów znalazła się wśród pierwszych intelektualistów, którzy pokochali The Beatles. Wcześniej przez wiele lat interesowały się nimi głównie ekspedientki i fryzjerki lub przyszli pośledni menedżerowie liczący na szybki zysk z załatwienia im kilku występów. Astrid podczas tych wspólnych lat 1960–1962 dostrzegła w nich coś innego, czego nikt wcześniej w nich nie widział, choć oczywiście to Stuart Sutcliffe imponował jej najbardziej i to z nim się zaręczyła.

Jej styl życia w 1967 roku mnie zszokował. Jej pokój, w domu, w którym nadal mieszkała z matką, wyglądał jak świątynia. Niczym panna Havisham z *Wielkich nadziei* pozostawiła go w stanie nietkniętym od czasu śmierci Stu. Wszystko było koloru czarnego – łóżko, fotele, meble – a jedyne źródło światła stanowiły świece. Było tam dziwnie i strasznie zarazem, choć ona sama pozostawała wyciszona i opanowana. Potrafiła mówić o Stu i Beatlesach bez patosu czy melodramatycznych wstawek. W 1963 roku, gdy rozpoczęła się Beatlemania, udzieliła kilku wywiadów do gazet – nie tylko niemieckich. „Byłam bardzo szczęśliwa, że tak dobrze im idzie, i chciałam im pomóc. Starałam się, żeby do prasy trafiały tylko prawdziwe informacje. Na początku gazety rozpisywały się o czterech obszarpańcach mieszkających w brudzie gdzieś na strychu w Liverpoolu. Chciałam, żeby wszyscy się dowiedzieli, jacy to inteligentni i utalentowani chłopcy. Chociaż ostatecznie nigdy nie wychodziło tak, jak mówiłam. W wywiadach ciągle pojawiały się te same pytania, na przykład: czy naprawdę jest pani autorką ich fryzur?”.

Dziś Astrid nie udziela już wywiadów. Odrzuciła też oferty podzielenia się ze światem swoją historią, choć niemieckie czasopisma proszą ją o to od niepamiętnych czasów. Nie zgodziła się też sprzedać za grube pieniądze taśmy, którą ma od lat, a którą podarował jej Stu. Na taśmie Stu, John i reszta występują w Art School w Liverpoolu (nagrali to na magnetofonie, do którego zakupu John namówił władze *College*’u, a który miał praktycznie na własny użytek). „Jedna z firm proponowała mi trzydzieści

tysięcy marek, ale odmówiłam. Na to oni: pięćdziesiąt tysięcy. Powiedziałam, że nie sprzedam im tego nawet za sto tysięcy ani w ogóle za żadne pieniądze. Chcieli tylko podpisać to jako The Beatles i zbić na tym majątek. Nic dobrego by z tego dla zespołu nie wyszło. Oni się na tej taśmie po prostu świetnie bawią, wygłupiają".

Astrid mówi, że nie zarobiła na zdjęciach Beatlesów ani grosza, nawet na tym, na którym cała piątka pozowała jej na stacji kolejowej w Hamburgu, choć zdjęcie to obiegło cały świat. Dała im je wraz z innymi na długo przed wybuchem ich popularności. Oni z kolei, gdy jeszcze nie byli sławni, ofiarowali je komuś, kto potem przekazał je jakiejś agencji. Jej fotografie nie tylko nabiły kabzę innym, wyznaczyły też styl, który kopiowało później wielu fotografów i wiele zespołów – częściowo zacienione ujęcia. „Problem w tym, że nie zachowałam negatywów, więc nawet nie mogę udowodnić, że są moje. Aha, raz dostałam jakieś pieniądze od Briana za stos zdjęć, które dałam kiedyś chłopakom. Zapłacił mi trzydzieści funtów". Dzięki temu, że fotografowała Beatlesów, zdobyła oczywiście mnóstwo zleceń. Jedno z największych czasopism na rynku niemieckim zleciło jej wykonanie sesji chłopaków, po tym jak odmówili współpracy z innymi fotografami. Warunkiem było, że weźmie ze sobą na sesję reportera z czasopisma w charakterze pomocnika. „John powiedział, że powinnam się zgodzić. Że choć raz mogłabym wreszcie na tym coś zarobić. Ten drugi fotograf wykonał kilka beznadziejnych ujęć, choć nie powinien był. W artykule wykorzystali tylko jego zdjęcia".

Gdy spotkałem się z Astrid w 1967 roku, nadal utrzymywała kontakt z Beatlesami, a John odwiedził ją nawet podczas kręcenia *Jak wygrałem wojnę*[14]. „John to oryginał. Nowe pomysły po prostu same wpadają mu do głowy. Paul też ma oryginalne koncepcje, ale on zasadniczo jest organizatorem. Umie robić rzeczy, których John nie potrafi albo nie ma ochoty próbować. Potrzebują i zarazem nie potrzebują siebie nawzajem.

Oba stwierdzenia są prawdziwe. Pod względem komponowania Paul jest równie utalentowany co John. Każdy z nich doskonale poradziłby sobie solo. Najbardziej niesamowite w nich jest to, że pracując razem, nie stali się jednym bytem, że nie wpłynęli na siebie za bardzo. Każdy z nich nadal jest inny, każdy jest sobą. Paul nadal robi słodkie melodie, jak na przykład *Michelle*. Muzyka Johna jest wyboista. Wspólna praca przez tyle lat nie zatarła tych różnic, co osobiście uważam za cud.

Na samym początku od czasu do czasu zastanawiałam się, czy oni w ogóle przejmują się uczuciami innych i dbają o przyjaźnie. Często zdarzało im się mówić publicznie bardzo przykre rzeczy: »Chciałbym, żeby Kraut sobie wreszcie poszedł« i tego typu komentarze. Potrafią być okrutni, kiedy kogoś nie lubią. Na przykład każą mu się wynosić i mówią: »Nie lubimy cię«. Ale to nie jest w sumie najgorsze. Gorzej jest udawać, że się kogoś lubi.

Po śmierci Stu byli przemili i kochani. Wtedy już wiedziałam, że nie są okrutni. Przekonałam się, że wiedzą, kiedy posuwają się za daleko, i wiedzą, kiedy przystopować".

Mimo że Astrid dała Beatlesom tak wiele, z czego doskonale sobie zdają sprawę, oni w pewnym sensie zrujnowali jej życie. Śmierć Stu była oczywiście ciągle świeżą raną w roku 1967, choć podczas naszego spotkania Astrid była młodą mężatką; poślubiła jednego z emigrantów z Liverpoolu. Rozczarowanie prasą niemiecką sprawiło, że w tamtym okresie zarzuciła karierę fotografa. Pracowała w barze, do którego zabrała mnie po naszej całodniowej rozmowie. Hamburg pełen jest dziwnych klubów i barów, ale to był pierwszy bar dla lesbijek, jaki dotychczas odwiedziłem. Wprowadziła mnie jako przyjaciela. Roiło się tam od prostytutek bawiących się wspólnie przed pójściem do pracy na ulicę. Astrid stała za barem, ale również tańczyła z klientkami, jeśli któraś ją o to prosiła. Za całą noc w pracy dostawała czterdzieści funtów tygodniowo, cały czas siedząc na fortunie w postaci pamiątek po Beatlesach.

Po powrocie do Londynu opowiedziałem o Astrid Paulowi, czym przywołałem u niego wspomnienia wspólnych radosnych przeżyć z Hamburga. Paul przyznał, że faktycznie potrafili być podli w stosunku do Stu. Sam był najpewniej zazdrosny o to, że John żywił dla Stu tak wielki podziw, co u Paula rodziło poczucie wykluczenia. „Ostatniego dnia byłem dla niego naprawdę okropny. My wyjeżdżaliśmy z Hamburga, a on zostawał z Astrid. Spojrzałem na niego na scenie podczas naszego ostatniego koncertu. Płakał. To była jedna z tych chwil, gdy nagle czujesz z kimś ogromną bliskość".

Chwilę mi zajęło, zanim zorientowałem się, że Brian Epstein jest gejem. Początkowo sądziłem, że to i tak nie ma znaczenia, ale powoli zaczęło docierać do mnie, że to istotny element jego charakteru i relacji z Beatlesami. Brian Epstein ich po prostu kochał. Gdy w końcu udało mi się spędzić z nim trochę czasu i namówić, by usiadł i wrócił pamięcią do tamtego wczesnego okresu, aż trudno było go zatrzymać. Dał mi kopie starych notatek służbowych pisanych na maszynie, w których upominał ich, jak się mają zachowywać na scenie – żadnego palenia i jedzenia. Przekazał mi też, również sporządzoną na maszynie, listę koncertów, na którą niestety nie starczyło mi miejsca w książce, chociaż eksperci od Beatlesów na pewno by się na jej widok ucieszyli. Po mojej powstały jeszcze całe masy publikacji opisujących, co dokładnie robili Beatlesi dzień po dniu w okresie Beatlemanii.

Jeszcze ciekawszym kąskiem był list z monogramem BE, który przesłał do George'a Martina przed pierwszą sesją nagraniową 6 czerwca 1962 roku, zawierający listę piosenek, które zespół mógłby wykonać. Dziś znowu patrzę na tę listę. Są tam utwory, o których w życiu nie słyszałem, jak *Pinwheel Twist*. Zastanawiam się, co się stało z tą kompozycją. Odnalazł też dla mnie pierwszą notatkę dla prasy na temat Beatlesów oraz notatkę służbową, którą rozesłał do swoich pracowników na okoliczność otwarcia pierwszego biura NEMS (firmy Briana) w Londynie. W notatce tej

aż roi się od wskazówek, jak mają się zachowywać i że mają być dla wszystkich uprzejmi. Cały Brian.

Podczas tych rozmów zbierałem wszystkie dokumenty, które wpadły mi w ręce, jak również broszurki i biuletyny fanklubowe, zarówno z Wielkiej Brytanii, jak i ze Stanów. Sam Brian miał niepotrzebne egzemplarze wielu z nich i mi je podarował. W tym początkowym okresie był szalenie skrupulatny i zorganizowany. Dopiero gdy poznałem go lepiej w roku 1967, zauważyłem, że w jego życiu panuje totalny chaos. Stale pogrążony był w depresji, łykał tony pigułek, miewał napady złości na pracowników i bliskich przyjaciół, a wściekał się o rzeczy zupełnie nieistotne. Potem zalewał się łzami i przepraszał bez końca. Miał na koncie dwie próby samobójcze, choć wówczas trzymano to jeszcze w tajemnicy.

Jeśli chodzi o sferę intymną, Brian nie był po prostu homoseksualistą. Był masochistą, który z premedytacją wybierał sobie heteroseksualnych chłopców, najczęściej marynarzy, sprowadzał ich do siebie i częstował alkoholem i narkotykami. Zazwyczaj kończyło się to tak, że on leżał pobity, a jego dobytek kradziono. Częstokroć były to materiały dotyczące Beatlesów. Następnie szantażowano go, co powodowało jeszcze głębszą depresję. Spędziłem z nim cały tydzień w jego wiejskiej posiadłości w Kingsley Hill w hrabstwie Sussex. W sobotę wieczorem bardzo przyjemnie gawędziliśmy przy kolacji, podczas której towarzyszyła nam znana wówczas gwiazda muzyki pop (dziś gwiazda ta jest jeszcze bardziej popularna, ale lepiej będzie, jak przemilczę jego nazwisko). Po posiłku panowie stwierdzili, że przydaliby im się jacyś chłopcy dla rozrywki, ale była już jedenasta w nocy i do tego sobota.

Brian wyciągnął coś, co wyglądało jak karta kredytowa, a było kartą członkowską organizacji, która zajmowała się załatwianiem chłopców na telefon. Wykręcił numer, podając swoje nazwisko i numer legitymacji. Nastąpiła dość długa dyskusja, z której mogłem wywnioskować, że osoba po drugiej stronie słuchawki twierdzi, że jest już za późno i mają komplet

rezerwacji, najlepsi chłopcy już poszli. Gdy Brian powiedział, że dzwoni z Sussex, nie z Londynu, głos odparł, że w takim wypadku to już zupełnie nie ma szans. Brian upierał się, że zapłaci za taksówki, a za usługę da podwójną stawkę, byle tylko przysłali kogoś, po czym odłożył słuchawkę.

Siedziałem z nimi i piłem do północy, aż w końcu poszedłem spać. Wydaje mi się, że była już czwarta nad ranem, gdy pojawił się ktoś z Londynu. Na drugi dzień śniadanie zjadłem w samotności, a około południa wyruszyłem do domu. Reszta nadal była w łóżku. Brian zgodził się, bym w książce napisał o jego homoseksualizmie, choć oczywiście nie miałem zamiaru zagłębiać się w szczegóły. Beatlesi też nie znali całej prawdy na temat tej sfery jego życia. Gdy poznałem Epsteina, miał już zresztą na nich znacznie mniejszy wpływ niż dawniej. Paul powoli przejmował stery, zakładając Apple i kontrolując takie rzeczy, jak okładka płyty *Sgt. Pepper*.

Wiedzieli, że był gejem – i tyle. To z Johnem odbyłem na ten temat rozmowę, ponieważ wykazywał spore zainteresowanie tematem, natomiast Paul wydawał się martwić tym faktem. Brian zdawał sobie z tego sprawę i zawsze był w stosunku do Paula wyjątkowo miły, obdarowując go najcenniejszymi prezentami. Od pracowników Briana dowiedziałem się, że zawsze najbardziej zależało mu właśnie na przychylności Paula i to na jego telefony odpowiadał najszybciej. John przyznał mi się, że spędził jedną szaloną noc z Brianem podczas wspólnych wakacji w Hiszpanii, na które Brian zaprosił go kilka dni po narodzinach Juliana w 1963 roku. Cynthia została w domu z dzieckiem. Wspomniałem o tych wakacjach w książce bardzo pobieżnie, ale pominąłem to, co rzekomo się tam wydarzyło. Częściowo dlatego, że nie do końca uwierzyłem Johnowi, choć faktycznie był na tyle szalony, żeby spróbować wszystkiego choć raz. John z pewnością nie był gejem, a ta przechwałka, czy też kłamstwo, zostawiłoby nieprzyjemny posmak. Poza tym byłoby to nie w porządku w stosunku do Cynthii, jego ówczesnej żony.

W roku 1967 nawet John nie miał z Brianem za wiele kontaktu. Gdy zacząłem sobie zdawać sprawę, jak bardzo tragiczne jest prywatne życie Briana, założyłem, że to częściowo wina Beatlesów, bo stopniowo pozbywają się go ze swojego życia, pozostawiając bez poczucia celu i prawdopodobnie przyczyniając się do pogłębienia jego depresji. Bardzo możliwe, że w zawoalowany sposób zasugerowałem to nawet na kartach tej książki. Dziś z perspektywy czasu upatrywałbym raczej winy w Brianie. Zignorowałem fakt, że zwolniono go ze służby wojskowej z przyczyn medycznych, a konkretnie emocjonalnych, na podstawie diagnozy psychiatry. Brian opowiedział mi o tym w formie żartu, zupełnie jakby w ten sposób sam wymigał się od wojska i tak też to opisałem (Rozdział 15). Dziś jest dla mnie jasne, że od samego początku powinien był zgłosić się po pomoc psychiatryczną. Gdy byłem w Liverpoolu, dobiegały mnie pogłoski o różnych incydentach, ale nigdy nie udało mi się ustalić żadnych szczegółów.

Można nawet zaryzykować tezę, że Beatlesi uratowali Briana przed nim samym, przedłużając mu życie przynajmniej o kolejnych sześć lat, podczas których rzucił się w wir ich kariery, wykorzystując dla ich dobra całą swą energię, talent i serce. W roku 1967 znowu był sam, a we własnym towarzystwie było mu bardzo ciężko żyć.

Z oficjalnego aktu zgonu, datowanego na wrzesień 1967 roku można się dowiedzieć, że było to przypadkowe przedawkowanie leków, w co wierzę, choć wiele osób podejmowało próby udowodnienia, że Epstein popełnił samobójstwo, a niektórzy nieodpowiedzialni dziennikarze sugerowali nawet morderstwo, ponieważ kilka faktów z dnia poprzedzającego jego śmierć do dziś nie zostało wyjaśnionych. Pod względem emocjonalnym to było samobójstwo, chociaż wydaje mi się, że nie wtedy i nie tak chciał to zrobić. Niemniej przeczuwam, że to właśnie by się stało – pewnie prędzej niż później.

Byłem z Beatlesami w Bangor w północnej Walii, gdy otrzymali wiadomość o śmierci Briana. Cały ten weekend był dość dziwny. Michael McCartney – brat Paula – zadzwonił do mnie poprzedniego wieczoru z wiadomością, że planują wyjazd gdzieś do Walii na spotkanie z gościem o imieniu Maharishi. Wszystko zaczęło się od George'a i jego zainteresowania Indiami – to on namówił pozostałych, żeby pojechali tam z nim. Michael kazał mi się stawić o konkretnej godzinie na stacji Euston na pociąg do Bangor. Było oczywiste, że zrobi się z tego happening. Pamiętacie jeszcze happeningi typowe dla lat sześćdziesiątych? Zdałem sobie sprawę, że to będzie ich pierwsza wspólna wyprawa w pełnym składzie od czasów tras koncertowych, więc przynajmniej miałem pewność, że szykuje się coś ciekawego.

Podróżowałem razem z nimi w przedziale. Był 25 sierpnia 1967 roku. Obok mnie czterech Beatlesów, Mick Jagger, Marianne Faithfull, a wszyscy ubrani jak „dzieci kwiaty". Bardzo ciekawy obrazek – Jagger i Lennon razem. Wyglądali, jakby się siebie nawzajem lekko obawiali, dało się zauważyć ostrożność, szacunek i znikomy kontakt. Wiedziałem z wcześniejszych rozmów z Johnem, że zazdrościł Jaggerowi. Bynajmniej nie jego muzyki czy sukcesów i sławy, ale wizerunku buntownika, który Jagger miał od samego początku, a który według Johna powinien być raczej jego udziałem. Próbowałem go przekonać, że to właśnie Beatlesi, którzy złamali przecież tyle reguł, utorowali drogę Stonesom i innym. W tamtym okresie John nadal miał żal do Briana za całą tę operację ugrzecznienia ich. W pewnym sensie wstydził się, że dał się na nią namówić, i dlatego pewnie później odbijał to sobie, wyrzucając co chwilę przeróżne brudy na swój temat i prezentując się z jak najgorszej strony.

W pociągu było wyjątkowo spokojnie i tylko po wizycie w przedziale u Maharishiego panowie radośnie komentowali, co każdy z nich usłyszał od guru, choć oczywiście traktowali to z dużą powagą. Cała ta podróż miała pozostać tajemnicą, dlatego zorganizowano ją na ostatnią chwilę, ale na

którymś etapie się wydało i na kolejnych mijanych stacjach zbierały się tłumy fanów. Zupełnie jak za czasów Beatlemanii. Gdy pociąg zatrzymywał się na stacji, fani szturmem podbiegali do drzwi i okien i podawali swoje książeczki na autografy – to dopiero żniwa dla fanów, takie zbiorowisko gwiazd w jednym miejscu o jednym czasie. Wszyscy karnie składali autografy, z wyjątkiem Johna, który uznał, że ma dość. Od czasu do czasu ja podpisywałem im się w tych książeczkach jego nazwiskiem, gdy ktoś wyglądał na wyjątkowo zawiedzionego. Mam nadzieję, że dom aukcyjny Sotheby's znalazł sposób, by odróżnić oryginały od fałszywek.

Tego wieczoru w Bangor poszliśmy wszyscy do miasta, żeby coś zjeść. Było bardzo późno, a ponieważ byliśmy w niewielkim prowincjonalnym miasteczku, jedynym otwartym miejscem była chińska restauracja. Gdy przyszło do płacenia rachunku, zorientowałem się, że nie mam przy sobie wystarczającej ilości gotówki – podobnie jak cała reszta. Beatlesi nigdy nie nosili ze sobą pieniędzy, zupełnie jak rodzina królewska, ale tym razem byli bez swojej obstawy i asystentów, którzy zazwyczaj nosili za nimi portfele. Chiński kelner zaczął się denerwować, sądząc, że po prostu sobie pójdziemy, nie regulując rachunku, gdy nagle George zarzucił bosą stopę na stół i pospiesznie zaczął przeszukiwać podeszwy sandałów. Z przodu jednego z nich było nacięcie, z którego George wyciągnął banknot dwudziestofuntowy – owa kwota nawet przewyższała nasz rachunek. Właśnie na taką okoliczność schował tam te pieniądze kilka miesięcy wcześniej, a może nawet lat wcześniej i akurat tego wieczoru przypomniał sobie o nich.

Wiadomość o śmierci Briana dotarła do nas w niedzielę, po długiej sesji z Maharishim. Wtedy na gorąco ich reakcja była raczej oziębła, co bardzo zabolało rodzinę Briana, ale był to po części efekt spędzania czasu z Maharishim, który uczył ich, że śmierć jest nieistotna. Zresztą zwykle tak właśnie reagowali na tego typu wiadomości. Kilka lat wcześniej Paul nawet poczynił nieprzyjemny żartobliwy komentarz na temat śmierci własnej

mamy, choć był on raczej wyrazem strachu niż złośliwości. John też wydawał się nieporuszony tragiczną śmiercią swojej mamy.

Śmierć Briana Epsteina okazała się cezurą – końcem pewnego etapu, ostatnim rozdziałem Beatlemanii, choć wtedy oczywiście nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bliski był koniec Beatlesów jako zespołu. Wszyscy zastanawiali się natomiast, jaki będzie kolejny rozdział. Pamiętam, jak George Martin powiedział mi, że według niego nie dadzą sobie rady bez osoby odpowiedzialnej za organizację, bez filaru, na którym mogliby się wesprzeć. Że zawsze będą potrzebować pomocy.

Jeśli chodzi o rozmowy z samymi Beatlesami, Rozdziały 28–34 stanowią szczegółowy zapis tego, co wówczas – w roku 1967 – myśleli i robili, więc nie ma sensu tego tutaj powtarzać. Nawet wtedy wiedziałem, że wszystko, co zapisuję, dezaktualizuje się niemal natychmiast. Ich tempo było zawrotne, jeśli chodzi o zmianę zdania, zmianę ubrań, zainteresowań – ciągła pogoń za czymś nowym.

Najtrudniej rozmawiało mi się z Johnem. Wiele godzin spędziliśmy w jego domu w Weybridge w milczeniu, pływając w basenie, jedząc, siedząc w maleńkim salonie, często bez słowa, nie licząc tego cholernego telewizora, który mrugał w kącie. W końcu, gdy już zupełnie traciłem nadzieję na zwierzenia, pakowałem manatki i wracałem na drugi dzień w nadziei, że tym razem okaże się bardziej rozmowny. Z Cyn potrafili tak spędzać całe tygodnie. John znajdował się w permanentnym stanie umysłowego oddalenia. Nie sądzę, że był to efekt narkotyków, choć palił wówczas sporo, ani nawet wynik medytacji z Maharishim. Po prostu wyłączał się na dość długie okresy. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że po prostu czekał, aż zjawi się Yoko i na nowo tchnie w niego życie.

John nadal potrafił być najsilniejszą postacią w zespole, jeśli tylko zechciał, choć nie dominował już tak jak w przeszłości. Pozwalał Paulowi przejmować stery w większości spraw i nadawać Beatlesom kierunek, jeśli chodzi o nowe projekty, takie jak *Magical Mystery Tour* albo podróż w

hinduski mistycyzm, którą dla odmiany pokierował George. Nawet podczas zamkniętej imprezy z okazji *Magical Mystery Tour* – swoją drogą wyjątkowo radosnej – z udziałem przyjaciół, rodziny i najbliższej załogi, John był jakiś zgaszony. Wszyscy zjawiliśmy się w przebraniach, ja i moja żona jako harcerze, co było raczej mierne i mało oryginalne. John prezentował się wspaniale jako rocker, zupełnie jakby czas cofnął się o dziesięć lat. Przez chwilę rozmawiał z moją żoną o książkach, po czym siedział jakby nieobecny.

Zarówno jego dom, jak i jego głowa pełne były niedokończonych piosenek i niedokończonych wierszy, którymi co rusz zaczynał się bawić, ale szybko się nudził. Pamiętam, że przez kilka miesięcy robił podchody do *Across the Universe* lub wariacji na temat. Co kilka tygodni śpiewał mi te same stare fragmenty, ale nie był w stanie między tymi zrywami wymyślić nic nowego.

Najłatwiejszym rozmówcą był Paul. Pełen energii, entuzjazmu i – w przeciwieństwie do Johna – cieszyło go to, że jest lubiany, przynajmniej na ogół. Nie widzę w tym nic złego. John z kolei potrafił być wyjątkowo okrutny, mówiąc, że Paul próbuje zadowolić wszystkich niczym jakiś pudel. Ironia losu polega na tym, że im bardziej John był dla ludzi wstrętny, tym oni bardziej go lubili, podczas gdy szczera dobroć Paula sprawiała, że podejrzewali go o wyrachowanie. Paul jest przewidujący, zastanawia się, jakie mogą być efekty poszczególnych zachowań, często się zapętla i dostaje rezultat odwrotny do zamierzonego. Myślę, że Paul ma mało pewności siebie i dlatego tak bardzo się stara i tak ciężko pracuje. Czyni go to również podatnym na krytykę, na którą John z kolei pozostaje całkowicie odporny.

Jeśli chodzi o George’a, gdy pisałem książkę, był akurat w fazie obsesyjnego zainteresowania Indiami, co sprawiało, że dość trudno mi się z nim rozmawiało. Nienawidził okresu tras koncertowych z Beatlesami, jak najszybciej chciał je wymazać z pamięci i skierować swoje życie na nowe

tory. Każdy z nich odczuwał coś takiego, ale George w największym stopniu. Jego rozwój jako Beatlesa był bodaj najbardziej widoczny. Łatwo zapomnieć, że gdy dołączył do grupy, miał zaledwie siedemnaście lat. Przez długi czas ludzie ignorowali go, traktując jak dziecko. John był postacią wyjątkowo dominującą, a trzy lata różnicy wieku w tamtym początkowym okresie stanowiły ogromną różnicę i zupełnie przyćmiły George'a. Prawdopodobnie i John, i Paul od samego początku dostrzegali nieodkryte jeszcze pokłady talentu drzemiące w George'u i nie mam tu na myśli tylko gry na gitarze. Byli z niego dumni, niczym starsi bracia, a w 1967 duma przerodziła się w podziw nie tylko dla znakomitych kompozycji, ale także dla wiedzy na temat muzyki i kultury Indii. Podziwiali go też, że zadał sobie tyle trudu i opanował trudną sztukę gry na gitarze. Po raz pierwszy w życiu to on był liderem, ale bynajmniej nie wywyższającym się czy zarozumiałym.

Spotkanie z Ringo było specyficznym doświadczeniem. Przechadzał się dumnie po swoim terytorium, choć dało się wyczuć, że jest zaniepokojony i zmartwiony. W domu Ringo ma w sobie coś z Andy'ego Cappa[15], tak jak John, podczas gdy Paul, dzięki związkowi z Jane Asher, nabrał nawyków typowych dla klasy średniej. Ringo sprawił na mnie wrażenie, jakby martwił się przyszłością. Skończyły się trasy koncertowe i miał świadomość, że w studiu jego bębny nie są już tak istotnym elementem, zwłaszcza że zaczynała się era syntezatorów. Często zdarzało się, że Paul przejmował od Ringo pałeczki podczas nagrywania, by wytłumaczyć, o jaki efekt mu chodzi. O ile George'a i Johna zmęczyła dotychczasowa rola, a Paul chciał utrzymać obecny stan, bo czuł, że wiele jest jeszcze do zrobienia, o tyle przyszłość Ringo była jedną wielką niewiadomą. Może poza aktorstwem sam też nie bardzo widział na horyzoncie coś dla siebie.

Neil Aspinall i Mal Evans – najbliżsi i najbardziej zaufani współpracownicy – ciągle stykali się z pytaniem, którego Beatlesa lubią

najbardziej. Pytanie jest o tyle karkołomne, co naturalne. Każdy z nich posiadał tak wiele twarzy. W odbiorze społecznym Paul i Ringo byli „najmilsi”, choć sam nierzadko spotykałem ludzi, którzy z nimi pracowali i narzekali na nich bez przerwy. W przeciwieństwie do Johna czy George’a potrafili w życiu prywatnym stać się okrutni, gdy uznali, że jakiś asystent czy handlowiec próbuje ich wykorzystać, zwłaszcza finansowo. Jeśli chodzi o pieniądze, John i George sprawiali wrażenie, jakby zupełnie ich to nie obchodziło.

John był z nich wszystkich najbardziej oryginalny – tak mi się przynajmniej zawsze wydawało – za to Paul miał największy talent. Muzyka płynie przez niego cały czas, a do tego Paul potrafi ze swojego talentu korzystać. George był niejako mieszanką oryginalności i talentu, choć przejawiało się to inaczej niż u pozostałej dwójki. Ringo nie rościł sobie żadnych pretensji do talentu i, w przeciwieństwie do pozostałej trójki, nie aspirował do bycia intelektualistą. Miał bardzo realistyczny, pozbawiony złudzeń osąd własnej pracy i własnej wartości. Cechowało go zdroworozsądkowe podejście do wszystkiego, potrafił być też błyskotliwy i dowcipny.

Cieszyłem się tak samo na rozmowę z każdym z nich, ale chyba najfajniej spędzało mi się czas z Paulem i Johnem. Oni wykazali też najwięcej zainteresowania moim światem, życiem jako takim, aktualnymi wydarzeniami – oczywiście jeśli John nie był akurat w jednym ze swoich stanów, gdy nie rozmawiał z nikim. Co ciekawe, obaj byli spragnieni kontaktu z drugim człowiekiem i pewnie dlatego od czasu do czasu pojawiali się na ich drodze ludzie z bardzo dziwnymi pomysłami. Przez tych dziesięć lat w ich życiu wydarzyło się tak wiele, że byłem ciekaw wszelkich spostrzeżeń, nawet tych najbardziej naiwnych. Mieli znikome pojęcie o tym, jak działa świat zewnętrzny, bo od dawna byli od niego odseparowani. John na przykład nie potrafił korzystać z telefonu. Już tak

długo wszystkie telefony wykonywali za niego inni, że zapomniał, jak to się robi.

Przypominali istoty z innej planety, które widzą wszystko zupełnie inaczej niż reszta ludzkości – posiadali niby niewykształcone i nieuformowane umysły, a jednak widzieli rzeczy i doświadczyli emocji, o których nam się nawet nie śniło. Nie było w nich krzty zarozumialstwa, co mnie osobiście zdziwiło – ani z powodu ich muzyki, ani sławy. Szczerze wierzyli, że każdy mógłby osiągnąć w życiu to, co oni, gdyby się przyłożył. Cała filozofia firmy Apple – choć lekko idiotyczna i szalona – opierała się na tym, by nauczyć innych, jak pomagać sobie samemu. Uważali, że edukacja pod jakąkolwiek postacią jest stratą czasu. Sami złamali wszystkie zasady, gdy ludzie wmawiali im, że w życiu do niczego nie dojdą, bo są z Liverpoolu, bo śpiewają tak, a nie inaczej, więc wierzyli, że i inni mogą zrobić to samo.

Każdy z nich czegoś poszukiwał, zwłaszcza John i George, odczuwając w życiu swego rodzaju pustkę po tych wszystkich szalonych latach spędzonych jako The Beatles. Chyba każda wielka gwiazda boryka się z czymś podobnym, tak jak każdy zwycięzca wyborów, szczęściarz, który wygrał na loterii – jeśli mają w sobie choć trochę rozsądku.

Mnie również pytano wówczas nie raz, którego Beatlesa lubię najbardziej. Zwykle odpowiadałem, że tego, z którym ostatnio się widziałem, wzorem Neila i Mala. Dlatego właśnie wolałem nadal ich poznawać, niż zabrać się do bardziej przyziemnej części mojej pracy, czyli do spisywania wyników dotychczasowych obserwacji.

Na początku 1968 roku nadal zbierałem materiały do książki, a notatki z rozmów liczyły już sto pięćdziesiąt tysięcy słów. Prawie zupełnie zapomniałem o książce o brytyjskich uczelniach wyższych. Przez chwilę myślałem o kolejnej zmianie tytułu na *Class of ’68*, a potem postanowiłem wyrzucić cały projekt do kosza. Przez uniwersytety przetoczyła się rewolucja studencka i cały świat szkolnictwa wyższego się zmienił.

Koncentrowałem się tylko na Beatlesach, choć odwlekałem sam proces pisania. Pojawiła się płyta *Sgt. Pepper*. Została przyjęta bardzo entuzjastycznie i naprawdę odmieniła wizerunek Beatlesów w oczach tych wszystkich, którzy nadal uważali ich muzykę za przelotną modę. Wszystko zmieniało się bardzo dynamicznie i nie chciałem niczego przeoczyć, choć wiedziałem, że wkrótce będę musiał jednak powiedzieć stop i nadać materiałowi kształt książki. Każda płyta Beatlesów od 1963 do 1969 roku wnosiła coś nowego i innego. Czy przegapię jakiś ważny etap ich rozwoju muzycznego, jeśli skończę teraz?

Najprzyjemniejszą częścią pracy nad książką były wizyty przy Abbey Road. Kiedy tylko John przekraczał próg studia, znikała jego domowa ospałość. Praca z Paulem dodawała mu energii. Jeśli sam nie mógł dokończyć jakiejś piosenki, Paul zawsze mu pomagał. Udało im się zachować własny styl, ale wspólna praca najwyraźniej wydobywała z każdego z nich to, co najlepsze. A gdy już zupełnie utknęli w martwym punkcie, mając na przykład dwa odrębne kawałki, które pozornie nie chciały się zgrać, jak w przypadku *A Day in the Life*, wówczas wkraczał George Martin i łączył je ze sobą.

Najczęściej spotykali się popołudniami w domu Paula przy Cavendish Avenue w dzielnicy St. John’s Wood. Szli na górę, gdzie poddawali testom wszystkie pomysły, na które wpadali w pojedynkę. Wszystko to odbywało się na zasadzie dość luźnego spotkania – zjawiali się przyjaciele i rodzina, kręcili się po domu i pracowni, po czym wszyscy robili przerwę na jajka sadzone, tosty i herbatę. Przychodzili George i Ringo, a gdy wieczorem wchodzili do studia, które mieściło się tuż za rogiem przy Abbey Road, wszystko było już trochę bardziej poważne. Obcy nie mieli tam prawa wstępu, gdy zespół pracował.

Na kopertach lub skrawkach papieru John i Paul zapisywali najnowsze wersje słów do utworów, nad którymi pracowali, i przekazywali je Ringo, żeby wiedział, co się dzieje. W miarę postępu prac zmieniał się rytm i

dochodziły nowe partie. Pod koniec sesji, czyli późno w nocy, zbierałem te skrawki z podłogi i pytałem, czy mogę je zachować, skoro oni ewidentnie już ich nie potrzebują. Zawsze się zgadzali. Cała masa rzeczy trafiała i tak do kosza lub zostawała na podłodze dla sprzątaczek. Oni sami nigdy nie kolekcjonowali pamiątek, notatek i tym podobnych szpargałów. Przez te lata życie toczyło się w takim tempie, że nie mieli czasu ani ochoty zawracać sobie głowy takimi śmieciami.

Wiem, że gdy byli już panami w średnim wieku, Paul i George żałowali, że nie mają żadnej kolekcji z przeszłości. Oddałem George'owi oryginał piosenki *Blue Jay Way*, który zapisał na odwrocie jakiegoś listu, gdy był w Kalifornii. Myślał, że go zgubił. Paulowi podarowałem jego wielki plan *Magical Mystery Tour*, który sporządził dla mnie w 1968 roku na potrzeby niniejszej książki, żeby wyjaśnić, na czym polegała jego koncepcja. Niestety, plan ten ostatecznie nie trafił do książki z braku miejsca. Moja własna kolekcja, złożona z drobiazgów, które otrzymywałem od nich w ramach podarunków, została znacznie uszczuplona kilka lat temu, gdy ktoś włamał się do naszego domu i straciłem wszystkie płyty Beatlesów z autografami. Czasami się zastanawiam, gdzie dziś są. Teraz żałuję tylko, że nie zebrałem więcej piosenek z podłogi na Abbey Road. Żałuję, że nie notowałem wszystkiego skrzętniej, zwłaszcza podczas prac nad *Sgt. Pepper*.

Gdy przeprowadzałem z nimi rozmowy sam na sam, w ich domach, zawsze miałem ze sobą notes i wszystko zapisywałem na bieżąco. W studiu, gdy byli wszyscy razem, albo podczas wspólnych posiłków, starałem się być bardziej jak ta mucha na ścianie – cichy obserwator marzący o tym, żeby zaakceptowano go jako stały element zespołu, a nie tylko kogoś, kto wypytuje i pisze o nich. Później pędziłem do domu (na szczęście z Abbey Road miałem tylko dziesięć minut) i szybko robiłem notatkę z danego dnia. Do dziś mam ich stosy i patrząc na nie z perspektywy czasu, muszę przyznać, że nie wszystko z tych naprędce

sporządzonych zapisków z błędami ortograficznymi jestem w stanie zrozumieć. Żałuję też, że nie używałem dyktafonu. Nigdy tego nie robiłem i przyznaję, że to było głupie. Skorzystałem z tego wynalazku raz w latach sześćdziesiątych. To był potężny grundig rozmiaru domu. Stało się to podczas wywiadu z W.H. Audenem, który zresztą się nie udał i nigdy się nie ukazał, za co do dziś winię dyktafon, i od tej pory postanowiłem być wierny notatkom. Wydawało mi się, że nagrywając wywiad, dokładam sobie drugie tyle pracy, ponieważ muszę go później odsłuchać i przepisać, a jak wiadomo, większość tego, co wychodzi z naszych ust, nie jest warta wysłuchania raz, a co dopiero dwa razy. W przypadku notatek edytuję wszystko na bieżąco, zapisując tylko to, co mam zamiar wykorzystać, żeby zyskać na czasie. Ale zapisuję też okoliczności – jak dany rozmówca wygląda, jego sposób mówienia, czego dyktafon oczywiście nie złapie. Taką mam teorię, której się trzymam. Niestety. Czemuż nie używałem dyktafonu przez te osiemnaście miesięcy, gdy rozmawiałem z Beatlesami, ich rodzicami i przyjaciółmi? Jakiż to byłby dziś skarb. Pamięć potrafi płatać figle. Pewnego dnia wybrałem się na lunch z Neilem Aspinallem i wspominaliśmy sesję zdjęciową do *Sgt. Pepper*. Pamiętałem, że stroje przyjechały do domu Paula i jak żywo mam w pamięci, jak Beatlesi je przymierzali. Neil z kolei upierał się, że kostiumy dojechały prosto do studia fotograficznego przy Flood Street. Zacząłem przeglądać notatki, ale okazało się, że tego akurat nie zapisałem.

Debaty na temat okładki do *Sgt. Pepper* ciągnęły się tygodniami. George chciał, żeby tłum postaci złożony był z guru. Paul upierał się, żeby byli to ludzie sztuki, jak Stockhausen. John marzył o buntownikach i czarnych charakterach, jak Hitler, a z moich notatek wynika, że dopiero w ostatniej chwili przekonano go, że Hitler to zły pomysł. Głowa Hitlera wycięta z kartonu towarzyszyła nam przez całą sesję fotograficzną. Ja z kolei zasugerowałem, że ich lista bohaterów powinna zawierać jakichś piłkarzy. Większość chłopców, zwłaszcza z Liverpoolu, zna gwiazdy

futbolu. Zawsze było mi trochę przykro, że żaden z Beatlesów nie wykazywał zainteresowania sportem, a już w najmniejszym stopniu futbolem. Ostatecznie John dodał Alberta Stubbinsa, nazwisko , które kojarzył z dzieciństwa, ale wydaje mi się, że zrobił to tylko dlatego, że wydawało mu się śmieszne, a nie ze względu na jego umiejętności piłkarskie.

Pamiętam za to, że wychodziliśmy z domu Paula w pośpiechu i że kazał mi pozbierać wszystkie rozrzucone po pokojach ozdoby, które miały uzupełnić ten żywy obraz. Tę na pierwszym planie zdjęcia na okładce *Sgt. Pepper*, w postaci statuetki w kształcie pocisku na niewielkim postumencie, umieściłem ja, żeby zatkać puste miejsce. Opowiadałem to moim dzieciom kilka razy, ale zupełnie ich to nie obchodziło.

Kto wymyślił tytuł *Sgt. Pepper*? Zawsze wydawało mi się, że oryginalny pomysł narodził się w głowie Paula i to od niego pierwszego o nim usłyszałem, choć nie badałem tego szczegółowo w książce. Powinienem poświęcić temu więcej czasu, ponieważ to był dla nich przełom, absolutny szczyt ich kariery płytowej, a także swoisty kamień milowy w historii muzyki popularnej – został ochrzczony mianem pierwszego „albumu koncepcyjnego". Pod względem artystycznym to było ogromne osiągnięcie, częściowo dzięki twórczej pracy Petera Blake'a. Od czasu jego wydania powstały tomy opracowań na temat tej sławnej okładki i znaczenia całego projektu.

Mal zawsze mówił, że zbitka „Sergeant Pepper"[16] była jego autorstwa, a był to przekręcony zwrot „salt and pepper"[17]. Neil powiedział mi też, że to on jako pierwszy podsunął Paulowi pomysł, żeby cała płyta była niejako występem Sierżanta Pieprza, co Paul od razu podchwycił. Któż to może wiedzieć? To tak jak z pochodzeniem nazwy The Beatles. George'owi wydawało się, że źródłem był film Marlona Brando *Dziki*. W filmie jest grupa motocyklistów w czarnych skórach, którzy nazywają się The Beetles,

chociaż pojawia się na ten temat tylko jedna wzmianka. Stu Sutcliffe oglądał ten film, usłyszał nazwę i zasugerował ją Johnowi, a ten się zgodził z zastrzeżeniem, że oni zapiszą ją jako „The Beatles”, ponieważ są grupą rockandrollową. Cóż, to jedna z teorii. Bez wątpienia przez wiele kolejnych lat pojawi się jeszcze niejedna koncepcja.

W swojej książce starałem się omijać te teorie szerokim łukiem. Nadal wierzę we wszystkie, ale części rzeczy nie mogłem wówczas napisać. To miała być prawda na temat tego, co wydarzyło się w ich życiu do konkretnego momentu, spisana w oparciu o wspomnienia ich samych i ich najbliższych, jak również moje własne dociekania i obserwacje.

Na początku 1968 roku uznałem, że czas najwyższy zakończyć rozmowy, przerwać zbieranie materiałów i zabrać się do pisania. Było tego wszystkiego tak dużo, że zupełnie nie wiedziałem, od czego zacząć ani co jest ważne, a co okaże się całkiem nieistotne. Pierwsza wersja zajęła dwa tomy. Musiałem bezlitośnie usunąć połowę, by zmieścić się w jakiejś rozsądnej objętości, odrzucając przy tym sporo ciekawego materiału, zdjęć i dokumentów. Ponieważ wziąłem na barki ciężar związany z opracowaniem biografii „autoryzowanej”, moim kolejnym zadaniem było zdobycie zgody na publikację od głównych bohaterów tej historii. I wtedy zaczęły się prawdziwe problemy.

Przede wszystkim musiałem namówić Beatlesów, żeby przeczytali to, co już zdążyłem napisać. Nasza umowa została sporządzona wyjątkowo sprytnie, żeby panowie mogli poprawić tylko „faktyczne” błędy. To zawsze jest kwestia problematyczna w przypadku pisania biografii osób żyjących. Nigdy nie wiesz, czym kogoś urazisz. Zazwyczaj jest to jakaś drobnostka, zupełnie drugorzędna uwaga, która z niewiadomych przyczyn nagle kogoś zaboli. Bynajmniej nie są to nigdy te fragmenty, które autor sam podejrzewa o wywołanie sprzeciwów. Początkowo nikt się nawet nie przyzna, co go tak dotknęło, i pojawiają się głosy, że „ton” jest nieodpowiedni, że spodziewali się czegoś „bardziej dogłębnego”. Gdy już

uda ci się wyciągnąć, co tak naprawdę stanowiło problem, najczęściej da się to naprawić w okamgnieniu. Oczywiście nie przedstawiłem ze szczegółami tego, co działo się w garderobach podczas tras, nie pisałem o dziewczynach, które ustawiały się w kolejce, błagając o ich względy. Myślę, że każdy czytelnik powyżej piętnastego roku życia, nawet w roku 1968, musiał sobie doskonale zdawać sprawę, jak to naprawdę wyglądało, ale w tamtych czasach nie nazywało się rzeczy po imieniu. Dziś *groupies* to już stara bajka i wszyscy znamy ich wybryki. Beatlesi nie byli pod tym względem inni od całej reszty zespołów. Mieli jedynie większy wybór. Do kierowników tras koncertowych należało wyznaczanie: ty, ty i ty, a ty za pięć minut. Jeśli chodzi o wizerunek publiczny, w roku 1968 trójka Beatlesów była szczęśliwie żonata, a czwarty również pozostawał w stałym związku. Nic dziwnego, że ani żony, ani sami Beatlesi nie chcieli, żeby wspominać o tego typu rzeczach.

Niemniej wrzuciłem kilka uwag na temat narkotyków, w tym LSD, choć było to dość odważne posunięcie jak na 1968 rok, więc zawsze podkreślałem, że to oczywiście czas przeszły i że teraz już nawet nie palą trawki, choć jestem przekonany, że wystarczająco mrugnąłem okiem do czytelnika, by domyślił się prawdy.

Chwilę musiałem czekać na reakcję, ponieważ czytanie książek nie należało do ich ulubionych zajęć. Na szczęście, ku mojej radości, żaden z nich nie zgłosił uwag czy sprzeciwów i zgodzili się na publikację w zaproponowanym kształcie. Chyba Paul miał tylko jakieś uwagi, że poprzekręcałem niektóre nazwiska, ale dziś już nie pamiętam, o co dokładnie chodziło. George jako jedyny zadzwonił do mnie z poważnymi uwagami. Chciał, żebym napisał więcej o Indiach, i uznał, że chyba nie potraktowałem zbyt poważnie ani jego, ani wyznawanej przez niego filozofii. Upierał się, by niektóre elementy wyjaśnić obszerniej. Spełniłem jego prośbę, starając się jednocześnie nie wpłynąć za bardzo na objętość książki.

Ulżyło mi po ich reakcji, a mój agent zaczął już omawiać warunki wydania na rynku amerykańskim, gdy nagle otrzymałem list od Johna. Prosił mnie, żebym usunął pewną niewybredną uwagę na temat drugiego męża jego matki, Julii – Walijczyka, z którym Julia miała dwie córki, Jackie i Julię. John martwił się, że dopadnie je „zły świat". Druga prośba dotyczyła pokazania materiału Mimi, która podobno aż pochorowała się ze zmartwienia, co tam wypisałem. Tego się obawiałem najbardziej. Bez problemu spełniłem pierwszą prośbę Johna, zupełnie marginalną, ale nie miałem zamiaru cackać się z rodzicami. Wysłałem jednak książkę Mimi, która wpadła w histerię. Rozdział dotyczący dzieciństwa Johna wrócił do mnie cały pokreślony i pozmieniany. Na marginesie, obok cytatów z Johna, podopisywała swoje uwagi w stylu: „Bzdura" albo „Nigdy w życiu!". Wykreśliła część jego wspomnień, zwłaszcza jeśli nie zgadzały się z jej wersją wydarzeń. Zaprzeczyła, jakoby John przeklinał jako dziecko i nie zgadzała się na umieszczenie historii o kradzieżach.

Niektóre z jej komentarzy były całkiem zabawne. W pewnym momencie cytuję Johna, który opowiada, że jedynie w ukryciu przed Mimi mógł ćwiczyć grę na gitarze, bo ona wyrzucała go na ganek. Ponad tą linijką Mimi dopisała: „Zła kobieta". W innym miejscu napisała, co Julia i jej mąż naprawdę myśleli o Johnie, ale na koniec dodała, żebym tego nie zamieszczał w książce, bo John nigdy się o tym nie dowiedział.

Dodała kilka ciekawych uwag na temat tego dnia, gdy John poznał Paula podczas odpustu w parafii Woolton. To wtedy John po raz pierwszy ubrał się jak prawdziwy teddy boy[18]. „Pierwszy raz widziałam go wtedy na scenie – pisze Mimi. – To było jak grom z jasnego nieba. Nie miałam pojęcia, że tam będzie. Bardzo boleśnie dotarło do mnie, że toczę walkę skazaną na porażkę. Mimo wszystko nie miałam zamiaru się poddać, choć oznaczało to zmarnowane życie i, co gorsza, zmarnowane zdrowie". Bez trudu zrozumiałem, czemu John chciał ochronić córki Julii, w końcu w

1968 roku miały dopiero po kilkanaście lat, a John tymczasem mieszał ich ojca z błotem, więc zgodziłem się usunąć ten fragment. Za to cenzura, którą Mimi chciała nałożyć na wizję Johna na temat samego siebie i swojej historii, była po prostu niesprawiedliwa.

Większość naszych wspomnień z dzieciństwa jest podejrzana. Ciekawe natomiast jest to, co różni ludzie zapamiętują. Tak czy inaczej, kto miał lepszą pamięć – Mimi czy John? W tamtym okresie John miał już tego dość i nalegał, bym zrobił tak, żeby Mimi była zadowolona, więc pojechałem do Bournemouth i przejrzałem z nią każdy drażliwy fragment linijka po linijce. Usunęliśmy część przekleństw i kilka szalonych historii i ostatecznie udało mi się ją udobruchać.

Czytelnik zauważy na pewno, że Rozdział 1 kończy się dość bezbarwnym i ucinającym dyskusję stwierdzeniem, że John „był wyjątkowo szczęśliwym chłopcem”. To Mimi nalegała na takie zakończenie. Uległem, stawiając warunek, że w zamian zachowam większość opowieści Johna. Doszliśmy do kompromisu, bo Mimi uznała, że takie zdanie złagodzi wydźwięk tych pozostałych. Tak właśnie wyglądała jej prawda na temat dzieciństwa Johna. Byłem w sumie całkiem zadowolony, ponieważ w książce ostatecznie znalazło się jednak miejsce na różne prawdy, więc czytelnik sam może zdecydować, którą wybrać.

Gdy książka ukazała się na rynku, przez znawców biografii po obu stronach Atlantyku, jak również w Europie kontynentalnej i Japonii, została oceniona jako „szczera”, a nawet „najbardziej szczera biografia autoryzowana w historii”. Oszczędzę Wam szczegółów. To było oczywiście bardzo dawno temu i przez ten czas wiele się jeszcze wydarzyło. Kilka lat później poczułem się boleśnie dotknięty, gdy w jednym z wywiadów John nazwał ją „stekiem bzdur”. Było to w czasach, gdy upierał się, że cały wizerunek Beatlesów był mocno wybielony. Jeśli chodzi o Johna, powtarzam, że za jego namową wprowadziłem do swojej książki zaledwie

dwie zmiany – jedną ze względu na niego samego i jedną ze względu na Mimi.

Sporo miałem przejść z załogą Apple, która uznała za swój obowiązek zmianę tego i owego na przykład na temat narkotyków. Po przeczytaniu i zaakceptowaniu materiału Beatlesi udali się w podróż do Indii, pozostawiając biuro pod nadzorem asystentów, którzy koniecznie chcieli coś pozmieniać. W znakomitej większości przypadków udało mi się odeprzeć ich ataki na tekst, choć były to ciężkie tygodnie walki o przeróżne zgody, uganiania się za tysiącem kopii – tych oryginalnych i tych poprawionych, które krążyły to tu, to tam. Sami Beatlesi, przeczytawszy swoje prywatne egzemplarze, pozostawili je w domach, przy Abbey Road albo w biurze Apple, więc wszyscy umierali w ciekawości, czy trafili na karty książki. W tamtym liście od Johna było też coś o tym, że „Dot słyszała od Margaret, że jest coś na jej temat". Dot zajmowała się prowadzeniem domu Johna i wspominam o niej w książce raz lub dwa razy. Jeśli chodzi o Margaret, nie mam pojęcia, kim była.

Nie chciałbym jeszcze raz przeżywać tamtych tygodni, ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Zapomniałem, że to Brian Epstein podpisał ze mną kontrakt na książkę w ich imieniu. Ponieważ zmarł, rodzina Epsteinów zażądała wglądu w rękopis. Prawo do zarządzania majątkiem Briana miała jego mama, więc technicznie ostateczna zgoda na publikację zależała od Queenie Epstein – starszej pani, niemającej pojęcia o świecie muzyki rozrywkowej ani, co gorsza, o prywatnym życiu jej syna. Nietrudno sobie wyobrazić, jak pani Epstein zareagowała na sugestie, że Brian był gejem. Oczywiście im zaprzeczyła. W jej przekonaniu była to po prostu nieprawda. Tymczasem ja potrzebowałem od niej pisemnej zgody na wydanie książki. Na tym etapie prawa do książki sprzedaliśmy już Amerykanom i wydawcom w kilku innych krajach, którzy teraz domagali się wszystkich papierków regulujących prawne aspekty publikacji. Clive Epstein, brat Briana, był bardzo pomocny, ale oczywiście najbardziej zależało mu na

spokoju mamy. Ponieważ od śmierci jej ukochanego syna minęło tak niewiele czasu, wszyscy uznali, że byłoby nie na miejscu wdawać się w mroczne szczegóły ostatnich lat życia Briana. Tak czy inaczej nie było o tym w książce za wiele, ale mimo wszystko poradzono mi, żebym trzymał się jak najdalej od tematu jego życia prywatnego. Wydaje mi się jednak, że pod koniec Rozdziału 15 udało mi się jasno dać czytelnikowi do zrozumienia, że Brian był gejem, kiedy piszę, że miał w życiu tylko jedną dziewczynę, a potem, że jego związki były zazwyczaj bardzo nieszczęśliwe. Nazwałem go również „czarującym gejem". Słowo to nie było wówczas w Anglii tak rozpowszechnione, ale myślę, że sporo ludzi domyśliło się prawdy.

Czy orientacja seksualna Briana miała znaczenie? Żałowałem, że musiałem ją ukryć, ponieważ sam Brian zgodził się, żebym napisał o tym w książce i od tamtego czasu wiele razy potwierdzono ten fakt publicznie. W większości przypadków życie intymne osoby nie ma większego znaczenia dla jej pracy, choć dziś wielu ludzi, zwłaszcza ze świata sztuki i show-biznesu, śmiało przyznaje się do swoich preferencji. Moim zdaniem w przypadku Briana był to bardzo istotny element rzucający sporo światła na jego osobowość, okoliczności śmierci i narodziny fascynacji grupą The Beatles.

Jedną z największych zagadek w historii Beatlesów jest właśnie to, jak osoba pokroju Briana Epsteina mogła popaść w tak głęboką fascynację tym zespołem. Co takiego przemówiło do tego dobrze wykształconego i wychowanego młodzieńca z żydowskiej klasy średniej, a zarazem dobrze zapowiadającego się biznesmena i miłośnika Jeana Sibeliusa, który nie przejawiał najmniejszego zainteresowania kulturą popularną? Co kazało mu chodzić do obleśnego baru w piwnicy oglądać czterech obskurnych chuliganów z klasy robotniczej? Oni go po prostu pociągali. Oto wyjaśnienie tej zagadki, choć wówczas nie mogłem napisać tego czarno na białym. Najbardziej podobał mu się John, szalejący na scenie w skórze i

wielkich kowbojskich butach. (Wiele lat później powstała plotka, że podobał mu się Paul, ponieważ to Paul zawsze uchodził za najładniejszego Beatlesa, co nie ma oczywiście wiele wspólnego z rzeczywistością. Brianowi podobali się ostrzy i agresywni chłopcy, nawet jeśli on nie podobał się im – właśnie dlatego, że nie czuli do niego pociągu seksualnego).

Brian Epstein dał światu Beatlesów, gdy inni bardziej obeznani już dawno ich pominęli w rozdaniu. To oni sami się stworzyli, stworzyli swoją muzykę i swoje występy, ale w innych rękach – rękach obleśnych, chciwych i nastawionych na szybki zysk – wejście Beatlesów na rynek brytyjski wyglądałoby zupełnie inaczej. Zgodnie z powszechnym przekonaniem Brian to nikt więcej niż przebiegły żydowski biznesmen, który dostrzegł w nich pieniądze. Prawda natomiast jest taka, że Brian wcale nie był wytrawnym człowiekiem interesu, o czym niech świadczy choćby to, że wiele z jego umów trzeba było renegocjować. Nie był materialistą. Brian Epstein po prostu kochał Beatlesów, w każdym tego słowa znaczeniu. Oto cała prawda.

Los uśmiechnął się do mnie, gdy książka niemal szła już do druku. Niespodziewanie udało mi się nawiązać kontakt z Freddiem Lennonem. Objawił się po raz pierwszy w roku 1964, gdy pracownik hotelu, w którym pracował, zwrócił mu uwagę, że jego syn John jest jednym z Beatlesów. Ponieważ wszyscy w rodzinie Lennonów odmówili mu wówczas spotkania i pomocy, zniknął ponownie po udzieleniu kilku wywiadów do różnych czasopism. Johna rozbawiło jego ponowne pojawienie się, zwłaszcza gdy odezwał się na łamach prasy, ale wiedział, że Mimi i reszcie rodziny nie spodobałoby się, gdyby zaoferował Freddiemu jakąkolwiek pomoc. Jakby nie patrzeć, Freddie zostawił żonę i dziecko. Na początku 1968 roku udało mi się wytropić Freddiego w hotelu niedaleko Hampton Court, w okolicach domu Johna w Weybridge. Pracował na zmywaku. „Żyję sobie cichutko. Radosny jak skowronek – oto cały ja. Lubię się przemieszczać. Nie chcę,

żeby prasa wiedziała, gdzie jestem, sam rozumiesz”. Nadal był rozgoryczony, że gdy pojawił się kilka lat wcześniej w domu Johna bez uprzedzenia, zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem. Spotkałem się z nim kilkakrotnie i w sumie zapałałem do niego sympatią. Poprosiłem, by opowiedział mi o swojej młodości, co stało się potem podstawą do pierwszej części Rozdziału 1. Spytałem, czemu porzucił Johna i jego matkę. Sam nie bardzo wiedział. Przyznał, że bardzo mu było przykro, że stracił Johna, i nadal cierpi z tego powodu, zwłaszcza po tych chwilach spędzonych wspólnie w Blackpool. „Tego wieczoru, gdy zabrali Johna – powiedział mi – występowałem w barze Cherry Tree w Blackpool. Śpiewałem piosenkę Ala Jolsona pod tytułem *Little Pal*[19]. Zastąpiłem tytułowy fragment słowami »Mały John« i miałem łzy w oczach”.

Nigdy nie wiedziałem, czy mogę do końca wierzyć Freddiemu, więc część jego opowieści pominąłem. Nie miałem oczywiście możliwości, żeby potwierdzić prawdziwość jego słów, choć wydaje mi się, że przesada w jego relacjach jest dla czytelnika dość wyrazista, zwłaszcza gdy nazywa się „najlepszym kelnerem” i mówi, że matka Julii kochała go „do cna”. A może to wszystko prawda?

Powtórzyłem Johnowi to, co opowiadał mi Freddie o jego młodości i obecnej trudnej sytuacji materialnej, o życiu w skrajnej biedzie, chodzeniu od hotelu do hotelu w poszukiwaniu pracy i od baru do baru, gdzie występuje w zamian za drinka. Niektóre z tych opowieści obudziły w Johnie wspomnienia rozmów z Julią, która opowiadała mu o początkach swego małżeństwa z ojcem Johna. „Wydaje mi się, że przeżyli ze sobą wiele fajnych chwil – powiedział John. – Nie darzę go już tak silną nienawiścią jak kiedyś. Pewnie Julia była w równej mierze odpowiedzialna za ich rozstanie. Gdybym nie został Beatlesem, pewnie skończyłbym tak jak Freddie”. Pamiętam, że wówczas śmiałem się z tego, ale chyba jest w tym ziarno prawdy. Jakoś trudno wyobrazić mi sobie Johna, który

odnajduje się w normalnej pracy, w hierarchii biurowej, a nawet w roli artysty czy projektanta – nie żeby w ogóle pozdawał jakiekolwiek egzaminy w Art College. Bardzo szybko by się znudził. Nie widzę powodów, dlaczego nie miałby skończyć jako żul.

Pewnego wieczoru zadzwonił John z prośbą o numer do Freddiego. Niestety mogłem mu dać tylko numer do hotelu, bo Freddie spał u kogoś kątem i nie miał telefonu. John nie chciał dzwonić do hotelu, więc sam skontaktowałem się z Freddiem, a potem ponownie spotkałem się z nim. Przekazałem mu, że John chciałby się z nim zobaczyć, ale chce, żeby to pozostało w tajemnicy, żeby nie dowiedziała się prasa albo, co gorsza, Mimi.

Ustalono termin spotkania. Panowie bardzo się polubili. John stwierdził, że Freddie jest przezabawny, co zachęciło ojca do opowiadania jeszcze bardziej niestworzonych historii o jego życiu i ciężkim położeniu. John zaczął dawać Freddiemu pieniądze, dosłownie wciskając mu w dłonie zwitki banknotów, a gdy dowiedział się, że Freddie nie ma gdzie mieszkać, zaproponował, żeby na jakiś czas zatrzymał się u niego. Ostatecznie załatwił mu mieszkanie. Freddie, wreszcie przy forsie, był wniebowzięty i od razu wprowadził się tam ze swoją dziewiętnastoletnią dziewczyną, z którą miał się zamiar ożenić – tak mi przynajmniej powiedział. W ramach podziękowania za pomoc w pojednaniu ojca z synem dostałem od Freddiego bardzo miły list i zdjęcie z młodości. Marzyłem, by taka fotografia pojawiła się w książce, ale niestety przyszła za późno. Na zdjęciu Freddie ubrany jest w więzienny pasiak, stoi na pokładzie statku, a w dłoniach trzyma numer. Musiał mieć wtedy jakieś czterdzieści lat – tyle co John w chwili śmierci. Podobieństwo jest uderzające. Książka była już w składzie, gdy nawiązałem kontakt z Freddiem, i pewnie dlatego ten pierwszy rozdział jest taki poszarpany i nierówny. Przed oddaniem tekstu do druku wcisnąłem tyle cytatów z Freddiego, ile tylko się dało.

Cała książka jest raczej „wyboista”. Gdybym miał ją pisać od nowa, starałbym się popracować nad stylem, wygładzić i spojrzeć na wszystko i wszystkich w szerszym kontekście. Ale czy na pewno? Może jej wartość polega właśnie na tym, że jest świadectwem swojego czasu – niezmienioną relacją z tego niesamowitego okresu, naocznym świadkiem narodzin fenomenu, jego rozwoju i upadku, choć tego nie mogliśmy wówczas wiedzieć. Może to i lepiej. Po czasie jesteśmy wszyscy bardzo mądrzy, aż za mądrzy. Oto prosta opowieść o Beatlesach, tak jak to wszystko było w roku 1968. Mam nadzieję, że widowisko Wam się spodoba[20].

Hunter Davies, 2009

Część 1

Rozdział 1
John

Fred Lennon, ojciec Johna, wychowywał się bez rodziców. Uczęszczał do szkoły Bluecoat w Liverpoolu, która w owym czasie przyjmowała w swe szeregi sieroty. Fred wspomina, że wsadzono go w galowy mundurek, który zdjął, kiedy stał się doskonale wyedukowany. Został sierotą w wieku dziewięciu lat, gdy w 1921 roku zmarł jego ojciec – Jack Lennon. Jack urodził się w Dublinie, ale większość życia spędził w Ameryce jako zawodowy śpiewak. Należał do pierwszego składu grupy Kentucky Minstrels[21]. Po zakończeniu kariery osiedlił się w Liverpoolu, gdzie na świat przyszedł Fred.

W wieku piętnastu lat Fred wyszedł z sierocińca z solidną porcją wiedzy i dwoma garniturami na nową drogę życia – został gońcem. „Pomyślicie, że się przechwalam, ale zaledwie po tygodniu pracy mój szef poprosił o skierowanie do niego kolejnych trzech chłopców z sierocińca. Powiedział, że jeśli będą choć w połowie tak energiczni jak ja, to nadadzą się idealnie. Uwielbiali mnie w tej pracy". Uwielbiany czy nie, po roku Fred porzucił posadę w biurze na rzecz morza. Najpierw pływał w charakterze chłopca na posyłki, a następnie pracował jako kelner. Twierdzi, że był najlepszym ze wszystkich kelnerów, choć brakowało mu ambicji. Według jego własnej relacji był tak rozchwytywany, że statki nie chciały opuszczać portu Liverpool bez Freddiego Lennona na pokładzie.

Fred zaczął się spotykać z Julią Stanley na krótko przed tym, jak rozpoczęła się jego wielka morska kariera. Poznali się zaledwie tydzień po opuszczeniu przez Freda sierocińca.

„To było cudowne spotkanie. Miałem na sobie jeden z moich nowych garniturów. Siedzieliśmy sobie z kumplem w parku Sefton. Uczył mnie, jak

podrywać dziewczyny. Wcześniej zakupiłem już cygarniczkę i melonik, czując, że to może robić wrażenie. Była tam taka jedna panna, która wpadła nam w oko. Gdy przespacerowałem się obok niej, powiedziała: »Wyglądasz śmiesznie«, a ja na to: »A ty pięknie« i usiadłem przy niej. Wszystko było takie niewinne. Nie miałem wówczas pojęcia o tych sprawach. Powiedziała, że jeśli chcę siedzieć u jej boku, muszę zdjąć ten durny kapelusz. Więc zdjąłem. Wrzuciłem go do jeziora i od tej chwili aż po dziś dzień nie miałem kapelusza na głowie".

Fred i Julia spotykali się w przerwach między rejsami przez dziesięć kolejnych lat. Fred twierdzi, że matka Julii „oszalała na jego punkcie", za to ojciec nie darzył go szczególną sympatią, ale to on nauczył córkę grać na banjo. „Często graliśmy i śpiewaliśmy wspólnie. Dziś bylibyśmy na szczycie jak nic. Pewnego dnia Julia zaproponowała: »Chodź się pobierzmy«. Odparłem, że trzeba najpierw dać na zapowiedzi i w ogóle zabrać się do tego porządnie, a ona na to: »Założę się, że tego nie zrobisz«, więc zrobiłem. Dla draki. Całe to branie ślubu to był jeden wielki ubaw". Rodzina Stanleyów widziała to jednak trochę inaczej. „Wiedzieliśmy, że Julia spotyka się z Alfredem Lennonem – wspomina Mimi, jedna z sióstr Julii. – Owszem, przyznaję, był całkiem przystojny, ale nie mieliśmy złudzeń, że za wiele pożytku to z niego nie będzie, zwłaszcza dla Julii".

Ślub odbył się w urzędzie stanu cywilnego przy ulicy Mount Pleasant 3 grudnia 1938 roku. W ceremonii nie brali udziału rodzice żadnej ze stron. Jako pierwszy zjawił się Fred – już o dziesiątej rano czekał przed hotelem Adelphi. Ponieważ nigdzie nie było widać Julii, postanowił pójść do brata, spróbować pożyczyć funta. Po powrocie okazało się, że Julia nadal nie dotarła na miejsce, więc zadzwonił do kina Trocadero. Julia spędzała tam sporo czasu, bo zawsze fascynował ją świat kina i estrady. Nigdy nie była pracownicą Trocadero, choć przy wypełnianiu aktu ślubu w rubryce zawód dla żartu wpisała „bileterka kinowa". „Telefon odebrała jedna z jej koleżanek z Troc – wspomina Fred. – One wszystkie mnie tam kochały.

Każda z nich mawiała: »Gdybyś kiedyś odkochał się w Julii, będę czekać«”.

Ostatecznie Julia przybyła na ceremonię, a w ramach „miesiąca miodowego” para wybrała się na seans filmowy. Po ślubie zarówno Julia, jak i Fred wrócili do swoich domów, a na drugi dzień pan młody wyruszył w kolejny rejs – tym razem do Indii Zachodnich, na trzy miesiące. Julia została w domu rodzinnym, gdzie i Fred pomieszkiwał przez kolejny rok, gdy wracał na suchy ląd. Po jednej z takich wizyt Julia odkryła, że jest w ciąży. Było to latem 1940 roku. Liverpool był intensywnie bombardowany, za to nikt nie wiedział, gdzie jest Fred Lennon.

Gdy rozpoczął się poród, Julię przywieziono do szpitala położniczego przy Oxford Street. Mały chłopiec przyszedł na świat podczas nalotu bombowego, 9 października 1940 roku o wpół do siódmej wieczorem i otrzymał imiona John Winston. Winston był wynikiem spontanicznego przypływu patriotyzmu, natomiast imię John wybrała mu ciocia Mimi, która po raz pierwszy zobaczyła go już dwadzieścia minut po narodzinach. „Jak tylko ujrzałam Johna – wspomina Mimi – przepadłam z kretesem. Chłopiec! Nie mogłam się nacieszyć. Nie mogłam też przestać się nim zachwycać, prawie zupełnie zapominając o Julii, która skwitowała to słowami: »Ja w sumie tylko go urodziłam«”.

Gdy John miał osiemnaście miesięcy, Julia udała się do kantorka portowego odebrać pieniądze, które jakimś cudem co jakiś czas przysyłał jej Fred. Powiedziano jej jednak, że przekazy się skończyły. „Alfred uciekł z tonącego okrętu – komentuje Mimi. – Nikt z nas nie miał pojęcia, co się z nim stało”. Pojawił się wprawdzie ponownie, ale małżeństwo było już dawno skończone, mimo że oficjalnie rozstali się dopiero rok później. Julia w końcu poznała innego mężczyznę, za którego zdecydowała się wyjść za mąż. „Nie byłoby jej łatwo wchodzić w nowy związek z Johnem na ręku, więc ja go przygarnęłam. Naturalnie sama tego chciałam i było to chyba najrozsądniejsze wyjście w tej sytuacji. John potrzebował przecież jakiegoś

stałego punktu zaczepienia i kochającej rodziny. W sumie i tak od początku czuł się u mnie jak w drugim domu. Zarówno Julia, jak i Fred zgodzili się na adopcję i mam nawet potwierdzające to listy od każdego z nich, ale nigdy nie udało mi się zaciągnąć ich do biura, by podpisali oficjalną zgodę".

Naturalnie historia tego małżeństwa i rzekomej „dezercji" przedstawiona przez Freda Lennona nieco odbiega od powyższej wersji. Fred twierdzi, że wybuch wojny zastał go w Nowym Jorku. Tam też dowiedział się, że ma zostać przeniesiony na statek typu „Liberty"[22] w charakterze pomocnika stewarda, a nie, jak do tej pory, głównego kelnera. „To oznaczało, że straciłbym pozycję marynarza. Nie obchodziło mnie za bardzo, że zaangażuję się w tę wojnę, ale przecież nie mogłem sobie pozwolić na utratę statusu marynarza, prawda? Kapitan statku pasażerskiego, na którym wówczas pływałem, doradził mi, co zrobić. Powiedział: »Freddy, urżnij się i spóźnij się rano na statek«".

Tak też Fred zrobił, w wyniku czego trafił do aresztu na wyspie Ellis. Tam ponownie kazano mu zaciągnąć się na „liberciaka", ale Fred upierał się, że chce nadal pracować jako główny kelner na statku „Queen Mary". Ostatecznie doprowadzono go siłą na statek płynący do Afryki Północnej. Po zejściu na ląd Fred trafił prosto do więzienia.

„Jeden z kucharzy okrętowych powiedział mi pewnego dnia, że w kajucie ma alkohol i mogę sobie wziąć butelkę. Właśnie opróżniałem jej zawartość, gdy napatoczyła się policja. Rzekomo napocząłem przewożony ładunek. Bzdura. To wszystko wydarzyło się jeszcze zanim wyszliśmy w morze, ale na ląd pozwolono zejść całej załodze oprócz mnie. Podobno ukradłem, bo nie próbowałem ustalić właściciela. Usiłowałem się bronić, ale na nic się to zdało".

Fred spędził w więzieniu trzy miesiące. Twierdzi, że to wówczas przekazy pieniężne do Julii się skończyły. Nie miał jej czego wysyłać, ale

podobno posłał jej kilka listów. „Uwielbiała moje listy. Pisałem jej, że jest wojna i żeby lepiej korzystała z życia. To był mój największy błąd w życiu. Zaczęła tak bardzo korzystać, że w końcu kogoś poznała. I pomyśleć, że to ja ją do tego zachęciłem”.

John niewiele pamięta z okresu, który spędził w domu Stanleyów, gdy opiekowała się nim mama, a tata pływał po morzach, choć to nic dziwnego, bo mógł mieć wówczas najwyżej cztery latka. „Pewnego dnia dziadek zabrał mnie na spacer do Pier Head[23]. Na nogach miałem nowe buty, które strasznie mnie obcierały. Dziadek wyciągnął scyzoryk i przeciął obydwa buty na piętach, żeby wygodniej mi się szło”. John twierdzi, że z opowieści mamy wynikało, że spędziła z jego ojcem wiele cudownych chwil. „Opowiadała mi, że nieustannie się wygłupiali i śmiali. Wydaje mi się, że Fred był bardzo lubianą osobą. Wysyłał nam listy koncertowe ze statków, na których przy piosence *Begin the Beguine*[24] widniało jego nazwisko jako wykonawcy”.

Z relacji sióstr wynika, że Julia również uwielbiała śpiewać. „Była radosna, dowcipna i pełna zabawnych pomysłów – wspomina Mimi. – Ani do życia, ani do czegokolwiek innego nie podchodziła zbyt poważnie. Dla niej wszystko było zabawą, za to kompletnie nie potrafiła poznać się na ludziach, dopóki nie było za późno. Częściej to ona padała ofiarą ludzkich grzeszków, niż sama grzeszyła”.

Fred wrócił na morze, gdy Julia zamieszkała na stałe z innym mężczyzną, a John z Mimi. Podczas jednej z wizyt na lądzie postanowił odwiedzić syna. „Zadzwoniłem z Southampton i rozmawiałem z Johnem przez telefon. Miał wtedy chyba pięć lat. Pytałem go, co chciałby robić, gdy dorośnie, o tego typu rzeczy. Mówił przepiękną angielszczyzną. Gdy wiele lat później usłyszałem jego liverpoolski akcent, byłem przekonany, że to taka poza”. Fred przyjechał do Liverpoolu, bo, jak sam twierdzi, potwornie martwił się o Johna. „Zapytałem go, czy miałby ochotę pojechać ze mną do

Blackpool[25], pójść do wesołego miasteczka i pobawić się w piasku nad morzem. Był zachwycony. Spytałem Mimi o pozwolenie. Powiedziała, że nie ma serca nam odmówić. No więc zabrałem Johna, choć wcale nie miałem zamiaru przywieźć go z powrotem".

Fred i pięcioletni John zatrzymali się na kilka tygodni u znajomego. „W tamtym okresie miałem kupę kasy. Takie to były czasy tuż po wojnie. Brałem udział w licznych machlojkach, głównie zajmowałem się sprowadzaniem pończoch na czarny rynek. Pewnie do dziś w Blackpool sprzedają towary, które przemyciłem". Znajomy Freda planował właśnie wyjazd na stałe do Nowej Zelandii, więc Fred postanowił popłynąć z nim. Przygotowania dopięte były na ostatni guzik, gdy pewnego dnia w drzwiach domu zjawiła się Julia. „Powiedziała, że przyjechała po Johna i że teraz ma wreszcie przytulny dom, do którego może go zabrać. Ja z kolei odparłem, że zdążyłem przyzwyczaić się do niego i że chcę go zabrać ze sobą do Nowej Zelandii. Widziałem, że Julia nadal mnie kocha. Spytałem więc, czemu nie pojedzie z nami. Powiedziałem, że moglibyśmy zacząć wszystko od nowa. Nie zgodziła się. Chciała tylko odzyskać Johna. Zaczęliśmy się kłócić i w końcu zaproponowałem, żebyśmy pozwolili zdecydować Johnowi. Zawołałem go. Przybiegł i wskoczył mi na kolana. Przywarł do mnie, pytając, czy ona wraca. Nic w tym dziwnego, że tego właśnie chciał. Zaprzeczyłem i powiedziałem, że musi wybrać, z kim chce zostać. Wybrał mnie. Julia spytała jeszcze raz, ale John ponownie wskazał na mnie. Skierowała się do drzwi, ale gdy już prawie była na ulicy, John poderwał się i pobiegł za nią. Odtąd nie widziałem go ani nie miałem od niego żadnych wiadomości, dopóki ktoś nie powiedział mi, że jest jednym z Beatlesów".

John wrócił z mamą do Liverpoolu, ale nie zamieszkał z nią. Okazało się, że to ciocia Mimi chciała go odzyskać. Tak więc tym razem na dobre zamieszkał z nią i jej mężem George'em w bliźniaku przy Menlove Avenue,

w Woolton, na przedmieściach Liverpoolu. „Nigdy nie opowiadałam Johnowi o jego rodzicach – mówi Mimi. – Po prostu chciałam mu tego wszystkiego oszczędzić. Może byłam nadopiekuńcza. Nie wiem. Chciałam tylko jego szczęścia”. John był bardzo wdzięczny Mimi za to, co dla niego zrobiła. „Była dla mnie bardzo dobra. Pewnie przeraziły ją warunki, w jakich musiałem dorastać, i założę się, że ciągle im [rodzicom] przypominała, żeby pamiętali o bezpieczeństwie dziecka. Przypuszczam, że w końcu pozwolili jej się mną zaopiekować, bo jej ufali”.

John szybko zadomowił się u Mimi. Wychowała go jak własne dziecko. Była surowym opiekunem i nie pozwalała na głupoty, ale nigdy na niego nie krzyknęła ani nie podniosła ręki, uznając takie zachowanie za dowód słabości rodzica. Najgorszą karą, do jakiej się posuwała, było ignorowanie go. „Nienawidził tego. Zawsze mówił: »Mimi, nie gnoruj mnie«”. Jednocześnie Mimi nie ograniczała jego osobowości. „Zawsze byliśmy rodziną indywidualistów. Moja mama nie wierzyła w potęgę konwencjonalnych zachowań i ja również w nią nie wierzę. Nigdy nie nosiła obrączki, podobnie jak ja. Niby po co?”.

Najsłabszym ogniwem, któremu zdarzało się rozpieszczać Johna, był wujek George, prowadzący rodzinny interes mleczarski. „Nierzadko znajdowałam liściki, które John wkładał George’owi pod poduszkę. »Kochany wujku, wykąpiesz mnie dziś zamiast cioci?« albo »Kochany wujku, weźmiesz mnie do kina?«”. Mimi godziła się zaledwie na dwa tego typu wyjścia w roku – na bożonarodzeniową pantomimę wystawianą w Liverpool Empire oraz latem na jeden z filmów Disneya. Ale było też sporo pomniejszych rozrywek, jak choćby Strawberry Fields, czyli lokalny dom kultury dla dzieci prowadzony przez Armię Zbawienia, gdzie każdego lata odbywał się wielki piknik. „Jak tylko odzywały się odgłosy orkiestry Armii Zbawienia, John zaczynał podskakiwać i krzyczał: »Mimi, chodź już, bo się spóźnimy«”.

Pierwszą szkołą Johna była podstawówka Dovedale. „Pan dyrektor Evans powiedział mi kiedyś, że John ma umysł ostry jak brzytwa. Potrafi zrobić wszystko, jeśli tylko chce. Za to nie znosi czynności nudnych i pospolitych”. Zaledwie po pięciu miesiącach spędzonych w szkole, a także dzięki pomocy wujka George’a, John potrafił czytać i pisać, choć jego ortografia już wtedy pozostawiała wiele do życzenia. Przykładowo w jego wydaniu „ospa wietrzna” była „ospą wieczną”. „Pojechał kiedyś na wakacje do mojej siostry, mieszkającej w Edynburgu, skąd przysłał mi pocztówkę z takimi oto słowami: »Kończy misie kasa«. I tak zrozumiałam, co chciał powiedzieć”.

Mimi osobiście chciała zaprowadzać i odbierać Johna ze szkoły, ale ten już po trzecim dniu powiedział jej, że tylko robi mu wstyd i zabronił jej chodzić ze sobą. Musiała uciekać się do śledzenia. Podążała za nim w odstępie mniej więcej dwudziestu metrów, by mieć pewność, że nic mu nie grozi.

„Do jego ulubionych piosenek należały *Let Him Go, Let Him Tarry* oraz *Wee Willie Winkie*. Miał ładny głos. Śpiewał w chórze kościoła pod wezwaniem Świętego Piotra w Woolton. Zawsze uczęszczał do szkółki niedzielnej, a w wieku piętnastu lat z własnej woli przystąpił do bierzmowania. Nigdy nie zmuszaliśmy go do chodzenia do kościoła. Sam wykazywał zainteresowanie religią aż do wieku nastoletniego”.

Do czternastego roku życia Mimi dawała mu tylko pięć szylingów kieszonkowego. „Chciałam nauczyć go wartości pieniądza, ale jakoś nie działało”. By zdobyć dodatkowe fundusze, John musiał na nie zapracować, pomagając w ogrodzie. „Nie chciał tego robić, chyba że był już naprawdę w finansowym dołku. Dało się wtedy słyszeć z impetem otwierane drzwi do szopy, z której wyciągał kosiarkę. Pędził z nią po trawniku na przestrzeni metra kwadratowego z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, po czym wpadał do domu po pieniądze. Te jednak same w sobie

przedstawiały dla niego niewielką wartość. Nie dbał o nie. Gdy miał cokolwiek, wydawał wszystko niezwykle lekką ręką”.

John zaczął pisać własne książeczki w wieku siedmiu lat. Mimi nadal ma ich całą stertę. Pierwsza seria nosiła tytuł *Sport i pęd – w opracowaniu i z ilustracjami J.W. Lennona*[26], a zawierała dowcipy, historyjki obrazkowe, rysunki oraz wklejane zdjęcia gwiazd filmowych i piłkarzy. Była to opowieść w odcinkach, a cotygodniowe wydanie kończyło się słowami: „Jeśli wam się podobało, bądźcie z nami za tydzień, będzie jeszcze lepiej”.

„Uwielbiałem *Alicję w Krainie Czarów* i rysowałem wszystkie postaci. Pisałem też wiersze w stylu *Dżabbersmoka*[27]. Dosłownie żyłem przygodami Alicji oraz bohatera serii *Just William*. Pisałem własne williamowe opowieści, których sam byłem bohaterem. Gdy z czasem zacząłem pisać poważniejsze, bardziej emocjonalne wiersze, stosowałem sekretny charakter pisma, zupełnie nieczytelny, żeby Mimi nie mogła ich przeczytać. Tak, pod twardą skorupą musiała jednak kryć się wrażliwa dusza. O *Czym szumią wierzby* – uwielbiałem tę książkę. Czytałem ją wielokrotnie i odgrywałem opisywane w niej wydarzenia. To był jeden z powodów, dla których chciałem mieć własną bandę w szkole. Chciałem, żeby inni bawili się w to, co ja im zaproponuję – w to, o czym czytałem w książkach”.

Jako dziecko miał blond włosy i był podobny raczej do rodziny ze strony matki. Ludzie zawsze brali go za syna Mimi, co bardzo ją cieszyło. W przypadku nieznajomych nigdy nie zaprzeczała. Mimi była szalenie opiekuńcza i z tego nadmiaru troski nie pozwalała mu się zadawać z tak zwanymi „prostymi chłopcami”. „Pewnego dnia, idąc wzdłuż Penny Lane, zauważyłam grupę chłopców otaczających wianuszkiem dwóch bijących się kolegów. »Zupełnie jak ci prości obszarpańcy«, powiedziałam. Byli z innej szkoły niż John. Gdy w końcu się rozstąpili, z kotłowaniny wyłoniło się paskudne chłopaczysko w zwisającym luźno płaszczu. Ku mojemu

przerażeniu rozpoznałam w nim nie kogo innego jak swojego siostrzeńca. John lubił, gdy opowiadałam mu tę historię. »Cała ty. Wszyscy dookoła to prostaki«, mawiał wtedy”. Mimi wspomina, że we wszelkich zabawach na podwórku John zawsze musiał być przywódcą.

W szkole natomiast było jeszcze gorzej. Miał własną bandę, w wyniku czego stale się z kimś bił, by bronić swojej pozycji lidera. Ivan Vaughan i Pete Shotton – jego najbliżsi kumple – wspominają, że John bez przerwy brał udział w bójkach. Mimo że Mimi zabraniała mu kolegować się z większością chłopców, tych dwóch akurat lubiła, ponieważ mieszkali w tej samej okolicy.

„Biłem się właściwie przez całą podstawówkę, a tych większych od siebie pokonywałem w wojnie psychologicznej. Straszyłem ich, mówiąc, że bez problemu dam im radę, a oni mi wierzyli. Chodziłem też z jednym kumplem kraść jabłka. Przemieszczaliśmy się razem po mieście na zderzakach tramwajów jeżdżących wzdłuż Penny Lane. Przemierzaliśmy tak kilometry, nie płacąc ani grosza. Srałem w gacie ze strachu na tych zderzakach. Byłem królem wśród moich rówieśników, bo w dzieciństwie nauczyłem się sprośnych kawałów od takiej jednej dziewczyny z sąsiedztwa. Moja banda zajmowała się też takimi rzeczami jak drobne kradzieże w sklepach czy ściąganie dziewczynom majtek. Gdy robiło się gorąco, ja w przeciwieństwie do pozostałych nigdy nie dawałem się złapać. Czasami się bałem, ale Mimi była jedynym opiekunem, który o niczym nie wiedział. Za to rodzice innych dzieciaków mnie nie znosili. Zabraniali im się ze mną kolegować, bo zawsze byłem pyskaty w obecności dorosłych. Większość nauczycieli też mnie nienawidziła. Z czasem przerzuciliśmy się z podkradania w sklepach bezużytecznych rzeczy jak cukierki na podbieranie fajek, w takich ilościach, żebyśmy jeszcze mogli je sprzedać”.

Pozornie John wychował się w porządnej rodzinie, z kochającą, dobrą, choć surową Mimi. Mimo że ona nie opowiedziała mu jego historii, John zachował kilka mglistych wspomnień z wczesnego dzieciństwa i wraz z

upływem czasu w jego głowie powstawało coraz więcej pytań bez odpowiedzi. „Podczas wizyt Julii raz czy dwa próbował wypytywać mnie o różne rzeczy – wspomina Mimi. – Nie chciałam go jednak wtajemniczać w całą tę sprawę. Jakże bym mogła? Był taki szczęśliwy. Przyznanie, że z jego ojca był ladaco, a matka znalazła sobie kogoś innego, byłoby błędem. John był taki radosny, stale śpiewał”.

John pamięta, że gdy w dzieciństwie zaczął podpytywać Mimi, ta zawsze udzielała tych samych odpowiedzi. „Mówiła, że rodzice po prostu się odkochali. Nigdy nie powiedziała niczego przeciwko matce czy ojcu. Ojca dość szybko zapomniałem. Było zupełnie tak, jakby umarł. Ale mamę widywałem od czasu do czasu i moje uczucia do niej nigdy nie wygasły. Często sobie o niej myślałem, choć długo nie zdawałem sobie sprawy, że mieszkała zaledwie kilkanaście kilometrów dalej. Pewnego dnia mama przyszła do nas w odwiedziny w czarnym płaszczu i z zakrwawioną twarzą. Miała jakiś wypadek. Nie mogłem sobie z tym poradzić. Wiedziałem, że oto przede mną siedzi moja mama i krwawi, ale musiałem wyjść do ogrodu. Kochałem ją, ale nie chciałem się angażować. Chyba byłem swego rodzaju emocjonalnym tchórzem. Chciałem ukryć uczucia”.

Johnowi mogło się wydawać, że potrafi tłumić emocje, ale Mimi i trzy inne ciotki – Anne, Elizabeth i Harriet – opowiadają, że w ich odczuciu John miał szalenie otwartą i pogodną naturę. Podobno był wyjątkowo szczęśliwym chłopcem.

Rozdział 2
John i The Quarrymen

Gdy w 1952 roku John rozpoczął naukę w Quarry Bank High School, była to niewielka podmiejska szkoła średnia w Allerton, na przedmieściach Liverpoolu, niedaleko domu Mimi. Założona w 1922 roku, nie była może aż tak duża i znana jak położony w centrum miasta Liverpool Institute, ale cieszyła się całkiem dobrą opinią. Dwóch spośród jej absolwentów – Peter Shore oraz William Rodgers – zostało ministrami w rządzie laburzystów[28].

Mimi bardzo się cieszyła, że John uczęszcza do szkoły blisko domu, a nie dojeżdża do miasta. W ten sposób mogła mieć go zawsze na oku. Pete Shotton z podstawówki również przeszedł do Quarry Bank, ale drugi przyjaciel Johna – Ivan Vaughan – uczęszczał do Institute, co dla niego było zbawiennym posunięciem. Ivan jako jedyny w grupie Johna interesował się nauką, ale wiedział, że jeśli pozostanie w tym towarzystwie, niewiele się nauczy. Niemniej po lekcjach nadal był członkiem bandy Johna. Wkrótce do grupy dołączyli inni chłopcy z jego nowej szkoły. „Najpierw przyprowadziłem ze sobą Lena Garry’ego, ale ogólnie nie wprowadzałem za wielu. Starannie dobierałem ludzi, których chciałem przedstawić Johnowi”.

John bardzo dokładnie pamięta swój pierwszy dzień w Quarry Bank. „Spojrzałem na setki nowych twarzy i pomyślałem: Chryste, trzeba się będzie bić z każdym z nich i to po tym, jak wreszcie pokonałem wszystkich w Dovedale. A było tam kilku niezłych osiłków. Pierwszą bójkę, w którą się wdałem, przegrałem. Straciłem panowanie nad sobą, gdy porządnie mnie zabolało. Nie żeby było w tym wszystkim za dużo walki. Najpierw trochę powrzeszczałem i poprzeklinałem, a potem dostałem w nos. Jak tylko pojawiała się krew, przestawaliśmy. Po tej bójce, gdy przypuszczałem, że

ktoś może mieć silniejszy cios niż ja, sugerowałem zapasy. Byłem agresywny, bo chciałem być lubiany. Chciałem być przywódcą. To znacznie lepsze niż bycie jednym z wielu wyjętych spod sztancy. Chciałem, żeby wszyscy mnie słuchali i robili to, co im każę. Żeby śmiali się z moich dowcipów i pozwolili mi stać na czele".

Już w pierwszej klasie został przyłapany na posiadaniu obscenicznych rysunków. „To wyrobiło mi opinię wśród nauczycieli". Wkrótce potem Mimi znalazła sprośny wiersz autorstwa Johna. „Znalazła go pod poduszką. Powiedziałem jej, że kolega zmusił mnie, żebym go dla niego przepisał, bo sam nie za dobrze włada długopisem. Oczywiście w rzeczywistości sam go napisałem. Czytałem wcześniej kilka takich wierszy – tych, co to się czyta, żeby ci stanął. Zastanawiałem się, kto je pisał, a potem postanowiłem sam spróbować. Chyba początkowo próbowałem przykładać się do nauki, podobne próby podejmowałem zresztą w Dovedale. Tam przynajmniej zawsze byłem szczery i przyznawałem się do wszystkiego. Ale w liceum zorientowałem się, że to głupia strategia, bo nauczyciele mają cię w garści. Więc zacząłem kłamać jak najęty".

Od końca pierwszej klasy sytuacja w szkole przebiegała według ustalonego scenariusza: Lennon i Shotton kontra reszta szkoły. Chłopcy ustawicznie odmawiali posłuszeństwa i stosowania się do zasad. Pete uważa, że pewnie bez wiernego sprzymierzeńca w osobie Johna poddałby się i podporządkował regulaminowi, natomiast John na pewno by tego nie zrobił. „We dwójkę dużo łatwiej jest bronić własnego zdania – mówi Pete. – Zawsze jest ktoś, z kim można pośmiać się z własnej porażki. Właściwie to śmialiśmy się bez przerwy. Śmiejąc się, przebrnęliśmy przez całą szkołę. Było super".

Pete przyznaje, że z perspektywy czasu ich ekscesy nie brzmią może aż tak zabawnie jak kiedyś, ale nadal wywołują uśmiech na jego twarzy, gdy wraca pamięcią do tamtych dni. „To musiało być jakoś na samym początku szkoły, gdy pierwszy raz wylądowaliśmy na dywaniku u dyrektora. Siedział

za biurkiem, gdy weszliśmy. Rozstawił nas po swojej prawej i lewej stronie i krzyczał na nas w najlepsze, gdy nagle John zaczął smyrać go po włosach. Gość był prawie łysy, ale na czubku głowy zostało mu kilka pojedynczych kosmyków. Nie zorientował się, skąd pochodzi łaskotanie, i co chwilę podnosił rękę, by podrapać się po głowie, nie przerywając oczywiście swojej tyrady. To było straszne. Ja zgiąłem się wpół ze śmiechu, a John normalnie zsikał się w gacie. Poważnie. Siki zaciękły spływać mu po nogach, bo miał na sobie szorty, stąd wniosek, że byliśmy jeszcze całkiem mali. W końcu na podłodze pojawiła się kałuża, a dyrektor rozejrzał się i pyta: »Co to? Co to?«".

John miał talent artystyczny i dobrze go wykorzystywał. Pete z kolei interesował się matematyką, czego John bardzo mu zazdrościł, ponieważ sam nie miał smykałki do liczb, więc zawsze próbował Pete'owi przeszkadzać. „Rozpraszał mnie, kładąc przede mną przeróżne rysunki. Niektóre były sprośne, ale większość po prostu była zabawna, więc parskałem na ich widok śmiechem. »Proszę pana, niech pan popatrzy na Shottona«, wołała reszta klasy, gdy ja tymczasem zwijałem się ze śmiechu. Gdy lądowałem przy tablicy, a nauczyciel akurat stał tyłem do klasy, John podnosił się z miejsca i na tle jego pleców pokazywał mi jakiś zabawny rysunek. Byłem bez szans. Nie potrafiłem opanować śmiechu".

Nawet gdy wylądowali u dyrektora na pierwsze lanie, John nadal wyglądał, jakby władza nie robiła na nim najmniejszego wrażenia, nawet jeśli była to tylko poza. „Najpierw wezwano Johna, a ja czekałem za drzwiami – opowiada Pete. – To była istna męka. Byłem cały spięty i martwiłem się, co się za chwilę ze mną stanie. Czekałem zaledwie kilka minut, ale miałem wrażenie, że minęło kilka godzin. W końcu drzwi się otworzyły i pojawił się John. Szedł na czworakach, wydając z siebie przeraźliwe jęki. Na ten widok parsknąłem śmiechem. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że do pokoju dyrektora prowadziło dwoje drzwi, a John gramolił się z małego przedsionka, więc z samego gabinetu nie było go w

ogóle widać. Przyszła kolej na mnie. Musiałem wejść do dyrektora, choć ciągle nie mogłem powstrzymać śmiechu, a takie zachowanie nie wróży niczego dobrego”.

Z roku na rok John zachowywał się coraz gorzej. Zaczął szkołę jako jeden z lepszych uczniów, ale zanim doszedł do trzeciej klasy, został zdegradowany do grupy „tych złych”. Jego świadectwa pełne były uwag typu: „Beznadziejny”. „Błazen klasowy”. „Szokujące”. „Tylko marnuje czas innych uczniów”. Pod spodem znajdowało się miejsce na uwagi od rodziców. Na tym konkretnym Mimi dopisała: „Sześć razy przez kolano”. Mimi stale zwracała mu uwagę w domu, ale nie miała pojęcia, jak fatalnie zachowywał się w szkole. „Tylko raz dostałem lanie od Mimi. Za to, że wziąłem jej pieniądze z portfela. Zawsze podbierałem jej drobne na głupoty typu samochodziki, ale tego dnia musiałem wziąć za dużo”.

John i wujek George z kolei dogadywali się coraz lepiej. „Świetnie się rozumieliśmy. Był dobry i życzliwy”. Jednak w czerwcu 1953 roku, gdy John miał już prawie trzynaście lat, George zmarł na skutek wylewu. „To się wydarzyło nagle pewnej niedzieli – wspomina Mimi. – George nigdy nie opuścił ani jednego dnia w pracy z powodu choroby. John bardzo go kochał, podczas naszych sprzeczek George zawsze stawał po jego stronie. Często razem wychodzili. Czasem nawet im zazdrościłam, że się razem tak dobrze bawią. Myślę, że śmierć George’a niezwykle wstrząsnęła Johnem, choć nigdy tego nie okazał”.

„Nie wiedziałem, jak można okazać smutek publicznie – mówi John. – Nie miałem pojęcia, co się wtedy robi albo mówi, więc poszedłem sam na górę do swojego pokoju. Potem przyjechała kuzynka i dołączyła do mnie. Dostaliśmy napadu śmiechu. Chichraliśmy się bez końca. Miałem potem ogromne poczucie winy”.

W bezpośrednim okresie po śmierci wujka ktoś inny zaczął odgrywać w życiu Johna coraz większe znaczenie – jego mama Julia. Utrzymywała regularny kontakt z Mimi, choć Mimi bardzo niewiele opowiadała o niej

Johnowi. Matka oczywiście z ciekawością patrzyła, jak jej syn się rozwija, rośnie i jak kształtuje się jego charakter. Nastoletni wówczas John z kolei fascynował się nią jeszcze bardziej. Julia urodziła swojemu drugiemu mężowi dwie córki. „To Julia dała mi pierwszą kolorową koszulę – wspomina John. – Zacząłem odwiedzać ją w nowym domu. Poznałem jej nowego faceta, ale nieszczególnie go polubiłem. Mówili na niego Nerwus, chociaż w sumie gość był w porządku. Zacząłem traktować Julię jak młodszą ciotkę albo starszą siostrę. Im byłem starszy, tym częściej kłóciłem się z Mimi. Często wprowadzałem się do Julii na cały weekend".

Zarówno Pete Shotton, jak i Ivan Vaughan, dwóch najwierniejszych kumpli Johna, wyraźnie pamiętają, że Julia stawała się coraz ważniejszą figurą w życiu Johna i wywierała coraz większy wpływ na całą ich trójkę. Pete wspomina, że opowieści o Julii zintensyfikowały się, gdy chłopcy byli w drugiej lub trzeciej klasie Quarry Bank. Do tej pory z każdej strony słyszeli tylko ostrzeżenia, jakie to okropne rzeczy czekają ich w życiu. Rodzice Pete'a i ciocia Mimi stale przestrzegali przed przyszłością. Chłopcy śmiali się z tego czarnowidztwa. A potem pojawiła się Julia i otwarcie śmiała się razem z nimi. Śmiali się z nauczycieli, z rodziców, ze wszystkiego. „Była świetna – mówi Pete. – Totalny luz. Ciągle mawiała: »Olej to«, gdy opowiadaliśmy jej, co nas rzekomo czeka. Kochaliśmy ją. Tylko ona z nich wszystkich była do nas podobna. Mówiła to, co chcieliśmy słyszeć. Wszystko, co robiła, robiła dla draki, zupełnie jak my".

Julia mieszkała w Allerton, więc chłopcy często wpadali do niej po szkole, a czasem ona odwiedzała ich. „Raz przyszła z pantalonami na głowie w charakterze chustki. Nogawki zwisały jej na ramiona. Udawała, że nie wie, o co chodzi, gdy ludzie przyglądali jej się podejrzliwie. Padliśmy ze śmiechu. Innym razem szliśmy sobie wszyscy ulicą, a Julia miała na nosie okulary bez szkieł. Zagadywała ludzi, ale oni niespecjalnie się orientowali, więc nagle w środku rozmowy zaczynała pocierać oko, wsadzając palec przez pustą oprawkę. Ludzie gapili się oniemiali".

Ivan uważa, że to właśnie Julia pomogła Johnowi stać się buntownikiem. Zachęcała go do bycia sobą, śmiejąc się ze wszystkiego, co robił, podczas gdy Mimi traktowała go niezwykle surowo, choć nie bardziej niż inne matki swoje dzieci. Po prostu próbowała uchronić go przed piciem i paleniem. Z czasem musiała trochę wyluzować, ale John i tak wolał Julię i to dlatego ciągle u niej pomieszkiwał. Julia była czarną owcą, albo przynajmniej najbardziej szaloną owcą w rodzinie. Chciała, by John był taki sam jak ona, choć on tak czy inaczej taki był.

John trafił do grupy 4C – po raz pierwszy do „C", czyli do grupy najsłabszych uczniów. „Tym razem naprawdę było mi wstyd, że wylądowałem z najbardziej tępymi osobnikami. W „B" nie było aż tak źle, bo do „A" chodzili sami nudziarze. Zacząłem też oszukiwać na sprawdzianach, ale nie było sensu rywalizować z tymi wszystkimi mongołami, więc szło mi tak samo słabo jak zawsze". Pete Shotton spadał w rankingu uczniów co roku razem ze swoim kumplem. „Jemu też zniszczyłem życie". Tuż przed zakończeniem czwartej klasy spadł na pozycję dwudziestą, czyli był na szarym końcu w klasie. „Bez dwóch zdań jest na dobrej drodze do niezdania", napisał jeden z nauczycieli na jego świadectwie.

Gdy John był w piątej klasie, w szkole pojawił się nowy dyrektor – pan Pobjoy. Szybko się zorientował, że Lennon i Shotton to pierwsze łobuzy w szkole, ale za to trzeba szczerze przyznać, że naprawdę złapał jakiś kontakt z Johnem, podczas gdy reszta nauczycieli nie miała już żadnego. Znali go zbyt dobrze. „To było prawdziwe utrapienie, nic tylko żarty i wygłupy. Naprawdę nie potrafiłem go zrozumieć. Przykro mi o tym mówić, ale raz sam spuściłem mu lanie. Przykro, bo sam jestem przeciwnikiem kar cielesnych. Taki system odziedziczyłem w spadku, ale szybko wycofałem bicie".

Pan Pobjoy był zaskoczony, gdy John oblał wszystkie przedmioty podczas egzaminu O-level[29]. „Myślałem, że da radę. Z każdego przedmiotu zabrakło mu jednej oceny wyżej, by zdać, i chyba właśnie dlatego postanowiłem pomóc mu dostać się do szkoły artystycznej. Wiedziałem, że jest w tym dobry, i uznałem, że zasługuje na drugą szansę". Gdy ważyły się dalsze losy Johna, Mimi poszła rozmówić się z dyrektorem. „Spytał, co zamierzam z nim zrobić. Ja na to: »Co wy zamierzacie? Mieliście go przez pięć lat«". Mimi spodobał się pomysł szkoły artystycznej, choć pewnie nie zdawała sobie sprawy, ile szczęścia miał John, że w ogóle się tam dostał. „Chciałam, żeby zdobył jakieś kwalifikacje, które pozwolą mu się utrzymać na przyzwoitym poziomie. Chciałam, żeby był kimś. W głowie ciągle kołatała mi się myśl o jego ojcu i o tym, jak skończył, ale tego oczywiście nie mogłam powiedzieć Johnowi".

Z perspektywy czasu John nie żałuje dziś absolutnie niczego ze swych lat szkolnych. „Okazało się, że to ja miałem rację. Oni wszyscy się mylili, a ja miałem rację. To oni ciągle tam tkwią, co nie? Więc to oni muszą być nieudacznikami. To byli głupi nauczyciele, wszyscy co do jednego, no może poza jednym czy dwoma. Nigdy nie zwracałem na nich uwagi. Ja po prostu uwielbiałem się dobrze bawić. Tylko jednemu nauczycielowi podobały się moje rysunki, zabierał je nawet ze sobą do domu. Szkoła powinna dawać człowiekowi czas na rozwój, zachęcać go do zgłębiania zainteresowań. Ja zawsze interesowałem się sztuką i przez wiele lat byłem najlepszy w klasie, ale jakoś żadnego z nauczycieli to nie obchodziło. Byłem rozczarowany, gdy oblałem sztukę na egzaminach O-level, ale ostatecznie to olałem. Oni chcieli tylko, żeby było porządnie, a ja nigdy nie byłem porządny. Często mieszałem wszystkie kolory. Jedno z zadań polegało na wykonaniu rysunku pod tytułem *Podróż*. Namalowałem garbusa całego pokrytego brodawkami. Naturalnie im się nie spodobało. Ogólnie muszę przyznać, że miałem szczęśliwe dzieciństwo. Owszem,

może i byłem agresywny, ale przynajmniej nie byłem nieszczęśliwy. Zawsze się śmiałem. W końcu i tak ciągle wyobrażałem sobie, że jestem bohaterem *Just William*".

Pod koniec szkoły John zainteresował się muzyką rozrywkową, choć Mimi nigdy tego nie pochwalała. Nie lubiła, gdy śpiewał piosenki pop, których jako mały chłopiec uczył się z radia. John nie miał żadnego wykształcenia muzycznego, ale jako tako nauczył się sam grać na harmonijce, którą okazyjnie kupił mu wujek George.

„Wysłałabym go we wczesnym dzieciństwie na jakieś lekcje muzyki – mówi Mimi – na fortepian albo skrzypce, ale nie chciał. Nie interesowało go nic, co było związane z nauką. On chciał mieć wszystko od ręki, a nie tracić czas na naukę. Jedyna zachęta do pójścia w stronę muzyki, jaką John kiedykolwiek usłyszał, pochodziła od kierowcy autobusu z Liverpoolu do Edynburga. Co roku wysyłaliśmy go do mojej siostry i jego kuzynów w Edynburgu. Dostał akurat od George'a starą, używaną harmonijkę i grał na niej przez całą drogę, działając pewnie wszystkim na nerwy. Ale kierowcy autobusu bardzo przypadł do gustu. Gdy dotarli do Edynburga, powiedział Johnowi, że jak przyjdzie na dworzec na drugi dzień z samego rana, to dostanie zupełnie nową harmonijkę. Całą noc nie mógł zasnąć i bladym świtem już czekał na stacji. Co więcej, to była naprawdę dobra harmonijka. John mógł mieć wówczas dziesięć lat. Tak właśnie wyglądała ta pierwsza zachęta. Kierowca na pewno sam nie wiedział, co rozpętał".

Jeśli już słuchał piosenek popowych, były to na przykład utwory Johnniego Raya czy Frankiego Laine'a. „Ale nie zwracałem na nie specjalnej uwagi", wspomina. Nikt nie zwracał na nie szczególnej uwagi, a już na pewno nie chłopcy w Anglii w wieku Johna Lennona. Aż do połowy lat pięćdziesiątych muzyka popularna była dość oderwana od rzeczywistości. Praktycznie w całości pochodziła z Ameryki, a tworzyli ją profesjonaliści z show-biznesu w pięknych garniturkach z pięknymi

uśmiechami na twarzach, którzy śpiewali piękne ballady, głównie dla ekspedientek i młodych mam.

Potem wydarzyły się trzy istotne rzeczy. 12 kwietnia 1954 roku zespół Bill Haley & His Comets nagrał *Rock Around the Clock*. Zanim piosenka ta przyjęła się w Wielkiej Brytanii, minął rok. Ale gdy w końcu nastąpił ten moment, za sprawą wykorzystania jej jako tematu muzycznego w filmie *Szkolna dżungla*, rock and roll rozlał się falą po kraju, a sale kinowe w zastraszającym tempie zaczęły się zamieniać w sale koncertowe.

Drugie wydarzenie miało miejsce w styczniu 1956 roku, gdy Lonnie Donegan wydał *Rock Island Line*. Mimo mylącego tytułu[30] utwór ten nie miał wiele wspólnego z szaloną muzyką rockandrollową. Nowością było natomiast to, że zagrano ją na instrumentach, na których grać mógłby każdy. Lonnie Donegan spopularyzował muzykę skifflową[31]. Po raz pierwszy każdy mógł popróbować bycia muzykiem, mimo braku wykształcenia muzycznego, a nawet talentu. Nawet na najtrudniejszym z instrumentów typowych dla skiffle – gitarze – mógł zagrać każdy, kto opanował kilka podstawowych chwytów. Inne instrumenty, jak tarka do prania czy wiadro, nadawały się dla pierwszego lepszego głupka.

Trzecim i w pewnym sensie najbardziej ekscytującym wydarzeniem w muzyce pop w latach pięćdziesiątych okazało się pojawienie nikogo innego jak najbardziej wpływowej osoby w świecie muzyki popularnej przed erą Beatlesów – Elvisa Presleya. On również zaistniał na początku 1956 roku, a już w maju tego roku *Heartbreak Hotel* był w czołówce list przebojów w czternastu różnych krajach. W pewnym sensie pojawienie się kogoś takiego jak Elvis było nieuniknione. Wystarczyło popatrzeć na Billa Haleya – przysadzisty, o wyglądzie pana w średnim wieku, totalnie aseksualny – by zrozumieć, że ta nowa, ekscytująca muzyka, ten cały rock and roll, w końcu musi doczekać się równie ekscytującego wykonawcy. I istotnie, rock and roll rzucił na kolana całą młodzież, a Elvis był ekscytującym piosenkarzem

i wykonywał ekscytujące piosenki. „Przed Elvisem mało co robiło na mnie wrażenie”, mówi John. Wszyscy Beatlesi, tak jak miliony ich rówieśników, byli pod wrażeniem. Wszyscy mają z tego okresu podobne wspomnienia – w każdej klasie, w każdej szkole i na każdym podwórku jak grzyby po deszczu powstawały zespoły. Jednej nocy w samym Liverpoolu potrafiło odbywać się ze sto imprez tanecznych, a zespoły skifflowe ustawiały się w kolejce, by wystąpić. Po raz pierwszy od wielu pokoleń muzyka przestała być własnością muzyków. Każdy mógł spróbować swoich sił. To tak, jakby małpom rozdać przybory do malowania. Któraś w końcu stworzy coś wielkiego.

John Lennon nie miał ani gitary, ani żadnego innego instrumentu, gdy zaczęło się całe to szaleństwo. Pożyczył gitarę od jednego z chłopaków ze szkoły, ale okazało się, że nie umie na niej grać, więc zaraz ją oddał. Wiedział za to, że Julia umie grać na banjo, więc udał się właśnie do niej. Mama kupiła mu używaną gitarę za dziesięć funtów. Na gitarze była naklejka z napisem: „Gwarancja, że nie pęknie”. Wziął kilka lekcji, ale jakoś nie mógł się nauczyć. Julia pokazała mu więc kilka chwytów na banjo. Pierwszą melodią, jaką zdołał opanować, było *That’ll Be the Day*[32].

Ćwiczył, kiedy Mimi nie było w domu. Gdy wracała, kazała mu zamykać się na oszklonym ganku i tam grać i śpiewać dla siebie samego. „Gitara jest w porządku jako hobby – mawiała z częstotliwością dziesięciu razy na dzień – ale z niej nie wyżyjesz”.

„W końcu założyliśmy z chłopakami ze szkoły zespół. O ile pamiętam, kumpel, który wpadł na ten pomysł, ostatecznie nie dostał się do składu. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w jego domu. Na gitarze grał Eric Griffiths, na tarce do prania Pete Shotton, był też Len Garry, Colin Hanton na perkusji i Rod na banjo. Pierwszy raz wystąpiliśmy na Rose Street w ramach obchodów Dni Imperium. Wszyscy świętowali na ulicy, a my graliśmy z przyczepy ciężarówki. Nie dostaliśmy za ten występ kasy ani nic. Potem

dawaliśmy koncerty za grosze na wszystkich imprezach u chłopaków i na weselach. W sumie to graliśmy głównie dla zabawy”.

Nazwali się The Quarrymen[33], a jakże. Wszyscy członkowie ubierali się w stylu teddy boysów, a włosy zaczesywali do tyłu na brylantynę, jak Elvis. John był największy z nich wszystkich i między innymi dlatego matki ostrzegały swych synów, by trzymali się od niego z daleka. Nie musiały nawet same go widzieć – wystarczyło, że słyszały krążące o nim opowieści. Podczas tych pierwszych kilku miesięcy 1956 roku, gdy John rzekomo ostro przykładał się do nauki, wszystko było jeszcze na pół gwizdka i bez jakiejkolwiek regularności. Czasami nawet kilka tygodni mijało bez grania. Była też spora rotacja muzyków, w zależności od tego, kto akurat się pojawił na imprezie lub kto miał po prostu ochotę spróbować. „To była tylko zabawa w zakładanie zespołu – mówi Pete Shotton. – Skiffle był na fali, więc każdy coś tam kombinował po swojemu. Ja grałem na tarce do prania, bo nie miałem zielonego pojęcia o muzyce. Kumplowałem się z Johnem, więc musiałem być w zespole”.

Z Johnem w roli lidera kłótnie były na porządku dziennym, wskutek czego wiele osób rezygnowało z gry. „Kłóciłem się z nimi, bo chciałem ich zmusić do odejścia. Jak się ktoś zaczynał stawiać, nie było odwrotu – wylatywał z zespołu”. Jeden ze stałych członków, Nigel Whalley, grywał od czasu do czasu, ale głównie zajmował się ugadywaniem występów, czyli działał jako menedżer.

W tym samym czasie w Liverpool Institute działo się dokładnie to samo – zespoły mnożyły się w zastraszającym tempie, choć na przykład Ivan Vaughan przyprowadził Lena Garry’ego z Institute do zespołu Johna. Transfer wydawał się całkiem udany.

6 lipca 1957 roku Ivan przyprowadził jeszcze jednego kumpla ze szkoły, by poznać go z Lennonem. „Wiedziałem, że to był spoko koleś – mówi Ivan – tylko takich poznawałem z Johnem”. Chłopcy poznali się przy

okazji odpustu w parafialnym kościele w Woolton, położonym niedaleko domu Johna. John znał tam kilka osób i wyprosił pozwolenie na występ zespołu. Ivan sporo opowiadał w szkole o Johnie i jego kapeli. Wiedział, że jego kumpel interesuje się tego typu działalnością, choć sam Ivan nie miał pociągu do grania.

„Mimi powiedziała mi tego dnia, że w końcu dopiąłem swego – mówi John. – Teraz byłem prawdziwym teddy boyem. Tego dnia chyba wszyscy byli mną zdegustowani, nie tylko Mimi. Dziś patrzę na swoje zdjęcia z tego występu w Woolton. Ależ byłem gołowąsem”. Wspomnienia Johna z tamtego dnia są lekko mgliste. Upił się, choć do pełnoletności brakowało mu jeszcze kilku lat. Za to są tacy, którzy pamiętają ten dzień bardzo wyraźnie, zwłaszcza kolega, którego przyprowadził Ivan – Paul McCartney. „To właśnie tego dnia – mówi John – kiedy poznałem Paula, wszystko nabrało tempa”.

Rozdział 3
Paul

Paul, a właściwie James Paul McCartney, przyszedł na świat 18 czerwca 1942 roku w prywatnym oddziale położniczym szpitala Walton w Liverpoolu i był jedynym Beatlesem, któremu dane było urodzić się w takich luksusach. Mimo że jego rodzina należała do klasy robotniczej, a wokół szalała wojna, przyjście Paula na świat odbyło się w tak wyjątkowych warunkach, ponieważ swego czasu jego matka była przełożoną na tymże oddziale. Gdy miała rodzić swe pierwsze dziecko, Paula, potraktowano ją więc po królewsku. Mary Patricia zrezygnowała z pracy w szpitalu zaledwie rok wcześniej, gdy wyszła za ojca Paula i została opiekunką środowiskową. Jej nazwisko panieńskie brzmiało Mohin i, podobnie jak jej mąż, miała irlandzkie korzenie.

Jim McCartney – ojciec Paula – zaczął pracować już jako czternastolatek. Był chłopcem od próbek w firmie A. Hannay and Co., zajmującej się handlem bawełną, z siedzibą przy Chapel Street w Liverpoolu. W przeciwieństwie do żony Jim nie był katolikiem, zawsze uważał się za agnostyka. Urodził się w 1902 roku. Oprócz niego w domu było jeszcze dwóch braci i trzy siostry.

Jim miał duże szczęście, że zaraz po szkole dostał pracę w przemyśle bawełnianym. Przemysł ten był bowiem wówczas w rozkwicie, a Liverpool stanowił główny port importowy dla bawełny przeznaczonej do fabryk w hrabstwie Lancashire. Kto załapał się do tej branży, był ustawiony na całe życie. Jako chłopiec od próbek Jim McCartney zarabiał sześć szylingów tygodniowo, a jego zadanie polegało na bieganiu od kupca do kupca i prezentowaniu próbek bawełny. Firma Hannay sprowadzała, sortowała i klasyfikowała bawełnę, którą następnie sprzedawano do fabryk. Jim dobrze

się spisywał, więc w wieku dwudziestu ośmiu lat awansował na sprzedawcę bawełny, co dla prostego chłopaka było nie lada sukcesem – sprzedawcy bawełny wywodzili się bowiem zazwyczaj z klasy średniej. Jim zawsze wyglądał schludnie i szykownie, z uśmiechem na swej okrągłej twarzy o delikatnych rysach.

Gdy otrzymał swój wielki awans, zaczął zarabiać dwieście pięćdziesiąt funtów rocznie – pensja nie zawrotna, ale godziwa. Jim był za młody, by walczyć, gdy wybuchła I wojna światowa, i za stary, gdy wybuchła II, chociaż z całkowitym ubytkiem słuchu w jednym uchu – na skutek pęknięcia błony bębenkowej, gdy spadł z murku jako dziesięciolatek – i tak nie otrzymałby powołania. Został za to powołany do innych zadań związanych z wojną. Gdy giełda bawełniana została zamknięta z powodu wybuchu wojny, firma wysłała go do pracy z zakładach inżynieryjnych Napiers.

W 1941 roku, w wieku trzydziestu dziewięciu lat Jim poślubił Mary Patricię. Przeprowadzili się na stancję w Anfield. W czasie gdy na świat przyszedł Paul, w ciągu dnia Jim pracował dla Napiers, a wieczorami dorabiał jako strażak. Mógł odwiedzać żonę na porodówce, kiedy tylko chciał, nie trzymając się wizyt o wyznaczonych godzinach, ze względu na specjalne względy na oddziale położniczym.

„Wyglądał paskudnie. Nie mogłem tego przeżyć. Koszmar. Jedno oko miał otwarte i stale pojękiwał. Gdy podnieśli go do góry, przypominał kawałek surowego, czerwonego mięsa. Wróciłem do domu i rozpłakałem się – po raz pierwszy od wielu lat”. Mimo że żona pracowała w szpitalu, Jim nie znosił wszelkich chorób i dolegliwości. Na sam zapach szpitala stawał się spięty i lęk ten przekazał Paulowi. „Za to na drugi dzień już bardziej przypominał człowieka i z każdym dniem było coraz lepiej. Ostatecznie wyrósł na ślicznego chłopca”.

Pewnego dnia, gdy Paul bawił się w przydomowym ogrodzie, mama spostrzegła, że jest cały umorusany. Stwierdziła, że mocno zanieczyszczona

dzielnica robotnicza nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka, i uznała, że czas się przeprowadzić. Ponieważ praca nad silnikami Sabre dla zakładów Napiers traktowana była jako praca dla Royal Air Force, Jimowi przysługiwał dom na osiedlu Knowlsely w miasteczku Wallasey. Było to osiedle domów komunalnych, z których część była zarezerwowana dla pracowników Ministerstwa Sił Powietrznych. „Nazywaliśmy je półdomami, bo były malusieńkie, w środku z gołej cegły. Ale lepsze to niż stancja, jak się mieszka z małym dzieckiem”.

Jim zakończył współpracę z Napiers jeszcze przed końcem wojny i został przeniesiony do Liverpoolu jako tymczasowy inspektor w Miejskich Zakładach Oczyszczania Miasta. Do jego obowiązków należało kontrolowanie pracy śmieciarzy. Ponieważ Jim otrzymywał raczej skromne wynagrodzenie, jego żona zdecydowała się na powrót do pracy w charakterze opiekunki środowiskowej i pracowała aż do narodzin drugiego syna, Michaela, w 1944 roku. Nie przepadała jednak za tym zajęciem, ponieważ czuła się skrępowana pracą na etat, więc ostatecznie wróciła do położnictwa. Zatrudniła się w dwóch szpitalach w charakterze położnej dochodzącej do pacjentek, co oznaczało, że miała pod swoją opieką wszystkie ciężarne kobiety w okolicy. Razem z posadą Mary Patricia otrzymała dom komunalny. Jej pierwszy rewir obejmował Western Avenue w dzielnicy Speke, a drugi Ardwick Road. Co noc była wzywana na wizyty domowe. Jim twierdzi, że żona zawsze za dużo pracowała, więcej niż powinna, ale taki już miała charakter.

Najwcześniejsze wspomnienie Paula, z czasu, gdy miał zaledwie trzy lub cztery lata, związane jest właśnie z mamą. Pamięta, jak ktoś przyniósł jej prezent w postaci gipsowej figurki psa. „To chyba był wyraz wdzięczności za jakiś poród, który przyjęła. Ludzie stale wręczali jej tego typu podarunki. Mam także inne wspomnienie: chowam się przed kimś, a potem uderzam go żelaznym prętem w głowę. Choć w sumie myślę, że jednak to z gipsowym psem jest wcześniejsze”. Paul pamięta też, że mama

stale poprawiała jego wymowę. „Mówiłem bardzo niedbale, z regionalnymi naleciałościami, tak jak wszystkie dzieci w okolicy. Gdy mnie krytykowała, przedrzeźniałem jej akcent, czym robiłem jej dużą przykrość, co z kolei wkurzało mnie”.

Paul zaczął chodzić do podstawówki Stockton Wood Road, gdy jeszcze mieszkali w Speke. Mama nie chciała, by uczęszczał do szkoły katolickiej, ponieważ wystarczająco się napatrzyła jako opiekunka środowiskowa i nie darzyła szkół katolickich sympatią. Wkrótce do Stockton Wood Road poszedł Michael. „Pamiętam, że dyrektorka nie mogła się nadziwić, jak dobrze nasi chłopcy dogadują się z młodszymi uczniami – wspomina Jim – i jak się wstawiają za słabszymi. Mówiła, że Michael na pewno będzie jakimś przywódcą, pewnie dlatego, że ciągle się z kimś kłócił. Paul znacznie spokojniej załatwiał swoje sprawy. Miał o wiele więcej zdrowego rozsądku niż brat. Mike zawsze się narażał, za to Paul unikał kłopotów”.

W miarę upływu czasu szkoła zaczynała się przeludniać i część uczniów, w tym Paul i Mike, została przeniesiona do innej podstawówki – Joseph Williams Primary w Gateacre. Z wiekiem Paul stał się jeszcze większym dyplomatą, załatwiając wszystko drogą pokojową – jak mama, a nie hałaśliwie – jak brat. „Kiedyś spuściłem Michaelowi lanie, bo coś przeskrobał – opowiada Jim. – Paul stał obok i krzyczał do brata: »Powiedz, że to nie ty, to przestanie cię bić«. Ostatecznie Mike przyznał się do winy, za to Paul zawsze potrafił się wyłgać od odpowiedzialności”. „Byłem dość cwany – przyznaje Paul. – Zawsze, gdy dostałem za coś burę, szedłem do sypialni rodziców, jeśli nie było ich w domu, i targałem u samego dołu ich koronkowe firanki. Nie za dużo, tylko troszeczkę. To była moja zemsta”.

Paul bez problemu zdał egzamin Eleven Plus[34] i poszedł do najlepszej szkoły ogólnokształcącej w mieście – Liverpool Institute. Szkoła ta powstała w 1825 roku jako Mechanics’ Institute i właśnie stąd wywodzi się

jej nazwa. Liverpool Art College, który mieści się w tym samym budynku, był do lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku częścią Institute. Z tych samych korzeni wyrósł później Uniwersytet w Liverpoolu. Na przełomie wieków szkoła zmieniła profil i przyjmowała tylko chłopców, zrezygnowano też z kursów dla dorosłych. Do sławnych absolwentów Institute należą Arthur Askey[35], James Laver[36], Sędzia Sądu Apelacyjnego John William Morris oraz zmarły niedawno Sydney Silverman[37].

Michael również dostał się do tej samej szkoły, ale szybko trafił do klasy ze słabszymi uczniami. Paul uczył się bardzo dobrze i zawsze był wśród najlepszych w klasie.

„Potrafił jednocześnie odrabiać lekcje i oglądać telewizję – mówi Jim. – Ganiłem go za to, sądząc, że nie da się robić obu tych rzeczy naraz, ale pewnego razu spytałem go, co właśnie ogląda i oczywiście od razu odpowiedział, co leci w telewizji, a w tym czasie zdążył też napisać wypracowanie. Był wystarczająco mądry, by pójść na studia. Zawsze marzyłem, by tak właśnie się stało. Chciałem, żeby zdobył tytuł licencjata nauk społecznych albo technicznych i wtedy byłby ustawiony. Ale gdy Paul zorientował się, co mi chodzi po głowie, od razu zaczął robić mi na złość i opuścił się w nauce. Zawsze był dobry z łaciny, ale gdy tylko powiedziałem, że łacina przyda mu się na studiach, natychmiast sobie odpuścił”.

W szkole średniej Paul był bodaj najbardziej uświadomionym seksualnie chłopcem w klasie. Od wczesnych lat wiedział wszystko, no, może prawie wszystko o tych sprawach. „Kiedyś narysowałem taki sprośny rysunek dla kolegów z klasy. To właśnie ja byłem w mojej klasie tym, który zajmował się takimi rysunkami. Ten był na złożonej kartce papieru, tak że początkowo widać było tylko głowę i stopy kobiety, ale jak się rozłożyło kartkę, ukazywała się cała nagusieńka. Typowy obrazek uczniaka. Dorzuciłem nawet owłosienie łonowe, choć oczywiście nie miałem pojęcia,

jak wygląda. Nieopatrznie zostawiłem rysunek w kieszeni koszuli, w której zazwyczaj trzymałem kupony na stołówkę i którą mama zawsze przeszukiwała przed praniem, wiedząc, że często ich nie wyjmuję.

Wróciłem pewnego dnia ze szkoły, a w progu stoi mama z rysunkiem w dłoni i pyta: »To twoje dzieło?«. Powiedziałem, że nie, słowo honoru. Powiedziałem, że to Kenny Alpin, taki chłopak z naszej klasy, i że pewnie włożył mi to do kieszeni. »Przyznałbym się, gdybym to ja to narysował«. Przez dwa dni udało mi się trzymać tej wersji. Potem się przyznałem. Koszmarny wstyd".

Na zakończenie pierwszej klasy, gdy zdobył dziewięćdziesiąt procent na teście z łaciny, uznał, że ma dość szkoły. „W pierwszej klasie byłem jeszcze potulny jak baranek. Nie wychylałem się i przykładałem do pracy, bo wydawało mi się, że tego się ode mnie oczekuje. A potem jakoś wszystko zrobiło się mętne. Ani razu przez całą pierwszą klasę nikt mi jasno i wyraźnie nie powiedział, po co mi ta cała edukacja, jaki to wszystko ma sens. Owszem, tata ciągle ględził o tym, jak to potrzebne są w życiu dyplomy i takie tam, ale go nie słuchałem. Za często człowiek to słyszał. Nasi nauczyciele po prostu lali nas po łapach linijkami albo opowiadali jakieś farmazony o wakacjach w Walii i o służbie w wojsku. Praca domowa to była dopiero nuda. Po prostu nie mogłem wytrzymać w domu nad lekcjami, zwłaszcza w letnie wieczory, gdy wszystkie dzieciaki bawiły się na zewnątrz. Naprzeciwko naszego domu w Ardwick było takie duże pole, które widziałem z okna, i patrzyłem, jak się wszyscy świetnie bawią. W naszej okolicy nie było za wielu uczniów z Institute. Mnie nazywali budyniem z *College*'u, pieprzonym budyniem z *College*'u. Tak mnie nazywali.

Marzyłem tylko o kobietach, pieniądzach i ciuchach. Trochę nawet kradłem, na przykład fajki. Wchodziliśmy z chłopakami do sklepów, gdy właściciel był akurat na zapleczu, i zwijaliśmy kilka sztuk, zanim zdążył wrócić. Przez całe lata moim największym marzeniem było sto funtów.

Myślałem, że za taką forsę kupię sobie dom, gitarę i samochód. Także gdybym faktycznie miał kasę, chyba bym oszalał”.

Mimo wszystko Paul całkiem dobrze się uczył. W 1953 roku otrzymał za swój esej szkolną nagrodę w postaci książki Geoffreya Trease’a *Seven Queens of England*[38], wydaną przez wydawnictwo Heinemann, którą do dziś ma w swych zbiorach. Zawsze dostawał dobre stopnie z wypracowań. „Pamiętam, jak raz wizytator zapytał, jakim cudem napisałem tak szczegółowe wypracowania na temat speleologii. A ja po prostu słyszałem o tym audycję, leżąc w łóżku ze słuchawkami na uszach – uwielbiałem te słuchawki, można było wieczorami słuchać radia w łóżku. Co za szkoła wyobraźni”.

Jim zamontował dwie pary słuchawek sięgające do łóżka każdego z synów. To był jego sposób na wygonienie ich do łóżek w miarę wcześnie i zarazem środek zaradczy na kłótnie. Chłopcy sporo się kłócili, choć nie więcej niż przeciętne rodzeństwo. Michael nazywał Paula złośliwie „Grubaskiem”. „Paul był prześlicznym dzieckiem, miał wielkie oczy i długie rzęsy – wspomina Jim. – Ludzie często mówili: »Kiedyś złamie niejedno serce«”. Ale jako nastolatek przeszedł fazę, gdy był dość pulchny”.

Rodzina McCartneyów wyprowadziła się z Ardwick, gdy Paul miał około trzynastu lat. Mama porzuciła pracę położnej, choć później jeszcze wróciła do zawodu opiekunki środowiskowej. Dostali dom czynszowy pod numerem dwudziestym przy Forthlin Road w Allerton, gdzie Paul spędził resztę dzieciństwa. Dom mieści się w rzędzie dość niskich szeregowców, jest przyciasny i niezbyt okazały, ale za to elegancki i schludny. Ulica Menlove Avenue znajduje się zaledwie trzy kilometry dalej. Wkrótce po przeprowadzce Mary Patricia zaczęła odczuwać dziwne bóle w okolicach piersi. Paul miał wówczas czternaście lat. Bóle powracały przez kolejne trzy–cztery tygodnie, ale Mary Patricia wzięła je za oznaki menopauzy.

Miała wówczas czterdzieści pięć lat. „To musi być już ta zmiana”, mawiała do Jima. Mówiła o swoich kłopotach różnym lekarzom, ale wszyscy zgodzili się z jej diagnozą i radzili, by się tym nie przejmować. Ale bóle nie mijały, a nawet przybierały na sile. Pewnego dnia Michael wszedł do domu i zastał matkę we łzach. Pomyślał, że to pewnie z powodu złego zachowania jego i Paula. „Naprawdę potrafiliśmy im ostro dawać w tyłek”, wspomina. Nie zapytał, jaki był powód płaczu, a i ona sama się nie przyznała, ale tym razem postanowiła zasięgnąć opinii specjalisty. Lekarz zdiagnozował raka. Poddano ją operacji, której nie przeżyła. Wszystko zamknęło się w przeciągu miesiąca, odkąd bóle zaczęły być wyjątkowo silne.

„Załamałem się – wspomina Jim. – Nie potrafiłem tego wszystkiego zrozumieć. Co za koszmar dla naszych chłopców, zwłaszcza dla Michaela, który miał dopiero dwanaście lat i był z nią bardzo zżyty. Nie byli załamani ani nic takiego. Ta tragedia docierała do nich dość powoli”.

„Nie pamiętam za dobrze tego dnia, gdy się dowiedzieliśmy – mówi Michael. – Pamiętam tylko, że jeden z nas, nie wiem już dziś który, powiedział jakiś idiotyczny, żartobliwy komentarz. Przez wiele kolejnych miesięcy nie mogliśmy sobie tego darować”. Paul pamięta to dokładnie. „To byłem ja. W pierwszym odruchu powiedziałem: »Jak my sobie poradzimy bez jej pensji?«”. Za to każdy z nich tej nocy płakał cicho w poduszkę. Przez długi czas Paul modlił się co noc, by wróciła. „Durne modlitwy w stylu: jeśli przywrócisz ją do życia, to już zawsze będę grzeczny. To chyba pokazuje, jak głupia jest religia, bo widzisz, modlitwy nie zadziałały wtedy, kiedy tego najbardziej potrzebowałem”. Kilka pierwszych dni od pogrzebu chłopcy spędzili w domu ciotki Jinny. „Wydaje mi się, że tata po prostu nie chciał, żebyśmy widzieli jego cierpienie – mówi Paul. – U cioci Jinny było beznadziejnie. Musieliśmy spać w jednym łóżku”.

Za to największy problem miał teraz Jim, który nigdy wcześniej nie zajmował się domem, bo o wszystko dbała żona. Teraz, jako pięćdziesięciotrzyletni mężczyzna, został z dwójką dzieci w wieku dwunastu i czternastu lat, czyli w najtrudniejszym okresie życia. Do tego dochodziły problemy finansowe. Jako położna żona zarabiała więcej niż on, co tak okrutnie skomentował Paul. W 1956 roku jego pensja wynosiła osiem funtów tygodniowo. Każdy inny robotnik zaczynał w tym okresie odczuwać rosnącą koniunkturę, ale branża bawełniana, w której Jim miał być rzekomo ustawiony na całe życie, akurat przeżywała kryzys. Nieocenioną pomocą okazały się w tym okresie jego dwie siostry – Milly i Jinny. Co tydzień jedna z nich wpadała porządnie wysprzątać dom. Gdy chłopcy byli mali, często przychodziły, by otworzyć im drzwi, gdy wracali ze szkoły.

„Najgorzej było zimą – wspomina Jim. – Chłopcy musieli samodzielnie rozpalać ogień po powrocie ze szkoły. Ja za to miałem na głowie gotowanie. Mój największy dylemat dotyczył tego, jakim rodzicem powinienem być. Gdy żyła żona, ja byłem tym od dyscypliny. Wkraczałem w trudnych sytuacjach, gdy potrzebna była twarda ręka ojca. Od miłości i troski była ona. Gdy czasem posyłaliśmy ich do łóżka bez kolacji w ramach kary, to ona zanosiła im coś do sypialni, choć najczęściej za moją namową. Nagle musiałem zdecydować, czy mam być ojcem, czy matką, czy może jednym i drugim. A może powinienem bardziej polegać na nich i wprowadzić model przyjacielski, w ramach którego każdy pomaga każdemu. Musiałem nauczyć się im ufać. Mówiłem zawsze: nie wracajcie ze szkoły do domu, jeśli nie ma tu żadnej z waszych ciotek. Inaczej zapraszaliby kolegów i roznieśliby ten dom na kawałki. Czasem po powrocie do domu stwierdzałem, że z lodówki zniknęło pięć jajek. Na początku nie chcieli się przyznawać i twierdzili, że nie wiedzą, co się z nimi stało. Potem dopiero nagle któryś mówił, że faktycznie poczęstowali

kolegów jajkami sadzonymi. Ogólnie chłopcy byli grzeczni, ale i tak brakowało mi ich matki. Jej śmierć zupełnie mnie zaskoczyła”.

Michael nie rozumie, jak ojcu udało się przetrwać ten okres. „Byliśmy okropni, okrutni nawet. A on był, kurczę, niesamowity. I to przez cały ten czas bez kobiety u boku. Nie wyobrażam sobie tego. Paul wiele zawdzięcza ojcu. Obaj wiele mu zawdzięczamy”. Synowie uwielbiali naśmiewać się z jego dwóch ulubionych nauk życiowych. „Oto on i jego dwa *owania*”, mawiali. Jim zawsze powtarzał im, że w życiu najważniejsze jest tolerowanie i umiarkowanie. „Tolerowanie innych naprawdę jest szalenie ważne – mówi Jim. – Chłopcy naśmiewali się z ludzi z ułomnościami, jak to dzieci. Pytałem ich wówczas, czy sami chcieliby być w takiej sytuacji. A co do umiarkowania, bez tego wpada się nierzadko w ciężkie tarapaty. Ciągle się słyszy, jak ludzie mówią: »Powiesiłbym drania«, ale nie zastanawiają się, co mogłoby danej osobie realnie pomóc”.

Jim zawsze rozważa, co jest dla ludzi najlepsze. Ma wrodzony czar i dla każdego jest uprzejmy, ale zupełnie nie w typie czarującego sprzedawcy. Jest w nim głęboko zakorzeniona, autentyczna uprzejmość. W rękach mniej troskliwego i uczuciowego ojca chłopcy łatwo mogli zejść na złą drogę po śmierci matki. Po niej Paul odziedziczył pracowitość i zaangażowanie. Jest jednym z tych, którzy zawsze dochodzą do celu, jeśli są wystarczająco zdeterminowani.

W pewnym sensie Paul, tak samo jak John, gardził szkołą i całym systemem przekazywania sztucznie utrwalonych zasad postępowania. Ale zawsze była w nim też silna potrzeba, by nie zawieść samego siebie. Potrafił zmusić się do wytężonej pracy, nawet jeśli odbywało się to na zasadzie niesystematycznych zrywów, by jakoś podołać wszystkim zadaniom. John z kolei buntował się i odmawiał współpracy. Paul by tak nie potrafił. Michael twierdzi, że śmierć matki zaowocowała jedną konkretną rzeczą w przypadku Paula: „Zaczęło się zaraz po tym, jak umarła. To była obsesja. Zawładnęła całym jego życiem. Czy to jest

faktycznie tak, że traci się matkę, a znajduje gitarę? Nie wiem. Być może akurat wtedy wpadła mu w ręce i stała się idealną formą ucieczki. Ale od czego?”.

Rozdział 4
Paul i The Quarrymen

W dzieciństwie Paul nie przejawiał zainteresowania muzyką. Rodzice wysłali nawet obu synów na kilka lekcji gry na pianinie, ale nic z tego nie wyszło. „Popełniliśmy błąd, że zorganizowaliśmy te lekcje w czasie wakacji – mówi Jim. – Nauczyciel gry przychodził do nas, a dzieciaki z sąsiedztwa co chwilę pukały do drzwi, pytając, czy chłopcy mogą wyjść się pobawić. Postanowiłem więc, że lepiej będzie wysyłać ich do domu nauczyciela, ale i tak nie wytrzymali zbyt długo”.

Jim chciał też, by Paul zapisał się do Liverpoolskiego Chóru Katedralnego. „Kazałem mu iść na przesłuchanie, ale na złość zaśpiewał łamiącym się głosem. Później sam na jakiś czas zapisał się do Chóru Świętego Barnaby niedaleko Penny Lane”. Jeszcze później wujek podarował Paulowi starą trąbkę i chłopcu udało się nawet opanować samodzielnie kilka melodii. Talent do gry ze słuchu odziedziczył po ojcu. Jako młody chłopak Jim nauczył się grać na pianinie. Był jedynym spośród wszystkich rodziców Beatlesów, który miał jakiekolwiek doświadczenie muzyczne. „Nigdy nie brałem lekcji. Jakoś sam trafiałem we właściwe akordy, grając na starym, używanym pianinie, które dostaliśmy, gdy miałem jakieś czternaście lat i mieszkaliśmy w Everton. Pianino pochodziło ze sklepu North End Music Stores, czyli NEMS. Pamiętam, że tak właśnie się nazywało. Miałem dobre wyczucie rytmu i potrafiłem zagrać większość zasłyszanych melodii. Nigdy się nie zbłaźniłem”.

Niedługo po rozpoczęciu pracy siedemnastoletni Jim McCartney założył zespół, który grał muzykę ragtime na zakładowych potańcówkach. Było to około 1919 roku. Ich pierwszy publiczny występ miał miejsce podczas tańców w St. Catherine’s Hall przy Vine Street w Liverpoolu.

„Pomyśleliśmy, że dobrze byłoby się czymś wyróżnić, więc założyliśmy na twarze czarne maski i nazwaliśmy się Muzykantami w Maskach[39]. Już w połowie występu byliśmy tak spoceni, że maski zaczęły puszczać farbę i spływać nam czarnymi strużkami po policzkach. To był początek i koniec Muzykantów w Maskach". Zespół przyjął nową nazwę Jim Mac's Band. Występowali w smokingach, z kołnierzykami i mankietami od koszul wykonanymi z papieru. „Były świetne. Wtedy można było kupić takie mankiety w cenie jednego pensa za dwanaście sztuk. Różnica była niezauważalna. Prowadziłem ten zespół przez jakieś cztery, pięć lat, oczywiście tylko na pół etatu. Niby byłem szefem, ale tak naprawdę nie było między nami ważniejszych i mniej ważnych. Pewnego razu mieliśmy występ podczas lokalnej premiery filmu *The Queen of Sheba*[40]. Nie wiedzieliśmy, co zagrać. Gdy rozpoczęła się scena wyścigu rydwanów, zdecydowaliśmy się na popularną wówczas piosenkę *Thanks For the Buggy Ride*[41], a podczas sceny śmierci królowej Sheby – *Horsy Keep Your Tail Up*[42]".

Po wybuchu II wojny światowej i po założeniu rodziny Jim porzucił karierę muzyczną, choć nadal często grywał w domu na pianinie. „Paula nigdy nie interesowała moja gra, za to uwielbiał słuchać muzyki przez słuchawki, gdy leżał wieczorem w łóżku. A potem nagle, gdy miał czternaście lat, zamarzyła mu się gitara. Sam nie wiem, co było tego przyczyną". Gitara kosztowała piętnaście funtów i początkowo Paul zupełnie nie potrafił wydobyć z niej dźwięków. Wyglądało na to, że coś z nią jest nie tak, aż wreszcie zorientował się, że to dlatego, że jest leworęczny. Zabrał ją do sklepu i kazał przełożyć struny. „Nigdy specjalnie nie polubiłem trąbki, za to gitarę owszem, bo mogłem na niej grać już po opanowaniu kilku akordów. No i mogłem w tym samym czasie śpiewać".

W wieku dwunastu lat Paul zaczął interesować się muzyką rozrywkową, podobnie jak większość jego znajomych. Właśnie w tym wieku poszedł na

swój pierwszy koncert – był to występ zespołu Eric Delaney's Band w sali widowiskowej Liverpool Empire. Dwa lata później wykorzystał przerwę na lunch w szkole, by przez godzinę stać w kolejce po bilety na występ Lonniego Donegana. „Pamiętam, że koncert się opóźnił. Lonnie wręczał potem dziewczynom pracującym w fabrykach zaświadczenia, że to przez niego spóźniły się na zmianę. Zawsze polowaliśmy pod sceną na autografy. Raz nawet czekałem na autograf Wee Williego Harrisa". Czasem bywał również w Pavillion. „To tam można było zobaczyć gołe tancerki. Rozbierały się zupełnie do naga. Niektóre były całkiem niezłe. Zabawne, że wpuszczano nas tam w tak młodym wieku. Ale w sumie cóż to było? Ot, niewinna, sprośna rozrywka".

Podobnie jak John i inni, także Paul przeżył okres fascynacji muzyką skifflową i wczesnymi rockandrollowymi numerami Billa Haleya, ale – tak jak w przypadku Johna – to dopiero Elvis Presley rzucił go na kolana. „To było dopiero coś. Jak tylko miałem doła, puszczałem sobie Elvisa i od razu czułem się świetnie, wręcz cudownie. Nie miałem wówczas pojęcia, jak się nagrywa płyty. Dla mnie to była istna magia. *All Shook Up*[43], rany, jakie to było boskie!"

Kiedy dostał gitarę, próbował grać piosenki Elvisa i innych popularnych artystów. Najlepiej wychodziło mu naśladowanie Little Richarda. „To było okropne – mówi ojciec Paula. – Koszmar. Aż trudno było uwierzyć, że ktoś faktycznie tak wygląda. Dopiero po latach, gdy zobaczyłem Little Richarda na koncercie z Beatlesami, zrozumiałem, jak fantastyczna była ta parodia w wykonaniu Paula". „Kiedy tylko dorwał gitarę, przepadł z kretesem – wspomina Michael. – Nie miał czasu jeść ani myśleć o czymkolwiek innym. Grał, siedząc na ubikacji, leżąc w wannie, wszędzie".

W klasie był jeszcze jeden chłopak, Ian James z dzielnicy Dingle, który mniej więcej w tym samym czasie dostał gitarę. Chodzili wszędzie we dwójkę ze swoimi instrumentami. Grali i wzajemnie uczyli się nowo

opanowanych chwytów i melodii. „Włóczyliśmy się po wesołych miasteczkach – wspomina Paul – słuchając najnowszych melodii granych na karuzelach. Próbowaliśmy rozgryźć chwyty. Naśladowaliśmy też śpiew ptaków, choć to jakoś nigdy nam nie szło. Nie mam do tego smykałki". Zarówno Paul, jak i Ian James chodzili w białych sportowych kurtkach, zainspirowani popularną piosenką *A White Sport Coat*. „Były cętkowane, z klapkami na kieszeniach. Nosiliśmy też czarne rurki. Wszędzie chodziliśmy razem, ubrani tak samo i uważaliśmy się za megawystylizowanych. Obaj mieliśmy fryzury *á la* Tony Curtis. Godzinami układaliśmy je przed lustrem".

Jim McCartney próbował powstrzymać syna przed ubieraniem się w ten sposób, ale niewiele zdziałał. „Paul był sprytny – opowiada Michael. – Kupował nowe spodnie, pokazywał je ojcu, żeby ten sam zobaczył, jakie są szerokie i jak tylko ojciec klepnął zakup, Paul zabierał je do sklepu i kazał przerabiać. Jeśli ojciec zauważył potem różnicę, Paul zarzekał się, że właśnie na te spodnie wyraził zgodę". „Martwiłem się, że zostanie jednym z teddy boysów – mówi Jim. – Strasznie się tego obawiałem. Ciągle mu powtarzałem, że nie zgadzam się na żadne obcisłe spodnie, ale Paul był uparty. Do tego nosił długie włosy. Gdy wracał od fryzjera, zawsze wyglądał dokładnie tak samo, więc najczęściej pytałem: »Było zamknięte, co?«".

Równie mocno co gitarą Paul interesował się dziewczynami. „Mój pierwszy raz przeżyłem w wieku piętnastu lat. Może trochę za wcześnie. Chyba byłem pierwszy w klasie. Była starsza ode mnie i większa. Miała pilnować młodszego rodzeństwa pod nieobecność mamy. Na drugi dzień od razu pochwaliłem się w szkole. Nie potrafiłem trzymać języka za zębami".

Paul wyraźnie pamięta ten letni dzień w 1957 roku, gdy Ivan wspomniał, że wybiera się na odpust do kościoła w Woolton, posłuchać zespołu, z którym czasem grywał. Paul postanowił pójść z kumplem, sądząc, że może uda mu się przy okazji kogoś poderwać. „Nieźli byli –

wspomina Paul. – John grał na gitarze, ale grał tak, jakby to było banjo. Stosował chwyty na banjo, bo tylko takie znał. Pozostali członkowie zespołu mieli jeszcze mniejsze pojęcie o muzyce i po prostu wtórowali Johnowi. Grali na przykład *Maggie May*[44], ale ze zmienionymi słowami, bo John nie za dobrze znał oryginalny tekst, więc trochę zmyślał. Występowali pod gołym niebem na dużym placu. John ciągle rozglądał się dookoła ze sceny, obserwując ludzi. Potem przyznał mi się, że to była jego pierwsza próba obadania publiczności, rozgryzienia ich, w sensie: czy lepiej na przykład trochę się poruszać, czy stać spokojnie.

Miałem na sobie białą kurtkę i czarne rurki, jak zwykle. Udało mi się dać je po raz drugi do zwężenia podczas szkolnej przerwy na lunch. Były tak wąskie, że wszystkim opadły szczęki. Po występie poszedłem pogadać z zespołem. Ot, chwila rozmowy i popisywania się. Pokazałem im, jak grać *Twenty Flight Rock* i nauczyłem całego tekstu. Nie znali tego wcześniej. Potem pokazałem im *Be-Bop-A-Lula*, której też w sumie za dobrze nie znali. Na koniec zagrałem swój popisowy numer Little Richarda, właściwie to był cały mój repertuar. Pamiętam, że był tam taki śmierdzący piwem starszy facet, który podchodził coraz bliżej, tak że w końcu czułem jego piwny oddech na karku. Co ten pijaczyna robi? – zastanawiałem się. Nagle odezwał się i powiedział, że *Twenty Flight Rock* to jeden z jego ulubionych kawałków i już wiedziałem, że mam do czynienia z koneserem. To był John. Po spożyciu kilku piw. Miał szesnaście lat, ale wydawał mi się bardzo dorosły, bo sam miałem czternaście. Pokazałem mu jeszcze kilka nowych chwytów. Właściwie to znałem je dzięki Ianowi Jamesowi. I poszedłem. Wiedziałem, że im zaimponowałem, że pokazałem, na co mnie stać”.

Pete Shotton nie przypomina sobie, żeby Paul zrobił na nich wielkie wrażenie. Ponieważ sam był wyjątkowo niemuzykalny, nawet najlepsze wykonanie *Twenty Flight Rock* nie mogło rzucić go na kolana. „Nie doceniłem Paula przy pierwszym spotkaniu – mówi Pete. – Wydał mi się

jakiś nieśmiały, ale w sumie wiesz, jak to jest, kiedy się wchodzi po raz pierwszy w nową grupę. Nie byłem o niego zazdrosny, przynajmniej nie na początku. Był od nas dużo młodszy, więc nie widziałem w nim rywala. Ciągle byliśmy z Johnem najlepszymi kumplami. Byłem przyjacielem Johna. Kochałem go, ot co".

John wspomina, że długo rozmyślał o tym spotkaniu, zanim podjął decyzję. To było w sumie zupełnie nie w jego stylu, bo zazwyczaj po prostu szedł do przodu bez zastanowienia i brał od życia to, co chciał. „To pewnie przez to, że się schlałem – mówi John – to mnie spowolniło. Byłem pod dużym wrażeniem *Twenty Flight Rock* w wykonaniu Paula. Widać było, że umie grać. Pomyślałem sobie nawet przez chwilę: jest tak dobry jak ja. Do tej pory to ja byłem osią całego przedsięwzięcia. Co się stanie, jeśli wezmę go do zespołu? Przeszło mi przez głowę, że jakoś będę musiał ustawić go w szeregu, jeśli faktycznie go przyjmę. Ale z drugiej strony był dobry, więc może warto było go mieć u siebie. Poza tym wyglądał jak Elvis. Podobał mi się".

Tydzień później Paul pojechał na rowerze na Menlove Avenue, zobaczyć się z Ivanem. Jechał przez pole golfowe w Allerton. W drodze powrotnej spotkał Pete'a Shottona. „Powiedział, że rozmawiali o mnie, i spytał, czy chcę do nich dołączyć. »OK«, odparłem".

Jego pierwszy występ w roli oficjalnego członka zespołu The Quarrymen miał miejsce podczas tańców w Conservative Club przy Broadway. Paul miał nawet wykonać jeden utwór solo, prawdopodobnie *Twenty Flight Rock*, ale coś nie wyszło i tak się nie stało. Za to już po koncercie zaprezentował Johnowi kilka własnych melodii. Odkąd zaczął grać na gitarze, próbował komponować. Pierwszą piosenką, jaką zagrał tego wieczoru Johnowi, była *I Lost My Little Girl*. Żeby nie pozostać w tyle, John od razu zaczął pracować nad własnymi utworami. Już od jakiegoś czasu uprawiał wariacje na temat słów i melodii napisanych przez innych i wykorzystywał je na własne potrzeby, ale dopiero od czasu pojawienia się

Paula i jego twórczości zaczął faktycznie pisać muzykę. Nie żeby piosenki jednego lub drugiego miały wówczas jakąkolwiek wartość. Były raczej dość proste i wtórne. Dopiero gdy ich drogi się skrzyżowały, wzajemna inspiracja zaowocowała utworami nadającymi się do publicznego grania. Od tego momentu tworzyli razem bez przerwy.

„Poszedłem wtedy w zupełnie nowym kierunku – mówi Paul. – Dopiero jak poznałem Johna, wszystko się zmieniło. Dobrze się stało, że się spotkaliśmy. Mimo że był ode mnie dwa lata starszy, a ja byłem w sumie jeszcze małolatem, myśleliśmy całkiem podobnie". Kolejne miesiące upłynęły na wzajemnym poznawaniu się. Chłopcy spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Uciekali ze szkoły do domu Paula, gdy ojciec był w pracy, jedli smażone jajka i ćwiczyli nowe chwyty. Paul pokazał Johnowi wszystkie chwyty, które znał. Chwyty Johna na banjo, których nauczyła go Julia, okazały się oczywiście bezużyteczne. Ponieważ Paul był leworęczny, John musiał po powrocie do domu siadać przed lustrem i uczyć się ich od nowa tak jak trzeba.

Pete Shotton zaczął się czuć wykluczony. „Wkrótce skończyła się moja przygoda z zespołem – mówi. – Graliśmy na jakiejś imprezie przy Smithdown Lane. Właściwie to raczej była popijawa. John i ja nieźle się wstawiliśmy. Opowiadaliśmy sobie dowcipy i śmialiśmy się z nich do rozpuku, a potem John rozwalił mi tarkę na głowie. Leżałem na podłodze, płacząc ze śmiechu, z tą tarką wokół szyi niczym z kołnierzykiem. Ale wtedy zrozumiałem, że granie w zespole to nie dla mnie. Nie czułem się z tym dobrze i stresowałem się, stojąc przed ludźmi. Za bardzo się wstydziłem".

Ivana Vaughana już dawno nie było wtedy w zespole, choć stale był ich przyjacielem – Johna w domu i Paula w szkole. Paul coraz częściej rozważał możliwość zaproszenia do zespołu jednego ze swoich szkolnych kolegów. Kolega ten również interesował się muzyką skifflową, rock and rollem i Elvisem, ale jakoś lepiej mu to wychodziło niż innym. Paul

postanowił przedstawić go Johnowi. Chłopak był jeszcze młodszy niż Paul, ale Paul nie widział w tym problemu, ponieważ był naprawdę dobry.

Za to Ivan Vaughan wkurzył się na taki obrót spraw, ponieważ to on wprowadził najpierw Lena Garry’ego a potem Paula McCartneya do grupy i uważał się za jedyną osobę, która ma prawo przyprowadzać uczniów z Institute. Nie podobało mu się, że to Paul wprowadził kogoś nowego. Nie chodziło tylko o różnicę wieku. Chłopak nawet nie próbował udawać, w przeciwieństwie do Paula kiedyś, że jest intelektualistą. George Harrison, bo tak właśnie nazywał się ów kolega, był teddy boyem z krwi i kości. Ivan jednak nie potrafił zrozumieć, czemu miałby się wydać interesujący dla The Quarrymen.

Rozdział 5
George

George Harrison to jedyny Beatles pochodzący z wielodzietnej rodziny, którego dzieciństwo było zupełnie normalne i wolne od dramatów. Jest najmłodszy z całej czwórki, a także najmłodszy spośród czworga dzieci Harolda i Louise Harrisonów. Urodził się 25 lutego 1943 roku[45] w domu przy Arnold Grove numer dwanaście, w dzielnicy Wavertree, w Liverpoolu.

Pani Harrison jest krępa, wesoła, bardzo przyjazna i towarzyska. Pan Harrison jest szczupły, często zamyślony, wyjątkowo dokładny i powolny. Jako czternastolatek zakończył edukację i zatrudnił się w firmie produkującej magle, które kiedyś kiedyś gospodynie używały podczas cotygodniowego prania. Zarabiał siedem szylingów i sześć pensów tygodniowo za obwoźny handel maglami, które ciągnął ze sobą na wózku po domach. Marzył o tym, by służyć w marynarce, ale mama nie pozwoliła mu się zaciągnąć. Ojciec Harolda zginął w bitwie pod Mons podczas I wojny światowej, więc mama była raczej zrażona do służby. Za to pozwoliła mu wstąpić do marynarki handlowej. W latach 1926–1936 pracował jako steward na statkach linii White Star.

Swoją żonę Louise poznał w 1929 roku. „Pozwól, że ja opowiem, jak to było – mówi Louise. – To przezabawna historia. Poznałam jego i kilku innych chłopców pewnego dnia na ulicy. Jeden z nich powiedział, że jeśli dam mu swój adres, wyśle mi buteleczkę perfum, ponieważ nazajutrz wyrusza do Ameryki. Pomyślałam, że perfumy to nie byle co, ale gdy wręczałam mu karteczkę z adresem, Harold przechwycił ją i uciekł. Pierwszy list od niego wywołał istne piekło. Na kopercie była flaga linii White Star, więc wiedziałam, że to od niego. Tego dnia był akurat u nas pewien głuchoniemy. Przyszedł po wodę, ponieważ mama zawsze z chęcią

udzielała innym pomocy. W tamtych czasach listy były rzadkością. My przynajmniej nigdy żadnego nie dostaliśmy. Ten głuchoniemy schylił się i podniósł mój list, mimo że nie potrafił czytać. Widziałam, że na kopercie widnieje napis: »Panna Louise French« i chciałam mu go wyrwać z ręki, ale ktoś mnie uprzedził. List przeszedł przez wszystkie osoby w kuchni, zanim wreszcie dostałam go w swoje ręce, a cała rodzina ryczała z zachwytu nad całusami, które Harold posyłał w liście. Musiałam wyprasować kartkę, żeby móc cokolwiek przeczytać".

Harold i Louise pobrali się 20 maja 1930 roku. Nie był to ślub kościelny, tylko ceremonia świecka w urzędzie stanu cywilnego przy Brownlow Hill. Ona była katoliczką, ale on nie. Jej ojciec pochodził z Wexford w Irlandii i początkowo używał nawet irlandzkiego zapisu własnego nazwiska, przez dwa „ff". Mierzył blisko metr dziewięćdziesiąt i swego czasu pracował jako portier na New Brighton Tower, a następnie zajmował się zapalaniem latarni ulicznych. „Gdy wyjechał walczyć w I wojnie światowej, to moja mama przejęła jego obowiązki. Pewnego dnia wisiała na jednym z słupów, zapalając latarnię, gdy ktoś przez przypadek odsunął drabinę. Wisiała tak, trzymając się metalowego prążka, ale w końcu musiała spaść. Była w ósmym miesiącu ciąży. Na szczęście dziecko urodziło się przepiękne. Cztery kilogramy".

Zaraz po ślubie Harold i Louise zamieszkali pod numerem dwunastym przy Arnold Grove w dzielnicy Wavertree i tam też zostali na kolejnych osiemnaście lat. Był to prosty szeregowiec, z dwoma pokojami na górze i kuchnią z jadalnią na dole, a wynajem kosztował dziesięć szylingów tygodniowo. Znajdował się zaledwie kilka kilometrów od miejsca, w którym dorastali John Lennon i Paul McCartney. Harold kontynuował swoją karierę w marynarce, a Louise pracowała jako sprzedawczyni w sklepie spożywczym. Pracę tę porzuciła dopiero na krótko przed urodzeniem pierwszego dziecka. Mała Louise przyszła na świat w 1931 roku, a mały Harold trzy lata później. Wkrótce po narodzinach Harolda

ojciec postanowił porzucić marynarkę handlową. Był już trochę znudzony tą pracą, ale przede wszystkim chciał więcej czasu spędzać z dziećmi.

„Awansowałem na stewarda w pierwszej klasie i zarabiałem siedem funtów i siedem szylingów miesięcznie, z czego dwadzieścia pięć szylingów wysyłano co miesiąc mojej żonie. Nigdy nie miałem za dużo pieniędzy, nawet jeśli na statku była „dobra krew". Dużo pływałem i tak właśnie w gronie załogi nazywaliśmy ludzi z forsą, którzy zostawiali spore napiwki. W wolnych chwilach wieczorami zajmowałem się strzyżeniem innych marynarzy. Musiałem przecież trochę zaoszczędzić, zanim zejdę na ląd". „Często dostawałam listy, w których Harold pisał o tym, jak ciężkie jest życie – mówi pani Harrison. – Wieczorem zdejmował spodnie i przewieszał je przez sznurek, ale nim przestały dyndać, musiał wstawać i ubierać się znowu".

Harold ostatecznie zszedł na ląd w 1936 roku. Na świecie szalał kryzys. Przez piętnaście miesięcy żył z zasiłku dla bezrobotnych. „Ponieważ miałem dwójkę dzieci, dostawałem dwadzieścia trzy szylingi tygodniowo. Z tego dziesięć szło na wynajem domu, reszta na węgiel i jedzenie". W 1937 roku udało mu się znaleźć pracę: został kontrolerem biletów w autobusach, a rok później kierowcą. W 1940 roku urodziło się trzecie dziecko – Peter, a w 1943 roku George, trzeci syn i czwarte dziecko. „Poszedłem na górę zobaczyć go po raz pierwszy – mówi pan Harrison. – Nie mogłem w to uwierzyć. Mały był miniaturową wersją mnie samego. No nie, pomyślałem, przecież nie możemy być aż tak podobni".

„George był od początku bardzo niezależny – opowiada pani Harrison. – Nie przyjmował jakiejkolwiek pomocy. Wysyłaliśmy go do masarni pani Quirk z listą zakupów, ale natychmiast wyrzucał papierek, gdy tylko wychodził za próg domu. Pani Quirk od razu rozpoznawała tę słodziutką buźkę, zbliżającą się do lady. »Nie dała ci mamusia listy zakupów?«, pytała. »Nie potrzebuję listy – odpowiadał George. – Poproszę trzy czwarte

kilo najlepszych kiełbasek wieprzowych«. Mógł mieć wtedy najwyżej dwa i pół roczku. Wszyscy sąsiedzi go znali”.

Nie było łatwo posłać George’a do szkoły podstawowej. W tym okresie do szkół poszły roczniki powojennego wyżu demograficznego i wszystkie placówki były przepełnione. „Próbowałam nawet w szkole katolickiej, bo George został ochrzczony jako katolik, ale powiedziano mi, że do szóstego roku życia będzie musiał zostać w domu i dopiero wtedy jest szansa, że go wezmą. Był bardzo inteligentny i wiedział więcej niż jego rówieśnicy, więc bez obaw posłałam go do zwykłej państwowej szkoły”. Tą szkołą okazała się podstawówka Dovedale – ta sama, do której chodził już wówczas John Lennon. John był dwa i pół roku starszy od George’a, więc był trzy klasy wyżej. Nie poznali się nawet w czasie spędzonym w Dovedale. Za to Peter Harrison, jeden z braci George’a, urodził się w tym samym roku co John Lennon i Jimmy Tarbuck, komik rodem z Liverpoolu.

„Pierwszego dnia zaprowadziłam go do szkoły, szliśmy ulicą Penny Lane – wspomina pani Harrison. – Od samego początku chciał zostawać w szkole na obiady. Na drugi dzień, gdy zakładałam płaszcz, powiedział: »O, nie, nie chcę, żebyś mnie zaprowadzała do szkoły!«. Spytałam dlaczego, a on na to: »Nie chcę, żebyś była jedną z tych wścibskich mam, które stoją za bramą i plotkują«. Nie znosił wścibskich mam. W ogóle nie znosił plotkujących sąsiadów”.

Pierwsze wspomnienie George’a dotyczy kupowania razem z braćmi – Haroldem i Peterem – żywych kurczaków po sześć pensów za sztukę, które następnie chłopcy przynieśli do domu. „Mój i Harolda umarły, ale kurczak Petera rósł sobie i rósł, mieszkając w ogrodzie za domem. Był wielki i dziki. Ludzie tak się go bali, że nie chcieli wchodzić na podwórko od strony ogrodu. Zjedliśmy go na Boże Narodzenie. Jakiś znajomy przyszedł i udusił go. Pamiętam, że powiesił uduszonego koguta na lince”.

George miał niespełna sześć lat, gdy rodzina przeprowadziła się z Wavertree do domu komunalnego w dzielnicy Speke. „Był bardzo ładny i

nowoczesny. Właściwie to dla mnie był fantastyczny, zwłaszcza po mieszkaniu w ciasnym domu szeregowym o niewielkim metrażu. Z przedpokoju wchodziło się do dużego pokoju, stamtąd do kuchni, znowu do przedpokoju i z powrotem do dużego pokoju. Cały pierwszy dzień spędziłem, biegając w kółko”. Dom stał przy ulicy Upton Green numer dwadzieścia pięć. Harrisonowie zapisali się na listę osób oczekujących na dom komunalny osiemnaście lat wcześniej – w 1930 roku, gdy Lou była jeszcze malutka. „To był nowiuteńki dom – mówi pani Harrison – ale ja nienawidziłam go od pierwszej chwili. Staraliśmy się utrzymać względny porządek w ogrodzie, ale dzieciaki były bezlitosne. Kradły rośliny w nocy. W tej dzielnicy mieszkały zarówno po likwidacji slumsów, jak i miejscowe rodziny. Wymieszano te dwa światy w nadziei, że ci dobrzy wpłyną pozytywnie na resztę”.

W podstawówce George uczył się dość dobrze. „Po egzaminie na jakieś stypendium nauczyciel zapytał całą klasę, kto sądzi, że zdał – wspomina George. – Zgłosił się tylko jeden uczeń, mały, tłusty, trochę śmierdzący chłopak. To był wyjątkowo smutny widok. Okazało się, że właśnie on jako jedyny nie zdał. Właśnie koło takich śmierdzących uczniów sadzali nas nauczyciele za karę. Biedne śmierdzące dzieciaki naprawdę miały pod górkę. Nauczyciele tacy właśnie są. Im bardziej sami mają przesrane, tym bardziej przenoszą to na dzieci. Głupki. Zawsze tak uważałem. Niestety, ponieważ byli starzy i pomarszczeni, mieliśmy myśleć, że wcale nie są głupi”.

W 1954 roku George rozpoczął edukację w Liverpool Institute, dokąd już od roku uczęszczał Paul McCartney. W tym samym czasie John Lennon był już w czwartej klasie w Quarry Bank. „Przykro mi było żegnać się z Dovedale. Nasz dyrektor, pan Pop Evans, uprzedzał nas, że pewnie czujemy się mądrzy, ważni i bardzo dorośli, ale w nowej szkole znowu będziemy maluczcy. Jaka szkoda. I to po całym tym wysiłku, który towarzyszył naszej drodze do bycia najstarszymi i najważniejszymi. Już pierwszego

dnia w Institute Tony Workman wskoczył mi zza drzwi na plecy i spytał: »Te, chcesz się bić?«”.

Po krótkim okresie utraty gruntu pod nogami, w trakcie którego George próbował nawet przykładać się do lekcji, ostatecznie porzucił wszelkie oznaki zainteresowania szkołą. „Nienawidziłem tego, że wszyscy mi rozkazują. Jakiś paranoiczny kretyn ledwo po szkole czytał na głos notatki, a my mieliśmy je grzeczniutko zapisywać. Tak czy inaczej nie potrafiłem ich potem odczytać. Ale ogólnie nie dawałem im [nauczycielom] się przechytrzyć. Banda nieudaczników. To właśnie wtedy człowiek zbacza z kursu: ty sobie spokojnie dorastasz, a oni próbują ci na siłę wepchnąć w gardło rolę elementu społeczeństwa. Wszyscy jak jeden mąż chcą cię odwieść od niewinnego sposobu myślenia dziecka i w zamian karmią cię własnymi iluzjami. To wszystko strasznie mnie wkurzało. A ja po prostu chciałem być sobą. Nie chciałem poddać się ich obróbce, służącej zrobieniu z nas armii jak spod sztancy wyciętych”.

Od samego początku w Institute George był znany ze swego alternatywnego stylu ubierania. Michael McCartney, brat Paula, był w klasie niżej i pamięta, że George zawsze nosił długie włosy, zanim jeszcze zapanowała taka moda. O ile bunt Johna Lennona polegał na wszczynaniu bójek z kim popadnie, o tyle George zaznaczał swój opór wobec systemu ubiorem, co równie mocno irytowało nauczycieli. Jednym z powodów noszenia długich włosów przez George’a był fakt, że nienawidził ich obcinać. W ramach oszczędności ojciec strzygł wszystkich w rodzinie, tak jak wcześniej w marynarce. Tyle że tym razem do dyspozycji miał stare, tępe nożyczki. „Bolało ich – mówi pani Harrison – i nienawidzili tego rytuału”. „Owszem, może faktycznie były lekko tępawe”, mówi pan Harrison. „Tępawe? Chyba sobie żartujesz, chłopie”, ripostuje żona.

„George chodził do szkoły z czapką szkolną nasadzoną na czubek czupryny – opowiada pani Harrison – i w bardzo obcisłych spodniach. Bez mojej wiedzy zwężał je sobie na maszynie do szycia. Kupiłam mu raz

nowiuteńką parę, o on pierwsze co zrobił, to zwęził ją własnoręcznie. Gdy ojciec zauważył różnicę, kazał mu natychmiast spruć szwy, na co George odpowiedział: »Nie mogę, bo wyciąłem już zbędny materiał«. George miał na wszystko gotową odpowiedź. Kiedyś poszedł do szkoły w jaskrawożółtej kamizelce pod szkolną marynarką. Kamizelka należała wprawdzie do jego brata Harry'ego, ale George uważał, że wygląda w niej fantastycznie".

„Noszenie jaskrawych kolorów czy chociaż próba jakiegokolwiek wyróżnienia się z tłumu była elementem mojego buntu wobec władzy, której nigdy nie szanowałem. Doświadczenia nie można człowieka nauczyć, trzeba je zdobyć samemu metodą prób i błędów. Samemu trzeba się przekonać, że pewnych rzeczy nie należy robić. Mnie zawsze udawało się zachować pewną dozę indywidualizmu. Nie wiem nawet, czemu tak bardzo to pielęgnowałem, ale to działanie przyniosło efekty. Nie udało im się mnie złamać i po latach mogę powiedzieć, że bardzo się z tego cieszę".

Przez kilka pierwszych lat szkoły bez przerwy pakował się w kłopoty. „»Harrison, Kelly i Workman wstać i za drzwi« – oto co najczęściej słyszałem od nauczycieli. Alternatywne rozwiązanie polegało na wysyłaniu mnie do kąta". Gdy pojawiła się moda na buty ze spiczastymi noskami, George od razu zaczął takie nosić. Były wykonane z niebieskiego zamszu. „Jeden z nauczycieli, pan Smith, czepiał się mnie o te buty. Nazywaliśmy go Cissy, bo zawsze ubierał się wyjątkowo subtelnie[46]. Powiedział: »Harrison, to nie są buty do szkoły«. Chciałem zapytać, jak wyglądają buty do szkoły, ale się powstrzymałem". Cissy Smith naprawdę nazywał się Alfred Smith i był bratem George'a – wujka Johna Lennona. „Ja też dowiedziałem się o tym dopiero po latach. Dostałem ataku śmiechu, gdy John mi powiedział".

W czwartej klasie George zaczął stronić od kłopotów. „Przekonałem się, że najlepiej się nie wychylać i trzymać język za zębami. Miałem taki

niepisany układ z niektórymi nauczycielami. Oni pozwalali mi spać w ostatniej ławce, a ja nie rozrabiałem na ich lekcjach. W słoneczne, ciepłe dni i tak ciężko było nie zasnąć, gdy jeden czy drugi staruch przynudzał. Zdarzało się, że budziłem się za kwadrans piąta, gdy wszyscy zdążyli już pójść do domu".

W tym okresie najstarszy brat George'a, Harry, skończył już szkołę i rozpoczął praktykę na montera. Jego siostra, Lou, chodziła do szkoły policealnej, a Peter miał właśnie podjąć pracę jako blacharz. Ojciec George'a nadal kierował autobusem i dotarł też całkiem wysoko w strukturach związków zawodowych. W związku z tym zaczął częściej bywać przy Finch Lane – w centrum spotkań kierowców i kontrolerów biletów pracujących dla Liverpool Corporation. W latach pięćdziesiątych był głównym konferansjerem podczas sobotnich programów rozrywkowych. „Jednym z pierwszych komików, których wypromowaliśmy, był Ken Dodd. Spotykaliśmy go czasem w klubie przy piwie, więc wiedzieliśmy, że ma świetne poczucie humoru, ale nigdy nie miał śmiałości, żeby występować na scenie. W końcu jednak się przełamał i wykonał swój popisowy numer *On the Road to Mandalay*[47]. Wystąpił w krótkich gatkach i topi na głowie. Ale była zabawa! Dziś już mnie tak bardzo nie śmieszy".

Harold Harrison był naturalnie bardzo zadowolony, że George w końcu zaczął poważnie podchodzić do obowiązków szkolnych. George jako jedyny z rodzeństwa poszedł do szkoły ogólnokształcącej, więc ojciec wiązał z nim duże plany. Jako wyjątkowo pracowity i przykładny działacz związkowy sam zazdrościł synowi szansy, której on nigdy nie otrzymał. Podobnie jak ciotka Johna, Mimi, i ojciec Paula, Jim, również Harold postrzegał wykształcenie jako jedyną drogę do samodoskonalenia oraz osiągnięcia sukcesu i zdobycia szacunku. Większość rodziców, zwłaszcza ludzi z pokolenia Harolda Harrisona, marzyło, by ich dzieci zdobyły

wykształcenie i znalazły dobrą, stabilną pracę. Jakby nie patrzyć, Harold osobiście doświadczył kryzysu lat trzydziestych, gdy przez kilka lat nie mógł znaleźć zatrudnienia i musiał utrzymywać rodzinę z głodowych zasiłków dla bezrobotnych.

Indywidualizmu i oporu wobec władzy George na pewno nie odziedziczył po ojcu. Trudy, których Harold zaznał jako młody człowiek, zrodziły w nim dużą potrzebę stabilizacji. Za to matka George'a zawsze stała po jego stronie. Marzyła tylko o tym, by jej dzieci były szczęśliwe. Nieważne, co robiły, ważne, żeby sprawiało im to przyjemność. Nawet kiedy George interesował się czymś ewidentnie nieprzydatnym, nieprzynoszącym zysków i nieprzysparzającym mu uznania społecznego, matka zawsze stała za nim murem. Pani Harrison nie jest tak po prostu wesoła i towarzyska. Na swój własny sposób, w przeciwieństwie do pozostałych rodziców Beatlesów, jest po prostu cudownie szalona.

Rozdział 6
George i The Quarrymen

Pani Harrison zawsze lubiła muzykę i taniec. Razem z mężem prowadziła nawet kurs tańca dla początkujących, na którym uczyli głównie tańców towarzyskich. Kurs odbywał się przez niemal dziesięć lat w klubie kierowców autobusów i kontrolerów biletów przy Finch Lane. Rodzice nie przypominają sobie za to, żeby George jako dziecko wykazywał jakiekolwiek oznaki muzykalności. „Za to zawsze potrafił nas rozśmieszyć, jeśli się go o to poprosiło – mówi pani Harrison. – Chował się na przykład za fotelem i robił teatrzyk kukiełkowy”.

Dopiero jako czternastolatek George wrócił pewnego razu do domu i zaczął rysować gitary na każdym skrawku papieru, jaki wpadł mu w ręce. „Pewnego dnia spytał mnie: »Wiesz, jeden chłopak w szkole kupił sobie gitarę za pięć funtów i powiedział, że mi ją odsprzeda za trzy. Kupisz mi?«. Powiedziałam, że skoro bardzo tego chce, to w porządku. Pracowałam wówczas, znowu, w sklepie spożywczym, tak jak za czasów przedmałżeńskich”.

Pierwszym artystą, który zrobił na George’u wrażenie, był Lonnie Donegan. „Znałem już wcześniej takich wykonawców jak Frankie Laine czy Johnnie Ray, ale jakoś nie przypadli mi do gustu. Chyba wtedy wydawali mi się zbyt dojrzali. Za to Lonnie Donegan i muzyka skifflowa to było właśnie coś z mojej bajki”. Pierwsza gitara, którą matka kupiła mu za trzy funty, przeleżała na szafie trzy miesiące, zupełnie zapomniana. „Była tam taka śrubka, która trzymała ze sobą gryf i główne pudło – mówi George. – Próbując grać, wykręciłem ją i już nie potrafiłem jej z powrotem wkręcić, więc odłożyłem gitarę na szafę. Aż pewnego dnia przypomniałem sobie o niej i poprosiłem Pete’a, żeby mi ją naprawił”.

„George próbował się uczyć sam – mówi pani Harrison – ale postępów nie było widać. »Nigdy tego nie opanuję«, narzekał. Ja zaś odpowiadałam, że na pewno mu się uda, tylko nie może dać za wygraną. Nie dawał do tego stopnia, że palce krwawiły mu od dociskania strun. »Dasz radę, synu, dasz radę«, powtarzałam. Czasem siedziałam z nim do drugiej lub trzeciej nad ranem. Na każde jego »nie dam rady« miałam swoje »dasz, dasz«. Sama nie wiem, czemu tak bardzo go zachęcałam. Po prostu bardzo mu na tym zależało i to był dla mnie wystarczający powód. Poza tym chyba nadal miałam w pamięci własne próby samorealizacji w dzieciństwie i to, że znikąd nie otrzymałam wsparcia. Dlatego pomagałam George'owi jak tylko mogłam. W sumie jego zainteresowania były dla mnie tak nieuchwytne. »Mamo, ty zupełnie nie znasz się na gitarach, prawda?«, zapytał pewnego dnia. Przyznałam, że się nie znam, ale nadal uważam, że powinien iść do przodu, a na pewno mu się uda. Na to on, że nie o to mu chodziło. Chciał mi po prostu powiedzieć, że potrzebuje nowej gitary. Powiedział, że to tak jak z harmonijką ustną. Są takie dźwięki, których nie da się wydobyć, jeśli harmonijka nie jest wystarczająco dobra. Cóż, dość szybko okazało się, że jego gitara za trzy funty nie jest dość dobra. Obiecałam mu więc, że pomogę mu kupić kolejną. Kupił. Za trzydzieści funtów. Elektryczną czy coś takiego. Peter też grał na gitarze. W sumie, jak tak się nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że to on jako pierwszy miał gitarę. Jakąś taką zepsutą, którą kupił za pięć funtów. Posklejał ją, naciągnął struny i była jak nowa".

„Mama faktycznie bardzo mnie wspierała – potwierdza George. – Przede wszystkim nie zniechęcała mnie do niczego, co akurat chciałem robić. Pod tym względem moi rodzice byli super. Jeśli się czegoś dzieciom zabrania, to można być właściwie pewnym, że i tak to zrobią, więc w sumie lepiej od razu się zgodzić. Moi rodzice pozwalali mi wracać późno do domu wtedy, kiedy miałem na to ochotę, i pić, kiedy miałem ochotę. Zanim wszyscy inni dobrnęli do tego etapu, gdy chcieli się włóczyć po mieście i

pić, ja miałem to już za sobą. Pewnie z tego samego powodu nie jestem dziś miłośnikiem alkoholu. Wyszalałem się do woli, zanim jeszcze skończyłem dziesięć lat".

„Pewnego dnia George wrócił ze szkoły i oznajmił nam, że ma przesłuchanie w British Legion Club w dzielnicy Speke – wspomina pani Harrison. – Powiedziałam mu, że chyba oszalał. Wtedy nie miał nawet zespołu. Oznajmił, żebym się nie martwiła, że jakiś sobie zorganizuje". I faktycznie zorganizował. Wziął brata, Petera, by zagrał na gitarze, kumpla, Arthura Kelly'ego, również gitarzystę, oraz dwóch innych – mieli grać na puszce do herbaty i na harmonijce ustnej. Sam również zagrał na gitarze. Wychodzili z domu w odstępach, po czym skradali się za żywopłotem. George nie chciał, żeby sąsiedzi dowiedzieli się o ich planach. Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że prawdziwa gwiazda nie dojechała, i wysłano ich prosto na scenę, ponieważ nie było komu zagrać dla zgromadzonej publiczności.

„Wrócili do domu szalenie podekscytowani – wspomina pani Harrison. – Mówili jeden przez drugiego, aż trudno było zrozumieć, co się w ogóle stało. Aż w końcu pokazali mi każdy swoje dziesięć szylingów, które dostali za występ, za ich pierwszy profesjonalny angaż. Ten biedaczyna, który grał na puszce z herbatą, miał całe palce pokrwawione, tak bardzo wczuł się w rolę. We krwi była też sama puszka. Na ten wieczór przyjęli nazwę The Rebels[48]. Faktycznie uwiarygodnili ją czerwienią krwi".

George nie grał regularnie w żadnym zespole, wspomagając tylko różne grupy od czasu do czasu, aż do momentu, gdy Paul zaprosił go, by dołączył do The Quarrymen. Poznali się z Paulem od razu po rozpoczęciu nauki w Institute. Spotykali się codziennie w autobusie, w drodze do szkoły. George pamięta, że pewnego dnia jego mama zapłaciła za bilety ich obydwu. Gdy zaczęła się moda na skiffle, obaj mieli już swoje gitary i jeszcze bardziej się zaprzyjaźnili.

„Pewnego popołudnia Paul przyszedł do mnie rzucić okiem na mój podręcznik do gry na gitarze, którego sam nie potrafiłem rozgryźć, więc leżał ciągle w szafie. Nauczył się z niego kilku chwytów i udało mu się nawet zagrać *Don't You Rock Me Daddy-O* na dwóch akordach. Zazwyczaj graliśmy sobie sami, nie w żadnym zespole. Słuchaliśmy jeden drugiego i podkradaliśmy nowe chwyty od chłopaków, którzy byli lepsi".

Zaczęli spędzać razem każdą wolną chwilę, nawet w okresie wakacji. Było to na długo zanim Paul poznał Johna i zespół The Quarrymen. Wygląda na to, że Paul grał już z The Quarrymen blisko rok, gdy dołączył do nich George, a miało to miejsce chyba dopiero na początku 1958 roku[49]. Nikt nie pamięta dokładnej daty, ale wszystko wskazuje na to, że George nie grał w zespole od samego początku. W końcu był bardzo młody, choć mimo swojego wieku robił bardzo duże postępy i często zapraszano go, by grał gościnnie.

„Po raz pierwszy widziałem The Quarrymen w akcji, gdy grali w Wilson Hall w dzielnicy Garston. Paul grał z nimi i powiedział, że powinienem przyjść ich posłuchać. I tak bym poszedł, ot żeby nie siedzieć w domu i żeby rozejrzeć się za zespołami, z którymi mógłbym współpracować. Ponieważ znałem Paula, zostałem przedstawiony Johnowi. Był tam jeszcze inny gitarzysta tego wieczoru. Nazywał się Eddie Clayton i grał z jakąś inną grupą. Był świetny. John powiedział, że jeśli potrafię grać tak jak on, mogę dołączyć do The Quarrymen. Zgrałem im *Raunchy* i John zgodził się, żebym został członkiem zespołu. Od teraz zawsze grałem dla nich tę piosenkę. Potrafiliśmy jechać gdzieś na górze dwupiętrowego autobusu, oczywiście z gitarami, a John zaczynał krzyczeć: »George, dawaj *Raunchy*!«".

„George nigdy nie uważał się za dobrego gitarzystę – mówi pani Harrison. – Zawsze narzekał, że nie gra dobrze i że jest tylu ludzi lepszych od niego. Powtarzałam mu, że może być najlepszy, jeśli będzie się

przykładał”. John pamięta, że to ze względu na młody wiek George’a wahał się, czy powinien przyjąć go do zespołu. „Tego było naprawdę za wiele, za wiele. George był za młody i tyle. Początkowo nie chciałem nawet wiedzieć [ile ma lat]. Rozwoził gazety po domach i wydawał się strasznym szczeniakiem. Kiedyś przyjechał do nas i zaproponował, żebym poszedł z nim do kina, ale wyłgałem się, mówiąc, że nie mam czasu. Nie spodobał mi się na pierwszy rzut oka. Polubiłem go dopiero przy bliższym poznaniu. Mimi ciągle powtarzała, że George ma niski, typowo liverpoolski głos, właściwie kawał głosu. Mówiła: »Zawsze ciągnie cię do typków z niższych klas, prawda?«.

Przyjęliśmy George’a, bo znał o wiele więcej chwytów niż my. Mnóstwo wniósł do zespołu. Za każdym razem, gdy uczyliśmy się nowego chwytu, on komponował wokół niego piosenkę. Zrywaliśmy się ze szkoły i właśnie w domu George’a spędzaliśmy całe dnie. George wyglądał jeszcze młodziej niż Paul, a Paul, z tą jego dziecięcą buźką, wyglądał przecież na dziesięć lat”.

George twierdzi, że najpewniej z pełną premedytacją kręcił się wokół Johna. W tamtym okresie John miał zacząć naukę w Art College, co wcale nie oznacza, że zachowywał się mniej agresywnie i wulgarnie niż zwykle, mimo całego wysiłku, który Mimi włożyła w jego wychowanie. „John bardzo mi imponował – mówi George. – Chyba nawet bardziej niż Paul, a przynajmniej bardziej to okazywałem. Uwielbiałem jego niebieskie dżinsy, fioletową koszulę i bokobrody. Ale w sumie to imponowali mi wszyscy uczniowie Art College. John był wyjątkowo sarkastyczny, zawsze próbował człowiekowi dogryźć, ale ja wcale się tym nie przejmowałem albo odpłacałem mu tym samym i działało”.

„Spotkanie z Paulem było jak każde inne spotkanie dwójki ludzi – mówi John. – Żadna tam miłość, nic z tych rzeczy. Po prostu ja i on. Potoczyło się. Zaskoczyło. A teraz nagle była nas trójka myślących tak samo”.

Przez The Quarrymen przewinęło się jeszcze wiele innych osób, ale odchodziły, nie mogąc znieść niewyparzonej gęby Johna albo po prostu znudziwszy się graniem. Chłopcy potrzebowali więc do występów innych muzyków, bo trzy gitary to przecież jeszcze nie zespół, nawet w tamtych czasach. Koniecznie potrzebny im był perkusista, ale żaden, nawet najgorszy, jakoś nie chciał z nimi zostać na stałe. Jako grupa zaczęli powoli odchodzić od muzyki skifflowej. Puszki na herbatę i tarki do prania to była amatorszczyzna. Cała trójka zdecydowanie wolała rock and rolla, a szczególnie Elvisa, i taki właśnie styl próbowali naśladować. Stale słuchali w radiu nowych piosenek, a potem sami w domu próbowali rozgryźć poszczególne dźwięki i odtworzyć melodię. John jako lider próbował załatwiać im wszelkie możliwe występy u organizatorów, którzy pojawiali się, węsząc biznes w świecie nowo powstających zespołów. Niestety szalenie trudno było zdobyć regularny angaż. Zespołów było wiele, a większość z nich lepsza niż The Quarrymen.

Ale za to chłopcy mieli dwa domy – Harrisonów bez ograniczeń, i McCartneyów, gdy ojca Paula nie było w domu. Mogli więc ćwiczyć do woli, komponować piosenki lub po prostu wygłupiać się. Mimi za to zdecydowanie nie zgadzała się, żeby jacyś teddy boysi z zespołu rockandrollowego pałętali jej się po domu. „Paul często pukał do drzwi – mówi Mimi. – Opierał rower o ogrodzenie i zaglądał przez płot, patrząc na mnie tymi swoimi wielkimi oczyma, i pytał: »Dzień dobry, Mimi. Mogę wejść?«. Na to ja odpowiadałam: »Zdecydowanie nie«”.

Mimi nie polubiła George’a, kiedy tylko o nim usłyszała. „John bez przerwy o nim gadał. Mówił, jaki miły z niego dzieciak i jak bardzo go lubi. Sporo trudu sobie zadał, żebym i ja go polubiła. »Podzieliłby się ostatnią kromką chleba«, mawiał. W końcu zgodziłam się, by przyszedł. Zjawił się obcięty na jeża i w różowej koszuli. Co za nietakt. Może i byłam lekko staroświecka, ale żeby uczeń tak się ubierał. Ja zawsze dbałam, żeby

przynajmniej do szesnastego roku życia John chodził do szkoły w przepisowej koszuli i marynarce”.

Tak więc większość prób odbywała się w domu George’a przy Upton Green. Pewnego dnia Harrisonowie wrócili do domu i zastali swojego syna w najbardziej obcisłej parze dżinsów, jaką kiedykolwiek widzieli. „Harold dostał szału – opowiada pani Harrison. – Jak tylko zobaczył te spodnie, wściekł się nie na żarty. George powiedział, że właśnie dostał je od Johna, po czym zaczął radośnie skakać po całym pokoju. »Jak mam tańczyć w balecie bez obcisłych dżinsów?«, zapytał, skacząc z jednej strony pokoju na drugą. Ostatecznie nie mogliśmy powstrzymać śmiechu. George nigdy nie był w stosunku do nas bezczelny, ale zawsze potrafił nas jakoś podejść”.

Pani Harrison po raz pierwszy poznała Johna Lennona we własnej kuchni – George przyprowadził go pewnego dnia do domu. „»Oto John«, krzyknął George. »Dzień dobry, pani Harrison«, powiedział John, podchodząc do mnie i ściskając mi dłoń. Nie wiem, co się stało później. John upadł – i to tak, że przewrócił się na mnie i oboje wylądowaliśmy na sofie. W tym momencie wszedł mój mąż. Trzeba było widzieć jego minę, gdy zobaczył Johna leżącego na mnie! »Co u licha?«, wykrzyknął, a George na to: »Wszystko w porządku, tato. To tylko John«. John zawsze był lekko stuknięty. Dlatego nigdy się nie smucił, podobnie jak ja”.

Rozdział 7
John w Art College

John rozpoczął naukę w liverpoolskim Art College jesienią 1957 roku. Na inauguracji pojawił się w swojej najciaśniejszej parze jeansów i najdłuższej czarnej marynarce. Jak udało mu się wymknąć z domu w takim stroju? Rurki zakamuflował przed Mimi, zakładając na nie normalne spodnie, które zdjął od razu, jak tylko znalazł się w bezpiecznej odległości od domu – na przystanku autobusowym.

„Gdy pojawiłem się w Art College, od razu wiedzieli, że jestem jednym z teddy boysów. Z czasem mój styl stał się trochę bardziej artystyczny, pod wpływem kolegów ze szkoły, ale do końca pozostałem tedem, ubranym na czarno w ciasne rurki. Jeden z wykładowców, Arthur Ballard, zasugerował, że przydałaby mi się drobna zmiana i że nie powinienem nosić aż tak obcisłych spodni. Ten Arthur Ballard to był spoko facet. Pomógł mi, bo stawiał na mnie, gdy inni chcieli mnie wywalić. Chociaż w sumie to ja nie byłem tedem tylko raczej rockersem[50]. Tylko udawałem. Gdybym spotkał na swej drodze prawdziwego teda, z łańcuchami i poważnym gangiem, zesrałbym się ze strachu. Z czasem wyemancypowałem się i zacząłem ignorować Mimi. Znikałem z domu. Ubierałem się, jak chciałem. Ciągle powtarzałem też Paulowi, żeby przestał się przejmować ojcem i nosił to, co chce.

Nigdy nie lubiłem pracować. Powinienem był trafić na wydział rysunku lub malarstwa, bo to wówczas wydawało mi się fajne. Niestety wylądowałem na liternictwie. Nie zjawiłem się na jakichś tam zajęciach czy zapisach i po prostu tam mnie przydzielili. Równie dobrze mogli mnie zapisać na akrobatyczne skoki spadochronowe – taki sam byłby tam ze mnie pożytek, co na tym liternictwie. Oblałem wszystkie egzaminy.

Zostałem w szkole tylko dlatego, że to lepsze niż praca. Zamiast pracować, wolałem studiować. Odkąd pamiętam, czułem jednak, że mi się powiedzie. Miałem oczywiście chwile zwątpienia, ale wiedziałem, że w końcu coś musi się wydarzyć. Gdy Mimi wyrzucała moje teksty i rysunki, ostrzegałem ją, że będzie tego żałować, jak już będę sławny. I mówiłem to zupełnie poważnie. Nie do końca wiedziałem, co chcę robić w życiu, poza tym, że koniecznie chciałem zostać ekscentrycznym milionerem. Najbardziej podobała mi się wizja ożenienia się z jakąś milionerką.

Po prostu musiałem zostać milionerem i już, i jeśli jedyną drogą do pieniędzy miało być oszustwo, to niech i tak będzie, będę oszustem, myślałem. Zdawałem sobie sprawę, że przecież nie wzbogacę się na sprzedaży własnych obrazów. Niestety jako tchórz nie nadawałem się nawet na oszusta. W życiu nie odniósłbym w tej dziedzinie sukcesu. Owszem, miałem plan razem z jednym kolegą, żeby obrobić jakiś sklep, ale tak na poważnie, nie jakieś tam podkradanie z półek. Wieczorami obserwowaliśmy różne sklepy, ale ostatecznie nie zdecydowaliśmy się na działanie”.

Matka Johna, Julia, z którą ten spędzał coraz więcej czasu, nie miała nic przeciwko stylowi życia swego syna. W tamtym okresie praktycznie zajęła ona w życiu Johna miejsce Mimi. Ufał jej, ponieważ nadawali na tych samych falach, mieli podobne gusta i nie znosili tych samych ludzi.

„Ten weekend spędzałem u Julii i Nerwusa – opowiada John. – W drzwiach zjawił się gliniarz, żeby osobiście powiadomić nas o wypadku. Było zupełnie jak w filmach. Pytał, czy jestem jej synem i tak dalej. Następnie powiedział, co się stało, i obaj zbledliśmy. Nie spotkało mnie w życiu nic gorszego niż to. Zdążyliśmy się bardzo zbliżyć do siebie na nowo, ja i Julia, przez tych ostatnich kilka lat. Potrafiliśmy ze sobą rozmawiać i doskonale się rozumieliśmy. Była cudowna. Kurwa, kurwa, kurwa mać, pomyślałem. Wszystko szlag trafił. Teraz już nie miałem wobec nikogo żadnych zobowiązań.

Nerwus przyjął to jeszcze gorzej niż ja, a potem zapytał: »Kto się teraz zajmie dziećmi?«. Aż mną targnęło. Co za egoista. Pojechaliśmy taksówką do głównego szpitala w Sefton, gdzie leżała martwa. Nie chciałem jej oglądać. Po drodze jak nakręcony nadawałem na wszystko co popadnie do taksówkarza, jak to zwykle w takich sytuacjach. On z kolei tylko pochrząkiwał od czasu do czasu. Nie chciałem tam wchodzić i jej oglądać. Za to Nerwus poszedł. Załamało go to".

Julia zginęła 15 lipca 1958 roku. Wypadek wydarzył się tuż przed domem Mimi. „Zawsze odprowadzałam ją na przystanek – wspomina Mimi – ale tego wieczoru wyszła wcześniej, za dwadzieścia dziesiąta. Poszła sama. Po minucie usłyszałam okropny pisk opon. Wybiegłam z domu, a Julia leżała martwa, potrącona przez samochód przed moimi drzwiami. Nie powiedziałam nikomu z rodziny, gdzie dokładnie się to wydarzyło. Mijali to miejsce każdego dnia, więc pomyślałam, że byłoby to dla nich zbyt bolesne. Ale dla mnie Julia wcale nie umarła. Żyje nadal i ma się dobrze. Nie zbliżam się do jej grobu, tak jak nie zbliżałam się do grobu mamy. Dla mnie one obie żyją. Tak bardzo je kochałam. Julia była cudowną osobą".

Śmierć Julii musiała być dla Johna ogromną tragedią. „Ale nigdy tego nie okazał – mówi Pete Shotton. – Zupełnie jak wtedy, kiedy dostawał od nauczycieli. Nigdy nie okazywał, że cierpi. Jego fizjonomia nie odzwierciedlała bólu". Wszyscy przyjaciele Johna dowiedzieli się o wypadku natychmiast. Jeden z nich, Nigel Whalley, rozmawiał z Julią jako ostatni, gdy wyszła z domu Mimi, by przejść na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się przystanek autobusowy. „John nigdy nie mówił o Julii, o swoich uczuciach – opowiada Pete – ale wyładowywał je na dziewczynach. Był dla nich okropny. Pamiętam, jak jedna z nich postawiła się, wrzeszcząc: »Nie wyżywaj się na mnie za śmierć matki«".

Pani Harrison, mama George'a, pamięta, jak wielki wpływ na Johna miała ta tragedia. Chłopcy nadal spędzali mnóstwo czasu, ćwicząc w domu Harrisonów – w domu, w którym mogli znaleźć wsparcie i gdzie czuli się

mile widziani. „Pewnego wieczoru poczęstowałam ich wszystkich smażoną fasolką i tostami. To było na kilka miesięcy przed tym tragicznym wypadkiem, gdy John i Julia stawali się sobie coraz bliżsi. Usłyszałam przez przypadek, jak John zwraca się do Paula tymi słowami: »Nie wyobrażam sobie, jak możesz tu tak po prostu siedzieć, wiedząc, że twoja matka nie żyje. Oszalałbym, gdyby coś takiego przydarzyło się mnie«. Tymczasem gdy mama Johna faktycznie zginęła, ten bynajmniej nie oszalał, ale zamknął się w domu. Kazałam George'owi odwiedzić go i sprawdzić, czy nadal chce grać w zespole i czy przypadkiem zbytnio nie pogrąża się w smutku. Każdy z nich wiele w życiu przeszedł i bardzo się zawsze wspierali, nawet w tym wczesnym okresie. George był przerażony, że teraz ja umrę. Śledził bacznie każdy mój ruch, aż musiałam go upomnieć, żeby nie był głuptasem i że wszystko będzie dobrze".

Ta śmierć jeszcze bardziej zbliżyła do siebie Johna i Paula. Teraz mieli jeszcze jedną wspólną cechę. Za to koledzy z Art College wspominają, że śmierć Julii sprawiła, iż na zewnątrz John jeszcze bardziej zhardział. Coraz mniej przejmował się uczuciami innych osób, coraz czarniejsze było jego poczucie humoru. Thelma Pickles była w tamtym okresie jedną z jego dziewczyn, choć nic poważnego ich nie łączyło – ot, należeli to tego samego towarzystwa. Thelma wspomina, że John imponował większości rówieśników – podobał im się jego stosunek do życia, bo nigdy wcześniej nie spotkali się z podobną osobowością.

„John nigdy nie miał pieniędzy. Typowy pasożyt, pożyczał od wszystkich bez przerwy, namawiał ludzi, żeby stawiali mu frytki czy napoje, żebrał wśród znajomych o fajki. Pewnie nadal wisi wielu z nas sporo kasy. Ale John ma magnetyczną osobowość i bez trudu zdobywał od ludzi potrzebne mu pieniądze. Był okropny. Mówił takie rzeczy, że niewielu odważyłoby się powiedzieć coś takiego. Potrafił też być okrutny. Szedł sobie na przykład ulicą i prosto w twarz staruszkowi potrafił krzyknąć »Pu!«. A gdy widział kalekę albo osobę w jakiś sposób oszpeconą, potrafił

czynić głośne komentarze w stylu: »Niektórzy to nie cofną się przed niczym, żeby uniknąć wojska«”.

Jego rysunki były równie okrutne, choć ja uważałam je za cudowne. Na jednym przedstawił wianuszek kobiet pochylających się nad niemowlakami i zachwycających się, jakie są śliczniutkie. Wszystkie niemowlaki były zdeformowane i miały potworne twarze. To było naprawdę okropne. Kiedy zmarł papież[51], narysował pełno jego karykatur, na których strasznie go oszpecił. Jedna z nich przedstawia papieża stojącego u bram Nieba i szarpiącego za furtę, by wejść do środka. Pod spodem widniał napis: »Przecież to ja, Papież, naprawdę«.

John nie miał szacunku do niczego. Ale za to zawsze miał wokół siebie publiczność. Była taka jedna dziewczyna, która za nim szalała. Płakała nawet z jego powodu. John szalenie wstydził się tego, że nosi okulary, i ciągle je zdejmował, nawet w kinie. Kiedyś poszliśmy zobaczyć film z Elvisem *King Creole*, ale nawet wtedy John nie założył okularów. Na ekranie leciała wielka, bardzo seksowna reklama pończoch, ale nawet tego nie widział i musiałam mu opowiadać, co się dzieje.

Nigdy na poważnie nie interesowałam się muzyką. John często mówił mi, że skomponował piosenkę. Oczywiście byłam pełna podziwu, że można ot tak coś skomponować, ale nie potrafiłam docenić jakości tych kompozycji. Wiedziałam poza tym, że musiałby się wydarzyć cud, żeby z pisania piosenek człowiek mógł wyżyć, więc nie za bardzo widziałam w tym sens. Wiedziałam, że John miał potencjał, by osiągnąć sławę, ale nie wiedziałam, w jakiej dziedzinie. Fakt, był oryginalny, zupełnie inny niż wszyscy, ale nie miałam pojęcia, czym mógłby zasłynąć. Może jako komik, myślałam”.

John zgadza się z większością dotyczących go wspomnień Thelmy z okresu nauki w Art College. Dla niego tamte wspomnienia nie są zbyt ciekawe – ot, odrobina nostalgii i rozbawienia. Było jak było. „Musiałem

pożyczać lub nawet podkradać na studiach, bo po prostu nie miałem kasy”, mówi. Mimi wspomina, że dawała mu kieszonkowe w wysokości trzydziestu szylingów tygodniowo i zupełnie nie rozumie, jak mógł je wydawać w takim tempie. „Sępiłem ciągle od lizusów pokroju Thelmy. Co do poczucia humoru, faktycznie miałem wisielcze. Właśnie w szkole wszystko się zaczęło. Pewnego dnia wracaliśmy z dorocznego wręczenia nagród szkolnych. Trochę wypiliśmy. W Liverpoolu zawsze było pełno różnej maści dziwaków, tak samo jak w Glasgow. Na przykład karłowaci faceci sprzedający gazety. Wcześniej jakoś ich nie zauważałem, ale tego dnia, gdy wracaliśmy ze szkoły, miasto wprost roiło się od nich. Było nam coraz weselej i nie potrafiliśmy powstrzymać śmiechu. Myślę, że w ten sposób próbowaliśmy jakoś ukryć prawdziwe emocje. W życiu nie skrzywdziłbym kaleki, ale taki już mieliśmy humor, taki był nasz styl bycia”.

W czasach studenckich w życiu Johna pojawiły się dwie nowe osoby. Pierwszą z nich był Stuart Sutcliffe. Chłopcy byli na tym samym roku, ale w przeciwieństwie do Johna Stuart lepiej rokował jako artysta i wykazywał dużo większe zainteresowanie sztuką. Miał wątłą posturę, odznaczał się artystycznym zacięciem i dużą wrażliwością, ale jednocześnie był bardzo niezależny w swoich poglądach i potrafił ich bronić. Od razu przypadli sobie do gustu. Stu podziwiał Johna za styl ubierania i prezencję, czyli sposób, w jaki tworzył wokół siebie atmosferę typową dla jednostki silnej i dominującej. Z kolei John podziwiał talent Stu – znacznie większy niż jego własny – oraz jego wiedzę i wyczucie artystyczne.

Stu nie potrafił grać na żadnym instrumencie i nie znał się za dobrze na muzyce popularnej, ale zwaliło go z nóg, gdy pierwszy raz usłyszał Johna i jego zespół, grających podczas przerwy na lunch w Art College. On zawsze ich chwalił, nawet jeśli na nikim innym ich występy nie robiły wrażenia. George i Paul byli lekko zazdrośni o Stu i jego wpływ na Johna, choć dalszym znajomym niełatwo było dostrzec, jak bardzo John podziwia Stu.

Pozornie bowiem John stale się go czepiał i korzystał z każdej okazji, by mu dogryźć. Paul, idąc za jego przykładem, zaczął traktować Stu bardzo podobnie, choć tak jak John, Paul również interesował się sztuką, więc tak naprawdę Stu stanowił dla niego źródło inspiracji.

Drugą ważną osobą w życiu Johna w okresie studiów stała się Cynthia Powell – obecnie jego żona[52]. „Cynthia była wyjątkowo cichą dziewczyną – mówi Thelma. – Zupełnie inną niż my wszyscy. Pochodziła z drugiego brzegu rzeki, czyli z tej lepszej części miasta, którą zamieszkiwała klasa średnia. Chodziła w komplecikach z dzianiny. Była bardzo miła, ale jakoś zupełnie nie pasowała mi do Johna. On za to ciągle o niej mówił i zachwycał się, jaka jest cudowna. Nie mogłam tego pojąć. Zrobiłam sobie rok przerwy na studiach i wyjechałam. W tym czasie dowiedziałam się od kogoś, że John i Cynthia są ze sobą na poważnie. Pomyślałam, że dzięki temu się ustatkuje, trochę uspokoi, ale nic takiego nie nastąpiło”.

Od początku Cynthia Powell i John byli na jednym roku w tej samej klasie liternictwa. Niemniej przez ponad rok nie zwracali na siebie uwagi i obracali się w zupełnie różnych kręgach. Ona – raczej nieśmiała dziewczyna z dobrego domu i lepszej części miasta, on – wyszczekany liverpoolski teddy boy.

Cynthia wspomina: „Według mnie był okropny. Pamiętam, że po raz pierwszy przyjrzałam mu się lepiej w auli wykładowej – obserwowałam, jak siedząca za nim Helen Anderson bawi się jego włosami. Coś się we mnie obudziło. Początkowo myślałam, że to odraza. Potem zdałam sobie sprawę, że to była zazdrość. Nigdy wcześniej nie miałam z nim kontaktu, może poza takim, że podkradał mi różne rzeczy: linijki, pędzle. W tamtych czasach wyglądał okropnie. Chodził w takim długim płaszczu tweedowym po wujku George’u, a włosy miał zaczesane do tyłu na brylantynie. Wcale mi się nie podobał. Był obleśny. Ale w sumie wcale go nie znałam. Nie

byłam jedną z nich. Byłam grzeczną dziewczyną, albo przynajmniej tak mi się wydawało”.

„Była typowym przedstawicielem Hoylake[53] – mówi John. – Maksymalna snobka. Wyśmiewaliśmy się z niej często i przedrzeźnialiśmy ją razem z kumplem Jeffem Mohamedem. Krzyczeliśmy za nią: »Proszę o ciszę. Żadnych nieprzyzwoitych żartów. Idzie Cynthia«”.

Pierwszą prawdziwą rozmowę odbyli kiedyś na zajęciach literatury. „Okazało się, że oboje jesteśmy krótkowidzami. Rozmawialiśmy o tym przez chwilę. John zupełnie tego nie pamięta. No trudno, szkoda. Ale ja owszem. Po tej rozmowie zaczęłam przychodzić na zajęcia trochę wcześniej, żeby zająć miejsce obok niego. Potem kręciłam się jeszcze przez chwilę w pobliżu, w nadziei, że na niego wpadnę. Nie zalecałam się do niego bynajmniej. Po prostu coś czułam, a on nie był tego świadomy. Nie chciałam być nachalna. Nie potrafiłabym. Chyba do dziś nie wie, ile razy czekałam, aż na siebie wpadniemy”.

Poznali się lepiej w okolicach Bożego Narodzenia na drugim roku. Był to rok 1958. „Mieliśmy bal klasowy – opowiada John. – Schlałem się i poprosiłem ją do tańca. Jeff Mohamed cały wieczór mnie podpuszczał, mówiąc: »Ta Cynthia to cię lubi, wiesz.« Podczas tańca zaprosiłem ją na imprezę, która miała się odbyć na drugi dzień. Powiedziała, że nie może przyjść. Miała narzeczonego”.

„Miałam – mówi Cynthia. – No, prawie miałam. Chodziłam z jednym chłopakiem od trzech lat i mieliśmy się zaręczyć. John zdenerwował się, gdy mu odmówiłam. Powiedział, żebym w takim razie przyszła później na drinka do klubu Crack. Początkowo się nie zgodziłam, ale w końcu poszłam. Tak naprawdę to chciałam pójść, cały czas”.

„To był mój triumf – chwali się John. – Udało mi się ją poderwać. Wypiliśmy po drinku, a potem poszliśmy do mieszkania Stu, po drodze zatrzymując się na rybę i frytki”.

Od tego momentu umawiali się regularnie co wieczór i w ciągu dnia również – na przykład zamiast na wykłady chodzili do kina. „Bałam się go. Był taki szorstki. Nigdy nie ustępował. Cały czas się kłóciliśmy. Wiedziałam, że jeśli raz ustąpię, to koniec. Po prostu mnie testował. Nie pod kątem damsko-męskim, ale czy można mi ufać. Miałam mu udowodnić, że można".

„Byłem strasznie narwany – mówi John. – I na tym polegał mój problem. Byłem zazdrosny o każdego, z kim miała cokolwiek do czynienia. Chciałem mieć absolutną pewność, że mogę jej ufać, bo sam nie byłem specjalnie godny zaufania. Byłem neurotykiem, wyładowywałem na niej swoje frustracje. Raz faktycznie ze mną zerwała. To było okropne".

„Miałam już tego dość – mówi Cynthia. – Nie dawałam rady. On potrafił po prostu iść i całować się z jakąś inną dziewczyną".

„Ale nie potrafiłem wytrzymać bez niej, więc zadzwoniłem".

„Siedziałam przy telefonie, czekając, aż zadzwoni".

Cynthii nie spieszyło się, żeby przedstawić Johna matce. Chciała ją najpierw przygotować na szok. „Nie grzeszył dobrym wychowaniem i wyglądał jak obszarpaniec. Mama zachowała zimną krew. Przez cały czas była bardzo miła, choć pewnie miała nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach. Ale nigdy nie stanęła nam na drodze. Nauczyciele za to ostrzegali mnie przed nim, mówiąc, że zaczynają na tym cierpieć moje studia. Faktycznie opuściłam się w nauce i na każdym kroku mi to wytykano. Nasza sprzątaczka Molly przyłapała nas kiedyś, jak John mnie bił, właściwie to mi przyłożył. Powiedziała, że głupia jestem, że się zadaję z kimś takim".

„Przez dwa lata miałem stale straszne napady agresji – opowiada John. – Jak nie pijatyka to bijatyka. Z innymi dziewczynami też tak postępowałem. Coś było ze mną nie tak".

„Miałam tylko nadzieję, że kiedyś mu przejdzie, choć nie wiedziałam, czy wytrzymam i doczekam tej chwili. Winiłam za ten stan rzeczy jego

pochodzenie, dom, Mimi i studia. *College* to nie było miejsce dla niego. Instytucje jako takie nie były stworzone dla Johna”.

Rozdział 8
Od The Quarrymen do The Moondogs

Już pod koniec roku 1959 nazwa zespołu The Quarrymen była nieaktualna. Paul i George uczęszczali do Liverpool Institute i nie mieli nic wspólnego ze szkołą Quarry Bank, natomiast John był już w tym czasie w Art College. Przez jakiś czas żonglowali nazwami wymyślanymi na poczekaniu. Pewnego wieczoru nazwali się The Rainbows[54], ponieważ wszyscy przyszli na próbę w różnokolorowych koszulach. Ze wspomnień George'a wynika, że mniej więcej przez rok od momentu, gdy dołączył do pozostałej trójki, zespół nie poczynił szczególnych postępów, choć on sam bardzo udoskonalił swoją technikę gry. „Nie pamiętam nawet, żebym cokolwiek w tym pierwszym roku zarobił. Graliśmy głównie na imprezach u różnych kumpli. Kręciliśmy się tu i tam z gitarami i nas zapraszano. W ramach zapłaty dostawaliśmy colę albo talerz fasolki. Najbliżej pieniędzy byliśmy, gdy braliśmy udział w konkursach skifflowych. Bez problemu przechodziliśmy przez początkowe rundy i staraliśmy się coś wygrać. Niestety nagrody pieniężne były przewidziane tylko dla zwycięzców, nie dla wszystkich uczestników, a konkursy potrafiły trwać bez końca. Oczywiście było to dość głupie, że nie mieliśmy żadnego perkusisty, za to około osiemnastu gitarzystów".

Pani Harrison bardzo kibicowała George'owi i jego zespołowi, ale pan Harrison martwił się. Przegrywał walkę z synem o jego styl ubierania i długie włosy, głównie dlatego, że chłopak po swojej stronie miał matkę. „To jego włosy – mawiała. – Czemu miałby słuchać kogoś w sprawie własnych włosów?"

„Ale tak naprawdę chodziło mi o to, żeby George skończył szkołę i znalazł dobrą pracę – wyjaśnia pan Harrison. – Martwiłem się, że tak wiele czasu poświęca zespołowi. Wiedziałem, że jak się chce odnieść sukces w show-biznesie, trzeba być naprawdę dobrym, a żeby się utrzymać – właściwie najlepszym. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że osiągną cokolwiek. Dwójka pozostałych synów miała dobry fach w ręku, Harry jako monter i Peter jako blacharz. Dla George'a też chciałem dobrej przyszłości. Ale on stwierdził, że chce rzucić szkołę. Nie chciał być jakimś gryzipiórkiem. Wolał pracować rękoma. Razem z matką postanowił, że rzuci szkołę, bez mojej wiedzy. Nawet nie odebrał świadectwa. Po prostu przerwał naukę".

George zaczął pracować latem 1959 roku w wieku szesnastu lat. „Było jasne, że nie zdobędę żadnych kwalifikacji. Stać mnie było co najwyżej na zaliczenie O-level. Ale w ramach tego egzaminu trzeba zdać przynajmniej dwa przedmioty, żeby pozwolili ci choćby machać łopatą. Więc i tak nic by mi to nie dało. Zostałem do końca semestru, wagarując przez większość czasu, by móc chodzić do Johna do Art College. Często się tam kręciliśmy z Paulem. Przez długi czas po rzuceniu szkoły nie mogłem znaleźć pracy. Nie miałem pojęcia o niczym. Tata bardzo się upierał, żebym poszedł gdzieś na praktykę, więc podszedłem do egzaminów na praktykanta w Liverpool Corporation, ale oblałem. W końcu jakiś gość z urzędu pracy, opiekujący się młodocianymi bezrobotnymi, zaproponował mi pracę dekoratora wystaw w wielkim domu handlowym Blacklers. Poszedłem tam, ale okazało się, że to już nieaktualne. W zamian przyjęto mnie na praktykę jako elektryka. Całkiem mi się to podobało. Bardziej niż w szkole. Poza tym miło było siedzieć zimą w ciepłym sklepie. Większość czasu spędzaliśmy na graniu w rzutki.

W końcu zacząłem myśleć o wyjeździe do Australii. Próbowałem nakłonić ojca do wyjazdu całą rodziną, ponieważ sam byłem za młody. Potem brałem pod uwagę Maltę, ponieważ wpadło mi w ręce kilka broszur

reklamowych. Jeszcze później rozważałem wyjazd do Kanady. Zacząłem nawet wypełniać dokumenty, ale okazało się, że muszą je podpisać rodzice, więc wolałem nawet nie tracić czasu. Ale czułem, że coś się wydarzy".

Tymczasem w domu McCartneyów Jim sam borykał się z wychowaniem dwóch nastoletnich chłopców. Paul, ku radości ojca, przynajmniej jeszcze chodził do szkoły. Niemniej, spędzał tak wiele czasu z Johnem i George'em, bawiąc się w zespół rockandrollowy, że niewiele zostawało go na naukę. Ale jemu przynajmniej udawało się utrzymać w klasie 5B, która uchodziła za najmocniejszą grupę z takich przedmiotów jak angielski i języki obce. Niestety egzaminy O-level nie poszły mu za dobrze. Udało mu się zaliczyć tylko jeden przedmiot – sztukę. Przez chwilę myślał, żeby rzucić szkołę, ale nie wiedział, jaką pracą mógłby ją ewentualnie zastąpić. Poza tym ojcu zależało, by kontynuował naukę, więc łatwiej było nie rezygnować. Zwłaszcza że dzięki szkole miał ciągle sporo czasu na granie. Poszedł więc do klasy wyrównawczej, ponieważ wyniki z O-level nie pozwoliły mu na kontynuację nauki w kolejnej – szóstej – klasie. Po roku jeszcze raz podszedł do O-level i tym razem zdał kolejne cztery przedmioty, przechodząc tym samym do szóstej klasy.

„Szkoła nadal była potwornym utrapieniem, ale pracował tam taki nowy nauczyciel od angielskiego, pan Dusty Durband, którego lubiłem – jako jedynego. Był świetny. Uwielbiał współczesną poezję i opowiadał nam o *Kochanku lady Chatterley*[55] na długo zanim usłyszeliśmy o tej książce, oraz o *Opowieści młynarza*[56]. Mówił, że uważa się je za książki wulgarne, choć to nieprawda".

Tylko ta namiastka zainteresowania trzymała jeszcze Paula w szóstej klasie, choć już zupełnie przestał się uczyć. Oficjalnie przygotowywał się z dwóch przedmiotów do egzaminu A-level, po którym miał iść do kolegium nauczycielskiego. Wszyscy dookoła wiedzieli, że Paul jest wystarczająco

mądry, żeby zdać ten egzamin, a samego Jima myśl ta napawała wielką radością.

„Nie za bardzo poważałem muzykę, którą Paul się interesował – mówi Jim McCartney. – Cały ten Bill Haley, nigdy go nie lubiłem. Nie było w tym żadnej melodyjności. Ale pewnego dnia wróciłem do domu o wpół do szóstej i usłyszałem, jak grają. Zdałem sobie sprawę, że to nie żadna tam prowizorka, tylko coraz lepsza muzyka. Potrafili wyciągnąć z gitar całkiem przyjemne brzmienie".

Jim zaczął nalegać, by pozwolili mu przysłuchiwać się ich próbom. Podpowiadał, co można zmienić, jak on to robił za czasów swojej młodości w Jim Mac's Band. Pytał, czemu nie grają naprawdę dobrych numerów, na przykład *Stairway to Paradise*[57]. On sam zawsze uważał, że to cudowny numer. Opowiadał im, jak kierował swoim zespołem i jak powinni zapowiadać utwory.

Oni na to: „Nie, dzięki, może lepiej zrób nam herbaty, tato". Powiedział, że w porządku, ale skoro nie podoba im się *Stairway to Paradise*, to może jakieś jazzowe numery, w stylu *When the Saints*[58], i że może też im podpowiedzieć, jak je dobrze wykonać. Oni na to: „Nie". Tym razem bardziej stanowczo. W końcu Jim ograniczył się do przynoszenia jedzenia. Po śmierci żony musiał nauczyć się gotować albo przynajmniej próbować gotować. Ku jego niezmiernej radości okazało się, że w przeciwieństwie do jego własnych synów, kapryśników i niejadków – Paul, gdy był zajęty, w ogóle odmawiał jedzenia – ich koledzy z zespołu, John i George, uwielbiają jeść, są stale głodni i nie marudzą. „Wszystko, czego Paul i Michael nie zjedli, dawałem chłopcom. W końcu nawet nie musiałem owijać w bawełnę. Mówiłem po prostu: zostało to i to z obiadu, macie ochotę? Po dziś dzień robię dla George'a budyń, jak wpada do nas. Mówi, że mój budyń jest najlepszy na świecie".

Zespół grał coraz lepiej, chłopakom udało się też skombinować jakieś prymitywne wzmacniacze, by uzyskać mocniejsze brzmienie, jakże różne od miękkich dźwięków charakterystycznych dla skiffle. „Każdy rok był niczym pięć lat”, mówi Paul. Teraz grali głównie w klubach dla robotników lub na ceremoniach kościelnych, całkowicie porzucili występy na imprezach towarzyskich. Grali w takich miejscach jak Wilson Hall czy pętla autobusowa przy Finch Lane. Brali też udział w coraz większej ilości konkursów, podobnie jak inne świeżo upieczone zespoły. „Była tam taka jedna dziewczyna, która grała na łyżkach i ciągle z nią przegrywaliśmy – mówi Paul. – No i był zespół Sunny Siders. Wyróżniali się, bo mieli w składzie karła”.

Przez zespół nadal przewijało się sporo muzyków. Ponieważ John, Paul i George nie znali ich wszystkich, zjawiali się czasem z kimś na doczepkę, kto akurat chciał zagrać. „Przez jakiś czas był z nami taki koleś, Duff. Grał na pianinie, ale ojciec nie pozwalał mu późno wracać do domu, więc grał sobie w najlepsze, a za chwilę po prostu znikał, szedł do domu w połowie piosenki”. Na występach przed publicznością zespół ubierał się w stylu teddy boysów z domieszką elementów country, w postaci czarno-białych koszul kowbojskich, z białymi frędzlami zwisającymi u kieszeni na piersiach i z krawatami w postaci cienkiego czarnego sznurka. Ale i tak więcej czasu chłopcy spędzali w domu George’a albo Paula niż na scenie. „Schodziliśmy się u mnie i paliliśmy liście herbaty w fajce ojca – opowiada Paul. – Czasami przyprowadzaliśmy jakąś dziewczynę albo po prostu siedzieliśmy i rysowaliśmy wzajemnie swoje portrety. Ale głównie graliśmy i pisaliśmy piosenki”.

Przez kilka pierwszych lat John i Paul napisali wspólnie około pięćdziesięciu utworów. Tylko jeden wykorzystali później – *Love Me Do*. Gdy zaczynali pracę nad nowym kawałkiem, u góry kartki zawsze pisali: „Kolejny numer autorstwa Johna Lennona i Paula McCartneya”. Obaj coraz

lepiej grali na gitarze, głównie dzięki przyglądaniu się gwiazdom w telewizji.

„Pewnego wieczoru widziałem występ Cliffa Richarda z The Shadows. Wcześniej słyszałem ich na płycie i bardzo mi się spodobało intro do *Move It*, ale kompletnie nie potrafiłem go rozgryźć. Dopiero gdy zobaczyłem ich w telewizji, wskoczyłem prosto na rower i pognałem z gitarą do Johna. »Mam!«, krzyczałem. I od razu wszyscy zaczęliśmy się go uczyć. Nowe umiejętności dodały życia naszym własnym utworom. Nauczyłem się też ciekawych chwytów, słuchając kawałka *Blue Moon*".

Ponieważ chłopcy zawsze byli gotowi stanąć do konkursu, choćby najbardziej podrzędnego, radość sięgnęła zenitu, gdy do Liverpoolu zjechał najważniejszy organizator konkursów tamtej ery. „Liverpool Echo" zapowiadało przyjazd „twórcy gwiazd, pana Carrolla Levisa", który miał odwiedzić miasto w ramach nagrywania programu telewizyjnego *Odkrycia Carrolla Levisa*. Odcinek zamierzano kręcić w Manchesterze, ale w liverpoolskim Empire Theatre miały się odbyć lokalne eliminacje, których celem było ustalenie, czy jakiś liverpoolski talent powinien pojawić się na nagraniu w pobliskim Manchesterze.

John, Paul i George, oraz połowa młodzieży z Liverpoolu, stawili się na przesłuchanie. Lennon i pozostała dwójka przeszli rundę eliminacyjną i zostali zaproszeni do Manchesteru. Pani Harrison dokładnie pamięta towarzyszące temu podniecenie. „George oszalał z radości na widok listu, który znalazł pewnego dnia w skrzynce. Nie za bardzo rozumiałam, o co tyle szumu. List był zaadresowany do zespołu o nazwie The Moondogs".

Taką właśnie nazwę, zupełnie spontanicznie, przyjął ich zespół na potrzeby programu Carrolla Levisa. Na plakacie pojawili się jako „Johnny and the Moondogs". W tamtym czasie każdy zespół musiał mieć lidera, na przykład „Cliff Richard and The Shadows", dlatego na początku wstawili Johna, który i tak był liderem, o ile ktokolwiek nim był.

Po występie w Manchesterze dostali całkiem spore owacje. Zgodnie z konwencją programu na zakończenie każdy zespół wychodził na scenę i raz jeszcze grał króciutki fragment swojej piosenki, a publiczność klaskała ile sił w rękach, lub też nie, i wówczas wykonawcy schodzili ze sceny. Schemat powtarzał się, póki na scenie nie pozostał wygrany. Ale zespół Johnny and The Moondogs, jako biedne chłopaki z Liverpoolu, nie mógł czekać na zakończenie programu, bo spóźniliby się na ostatni pociąg do domu. Na inny transport nie było ich stać, podobnie jak na pokój w hotelu w Manchesterze. Zanim przyszedł czas na ostatnie brawa, chłopcy byli już w drodze na stację kolejową. Oczywiście nie wygrali. Nie zostali nawet zauważeni przez łowców talentów ani nikt nie poklepał ich po ramieniu, mówiąc: oby tak dalej.

Dla Johna, Paula i George’a to było wielkie rozczarowanie. Ich krótka chwila, podczas której otarli się o wielką sławę, minęła.

Rozdział 9
Stu, Szkocja i The Silver Beatles

Relacja Johna i Stuarta stawała się coraz bardziej zażyła. Stu spędzał większość czasu z zespołem, chodząc z nim na próby i słuchając, jak gra. Jakimś cudem Johnowi i Stu udało się nawet namówić władze *College*'u na zakup magnetofonu – rzekomo na użytek wszystkich studentów. John przywłaszczył go sobie jednak, by nagrywać swój zespół podczas prób i sprawdzać, jak brzmią na taśmie. Chłopcy zakupili też sprzęt nagłaśniający – oczywiście do użytku podczas szkolnych balów. Później sprzęt ten również stał się częścią systemu nagłośnieniowego zespołu.

Mimo tego, że Stu spędzał większość czasu z zespołem, jego zainteresowanie sztuką wcale nie malało. Pokazał nawet kilka swoich prac na wystawie połączonej z konkursem malarskim, organizowanej przez Johna Mooresa – jednej z najlepszych w swojej kategorii nie tylko w Merseyside, ale w całej Wielkiej Brytanii. Swoje istnienie i nazwę wystawa zawdzięczała Johnowi Mooresowi – członkowi bogatej liverpoolskiej rodziny, do której należały zakłady piłkarskie Littlewoods oraz firma kurierska. Student Stuart Sutcliffe zdobył nagrodę w wysokości sześćdziesięciu funtów, co było nie lada sukcesem i sporym zastrzykiem gotówki dla kogoś w tak młodym wieku. Jego najlepszy przyjaciel John od razu wpadł na pomysł, jak najlepiej spożytkować te pieniądze. Stu zawsze mówił, że chciałby nauczyć się grać na jakimś instrumencie i naprawdę należeć do ich zespołu, a nie tylko łazić za nim krok w krok. John uznał, że to najlepsza okazja, żeby Stu dołączył do składu. Za sześćdziesiąt funtów mógł spokojnie kupić gitarę basową. To, że Stu nie potrafił grać, nie miało najmniejszego znaczenia. Chłopcy uznali, że sami go nauczą.

Paul i George byli równie entuzjastycznie nastawieni do tego pomysłu, bo w zespole potrzebny był jeszcze jeden muzyk. George przypomina sobie, że Stu miał do wyboru gitarę basową lub perkusję. Potrzebowali jednego i drugiego, bo na razie mieli trzy równorzędne gwiazdy na gitarach solowych oraz absolutny brak sekcji rytmicznej. „Stu nie miał zielonego pojęcia o grze – opowiada George. – Pokazywaliśmy mu, co sami potrafiliśmy grać, ale w sumie załapał dopiero grając na scenie".

Na zdjęciach z tamtego okresu widać, że Stu zazwyczaj stoi tyłem do publiczności, by nikt się nie zorientował, jak niewiele chwytów zdążył opanować. Zespół grał coraz więcej koncertów głównie w klubach dla robotników i na spotkaniach towarzyskich, nadal zarabiając po kilka szylingów. Ale wraz z eksplozją rockandrollowych kapel w Liverpoolu zaczęły równie szybko pojawiać się kluby dla młodzieży. W dużej mierze były to typowe kawiarnie, jakich pełno zaczęło powstawać w całym kraju, serwujące espresso w otoczeniu sztucznych kwiatów i bambusów. Te w Liverpoolu od czasu do czasu organizowały koncerty dla młodzieży, dając tym samym tysiącom młodych muzyków miejsce do zaprezentowania swoich umiejętności. Zespoły rockandrollowe nie miały prawa występować w tradycyjnych klubach takich jak The Cavern. Tam królowały jazzbandy, grające dla fanów jazzu, który wówczas uchodził za wyższy rodzaj sztuki niż rock and roll. Ten jawił się jako muzyka dla obszarpańców, amatorów i teddy boysów, muzyka dla klasy robotniczej, elektryków i pracowników fizycznych. Na tego typu zespoły i ich członków spoglądano raczej z pogardą.

„My zawsze byliśmy antyjazzowi – mówi John. – Moim zdaniem jazz jest do dupy, znacznie głupszy niż rock and roll, a słuchają go studenciaki w kamizelkach z Marks and Spencer. Jazz się nie zmienia, niczego nie tworzy, ciągle jest taki sam, a jego słuchacze piją ciągle to samo piwo. Nienawidziliśmy ich, bo w tym początkowym okresie nie pozwalali nam

grać w swoich klubach. Nigdy nie załapaliśmy się nawet na przesłuchanie, bo zawsze pierwszeństwo miały zespoły jazzowe”.

Wszystkie rockandrollowe grupy były tymczasem na etapie podkręcania mocy: przechodziły na gitary elektryczne i wzmacniacze, których zespoły grające skiffle nigdy nie używały. Po Elvisie na scenie muzycznej zaczęli się pojawiać kolejni rockowi wokaliści, na przykład Little Richard czy Jerry Lee Lewis oraz rzesza zainspirowanych przez nich brytyjskich naśladowców. Jeśli chodzi o Wielką Brytanię, wszystko działo się w Londynie. Pierwszym brytyjskim piosenkarzem rockandrollowym, który odniósł krajowy sukces na miarę amerykańskich gwiazd, był typowy mieszkaniec wschodniego Londynu, któremu udało się zawojować stolicę dzięki występom w tamtejszych kawiarniach – Tommy Steele. Potem pojawił się Cliff Richard, który całkowicie stylizował się na Elvisa. George, John i Paul nie byli chyba świadomi istnienia Tommy’ego Steele’a, a przynajmniej nie przypominają sobie, by wywarł na nich niezatarte wrażenie. Za to szczerze nienawidzili Cliffa Richarda z zespołem The Shadows. John twierdzi, że jemu osobiście najbardziej nie odpowiadał chrześcijański *image* artysty, którym już wtedy się posługiwał. Ale chłopcy nie lubili też jego tradycyjnych popowych ballad. Paul, jako ten, który zawsze próbował promować zespół, był gotów nie zwracać uwagi na osobiste gusta swoje i pozostałych i zagadywał absolutnie każdego, kto mógł im pomóc. Stale zabiegał o to, by wzmianki o jego grupie pojawiały się w lokalnej prasie. W tamtym okresie napisał nawet list do dziennikarza, pana Low, którego poznali kiedyś w pubie.

Szanowny panie Low,

bardzo mi przykro, że tak długo zajęło mi napisanie tego listu do pana i mam szczerą nadzieję, że nie zwlekałem z tym zbyt długo. Oto kilka informacji na temat naszego zespołu.

Jest nas czterech: Paul McCartney (gitara), John Lennon (gitara), Stuart Sutcliffe (gitara basowa) oraz George Harrison (jeszcze jedna gitara), a nazywamy się…

Skład ten może się na pierwszy rzut oka wydawać nudny, ale trzeba docenić, że każdy z gitarzystów może się poszczycić ponadprzeciętnymi umiejętnościami gry, więc efekty, które

osiągamy, są bardzo zróżnicowane. Naszą podstawą rytmiczną jest beat z akcentami na dwa i cztery, którym ostatnio coraz częściej towarzyszy delikatne akcentowanie jeden i trzy, co daje wrażenie akcentacji każdego metrum jak w jazzie tradycyjnym.

Fakt ten można zapewne przypisać wpływowi pana McCartneya, który w latach dwudziestych prowadził jeden z najlepszych jazzbandów w okolicy (Jim Mac's Jazz Band). Niemniej to muzyka współczesna jest największą miłością członków grupy, na dowód czego pozwolę sobie powiedzieć, że w przeciągu ostatnich trzech lat John i Paul napisali wspólnie ponad pięćdziesiąt melodii – ballad i szybszych utworów. Niektóre z nich są wyłącznie utworami instrumentalnymi (na przykład Looking Glass, Catswalk, *czy* Winston's Walk*). Inne skomponowane zostały z uwzględnieniem gustu współczesnej publiki (piosenki typu Thinking of Linking,* The One After 909, The Years Roll Along *Czy* Keep Looking That Way*).*

*Zespół lubuje się też w opracowywaniu nowych aranżacji dla starych hitów (*Ain't She Sweet, You Were Meant For Me, Home, Moonglow, You Are My Sunshine *i innych).*

Przejdę teraz do krótkiej prezentacji członków zespołu. John, lider, uczęszcza do Art College i oprócz niebywałych zdolności w grze na gitarze i banjo jest też doświadczonym rysownikiem. Do jego zainteresowań należą malarstwo, teatr, poezja oraz, oczywiście, śpiew. Ma dziewiętnaście lat i jest członkiem założycielem naszego zespołu.

Paul ma lat osiemnaście i studiuje literaturę angielską na Uniwersytecie w Liverpoolu. Tak jak pozostali członkowie grupy, gra na wielu instrumentach. Jego specjalnością są jednak pianino, perkusja oraz naturalnie…"

Reszta listu, będącego arcyciekawą mieszanką literatury faktu i fantastyki, niestety zaginęła. Oczywiście jego autor nie miał w chwili pisania listu osiemnastu lat i nie studiował literatury, ale za to wielokropek w miejscu nazwy nie rozmijał się z prawdą, ponieważ zespół faktycznie nazwy nie miał. Pod koniec 1959 roku, zaraz po przesłuchaniu u Carrolla Levisa, chłopcy zaczęli się nad tym poważnie zastanawiać, tym bardziej, że zapowiadało się kolejne obiecujące przesłuchanie.

To właśnie wtedy narodziła się koncepcja nazwy The Beatles. Nikt nie pamięta dokładnie, kiedy padła po raz pierwszy. Paul i George wspominają, że John po prostu pojawił się pewnego dnia z gotową nazwą. Wszyscy od zawsze byli fanami Buddy'ego Holly'ego i zespołu The Crickets. Lubili jego muzykę oraz nazwę zespołu, która miała podwójne znaczenie. Jedno z nich było wyjątkowo brytyjskie i niedostępne dla Amerykanów. Żałowali, że wcześniej sami na to nie wpadli[59].

Zastanawiając się nad nazwą, John zaczął szukać wśród innych insektów, które mogłyby posłużyć jako materiał wyjściowy do gry słownej. Sam jako dziecko zapisywał całe zeszyty różnymi rebusami. „Przyszedł mi do głowy pomysł nazwania się The Beetles[60], ale postanowiłem, że w naszej wersji zastosujemy zapis The Beatles, żeby nazwa kojarzyła się z big-beatem. Ot, taki żart".

Taka właśnie jest prawdziwa, nieudziwniona geneza nazwy zespołu, choć przez wiele lat panowie wymyślali coraz to nowe i coraz głupsze wersje za każdym razem, gdy ktoś zadawał im to samo pytanie. Najczęściej mawiali, że pewnego dnia dostrzegli za oknem gościa na latającym dywanie, który po prostu podrzucił im tę nazwę. Choć w końcu udało im się wymyślić coś, z czego byli autentycznie zadowoleni, propozycja nie od razu przyjęła się na stałe. Jeden z kumpli zapytał ich kiedyś, jak się nazywają, a gdy usłyszał The Beatles, powiedział, że zespół potrzebuje czegoś znacznie dłuższego i zasugerował Long John and The Silver Beatles[61]. Chłopakom nie spodobała się ta propozycja, ale gdy nadszedł moment owego ważnego przesłuchania i ktoś zapytał ich, jak się nazywają, odpowiedzieli: „The Silver Beatles". Tej nazwy trzymali się aż do końca 1959 roku.

To ważne przesłuchanie odbywało się nie przed kim innym, jak przed sławnym Larrym Parnesem – królem brytyjskiego rock and rolla, który miał pod swoimi skrzydłami takie gwiazdy jak Tommy Steele, Billy Fury, Marty Wilde, Duffy Power czy Johnny Gentle. Zespół dowiedział się, że Larry wybiera się do liverpoolskiego klubu Jacaranda, gdzie występowało wiele młodych zespołów rockandrollowych. Właścicielem klubu był mieszkaniec Liverpoolu o walijskich korzeniach – Allan Williams, prowadzący również klub Blue Angel, w którym miało się odbyć rzeczone przesłuchanie. Zespół przyjechał na miejsce bez sprecyzowanej nazwy. Dopiero gdy jedna z asystentek Larry'ego Pernesa o nią spytała, chłopcy odpowiedzieli: „The

Silver Beatles”. Oprócz nazwy zespół nie miał też perkusisty. Wprawdzie kolega, który czasem z nimi grywał, obiecał wystąpić na przesłuchaniu, ale ostatecznie się nie pojawił. Zapowiadał się kolejny bezperkusyjny występ.

Na szczęście zlitował się nad nimi perkusista innego zespołu, Johnny Hutch – w tamtym czasie jeden z trzech najlepszych perkusistów w mieście. Istnieje nawet zdjęcie The Silver Beatles z tego przesłuchania (patrz wkładka): Johnny Hutch siedzi w tyle sceny i wygląda na potwornie znudzonego swoimi słabszymi kolegami. Stu jak zwykle prawie nie widać. Stoi plecami do Larry’ego Parnesa, by ukryć swe mizerne umiejętności gry na basie.

Celem przesłuchania było wyłonienie muzyków na występy Billy’ego Fury’ego. Larry uznał, że żaden z zespołów nie jest wystarczająco dobry, ale zaproponował The Silver Beatles dwutygodniową trasę po Szkocji w charakterze zespołu towarzyszącego jego zupełnie nowemu nabytkowi – Johnny’emu Gentle’owi. Nie była to więc ich trasa. To nie The Silver Beatles mieli ściągać publiczność. Ale z drugiej strony był to ich pierwszy angaż przez profesjonalistę i jednak prawdziwa trasa – nawet jeśli krótka i może trochę drugorzędna.

George, wówczas już prawie szesnastolatek, wziął dwa tygodnie urlopu, by jechać do Szkocji. Paulowi zbliżał się egzamin O-level, ale bynajmniej nie w głowie mu było wypuszczenie z rąk takiej okazji po to tylko, by się uczyć. Jego kumpel z Institute, Ivan Vaughan, pamięta, jak pokłócili się o to i nazwał Paula głupkiem, że ten wybrał trasę, a nie naukę. Jakimś cudem Paulowi udało się wmówić ojcu, że mają właśnie dwutygodniową przerwę w szkole. Rzekomo kazano im odpoczywać. Powiedział tacie, że wróci na egzaminy, a trasa idealnie zrobi jego przemęczonym szarym komórkom. Nic dziwnego, że zaliczył tylko jeden przedmiot.

Na trasę po Szkocji musieli znaleźć perkusistę. Tym razem był nim Thomas Moore. Dziś nie potrafią sobie przypomnieć o nim nic więcej oprócz nazwiska, tego, że poszli po niego do mieszkania i że chłopak żył z

zasiłku dla bezrobotnych. Podobno nazwisko Thomas Moore[62] to żadna ściema. Wszyscy członkowie zespołu The Silver Beatles, będący teraz u progu zawodowstwa, chcieli koniecznie zmienić swoje nazwiska – taka panowała wówczas moda. „Zmiana nazwiska była czymś wielce ekscytującym – mówi Paul. – Po tym można było poznać, że teraz to już wszystko jest na poważnie i w pełni profesjonalnie. Pseudonim sceniczny był niejako dowodem na to, że naprawdę jesteś w przemyśle muzycznym". I tak Paul McCartney objawił się teraz jako Paul Ramon. Zupełnie nie pamięta genezy tego nazwiska. „Musiałem to gdzieś usłyszeć. Trąciło splendorem i miało w sobie coś z Valentino". George stał się Carlem Harrisonem, w hołdzie dla swego idola Carla Perkinsa[63]. Stu został teraz Stu de Stijl, jak nazwa kierunku w sztuce. John nie pamięta, jaki przyjął pseudonim, o ile w ogóle. Inni za to pamiętają, że nazywali go Johnny Silver.

Trasa po Szkocji miała obejmować daleką północ kraju – była to objazdówka po salach balowych na północno-wschodnim wybrzeżu. Paulowi udało się wygrzebać z pamięci tylko dwie nazwy miejscowości: Inverness i Nairn. Wysłał nawet ojcu pocztówki o treści: „Jest super. Zostałem nawet poproszony o autograf". Chłopcy byli trochę zazdrośni, że George najlepiej dogadywał się z główną gwiazdą, Johnnym Gentle'em. Johnny obiecał mu nawet podarunek na zakończenie trasy – jedną ze starych koszulek Eddiego Cochrana. Tylko obiecał. Chłopcy kłócili się w trasie jak zawsze, ale najbardziej czepiali się najświeższego członka grupy – Stu. John, George i Paul znali się już na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie należy przywiązywać najmniejszej wagi do takich kłótni, przepychanek czy krytyki. A jeśli nie jest bezpodstawna, trzeba po prostu odszczeknąć. „Byliśmy okropni – opowiada John. – Nie pozwalaliśmy Stu siadać czy jeść z nami. Mówiliśmy mu, żeby spadał, a on spadał". W jednym z hoteli nocowała przed nimi grupa artystów wodewilowych, wśród których

znajdował się karzeł. Chłopcy dowiedzieli się, które łóżko zajmował, i uznali, że powinni przydzielić je Stu. Oni z pewnością nie mieli zamiaru w nim spać, więc Stu musiał. „I tak nauczył się przebywać z nami – mówi John. – Ciągłe wygłupy, ale tacy właśnie byliśmy".

Ekscytująca trasa po Szkocji przeszła jednak bez echa. Larry Parnes nie zaproponował im nowego kontraktu. Dziś przyznaje, że przegapił okazję, ale wówczas miał wystarczająco wiele gwiazd solowych, by jeszcze zawracać sobie głowę zespołami. Beatlesi wrócili więc na potańcówki w obskurnych spelunach, pełnych teddy boysów i robotników.

Niedługo potem zaproszono ich też na kilka występów w klubie ze striptizem przy Upper Parliament Street. Przygrywali pewnej pannie Janice, gdy ta z wdziękiem pozbywała się kolejnych elementów garderoby. „Dała nam swój podkład muzyczny – opowiada George. – To był jakiś *Cygański taniec z ogniem*. Ponieważ żaden z nas nie potrafił czytać nut, na nic zdały nam się jej pomoce. Zagraliśmy po prostu *Ramrod*, a potem *Moonglow*, bo właśnie się ich nauczyłem".

Udało im się nawet zdobyć kilka występów w The Cavern Club przy Mathew Street, mimo że nadal królował tam jazz. Z widowni posyłano im karteczki z prośbą, by przestali grać rock and rolla, więc chłopcy zapowiadali swoje utwory jako klasyki muzyki jazz. „A teraz stary i kochany przez wszystkich klasyk Fatsa, Duke'a Ellingtona i Leadbelly'ego pod tytułem *Long Tall Sally*". Po takiej zapowiedzi od razu następował rockandrollowy numer. Oczywiście kierownictwo klubu nie było zachwycone, co zapewne nie pomogło zespołowi podczas negocjowania kolejnych występów.

Większość czasu chłopcy spędzali na relaksowaniu się w domu któregoś z nich lub, jeśli mieli trochę grosza, w klubach. „Szkocja była jak iskierka nadziei, nasze pierwsze spotkanie z show-biznesem – opowiada George. – Powrót do Liverpoolu trochę nas zdołował. Jeśli udało nam się wystąpić więcej niż dwa razy w tygodniu, to już był sukces. Zarabialiśmy na takim

koncercie około piętnastu szylingów oraz niezliczoną ilość tostów z jajkiem sadzonym i mnóstwo coli”.

Rozdział 10
Casbah

Jedna z ulubionych scen zespołu, z braku lepszych, znajdowała się w klubie Casbah. Grywali tam już w pierwszej połowie roku, jeszcze przed trasą po Szkocji. Założycielka Casbahu, pani Best, jest niską, wyjątkowo temperamentną brunetką. Pochodzi z Delhi. Swego męża, Johnny'ego Besta – byłego promotora boksu – poznała jeszcze w Indiach podczas wojny. Wróciła z nim do Liverpoolu, gdzie kupili razem wielki, wiktoriański dom z czternastoma pokojami. Mieścił się on pod numerem ósmym przy Hayman's Green, w bardzo porządnej dzielnicy West Derby.

Starszy syn pani Best, Pete, urodził się w 1941 roku. Uczęszczał do jeszcze innej znakomitej szkoły średniej w mieście – Liverpool Collegiate. Zdał egzamin O-level z sześciu przedmiotów i rozpoczął dwuletni kurs przygotowawczy przed pójściem na studia. Planował zostać nauczycielem. Pete był przystojny i dobrze zbudowany, ale nieśmiały do tego stopnia, że sprawiał wrażenie niekomunikatywnego mruka, zwłaszcza w porównaniu z jego wyjątkowo energiczną matką. Gdy więc Pete zaczął zapraszać do domu kolegów ze szkoły, pani Best nie posiadała się z radości.

Podczas wakacji w 1959 roku, przed rozpoczęciem drugiej klasy przygotowań do studiów, Pete i jego znajomi zaproponowali pani Best, że zamiast zagracać jej cały dom płytami, których słuchali, mogliby wysprzątać jej piwnicę i tam urządzić sobie własną przestrzeń. „Pierwotny plan zakładał, że to będzie ich jaskinia – mówi pani Best. – Potem pojawił się pomysł stworzenia tam kawiarni dla nastolatków, na wzór tych w centrum miasta. Postanowiliśmy, że będzie to miejsce ekskluzywne, z opłatą członkowską w wysokości jednego szylinga, by nie narażać się na obecność teddy boysów i innych prymitywów".

Organizatorzy postanowili zapraszać do klubokawiarni najlepsze młode zespoły z Liverpoolu. Wiedzieli, że od razu ustawi się ich cała kolejka. Pani Best, osoba o wybitnych zdolnościach menedżerskich, od razu podchwyciła ten pomysł. Zespołem, który zaprosili, byli The Quarrymen, czyli przyszli Beatlesi. Właścicielom lokalu przedstawiła ich pewna dziewczyna, która znała jednego z członków zespołu i zapewniała, że są świetni. Znanym jej muzykiem nie był John, Paul ani George, ale inny gitarzysta, który wówczas z nimi grywał – Ken Brown. Był jednym z wielu muzyków, którzy w tamtym czasie pojawiali się i znikali ze składu The Quarrymen.

Gdy wieść o poszukiwaniach zespołu dotarła do Johna, Paula i George'a, chłopcy pognali na przesłuchanie co sił w nogach. Na miejscu wręczono im pędzle i przez kolejny tydzień pomagali przy pracach wykończeniowych. John przyprowadził nawet do pomocy swoją dziewczynę, Cynthię Powell. „Pamiętam, że poprosiłam Johna, żeby zagruntował jedną ze ścian – wspomina pani Best. – Gdy wróciłam, ściana była gotowa, ale John pomalował ją emalią. Miał tak dużą wadę wzroku, że nie zauważył różnicy. Dostałam ataku paniki, że farba nie wyschnie na czas".

Jeszcze w dniu otwarcia klub nie miał nazwy. „Pewnego wieczoru poszłam zobaczyć, jak im tam jest w tej piwnicy. Było tajemniczo jak diabli, wszędzie mroczne zakamarki. Czuło się orientalną atmosferę. Przypomniał mi się film z Hedy Lamarr i Charlesem Boyerem, który oglądałam niedawno. Chyba miał tytuł *Algier*. W filmie tym para jedzie do Casbahu[64] i na taką właśnie nazwę wpadłam: The Casbah Club. Ponieważ sama pochodzę z Indii, wydała mi się bardzo na miejscu".

Klub otwarto pod koniec sierpnia 1959 roku. Pierwszego wieczoru lokal odwiedziło prawie trzysta osób, a występ The Quarrymen został przyjęty bardzo entuzjastycznie. Wyglądało to tak, jakby klub działał od dawna. „Byłam bardzo zadowolona – mówi pani Best. – Oczywiście nie ze

względu na mój sukces, tylko z uwagi na Petera. Przebąkiwał coś o wejściu w show-biznes, więc pomoc w prowadzeniu klubu mogła okazać się bardzo cennym doświadczeniem. Pomyślałam, że może wreszcie nabierze trochę śmiałości do ludzi i pewności siebie”.

Działalność klubu kwitła. Sprzedawano kawę i słodkości, a strawą dla ducha była muzyka w wykonaniu The Quarrymen. Wieczorami, w weekendy, w klubie potrafiło się zebrać nawet czterysta osób. Bardzo szybko liczba członków sięgnęła trzech tysięcy. Zatrudniono nawet bramkarza – Franka Garnera – by pilnował wejścia i przeganiał teddy boysów. Przez kilka miesięcy wszystko szło wręcz doskonale aż do momentu, gdy rozpętała się awantura o The Quarrymen. Ich gaża za występ wynosiła piętnaście szylingów dla każdego muzyka. Pewnego wieczoru grali tylko John, Paul i George. Nie było z nimi Kena Browna. „Dałam każdemu po piętnaście szylingów, a dolę dla Browna przekazałam mu przy najbliższej okazji. Chłopcy powiedzieli, że Ken nie powinien dostać pieniędzy, skoro z nimi nie grał. Uznali, że stawka za występ to trzy funty, czyli skoro grali w trójkę, powinni podzielić się całością kwoty, zamiast dostać jak zwykle po piętnaście szylingów każdy”.

Takie właśnie było zarzewie konfliktu i pani Best oraz Pete wyraźnie to pamiętają. Pozostali nie za bardzo. Tak czy inaczej po kłótni o pieniądze Ken Brown odszedł z zespołu i wkrótce pozostali członkowie zaczęli się od siebie oddalać. Pete Best zaczął próbować swych sił w grze na starym, zdezelowanym werblu – częściowo z zazdrości wobec chłopaków z The Quarrymen, ale głównie dlatego, by mieć co robić, gdy w klubie nic się działo. Gdy Ken Brown odszedł z zespołu, powstał pomysł, że to z nim właśnie Pete stworzy nowy zespół. Znaleźli jeszcze dwóch chłopaków i z pomocą pani Best założyli The Blackjacks. „Byli bardzo dobrzy – mówi mama Pete’a. – Pamiętam, jak Rory Storm, który w tamtym czasie był naprawdę wielki, zorganizował konkurs, czyj występ przyciągnie

największą publiczność. Na niego przyszło trzysta dziewięćdziesiąt osób, a na The Blackjacks czterysta pięćdziesiąt – rekord naszego klubu”.

The Quarrymen pojechali do Szkocji, skąd wrócili jako The Silver Beatles. Nadal grywali w Casbahu, gdy nie mieli innych angaży, ale teraz to Pete Best i jego The Blackjacks stali się rezydentami klubu. W ciągu następnych kilkunastu miesięcy zespół znacznie poprawił swój warsztat i Pete Best na dobre postanowił pozostać w show-biznesie. „Wcześniej planowałem pójść do kolegium nauczycielskiego. Dobrze zdany O-level z pięciu przedmiotów spokojnie by wystarczył, ale znudziła mnie nauka i rzuciłem szkołę jeszcze przed przystąpieniem do A-level”.

Pete zakończył edukację na semestrze letnim 1960 roku. W tym czasie Casbah nadal cieszył się ogromną popularnością, więc było co robić. Niestety zespół Pete’a wkrótce zaczął się rozpadać. Ken Brown wyprowadził się na południe kraju, a pozostała dwójka podjęła naukę na kursach dokształcających. Tymczasem Best, który zrezygnował z edukacji na rzecz kariery w show-biznesie, znalazł się na lodzie. Na szczęście w sierpniu 1960 roku, pięć tygodni po tym, jak rzucił szkołę, zadzwonił do niego Paul McCartney.

„Paul spytał, czy nadal mam bęben – opowiada Pete. – Odparłem, że właśnie kupiłem nową perkusję. Byłem z tego zakupu wyjątkowo dumny. Powiedział, że dostali robotę w Hamburgu, i zapytał, czy chciałbym pojechać z nimi jako bębniarz. Zgodziłem się. Zawsze bardzo ich lubiłem. Powiedzieli, że dostanę piętnaście funtów na tydzień – kupę forsy. To była zdecydowanie lepsza perspektywa niż kolegium nauczycielskie.

Poszedłem do klubu Jacaranda Allana Williamsa, gdzie miałem mieć przesłuchanie. Tam po raz pierwszy poznałem Stu. Zagrałem kilka numerów i wszyscy zgodzili się, żebym jechał z zespołem do Hamburga”. O ile pani Best wkroczyła w świat młodych zespołów rockandrollowych od strony młodzieżowej klubokawiarni, o tyle Allan Williams, jako doświadczony właściciel klubu nocnego, startował z zupełnie innego

pułapu. Dobierał zespoły na występy nie tylko w jego własnych lokalach, ale i u innych właścicieli, przyjmując tym samym wobec młodych muzyków rolę agenta-menedżera. To on załatwił Beatlesom przesłuchanie u Larry'ego Parnesa. Również wynagrodzenie dla zespołu za tę trasę przechodziło właśnie przez niego jako ich przedstawiciela.

Powody, dla których Allan Williams – stosunkowo mało znaczący, niewielki właściciel dwóch klubów w Liverpoolu – zaczął eksportować zespoły do Hamburga, są dość skomplikowane. Pierwszy kontakt został nawiązany, gdy niemiecki marynarz usłyszał w Jacarandzie karaibski zespół grający na blaszanych bębnach i opowiedział o nich znajomym w Hamburgu. W efekcie zespół został zaproszony do zagrania koncertu w jednym z hamburskich klubów nocnych. Allan Williams postanowił towarzyszyć muzykom w tej podróży, licząc, że uda mu się zainteresować hamburskich właścicieli barów innymi kapelami z Liverpoolu. Pierwsze kroki skierował do klubu Kaiserkeller – który wyglądał na jedyne rockandrollowe miejsce w mieście. Tam poznał Bruno Koschmidera. „Wmówiłem mu, że najlepsze brytyjskie zespoły pochodzą z Liverpoolu".

Koschmider przyleciał do Anglii, by na własne oczy przekonać się, czy to prawda, ale niestety zamiast na północ, pojechał do Londynu, gdzie okazało się, że nikt nie słyszał o żadnych zespołach z Liverpoolu. Poszedł do klubu Two I's w Soho – ówczesnego centrum brytyjskiej sceny rockandrollowej (to tam grywał Tommy Steele) i zawarł kontrakt z Tonym Sheridanem i jego grupą. Tony odniósł w Hamburgu duży sukces, więc Koschmider wrócił do Londynu po więcej zespołów. Tak się akurat złożyło, że w dniu, w którym szukał nowych nabytków w Two I's, w klubie tym gościł Allan Williams, który przyjechał załatwić występ dla liverpoolskiej kapeli Derry and The Seniors. Tego wieczoru udało mu się ich zakontraktować na występy w Hamburgu. W ten oto sposób Derry and The Seniors stali się pierwszą liverpoolską kapelą, która zagrała w Hamburgu. Zespół spodobał się niemieckiej publiczności i Allan Williams otrzymał

zamówienie na kolejną grupę. Początkowo brał pod uwagę Rory'ego Storma, ale panowie akurat pojechali grać w ośrodku wczasowym Butlins. Poprosił więc Beatlesów. Niestety z kontraktu wynikało, że ma to być zespół pięcioosobowy, a Beatlesi nie mieli perkusisty. Od czasu do czasu grywał z nimi wprawdzie pewien pan w średnim wieku – mąż i ojciec – ale odrzucił propozycję wyjazdu do Hamburga, ponieważ żona nie pozwoliła mu jechać. Wtedy właśnie pojawił się pomysł zaangażowania Pete'a Besta. Gdy tylko Pete wyraził zgodę, wszystko było gotowe.

W domu Harrisonów nikt nie szalał z radości – oprócz George'a rzecz jasna – ale przynajmniej mama nie zabroniła mu wyjazdu. Martwiła się o niego, bo w końcu miał zaledwie siedemnaście lat i miał to być jego pierwszy wyjazd zagraniczny, w dodatku do Hamburga. Pani Harrison słyszała różne plotki o tym mieście. „Ale on właśnie tego chciał – wspomina. – Po raz pierwszy mieli otrzymać przyzwoite pieniądze. Wiedziałam, że są dobrzy i że świetnie im pójdzie. Do tej pory słyszałam tylko: »Hej, mamo, gramy koncert, pożyczysz na autobus? Oddam, jak będę sławny«". Tak więc pani Harrison przygotowała syna do podróży. Kazała mu obiecać, że będzie pisał, i zaopatrzyła go w puszkę babeczek domowej roboty.

Mimo swego młodego wieku George miał przynajmniej zatrudnienie, podczas gdy Paul i John byli nadal studentami – przynajmniej teoretycznie. Wyjazd do Hamburga oznaczał kres ich akademickiej kariery. Jim McCartney był oczywiście przeciwko. Paul właśnie podszedł do egzaminu A-level ze sztuki i z angielskiego i cała rodzina czekała w napięciu na wyniki, które decydowały o przyjęciu go do kolegium nauczycielskiego. Michael wspomina, że Paul załatwił wszystko bardzo sprytnie – jak zawsze zresztą. „Pamiętam, że wracaliśmy razem ze szkoły, gdy Paul powiedział mi, że zespół dostał zaproszenie do Hamburga. Powiedział to ot tak, zupełnie bez emocji. »Rany!«, wykrzyknąłem z radości, ale Paul dodał, że nie wie, czy powinien jechać. Udawał zupełnie niezdecydowanego. Ja na

to, że to przecież fantastyczna okazja! Że będzie wielką gwiazdą! Paul spytał, czy sądzę, że ojciec go puści. Sprytny ruch. Od razu miał mnie po swojej stronie w rozmowie z tatą. Pozwolił mi się napalić, żebym to właśnie ja marzył o tym, by koniecznie pojechał do Hamburga".

Paul wspomina, że sam był szalenie podekscytowany. „Od tygodni nie robiliśmy nic, tylko się nudziliśmy. To były długie wakacje i nie uśmiechało mi się wracać do szkoły czy kolegium. Ale w sumie nie miałem żadnej alternatywy, póki nie pojawiła się opcja Hamburga. Wyjazd oznaczał, że na sto procent nie muszę wracać do szkoły. Wreszcie było jakieś inne wyjście". Należało tylko przekonać Jima. Paul poprosił Allana Williamsa, żeby przyszedł do nich i pomógł mu wpłynąć na ojca. „Jedyny problem polegał na tym, że Allan nigdy nie nauczył się porządnie naszych imion – opowiada Paul. – Do mnie na przykład mówił John". Na całe szczęście udało mu się przekonać Jima, że jest to świetnie zorganizowane przedsięwzięcie, a Hamburg to prześliczne, porządne miasto. „Wydaje mi się, że w sumie tata był dość zadowolony – wspomina Michael – choć sam twierdził inaczej". „Wiedziałem, że ludzie lubią ich muzykę – mówi Jim. – To miał być ich pierwszy poważny kontrakt i bardzo cieszyli się na ten wyjazd. Paul właśnie skończył osiemnaście lat, jego wakacje zaczęły się miesiąc wcześniej. Pojechał z paszportem szkolnym. Odbyłem z nim poważną rozmowę, no wiesz, o tym, jak być porządnym facetem. Cóż innego mogłem zrobić? Cały czas się martwiłem, że będzie chodził głodny. Przysłał mi nawet kilka pocztówek o treści: »Jem dużo. Dziś jedliśmy to i tamto, i jeszcze to«. To mnie chyba uspokoiło". W niewielkim tylko stopniu Jima podbudowała wiadomość, która przyszła z centralnej komisji egzaminacyjnej tuż po wyjeździe syna. Okazało się, że Paul oblał sztukę, ale zdał angielski, choć nawet Jim wiedział, że to już nie ma najmniejszego znaczenia.

Znacznie większy opór stawiała ciotka Johna, Mimi. Cały czas była wówczas na etapie zniechęcania Johna do gry na gitarze i sprzeciwiała się

odwiedzinom Paula i George’a. Próbowała też zabraniać Johnowi grania w zespole. Od powstania The Quarrymen, czyli przez pięć lat, John musiał kłamać na temat tego, co robi. Wiedziała, że nadal bawi się w pisanie tych swoich durnych pioseneczek, ale nie zdawała sobie sprawy ze stopnia jego fascynacji muzyką. Naprawdę sądziła, że John chodzi na zajęcia w Art College, aż pewnego dnia ktoś jej doniósł, że przerwy na lunch John spędza, grając w zespole. Postanowiła na własną rękę zbadać, jak głęboko jej John wsiąknął w to bagno. Tego dnia, gdy wybrała się na zwiady, chłopcy akurat grali w jazzowym klubie The Cavern. Ze względu na preferowany tam rodzaj muzyki nie była to ich macierzysta knajpa, ale występowali tam coraz częściej, ponieważ publiczność ich polubiła.

„Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym paskudnym miejscu – opowiada Mimi. – Niełatwo było mi je więc znaleźć. W końcu musiałam po prostu pójść za tłumem. Zeszłam za ludźmi kilka schodów. W drzwiach stał niejaki Ray McFall i inkasował pieniądze za wejście. „»Ja do Johna Lennona«, powiedziałam. Pchałam się do przodu, ale coraz bardziej ogłuszał mnie hałas. Sufit w pomieszczeniu był dość niski, co tym bardziej potęgowało zgiełk. Dziewczyny stały stłoczone jedna przy drugiej. Mimo że próbowałam, nie udało mi się dopchać pod scenę, bo gdybym dała radę, na pewno bym go stamtąd ściągnęła. W końcu po prostu poszłam do garderoby. Garderoby! To był raczej ciasny, obskurny boks. Gdy John zszedł ze sceny przy akompaniamencie kobiecych pisków, na początku mnie nie zauważył. Bez okularów był praktycznie ślepy. Dopiero gdy je założył, poznał mnie. »Co ty tu robisz, Mimi?«, spytał. »Pięknie – odparłam tylko – pięknie«”.

Tego dnia Mimi osobiście dopilnowała, żeby John wrócił na zajęcia. Stale upominała go, żeby się uczył, a nie wygłupiał razem z tym zespołem. Żeby zdobył jakiś porządny zawód. Nie udało jej się jednak powstrzymać go od grania. „O co ci chodzi? – pytał stale. – Nie jestem i nigdy nie będę

robolem. Możesz mówić i robić, co chcesz, a ja nie dam się zamknąć w pracy od dziewiątej do piątej”.

Wtedy właśnie pojawił się na horyzoncie Hamburg. Hamburg oznaczał rozstanie z ciotką, i to na długo. Mimi wspomina, że John starał się ją przekonać, że to coś niesamowitego. „Mimi, czy to nie cudowne? – mawiał. – Będę zarabiał sto funtów tygodniowo. Czy to nie cudowne?”. Trochę podkoloryzował kwestię finansową, ale dla takich młodych chłopaków było to faktycznie cudowne. John naturalnie szalenie się ucieszył, że wreszcie będzie miał pretekst, żeby rzucić szkołę. Wytrzymał w *College*’u trzy lata i to ledwie. Arthur Ballard, wykładowca, który miał z Johnem najwięcej do czynienia, kilkakrotnie uratował go przed wyrzuceniem. John oblał wszystkie egzaminy i w sumie nie nauczył się niczego, ale w głębi ducha myślał, że jeśli Hamburg nie wypali, to spróbuje wrócić na studia. Wyjazd oznaczał też rozłąkę z Cyn.

„Zespół zaczął gromadzić wokół siebie wiernych fanów – mówi Cynthia. – Wiedziałam, że kręci się koło nich sporo dziewczyn, ale wcale nie budziło to mojej złości czy zazdrości. Byłam o wiele dojrzalsza niż te wszystkie dziewczyny, więc czułam się dość pewnie. Znacznie bardziej martwiłam się o Hamburg. Odległość i czas rozłąki były znaczne. Dziewczyny z Liverpoolu znałam, ale nie miałam oczywiście pojęcia, jak wygląda sytuacja w Hamburgu. Tam mogło ich czekać dosłownie wszystko”.

Rozdział 11
Hamburg

Hamburg to taki niemiecki Liverpool – położone na północy kraju duże miasto portowe. Jego mieszkańcy na zewnątrz wydają się szorstcy i hardzi, ale w środku potrafią być wrażliwi i sentymentalni. Panuje tu także dość podobny surowy klimat – wilgotny i wietrzny. Jeśli chodzi o język, akcenty tych dwóch miast brzmią podobnie, nosowo, i są łatwo rozpoznawalne wśród pozostałej ludności obu krajów. Nawet szerokość geograficzna jest ta sama – pięćdziesiąty trzeci równoleżnik na półkuli północnej. Za to Hamburg jest od Liverpoolu dwa razy większy i znacznie dłużej cieszy się tradycją miasta niebezpiecznego. Opowieści o poziomie przestępczości i życiu seksualnym w tym mieście znane są w całej Europie. Przy Reeperbahn – głównej ulicy hamburskiego Soho – znajduje się bodaj więcej klubów ze striptizem niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Gdy w 1960 roku zawitali tam Beatlesi, z niewinnym, siedemnastoletnim George’em, który chyba wtedy nawet jeszcze nie całował się z dziewczyną, szemrany charakter miasta osiągnął swoją pełnię. Jako wolny port Hamburg stał się centrum przemytu broni dla Frontu Wyzwolenia Narodowego podczas kryzysu w Algierii. Proceder ten pociągnął za sobą napływ zagranicznego kapitału i przyciągnął wszelkiej maści gangsterów. Gdy w sierpniu 1961 roku stanął mur berliński, sporo oszustów i nielegalnych imigrantów z NRD przeniosło się właśnie do Hamburga, a nie do Berlina Zachodniego. Wojny gangów, które były następstwem tych zmian, koncentrowały się właśnie wokół nocnych klubów. Kelnerów dobierano pod względem siły fizycznej, a nie uprzejmości, ponieważ najważniejsze było to, czy będą w stanie odpierać ataki gangu z sąsiedniego klubu.

Beatlesów do Hamburga przywiózł osobiście swoim minivanem Allan Williams – promem z Harwich do Hoek van Holland. Jedyne wspomnienie Johna z tej trasy to postój, który zrobił w Holandii na błyskawiczne splądrowanie paru półek w sklepie spożywczym.

Wszyscy członkowie zespołu byli zachwyceni, że wiozą ze sobą namiastkę strojów scenicznych – jako żywo, ich pierwszych. W końcu byli profesjonalnym zespołem. Stroje składały się z aksamitnych marynarek, które uszył dla nich na prośbę Paula jego sąsiad. Do marynarek chłopcy dobrali swój typowy teddy-boysowy zestaw – czarne, dżinsowe rurki, białe koszule, krawatki z czarnej tasiemki oraz buty z długimi noskami. Naturalnie cała piątka nadal nosiła włosy *á la* Tony Curtis, zaczesane do tyłu na brylantynie. „Zaraz po przyjeździe spotkaliśmy się z Bruno Koschmiderem – opowiada Pete Best. – Zabrał nas do Kaiserkeller, gdzie spodziewaliśmy się występować. Na miejscu przedstawił nas Howiemu Caseyowi z innego liverpoolskiego zespołu, The Seniors, który już wcześniej przybył do Hamburga. Spodobało nam się tam. Spytaliśmy, kiedy możemy się rozkładać, a on na to, że to nie tu będziemy grać. Zabrał nas do swojego drugiego, znacznie mniejszego lokalu o nazwie Indra. Było wpół do dwunastej, a na sali znajdowały się tylko dwie osoby. Wskazano nam garderobę, która, jak się okazało, mieściła się w męskiej toalecie. Spodziewaliśmy się z chłopakami, że będziemy mieszkać w hotelu, a tymczasem Bruno zaprowadził nas do kina Bambi, czyli naszego nowego lokum. To była niemiłosiernie obskurna nora. Ale ponieważ byliśmy młodzi i głupi, nie skarżyliśmy się. Od razu poszliśmy spać”.

Allan Williams, który został w mieście przez kilka tygodni, twierdzi, że niektórym członkom grupy The Seniors nie w smak była obecność Beatlesów. „Powiedziano mi, że psuję scenę, przywożąc takich byle jakich muzyków”.

Indra, w której Beatlesi rozpoczęli występy już na drugi dzień, zawdzięcza swą nazwę niemieckiej wersji słowa „Indie”. Nad ulicą Grosse

Freiheit wisiał ogromny szyld w kształcie słonia – symbol klubu. W środku było jednak ciasno i obskurnie. Żadnemu z liverpoolskiej piątki lokal nie przypadł do gustu, podobnie jak spanie w kinie Bambi. „Kładliśmy się późno – opowiada John – a na drugi dzień budziły nas odgłosy seansów kinowych. Próbowaliśmy zaczynać dzień od wizyty w damskich toaletach, bo były najczystsze ze wszystkich kibli w kinie, ale ciągle przeszkadzały nam rozpychające się grube Niemki.

Początkowo reakcja na naszą muzykę była całkiem spoko, a potem menedżer klubu zaczął się domagać, żebyśmy „zrobili widowisko”[65], tak jak zespół w klubie obok. Więc spróbowaliśmy. Na początku trochę byliśmy tym wszystkim przerażeni, w końcu znaleźliśmy się w samym sercu świata ostrych imprez klubowych. Ale my byliśmy pewni siebie, bo pochodziliśmy z Liverpoolu i wierzyliśmy w mit, że to miasto produkuje pewnych siebie ludzi.

Pierwsze »widowisko« w moim wykonaniu polegało na tym, że skakałem po scenie niczym Gene Vincent[66]. Każdy utwór przeciągaliśmy, by trwał dwadzieścia minut. Od tej pory naprawdę robiliśmy *show*. Tylko raz pokusiliśmy się o wykonanie niemieckiego utworu pod publikę. Paul nauczył się popularnej wówczas piosenki *Wooden Heart*[67].

Z czasem graliśmy coraz lepiej i nabraliśmy pewności siebie. Było to nieuniknione pokłosie całonocnych występów i zdobywania doświadczenia. Pomagało nam na pewno to, że mieliśmy zagraniczną publiczność, bo musieliśmy się starać jeszcze bardziej, wkładać w każdy występ całe serce, żeby ich do siebie przekonać. W Liverpoolu graliśmy tylko godzinne występy, więc przywykliśmy do tego, że wykonujemy swoje najlepsze numery, ciągle te same. Teraz musieliśmy znaleźć nowy sposób gry. Byliśmy bardzo głośni – łup, łup, łup, przez cały czas. Niemcy to uwielbiali”.

„Gdy tylko rozniosła się wieść, że robimy widowisko – opowiada Pete – klub był wypełniony co noc. Graliśmy siedem dni w tygodniu. Na początku prawie bez przerwy do wpół do pierwszej w nocy, gdy zamykali lokal, ale wraz ze wzrostem naszych umiejętności ludzie zaczęli zostawać do drugiej. Byliśmy świadkami wielu bijatyk. I to takich na poważnie. Goście uwieszali się u żyrandoli, skakali ze stołów, zupełnie jak w filmowych scenach bójek barowych".

Jeśli akurat nie podskakiwali, to równo tupali o scenę, żeby tylko było głośniej i żeby podkreślić beat. Pete Best nie od początku wstrzelił się w ich oczekiwania, więc pozostała czwórka musiała robić za dodatkową sekcję rytmiczną. Ale wkrótce i on się wyrobił. „Robienie widowiska", jak nazywali to Niemcy, było elementem absolutnie najważniejszym. Mimo że byli zespołem rockandrollowym, w czasach liverpoolskich grali całkiem spokojnie. Teraz tymczasem aktywnie ich zachęcano, by się nie ograniczali i szaleli na scenie do woli, czego Johnowi akurat nie trzeba było dwa razy powtarzać. Robił widowisko bez przerwy, skacząc ekstatycznie po scenie lub turlając się po podłodze, ku ogromnej radości miejscowych rockersów, którzy szybko stali się wiernymi fanami zespołu. Do dziś po Hamburgu krążą opowieści o Johnie, oczywiście w miarę upływu czasu coraz bardziej pikantne.

„To był ciężki kawałek chleba – mówi Pete. – Ale wtedy byliśmy po prostu piątką młodziaków, którzy doskonale się bawili. Cały czas się wygłupialiśmy. John miał kalesony, ponieważ zbliżała się zima i było coraz chłodniej. George założył się z nim o dziesięć marek, że nie wyjdzie na ulicę w samych kalesonach. Wyszedł. Przez pięć minut paradował w kalesonach i okularach przeciwsłonecznych, czytając »Daily Express«. Patrzyliśmy na niego i pękaliśmy ze śmiechu".

Ale po dwóch miesiącach Indrę zamknięto, ponieważ sąsiedzi skarżyli się na hałas, i Beatlesi przenieśli się do Kaiserkeller. Scena w ich nowym klubie była wyjątkowo leciwa, zbita z desek ułożonych na skrzynkach po

pomarańczach, więc postanowili, że ją wykończą i dostaną nową. Faktycznie ją wykończyli, skacząc po niej w ramach robienia widowiska, ale nowej nie dostali, więc do końca grali na podłodze. „Sporo piłem – mówi Pete Best. – Nie dało się inaczej. Z publiczności stale ktoś posyłał nam drinki na scenę, więc to oczywiste, że piliśmy wszyscy, za dużo. Było też sporo dziewczyn. Szybko się zorientowaliśmy, że są łatwe. Ale dziewczyny to dziewczyny, a faceci to faceci. Wszystko było o sto procent lepsze niż przedtem. Na początku byliśmy cichymi, nieśmiałymi muzykami, a teraz staliśmy się jak elektrownia".

W Kaiserkeller musieli pracować ciężej niż kiedykolwiek wcześniej. Zespół, który wcześniej tam grywał, wrócił już do Liverpoolu, skąd przyjechał kolejny skład – Rory Storm and The Hurricanes. Oficjalnie mieli grać w tym samym klubie co Beatlesi, każdy zespół po sześć godzin. Zmieniali się przez całą noc co godzinę. Niestety przerwy były zbyt krótkie, żeby jakoś ten czas wykorzystać, gdzieś pójść, więc w efekcie muzycy grali właściwie przez dwanaście godzin.

„Głos wysiadał od śpiewania – mówi John. – Nauczyliśmy się od Niemców, że biorąc pastylki na odchudzanie, można nie spać całą noc, więc korzystaliśmy z tego sposobu". Początkowo były to zupełnie niegroźne pigułki, ale z czasem przerzucili się na inne – Black Bombers czy Purple Hearts[68], choć nigdy się od nich nie uzależnili ani nie brali ich w nadmiernych ilościach. Ale to właśnie wtedy zaczęło się ich zainteresowanie i sympatia do środków psychoaktywnych, nawet jeśli były to dość niegroźne substancje. Każdy z nich próbował ich w którymś momencie, oprócz Pete'a Besta, który nie chciał być w żaden sposób kojarzony z narkotykami. Chłopcy nie pozwolili sobie na uzależnienie się od tych substancji, ponieważ nie brali ich dla haju, tylko po to, by walczyć z sennością. Chcieli powstrzymać sen, ponieważ tak bardzo kochali wszystko, co się wokół nich działo – grali to, co chcieli przed szaloną,

nastoletnią, hamburską publicznością, tak długo, jak tylko mieli na to ochotę. Wcale nie przeszkadzały im długie godziny pracy. Chwile, gdy faktycznie mieli dość – zazwyczaj chodziło o warunki mieszkaniowe – zdarzały się niezwykle rzadko. Gdyby nie byli tak daleko od domu, w obcym kraju, może faktycznie rzuciliby to i wrócili do Liverpoolu, ale nie mogli, bo przecież byli w Hamburgu. Poza tym wszystkie zarobione pieniądze wydawali w okamgnieniu.

Aż dziw, że ich zdrowie nie ucierpiało bardziej. Nie dojadali, mało spali. „Jakże pomiędzy graniem, piciem i panienkami mieliśmy znaleźć czas na sen?”, zastanawia się John. George i Paul znali trochę niemiecki, ale najlepiej językiem tym władał Pete, który w końcu zdał z niemieckiego egzamin O-level. John i Stu za to nie potrafili powiedzieć ani słowa i wcale nie byli zainteresowani nabyciem takich umiejętności. „Krzyczeliśmy do tych wszystkich Niemców po angielsku i już – mówi John. – Nazywaliśmy ich nazistami i kazaliśmy im się walić”. Publiczność reagowała jeszcze większym entuzjazmem. Ich fani byli nimi oczarowani, bezgranicznie oddani, więc i Beatlesi z czasem przestali bać się klubu, kelnerów i bijatyk. Widzieli, jak kelnerzy wyciągają pijanym gościom pieniądze z kieszeni, a ponieważ sami stale byli spłukani, John postanowił, że pewnego wieczoru sam spróbuje łatwego zarobku. „Na ofiarę wybraliśmy pewnego angielskiego marynarza. Pomyślałem, że zagadnę go po angielsku i nakręcę go, że załatwimy mu jakieś panienki. Polewaliśmy mu bez końca, a on ciągle się dopytywał, gdzie te dziewczyny. My z kolei zagadywaliśmy uparcie, starając się wywiedzieć, gdzie trzyma forsę. W końcu uderzyliśmy go dwa razy,c po czym poddaliśmy się. Nic z tego nie wyszło. Nie chcieliśmy zrobić mu krzywdy”.

Między członkami zespołu często dochodziło do sprzeczek, ale nie było to nic poważnego. Nowi, czyli Stu i Pete, zbierali frycowe od reszty. Stu bardzo się tym przejmował, natomiast Pete zupełnie nie zwracał na to uwagi. Spływało to po nim jak po kaczce. Sam nie pamięta, żeby

kiedykolwiek brał udział w kłótni czy nawet był krytykowany lub wyszydzany. Inaczej wspominają to pozostali. Za to i Pete, i Stu byli bardzo lubiani przez publiczność, choć nie aż tak jak Paul, który zawsze i wszędzie podbijał serca fanów. Stu występował na scenie w okularach przeciwsłonecznych i wyglądał jak buntownik. Pete z kolei nigdy się nie uśmiechał i nie wygłupiał tak jak John, więc roztaczał wokół siebie posępną i lekko złowieszczą aurę. Obaj odbierani byli jako postaci pokroju Jamesa Deana – markotni i wspaniali zarazem. Pozostali, w szczególności John, byli szalonymi ekstrawertykami.

„Paul opowiadał mi raz – mówi John – że w Hamburgu kłóciliśmy się o to, kto jest liderem zespołu. Nie pamiętam takich kłótni. W tamtym okresie przestało to mieć dla mnie znaczenie. Nie miałem aż takiego parcia, żeby za wszelką cenę być przywódcą. Jeśli faktycznie się z nim kłóciłem, to tylko ze względu na własną dumę. Wszystkie nasze kłótnie dotyczyły raczej błahostek, najczęściej dlatego, że byliśmy padnięci i wkurzeni, że musimy tak ciężko pracować. Wszyscy byliśmy wtedy jeszcze strasznymi szczeniakami. Pewnego wieczoru George rzucił we mnie na scenie jedzeniem. Zazwyczaj jedliśmy na scenie, bo spędzaliśmy tam mnóstwo czasu. Powód naszego spięcia był oczywiście nieistotny. Powiedziałem, że mu rozwalę gębę. Wymieniliśmy się jeszcze kilkoma inwektywami i na tym się skończyło. Nie doszło do rękoczynów”.

Zasadniczo chłopcy żyli ze sobą w świetnej komitywie, podobnie jak z Rorym Stormem i jego zespołem, z którym grywali na zmianę w Kaiserkeller. Znali zresztą zespół Rory’ego bardzo dobrze, był on o wiele bardziej popularny w Liverpoolu niż ich własny. To Rory’emu zaproponowano występy w Hamburgu w pierwszej kolejności, a ponieważ odrzucił propozycję z uwagi na inne zobowiązania artystyczne, Beatlesi dostali swoją szansę. Poza Rorym w ówczesnym Liverpoolu jeszcze kilka innych zespołów wyprzedzało Beatlesów, jak choćby Cas and the Casanovas. W czasie, gdy chłopcy wyjechali z macierzystego Liverpoolu

do Hamburga, byli w swoim mieście może trzecim albo czwartym pod względem popularności zespołem rockandrollowym.

„Wszyscy znaliśmy Rory’ego – mówi George. – Był w Liverpoolu wielką gwiazdą, na scenie zachowywał się w sposób niezwykle wyrazisty i szalony”. George znał się z zespołem Rory’ego dość dobrze, ponieważ w pewnym momencie, zanim jeszcze dołączył do Beatlesów, rozważał przyłączenie się właśnie do nich. „Poznałem Rory’ego, bo swego czasu próbowałem poderwać jego młodszą siostrę”. Tymczasem w Hamburgu perkusista z zespołu Rory’ego Stroma spędzał większość przerw, oglądając występy Beatlesów i prosząc o konkretne piosenki. „Nie podobał mi się ten ich bębniarz – mówi George. – Wyglądał na niezłą kanalię z tym swoim siwym kosmykiem włosów. Ale kanalią okazał się Ringo, czyli najsympatyczniejszy z całego zespołu”. Pete mówi, że pamiętał Ringo jeszcze z czasów, gdy grywał z Rorym Stormem w Casbahu, ale pozostali go nie znali. Minęło jeszcze sporo czasu, zanim poznali go naprawdę dobrze, ale tak właśnie wyglądało ich pierwsze spotkanie z Ringo Starrem.

Nie licząc przyjaźni z Ringo i resztą zespołu Rory’ego, chłopcy nie zawarli w Hamburgu żadnych nowych znajomości. Właściwie rzadko wychodzili z klubu i niespecjalnie starali się bratać z Niemcami. „Większość z nich to były półgłówki”, mówi John. Jeszcze mniejszą ochotę mieli na zawieranie znajomości z przychodzącymi do klubu Anglikami. „Jak tylko wyczuliśmy na widowni marynarzy – opowiada John – wiedzieliśmy, że zanim noc dobiegnie końca, będzie zadyma. Po kilku drinkach zaczynali się drzeć: »Do przodu Liverpool!« albo »Do przodu Pompey[69]!«. Bandy pieprzonych brytyjskich marynarzy próbowały podgrzać atmosferę. Zanim skończyliśmy grać, oni leżeli już wszyscy półprzytomni po próbach walki z kelnerami o rzekomo zawyżony rachunek lub cokolwiek innego. Kelnerzy ze swych pałek wyjmowali noże

sprężynowe i tak to się wszystko kończyło. Nigdy w życiu nie widziałem takich zabijaków”.

Rozdział 12
Astrid i Klaus

Właściwie nie ma nic dziwnego w tym, że zespół nawiązał tak niewiele znajomości wśród hamburskich Niemców. Większość porządnych hamburczyków nie zbliża się raczej do dzielnicy St. Pauli, a już na pewno nie zapuszcza się na ulicę Reeperbahn. Niemniej zapuścili się tam kiedyś Klaus Voormann i Astrid Kirchherr. Dwójka ta natknęła się na Beatlesów zupełnie przez przypadek. Oboje szybko stali się ich fanami – pierwszymi wśród inteligentów, należy dodać. Dostrzegli w chłopcach coś, czego nikt wcześniej w nich nie dostrzegł.

Klaus jest rodowitym berlińczykiem, synem znakomitego lekarza. Przyjechał do Hamburga w roku 1956 na studia na Akademii Sztuk Pięknych. Studiował sztukę użytkową, ale oprócz tego zapisał się dodatkowo na zajęcia z fotografii, na których poznał swoją późniejszą dziewczynę – Astrid. Astrid pochodzi z porządnej hamburskiej rodziny, należącej do klasy średniej. Na studiach wybrała specjalizację z fotografii. W roku 1960 oboje byli już po szkole. Klaus pracował dla miejscowych czasopism, wykonując dla nich plakaty reklamowe, jako że Hamburg jest sporym ośrodkiem prasowym. Astrid z kolei pracowała jako asystentka fotografa. Byli parą od około dwóch lat i Klaus wprowadził się do mieszkania na najwyższym piętrze domu, w którym mieszkała Astrid. Pewnego wieczoru trochę się pokłócili i Klaus postanowił pójść do kina.

„Wyszedłem i szwendałem się po okolicy. Na Grosse Freiheit usłyszałem dobiegający z piwnicy hałas. Zszedłem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nigdy w życiu nie byłem w takim klubie. Było dość ekstremalnie. W środku kręciło się sporo prawdziwych rockersów, w skórach i w ogóle.

Ale na mnie największe wrażenie zrobił występujący na scenie zespół i potęga jego brzmienia. Bardzo ostrożnie usiadłem i zacząłem słuchać”.

Klaus trafił do klubu Kaiserkeller, ale to nie występ Beatlesów oglądał, a zespołu Rory’ego Stroma z Ringo na perkusji. Zupełnie nieświadomie Klaus usiadł obok członków drugiego zespołu. „Gapiłem się na nich, bo wyglądali bardzo śmiesznie. Mieli na sobie kurtki w kratę, w biało-czarną kratę. Jeden z nich, najśmieszniej wyglądający – Stu, jak się potem dowiedziałem – miał wyjątkowo wysoko zaczesane włosy, buty z bardzo długimi czubkami i okulary przeciwsłoneczne. Właściwie to nawet nie były okulary, tylko takie nakładki od słońca, które nakłada się na zwykłe okulary. Dopiero gdy weszli na scenę, zorientowałem się, że siedziałem obok drugiego zespołu. Zagrali *Sweet Little Sixteen*. John śpiewał. Spodobali mi się jeszcze bardziej niż Rory. Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Chciałem z nimi pogadać, ale nie wiedziałem jak. Bałem się tych wszystkich rockersów. Czułem się skrępowany i cokolwiek nie na miejscu. Ale zostałem na całą noc. Nie mogłem się nadziwić, jak świetnie razem brzmieli – mocno i zabawnie zarazem. Cały czas skakali po scenie. Domyśliłem się, że potrafią tak przez bite osiem godzin”.

Do domu wrócił wczesnym rankiem i od razu opowiedział Astrid, gdzie był. Wydawała się raczej zdegustowana, że spędził całą noc w St. Pauli. Zachwycał się zespołem, ale Astrid nie była zainteresowana jego opowieścią. Nie chciała też pójść tam z nim na drugi dzień. Poszedł więc sam. Tym razem wpadł na pomysł, jak się przedstawić – chciał ich poznać albo przynajmniej się przywitać. Zabrał ze sobą okładkę popowej płyty, którą zaprojektował kiedyś do singla pod tytułem *Walk Don’t Run*. Zrobił w sumie jedną czy dwie okładki w ramach zleceń, bo głównie pracował dla czasopism. Uznał, że może jego prace zainteresują Beatlesów. Został dość długo, próbując dostać się jak najbliżej zespołu. Gdy Beatlesi w końcu mieli przerwę, podszedł do Johna, który wydał mu się liderem. Łamaną, szkolną angielszczyzną Klaus przedstawił swoje dzieło. Na Johnie nie

zrobiło to najmniejszego wrażenia. „Pamiętam, że jakiś koleś wcisnął mi okładkę płyty w dłoń, ale zupełnie nie wiedziałem po co”, mówi John. Burknął więc coś, że Stu jest artystą i że lepiej gadać z nim. Klaus zaczął przemieszczać się w kierunku Stu, ale ostatecznie nie udało mu się do niego dotrzeć. Musiał więc znowu usiąść, co wywołało jeszcze większe zażenowanie i lęk. Spędził więc kolejną noc, słuchając muzyki.

Następnego wieczoru w końcu udało mu się namówić Astrid, by poszła z nim, mimo że bardzo się opierała. Wzięli też kumpla – Jürgena Vollmera. „Byłam przerażona, gdy dotarliśmy na miejsce – opowiada Astrid. – Ale szybko zapomniałam o całym strachu, gdy zobaczyłam tę piątkę. Nie potrafię do końca wyjaśnić, co wtedy poczułam. Coś w nich mnie urzekło. Nie mogłam w to uwierzyć. Od zawsze fascynowali mnie teddy boys. Podobało mi się, jak się prezentują na zdjęciach i na taśmie filmowej. A tu nagle stoi przede mną pięciu takich, z wysoko postawionymi włosami i długimi bokobrodami. Siedziałam nieruchomo z otwartą buzią. Atmosfera dookoła była dość przerażająca – towarzystwo typowe dla Reeperbahn. Połamane nosy, teddy boys i tak dalej. Po niemiecku nazywaliśmy ich *Schlagers*. Ci, którzy się biją, prawdziwi twardziele”.

Na występach zespołu zaczęło się pojawiać coraz więcej studentów, w miarę jak Astrid i Klaus zachwycali się nimi wśród znajomych. Przejęli część piwnicy i stolików. Studenci, wraz ze swymi modnymi ubraniami i zdecydowanie spokojniejszym stylem, szybko zaczęli modyfikować, a wkrótce kształtować atmosferę panującą w Kaiserkeller. Rockersi nadal przychodzili do klubu, ale nie byli już w większości. „Teraz to było nasze miejsce – opowiada Klaus. – Ale bynajmniej nie czuło się między nami rywalizacji. W sumie to nawet zaprzyjaźniłem się z kilkoma rockersami, choć wcześniej osobiście nie znałem żadnego i w innych okolicznościach nie miałbym możliwości ich poznać. Były wśród nich fajne młode dziewczyny, z którymi nigdy wcześniej się nie spotkałem. W tańcu

wyglądały jak małe grzybki. Miały krótkie, rozkloszowane spódniczki i usztywniane halki, które nadawały im kształt bombek”.

Beatlesi zaczęli spędzać większość wolnego czasu na rozmowach i piciu z Klausem, Astrid i ich znajomymi. Nie znali niemieckiego, ale kilku Niemców rozumiało co nieco po angielsku. „Nagle zaczęło pojawiać się sporo typów związanych ze sztuką – mówi George. – Egzystencjaliści i cały ten kram”. „Byli rewelacyjni – wspomina Paul. – Spora odmiana po typowych Niemcach. Oszaleli na punkcie Stu i jego pozy na Jamesa Deana”. „*Egzi*, bo tak ich nazywałem – mówi John – byli pierwszymi Niemcami, z którymi kiedykolwiek rozmawiałem”. „Nie mogłem zrozumieć Johna przez jego akcent – opowiada Klaus. – Za to George mówił do nas bardzo wolno i wyraźnie, więc jego rozumiałem bez problemu. Wyglądał śmiesznie. Miał duże, odstające uszy, włosy z tyłu krótkie, a z przodu zaczesane wysoko”.

Po tygodniu codziennych wizyt w klubie Astrid w końcu zebrała się na odwagę, by zapytać ich, czy może im zrobić kilka zdjęć. „Tak dobrze już się z nimi dogadywaliśmy, że poczułam się pewniej. Zauważyłam, że ci wszyscy rockersi z Reeperbahn ich kochają, wręcz uwielbiają. Byliby w stanie dla nich zabić”. Udało jej się wycedzić kilka pojedynczych słów, które razem stanowiły ofertę wykonania sesji fotograficznej. „Widziałam, że są chętni, choć John musiał powiedzieć kilka śmiesznych komentarzy. Zawsze wyrażał się publicznie bardzo niepochlebnie o szkopach, choć nie w mojej obecności. Ale i tak przeczuwałam, że on po prostu taki ma styl”.

Jednak to nie reakcja Johna najbardziej ją interesowała. Tak naprawdę marzyła o tym, żeby poznać Stu. „Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Naprawdę. To nie była żadna ckliwa miłostka. Naprawdę się zakochałam”. Umówili się całą grupą na spotkanie przy Reeperbahn na drugi dzień. Najpierw zabrała ich na pobliski plac zabaw i tam zrobiła im kilka zdjęć, a potem zaprosiła ich do siebie na podwieczorek. Pete Best odmówił. „Nie dlatego, że byłem aspołeczny, tylko musiałem kupić skóry

na bębny, które rozwaliłem poprzedniego wieczoru”. Pozostała czwórka skorzystała z zaproszenia. Poczęstowała ich herbatą i byli zachwyceni. Nigdy wcześniej nie byli w niemieckim domu. Pokój, w którym spożywali podwieczorek, wydał się im wyjątkowo mroczny i tajemniczy. Po chwili dało się zauważyć, że jedyne kolory obecne w pomieszczeniu to biel i czerń. Wszystko – ściany, meble, dywany – było albo czarne, albo białe. Wzdłuż ścian i sufitu rosły drzewa. Okno było zasłonięte i jedyne źródło światła stanowiły świece. Jedną ze ścian pokrywał czarny materiał. Jeden z chłopców zajrzał z ciekawości i zobaczył własne odbicie w lustrze. „Miałam wówczas fazę na Jeana Cocteau”, opowiada Astrid. Podwieczorek był bardziej prozaiczny – kanapki z szynką. „Ha! Patrzcie – krzyknął George. – Kanapeczki z szyneczką! Nie wiedziałem, że Niemcy je znają”. Dowodzi to tylko głębokiej nieznajomości realiów w związku ze spędzaniem dwunastu godzin dziennie w Kaiserkeller. Po podwieczorku Astrid odwiozła chłopców z powrotem na kolejne całonocne granie.

Zaczęła zabierać ze sobą aparat za każdym razem, gdy szła do klubu. Robiła im wiele zdjęć. To były ich pierwsze profesjonalne fotografie i przez wiele kolejnych lat zdecydowanie najbardziej artystyczne. Bawiła się ze światłem i udało jej się uchwycić ich połowicznie w cieniu. Ten patent, choć nie nowy, z lubością powtarzali fotografowie przez wiele kolejnych lat. To właśnie Astrid jako pierwsza dostrzegła ich fotogeniczny potencjał – coś, co okazało się później bezcenne. Zabierała ich w przeróżne plenery w Hamburgu i okolicach i tam robiła im zdjęcia – a to w dokach portowych, a to przy nieczynnych torach kolejowych, chcąc przy tym uzyskać unikalne ujęcia. By w pełni wydobyć artyzm ze zdjęć Astrid i docenić ich doskonałość, potrzebny jest porządny sprzęt drukarski, choć i na tanim papierze są pełne dramatyzmu i mają unikalny charakter. „Były fantastyczne – mówi Paul. – Nikt nie potrafił fotografować nas tak dobrze jak Astrid”.

Podczas tych pierwszych sesji stale starała się nawiązać rozmowę ze Stu, by dać mu do zrozumienia, że chciałaby zrobić mu indywidualną sesję zdjęciową. Ale jakoś nie potrafiła tego wyrazić wystarczająco jasno. On nie rozumiał po niemiecku. Ona nie mówiła po angielsku. Poprosiła więc Klausa, żeby nauczył ją języka. „Klaus wychodził z siebie, żeby mi wytłumaczyć różne zagadnienia. A ja normalnie nie potrafiłam się tego nauczyć". Praktycznie co wieczór spotykali się wszyscy u Astrid na podwieczorku i wkrótce sprawy ze Stu wreszcie zaczęły nabierać rumieńców. Po jakimś czasie Stu zaczął przychodzić sam o innych porach i przesiadywali razem na jej czarnym łóżku, rozmawiając przy pomocy słowniczka niemiecko-angielskiego.

„Po Stu najbardziej lubiłam Johna i George'a. Potem był Pete Best. Przepadałam za nim, ale był szalenie, szalenie nieśmiały. Potrafił być zabawny, ale nie miałam z nim zbyt wiele kontaktu. Już wtedy jakoś się o nim zapominało. On stał jakoś tak na uboczu. Z Paulem natomiast bardzo ciężko było mi nawiązać bliższą relację. Był oczywiście bardzo przyjazny i wśród fanów cieszył się zdecydowanie największą popularnością. Zawsze to on mówił, zapowiadał utwory i rozdawał autografy. Dla większości fanów to właśnie on był liderem. Choć oczywiście tak naprawdę był nim John. Był z nich zdecydowanie najsilniejszy. I nie mam tu na myśli siły fizycznej, tylko to, że miał najsilniejszą osobowość. Stu był z nich najbardziej inteligentny. Myślę, że każdy z nich zgodziłby się z tą opinią. John na pewno.

Jeśli chodzi o George'a, nad jego inteligencją po prostu się nie zastanawialiśmy, gdy rozmawialiśmy o zespole. Wiedzieliśmy, że nie jest głupi, ale z niego był jeszcze taki słodki dzieciak. Był przeuroczy i bardzo otwarty, tak jak z tymi kanapkami z szynką, którymi się zachwycał. Fani bardzo go lubili. Jürgen miał taki znaczek z napisem »Kocham George'a«. To on zapoczątkował tego typu rzeczy. Z George'em świetnie się dogadywałam. Nigdy wcześniej nie znał nikogo takiego jak ja i nie

krępował się tego okazywać, szczerze i cudownie. W końcu miał zaledwie siedemnaście lat. Byłam jedną z tych inteligentnych dziewczyn, z którymi nigdy wcześniej nie miał do czynienia. Miałam swój własny samochód, pracowałam jako fotograf i nosiłam kurtkę ze skóry. To oczywiste, że go fascynowałam. Ja nigdy nie czułam do niego pociągu ani nic takiego. Byłam od niego starsza o pięć lat, więc mogłam sobie pozwolić na to, by zachowywać się wobec niego otwarcie. Bardzo się lubiliśmy".

Stu i Astrid zaręczyli się w listopadzie 1960 roku, zaledwie po dwóch miesiącach znajomości. Każde z nich wyłożyło trochę pieniędzy i poszli kupić pierścionki – po jednym dla każdego, na modłę niemiecką. Następnie pojechali samochodem na wyprawę wzdłuż Elby. „Jak tylko opracowaliśmy system porozumiewania się, wiedzieliśmy, że chcemy się pobrać". Stu był niewiele starszy od George'a, bo miał raptem dziewiętnaście lat. Był za to o wiele dojrzalszy. Jego pasja do sztuki nie osłabła, w przeciwieństwie do Johna, który zarzucił swoje wcześniejsze zainteresowania. Nie zmienia to faktu, że Stu równie mocno angażował się w pracę zespołu. Pewnego wieczoru pobili się z Paulem na scenie. Mimo że był od niego o wiele niższy i słabszy, wściekłość dodała mu sił. „Gdy się rozzłościł, potrafił wpaść w prawdziwą furię", mówi Astrid. Bójka miała zresztą związek z Astrid i jakimś komentarzem, który pod jej adresem rzucił Paul, choć dziś już nikt nie pamięta szczegółów.

Relacja między Paulem a Stu, ich kłótnie i kolejne fazy zazdrości nietrudno wyjaśnić. W pewnym sensie obaj rywalizowali o względy Johna. Paul cieszył się jego pełną uwagą przez kilka lat, póki nie pojawił się Stu. Stu był bezsprzecznie utalentowany, znacznie bardziej dojrzały i lepiej ogarniał własne emocje. Nawet Michael McCartney wspomina, że jeszcze w Liverpoolu Paul był o Stu trochę zazdrosny.

Z kolei skomplikowaną relację między piątką teddy boysów z Liverpoolu a grupą studentów z Hamburga dużo trudniej wytłumaczyć. Hamburscy intelektualiści byli wyjątkowo modni zarówno pod kątem

ubioru, jak i myślenia. Klaus i Jürgen czesali się, jak to się wtedy nazywało, na styl francuski. Z kolei Beatlesi mieli w sobie tę nieokrzesaną naturalność, nieposkromioną energię, która pociągała studentów. *Egzi* mieli dla każdego z Beatlesów przydomek – John był Tym z Bakami, George Tym Ślicznym, a Paul Tym Dzieciakiem. Nazwa „The Beatles" od samego początku bardzo bawiła wszystkich Niemców. Miejscowi wymawiali ją w formie „De Pidels", co w języku niemieckim stanowi również dziecinne określenie penisa, coś w stylu „wacek".

Beatlesi mieli dwie wierne grupy fanów – rockersów i *egzi*. Pierwotnie ich kontrakt opiewał na sześć tygodni występów, ale z uwagi na ich popularność kilkakrotnie go przedłużono. Tymczasem zbliżało się Boże Narodzenie, a Beatlesi przebywali w Hamburgu niemal od pięciu miesięcy. Robili wszystko, by wkręcić się do jakiegoś większego i lepszego klubu – na przykład Top Ten. Apetyt na większą scenę pojawił się od razu, gdy zorientowali się, jak dużą furorę robią w Kaiserkeller. Poprosili menedżera klubu Top Ten o przesłuchanie. „Spodobali mi się, więc zaproponowałem im kontrakt", mówi Peter Eckhorn. Niestety okazało się, że George musi opuścić kraj. „We wszystkich klubach – opowiada George – odczytywano co wieczór takie ogłoszenie, że wszystkie osoby poniżej osiemnastego roku życia uprasza się o opuszczenie lokalu. W końcu ktoś się zorientował, że ja mam dopiero siedemnaście, nie mam pozwolenia na pracę ani na pobyt stały. No więc musiałem wyjechać. Wracałem do domu sam. Okropne uczucie".

Astrid i Stu odwieźli go na stację i kupili mu bilet z miejscówką w pociągu. „Stał tam taki biedny, mały, zagubiony George – mówi Astrid. – Dałam mu całą torbę słodyczy i kilka jabłek. Rzucił nam się na szyję, co chłopcom nigdy się nie zdarzało".

Tymczasem pozostała czwórka przeniosła się do Top Ten, ale zdążyli dać raptem jeden występ, gdy kłopoty spiętrzyły się na dobre. „Wynosiliśmy się właśnie z Paulem z Bambi – opowiada Pete Best. – John i

Stu już wcześniej przenieśli swoje rzeczy do Top Ten. Zapaliliśmy światło, żeby lepiej widzieć, i chyba wywołaliśmy pożar. Nic wielkiego, ale policja wpakowała nas do pierdla na trzy godziny, po czym powiedziano nam, że nas też muszą deportować". I tak zostali tylko John i Stu. „John przyszedł do mnie do domu chyba na drugi dzień – mówi Astrid. – Powiedział, że też wraca do kraju, bo odebrano mu pozwolenie na pracę. Wspomniał także, że sprzedał kilka ubrań, żeby mieć na bilet".

„To było straszne – mówi John. – Miałem wracać do domu w pojedynkę. Ze wzmacniaczem na plecach, przerażony, że mi go ktoś zwędzi. Nie zapłaciłem za niego. Byłem przekonany, że w życiu nie trafię do Anglii". Ostatecznie i Stu dowiedział się, że musi wracać. Prawdziwy powód ich deportacji nigdy nie wyszedł na jaw, oprócz George'a oczywiście, który był niepełnoletni. Być może chodziło o tarcia między klubami.

Stu jako jedyny wrócił do domu jak człowiek – przyleciał do Liverpoolu samolotem. Miał lekkie zapalenie migdałków i Astrid nie chciała, żeby długa podróż drogą lądową i morską pogorszyła jego stan zdrowia, więc kupiła mu bilet lotniczy. Pozostali musieli wlec się do Liverpoolu o własnych siłach. I tak oto najwspanialszy epizod w ich dotychczasowej karierze zakończył się wyjątkowo żałośnie. Wrócili do domu pojedynczo lub dwójkami, bez grosza przy duszy i w łachmanach, z poczuciem odrzucenia i przygnębienia. Przez jakiś czas nie spotykali się w ogóle. Zastanawiali się nawet, czy kiedykolwiek uda im się reaktywować zespół The Beatles.

Rozdział 13
Liverpool: Litherland i The Cavern

John przybył z Hamburga w środku nocy. Musiał obudzić Mimi, rzucając kamieniami w okno sypialni. „Miał na nogach takie paskudne buty kowbojskie, do samych kolan, całe w złocie i srebrze. Przecisnął się obok mnie w drzwiach, rzucając tylko: »Mimi, zapłać taksiarzowi«. »A gdzie twoje sto funtów tygodniowo?«, krzyknęłam za nim, gdy już był na schodach. »Cała ty – wrzasnął. – Będziesz się teraz kłócić o moje sto funtów tygodniowo, kiedy wiesz, że jestem wykończony!« »Możesz od razu wyrzucić te buty, bo z tego domu na pewno w nich nie wyjdziesz«”.

John poszedł spać i przez ponad tydzień nie ruszał się z domu. Bynajmniej nie z powodu ohydnych butów, ale dlatego, że nie za bardzo miał po co wychodzić. Cynthia była oczywiście bardzo szczęśliwa, że wrócił. Przez cały czas rozłąki John pisał do niej listy. „Najbardziej erotyczne listy od czasów Henry’ego Millera – chwali się John. – Niektóre miały po czterdzieści stron. Chyba ich nie wyrzuciłaś?”.

George, który wrócił do domu jako pierwszy, przez jakiś czas nie zdawał sobie w ogóle sprawy, że cała reszta podzieliła jego los. „Było mi wstyd, bo przecież przed wyjazdem do Hamburga padło sporo wielkich słów. Pewnego wieczoru tata podrzucił mnie do miasta i musiałem go poprosić, żeby pożyczył mi dziesięć szylingów”.

Paul również spędzał czas w domu i nie minęło wiele czasu, gdy musiał znowu stawić czoła ojcu. Jim od samego początku był przeciwny, żeby jego syn rzucał szkołę i wyjeżdżał do Hamburga. Teraz uznał, że Paul powinien poszukać sobie pracy, zamiast bezczynnie siedzieć w domu. „Bezczynność prowadzi do złego”, powtarzał mu kilka razy na dzień. Jako że Paul nigdy nie miał natury buntownika, a wręcz pragnął wszystkich uszczęśliwić, w

końcu uległ namowom. „Poszedłem do urzędu pracy, chyba tam się szuka takich rzeczy. Zaproponowali mi posadę w charakterze pomocnika kierowcy ciężarówki. Wcześniej jako uczeń pracowałem na poczcie w okresie bożonarodzeniowym, więc pomyślałem, że spróbuję czegoś innego. Moja firma nazywała się Speedy Prompt Delivery – SPD. Obsługiwała doki portowe. Wstawałem wcześnie i szedłem na autobus z »Daily Mirror« pod pachą, jak prawdziwy robotnik, choć tak naprawdę byłem budyniem z *College*'u. Siadałem na pace ciężarówki i pomagałem nosić paczki. Czasami byłem skonany i zasypiałem na dłuższej trasie, na przykład do Chester. Pracowałem tam około dwóch tygodni i czułem się bardzo ważny, bo miałem pracę i kilka funtów w kieszeni. Ale mnie zwolnili. Skończył się okres Bożego Narodzenia i nie było ruchu.

Tata znowu zaczął marudzić. Jak zwykle o tym samym, że fajnie jest mieć zespół, ale że z tego nie wyżyję. Częściowo się z nim zgadzałem, ale zawsze znalazł się ktoś, kto mówił, że mamy potencjał. Mieliśmy nadal jakichś fanów i to nam dodawało otuchy. Poszedłem do kolejnej pracy, w firmie Massey and Coggins. Robiłem uzwojenia elektryczne. Musiałem przy tym nosić kufajkę. Ze względu na długie włosy jeden z gości nazywał mnie Mantovanim[70]. Stawało się okrakiem nad kołowrotem i zwijało się drut. Ten drut bez przerwy mi się łamał. Potrafiłem zrobić półtora zwoju na dzień, podczas gdy inni wyciągali osiem albo nawet czternaście. Kiepsko mi szło.

Za to najfajniej było podczas przerwy na herbatę. Dawali kanapki z dżemem i wszystkie chłopaki grały w nogę na takim placu, coś jak więzienny spacerniak. Teraz jak o tym myślę, to sobie przypominam, że ja się zgłosiłem do nich do pracy do zamiatania tego placu, bo pomyślałem, że to będzie całkiem spoko fucha. Kiedy gość się zorientował, że mam kilka przedmiotów zdanych na poziomie A-level, to nabrał podejrzeń, czy nie mam przypadkiem na koncie jakiegoś wyroku. Ostatecznie uznał, że jestem

w porządku i dał mi lepszą pracę w postaci robienia uzwojenia. Powiedział, że jak się zawezmę, to dam radę. Wyobrażałem sobie, że jeśli będę wystarczająco się przykładał, zacznę piąć się po szczeblach kariery, aż dojdę do jakiegoś kierowniczego stanowiska. Dostawałem siedem funtów tygodniowo za robienie uzwojenia i parzenie herbaty. Tymczasem zespół się reaktywował, ale ja nie byłem pewien, czy chcę wrócić na pełny gwizdek. Nie rzuciłem więc pracy, wyrywałem się tylko w przerwach na lunch albo załatwiałem zwolnienia lekarskie. W końcu jednak rzuciłem robotę. W sumie przepracowałem tam około dwóch miesięcy i całkiem mi się podobało bycie robotnikiem. Poznałem w pracy takiego jednego Alberta, z którym dosyć fajnie mi się gadało".

„To muszę przyznać Paulowi – mówi Jim – że zawsze był bardzo wytrwały. Tak naprawdę nie interesowała go żadna z tych prac. Pracował, bo czuł się zobowiązany wobec mnie".

Chłopcy wrócili z Hamburga na początku grudnia 1960 roku i w sumie może przez dwa, maksymalnie trzy tygodnie nie mieli żadnych propozycji występów. Przy odrobinie szczęścia mogli zacząć grać w jakimś klubie od razu po przyjeździe, co zdecydowanie pozytywnie wpłynęłoby na ich podły nastrój po feralnym powrocie do domu. Pod ich nieobecność Allan Williams postanowił bowiem otworzyć duży klub rockandrollowy na wzór tych hamburskich. W końcu posłał tyle zespołów z Liverpoolu do Hamburga, w tym Gerry and the Pacemakers, iż wreszcie uznał, że i tu w domu należy im się podobne miejsce. Dokładnie wtedy, gdy Beatlesi wrócili do kraju, otworzył klub pod nazwą Top Ten, zupełnie jak ten w Hamburgu. Menedżerem lokalu został Bob Wooler, ale niestety szóstego dnia działalności klub spłonął. Potencjalnie idealne miejsce dla występów Beatlesów zniknęło, zanim jeszcze zdążyli je zobaczyć.

Ich pierwszy występ po Hamburgu odbył się nie gdzie indziej, a w Casbahu – klubie matki Pete'a Besta. Zgotowano im gorące powitanie, a najgorętsze było w wykonaniu wieloletniego kumpla Pete'a – Neila

Aspinalla, który właściwie mieszkał w Casbahu, po tym jak wyprowadził się z domu i zajął jeden z pokoi w domu pani Best[71]. Nie był kolegą szkolnym Pete'a, ponieważ chodził do Institute, zaczął nawet w tej samej klasie co Paul. Znał również George'a, razem lądowali u dyrektora za palenie. Jego jednak ominęła fascynacja muzyką skifflową, choć lubił miejscowe zespoły. Razem z chłopakami z klasy nawet dopingował Beatlesów (czy raczej Moondogsów) podczas występu w Empire w ramach wstępnych eliminacji do programu Carrolla Levisa.

Neil zakończył naukę w Institute ze zdanymi ośmioma przedmiotami na poziomie O-level i zaczął się uczyć na księgowego. Dostawał dwa funty i dziesięć szylingów na tydzień plus kupony na stołówkę i wszystko wskazywało na to, że ma przed sobą świetlaną karierę. Początkowo większość wieczorów Neil poświęcał na kursy korespondencyjne. „Nienawidziłem, gdy jakiś koleś pięćset kilometrów dalej wygarniał mi za to czy owo. To tak, jakby wysłać swoją pracę na księżyc tylko po to, żeby ktoś cię zjechał". To oczywiste, że wraz ze zwiększeniem częstotliwości wizyt w Casbahu ucierpiała nauka, zwłaszcza gdy przeprowadził się do pani Best i bywał tam non-stop. „Przez cały czas pobytu w Hamburgu dostawałem listy od Pete'a – mówi Neil. – Pisał, że świetnie im idzie i że przedłużono im angaż na kolejny miesiąc, a potem kolejny i kolejny. Derry and The Seniors wrócili jako pierwsi. Pete wysłał ich do mamy, a pani Best zaproponowała im występ w Cashabu. Grali teraz znacznie lepiej. »Zaczekajcie, aż usłyszycie Beatlesów«, mawiali.

„Na wieść, że Beatlesi wracają do domu, rozwiesiłem pełno plakatów z napisem »Powrót Fantastycznych Beatlesów«. Oklejałem nimi wszystkie ściany i drzwi. Nigdy wcześniej nie słyszałem ich w składzie z Pete'em. Nie wiedziałem, jaką przemianę przeszli w Hamburgu. Mogli równie dobrze być koszmarni". Mimo ogromnego entuzjazmu Neila nie udało się od razu wprowadzić Beatlesów na scenę w Casbahu. Nikt nie wiedział do

końca, co robią pozostali członkowie zespołu i czy w ogóle wszyscy wrócili. „Dopiero tydzień po powrocie Johna dowiedziałem się, że i on musiał wyjechać z Hamburga – opowiada Pete Best. – Przez wiele miesięcy, chyba aż do drugiej połowy stycznia, nie mieliśmy pojęcia, co się stało ze Stu”.

Niemniej ten pierwszy występ odbył się właśnie w Casbahu i zespół wypadł świetnie. „Byli fantastyczni – wspomina Neil. – Zrobili ogromne postępy. Zaczęli dostawać inne propozycje i mieli coraz większą rzeszę fanów. Frank Garner, bramkarz z Casbahu, zaczął wozić ich swoją furgonetką. Słuchałem ich wtedy często, bo w Casbahu mieli bazę, gdzie trzymali cały sprzęt ze wzmacniaczami. Rory Storm też tam grał po powrocie z Hamburga. To był niezły klub”.

Ale największym wydarzeniem dla Beatlesów po Hamburgu było zaproszenie do występu w ratuszu w Litherland[72] 27 grudnia 1960 roku. Jeśli można w ogóle wskazać datę, która okazała się dla zespołu kluczowa, byłaby to właśnie ta. Ich nowe umiejętności, nowe dźwięki i nowe piosenki nagle przemówiły do Liverpoolu podczas tego wieczoru. W Litherland pojawili się fani z Casbahu i zdecydowanie przyczynili się do tego sukcesu. Od tego momentu, jeśli chodzi o fanatyczne rzesze fanów, zespół już nigdy nie musiał się o to martwić. Angaż ten zawdzięczają Bobowi Woolerowi, który miał właśnie zostać DJ-em w ratuszu w Litherland. Wcześniej, przed erą skiffle, pracował jako urzędnik dla British Railways. Sam nie był zaangażowany w skiffle, ponieważ miał już wówczas trzydziestkę na karku, ale zafascynował go ten wybuch muzykalności. „To było wspaniałe, jak wszyscy ci młodzi ludzie zaczęli tworzyć własną muzykę po raz pierwszy w życiu i sami stawali się częścią świata rozrywki”.

Gdyby pomysł założenia liverpoolskiego Top Ten nie upadł, klub stałby się wielką szansą zarówno dla Beatlesów, jak i dla Boba. „Byli naprawdę zdołowani. Wiedziałem, na co ich stać, ale w tamtym okresie byli naprawdę

w kiepskim stanie. Zwłaszcza George czuł się rozczarowany zakończeniem przygody z Hamburgiem”. To Bob wystarał się dla nich o występ w Litherland. Sala, którą dysponuje tamtejszy ratusz, jest duża i regularnie dwa razy w tygodniu organizowane są tam tańce dla młodzieży. Była to największa sala ze wszystkich, w jakich do tej pory grali. Ich głośna, rezonująca, hucząca hamburska muzyka sprawiła, że publiczność dosłownie oszalała, po raz pierwszy i zdecydowanie nie ostatni. Za występ otrzymali sześć funtów – kolejny rekord.

„Dzieciaki oszalały – wspomina Pete Best. – Po koncercie odkryliśmy, że kredą popisały nam całą furgonetkę. Wtedy właśnie zdarzyło się to po raz pierwszy”. Plakat przed koncertem zapowiadał ich jako „Beatlesi prosto z Hamburga”. Wielu nastolatków, którzy tak doskonale bawili się do ich muzyki tej nocy i na kolejnych koncertach, myślało zapewne, że zespół jest rodem z Niemiec. Gdy składali autografy w specjalnych książeczkach fanów, zewsząd odzywały się zdziwione głosy: „To wy mówicie po angielsku?”.

„Pewnie wyglądaliśmy też jak Niemcy – mówi George. – Odróżnialiśmy się od innych zespołów w tych naszych skórzanych spodniach i kowbojkach. Wyglądaliśmy śmiesznie i graliśmy inaczej. Byliśmy zjawiskowi”. „To właśnie tego wieczoru – wspomina John – po raz pierwszy naprawdę wyszliśmy ze swojej skorupy i daliśmy się ponieść szaleństwu. Zobaczyliśmy, że jesteśmy dość rozpoznawalni. To właśnie wtedy po raz pierwszy pojawiła się myśl, że chyba jednak jesteśmy dobrzy. Aż do czasów Hamburga uważaliśmy się za nie najgorszych, ale i niewystarczająco dobrych”.

Nie tylko Beatlesi przeszli metamorfozę. Pod ich nieobecność w samej Wielkiej Brytanii zaszły bardzo istotne zmiany. Teraz każdy zespół stawał na rzęsach, żeby osiągnąć poziom grupy The Shadows. Cliff Richard doprowadził chłopaków z akompaniującego mu zespołu – Jeta Harrisa, Tony’ego Meehana, Bruce’a Welcha i Hanka Marvina – do wielkiej sławy.

Ich instrumentalny singiel *Apache* zawojował cały kraj. Każdy zespół starał się teraz naśladować ich wyważony, szalenie elegancki wygląd sceniczny – szare garnitury, jednakowe krawaty i buty wypolerowane na wysoki połysk. The Shadows mieli też własny, subtelny układ taneczny – trzy kroki w lewo, trzy w prawo. Zarówno w ich prezencji, jak i w muzyce wszystko było porządne, wymuskane i uładzone.

Tymczasem Beatlesi grali głośno, mieli w sobie szaleństwo i wyglądali na niezorganizowanych obszarpańców, było w nich coś niemal pierwotnego. Trzymali się rock and rolla, który przecież królował, gdy opuszczali Liverpool, ale teraz znajdował się w zdecydowanym odwrocie. Oni tymczasem byli jeszcze bardziej rockandrollowi niż przed wyjazdem – dołożyli mocniejsze beaty, podkręcili głośność, no i na scenie „robili widowisko”. W efekcie stworzyli swoje własne brzmienie. Brzmienie, które od stonowanych Shadowsów oddalone było o lata świetlne. Brzmienie, przed którym należało uciekać i chronić uszy lub poddać się szaleństwu i ekstazie będącej udziałem jego twórców.

„To wszystko Hamburg – mówi John. – To tam naprawdę się narodziliśmy. Żeby rozruszać Niemców i bawić ich przez dwanaście godzin, musieliśmy naprawdę dawać czadu. Nigdy nie osiągnęlibyśmy tak wiele, gdybyśmy wtedy zostali w domu. W Hamburgu musieliśmy próbować wszystkiego, co przyszło nam do głowy. Nie było nikogo, na kim mogliśmy się wzorować. Graliśmy tak, jak sami lubiliśmy najbardziej. Niemcom podobało się wszystko, pod warunkiem że było głośno. Ale to dopiero w Liverpoolu zdaliśmy sobie sprawę, jak wielka jest różnica między nami a resztą, i zauważyliśmy, co się stało z nami, podczas gdy wszyscy inni grali to samo badziewie co Cliff Richard”.

Pasja i osobowość każdego z nich, szalenie zaraźliwe i oddziałujące na publiczność, też bardzo im pomogły. Faktycznie mieli nowe brzmienie, ale kształtowało się ono dzięki ludziom takim jak publiczność w Liverpoolu – naturalnym, bezpretensjonalnym, niewygładzonym, nieodpicowanym i nie-

show-biznesowym. Bob Wooler, który szybko zamienił pozycję DJ-a w Litherland na tę samą, ale w The Cavern, jako pierwszy czym prędzej postanowił opublikować swoją analizę fenomenu The Beatles. Ukazała się ona w miejscowej gazecie muzycznej zaledwie sześć miesięcy po ich powrocie, czyli latem 1961 roku. Wooler podsumowuje ten wczesny etap z początku 1961 roku, gdy Beatlesi zdobyli ratusz w Litherland. Było to na długo przed jakąkolwiek inną wzmianką w mediach czy akcją promocyjną:

Jak wam się wydaje, skąd bierze się popularność Beatlesów? Stąd, że wskrzesili oni oryginalną muzykę rockandrollową, wywodzącą się od murzyńskich pieśniarzy. Pojawili się na scenie muzycznej, po tym jak ta została wykastrowana przez osoby pokroju Cliffa Richarda. Zupełnie zniknął płomień, który podsycał emocje. Beatlesi na tej zblazowanej scenie po prostu eksplodowali. To z Beatlesów i ich muzyki zrodził się krzyk. To tutaj podniecenie sięgnęło zenitu – podniecenie ciał i uszu, które stanowiło symbol młodzieńczego buntu.

Wykonują utwory wokalne, rzadko instrumentalne, grając to, co sami lubią – dla frajdy, dla uznania, dla forsy. Mają tę przewagę, że prestiż i doświadczenie zdobyli w Hamburgu. To autorytet muzyczny i magnetyzm fizyczny, których przykładem może być złośliwy ponurak i wspaniały perkusista Pete Best – swego rodzaju nastoletni Jeff Chandler. To niebywała różnorodność fantastycznych głosów, które w rozmowie trącą tą samą prostotą. To rewolucja rytmiczna. To zespół, którego występy od początku do końca są serią punktów kulminacyjnych. To kult jednostki. Pozornie pozbawieni ambicji, a jednak oscylujący między pewnością siebie a wrażliwością. Prawdziwy fenomen, a zarazem kłopot dla organizatorów! Tacy właśnie są fantastyczni Beatlesi. Nie sądzę, że ktoś taki jeszcze kiedykolwiek się objawi.

W nowym 1961 roku za sukcesem w ratuszu w Litherland podążyły kolejne występy w wielkich salach widowiskowych. W większości tych miejsc dochodziło wśród publiczności do niekontrolowanych wybuchów emocji, zwłaszcza gdy Paul śpiewał *Long Tall Sally* – klasyczny rockandrollowy kawałek – z porządnym beatem i szaleństwem w głosie. Zaczęło do nich docierać, jak wielki wpływ mają na ludzi, i zaczęli to wykorzystywać, aż czasem wymykało im się to spod kontroli. Paul wspomina, że niektóre z tych pierwszych występów w wielkich salach balowych były przerażające. „Do Grosvenor Ballroom w Wallasey przyszło chyba ze stu miejscowych chłopaków gotowych bić się z setką kolesi z Seacombe, gdy atmosfera się podgrzała. Pewnego wieczoru zaczęła się

bójka, zanim nawet zdążyłem się zorientować, więc starałem się tylko uratować wzmacniacz. To był sprzęt marki El Pico, moja wielka duma. Jeden z teddy boysów złapał mnie za marynarkę i wrzasnął: »Nie ruszaj się, synku, bo zginiesz«. Kolejnym miejscem, gdzie często dochodziło do bójek, była sala Hambledon Hall. Pewnego wieczoru dwie strony walczyły ze sobą z użyciem gaśnic. Gdy graliśmy *Hully Gully*, zazwyczaj zaczynała się bijatyka”.

Przy występach w większości dużych sal zatrudniano sporą liczbę ochroniarzy, by zapobiec tego typu problemom. Wkrótce zaczęli oni spełniać jeszcze jedną funkcję. „Pamiętam taką jedną salę, w której graliśmy – opowiada John. – Przyszły takie tłumy, że uznaliśmy, iż muszą na widowni być inni menedżerowie i że to może być dla nas szansa na dalsze kontrakty. Nie wiedzieliśmy jednak, że kierownictwo sali zatrudniło armię ochroniarzy, by bronili do nas dostępu innym organizatorom. Tak więc po koncercie nikt do nas nie podszedł oprócz jednego gościa od organizatorów, który powiedział, że mu się podobało i że dadzą nam całą serię koncertów po osiem funtów za wieczór. Stawka o kilka funtów przebijała poprzednią, więc się ucieszyliśmy”.

Od 1961 roku mogli zarabiać znacznie lepiej, ponieważ byli bardzo popularni i powoli zbliżali się do poziomu Rory’ego Storma (Pana Widowisko, jak go nazywali), numeru jeden w Liverpoolu. Niestety nie mieli menedżera, a sami nie do końca rozumieli, czego stają się częścią. „Chwilę nam zajęło, zanim zorientowaliśmy się, że wyprzedziliśmy pozostałe zespoły o kilka długości – mówi George. – Zauważyliśmy, że na każdy nasz występ przychodzą tłumy. Ludzie ciągnęli za nami, gdzie tylko się pojawialiśmy. Przychodzili nie tylko po to, żeby potańczyć, ale żeby zobaczyć nas na własne oczy”.

Nadal miały miejsce przytyki pod adresem Stu i Pete’a Besta, ale oprócz tego nie było między nimi poważnych kłótni, które zdarzały się w Hamburgu. Sprzeczali się co najwyżej o najlepsze miejsce w furgonetce po

koncercie i o jedzenie. Często konflikt wybuchał na tle decyzji, kto ma być kierowcą, ponieważ to kierowca miał najlepsze miejsce, nie musiał się cisnąć razem ze sprzętem. „Tego typu przepychanki zdarzały się najczęściej między mną a George'em – opowiada Paul – bo byliśmy w podobnym wieku. John, jako ten starszy, naturalnie był przywódcą. George i ja wyjątkowo zażarcie walczyliśmy o przywilej kierowania samochodem. Później, jak już mieliśmy własną furgonetkę, zawsze pospiesznie zabierałem kluczyki i wskakiwałem za kierownicę. George wsiadał i komentował: »Myślałem, że dziś ja prowadzę, bo ty byłeś kierowcą wczoraj«. »Wygląda na to, że jednak nie prowadzisz«, odpowiadałem".

Naturalną koleją rzeczy sukcesy w przeróżnych salach w hrabstwie Merseyside doprowadziły do tego, że Beatlesom zaoferowano własny klub, w którym mieli być zespołem-rezydentem, by ich fani zawsze wiedzieli, gdzie ich szukać. Klubem tym, dzięki staraniom Boba Woolera, został The Cavern. Beatlesi przerośli możliwości klubokawiarni Casbah, położonej z dala od centrum miasta i oferującej zbyt małą przestrzeń.

The Cavern miał za to od dawna ugruntowaną pozycję głównego lokalu w centrum miasta, gdzie gra się muzykę na żywo, choć wcześniej był to wyłącznie jazz. Nawet w czasie, gdy Bob Wooler opublikował powyżej cytowany artykuł, który napisał latem 1961 roku, w tym samym wydaniu gazety na innej stronie The Cavern reklamował się jako klub jazzowy, mimo że już wtedy został zdominowany przez zespoły rockandrollowe, zwłaszcza The Beatles. The Cavern mieści się pod numerem ósmym przy Mathew Street. Jest to wąska uliczka w centrum Liverpoolu, a tuż za rogiem, przy Whitechapel, znajduje się NEMS – najlepszy sklep z płytami w mieście. Kilka ulic dalej, niedaleko Pier Head, mieści się redakcja „Liverpool Echo". Większość budynków przy Mathew Street to składy owocowe. Ulica jest stale zaśmiecona i pachnie walającymi się wszędzie owocami i poupychanymi w magazynach warzywami. Przez cały dzień i wczesnym rankiem podjeżdżają ciężarówki i trwa wypakowywanie skrzyń.

Wystarczy pokonać siedemnaście stopni i jesteś w The Cavern. Klub znajduje się w piwnicy, w której niegdyś przechowywano wino. Lokal nie zatracił swojego piwnicznego charakteru – jest ciemno i ciasnawo, a sklepienie podpierają liczne wysokie filary. Nie ma tam żadnej wentylacji, nawet dziś, gdy klub podrasowano i jest modną restauracją i nocnym klubem w jednym.

W 1959 roku klub przejął były księgowy Ray McFall i zapraszał głównie muzyków jazzowych. Grali tam na przykład Johnny Dankworth, Humphrey Lyttelton, Acker Bilk czy Chris Barber. Niemniej coraz więcej wieczorów zaczęto przekazywać w ręce rozwijających się zespołów rockandrollowych. Od stycznia 1961 roku, czyli od powrotu Beatlesów z Hamburga, zespół regularnie gościł na scenie The Cavern, początkowo na zmianę z The Swinging Blue Jeans, którzy byli tu na wpół jazzowym zespołem-rezydentem. „Od stycznia 1961 roku do lutego 1962 zapowiadałem Beatlesów w The Cavern dwieście dziewięćdziesiąt dwa razy – mówi Bob Wooler. – Za pierwszy występ w południe dostali pięć funtów. Za ostatni trzysta”. To świadczy dobitnie, jak wielkie wrażenie zrobili na nim Beatlesi, skoro chciało mu się zliczyć wszystkie te występy, ale również jest to dowód na to, jak ciężko pracowali.

„The Cavern to było chyba nasze ulubione miejsce – opowiada George. – Było cudownie. Przez cały czas mieliśmy doskonały kontakt z publicznością. Nie musieliśmy robić prób, w przeciwieństwie do innych zespołów, które naśladowały Shadowsów. My graliśmy dla naszych fanów, którzy byli tacy sami jak my. Przychodzili w porze lunchu posłuchać, jak gramy, i zjeść kanapkę. My robiliśmy dokładnie to samo. Graliśmy i jedliśmy jednocześnie. Pełen spontan. Wszystko jakoś tak po prostu wychodziło”.

„Tak naprawdę to była nora – mówi pani Harrison. – Zero świeżego powietrza. Pot kapał im z nosów albo spływał po ścianach na wzmacniacze, przepalając bezpieczniki. Ale oni nigdy nie przerywali, czasem śpiewali bez

instrumentów. John często wykrzykiwał coś do publiczności. Zresztą wszyscy krzyczeli. Mówili ludziom, żeby się zamknęli. George za to nigdy się nie odzywał ani nie uśmiechał. Dziewczyny nieustannie podpytywały mnie, czemu jest taki poważny. On zawsze mawiał: »Jestem głównym gitarzystą. Jeśli inni się pomylą przez te swoje wygłupy, nikt nie zauważy, ale ja nie mogę dać ciała«. Bardzo poważnie podchodził do muzyki i pieniędzy. Zawsze chciał wiedzieć, ile zarobili".

Pani Harrison od zawsze była ich najwierniejszą fanką. I nie tylko ona, bo pociągnęła za sobą wielu krewnych i przyjaciół. Była w The Cavern tuż przed wyjazdem chłopców do Hamburga, tego wieczoru, gdy wpadła tam Mimi z zamiarem zaciągnięcia Johna do domu. „Widziałam, jak wychodziła z lokalu – wspomina pani Harrison – i krzyknęłam za nią: »Czyż nie są wspaniali?!«. Odwróciła się do mnie i powiedziała, że cieszy się, że ktoś tak myśli. Spotkałam się z nią później jeszcze kilka razy. Zwykła mawiać, że wszystkim nam żyłoby się o wiele spokojniej, gdybym tak nie zachęcała chłopaków".

Wszyscy, którzy uczestniczyli w koncertach Beatlesów w czasach, gdy grali w The Cavern, doskonale pamiętają ich spontaniczne występy. Shadowsi nie tylko upowszechnili określony styl grania, lecz także wpłynęli na to, jak inne zespoły wchodziły i schodziły ze sceny i jak zapowiadały utwory. Beatlesi wszystko robili po swojemu. Jak coś szło nie tak, pozostałe zespoły uciekały za kulisy, bawiąc się w wielki show-biznes, póki ktoś nie naprawił awarii. A co robili The Beatles? Namawiali całą publiczność do wspólnego odśpiewania *Kiedy jadę poprzez prerię* czy innej, równie kiczowatej piosenki.

Pani Harrison bardzo się ten styl podobał. Mimi – nie za bardzo. Jim McCartney z kolei uczył się z tym wszystkim żyć. Większość przerw na lunch spędzał w okolicy The Cavern, w pubach i kafejkach, gdzie przesiadywali pracownicy giełdy bawełnianej, zagadując potencjalnych kupców. Co wcale nie oznacza, że miał bardzo poważną pracę. Nadal był

zwykłym sprzedawcą bawełny, zarabiał dziesięć funtów tygodniowo i z trudem wiązał koniec z końcem. Michael również pracował, ale nie szło mu najlepiej. Nie udało mu się zdać egzaminów do Art College i po porzuceniu kilku mało obiecujących posad zaczął uczyć się na fryzjera. „Często wpadałem do The Cavern w porze lunchu – mówi Jim. – Za samo wejście tam człowiek powinien dostawać dopłatę za przebywanie w niebezpiecznych warunkach. W lokalu cuchnęło potem. Gdy Paul wracał z The Cavern do domu, wykręcałem jego koszulę nad zlewem, a pot ściekał ciurkiem. Dzieciaki wcale nie były w lepszym stanie, ciągle walczyły o miejsca bliżej sceny, mdlały z podniecenia i przez całą tę atmosferę. Nierzadko przyglądałem się Paulowi i pozostałym na scenie. Wyglądali jak ochłap, który kot przywlókł do domu. Czasem próbowałem przecisnąć się przez tłum dzieciarni, ale nigdy mi się nie udało. Więc zamiast tego szedłem do ich malusieńkiej garderoby i czekałem, aż zejdą ze sceny”. Nie czekał oczywiście na autograf, tylko chciał się zobaczyć z Paulem. Jako jedyny rodzic Paula i Michaela, ich kucharz, sprzątacz i przynieś-wynieś-pozamiataj, spędzał przerwę na lunch, robiąc zakupy na obiad. „Chodziłem do The Cavern, żeby zanieść Paulowi kiełbaski, kotlety czy cokolwiek. Zawsze się spieszyłem, więc miałem czas tylko na to, żeby przebić się przez fanów i dać Paulowi mięso. »Synu, tylko nie zapomnij włączyć piecyka na dwieście trzydzieści stopni, jak wrócisz do domu«, przypominałem”.

Rozdział 14
Dreptanie w miejscu – Liverpool i Hamburg

W okresie grania w The Cavern Beatlesi mieli już ugruntowaną pozycję miejscowych gwiazd. Po blisko pięciu latach wygłupów udało im się wreszcie zbudować zgrany zespół i zdobyć wiernych fanów w Liverpoolu. Niemniej przez cały następny rok (1961) nie wydarzyło się nic przełomowego. Wszystko nabierało tylko na intensywności – oni grali coraz lepiej, ich popularność rosła, a fani stawali się coraz bardziej fanatyczni. Zespół znowu pojechał do Hamburga – tych wizyt było później jeszcze kilka. Występami w tym mieście ponownie odnieśli wielki sukces. Tym razem jednak byli już jedną z miejscowych gwiazd. Co z tego jednak, skoro wszystko wskazywało na to, że już na zawsze pozostaną gwiazdą hambursko-liverpoolską? Nigdzie indziej nie było widać specjalnego zainteresowania.

Ich druga podróż do Hamburga rozpoczęła się w kwietniu 1961 roku, więc George zdążył osiągnąć pełnoletność. Peter Eckhorn, menedżer klubu Top Ten, wraz z Astrid wystarali się o pozwolenia na pracę dla wszystkich członków zespołu. Do dziś Peter posiada kontrakt, który wówczas podpisali. Zespół miał występować co wieczór od dziewiętnastej do drugiej nad ranem, oprócz sobót, gdy mieli kończyć o trzeciej. „Po każdej godzinie gry zespołowi przysługuje przerwa nie dłuższa niż kwadrans”. Do tego czasu Top Ten rozrósł się i w porównaniu z dwoma pozostałymi lokalami, w których grywali, był też zdecydowanie bardziej kulturalnym miejscem. Miał lepsze zaplecze, lepszy wystrój i lepszą klientelę. Tym razem wśród publiczności było jeszcze więcej *egzi*. Wielu z nich zawodowo zajmowało

się fotografią. Kładli się przed sceną, próbując znaleźć jak najciekawsze ujęcie i krzycząc „więcej pota, więcej pota”.

Ze stacji kolejowej odebrała ich Astrid, odziana w skórę od stóp do głów – tym razem ich wizyta zorganizowana była z dużo większym rozmachem. Poprzednio nosiła skórzaną kurtkę, co cała piątka zaczęła skrzętnie naśladować, choć w ich przypadku zestawu dopełniały dżinsy i kowbojki. Stu był pod ogromnym wrażeniem nowej kreacji i od razu poprosił Astrid, by i dla niego zamówiła skórzany komplet. Pozostali nie chcieli pozostać w tyle, więc poprosili o to samo, ale ostatecznie wykonane tanio i szybko ubrania rozeszły się w szwach, gdy tylko je założyli. Podczas tej wizyty Astrid odważyła się powiedzieć Stu, że nie podoba jej się jego fryzura na brylantynie. Uznała, że znacznie bardziej pasowałby mu styl Klausa i Jürgena. Po długotrwałych namowach Stu zgodził się oddać w jej ręce. Astrid sczesała włosy w dół, podcięła końcówki i nadała im bardziej uporządkowaną formę. Tego wieczoru, gdy Stu pojawił się w nowej fryzurze w Top Ten, reszta zespołu dostała ataku śmiechu. W połowie występu nie zniósł presji i zaczesał włosy do góry, ale dzięki Astrid już na drugi dzień ponownie spróbował nowego stylu. I tym razem chłopcy go wyśmiali, ale nazajutrz George pojawił się w klubie z taką samą fryzurą. Kolejny był Paul, choć jeszcze długo zdarzało mu się zaczesywać włosy do góry. John nie chciał dać się namówić, a Pete Best ignorował całe to zamieszanie. Ale fakt był taki, że oto narodziła się fryzura *á la* The Beatles.

Nie był to bynajmniej jedyny przejaw wpływu Astrid na chłopców. Kolejny stanowiły marynarki bez kołnierzyków. Ta, którą zrobiła dla siebie, tak bardzo spodobała się Stu, że i jemu sprawiła taką samą, mimo żartów ze strony reszty zespołu: „Stu, a co zrobisz w garniturze od mamusi?”. Podczas tego drugiego pobytu w Hamburgu każdy z nich poszedł ciut dalej w swoim szaleństwie, sięgając na przykład po przyspieszacze (za wyjątkiem Pete’a Besta), by przetrwać całonocne granie. „Ale cały czas panowaliśmy nad sytuacją – opowiada Astrid. – Podobnie było w

przypadku alkoholu. Chłopcy bardzo rzadko pili, tylko od czasu do czasu”. John ciągle podkradał to i owo z półek sklepowych, gdy naszła go nieodparta ochota. Astrid, podobnie jak szkolny kolega Johna Pete Shotton, twierdzi, że to było super. „John taki już był – dodaje. – Każdy z nas czasem ma ochotę na coś, ale tego nie robimy. John czasami po prostu zacierał ręce i rzucał: »Mam pomysł, chodźmy coś buchnąć ze sklepu«. To wszystko była zabawa. Nie szokowało nas to. Ot, wpadał mu pomysł do głowy i działał. Potem znowu było kilka tygodni spokoju. John zachowuje się inaczej niż Paul, który planuje rzeczy przez dłuższy czas”.

John nieustannie malował swoje antyreligijne obrazki – na przykład Chrystusa w kapciach – i dysponował całym arsenałem innych szczeniackich wygłupów. Raz założył na szyję obrożę wykonaną z papieru, sprawił sobie, również wycięty z papieru, krzyż i z okna klubu wygłaszał kazania do zgromadzonego poniżej tłumu, naśladując przy tym hinduski akcent niczym Peter Sellers[73].

Podczas tego pobytu w Hamburgu zespół wziął udział w pierwszym nagraniu, nie licząc demówki, którą Allan Williams kazał im przygotować przy pierwszej wizycie. Tamta taśma nie dotarła do szerszych kręgów – zrobiono zaledwie pięć egzemplarzy nagrania. Tym razem Beatlesów poproszono o akompaniament dla Tony’ego Sheridana, który śpiewał w klubie Top Ten. „Gdy pojawiła się propozycja – opowiada John – pomyśleliśmy, że to łatwizna. Niemcy robili beznadziejne płyty, więc nasza z pewnością będzie lepsza. Nagraliśmy pięć własnych utworów, ale się nie spodobały. [W wytwórni] woleli rzeczy typu *My Bonnie Lies Over The Ocean*[74]”. Nagranie nadzorował Bert Kaempfert, niemiecki kierownik orkiestry i gość od wyszukiwania i rozwoju talentów. Na płycie chłopcy zostali przedstawieni jako The Beat Brothers, ponieważ wytwórnia uznała nazwę The Beatles za zbyt dwuznaczną.

W nagraniach wzięli udział w składzie czteroosobowym i to nie Pete’a Besta brakowało – nadal był z nimi i twierdzi, że współpraca układała im się całkiem dobrze. Pokłócił się wprawdzie z Tonym Sheridanem, ale to tyle. Opuścił ich za to Stu Sutcliffe. „Potrafiliśmy być wobec niego okrutni – mówi John. – Paul czepiał się go najbardziej. Tłumaczyłem mu zawsze, że to nie tak, że my go nie lubimy”. Mieli poczucie winy za to, jak traktowali Stu, ale to nie dlatego odszedł z zespołu. Stu postanowił zostać w Hamburgu, ożenić się z Astrid i wrócić na studia. Dzięki znanemu profesorowi Eduardo Paolozziemu, rzeźbiarzowi o szkockich korzeniach, został studentem hamburskiej akademii sztuk pięknych. Profesorowi udało się załatwić dla Stu stypendium od władz Hamburga. Nie zmienia to faktu, że Stu nadal lubił muzykę Beatlesów, ale uznał, że idzie mu lepiej jako artyście niż jako basiście. Paul radził sobie z gitarą basową dużo lepiej i bez problemu mógł przejąć od Stu ten właśnie instrument – co też w końcu zrobił. Po odejściu z zespołu stosunki między Stu a resztą uległy znacznej poprawie i były lepsze niż kiedykolwiek przedtem. Każdy z nich zrozumiał, jak bezsensowne były ich sprzeczki.

W lipcu 1961 roku czwórka Beatlesów wróciła do Liverpoolu, zostawiając Stu w Hamburgu. Jemu z kolei świetnie szło na studiach. „Miał bardzo dużo energii i był szalenie pomysłowy – opowiada profesor Paolozzi. – Talent dosłownie wylewał mu się uszami. Miał odpowiednią mieszankę wrażliwości i arogancji, by odnieść sukces”.

Po powrocie do Liverpoolu zespół dał specjalny koncert z drugą grupą, którą świetnie znali z czasów hamburskich – Gerry and the Pacemakers. Powymieniali się instrumentami i dołożyli do tego zestawu przeróżne rzeczy, typu grzebień. Na plakatach koncert był reklamowany jako występ The Beatmakers – ten żart słowny bardzo spodobał się publiczności. Zespół nadal zarabiał w porywach jedynie dziesięć funtów za występ, ale teraz już nie było odwrotu – w Liverpoolu zapanował rock and roll. Jedną z najbardziej widocznych tego oznak były narodziny gazety poświęconej w

całości poczynaniom grup rockandrollowych. Czasopismo nosiło nazwę „Mersey Beat” i to właśnie tu Bob Wooler opublikował wspomniany wcześniej artykuł o Beatlesach. Pierwszy numer ukazał się 6 lipca 1961 roku. Zawierał plotki na temat czołowych muzyków na scenie rockandrollowej: Gerry and the Pacemakers czy Rory Storm and the Hurricanes, gdzie na perkusji grał Ringo Starr. To były dwa najbardziej popularne zespoły. Sądząc po zawartości pierwszego numeru „Mersey Beat”, wychodzi na to, że Beatlesi plasowali się w tamtym okresie na miejscu trzecim. Ale to właśnie oni jako jedyni wnieśli do tego wydania element humorystyczny, gdy poproszono Johna, by napisał coś o historii zespołu.

„Mersey Beat”, 6 lipca 1961 roku

GWOLI KRÓTKIEGO PRZERYWNIKA W TEMACIE NIEPEWNEJ HISTORII BEATLESÓW

Tłumaczenie z Johna Lennona

Dawno, dawno temu byli sobie trzej mali chłopcy, a na imię mieli John, George i Paul, tak ich ochrzczono. Postanowili trzymać się razem, bo razem trzymać się lubili – taki typ. Gdy tak trzymali się razem, jęli się zastanawiać, po co to w sumie, po co? Ni stąd, ni zowąd wyrosły im wszystkim gitary i powstał hałas. Co jednak ciekawe, nikt nie był tym zaciekawiony, a już najmniej owi trzej mali mężczyźni. Tak więc, no więc, że więc, gdy odkryli czwartego małego, jeszcze nawet mniejszego mężczyznę o imieniu Stuart Sutcliffe, krążącego wokół nich, rzekli, cytuję: „Synku, łap za bas, a będziesz w sam raz”, a on się złapał, ale nie był w sam raz, bo grać na nim nie umiał. Więc wsiedli na niego i siedzieli wygodnie, póki się nie nauczył. Nadal jednak nie mieli beatu i pewien starszy, uprzejmy pan zauważył, cytuję: „Zaprawdę powiadam wam, bębnów nie macie!”. „Nie mamy bębnów!”, chrząkli. Tak więc bębny przybywały i odbywały, i przybywały.

Aż nagle w Szkocji, w trasie z Johnnym Gentle’em zespół (pod nazwą The Beatles) odkrył, że ma nieszczególnie dobre brzmienie, bo brak mu wzmacniaczy. Zdobyli. Ludzie pytają, co to są The Beatles? Dlaczego The Beatles? Hmm, The Beatles, skąd taka nazwa? Więc opowiemy wam. Przyszła do nas w postaci wizji – i oto pojawił im się mężczyzna na płonącym placku, i rzekł do nich: „Od dziś jesteście Beatlesi pisani przez »A«”. Dziękujemy ci, panie Mężczyzno, powiedzieli, dziękując mu. Po czym mężczyzna z uciętą brodą powiedział: „Czy pojedziecie do Niemiec (do Hamburga) grać ostry rock dla pospólstwa za pieniądze?”. A my odparliśmy, że za pieniądze będziemy grać ostre wszystko.

Nim jednak mogliśmy wyjechać, musieliśmy zaczekać, aż wyrośnie nam bębniarz, więc zasadziliśmy jednego w West Derby w klubie o nazwie Jakiś Casbah, a na kłopot miał Pete Best. Zawołaliśmy: „Hej, Pete, jedź z nami do Niemiec!”. „Tak!”. Bziuuum. Kilka miesięcy później Peter i Paul (zwany McArtrey, syn Jima McArtreya, ojca swego) podpalili Kino i niemiecka policja powiedziała: „Niegrzeczni Beatlesi, wracajcie do domu i podpalajcie sobie swoje angielskie kina”. Bziuuum, połowa składu. Ale jeszcze wcześniej Gestapo pojmało przyjaciela mego, małego George’a Harrisona (ze Speke), ponieważ lat miał dopiero dwanaście i za młody był, by głosować w Niemczech, ale po dwóch miesiącach w Anglii stuknęła mu osiemnastka i Gestapiści powiedzieli: „Możesz wracać”. No więc nagle w wiosce Liverpool było pełno zespołów, grających w szarych garniturkach, i Jim zauważył: „Czemuż wy szarych garniturków nie macie?”. „Nie podobają nam się one, Jimie”, powiedzieliśmy my, mówiąc do Jima. Po graniu przez czas jakiś w klubach, wszyscy mówili: „Jedźcie do Niemiec!”. No to jesteśmy. Bziuuum. Pojechał Stuart. Bzium bzium John (z Woolton) George (ze Speke) Peter i Paul bzium bzium. Pojechali wszyscy.

Dziękujemy wam klubowicze, John i George (co są przyjaciółmi).

Żarty i celowe błędy językowe w artykule Johna przedrukowywano wielokrotnie przez kilka kolejnych lat. Cała pierwsza strona drugiego numeru „Mersey Beat” poświęcona była ich hamburskiemu kontraktowi płytowemu. Wykorzystano jedno ze zdjęć autorstwa Astrid, na którym cała piątka pozuje na bocznicy kolejowej w Hamburgu. Podpis pod zdjęciem nadal przedstawia Paula nazwiskiem McArthy. W tym samym wydaniu pojawił się krótki artykuł o modzie, którego autorka, podpisująca się jako Priscilla, twierdziła, że „szarość rządzi dziś w kreacjach na popołudnie”. Autorką artykułu była Cilla Black – wówczas maszynistka i szatniarka na pół etatu, która czasami śpiewała w The Cavern.

Beatlesi stali się tymczasem w The Cavern najczęściej występującą grupą, jednak nadal korzystali z Casbahu jako swojej kwatery głównej. Pani Best próbowała wprawdzie swoich sił jako organizatorka zajęć tanecznych, ale to Casbah nadal był jej oczkiem w głowie. „Przez większość byli zwani Pete Best and The Beatles”, twierdzi. Pete faktycznie wziął na siebie obowiązek załatwiania występów – z pomocą mamy.

Casbah stał się tym bardziej ich centrum dowodzenia, gdy Neil Aspinall, mieszkający tam przyjaciel Pete’a, kupił sobie starą furgonetkę za

osiemdziesiąt funtów i zaczął wozić Beatlesów po Merseyside. Za jeden kurs dostawał od każdego pięć szylingów. „Wieczory dłużyły się jak diabli. Zawoziłem ich gdzieś, wracałem do domu, żeby się trochę pouczyć, po czym jechałem po nich. Zacząłem się zastanawiać, co ja w ogóle robię. Jako księgowy nadal zarabiałem zaledwie dwa funty i dziesięć szylingów na tydzień, za to za trzy kursy w godzinach lunchu do The Cavern i z powrotem potrafiłem wyciągnąć trzy funty. Tak więc w lipcu na dobre rzuciłem pracę". Neil został kierownikiem tras Beatlesów, którym jest do dziś, choć nie znosi tego tytułu. To on zabierał Pete'a i cały sprzęt z Casbahu i zawoził zespół na miejsce kolejnego koncertu. „Wszystkim występom towarzyszyły zamieszki – opowiada Neil. – Dzieciaki dostawały szału, po czym teddy boysi próbowali demolować sale. Pewnego razu podczas bójki w kiblu ktoś złamał Johnowi palec". Ale poza tym, że mieli rzesze fanów i że zdarzały się tygodnie, gdy zarabiali piętnaście funtów, z których teraz odpalali część Neilowi, właściwie nic się nie działo. Wyglądało na to, że monopol na produkcję gwiazd ma Londyn i tylko tam można się wybić.

„Mersey Beat" gościł ich na swych łamach po królewsku i rozchodził się jak ciepłe bułeczki, a Pete Best dawał z siebie wszystko, by organizować występy. Ponieważ jednak mnóstwo czasu spędzali w drodze, omijało ich wiele możliwości koncertowych. Nie żeby się tym przejmowali – szydzili z większości zainteresowanych nimi organizatorów. Zerwali współpracę z Allanem Williamsem, który załatwił im pierwszy wyjazd do Hamburga. Allan twierdzi, że podczas ich drugiego pobytu w mieście przestał otrzymywać należną mu prowizję. Zespół uważa zaś, że występy w Top Ten załatwili sobie tym razem sami i nie widzą powodu, żeby mieli mu oddawać jakikolwiek procent. Powstał spór, choć po jakimś czasie i tak znowu zostali przyjaciółmi. „Zawiedli mnie, po tym wszystkim, co dla nich zrobiłem. Zdaję sobie sprawę, co straciłem. Może trzeba się było ich trzymać, ale ja w sumie nie byłem biznesmenem. Ja to wszystko robiłem,

bo to lubiłem”. Żaden inny menedżer czy agent nie wykazywał zainteresowania Beatlesami. Tak czy inaczej, nie zarabiali wystarczająco dużo, żeby przyciągnąć uwagę normalnego menedżera, a poza tym nie należeli do tych miłych, schludnych i grzecznych chłopców, jakich lubią menedżerowie.

Większość czasu między występami w środku dnia i wieczornymi koncertami spędzali, włócząc się po Liverpoolu, przesiadując w kawiarniach lub sklepach muzycznych i słuchając za darmo płyt. Stale byli spłukani. Danny English – menedżer Old Dive, klubu w pobliżu The Cavern (obecnie budynek ten jest rozebrany) – pamięta, jak godzinami potrafili siedzieć nad jednym kuflem piwa. Pewnego dnia zasugerował im, żeby może w dowód wdzięczności postawili piwo barmance. „Po długiej naradzie spytali, co lubi pić. Powiedziałem im, że pija stouty. Spytali o cenę. Po kolejnej przydługiej dyskusji wyciągnęli każdy po cztery i pół pensa i kupili jej guinnessa”.

Danny English próbował też namówić jednego ze swoich klientów, by pomógł chłopakom. Był nim George Harrison, zupełnie niespokrewniony z tym George’em Harrisonem. Ten pierwszy od niepamiętnych czasów pisał felietony do „Liverpool Echo”, ale nie wykazał chęci pomocy. Bardzo wiele zespołów próbowało zwrócić na siebie jego uwagę, a Beatlesi prezentowali się z nich wszystkich najbardziej niechlujnie. Stagnacja dołowała ich coraz bardziej. Poza paniami Harrison i Best wszyscy rodzice stale gnębili ich, by rzucili całe to granie i poszukali sobie porządnej pracy. „Wiedziałam, że John zawsze będzie należał do cyganerii – mówi Mimi – ale chciałam, żeby przynajmniej miał jakąś pracę. Miał już prawie dwadzieścia jeden lat, zaprzepaścił szansę na dokończenie edukacji w Art College i bujał się po tych głupich koncertach za trzy funty za noc. Gdzie tu sens?”.

We wrześniu 1961 roku, tuż przed swoimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami, John dostał trochę kasy w ramach prezentu od ciotki z Edynburga. Spontanicznie postanowił wydać ją na wypad do Paryża z

Paulem. George i Pete Best byli naturalnie niepocieszeni, że tak ich olano. „Czuliśmy się zmordowani – mówi John. – Mieliśmy niby zarezerwowane koncerty, ale pozrywaliśmy umowy i po prostu pojechaliśmy". W Paryżu chłopcy spotkali się z Jürgenem Vollmerem – jednym z ich hamburskich przyjaciół. To właśnie podczas tego pobytu w Paryżu, którego większość spędzili w miejscowych barach, póki nie skończyła im się kasa, John w końcu sczesał włosy w dół. „Jürgen nosił też dzwony – opowiada John – ale uznaliśmy, że to się nie przyjmie w Liverpoolu jako zbyt zniewieściały styl. Nie chcieliśmy wyglądać jak babki czy coś, bo wśród naszych fanów w Liverpoolu nadal było wielu gości. W końcu graliśmy rock and rolla odziani w skórę. Z drugiej strony ballady Paula zaczęły przyciągać coraz więcej dziewczyn".

To od Stu John dowiedział się, że Jürgen jest w Paryżu. Mimo że Stu odszedł z zespołu, by studiować sztukę w Hamburgu, on i John nadal pozostawali w ścisłym kontakcie, pisząc do siebie długie listy. Początkowo były one pełne żartów i głupawych historyjek, w stylu tych, które John wymyślał jako dziecko, gdy tworzył swoje własne książeczki: „Wujek Norman właśnie podjechał na swoim wąsie", „P.S. Mary Królowa Szkotów była czarnuchem".

John dzielił się ze Stu każdą, nawet najmniejszą informacją na temat zespołu. Pisał na przykład, że wreszcie powstał fanklub w Liverpoolu (Rory Storm miał własny już od jakiegoś czasu). Wkrótce jednak listy te zaczęły przepełniać litanie żalów i poczucie rozczarowania. „To wszystko gówno warte. Coś musi się wydarzyć, ale kiedy?". John coraz częściej dołączał do listów swe poważne wiersze – te, których nie miał odwagi pokazać Mimi. Większość z nich kończyła się sprośnie lub świadczyła o dużym poczuciu skrępowania. Zapełniał nimi całe strony, gdy nie wiedział, co innego napisać.

Pamiętam taki czas, gdy
Nienawidzili mnie wszyscy, których kochałem

Bo ja ich nienawidziłem.
I co, i co
I co, kurwa, z tego.
Pamiętam taki czas, gdy
Pępki były na wysokości kolan
Gdy tylko sranie było brudne
A wszystko inne
Czyste i piękne.
Nie pamiętam nic
Wolnego od smutku
Tak głębokiego, że prawie nie mogę
Go zgłębić.
Tak głębokiego, że jego łzy
Czynią ze mnie obserwatora
Własnej głupoty.
I tak oto brnę dalej
Nucąc: dana, dana, dana.

Tymczasem w Hamburgu Stu pisał dziesiątki listów pełnych własnych rozterek i własnego bólu, tylko że jego ból był coraz większy, znacznie silniejszy niż ból Johna. Stu pisał listy, jakby był Jezusem. Myśląc, że to żart, początkowo John odpisywał jako Jan Chrzciciel. Pewnego dnia, pod koniec 1961 roku, Stu stracił przytomność i przetransportowano go z uczelni do domu. „Coraz częściej narzekał na ból głowy – wspomina Astrid – ale uznaliśmy, że to z przemęczenia. Ciężko pracował na studiach". Na drugi dzień Stu wrócił na zajęcia, ale sytuacja powtórzyła się w lutym 1962 roku. Gdy przyniesiono go do mieszkania, Astrid położyła go w jego pokoju. Tym razem już tam został. Pisał długie, trzydziestostronicowe listy do Johna. Rysował i malował bez wytchnienia lub po prostu chodził po pokoju. Cierpiał na koszmarne bóle głowy i napady wściekłości, co zdecydowanie nie ułatwiało Astrid i jej matce opieki nad nim. Dostawał jakieś leki, ale nic nie działało. „Pewnego dnia wrócił od specjalisty i powiedział, że nie chce czarnej trumny jak wszyscy. Mówił, że właśnie widział na wystawie białą i taką właśnie chce mieć".

Stu zmarł w kwietniu 1962 roku na skutek wylewu krwi do mózgu. „Przeżył tak wiele w ciągu tego krótkiego czasu, który był mu dany – mówi Klaus. – W każdej sekundzie swego życia coś robił. Rozumiał dziesięć razy więcej niż przeciętna osoba. Miał niesamowitą wyobraźnię. Jego śmierć to tragedia. Tyle jeszcze mógł dokonać”. Stu był bez wątpienia wyjątkowo utalentowany. Profesor Paolozzi wróżył mu niechybny sukces. Już jako młody chłopak wygrał w Liverpoolu dwie nagrody. Gdy zmarł, jego obrazy były prezentowane w wielu liverpoolskich i londyńskich galeriach. Stu wywarł na Johna i pozostałych Beatlesów ogromny wpływ, stając się ich przewodnikiem w kwestii fryzur, mody, a nawet poglądów. „Podziwiałem go – mówi John. – Wiedziałem, że zawsze mogę liczyć na jego szczerość, tak jak teraz liczę na szczerość Paula. Stu zawsze mi mówił, czy coś jest dobre, i ja mu wierzyłem”. Nawet dziś chłopcy bardzo za nim tęsknią. Aż trudno uwierzyć, że w 1962 roku zmarł ten, którego nazywano najmądrzejszym Beatlesem.

Śmierć Stu stanowiła w pewnym sensie kulminację tego roku, wypełnionego dreptaniem w miejscu i poczuciem beznadziei. Ale tymczasem w Liverpoolu, tuż przed pierwszym atakiem Stu, stało się wreszcie to coś, o czym John pisał, że musi się wydarzyć. Konkretnie rzecz biorąc, stało się to o trzeciej po południu 28 października 1961 roku. Pewien młodzieniec w czarnej skórze nazwiskiem Raymond Jones wszedł do sklepu płytowego NEMS w dzielnicy Whitechapel i poprosił o nagranie *My Bonnie* zespołu The Beatles. Stojący za ladą Brian Epstein powiedział, że niezmiernie mu przykro, ale nie ma. Brian nigdy wcześniej nie słyszał ani o takim nagraniu, ani o zespole The Beatles.

Rozdział 15
Brian Epstein

Założycielem fortuny rodziny Epsteinów był dziadek Briana, Isaac – polski żyd, który przybył do Liverpoolu na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Otworzył sklep meblowy przy Walton Road, który nazwał I. Epstein i Synowie. Sklep ten odziedziczył po nim starszy syn, Harry – ojciec Briana.

Większość mieszkańców Liverpoolu uważa, że NEMS, czyli North End Music Stores, należał do rodziny Epsteinów od zawsze. Nazwę tę faktycznie spopularyzował Brian poprzez swój sklep płytowy, ale tak naprawdę historia NEMS rozpoczęła się na długo przed Epsteinami. Jim McCartney pamięta nawet, że w jego rodzinie było pianino sprzed I wojny światowej, właśnie ze sklepu NEMS. Epsteinowie przejęli bowiem ten interes dopiero w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Sklep mieścił się na końcu ulicy Walton Road, gdzie znajdował się też I. Epstein i Synowie, a rodzina zawsze szukała okazji do rozbudowy biznesu. Harry od razu zauważył, że sklep muzyczno-płytowy idealnie wpisałby się w ich interes meblarski, ale gdy ostatecznie go przejmował, najbardziej zależało mu na nieruchomości.

Harry wżenił się w inną bogatą, żydowską rodzinę meblarską – Haymanów z Sheffield. Ślub Harry’ego i Queenie odbył się w 1933 roku. Ona miała lat osiemnaście, on dwadzieścia dziewięć. Ich starszy syn, Brian, przyszedł na świat 19 września 1934 roku w prywatnej klinice przy Rodney Street – ulicy znanej z dużej liczby prywatnych gabinetów specjalistycznych. Drugi syn państwa Epsteinów, Clive, urodził się dwadzieścia trzy miesiące później. Z dwoma męskimi potomkami rodzina Epsteinów mogła być spokojna o spadkobierców fortuny na kilka

następnych dziesięcioleci. Harry i Queenie zamieszkali w przestronnym, sześciopokojowym domu w Childwall – jednej z najlepszych dzielnic mieszkalnych w Liverpoolu – i mieszkali pod tym samym sto dziewięćdziesiątym siódmym numerem przez trzydzieści lat aż do momentu, gdy Clive się ożenił. Obecnie mieszka tam dziekan Liverpoolu. Aż do wybuchu wojny Epsteinowie żyli wyjątkowo wygodnie. Mieli na stałe dwoje ludzi do pomocy – nianię i osobę zarządzającą domem.

Jedyne wspomnienia pani Epstein na temat dzieciństwa Briana koncentrują się głównie wokół jego nadzwyczajnej urody. Wspomina również: „Gdy zaczął chodzić i mówić, jego umysł stał się wyjątkowo dociekliwy. Wszystko chciał wiedzieć". Najwcześniejsze wspomnienia Briana dotyczą odwiedzin u rodziny z Sheffield i podniecenia, z jakim na ową wizytę czekał.

Pierwszą instytucją dydaktyczną, do której uczęszczał Brian, było przedszkole Beechanhurst w Liverpoolu, gdzie młotkiem wbijał drewniane klocki w płytę ze sklejki. W 1940 roku, gdy miał zaledwie sześć lat, z powodu bombardowania Liverpoolu cała rodzina została ewakuowana najpierw do Prestatyn w północnej Walii, a następnie do Southport, gdzie znajdowała się spora gmina żydowska. Briana posłano do Southport College, gdzie rozpoczęła się jego formalna edukacja – proces niezwykle długi i bolesny. „Byłem jednym z tych oryginałów, co to nigdzie nie pasują – czytamy w jego autobiografii z 1964 roku (*A Cellarful of Noise*, wydanej nakładem Souvenir Press). – Byłem męczony, dręczony i gnębiony przez innych chłopców i nauczycieli. Przypuszczam, że rodzice często załamywali nade mną ręce".

W roku 1943 rodzina powróciła do Liverpoolu, a Brian zmienił szkołę na Liverpool College – prywatną, płatną placówkę, z której wyleciał rok później, w wieku dziesięciu lat. „Oficjalny powód był taki, że opuszczałem zajęcia i pod względem wyników byłem poniżej średniej. Złapano mnie też, jak na lekcji matematyki rysowałem dziewczyny. Były też inne zbrodnie,

które podobno popełniłem. Jestem pewien, że moje zaniedbania były liczne". Pamięta, jak wrócił do domu i usiadł na kanapie, a ojciec powiedział tylko: „No i co my mamy z tobą począć?". Matka Briana uważa, że w późniejszych latach życia Brian przeceniał te swoje szkolne zaniedbania. Przyznaje, że właściwie w żadnej szkole nie szło mu zbyt dobrze i w żadnej nie był szczęśliwy, ale twierdzi, że najczęściej była to wina systemu szkolnictwa. „To były czasy powojenne. Trudno się było dostać do szkoły. Nie było takiej wolności, jaką cieszą się dzisiejsi uczniowie. Jeśli się nie spodobałeś, to po prostu cię wyrzucali". Sam Brian podejrzewał, że oprócz jego braku zdolności adaptacyjnych pewną rolę mógł w tym wszystkim odegrać antysemityzm. „Pamiętam, jak wołali za mną żyd albo żydek, ale sam nie wiem, czy było w tym coś więcej niż w nazywaniu rudowłosych dzieci ryżymi".

Po wydaleniu Briana z Liverpool College rodzice znaleźli mu kolejną szkołę prywatną, ale uczęszczał do niej zaledwie przez kilka tygodni. Zorientowali się bowiem, że jest to typowa pseudo-elitarna szkoła naciągająca rodziców i niedbająca zbytnio o jakość kształcenia, ale pobierająca wysokie czesne od zamożnych ludzi, którzy nie mogą posłać swoich pociech do innych szkół. W końcu znaleźli Brianowi dobrą, żydowską, prywatną szkołę podstawową Beaconsfield w pobliżu Tunbridge Wells[75]. Tam też Brian zaczął zajęcia z jazdy konnej i sztuki, które uwielbiał. To tam po raz pierwszy ktoś ukierunkował go w tę właśnie stronę. W wieku trzynastu lat podszedł do ogólnokrajowego egzaminu, którego wyniki decydowały o przyjęciu kandydata do jednej z elitarnych szkół średnich polecanych przez Headmasters' Conference[76]. Egzamin ten oblał z kretesem, co wcale nie powstrzymało państwa Epsteinów przed próbami posłania go do jednej z tych szkół. Odrzuciły go kolejno Rubgy, Repton oraz Clifton i ostatecznie Brian wylądował w szkole, która brała wszystkich jak leci. Mieściła się w południowo-zachodniej części Wielkiej

Brytanii i stawiała na tężyznę fizyczną oraz zajęcia na świeżym powietrzu. Brian musiał grać w rugby i był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Ale ojciec Briana nie poddał się i jesienią 1948 roku, w czternaste urodziny syna, załatwił mu miejsce w Wrekin College – znanej szkole prywatnej w Shropshire. Brian wcale nie cieszył się na kolejne przenosiny, bo właśnie zaczął się aklimatyzować. Dobrze szło mu na zajęciach plastycznych i udało mu się nawet nawiązać kilka znajomości. Takie słowa odnajdujemy w jego pamiętniku z tamtego okresu: „Co do Wrekin, którego nienawidzę: idę tam tylko ze względu na rodziców… Szkoda, bo to był dla mnie dobry rok. Narodziny nowych pomysłów, trochę więcej znajomych".

Ostatecznie zadomowił się też w szkole Wrekin, a przynajmniej znalazł sposób, by wytrwać. Rozwijał swoje zainteresowanie sztuką, a gdy był już najlepszy w klasie, postanowił, że zostanie projektantem mody. „Napisałem do ojca, że chcę zostać projektantem, ale był przeciwny. Uznał, że nie jest to zajęcie odpowiednie dla młodego człowieka". Z czasem Brian zainteresował się aktorstwem. Jeszcze w Liverpoolu mama często chodziła z nim na różne przedstawienia. „Zabierałam go przede wszystkim na rozmaite głupotki. Później, żeby wpłynąć na jego rozwój, brałam go na Petera Glenville'a[77], a nawet do filharmonii". Brian zagrał główną rolę w szkolnym przedstawieniu o Krzysztofie Kolumbie. „Wraz z mężem pojechaliśmy go zobaczyć – opowiada mama Briana. – Obejrzeliśmy całość, a na koniec podszedł do nas dyrektor szkoły i spytał, czy podobał nam się Brian. Był tak dobry, że go nie rozpoznaliśmy".

Brian zakończył swoją przygodę ze szkołą Wrekin w wieku szesnastu lat. Nie podszedł nawet do końcowych egzaminów, choć i tak nikt nie wierzył, że mógłby je zdać. Ojciec nadal sprzeciwiał się karierze projektanta, ale Brian i tak postanowił rzucić naukę i poszukać pracy. „Po siedmiu różnych szkołach, z których każda była beznadziejna, miałem dość. Ojciec nie zgodził się na jedyną rzecz, która mnie tak naprawdę

interesowała, więc wziąłem, co było. 10 września 1950 roku wychudzony, z różowymi policzkami, kręconymi włosami i marnym wykształceniem stawiłem się do pracy w rodzinnym sklepie meblarskim w Walton". Zaczął ze stawką pięciu funtów tygodniowo. W drugim dniu pracy sprzedał klientce, która przyszła po lustro, stół kuchenny za dwanaście funtów. Okazało się, że Brian jest dobrym sprzedawcą i sam również dobrze się w tym czuje. Zainteresował się też przy okazji układem i wystrojem sklepu. Ojciec był oczywiście przeszczęśliwy, że najstarszy syn w końcu wkroczył w rodzinny interes. Brian z kolei, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, był równie zadowolony. „Zawsze miał dobry gust – opowiada pani Epstein. – I potrafił docenić piękne meble". Za piękną Brian nie uznał jednak wystawy sklepowej. Zaczął więc eksperymentować. Robił rzeczy, które na owe czasy były wyjątkowo śmiałe, na przykład ustawiał krzesła oparciem do ulicy. Z perspektywy ojca były to być może zbyt śmiałe posunięcia, ale nie narzekał, ponieważ tak bardzo się cieszył, że starszy syn i spadkobierca wreszcie podąża ścieżką kariery, którą sam dla niego obrał. W ramach szkolenia postanowił wysłać Briana do innej, niezwiązanej z rodziną firmy meblarskiej na sześciomiesięczną praktykę. Brian spędził więc pół roku w sklepie The Times przy Lord Street w Liverpoolu, zarabiając nadal pięć funtów na tydzień. I tam szło mu całkiem dobrze. Gdy odchodził, dostał w podzięce zestaw złożony z pióra i ołówka firmy Parker (to właśnie to pióro pożyczył kilka lat później Paulowi McCartneyowi podczas podpisywania pierwszego kontraktu).

Po upływie sześciu miesięcy powrócił do Walton i zabrał się do kompleksowej aranżacji wnętrza sklepu. „Bardzo mi się to podobało, zwłaszcza eksperymenty. Lubiłem też sprzedawać, patrzeć, jak ludzie powoli się rozluźniają i zaczynają mi ufać. Miło było obserwować, jak znika z ich twarzy niepokój i zaczynają myśleć, że oto czeka ich coś miłego, i to za moją sprawą". Czasami musiał walczyć o własną koncepcję udekorowania wystawy okiennej. „Chcieli tam wepchnąć, ile się da. Ja

wolałem oszczędność, na przykład jedno krzesło. Miałem też bzika na punkcie nowoczesnych mebli. Dopiero zaczęły się pojawiać na rynku i chciałem, żeby cały świat się o tym dowiedział. Myślę, że jak się pokaże ludziom coś pięknego, to oni to zaakceptują”.

19 grudnia 1952 roku Brian, przygotowujący właśnie śmiałe plany rozwoju I. Epstein i Synowie, został powołany do służby wojskowej. O ile szkoły się bał, o tyle wojsko dosłownie go przerażało. „Byłem kiepskim uczniem. Byłem więc pewien, że będę najgorszym żołnierzem”. Złożył podanie o przyjęcie w szeregi RAF i został urzędnikiem w wydziale logistyki. Podstawową służbę odbył w Aldershot[78]. „To było jak więzienie i ciągle wszystko robiłem nie tak. Robiłem zwrot w prawo, zamiast w lewo, a gdy miałem stać na baczność, przewracałem się”. Jakimś cudem udało mu się zaliczyć musztrę i sądził nawet, że może zostać wybrany do parady z okazji koronacji. Był rok 1953. Brianowi koronacja kojarzyła się ze splendorem i czymś niezwykle ekscytującym, więc uważał, że fajnie byłoby w niej uczestniczyć. Nie wybrano go jednak. Zaliczył więc rundę po barach i pubach i skończył pijany. Był chyba jedynym byłym uczniem szkoły prywatnej, który nie został oficerem. Za to po służbie spędzał czas w eleganckich klubach West Endu, jak zawsze nienagannie ubrany, więc spokojnie można było go wziąć za oficera.

Po służbie w Aldershot udało mu się dostać do garnizonu przy Regent’s Park w Londynie, o którym marzył każdy młody oficer z okolic. Brian miał w stolicy wielu krewnych, więc wykorzystał ten czas na dobrą zabawę. Pewnego wieczoru wrócił do garnizonu eleganckim samochodem, odziany w prążkowany garnitur, na głowie miał melonik, a na ramię zarzucił sobie parasolkę. Gdy wchodził na teren jednostki, pełniący służbę strażnik zasalutował mu, dwóch żołnierzy siedzących w stróżówce odruchowo zrobiło „na prawo patrz”, a urzędnik rzucił tylko: „Dobranoc szanownemu panu”. Za to napotkany po drodze oficer nie dał się tak łatwo zmylić.

„Szeregowy Epstein, stawicie się w biurze jednostki o dziesiątej rano i odpowiecie za próbę podszywania się pod oficera”. Przez jakiś czas nie mógł opuszczać garnizonu. Nie było to bynajmniej jego pierwsze przewinienie. Już wcześniej zdarzały mu się drobne przejawy niesubordynacji lub przynajmniej braku umiejętności zrobienia tego, co trzeba. „Ogólnie rzecz biorąc, wojsko bardzo mnie stresowało. Naprawdę szczerze się denerwowałem. Tak bardzo dołowała mnie ta cała sytuacja, że zgłosiłem się do garnizonowego lekarza, który skierował mnie do psychiatry”.

Po konsultacjach z kilkoma specjalistami uznano, że szeregowy Epstein nie jest urodzonym żołnierzem. Wszyscy zgodzili się, że jest psychicznie i emocjonalnie niezdolny do służby wojskowej. Po dwunastu miesiącach, czyli w połowie przepisowego trwania służby, został odesłany do cywila z powodów zdrowotnych. Jak to w wojsku, na odchodnym Brian dostał jak najlepsze referencje, w których został przedstawiony jako „trzeźwo myślący, godny zaufania i niezwykle lojalny żołnierz”. Brian opisał swoje militarne perypetie w wyjątkowo zabawny sposób, sugerując nawet, że sprytnie wyreżyserował swoje zwolnienie z wojska. Niemniej raczej nie można się pomylić, twierdząc, że służba poważnie wpłynęła na jego psychikę.

Brian przebiegł dystans z jednostki do Euston i wsiadł do pierwszego pociągu do Liverpoolu. Wrócił do pracy w rodzinnym sklepie i nie oszczędzał się. Z czasem coraz większą uwagę poświęcać zaczął sprzedaży płyt. Od zawsze lubił słuchać muzyki, zwłaszcza klasycznej, ale nie gardził też popularną. Jednym z jego ulubionych wykonawców w tamtym okresie był Edmundo Ros[79]. Jeszcze więcej czasu niż muzyce zaczął poświęcać swemu nowemu hobby – aktorstwu, do którego miał skłonność od wczesnych lat szkolnych. Zaczął zdawać sobie sprawę, że bardziej niż sprzedawanie w sklepie meblowym interesuje go właśnie sztuka. Bywał na

wszystkich przedstawieniach wystawianych w Liverpool Playhouse[80] i spędzał coraz więcej czasu w towarzystwie aktorów z teatrów zarówno amatorskich, jak i z samego Playhouse. Z dwiema osobami połączyła go nawet przyjaźń: byli to Brian Bedford i Helen Lindsay.

To oni poddali mu pomysł, żeby sam został aktorem. Był przecież wystarczająco zainteresowany, wrażliwy i, w ich przekonaniu, utalentowany. Pytali, czemu nie postara się o przyjęcie do RADA[81]. Ze swojej strony oferowali wsparcie. I tak oto Brian złożył podanie na uczelnię i został przyjęty. „Zaprezentowałem przed reżyserem Johnem Fernaldem dwa fragmenty – jeden z *Zaufanego urzędnika* Eliota, a drugi z *Makbeta*. Zdałem, nie dokończywszy nawet przesłuchania, sam nie wiem czemu. Być może na moją korzyść przemawiało to, że nie borykałem się z trudnościami finansowymi". Ojciec Briana, co łatwo było przewidzieć, nie był zbyt szczęśliwy z takiego obrotu spraw. Aktorstwo ustępowało miejsca jedynie projektowaniu mody na jego liście niemęskich zawodów. Niemniej w wieku dwudziestu dwóch lat jego syn i spadkobierca rodzinnego majątku po raz kolejny zarzucił obrany przez ojca kierunek kariery. W przeciwieństwie do służby w brytyjskiej armii tym razem odstępstwo od wytyczonego kursu było jak najbardziej świadome i celowe. Co więcej, Brian deklarował, że tym razem żegna się ze sklepem na zawsze.

Na studiach aktorskich znalazł się na roku z Susannah York[82] i Joanną Dunham[83]. Albert Finney[84] i Peter O'Toole[85] właśnie skończyli szkołę. Jako student RADA Brian pracował na pół etatu w sklepie płytowym przy Charing Cross Road. „Całkiem nieźle mi szło. John Fernald bardzo we mnie wierzył. Niestety z czasem nabrałem ogromnej niechęci do aktorów i życia towarzyskiego, jakie prowadzili. Nigdy nie lubiłem szkoły, a oto siedem lat od zakończenia edukacji powtórka z rozrywki, znowu życie w społeczności. Nie lubiłem tego i już – i nie lubiłem tych ludzi. Zacząłem myśleć, że być może zrobiłem ten krok zbyt późno. W końcu byłem już w

pewnym sensie biznesmenem”. Od pierwszego dnia studiów aktorskich ojciec uparcie pytał go, kiedy wróci do sklepu. Po każdych wakacjach, przed powrotem Briana na uczelnię, Harry namawiał syna, by został. Te same namowy usłyszał Brian przy kolacji w hotelu Adelphi pod koniec lata 1957 roku, przed czwartym rokiem studiów, tyle że tym razem im uległ.

Ojciec postanowił otworzyć nową filię sklepu w Liverpoolu, tym razem w centrum, przy Great Charlotte Street. W firmie wszyscy żywili nadzieję, że zainteresuje to Briana; jego młodszy brat Clive także dołączył już do pracy na rzecz rodziny. Brian był odpowiedzialny za dział płytowy i wziął sobie jednego pracownika do pomocy. Na otwarciu nowego sklepu obecna była piosenkarka Anne Shelton. Już pierwszego ranka dział płytowy zarobił dwadzieścia funtów. Rekord tego działu w dzielnicy Walton wynosił siedemdziesiąt funtów na tydzień, jeśli tydzień był wyjątkowo dobry. „Większość sklepów płytowych, do których zaglądałem, była kiepska. Jak tylko coś się robiło popularne, zapasy w magazynie wyczerpywały się. Ja miałem ambicję, by zawsze mieć pełny magazyn, w którym znalazłyby się nawet najdziwniejsze płyty. Jak to osiągnąłem? Zamawiając trzy egzemplarze każdej płyty, o którą spytał mnie klient. Uznałem, że skoro daną płytą interesuje się jedna osoba, to znajdą się i inne, które też będą chciały ją kupić. Zamówiłem nawet trzy egzemplarze *The Birth of a Baby*[86], tylko dlatego, że ktoś wyraził chęć kupna”.

Klientów zachęcano, by składali zamówienia, jeśli przypadkiem jakiejś płyty nie było na stanie. Zawsze obiecywano im natychmiastową dostawę. Brian opracował prosty, a zarazem genialny sposób kontroli stanu magazynu, by od razu było wiadomo, jakie płyty się wyprzedały: w każdej przegródce znajdował się sznurek i gdy któryś zaczynał zwisać, wiadomo było, że dane pozycje należy dokupić. Każdego dnia sprawdzano sznurki i dokładano płyty lub składano stosowne zamówienia. Brian stworzył też własną listę dwudziestu najlepiej sprzedających się popowych płyt w

NEMS. Listę aktualizowano dwa razy dziennie. Poza tym, że przyciągała uwagę i zachęcała klientów do kupna poszczególnych płyt, była też idealnym wskaźnikiem dla Briana, które z nowości należy zamawiać w ilościach hurtowych. „Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak ciężko pracował – opowiada mama Briana. – Wyglądało na to, że odnalazł coś, co wypełniało go bez reszty, i to po raz pierwszy w życiu".

Brian zgadzał się z tą opinią. „Faktycznie pracowałem ciężko. Chyba w życiu nie pracowałem ciężej fizycznie, ani wcześniej, ani później. Zaczynałem codziennie o ósmej, a kończyłem późną nocą. Każdą niedzielę spędzałem w sklepie, składając zamówienia". Już w 1959 roku, dwa lata po otwarciu, sklep NEMS przy Great Charlotte Street posiadał bogato zaopatrzone działy z muzyką popularną i klasyczną, które zajmowały dwa piętra budynku. Liczba personelu wzrosła z dwóch do trzydziestu osób. Interesy szły na tyle dobrze, że zapadła decyzja o otwarciu kolejnej filii NEMS w Whitechapel – sercu zakupowego Liverpoolu. Otwarcie nowego sklepu uświetnił swoją obecnością Anthony Newley[87]. Brian skontaktował się z nim dzięki znajomościom w dziale sprzedaży firmy Decca[88]. Tłumy, które z tej okazji przybyły do centrum Liverpoolu, można porównać do powitania drużyny piłkarskiej po zwycięskim pucharze ligi. Nikomu wcześniej w Liverpoolu nie udało się zgromadzić takiej widowni na spotkaniu z gwiazdą pop.

Obydwa sklepy prosperowały świetnie i rozrastały się z roku na rok. Już w sierpniu 1961 roku Brian mógł się pochwalić, że działy płytowe dwóch filii NEMS – w Whitechapel oraz przy Great Charlotte Street – mają „najbogatszy asortyment w północnej Anglii". Takie właśnie stwierdzenie pojawiło się w reklamie z 31 sierpnia 1961 roku, zamieszczonej w poświęconym muzyce popularnej „Mersey Beat", który zaczął się ukazywać miesiąc wcześniej. Brian nie był osobiście wielkim fanem takiej muzyki, ale jako sprytny biznesmen zauważył, że „Mersey Beat" rozchodzi

się jak świeże bułeczki, więc stanowi znakomite medium reklamowe. W tym samym wydaniu zapoczątkował swój autorski felieton pod nazwą *Nowości Płytowe*. Podpisywał się jako „Brian Epstein z NEMS”. W owym dziale opisywał ukazujące się płyty – z muzyką lekką, jazzową i popularną. W tym konkretnym pierwszym artykule Brian wspomniał, że „popularność Shadowsów stale rośnie”. Beatlesi musieli puścić pawia. Artykuły Briana były dla jego sklepów darmową reklamą i dawały mu możliwość promowania niektórych płyt. Ale pozyskanie go jako redaktora było równie sprytnym posunięciem ze strony gazety. Cztery lata po rozstaniu się z RADA, zmęczony i rozczarowany, Brian stał się bodaj najważniejszą osobą w świecie handlu płytami w całym hrabstwie Merseyside. Jego nazwisko i ogromne doświadczenie w przemyśle płytowym dodawały pismu prestiżu. Nie minęło wiele czasu, a Brian poczuł, że osiągnął już wszystko w temacie sprzedaży płyt. W tej branży Merseyside nie dawało mu zbyt wiele pola do popisu i już jesienią 1961 roku znów zawładnęło nim poczucie znużenia i braku satysfakcji. Mama Briana pamięta, że wyczuła to od razu. „Zaczął się uczyć obcych języków. Był zafascynowany Hiszpanią i językiem hiszpańskim. I znowu zaczął grać w amatorskich teatrach”. Ojciec naturalnie martwił się, że znowu będzie chciał zrezygnować z pracy, po tym jak własnoręcznie zbudował dwa świetnie prosperujące sklepy płytowe. Brian zaś zapamiętał to uczucie jako tęsknotę za czymś nowym, znudzenie i zniecierpliwienie biznesem. Trójka jego najbliższych przyjaciół z tamtego okresu nie pamięta, żeby Brian żalił się czy skarżył, choć nieraz słyszeli, jak narzeka na różne rzeczy.

Po tym, jak założył filię w Whitechapel, jego życie towarzyskie trochę odżyło. Zaczął się regularnie widywać z Geoffreyem Ellisem – kolegą z dzieciństwa, który mieszkał w tamtej okolicy. Geoffrey również chodził do szkoły prywatnej, konkretnie do Ellesmere College, a potem w Oksfordzie studiował prawo. Geoffrey mówi, że w latach szkolnych Brian był niebywale nieśmiały i wycofany. Po studiach Geoffrey wyjechał do

Nowego Jorku, gdzie pracował w ubezpieczeniach i na kilka lat panowie stracili kontakt.

Z zupełnie innego środowiska pochodził drugi przyjaciel Briana – Terry Doran. Ukończył państwową szkołę średnią dla uczniów mniej zdolnych, następnie zaś handlował samochodami. Był człowiekiem z dużą dozą liverpoolskiego humoru i talentem do naśladownictwa. „Poznałem Briana przypadkiem w jednym z liverpoolskich pubów w 1959 roku. Już wtedy go pokochałem". Znajomość z Geoffreyem i Terrym miała charakter ściśle towarzyski, bez jakichkolwiek związków z biznesem, przynajmniej jeszcze nie wtedy. Za to trzeci przyjaciel Briana, Peter Brown, pracował w tej samej branży co młody Epstein i z czasem stał się jego najbliższym przyjacielem.

Peter urodził się w Bebington, chodził do katolickiej szkoły podstawowej i pracował w Henderson's – lokalnym domu towarowym. Stamtąd przeniósł się do Lewis's, gdzie został kierownikiem działu płytowego. Gdy Brian zaczął planować otwarcie nowej filii NEMS w Whitechapel, zaproponował Peterowi, żeby objął kierownictwo sklepu przy Charlotte Street. W Lewis's na analogicznym stanowisku Peter zarabiał dwanaście funtów tygodniowo. Brian oferował mu szesnaście plus prowizję, co dla Petera brzmiało jak fortuna. „Szybko opanowałem wyjątkowo sprawny system składania zamówień. Wszystkie wychodziły ze sklepu po zamknięciu, o szóstej. Zajmowało nam to od czterdziestu minut do dwóch godzin". Terry pamięta, że nieraz musiał czekać na obu kumpli, zanim ci skończyli składać zamówienia. Brian często mówił mu, żeby spotkali się po zamknięciu sklepu. „Szedłem na drinka i zdarzało mi się, że zamykali bar, a ja nadal na nich czekałem".

Otwarcie sklepu w Whitechapel lekko się opóźniło i ostatecznie Peter i Brian przez kilka miesięcy pracowali razem przy Charlotte Street. „Nie było to łatwe, bo niby oficjalnie byłem kierownikiem, ale jednak nadal wszystkim zarządzał główny szef. Jedna wielka nieustająca kłótnia. Oczywiście prywatnie nadal byliśmy najlepszymi kumplami, ale wydaje mi

się, że na gruncie zawodowym trochę go rozczarowałem. Uwielbiał wysyłać pracownikom notatki służbowe, mimo że była nas raptem garstka. Jego system kontroli stanu magazynu był fantastyczny. Dzięki niemu nigdy nie brakowało najlepiej sprzedających się płyt. Ludzie z EMI mówili nam, że sprzedajemy najwięcej na całej północy Anglii".

Brian zawsze twierdził, zupełnie zresztą niesłusznie, że nie podoba się dziewczynom, ale to właśnie w tamtym okresie zaczął się spotykać z jedną ze swoich pracownic – Ritą Harris. „Długo mu zeszło, zanim się zorientował, że panna się w nim zakochała – opowiada Peter Brown. – Zawsze jadaliśmy razem z Ritą i Brianem w Cheshire. Czasami dołączała jeszcze do nas jedna lub dwie osoby". Choć ostatecznie nic z tego nie wyszło, był to chyba najpoważniejszy związek Briana z dziewczyną. Wszystkie jego przygody miłosne zawsze kończyły się nieszczęśliwie. Wchodził z ludźmi w bardzo burzliwe i krótkotrwałe relacje, co bardzo go niepokoiło. Nigdy do końca nie pogodził się z własną seksualnością, ale uznał, że jest, jaki jest, i nie próbował działać wbrew własnej naturze. Czasami jednak odzywało się u niego coś na kształt instynktu autodestrukcyjnego. „W Liverpoolu czuł się naprawdę samotny – opowiada Peter. – Niewiele było takich miejsc, gdzie mógłby pójść i czuć się swobodnie. Najlepsze nasze imprezy miały miejsce w Manchesterze, razem z Brianem i Terrym spędzaliśmy tam większość sobotnich wieczorów. Brian miał fobię na punkcie swoich nieudanych związków oraz może trochę mniejszą, ale jednak, na punkcie swojego żydowskiego pochodzenia. Wydaje mi się, że czasami widział przejawy antysemityzmu tam, gdzie go nie było. Być może nie chodziło o samą świadomość bycia żydem. Być może chodziło o to środowisko i otoczenie, którego wcale nie lubił, swego rodzaju żydostwo prowincjonalne, ale jednak dobrze prosperujące dzięki sklepom meblowym, podczas gdy jego samego zawsze bardziej ciągnęło do tego, co artystyczne i estetyczne. Ale oczywiście potrafił być dobrym biznesmenem, jeśli tylko zechciał, składającym grosz do grosza i skąpym,

gdy zaszła taka konieczność. Potrafił kłócić się z ludźmi o pieniądze, ale zdarzało się to raczej sporadycznie, bo zazwyczaj wydawał je lekką ręką”.

Łatwo dziś wyolbrzymić złożoność charakteru Briana i wielość jego zainteresowań na tym etapie jego kariery. Rodzice nie zdawali sobie sprawy z jego zgryzoty, a już na pewno nie zauważyli niepokojących objawów, choć matka pamięta, że gdy oba sklepy NEMS prosperowały już nienagannie, Brian jakoś nie mógł sobie znaleźć miejsca i zaczął rozglądać się za czymś nowym. Jesienią 1961 roku pojechał na pięciotygodniowe wakacje do Hiszpanii – najdłuższe w życiu. Towarzyszyło mu lekkie poczucie frustracji, dotyczące zarówno prywatnej, jak i zawodowej sfery życia. Nic poważnego – ot, lekki posmak niespełnienia. Przez ostatni miesiąc był właściwie zbyt zajęty budowaniem sukcesu NEMS, żeby znaleźć czas na martwienie się tym. Nie to co za czasów w armii. Było kilka osób, które uważały go za rozpieszczonego bogatego chłopaczka, ale dla większości był pracowitym, czarującym gejem z kochającą rodziną.

Sam Brian czuł jednak, że potrzebuje w życiu jakiegoś nowego bodźca, najlepiej artystycznego. RADA w pewnym sensie dała mu możliwość ekspresji, ale ponieważ cała sprawa zakończyła się klapą, ostudziło to jego zapędy artystyczne na jakiś czas. Ale nic nie zżera człowieka tak skutecznie, jak skłonność do sztuki, jeśli jego talent nie dorasta do wyrobionego gustu albo przynajmniej tak mu się wydaje.

Taki właśnie był Brian Epstein 28 października 1961 roku. Miał dwadzieścia siedem lat, a w życiu zdążył już być kiepskim uczniem i świetnym sprzedawcą mebli, kiepskim żołnierzem i świetnym sprzedawcą płyt, kiepskim aktorem i świetnym kierownikiem sklepów płytowych. Wtedy w jego sklepie pojawił się klient, Raymond Jones, z pytaniem o płytę Beatlesów.

Rozdział 16
Brian menedżerem Beatlesów

Sławny system kontroli Epsteina został pokonany. Nie pomogły żadne zwisające sznureczki. Brian Epstein musiał przyznać, że w życiu nie słyszał ani o nagraniu pod tytułem *My Bonnie*, ani o zespole The Beatles[89]. W pewnym sensie jest to dziwne, ponieważ, jakby nie patrzeć, od kilku miesięcy regularnie pisywał artykuły o wydawnictwach muzycznych do magazynu „Mersey Beat". W którymś z innych artykułów musiała mignąć mu nazwa zespołu. Choć z drugiej strony jego zainteresowanie „Mersey Beat" było czysto profesjonalne – robił sobie reklamę jako sprzedawca. Interesował się tylko zespołami nagrywającymi płyty, ponieważ to właśnie sprzedażą płyt się zajmował. Tymczasem żaden z miejscowych zespołów, o których głośno było na łamach „Mersey Beat", nie wypuścił jeszcze nagrania. Z jego punktu widzenia nie było więc sensu zagłębiać się w ich historię.

Brian oczywiście zdawał sobie sprawę, że w Liverpoolu kwitnie scena zespołów i klubów rockandrollowych. Nie był tym jednak osobiście zainteresowany – jako dwudziestosiedmiolatek nie łapał się już w przedział wiekowy osób przesiadujących w klubokawiarniach i słuchających rock and rolla. Ponadto od kilku lat na pełen etat zajmował się wyłącznie firmą i nie miał czasu na jakiekolwiek przyjemności poza teatrem.

Niemniej zirytował go fakt, że nie potrafił się odnieść do pytania klienta. Przecież, jeśli zespół ten wydał płytę, to kto jak kto, ale on musiał o tym wiedzieć. Obiecał więc Raymondowi Jonesowi, że dowie się wszystkiego, a w notatniku zapisał: „*My Bonnie*. The Beatles. Sprawdzić w poniedziałek". Raymond sam wspomniał, że płyta została nagrana w Niemczech, więc przynajmniej istniał jakiś trop. Brian zadzwonił do kilku

agentów, którzy sprowadzali zagraniczne płyty, ale nikt nie posiadał jej na stanie ani wcześniej jej nie sprowadzał. „Mogłem na tym poprzestać, gdyby nie moja własna zasada, że żaden klient nie może odejść z kwitkiem. Poza tym zaintrygowało mnie to, że trzy osoby w ciągu dwóch dni pytały o zupełnie nieznane mi nagranie. W poniedziałek rano bowiem, zanim jeszcze zdążyłem zadzwonić do swoich agentów, dwie kolejne klientki przyszły zapytać o tę płytę”.

Po rozmowach z różnymi kontaktami w Liverpoolu udało mu się ustalić, ku wielkiemu zaskoczeniu, że The Beatles to grupa brytyjska, nie niemiecka, w dodatku z Liverpoolu. Zapytał o zespół dziewczyny, które zatrudniał w sklepie. Dowiedział się, że Beatlesi są boscy. Następnie okazało się, że bywali nawet w jego sklepie. Sam musiał ich nieraz widzieć popołudniami, nie zdając sobie z tego sprawy. „Jedna z dziewczyn powiedziała mi, że to ci, na których kiedyś narzekałem, że stoją przy ladzie cały dzień, słuchając płyt, ale niczego nie kupują. To byli jedni z tych, co to chodzą w skórach. Ale wszystkie dziewczyny zawsze zgodnie twierdziły, że są mili, więc nigdy ich nie wyprosiłem. Przynajmniej coś się działo w sklepie popołudniami”.

Brian postanowił sam przejść się do The Cavern i zdobyć więcej informacji o zespole i jego płycie. Skoro budzili takie zainteresowanie, zwłaszcza jako lokalny zespół, to może jednak warto samemu sprowadzić z zagranicy kilka egzemplarzy płyty – pomyślał rasowy biznesmen. „Nie byłem bywalcem w The Cavern i czułem się skrępowany, idąc samotnie do klubu dla nastolatków. Bałem się nawet, że mnie nie wpuszczą. Poprosiłem wiec o pomoc »Mersey Beat«. Zadzwonili tam więc, żeby mnie zaanonsować”.

Pierwsza wizyta odbyła się 9 listopada 1961 roku podczas sesji południowej. „Było ciemno, wilgotno i śmierdziało. Od razu pożałowałem tej decyzji. Hałas był ogłuszający, a ze wzmacniaczy szły głównie amerykańskie przeboje. Pamiętam, że słuchałem tych płyt, które puszczali, i

pomyślałem, że istnieje ścisła zależność między nimi a moją listą dwudziestu najlepiej sprzedających się albumów. Potem na scenie pojawili się Beatlesi i wtedy zobaczyłem ich po raz pierwszy. Nie wyglądali zbyt porządnie ani czysto. Palili, grając, i jedli, i rozmawiali, i nawet pozorowali bójki. Odwracali się plecami do publiczności, krzyczeli na nią i zaśmiewali się z jakichś swoich prywatnych dowcipów. Niemniej widać było ogromne poruszenie wśród ludzi. Ewidentnie mieli w sobie jakiś magnetyzm. Fascynowali mnie".

To John – jako ten, który krzyczał najgłośniej i najbardziej wariował na scenie – fascynował go najbardziej. Wtedy jeszcze nie było to dla Briana takie oczywiste, bo ich nie rozróżniał, ale zdał sobie z tego sprawę jakiś czas później. Nie mógł oderwać od Johna oczu. Ale przecież nie przyszedł tam, żeby ich oglądać – przyszedł zrobić interes. DJ z The Cavern, Bob Wooler, zapowiedział przez mikrofon, że na widowni znajduje się pan Epstein ze sklepu NEMS i prosi wszystkich o gorące powitanie. Pomogło mu to, gdy w końcu dostał się na tyle blisko chłopaków, że mogli się wzajemnie słyszeć. „Co sprowadza tu pana Epsteina?" – spytał George z lekką nutą ironii. Brian wyjaśnił, że klienci pytają o niemieckie nagranie zespołu, a on sam nie wie, kto jest jego producentem. Spytał, czy mogą mu pomóc. George powiedział, że firma nazywa się Polydor. Sam George jak przez mgłę pamięta tę rozmowę z Brianem w czasie lunchu. Pozostali – John, Paul i Pete Best – w ogóle nie przypominają sobie tych pierwszych odwiedzin.

Na kolejne wizyty, by nie czuć się nieswojo wśród całej tej dzieciarni, Brian zaczął zabierać ze sobą dla towarzystwa jednego ze sprzedawców. Alistair Taylor pracował za ladą w NEMS, ale był również osobistym asystentem Briana. Brian miał swojego asystenta na tej samej zasadzie, na której rozsyłał notatki służbowe do pracowników, choć spokojnie zmieściliby się wspólnie w budce telefonicznej – lubił wszystko, co przydawało mu aury ważnego kierownika. Chwilę to trwało, nim Brian

ogarnął całą sprawę. „W sumie chciałem tylko sprzedawać płyty, ale po kilku tygodniach zauważyłem, że coraz częściej chadzam do The Cavern, żeby posłuchać muzyki i popatrzeć na zespoły. Zacząłem też wypytywać znajomych, co to znaczy być menedżerem zespołu. Jak to się robi? Jaką umowę trzeba z takim zespołem podpisać, gdyby – zupełnie gdyby – ktoś zechciał zostać takim właśnie menedżerem?”.

Ludzie, z którymi rozmawiał Brian, bynajmniej nie byli ekspertami z zakresu zarządzania. Większość z nich, a jakże, zajmowała się sprzedażą, nie produkcją płyt. Niemniej podczas jednej z czysto służbowych podróży do Londynu Brian odbył kilka dłuższych rozmów z takimi osobami jak prezes HMV przy Oxford Street czy kierownik sklepu Keith Prowse’s. Z rozmów tych próbował wyciągnąć dla siebie jak najwięcej. Skontaktował się również z niemieckim wydawcą i zamówił dwieście egzemplarzy *My Bonnie*. „Tak bardzo zafascynował mnie zespół The Beatles, że pomyślałem sobie, iż warto zaryzykować taką liczbę. Pewnie po części był to efekt znudzenia sprzedażą. Potrzebowałem nowego hobby. Tymczasem Beatlesi też zdążyli się już znudzić Liverpoolem, choć wówczas chyba ani oni, ani ja nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Szukali możliwości, by rozwinąć skrzydła i pojechać gdzieś dalej. Zacząłem rozmawiać z nimi podczas tych występów w środku dnia. »Żałuj, że cię nie było wczoraj wieczorem – powiedział Paul pewnego razu. – Rozdawaliśmy autografy. Ja sam podpisałem się jednej dziewczynie na ramieniu«. Zawsze omijały mnie ich najlepsze momenty”. Podczas tych rozmów dowiedział się też, jak wygląda ich sytuacja w temacie menedżera. Przez jakiś czas związani byli z Allanem Williamsem, ponieważ to on zorganizował ich wyjazd do Hamburga. „Poszedłem się z nim spotkać. »To miłe chłopaki, ale ciągle będą sprawiać ci zawód«”.

Trzeciego grudnia 1961 roku zaprosił całą czwórkę, żeby wpadli pogadać do jego biura w sklepie w Whitechapel. Tak to określił, ponieważ sam nie do końca wiedział, co zrobi. On widział ich w akcji wielokrotnie,

ale oni nie do końca się jeszcze do niego przekonali. Dla nich był jedną z wielu marginalnych postaci. Nie za dobrze pamiętają go nawet z okresu przed tym spotkaniem.

„Wyglądał na profesjonalistę i bogacza, tylko tyle zapamiętałem”, mówi John. George twierdzi, że sprawiał wrażenie gościa z kierownictwa. Paulowi najbardziej imponował zodiac, którym jeździł Brian. Postanowili dać mu szansę. Na pierwsze oficjalne spotkanie wzięli ze sobą Boba Woolera, choćby tylko po to, żeby pokazać, że nie są kompletnie sami. John przedstawił go jako swojego ojca. Dopiero kilka miesięcy później Brian zorientował się, że między panami nie było pokrewieństwa. Jeszcze dłuższy czas minął, nim dowiedział się, że John tak naprawdę nie zna własnego taty. John i Bob przyjechali na umówione spotkanie o wpół do piątej, podobnie jak George i Pete Best. Nie było za to śladu Paula. Po godzinie, gdy Brian zdążył się już zdenerwować, poprosił George’a, żeby po niego zadzwonił. George wrócił z wiadomością, że Paul bierze kąpiel. „Żenujące – skomentował Brian. – Jest już bardzo spóźniony”. „Spóźniony – podchwycił George – ale za to jaki czysty”. Gdy Paul w końcu się zjawił, uczestnicy spotkania zaczęli rozmawiać o przyszłości zespołu: o planach i warunkach kontraktu. Żaden z nich nie wiedział, jakie umowy podpisuje się na takich spotkaniach, bo nikt z nich nie widział niczego takiego na oczy.

Ustalili, że spotkają się ponownie w następną środę. Brian umówił się z kolegą prawnikiem, Rexem Makinem. Chciał nie tylko porady, ale i poparcia. „Aha, czyli kolejny pomysł Epsteina – skomentował prawnik. – Kiedy i tym razem zamierzasz się znudzić?”.

Podczas kolejnego spotkania z zespołem Brian wyraźnie powiedział, że chce zostać ich menedżerem. Chciał mieć dwadzieścia pięć procent udziałów w zyskach. Oni spytali, czemu nie dwadzieścia. On upierał się, że potrzebuje tych dodatkowych pięciu, ponieważ przewidywał znaczny nakład pracy i spore wydatki na ich promocję. Spodziewał się, że przez wiele miesięcy będzie to wyłącznie nakład finansowy bez zwrotu. Kontrakt

podpisali w następną niedzielę w klubie Casbah – domu Pete’a Besta i siedzibie Beatlesów. Każdy z członków zespołu złożył podpis w obecności Alistaira Taylora. Brian nie podpisał dokumentu. „To dopiero była farsa – opowiada Alistair. – Podpisałem się jako osoba potwierdzająca podpis Briana. Wyszedłem na niezłego głupka”. Brian nigdy nie uzupełnił swojego podpisu. „Dałem im słowo, deklarując swoje zamiary, i to powinno wystarczyć. Trzymałem się wszystkich ustaleń i nikt nigdy nie zgłaszał pretensji w kwestii braku podpisu”.

Brian zgadza się co do tego, że Beatlesom spodobał się jako kandydat na menedżera, bo po prostu ładnie wyglądał. „Miałem pieniądze, samochód, sklep z płytami. Myślę, że to działało na moją korzyść. Ale inna sprawa, że po prostu mnie polubili. Ja lubiłem ich, bo mieli to coś, osobowość. Dali się lubić”.

Rodzice Briana wyczuli, że coś się dzieje. Wrócili z tygodniowego pobytu w Londynie, a on czekał na nich w domu. „Powiedział, że chce nam puścić jedną płytę – opowiada pani Epstein. – To było nagranie *My Bonnie*. Poprosił, żeby nie zwracać uwagi na główny wokal, tylko wsłuchać się w chórki. Powiedział, że zostaną wielkimi gwiazdami, a on będzie ich menedżerem”. Zanim ojciec zdążył cokolwiek wtrącić, Brian pospiesznie dodał, że to takie zajęcie na boku, ale spytał, czy może wziąć trochę wolnego. Ojciec nie był zachwycony. Sądził, że Brian znowu znalazł nowe hobby, ale cieszył się, że przynajmniej tym razem na miejscu, w Liverpoolu.

Brian postanowił założyć nową firmę, by prowadzić Beatlesów, i na cześć sklepu nazwał ją NEMS Enterprises. „To była dobra decyzja. Mogłem przecież być ich menedżerem pod nazwą NEMS bez Enterprises. Gdy kilka lat później sprzedawaliśmy sklep, mogło z tego wyniknąć sporo problemów”. Brat Briana, Clive, za jego namową także zaangażował się w tworzenie firmy. „Częściowo dlatego, że potrzebowałem jego pieniędzy, ale chciałem też podstępnie zainteresować Clive’a tą ideą, żeby mi pomagał”.

Kolejna, trzecia już wyprawa do Hamburga była przygotowana, zanim jeszcze na horyzoncie pojawił się Brian Epstein. Tuż po powrocie zespołu Peter Eckhorn z Top Ten i kilku innych menedżerów klubów przybyło do Liverpoolu w poszukiwaniu talentów. Beatlesi obiecali Peterowi, że wrócą do jego klubu, ale gdy przybył dograć szczegóły kontraktu, ich menedżerem był już Brian Epstein. „Brian zażądał więcej pieniędzy, niż chciałem im dać – opowiada Peter Eckhorn. – Spróbowałem więc zdobyć Gerry'ego and the Pacemakers, ale też nie wyszło". Ostatecznie Peter wrócił do Hamburga jedynie z perkusistą. Perkusista ten, Ringo Starr, miał grać jako muzyk towarzyszący Tony'ego Sheridana.

Pojawiła się za to lepsza oferta z innego hamburskiego klubu. Brian zaakceptował warunki proponowane przez Manfreda Weissledera, który otwierał właśnie w Hamburgu nowy lokal o nazwie Star-Club. Miał być większy i lepszy od wszystkich pozostałych. Jego propozycja opiewała na czterysta marek, czyli około czterdziestu funtów tygodniowo dla każdego członka zespołu. Top Ten proponował zaledwie trzysta. Były to więc znacznie lepsze warunki, choć jeszcze na długo przed ich dogadaniem Brian domagał się o wiele wyższych stawek od miejscowych, liverpoolskich klubów za występy swoich podopiecznych. Od samego początku założył, że nie godzi się na wynagrodzenie niższe niż piętnaście funtów za występ.

Największy wysiłek Brian włożył jednak w poprawę wizerunku zespołu, czego efekty od razu były widoczne – usprawnił organizację pracy, wygląd i zachowanie sceniczne chłopców. Od razu przejął też od Pete'a Besta obowiązki załatwiania angaży i wprowadził w cały system trochę potrzebnego porządku, dzięki czemu każdy z nich wiedział dokładnie, gdzie i kiedy gra. „Brian zapisywał nam wszystko wyraźnie czarno na białym, co jakoś od razu dodało nam pewnej powagi – mówi John. – Zanim się pojawił, żyliśmy w jakiejś Nibylandii. Nie mieliśmy pojęcia, co robimy i gdzie się umówiliśmy na granie. Wytyczne na papierze od razu wydawały

się bardziej oficjalne”. Brian przepisywał instrukcje dla zespołu na maszynie, używając zwykle papieru ozdobnego z własnym logo na górze, stworzonym na bazie inicjałów BE. Dołączał też swoje małe kazanka na temat eleganckiego wyglądu, odpowiedniego stroju, powstrzymywania się od palenia, jedzenia czy przeżuwania na scenie. „Brian próbował poprawić nasz wizerunek – mówi John. – Twierdził, że nie wyglądamy dobrze. Że z takim wyglądem nie wpuszczą nas nigdy do porządnych lokali. Zawsze ubieraliśmy się tak, jak chcieliśmy, i na scenie, i poza nią. To on namówił nas na garnitury”. Brian popracował też nad tym, co mówią na scenie. Do tej pory panowała zasada totalnej spontaniczności. „Powiedział, że musimy przygotować program z prawdziwego zdarzenia i zawsze grać nasze najlepsze kawałki, a nie to, na co akurat mamy ochotę – opowiada Pete Best. – Mówił, że to bez sensu żartować sobie z garstką fanów pod sceną, skoro za nimi stoi jeszcze siedemset czy osiemset innych osób, które nie mają pojęcia, o co chodzi. Kazał nam przestać się wygłupiać i przygotować program”.

Od tamtej pory wszystko znowu się pozmieniało i wahadło przechyliło się w zupełnie innym kierunku. John później nawet trochę żałował, że się dali ugrzecznić, bo czuł, że to nie byli prawdziwi Beatlesi, a przynajmniej nie prawdziwy John. Ale wówczas dał się namówić na zmiany. Wiedział, że wtedy to było jedyne słuszne posunięcie – wejść w garnitur. „To oczywiste, że musieliśmy się zaprezentować jak najlepiej – mówi John. – Musieliśmy wyglądać dobrze na przykład dla dziennikarzy, choć niektórzy z nich zachowywali się tak, jakby robili nam łaskę. Graliśmy w tę ich grę, okazując wdzięczność za to, że w ogóle chcą z nami rozmawiać. W tym temacie byliśmy bardzo dwulicowi. Zdobycie popularności to była taka gra. Chodziliśmy od redakcji do redakcji wydawnictw muzycznych, prosząc, by coś o nas napisali. Nie mieliśmy innego wyjścia”.

Mimo że prywatnie w mniej lub bardziej zakamuflowany sposób wyśmiewali się z ludzi, którzy nie chcieli ich znać, i tak bolało ich, gdy ktoś

wydawał się wobec nich uprzedzony. „W tamtych czasach słyszeliśmy tylko: »Skąd jesteście? Z Liverpoolu? Przecież tam nie można niczego osiągnąć. Za daleko. Musicie się przenieść do Londynu, żeby się wybić. Jeszcze nikt z Liverpoolu nigdy niczego nie osiągnął«. I tak przez kilka lat".

Brian poszedł w dobrym kierunku, czyniąc ich bardziej strawnymi dla ludzi z Londynu. „Ależ ja ich nie zmieniłem. Po prostu wydobyłem na światło to, co już było. A była w nich ta swoista prezencja. Na scenie po prostu mieli to coś, co tak trudno zdefiniować. Wcześniej psuli to wrażenie, paląc, jedząc i rozmawiając z publicznością z pierwszych rzędów". Brian naturalnie spotkał się z rodzicami każdego z Beatlesów, gdy tylko został ich menedżerem. Zaimponował im swoimi nienagannymi manierami i bogactwem. W niczym nie przypominał innych kumpli, których synowie zazwyczaj przyprowadzali do domów. Tylko ciotka Johna, Mimi, wydaje się odporna na wdzięki Briana, choć teoretycznie to jej powinien imponować najbardziej. Niestety na Mimi nie robi wrażenia nic, co związane jest w zespołami rockandrollowymi. „Miałam wątpliwości, gdy tylko usłyszałam o Brianie Epsteinie. Nie co do jego osoby. Ale on był tak dobrze sytuowany, więc uznałam, że dla niego to taka nowa przygoda i wszystko mu pewnie jedno, czy utrzymają się na powierzchni, czy pójdą na dno. Dla niego to nie było być albo nie być, tak jak dla nich. Mnie osobiście Brian wydał się czarujący. Ale takie właśnie obawy towarzyszyły mi, gdy pojawił się w ich życiu. Pomyślałam, że to koniec. Że za dwa miesiące przestanie go to bawić i przerzuci się na coś innego, gdy tymczasem John i reszta nadal będą stali w miejscu".

Rozdział 17
Decca i Pete Best

Praktycznie od samego początku Brian Epstein zaczął wykorzystywać swoje kontakty w branży i wywierać na ludzi presję, na którą może sobie pozwolić tylko samozwańczy „właściciel najlepszego sklepu płytowego w północnej Anglii”. To działało właściwie od samego początku – w pierwszej kolejności zainteresowanie zespołem wyraziła Decca[90]. Kontakty Briana z Deccą zawsze były świetne, choć siłą rzeczy koncentrowały się wokół działu sprzedaży. Udało mu się jednak w końcu trafić pod właściwy adres i otrzymał zapewnienie, że człowiek z działu A&R, czyli od poszukiwania i rozwoju talentów, przyjedzie do Liverpoolu sprawdzić osobiście, o co tyle szumu.

Mike Smith z wytwórni Decca pojawił się zgodnie z obietnicą pod koniec grudnia 1961 roku. Pierwsze podejście okazało się sukcesem – Brian nie posiadał się z radości. „Co to była za okoliczność! Kierownik działu A&R w The Cavern”. Mike Smith był pod wrażeniem. Podobało mu się brzmienie Beatlesów i obiecał, że załatwi im wyjazd do Londynu i przesłuchanie w studiach Dekki. Tego typu przesłuchanie to w sumie nic wielkiego – trzeba sprawdzić, jak zespół brzmi na taśmie. Ale dla Briana, Beatlesów i Liverpoolu to było jednak coś.

Termin przesłuchania ustalono na 1 stycznia 1962 roku. Brian pojechał do Londynu pociągiem, a Beatlesów – Johna, Paula, George’a i Pete’a Besta – zawiózł już w sylwestra ich kierownik tras Neil Aspinall. „Specjalnie wynająłem większą furgonetkę. Nigdy wcześniej nie byłem nawet w okolicach Londynu. Droga zajęła nam dziesięć godzin, a gdzieś w pobliżu Wolverhampton zgubiliśmy się w śnieżycy. Dotarliśmy na miejsce około dwudziestej drugiej. Znaleźliśmy nasz hotel, Royal, niedaleko

Russell Square, po czym poszliśmy się napić. Próbowaliśmy coś zjeść w jakimś lokalu przy Charing Cross Road. Weszliśmy tam całą bandą, a byliśmy niezłymi obszarpańcami, i rozsiedliśmy się przy stoliku. Zupa kosztowała sześć szylingów. My na to, że to wolne żarty. Koleś powiedział, że powinniśmy już sobie pójść. Więc poszliśmy. Udaliśmy się na Trafalgar Square, gdzie przyglądaliśmy się, jak pijani ludzie świętujący Nowy Rok wpadają do fontanny. Potem poznaliśmy takich dwóch zjaranych kolesi przy Shaftesbury Avenue, choć wtedy nie wiedzieliśmy, że są zjarani. Mieli ze sobą trochę trawki. Ja nigdy wcześniej nie widziałem tego na oczy. Byliśmy zieloni. Jak usłyszeli, że mamy furgonetkę, spytali, czy moglibyśmy tam zapalić. My na to: »Nie, nie, nie!«. Nieźle byliśmy spękani".

Następnego ranka Brian pojawił się w studiu Dekki jako pierwszy – punktualnie co do minuty. „Pracownicy wytwórni się spóźnili, więc byłem nieźle wkurzony. Nie dlatego, że tak bardzo chcieliśmy nagrać te piosenki – po prostu potraktowano nas jak nic nieznaczący zespół". W końcu przyszła ich kolej. Wyciągnęli swoje stare, sfatygowane wzmacniacze i od razu kazano im je odłożyć. „Nie chcieli naszego sprzętu – mówi Neil. – Mieliśmy korzystać z ich. Niepotrzebnie wieźliśmy to wszystko taki kawał z Liverpoolu". Zaczęli grać, a George zaśpiewał, trochę ciszej niż zwykle, *The Sheik of Araby*. W głosie Paula słychać było zdenerwowanie, gdy wykonywał *Red Sails in the Sunset*. Nie zaryzykowali żadnej z własnych kompozycji, mimo że wiele z nich przecież mogli wykonać. Jednak Brian polecił im, by trzymali się standardów. „Byli nieźle przestraszeni – wspomina Neil. – Paul nie mógł zaśpiewać niczego. Za bardzo się denerwował i głos mu się łamał. Peszyło ich to czerwone światełko. Spytałem, czy można je wyłączyć, ale powiedziano nam, że ktoś może wejść, jeśli się wyłączy. Że co? Nie wiedzieliśmy, co to wszystko znaczy".

Skończyli nagrywanie około czternastej i wszyscy wydawali się bardzo zadowoleni. „Mike Smith powiedział, że taśmy brzmią świetnie – mówi

Pete Best. – Pomyśleliśmy, że mamy kontrakt. Brian zabrał nas wszystkich na kolację do lokalu o nazwie Swiss Cottage. Zamówił wino, choć ostatecznie z jakiegoś powodu go nie przynieśli”.

Mijały tygodnie i nic. Chłopcy grali jak zwykle w Merseyside, choć cały czas liczyli, że zjawi się ktoś z Dekki i porwie ich ku prawdziwej sławie. W marcu, po tygodniach uporczywego nękania kogo się dało, do Briana w końcu odezwał się Dick Rowe – przełożony Mike’a Smitha – z informacją, że nie zdecydują się jednak nagrywać Beatlesów. „Powiedział, że nie spodobało im się brzmienie zespołu. Że mija już moda na zespoły gitarowe. Odparłem, że nie mam najmniejszych wątpliwości, że ci chłopcy zajdą dalej niż Elvis Presley”.

Poradzono mu, by lepiej trzymał się swojego fachu, skoro ma tak dobrze prosperujący sklep płytowy w Liverpoolu. Zasugerowano też, że są inne metody nagrania płyty – za sto funtów może wynająć studio oraz człowieka od A&R. Przez jeden dzień Brian rozważał nawet tę opcję, ale uznał, że nadal traktują go tak protekcjonalnie, że byłaby to kompletna strata pieniędzy. „Wydaje mi się, że w Decce spodziewali się doszlifowanego warsztatu – mówi John. – A my tylko nagrywaliśmy demo. Powinni byli dostrzec nasz potencjał”.

Następnie rozpoczęła się długa, mozolna wędrówka od wytwórni do wytwórni – każda z tych dużych, Pye, Columbia, HMV i EMI, odrzucała ich jedna po drugiej. Inne, mniejsze, też powiedziały nie. „Ja jako ostatni dowiedziałem się, że Decca nie chciała nas nagrywać – opowiada Pete Best. – John, Paul i George wiedzieli długo przede mną. Pewnego razu po prostu się wygadali, że wiedzą już od kilku tygodni. Czemu mi nie powiedzieliście? Odpowiedzieli, że nie chcieli mnie zdołować”. Pozostali popadali ze skrajności w skrajność – od dołów po szalony optymizm, że coś się w końcu musi trafić.

„Mieliśmy kilka niewielkich spięć z Brianem – opowiada John. – Zarzucaliśmy mu, że nic nie robi, podczas gdy my odwalamy całą robotę.

Ale tylko tak gadaliśmy. Wiedzieliśmy, jak ciężko pracuje. To było raczej coś na zasadzie: My kontra Oni". „Czekaliśmy na niego zwykle przy Lime Street, gdzie przychodził zdawać nam aktualne relacje – mówi Paul. – Dzwonił i zawsze myśleliśmy, że może tym razem ma coś dla nas. Wysiadał z tramwaju z teczką pełną papierów, szliśmy na kawę do Punch and Judy i wysłuchiwaliśmy, jak to Pye albo Philips, czy ktokolwiek inny nie skusił się na nas". „Ale i tak niezmiennie bawiliśmy się myślą, że dojdziemy na sam szczyt – wspomina George. – Gdy wszystko szło nie tak i nic się nie działo, mieliśmy taką zabawę. John wołał: »Dokąd zmierzamy, chłopcy?«, a my odpowiadaliśmy: »Na szczyt, Johnny, na szczyt!«. Na to on znowu: »Na jaki szczyt?«, a my: »Najwyższiejszy z najpopniejszych, Johnny!«".

Ze wspomnień Alistaira Taylora, asystenta Briana, wynika, że cała ta szarpanina z wytwórniami sprawiała, że Brian często był bliski łez. „Naciskał na nich, jak tylko mógł, ale zawsze było dziesięć tysięcy innych zespołów, które również naciskały. Żadne drzwi nie chciały się przed nim otworzyć".

W grudniu 1961 roku „Mersey Beat" ogłosił konkurs na najpopularniejszy zespół. John i Paul do dziś mają w domu po kilka egzemplarzy tego wydania z wyciętymi formularzami do głosowania. Przesłali do redakcji po kilkadziesiąt, podpisując się zmyślonymi nazwiskami, oczywiście z głosem na Beatlesów jako pierwszych i Gerry and The Pacemakers jako ostatnich. Naprawdę obawiali się, że Gerry wygra. Pozostałe zespoły też oczywiście głosowały na siebie, więc wszystkie te głosy się wyrównały. Ostatecznie Beatlesi wygrali bezapelacyjnie, a Brian wykorzystał ten fakt w stu procentach. Ich występ 24 marca zapowiadał plakat, z którego drukowane litery krzyczały: „ZDOBYWCY TYTUŁU NAJPOPULARNIEJSZEGO ZESPOŁU WEDŁUG CZYTELNIKÓW »MERSEY BEAT«! ARTYŚCI POLYROD RECORDINGS! TUŻ PRZED EUROPEJSKĄ TRASĄ!". Sam koncert odbył się w Barnston Women's Institute – skromnie jak na taką zapowiedź.

„Trasa europejska” oznaczała oczywiście planowany trzeci wyjazd do Hamburga, który nastąpić miał już za tydzień, w kwietniu 1962 roku.

Do Niemiec przybyli samolotem i była to ich pierwsza podróż lotnicza. „Zarządzenie Briana – mówi Pete Best. – Szaleliśmy z radości”. Tym razem mieli grać w Star-Club, największym z hamburskich klubów. „Była nawet porządna kurtyna”, wspomina George. Będąca w żałobie po Stu Astrid początkowo nie przychodziła na ich koncerty, ale chłopcy robili, co mogli, by wyciągać ją z domu, obdarowywali prezentami i zabawiali. Astrid przyznaje, że wszelkie obawy, że chłopcy okażą się okrutni, zniknęły. „Zrozumiałam, że potrafią być przemili”.

Tymczasem w Wielkiej Brytanii Brian podjął ostatnią próbę zainteresowania kogoś Beatlesami i postanowił zainwestować w promocję kolejną sumę pieniędzy. Przez cały ten czas nosił ze sobą taśmy po wszystkich możliwych wytwórniach. Część z nich to były te oryginalne, zarejestrowane w styczniu w Decce. Uznał, że zrobi większe wrażenie, jeśli przegra te taśmy na płytę gramofonową i tak zamiast nieporęcznych taśm będzie prezentował zgrabny krążek.

Ojciec Briana był już mocno zirytowany, że jego syn marnuje czas na Beatlesów. „Powiedziałem ojcu, że chcę jeszcze zabrać taśmy do Londynu na ostateczne uderzenie, wszystko albo nic. Zgodził się, pod warunkiem, że nie zajmie mi to dłużej niż dzień lub dwa”. Brian udał się do centrum płytowego HMV przy Oxford Street. To niby zwykły sklep płytowy, jest jednak ogromny i stanowi część imperium EMI. Podczas rozmowy ze swoim znajomym w sklepie spytał, jak może zamienić te taśmy na płytę. „Technik, który je zgrywał, powiedział mi, że jakość jest całkiem niezła i że pogada z wydawcą Sedem Colemanem. Coleman strasznie się napalił i powiedział, że bardzo chciałby to wydać. Obiecał, że pogada ze swoim kumplem z Parlophone[91], George’em Martinem”. Spotkanie z Martinem umówiono od razu na drugi dzień w siedzibie EMI. Parlophone jest częścią

EMI, spółki matki, która już wcześniej odrzuciła Beatlesów. „George Martin posłuchał płyty i bardzo spodobał mu się wokal Paula oraz gitara George'a – na te dwie rzeczy zwrócił szczególną uwagę. John śpiewał *Hello Little Girl*, co też bardzo przypadło mu do gustu, a Paul *Till There Was You*". George omówił całą sprawę z Brianem powoli i rzeczowo i ostatecznie powiedział, że to bardzo „interesujące". Owszem, uznał nawet, że są na tyle interesujący, by zorganizować przesłuchanie. Był maj 1962 roku, Beatlesi nadal grali w Hamburgu. Brian opuścił siedzibę EMI w wielkim pośpiechu i od razu wysłał telegram z dobrymi wiadomościami do Hamburga. „Byliśmy jeszcze wszyscy w łóżkach – opowiada Pete Best. – Zawsze ten, który wstawał pierwszy, szedł na pocztę. Tego dnia najwcześniej zebrał się George i to on odczytał telegram o treści: »Gratuluję wam, Chłopcy. EMI zamawia sesje nagraniowe. Ćwiczcie proszę nowy materiał«. Ogarnęło nas uczucie euforii, John i Paul od razu zasiedli do komponowania. Brian przyleciał zobaczyć się z nami i ustalić warunki kontraktu. Chyba dostaliśmy wtedy po osiemdziesiąt pięć funtów za tydzień. Brian uważał, że *Love Me Do* idealnie nada się na nagranie".

Klaus mówi, że był rozczarowany Brianem Epsteinem, gdy ten pojawił się w Hamburgu. „Nie spodobał mi się. Był bardzo nieśmiały, wcale nie miał siły przebicia, której się po nim spodziewałem. Odrobinę popsuł mi się humor. Miałem własną wizję menedżera chłopaków – asa biznesu, totalnie dynamicznego, a nie nieśmiałego nowicjusza". Za to Beatlesi byli z siebie niezwykle zadowoleni. Klaus pamięta, jak bardzo się ucieszyli z tych wiadomości. Od razu pobiegli pochwalić się kontraktem ludziom z Polydor, którzy nie zdecydowali się na nagranie Beatlesów jako głównej gwiazdy, tylko w roli zespołu akompaniującego wokaliście. „Pewnego dnia pojechaliśmy z Paulem i George'em nad morze. George poruszył temat pieniędzy. Powiedział, że czuje, że będzie bogaty. Miał plan, żeby kupić dom z basenem, a potem autobus dla ojca – kierowcy autobusów".

Zespół wrócił z Hamburga na początku czerwca 1962 roku, a już 6 czerwca odbyło się przesłuchanie przed George'em Martinem w studiach EMI w St. John's Wood[92]. Zapobiegliwy Brian wysłał wcześniej do niego sporządzoną na swoim papierze firmowym listę utworów, które zespół chciałby panu Martinowi zaprezentować, jeśli pan Martin wyrazi zgodę. Na liście znalazło się kilka własnych kompozycji Beatlesów: *Love Me Do*, *P.S. I Love You*, *Ask Me Why*, czy *Hello Little Girl* – ale znaczną większość stanowiły standardy typu *Bésame Mucho*. George Martin wysłuchał wszystkiego uważnie i pochwalił ich. Spodobali mu się. Cieszył się, że w końcu może ich poznać osobiście, po wszystkich tych opowieściach, które słyszał od Briana. Bardzo ładnie. Da im znać.

I to tyle. Nie zeszło z nich powietrze – nic z tych rzeczy – choć oczekiwali bardziej wiążącej odpowiedzi. Wrócili do Liverpoolu na drugi dzień i znowu wpadli w typowy rytm występów na jeden wieczór w okolicach miasta, zorganizowanych przez Briana, gdy byli w Hamburgu. Pierwszy koncert stanowił niejako ich powitanie w The Cavern, które odbyło się w sobotę 9 czerwca. Następnie, w poniedziałek, zagrali w radiowym programie BBC w Manchesterze – kolejna zasługa Briana. Po tym występie zajęty mieli już każdy wieczór aż do lipca i kilka występów tu i tam do końca września. Grali między innymi w The Cavern, w Casbahu, New Brighton Tower, Northwich Memorial Hall, Majestic Ballroom, Birkenhead, Plaza Ballroom, St. Helen's, w klubie golfowym Hulme Hall oraz dla pracowników firmy telefonicznej podczas rejsu po rzece Mersey statkiem Royal Iris. Brian jak zwykle przekazał każdemu z nich rozpiskę, uwzględniającą daty i szczegóły występów. Co ważniejsze informacje podkreślał, zapisując je drukowanymi literami, a dotyczyły głównie wytycznych w kwestii zachowania:

Piątek 29 czerwca 1962 roku

TOWER BALLROOM, NEW BRIGHTON

Między 18:45 a 19:00 przyjedzie po was Neil, żebyście mogli dotrzeć do Tower na 19:30. To jest wieczór zorganizowany przez Leacha[93], który na plakatach umieścił was jako główną gwiazdę. Mając w pamięci to, a także fakt, że przez ostatnie kilka miesięcy był nam bardzo pomocny, chciałbym, żebyście dali z siebie wszystko. Również dlatego, że to ostatni wieczór przed weselem Sama! Powinno przyjść sporo ludzi, którzy zapłacą głównie za to, żeby zobaczyć Beatlesów. Program, spójność, garnitury, białe koszule, krawaty itp. itd. Godzinka.

Uwaga: załączam nowy numer „Mersey Beat", w którym nazwa THE BEATLES pojawia się na oko piętnaście razy. Na dziesięć stron czasopisma THE BEATLES występuje aż na sześciu. Zrobiło się sporo szumu medialnego, a będzie jeszcze więcej, w związku z czym szalenie istotne jest, żebyście spełnili pokładane w was nadzieje. Pamiętajcie, że KAŻDE z poniższych zachowań jest SUROWO ZABRONIONE na scenie: palenie, jedzenie, żucie i picie.

Przez cały czas Brian starał się załatwić im występy w innych częściach kraju, poza Merseyside, ale jak dotąd bezskutecznie. Tego lata jednak udało mu się nakręcić koncert w Peterborough, ale niestety wyszła z tego kompletna klapa. Nikt ich tam nie znał i nikomu się nie spodobali. „Publiczność siedziała z założonymi rękoma", mówi Arthur Howes, organizator, dzięki któremu otrzymali ten angaż.

Wciąż czekali z niecierpliwością na wiadomość od George'a Martina. Powiedział, że da im znać, kiedy będą mogli przyjechać na porządną sesję nagraniową. W końcu odezwał się do Briana pod koniec lipca. Chciał, żeby Beatlesi podpisali kontrakt płytowy z wytwórnią Parlophone. Teraz zastanawiał się, jakie piosenki mieliby nagrać. Brian, John, Paul i George oszaleli z radości. Pete Best nie został wtajemniczony. „Graliśmy w The Cavern w środowy wieczór 15 sierpnia – mówi Pete Best. – Następnego dnia mieliśmy jechać do Chester i ja miałem zabrać Johna. Gdy wychodziliśmy z klubu, spytałem, o której po niego podjechać. Powiedział, że pojedzie sam. Spytałem, o co chodzi, ale już go nie było. Na jego twarzy rysowało się przerażenie. Potem zadzwonił Brian i poprosił, żebym przyszedł z Neilem do jego biura z samego rana. Neil zawiózł mnie rano do Briana. Wyglądał na roztrzęsionego, zupełnie nie ten sam radosny Brian. Nigdy nie potrafił kryć emocji i widać było, że coś jest na rzeczy. Przez cały czas wiercił się nerwowo. »Mam złe wieści – powiedział w końcu. –

Chłopcy chcą cię zastąpić Ringo«. To było jak grom z jasnego nieba. Zatkało mnie. Przez dwie minuty nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. Zacząłem go wypytywać, dlaczego, ale nie otrzymałem żadnych konkretów. Powiedział, że George Martin nie był zadowolony z mojej gry. I że chłopakom się wydaje, że nie pasuję. Ale ogólnie nic konkretnego. W końcu powiedziałem, że skoro tak, to cóż, niech tak będzie. Wyszedłem i powiedziałem wszystko Neilowi, który czekał na zewnątrz. Musiałem być blady jak ściana. Powiedziałem, że dostałem kopa w dupę po dwóch latach w zespole. I że nie wiem dlaczego. Powiedziałem, że nie otrzymałem szczerej odpowiedzi. Brian wyszedł porozmawiać z nami. Spytał, czy mógłbym zostać do końca tygodnia i zagrać w czwartek i piątek, póki Ringo nie przyjedzie. Powiedziałem, że pewnie. Szwendałem się bez celu, wypiłem kilka piw. Nie powiedziałem nikomu, co się stało. Nawet nie wiem, jak to się wydało. Ja nikomu nie powiedziałem".

Wiadomość faktycznie wyszła na jaw praktycznie natychmiast, a w Liverpoolu zapanował totalny chaos. „Mersey Beat" ogłosiło to w numerze z 23 sierpnia: „Tylko w »Mersey Beat«. Beatlesi zmieniają perkusistę". Nie podano powodów. Napisano, że wszystko odbyło się polubownie. Na końcu pojawiła się informacja, że 4 września zespół leci do Londynu nagrywać dla EMI. Fani Pete'a Besta, choć może nie tak liczni jak Paula McCartneya, byli wściekli. Ich idol został wywalony ze składu Beatlesów u progu ich chwały. Urządzali marsze ulicami miasta, zbierali się pod NEMS z transparentami, pikietowali w The Cavern i skandowali na koncertach.

John, Paul i George byli atakowani przez fanów Pete'a Besta, ale wrogiem numer jeden stał się dla nich Brian Epstein. „Wylanie Pete'a Besta postawiło mnie w koszmarnej sytuacji. To był właściwie pierwszy poważny problem, na który się natknąłem. Z dnia na dzień stałem się najbardziej znienawidzonym człowiekiem na scenie muzyki rockandrollowej. Przez pierwsze dwa dni nie miałem odwagi pojawić się nawet w okolicy The Cavern, ponieważ zebrał się tam tłum, skandujący: »Pete na zawsze, Ringo

nigdy« albo »Pete jest *the best*». Nie mogłem jednak nie pojawiać się tam zbyt długo, więc Ray McFall załatwił mi ochroniarza”. Fani Pete’a Besta rzucali się na Beatlesów, by ich uderzyć lub podrapać, podczas gdy fani Johna, Paula i George’a bronili swoich idoli. Fani Ringo zupełnie się w to nie mieszali. W całej tej aferze ucierpiało kilka dziewcząt, ale z samych Beatlesów tylko George został poszkodowany, bo zarobił śliwę pod okiem. Po całym mieście krążyły przeróżne plotki. Mal Evans, ówczesny bramkarz z The Cavern, opowiada, że słyszał, jak ludzie mówili, że to dlatego, że Pete się nie uśmiechał. Inni twierdzili, że przyczyną była jego niechęć do zmiany fryzury. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Brian Epstein wcale nie chciał tego zrobić. „Wiedziałem, jak dużą popularnością cieszył się Pete. Był wyjątkowo przystojny i miał wiele fanek. Dobrze się z nim dogadywałem. Myślałem, że jeśli uda mi się do nich w ogóle dotrzeć, to właśnie przez Pete’a, bo on był najbardziej przystępny, najmniej skomplikowany. Było mi więc bardzo przykro, gdy pozostała trójka przyszła do mnie pewnego wieczoru i powiedziała, że go nie chce. Że chce Ringo. Od jakiegoś czasu mieli takie plany, ale myślałem, że nigdy do tego nie dojdzie”.

Ponieważ Brian tak bardzo nie chciał wykonać tego przykrego obowiązku, podał inne powody, na przykład że George’owi Martinowi nie spodobała się gra Pete’a, co było prawdą jedynie połowiczną, ale na pewno nie stanowiło głównego powodu wyrzucenia go z zespołu. „Zaproponowałem mu, żeby przeszedł do innej kapeli. Trochę się zdenerwowałem, gdy nie pojawił się tego wieczoru w Chester, skoro powiedział, że zagra. Liczyłem na niego. Nie zdawałem sobie sprawy, że nie potrafiłby stanąć twarzą w twarz z chłopakami”. „Niby jak? – mówi Pete. – I jaki byłby tego sens, skoro i tak mnie nie chcieli? Przez dwa tygodnie nie wychodziłem z domu. Nie wiedziałem, co robić. Dziewczyny przychodziły pod mój dom przez cały ten czas, rozbijały namioty w ogrodzie i nawoływały mnie”.

Neil uważa, że największą winę za usunięcie Pete’a ponosi George. Według niego John był z Pete’em dosyć blisko, a Paul w życiu nie zrobiłby czegoś takiego w pojedynkę. Oczywiście wszyscy się na to zgodzili, ale to George najbardziej naciskał na Briana, ponieważ to on był największym fanem Ringo. Neil uważa, że to, iż właśnie George dostał strzała w oko, dowodzi tej teorii.

Pani Best ma najprostszą z możliwych teorii. „To beat Pete’a ich stworzył. Byli zazdrośni i chcieli się go pozbyć. Pete nie zdawał sobie sprawy, jak wielu ma fanów, póki nie wyleciał z zespołu. Zawsze był taki cichy i nieśmiały, nigdy nie darł mordy, jak co poniektórzy, nie wytykając palcami. Był ich menedżerem, zanim pojawił się Brian, załatwiał koncerty, zbierał pieniądze. Miałam ich za przyjaciół. Bardzo im pomogłam, przy organizacji występów lub pożyczając im pieniądze. Karmiłam ich, gdy chodzili głodni. Wykazałam o wiele więcej zainteresowania niż którykolwiek z ich rodziców”. Złość pani Best można w pewnym sensie zrozumieć. Wyrzucenie Pete’a to jeden z kilku niejasnych incydentów w historii zespołu The Beatles. Było coś podstępnego w stylu, w jakim załatwiono tę sprawę. Fakt, większość z nas postąpiłaby tak samo i zrzuciła ten przykry obowiązek na menedżera. Ale z drugiej strony każdy z nich, zwłaszcza John, był niezwykle szczery i prawdomówny. Pani Best ma też rację co do tego, że Pete służył im tak dobrze przez długi czas. Nie ma natomiast krzty prawdy w tym, że zespół opierał się na brzmieniu Pete’a Besta, choć oczywiście jego perkusja była jednym z elementów ich sukcesu.

„Po powrocie z Niemiec – opowiada Pete – grałem bardzo głośno na bębnie basowym, zapodając solidny beat. Wtedy była to zupełna nowość w Liverpoolu, ponieważ wszystkie zespoły grały w stylu Shadowsów. Nawet Ringo w zespole Rory’ego Storma zaczął naśladować nasz beat i po chwili wszyscy w Liverpoolu tak grali. Ten styl gry na perkusji miał wiele wspólnego z głośnym brzmieniem, które stworzyliśmy”. Pozostali twierdzą,

że głównym powodem, dla którego Pete grał z nimi aż tyle czasu, było to, że początkowo przez tak długi okres mieli problemy z utrzymaniem perkusisty. Chcieli mieć jakiegokolwiek, ponieważ bez perkusji nie mogli się rozwijać. Gdy zjawił się niezły, trzymali się go. Niekoniecznie dlatego, że był świetny, ale dlatego, że wiedzieli, jak to jest nie mieć perkusisty. „Ale skoro nie byłem taki dobry, to po co trzymaliby mnie przez dwa i pół roku? Gdy po raz pierwszy wróciliśmy do Liverpoolu, czemu wtedy nie znaleźli sobie nowego perkusisty? Było ich na pęczki. Czemu wtedy nie zaprosili Ringo do współpracy, zamiast dwa lata później, u progu sukcesu?”. Dobra gra na perkusji jest trudna do zdefiniowania, ale różnice charakterów stanowią znaczący dowód na to, że Pete po prostu nie pasował, jak zauważyli Astrid i Klaus już w Hamburgu, choć sam zainteresowany wydawał się zupełnie tego nieświadomy. Zupełnie inaczej było ze Stu, który od samego początku to rozumiał, gdy chłopcy się go czepiali. Pete założył, że po tak długim okresie jest integralną częścią zespołu i nic dziwnego, że koniec tak bardzo go zaskoczył.

Faktem jest, że z uwagi na karierę Pete’a wszystko, co nastąpiło później – sposób załatwienia tej sprawy, a szczególnie podania jej do wiadomości – mogło być znacznie bardziej taktowne i uczciwe. Można mu było załatwić miejsce w innym zespole, zanim wieści się rozeszły. Oczywiście łatwo teraz mówić, wówczas jednak nikt nie mógł przewidzieć, jak wielki sukces odniosą Beatlesi i co ominie Pete’a. Sami Beatlesi czuli się trochę winni, ale twierdzą, że była to ich wspólna decyzja, a nie wyłącznie George’a. Nigdy nie czuli, że Pete jest jednym z nich, i rozstanie z nim było tylko kwestią czasu. „Okazaliśmy się tchórzami, gdy go wyrzucaliśmy – mówi John. – Zrzuciliśmy to na Briana. Ale gdybyśmy mu to powiedzieli twarzą w twarz, byłoby dużo bardziej nieprzyjemnie. Pewnie doszłoby do rękoczynów”. Pete odszedł i stracił swoją szansę na karierę w show-biznesie. Cała ta sprawa przyniosła jednak zespołowi jedną olbrzymią korzyść. Nazywała się Ringo Starr.

Rozdział 18
Ringo

Ringo, a właściwie Richard Starkey, jest najstarszym z Beatlesów. Gdyby jego dziadek nie zdecydował się na zmianę nazwiska, dziś nazywałby się Parkin. Gdy matka dziadka wyszła drugi raz za mąż i zmieniła nazwisko z Parkin na Starkey, jego dziadek również postanowił je przyjąć. Wprowadziło to potem sporo zamieszania, gdy Ringo postanowił zgłębić historię swojego pochodzenia. Nazwisko Starkey wywodzi się bowiem podobno z Szetlandów.

Elsie Gleave, mama Ringo, poślubiła jego ojca, Richarda Starkeya, w 1936 roku. Poznali się, pracując w jednej z liverpoolskich piekarni. Elsie jest niską, korpulentną blondynką, obecnie bardzo podobną z wyglądu do pani Harrison. Po ślubie para zamieszkała z rodzicami Richarda w Dingle, które, zaraz po Scotland Road, ma reputację najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Liverpoolu. Mieści się ona w centrum miasta, niedaleko doków, i jest zdecydowanie mniej porządna niż przedmieścia, na których dorastali John, Paul i George. „W Dingle jest pełno kamienic – opowiada Ringo. – A w tych małych pudełeczkach gnieżdżą się ludzie, którzy marzą tylko o tym, żeby się z nich wydostać. Przedstawiałeś się jako człowiek z Dingle, a mieszkańcy pozostałych części Liverpoolu reagowali tak: »Aha, pewnie jest trudny«, co oczywiście w większości przypadków wcale nie było prawdą”.

Tuż przed narodzinami Ringo Elsie i Richard Starkeyowie kupili niewielki domek. Nie był to dom czynszowy, choć znajdował się przy Madryn Street – ulicy zabudowanej dwupiętrowymi szeregowcami. Ich dom był większy od pozostałych. Standardowo w takim szeregowcu znajdowały się dwa pokoje na górze i dwa na dole, podczas gdy u Starkeyów były dwa dodatkowe pomieszczenia – po jednym na każdym

poziomie. W 1940 roku płacili czternaście szylingów i dziesięć pensów czynszu tygodniowo. „Zawsze byliśmy bardzo przeciętną rodziną, ot, biedna klasa robotnicza, zarówno po stronie matki, jak i ojca – opowiada Ringo. – Choć w rodzinie krąży taka plotka, że moja praprababka była całkiem bogata. Miała ponoć chromowane ogrodzenie wkoło domu. Ale może tylko zmyślam. Wiesz, jak to jest, jak się o czymś marzy albo matka ci coś powie i zaczynasz wierzyć, że sam byłeś tego świadkiem. Ale mama mojej mamy naprawdę była bardzo biedna. Miała czternaścioro dzieci”. Ringo przyszedł na świat tuż po północy, w nocy z 6 na 7 lipca 1940 roku w domu przy Madryn Street, pod numerem dziewiątym. Poród nastąpił tydzień po terminie. Urodził się w otwartymi oczami i bacznie rozglądał się dookoła. Matka mówiła wszystkim sąsiadom, że na pewno kiedyś już tu mieszkał.

Mama Ringo miała wówczas dwadzieścia sześć, a ojciec dwadzieścia osiem lat. Swojemu pierwszemu i jedynemu dziecku dali na imię Richard. Wśród klasy robotniczej panowała taka tradycja, by nadawać pierwszemu synowi imię po ojcu. Zdrobniale wołali na niego Ritchie, podobnie jak kiedyś wołano na jego ojca i jak do dziś mówi się w rodzinie na nich obu. Pani Starkey pamięta, że leżąc w łóżku i odzyskując siły po porodzie, usłyszała pierwsze syreny zwiastujące naloty. Zaczęło się bombardowanie Liverpoolu. W Dingle miasto nie zdążyło wybudować schronów z prawdziwego zdarzenia. Pierwsze poważne bombardowania zaczęły się kilka tygodni później. Starkeyowie oraz dwaj sąsiedzi, którzy akurat wpadli z wizytą, pobiegli się schować w komórce na węgiel pod schodami. Ritchie zaczął płakać. Dopiero wtedy matka zorientowała się, że w panice zarzuciła go na ramię głową w dół. Gdy przywróciła go do naturalnej pozycji, przespał cały nalot. Tą opowieścią również od razu podzieliła się z sąsiadami i dzieli się nią po dziś dzień.

Rodzice Ritchiego rozstali się, gdy ten miał zaledwie trzy lata. Od tego czasu widział swego ojca tylko trzy razy. Nie było jednak dramatów i

histerii, jak w przypadku rodziców Johna. Było to raczej rozstanie ciche i polubowne. Elsie zabrała dziecko i ostatecznie rozwiodła się z mężem. Ringo z matką zostali więc sami w domu przy Madryn Street, ale wkrótce czynsz stał się zbyt dużym obciążeniem finansowym i przenieśli się ulicę dalej, na Admiral Grove pod numer dziesiąty. Był to czteropokojowy dom, a czynsz w 1940 roku wynosił dziesięć szylingów tygodniowo. Najwcześniejsze wspomnienia Ringo sięgają czasów tuż przed przeprowadzką. Sądzi, że mógł mieć wówczas około pięciu lat. „Pamiętam, że siedziałem na czarnej plandece wozu, który przewoził nasz dobytek na Admiral Grove”. Nie pamięta rozstania rodziców, jedynie dwukrotne spotkanie z ojcem z czasu, gdy był bardzo mały, oraz jeszcze jedno, gdy był już nastolatkiem. „Raz przyszedł mnie odwiedzić w szpitalu. Miał ze sobą notatnik i spytał, czego potrzebuję. Potem widziałem go raz u babci Starkey. Chciał mi dać jakieś pieniądze, ale nie miałem ochoty z nim gadać. Pewnie matka trochę mnie do niego uprzedziła. Ale w sumie uważam, że gdyby stało się odwrotnie i zostałbym z ojcem, myślałbym zupełnie inaczej”.

Ringo chyba jednak musiał widywać ojca znacznie częściej niż trzy razy, ponieważ dużo czasu spędzał u babci Starkey. Minęło sporo czasu, zanim ojciec, pracujący ciągle w piekarni, wyprowadził się z Liverpoolu i ponownie się ożenił. Elsie nie pamięta, żeby Ringo jakoś specjalnie przeżywał ich rozstanie ani nawet żeby wypytywał, co dokładnie się wydarzyło. „Czasami mówił, że szkoda, że jesteśmy tylko we dwoje. Podczas deszczu wyglądał przez okno i mawiał: »Chciałbym mieć braci albo siostry. Nie ma z kim pogadać, kiedy pada«”.

Ritchie poszedł do szkółki niedzielnej w wieku lat czterech, a do podstawówki rok później. Była to szkoła St. Silas’s, oddalona jakieś trzysta metrów od jego domu. Zbudowana w 1870 roku, mieściła się w wyblakłym wiktoriańskim domu z czerwonej cegły i należała do tak zwanych szkół

państwowych[94]. Elsie dostawała na dziecko alimenty w wysokości trzydziestu szylingów tygodniowo, ale i tak nie mogli z tego wyżyć, więc musiała poszukać pracy. Jeszcze jako panna imała się różnych zajęć, była na przykład barmanką, więc do tego właśnie zawodu postanowiła wrócić. Zawsze to lubiła – była wesoła, przyjacielska i sprawiało jej przyjemność towarzystwo ludzi. Godziny pracy także jej odpowiadały, więc stanęła za barem, jeszcze zanim Ringo poszedł do szkoły. Brała poranne i południowe zmiany i zarabiała osiemnaście szylingów na tydzień. Ringo zostawał z babcią Starkey lub u sąsiadów. „Nigdy nawet nie pomyślałam, żeby oddać go do domu dziecka. Był moim synem. Pracując za barem, byłam w stanie nas utrzymać. W barach było wtedy sporo pracy, bo trwała wojna”.

W wieku sześciu lat Ritchie dostał zapalenia woreczka żółciowego. Woreczek pękł i skończyło się na zapaleniu otrzewnej. Trafił do szpitala dziecięcego przy Myrtle Street, gdzie przeszedł dwie operacje. „Pamiętam, jak mi się to stało i jak na noszach wynosili mnie z domu do karetki. W szpitalu jakaś siostra zaczęła walić mnie w brzuch. Tak mi się przynajmniej wydawało. Pewnie tylko mnie dotykała. Zawiozła mnie na wózku na salę operacyjną, a ja poprosiłem o herbatę. Powiedziała, że przed operacją nie można, ale że przyniesie mi, jak będzie po wszystkim. Zapadłem w śpiączkę, z której obudziłem się dopiero po dziesięciu tygodniach”. W sumie spędził w szpitalu ponad dwanaście tygodni. Raz już mu się poprawiło, ale spadł z łóżka, gdy podawał prezent urodzinowy chłopcu leżącemu po sąsiedzku. Rodzicom nie wolno było odwiedzać dzieci – sądzono, że byłby to za duży szok dla małych pacjentów. Ale w pewnym momencie było z Ritchiem tak źle, że pozwolono matce zajrzeć do niego późno w nocy, gdy skończyła zmianę.

Wyszedł ze szpitala w wieku siedmiu lat i wrócił do St. Silas’s. Nigdy nie był najbystrzejszym uczniem, a po tak długim okresie w szpitalu miał spore zaległości – nie umiał jeszcze nawet czytać i pisać. Ringo uważa, że

pewnie w życiu by się nie nauczył, gdyby nie Marie Maguire. Jej mama i mama Ritchiego były najlepszymi przyjaciółkami i kiedy razem wychodziły, zostawiały go pod opieką Marie. „Nie patyczkowałam się z nim, bo byłam o cztery lata starsza – opowiada Marie. – Ritchie był prawie jak członek rodziny, do tego stopnia, że czasem ludzie pukali do naszych drzwi, mówiąc: »Wasz Ritchie zrobił to a to«. Gdy jadał z nami, a akurat był sos, musiałam wybierać mu cebulę. Nienawidził cebuli. Stale na niego przeklinałam. Moje pierwsze wspomnienie związane z nim pochodzi z czasów, jak miał chyba trzy latka. Była okropna burza i przez okno widziałam, jak Ritchie i jego mama tulą się przestraszeni w przedpokoju.

Gdy wyszedł ze szpitala, zaczęłam go uczyć czytać i pisać. Nie był głupi, po prostu miał duże zaległości. Dobrze to zorganizowaliśmy. Dawałam mu lekcje dwa razy w tygodniu, a w zamian dostawałam od jego mamy kieszonkowe. Kupiłam *Primary Readers*[95] Chambersa i czytaliśmy ją razem przy kuchennym stole. Zajmowałam się nim w sobotnie wieczory, gdy nasze mamy wychodziły razem na miasto. Zostawiały nam kilka butelek lemoniady i słodycze. Raz pamiętam, że zdjął koszulę, a ja pomalowałam mu całe plecy farbkami. Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się to dość prymitywną zabawą. Kiedyś przyprowadził do mnie swoją dziewczynę i upierał się, że ma na imię Żelatyna. Zawsze go lubiłam. Był wesoły i wyluzowany, zupełnie jak mama. Miał przepiękne, wielkie, błękitne oczy. Nigdy nie zauważyłam, że ma duży nos. Zorientowałam się, że faktycznie tak jest, dopiero po latach, gdy prasa zwróciła na to uwagę”.

Przez wiele lat Marie była jego najlepszą przyjaciółką, ale spędzał równie dużo czasu z obiema babciami, zwłaszcza gdy mama była w pracy. „Babcia Gleave, mama mojej mamy, mieszkała sama, ale miała przyjaciela, pana Lestera, który często przychodził i grał jej na harmonijce ustnej. Oboje mieli około sześćdziesiątki. »Ta, ta, wiemy, o co chodzi z tym graniem na harmonijce wieczorami«, śmialiśmy się w rodzinie. Babcia nie chciała za

niego wyjść i w końcu pan Lester poślubił kogoś innego. Uwielbiałem odwiedzać dziadka Starkeya, gdy przegrywał kupę kasy na wyścigach konnych. Szalał z rozpaczy. Stanowili świetną parę. Potrafili się naprawdę kłócić. On był kotłowym w dokach, prawdziwym twardzielem, ale robił dla mnie przecudne rzeczy. Raz zrobił mi wielki pociąg z prawdziwym ogniem w środku. Była niezła zabawa, gdy puszczałem go po ulicy. Gotowałem w nim jabłka".

Ringo niewiele pamięta z okresu nauki w St. Silas's, oprócz tego, że chodził na wagary i łapał dzieciaki na boisku, żeby odebrać im drobne. „Podkradaliśmy czasem to i owo z Woolworths – ot, byle co, co się zmieściło w kieszeni". Innym razem ciocia Nancy zauważyła, że nigdzie nie może należć naszyjnika z pereł. Okazało się, że Ritchie próbował sprzedać go za sześć szylingów pod pubem przy Park Street.

W wieku jedenastu lat Ringo poszedł do szkoły Dingle Vale. Nie przystąpił do egzaminu Eleven Plus, oblał bowiem dopuszczający do niego test wstępny. „Do nauki zapalał się sporadycznie – opowiada Elsie – a potem wagarował. Razem z kolegami stawali przed budynkiem szkoły, a potem, gdy odzywał się dzwonek na lekcję, po prostu nie wchodzili do środka i twierdzili, że zamknięto szkołę na klucz, zanim zdążyli wejść. Cały dzień spędzali więc na zabawach w parku Sefton". Tuż po jedenastych urodzinach Ritchiego jego mama zaczęła umawiać się z pewnym malarzem-dekoratorem z Liverpool Corporation – Harrym Gravesem, londyńczykiem z okolic Romford. Dużo chorował i lekarz zalecił mu zmianę klimatu. Nie wiedzieć czemu, postanowił spróbować klimatu w Liverpoolu. Sam dziś nie pamięta powodów tej decyzji. Poznał Elsie przez wspólnych znajomych, państwa Maguire'ów. Od samego początku miał dobry kontakt z Ritchiem. Dwa lub trzy razy w tygodniu chodzili razem do kina. „Powiedziałam Ritchiemu, że Harry mi się oświadczył. Gdyby się nie zgodził, nie wyszłabym za niego, ale powiedział: »Wyjdź za niego, mamo.

Przecież nie zawsze będę mały. Nie chcesz skończyć jak babcia«”. Chodziło mu o tę, która nie wyszła za pana Lestera i jego harmonijkę.

Harry Graves i Elsie Starkey wzięli ślub 17 kwietnia 1953 roku, gdy Ritchie miał już prawie trzynaście lat. Wkrótce potem Elsie rzuciła pracę. Harry wspomina, że nigdy nie było między nim a Ritchiem żadnych niedomówień. Elsie twierdzi, że jej syn był okropny – gdy mówiła mężowi, że pyskuje, on tylko się uśmiechał i wzruszał ramionami. W wieku trzynastu lat Ritchie przeszedł kolejną poważną chorobę. Złapał przeziębienie, z którego rozwinęło się zapalenie opłucnej, a następnie zapalenie płuc. Po raz drugi trafił do szpitala przy Myrtle Street, a następnie do dziecięcego szpitala w Heswall. By poprawić mu humor i dać impuls do wyzdrowienia, Harry zapisał go do fanklubu Arsenalu. Znowu do końca nie pamięta dlaczego – sam był i nadal jest fanatycznym kibicem West Ham United. „Ale wtedy Arsenal otaczał jakiś taki splendor. Pomyślałem, że małemu się to spodoba”. Podczas pobytu Ritchiego w szpitalu ówczesny menedżer Arsenalu Tom Whittaker akurat był w Liverpoolu. Harry napisał do niego, sugerując, że byłby to niesamowicie miły gest, gdyby odwiedził w szpitalu jednego z najbardziej zagorzałych młodych fanów klubu. Pan Whittaker nie mógł tej prośby spełnić, ale napisał bardzo serdeczny list, czym, jak wynika z opowieści Harry’ego, bardzo wzruszył Ritchiego. Sam Ritchie zupełnie nie pamięta niczego na temat listu ani nawet tego, że należał do fanklubu Arsenalu. Ma za to wiele innych dobrych wspomnień związanych z osobą Harry’ego, odkąd tylko pojawił się w ich życiu. „Przynosił mi mnóstwo amerykańskich komiksów. Harry był super. Zawsze brałem jego stronę, kiedy się kłócili z mamą. Ona się za bardzo rządziła, więc robiło mi się go żal. Od niego nauczyłem się delikatności. Przemoc jest zupełnie zbędna”.

Tym razem Ritchie spędził w szpitalu prawie dwa lata, od trzynastego do piętnastego roku życia. „Podsuwano mi różne rzeczy, żebym czymś się zajął, na przykład robienie na drutach. Zrobiłem wielką wyspę z *papier-*

mâché i zagrodę pełną zwierząt. Pobiłem się też raz z jednym chłopakiem. Dostał szału i walnął mi taką wielką tacą, że prawie zmiażdżył mi palce". Ritchie wyszedł ze szpitala w wieku piętnastu lat, gdy nie obejmował go już obowiązek szkolny, mimo że niewiele z tego czasu spędził w szkole. Musiał wrócić do Dingle Vale Secondary Modern po ostateczne świadectwo, którym mógłby się legitymować podczas poszukiwania pracy. Mówi, że nikt go tam już nie pamiętał – tak długo go nie było. Zanim mógł zacząć szukać pracy, musiał w pełni powrócić do zdrowia. Mama bardzo się martwiła, że nie uda mi się znaleźć pracy. Wiedziała, że nie ma na tyle siły, by podjąć ciężką pracę fizyczną, oraz wykształcenia, by pracować umysłowo. Przedstawiciel z urzędu pracy, zajmujący się bezrobociem wśród młodzieży, znalazł mu posadę gońca na kolei za pięćdziesiąt szylingów tygodniowo. „Poszedłem odebrać mundur, ale dali mi tylko czapkę. Co za beznadziejna praca, pomyślałem. Dopiero po dwudziestu latach przysługuje ci kompletny mundur. Rzuciłem to po sześciu tygodniach. I nie chodziło tylko o ten mundur. Trzeba było przejść badanie lekarskie, a ja go nie przeszedłem. Potem przez sześć tygodni pracowałem jako barman na statku kursującym pomiędzy Liverpoolem i północną Walią. Wybrałem się raz na całonocną imprezę, upiłem się i prosto stamtąd poszedłem do pracy. Byłem niegrzeczny wobec szefa i usłyszałem tylko: »Zbieraj się stąd, synku«".

Znajomi Harry'ego załatwili mu pracę w firmie H. Hunt i Syn. „Miałem zostać spawaczem, ale przez dwa miesiące nie robiłem nic, tylko jeździłem po mieście rowerem i zbierałem zamówienia. Miałem już wówczas skończone siedemnaście lat i wkurzałem się, że nie zaczynam praktyki. Poszedłem się więc z nimi rozmówić, ale powiedzieli, że nie mają wolnych miejsc dla spawaczy i spytali, czy nie chciałbym zostać monterem, więc się zgodziłem. Zawsze to fach. Każdy ciągle mi powtarzał: będziesz miał fach, to nie zginiesz". Chyba jednak nikt nie wierzył w to, że nie zginie. Był niski, wątłego zdrowia, niedożywiony i bardzo niedouczony. „Miał

wyjątkowo trudne dzieciństwo – mówi Marie Maguire, jego nauczycielka czytania i pisania. – Pochodził z rozbitej rodziny, przebył dwie długie choroby. Miałam tylko nadzieję, że będzie szczęśliwy. Nie bogaty czy coś, ale po prostu szczęśliwy". Te dwie choroby musiały na niego wpłynąć, bo nie za bardzo potrafił się przystosować do nowego środowiska, czy to w szkole, czy w pracy, i do normalnego życia w ogóle. Dziś nie potrafi nawet przywołać nazwisk nauczycieli, za to dobrze pamięta dwie pielęgniarki, które się nim opiekowały: siostrę Clark i siostrę Edgington. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek był nieszczęśliwy – uważa, że miał udane dzieciństwo.

Prawdziwa ironia losu – gdy wrócił po świadectwo do Dingle Vale, nikt go nie pamiętał, a kilka lat później, podczas dni otwartych, wystawiono ławkę, w której rzekomo siedział Ringo Starr, i pobierano opłatę w wysokości sześciu pensów za możliwość sfotografowania się przy niej.

Rozdział 19
Ringo i Beatlesi

Jako dziecko Ringo nie okazywał najmniejszego zainteresowania muzyką. Nie umiał też grać na żadnym instrumencie. „Fakt, mieliśmy zespół na oddziale szpitalnym – czterech chłopców na cymbałkach i dwóch na trójkątach. Ja nie chciałem grać, skoro nie mogłem na perkusji”. Dopiero gdy Ringo podjął pracę w charakterze montera stażysty, rozpoczęła się w kraju moda na skiffle. Sam Ringo pomagał w założeniu zespołu Eddie Clayton Skiffle Group, który przygrywał stażystom podczas lunchów w kantynie. Jego pierwsza perkusja nie była oczywiście nowa. Grał na używanym zestawie, który kupił ojczym, gdy jeszcze mieszkał w Romford. Zapłacił za niego dziesięć funtów. „Przywiozłem go z Londynu drezyną – mówi Harry. – Gdy stałem na Lime Street i czekałem na taksówkę do domu, zauważyłem Joego Lossa. Jeśli zapyta mnie, czy umiem grać, będę musiał odpowiedzieć, że nie, pomyślałem. Na szczęście mnie nie zauważył”.

Swój pierwszy nowy zestaw perkusyjny Ringo kupił za sto funtów. Musiał poprosić dziadka o pięćdziesiąt funtów na zaliczkę. „Gdy dziadek odmawiał mu choćby szylinga, Ringo odstawiał taniec wojenny – opowiada Elsie. – Tym razem dziadek postanowił skonsultować pożyczkę ze mną. »Ty wiesz, czego ten twój Bystrzak sobie zażyczył?«, spytał. Zawsze go tak nazywał. Ostatecznie dał mu pieniądze, a Ritchie spłacił pożyczkę honorowo, co tydzień oddając dziadkowi funta z wypłaty”. Matka trochę się martwiła, że gra w zespole zajmuje mu za dużo czasu, bo przecież miał zapisać się na zajęcia w Riverdale Technical College, żeby nadrobić zaległości w nauce. Za to Harry, ojczym chłopca, bardzo się interesował jego skifflowym zespołem. Uważał, że chłopak przynajmniej ma jakieś

hobby. Pewnego wieczoru Harry poznał w barze muzyka, który powiedział mu, że gra w zespole. Obiecał, że da Ritchiemu szansę, więc Harry umówił ich na spotkanie. Ritchie wrócił z niego wściekły. Okazało się, że zespołem tym był Prize Silver Band[96]. Chcieli zawiesić mu wielki bęben na szyi, żeby maszerował z nimi ulicami i walił weń bum, bum, bum – w rytm marsza wojskowego. Nie żeby w zespole Eddiego Claytona robił coś więcej. W sumie to nawet nie było żadnego Eddiego Claytona. W rzeczywistości liderem zespołu był Eddie Miles, który zmienił nazwisko – by brzmieć jak profesjonalista – na Eddie Clayton, jak tylko założył zespół, na tej samej zasadzie, co Paul, George i John zmienili swoje, gdy pojechali na występy do Szkocji.

Ostatecznie po serii tych samych konkursów skifflowych, w których brali udział Beatlesi, i występach na podobnych imprezach, Ritchie przeszedł do zespołu Rory'ego Storma. Gdy zaproponowano mu granie przez cały sezon letni w ośrodku wczasowym Butlins, Ringo musiał podjąć decyzję, czy jechać, ponieważ oznaczało to, że musiałby rzucić pracę. Miał wówczas dwadzieścia lat, a do końca stażu został mu jeden rok. „Wszyscy mówili mi, żebym nie rezygnował, i pewnie mieli rację. Ale ja po prostu bardzo chciałem to zrobić. W firmie Hunt zarabiałem wtedy sześć funtów tygodniowo, a za granie wieczorami dodatkowo osiem. W Butlins chcieli mi dać dwadzieścia funtów za tydzień. Po odjęciu kasy za domek wychodziło szesnaście". W tym czasie zespół Rory'ego był już w Liverpoolu jednym z najpopularniejszych, ale trzynastotygodniowy kontrakt z Butlins okazał się prawdziwym przełomem. „Od teraz każdy miał znać nasze nazwiska, więc musieliśmy wymyślić takie, które byłyby warte zapamiętania. Rory Storm już dwukrotnie zmieniał swoje. Naprawdę nazywa się Alan Caldwell i najpierw przedstawiał się jako Jet Storme, a potem jako Rory Storm". To właśnie podczas tego kontraktu Richard Starkey stał się Ringo. Wcześniej czasami kumple wołali na niego Rings[97].

Swój pierwszy pierścień dostał od matki na szesnaste urodziny. Gdy zmarł dziadek Starkey, otrzymał kolejny – szeroką, złotą obrączkę, którą nosi do dziś. W wieku dwudziestu lat nosił już cztery pierścienie. Podczas występów dla Butlins jego nazwisko uproszczono do Starr, żeby można było zapowiadać jego solówki jako Star Time[98]. Rings przekształciło się w Ringo, które znacznie lepiej komponowało się z jednosylabowym nazwiskiem.

Po powrocie do Liverpoolu Ringo obchodził hucznie dwudzieste pierwsze urodziny w domu przy Admiral Grove. Przyszły wszystkie czołowe zespoły z Liverpoolu, w tym Gerry and the Pacemakers, The Big Three oraz Cilla Black. Beatlesi się nie pojawili, a Ringo ich nie znał. Pochodzili w końcu z innej części Liverpoolu i byli jednym z wielu zespołów walczących o sławę. Salon w domu przy Admiral Grove jest maleńki – zaledwie trzy na trzy i pół metra – ale jakimś cudem pomieścił na tej imprezie sześćdziesiąt osób. Liczba gości jest znana, ponieważ Ringo ustawił ich wszystkich później do zdjęcia na kupie gruzu po drugiej stronie ulicy. Elsie, mama Ringo, od dawna znała Cillę Black jako Cillę White – dziewczynę z sąsiedztwa. Przez cały rok co środę po pracy przychodziła do pani Starkey z koleżanką. Piła herbatę, a potem czesała Elsie.

Po udanym trzynastotygodniowym kontrakcie z Butlins pojawiły się nowe propozycje. Zespół pojechał w trasę po amerykańskich bazach wojskowych we Francji, ale Ringo przyznaje, że było beznadziejnie. „Francuzi nie lubią Anglików, a przynajmniej ja nie lubiłem ich”. Zespół Rory’ego cieszył się tak dużą popularnością, że gdy po raz pierwszy zaproponowano im wyjazd do Hamburga, odmówili. Pojechali jednak później, dołączając do grających już wtedy w Kaiserkeller Beatlesów. To właśnie tam muzycy obu zespołów się poznali. Ringo pamięta jak przez mgłę, że chyba raz widział ich wcześniej w Liverpoolu. Zajrzał kiedyś do klubu Jacaranda i patrzył, jak uczą Stu grać na basie.

W Hamburgu Ringo spędzał z Beatlesami cały czas pomiędzy sesjami a numerami na zamówienie. Wrócił do Liverpoolu z Rorym, ale jeszcze raz pojechał do Hamburga sam, jako muzyk akompaniujący Tony'emu Sheridanowi. Tym razem poważnie rozważał pozostanie tam na dobre. Dostał nawet propozycję kontraktu na cały rok w zamian za mieszkanie, samochód i trzydzieści funtów tygodniowo. Postanowił jednak wrócić do Liverpoolu i do zespołu Rory'ego na kolejne koncerty w Butlins. To wtedy otrzymał propozycję przejścia do Beatlesów. Zadzwonił do niego John i powiedział, że musiałby sczesać włosy na dół, ale nie musi golić swoich słynnych baków. Z początku Ringo musiał znosić wyzwiska ze strony fanek Pete'a, otrzymywał też listy z pogróżkami. „Dziewczyny uwielbiały Pete'a. A ja? Ja byłem zaniedbanym, brodatym chudzielcem. Brian też wcale mnie nie chciał. Uważał, że nie mam odpowiedniej osobowości. Zresztą po co brać brzydala, skoro ma się przystojniaka?".

To pieniądze okazały się największą zachętą. „Dostałem w tym samym czasie propozycję od zespołu King Size Taylor and The Dominoes. Miałem zarabiać dwadzieścia funtów tygodniowo. Beatlesi zaproponowali dwadzieścia pięć, więc się zdecydowałem". Zupełnie jak w przypadku pozostałej trójki, i chyba wszystkich zbiegów okoliczności w życiu, ich drogi mogły się nigdy nie skrzyżować. Dużo wcześniej przez jakiś czas Ringo chciał nawet wyemigrować do Stanów. Pewnego dnia przeglądali z kumplem płyty i doczytali się, że „Lightnin' Hopkins[99] pochodzi z Houston w stanie Teksas". Poszli do konsulatu amerykańskiego w Liverpoolu i oświadczyli, że chcą jechać do Houston w Teksasie. Konsul powiedział, że najpierw muszą znaleźć pracę, Ringo zatrudnił się więc w fabryce. „A potem przysłali nam do uzupełnienia takie wielkie formularze, czy przypadkiem dog dziadka nie był komuchem. Nic z tego nie rozumiałem. Gdybym zrozumiał, na pewno bym pojechał".

Z Ringo – pasującym do zespołu nie tylko pod względem stylu gry, ale i charakteru – Beatlesi byli teraz numerem jeden na liverpoolskiej scenie muzycznej. Za menedżera mieli dżentelmena i nawiązali przynajmniej jeden obiecujący kontakt w Londynie. Niestety ich sukces, mimo że dopiero na niewielką skalę, zaczął negatywnie wpływać na pewne relacje, które zwłaszcza Ringo bardzo sobie cenił. „W pewnym czasie w Liverpoolu powstało tak wiele zespołów, że często zastępowaliśmy się wzajemnie podczas występów. To była taka specyficzna społeczność. Chodziliśmy w te same miejsca, graliśmy dla siebie nawzajem. Sielanka. Gdy zaczęły się kontrakty z wytwórniami płytowymi, nie było już tak miło. Jednym się udało, innym nie. Spotykało się na przykład któregoś ze znajomych, a on mówił: »Spoko, stary, ale jakie wariactwo. Właśnie byłem na nagraniu, ale nie wydadzą mi tego. Mówią, że za bardzo przypominam Raya Charlesa«. I tak cała społeczność się rozsypała, a ludzie zaczęli pałać do siebie niechęcią. Przestałem chodzić do naszych stałych miejsc. To był jednak jeden z najlepszych okresów w moim życiu, te początki w Liverpoolu. Tak jak na moich dwudziestych pierwszych urodzinach, wszyscy razem”.

Tymczasem Beatlesi, w kompletnym już składzie, czekali na wiadomość od George’a Martina, który miał ustalić ostateczną datę nagrania. Inne kawałki układanki zaczynały wreszcie do siebie pasować. Brian w końcu przyznał, że prowadzenie dwóch sklepów muzycznych i zarządzanie zespołem to za wiele dla jednej osoby, co zresztą stale powtarzał mu ojciec. Postanowił przekazać kierownictwo sklepu w Whitechapel w ręce Petera Browna, który wcześniej zarządzał tym przy Great Charlotte Street. Sam natomiast skoncentrował się na NEMS Enterprises, tylko czasem opuszczając swe biuro na piętrze i wpadając do sklepu, by sprawdzić, jak Peter sobie radzi. Wizyty te zawsze kończyły się kłótnią, ponieważ Brian nie mógł zdzierżyć, że ktoś zmienia idealną według niego aranżację wnętrza. Po jednej z takich awantur Peter wyleciał z pracy, choć później Brian zatrudnił go z powrotem.

Za to nigdy nie dochodziło do starć między nim a Beatlesami. Najbliżej kłótni można chyba określić pewien incydent z udziałem Paula. Pewnego wieczoru wszyscy przyjechali po niego, ale akurat brał kąpiel i nie chciał wyjść. „Krzyknąłem, żeby zaczekali i że skończę za kilka minut. Gdy wyszedłem z łazienki, ich już nie było, pojechali wszyscy razem z Brianem. Pomyślałem więc sobie, że w dupie ich mam. Byłem wtedy porywczym głupkiem. Uznałem, że jeśli oni mają gdzieś czekanie na mnie, to ja mam gdzieś gonienie za nimi. Zasiadłem więc przed telewizorem". Prawdziwy powód zachowania Paula był taki, że wbił sobie do głowy, że powinien się buntować. „Ja zawsze byłem tym hej do przodu, tym, któremu zawsze się chce, zagadującym menedżerów, robiącym konferansjerkę. Może początkowo po prostu chciałem się pokazać, a może byłem w tym lepszy od pozostałych. Tak czy inaczej, tak mi się zawsze wydawało". To właśnie ten bunt doprowadził do konfliktu między Paulem a Brianem, ale nie było to nic poważnego. Paul szybko powrócił do swojego stanu hej do przodu. „Zdałem sobie sprawę, że zachowując się odwrotnie, jestem dużo bardziej nienaturalny". Paul i John byli za to niezmiennie „hej do przodu" jeśli chodzi o pisanie „kolejnych przebojów spółki Lennon-McCartney".

Najmniej serio nadal brała to wszystko Mimi. „Zawsze wydawało mi się, że któregoś dnia John przyjdzie do domu i powie: »Koniec z zespołem. To nuda i tyle«. Chyba jako ostatnia zorientowałam się, że są sławni. Młode dziewczyny zaczęły przychodzić pod mój dom i pytać o Johna. Chciałam wiedzieć, o co chodzi, a one na to, że po prostu chcą go zobaczyć. Nie mogłam tego pojąć. Były takie młodziutkie. Wiedziałam, że jego jedyną poważną dziewczyną jest Cynthia". Latem 1962 roku Cyn odkryła, że jest w ciąży. „Nie wiedziałam, czy John będzie chciał się żenić. Nie chciałam go usidlić". „Byłem w lekkim szoku, gdy mi powiedziała – mówi John – ale zgodziłem się. Musieliśmy się pobrać. Nie zamierzałem z nią walczyć".

Pobrali się 23 sierpnia 1962 roku w urzędzie stanu cywilnego przy ulicy Mount Pleasant w Liverpoolu. „Dzień wcześniej poinformowałem Mimi.

Powiedziałem, że Cyn spodziewa się dziecka, że jutro bierzemy ślub i że jak chce, to może przyjść. Jęknęła tylko”. Na ślubie nie było rodziców państwa młodych. Z relacji różnych osób wynika, że całe wydarzenie odbyło się w tej samej atmosferze co małżeństwo rodziców Johna, zawarte dwadzieścia cztery lata wcześniej w tym samym urzędzie. John, Paul i George ubrani byli na czarno. „Na zewnątrz ktoś zawzięcie coś wiercił – opowiada John – więc zupełnie nie słyszałem, co ten koleś do mnie mówił. Potem poszliśmy do lokalu po drugiej stronie ulicy na kolację; podano kurczaka. Nie przypominam sobie prezentów. To wszystko to był jeden wielki ubaw”.

Z początku małżeństwo Johna próbowano ukryć przed fankami, ale jedna z dziewczyn zajmująca się parzeniem herbaty w The Cavern widziała, jak wychodzą z urzędu stanu cywilnego i wiadomość szybko się rozeszła, mimo że Beatlesi zaprzeczali. „Myślałem, że małżeństwo to będzie koniec zespołu, bo wszyscy tak prorokowali. Żaden z nas nie zabierał nigdy dziewczyn do The Cavern z obawy, że stracimy fanki, co i tak na koniec okazało się jedną wielką farsą. Ale to fakt, wstydziłem się, że się ożeniłem. Że tak chodzę ożeniony. Zupełnie jakbym chodził w skarpetkach nie do pary albo z rozsuniętym rozporkiem”. Cynthia nigdy nie chciała rozgłosu wokół ich małżeństwa. „Wystarczy, że John był rozpoznawalny i wszędzie goniły za nim fanki. Nie chciałam, żeby i mnie to spotkało”.

Już wtedy zespół miał niewyobrażalną ilość wielbicielek, fanatycznie podążających za nimi, gdzie tylko się ruszyli, i piszczących przy byle okazji. Nie zmienia to jednak faktu, że poza Liverpoolem nikt nie słyszał o Beatlesach. Oni nadal czekali, aż George Martin – gruba ryba od A&R z Londynu – powie im, kiedy wreszcie mogą nagrać płytę. Nawet w Liverpoolu cała ta sława nie była wynikiem działań promocyjnych czy szumu medialnego – fani po prostu sami odkryli zespół The Beatles. Jedną z fanek była Maureen Cox. Pewnego dnia razem z przyjaciółką biegły ulicą za Ringo tuż po tym, jak dołączył do zespołu. Wysiadł z samochodu. Ona

poprosiła o autograf i spisała numer rejestracyjny. Była właśnie w drodze na zajęcia w szkole wieczorowej dla fryzjerek, do której poszła po podstawówce. „Do dziś pamiętam ten numer – NMW 466”.

Dziś Maureen Cox jest żoną Ringo. Choć to Paula pocałowała jako pierwszego, czego do dziś trochę się wstydzi. Były tego wieczoru z przyjaciółką w The Cavern i ta druga założyła się z Maureen, że nigdy nie odważy się podejść do Paula i go pocałować. „Powiedziałam, że to raczej ona nie odważyłaby się zrobić czegoś takiego. Ona na to, że to ja jestem tchórzem. No więc dla dobra sprawy przedarłam się przez tłum, poszłam pod garderobę i pocałowałam Paula, gdy wyszedł. Moja przyjaciółka była tak wściekła i zazdrosna, że się rozpłakała. Ale tak naprawdę to właśnie Ritchie najbardziej mi się podobał. Paula pocałowałam ze względu na zakład, więc zaczekałam, aż Ritchie wyjdzie z garderoby i pocałowałam też jego”. Ringo nie pamięta tego pocałunku ani tego, że dał jej swój autograf. „Tak to wtedy wyglądało, że dziewczyny po prostu nas całowały. Zaczęło się od zdobywania autografów Beatlesów, potem było dotykanie Beatlesów, a potem całowanie. Szedł czasem człowiek do garderoby, a tu nagle jakieś ręce cię obłapiają. Pewnie pomyślałem, że to jakaś niunia mnie cmoka”. Ale trzy tygodnie później, również w The Cavern, Ringo poprosił Maureen do tańca. Potem odprowadził ją do domu, ale niestety była z nimi koleżanka. I tak przez kilka tygodni. Maureen mówi, że nie chciała powiedzieć koleżance, że im przeszkadza. „Trochę się bałam”.

Od tej pory Maureen nie przegapiła ani jednego występu w The Cavern, ale szybko się zorientowała, że inne fanki są dużo bardziej fanatyczne niż ona. „Wystawały pod The Cavern całymi dniami, licząc na przypadkowe spotkanie. Wychodziły po koncercie w południe i czekały cały dzień w kolejce na wieczorne granie. Ritchie z chłopakami przechodzili raz tamtędy koło północy, a one już stały i czekały na kolejny występ. Kupili im po drożdżówce. Byli w szoku. Chodziło o to, żeby znaleźć się jak najbliżej sceny, żeby dobrze widzieć Beatlesów i żeby oni mogli cię zauważyć. Ja

nigdy nie stałam w kolejce dłużej niż dwie godziny przed koncertem. Przerażało mnie to. Między dziewczynami wybuchały kłótnie, a nawet bójki. Gdy otwierały się drzwi, te ustawione najbliżej pchały się do środka, przewracając się nawzajem. Na pierwszych zespołach nawet nie wyciągały wałków z włosów i zostawały w dżinsach. Potem, jak zbliżał się występ Beatlesów, a one były powiedzmy w grupce czteroosobowej, wychodziły jedna po drugiej do ubikacji, gdzie się przebierały i malowały. Gdy na scenie pojawiali się Beatlesi, wyglądały bosko, jakby przed chwilą przyszły. Częściowo chodziło o seks, a częściowo o muzykę. Ta mieszanka przyciągała. Dziewczyny oczywiście marzyły o tym, żeby je zauważono i żeby mogły poznać któregoś z członków zespołu osobiście. Ale głównie chodziło o to, żeby po prostu tam być. To było straszne, te krzyki, gdy pojawiali się na scenie. Dziewczyny szalały".

Gdy Maureen zaczęła umawiać się z Ringo, musiała trzymać się na uboczu. „Inaczej mogłam zginąć. Dziewczyny wcale nie były przyjaźnie nastawione. Każda marzyła tylko o tym, żeby zadać mi cios w plecy. Na tym też poniekąd opierał się ich *image*, że nie mają żon, więc każda laska myślała, że ma szansę. Żaden z nich nie mógł mieć stałej dziewczyny. W końcu oczywiście kilka dziewczyn się domyśliło. Przychodziły do zakładu fryzjerskiego, w którym pracowałam. Nic nie mogłam na to poradzić. Musiałam je po prostu czesać. Straszyły mnie: »Jeśli jeszcze raz spotkasz się z Ringo, dostaniesz za swoje«. Gdy wychodziłam z pracy, popychały mnie. Dostawałam też telefony z pogróżkami, że czyjś brat mnie załatwi. Raz chłopcy grali w Locarno. Tuż przed końcem występu Ritchie powiedział mi, żebym wyszła i zaczekała na niego w samochodzie, żeby mnie nikt nie widział. Tak zrobiłam, ale nagle do auta podeszła jakaś dziewczyna. Musiała mnie śledzić. »Chodzisz z Ringo?«, spytała. Ja na to, że nie, nie, to nie ja. Że mój brat się z nim kumpluje. »Kłamczucha. Przed chwilą widziałam, jak z nim rozmawiałaś«. Niestety zapomniałam zamknąć okna, więc zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, wsadziła rękę i podrapała

mnie po twarzy. Zaczęła się drzeć i wyzywać mnie od najgorszych. Pomyślałam, że to koniec, że na pewno mnie zabije. Ale jakoś udało mi się zamknąć okno. Gdyby nie to, pewnie otworzyłaby drzwi i naprawdę mnie zabiła”.

Część 2

Rozdział 20
George Martin i Dick James

Pod względem klasy, gustu i pochodzenia George Martin wyprzedza Beatlesów o lata świetlne. Jest wysokim, przystojnym mężczyzną, przywołującym na myśl bożyszcza kobiet z lat trzydziestych. Ma nienaganne maniery, niczym nauczyciel z elitarnej szkoły prywatnej, i posługuje się elegancką angielszczyzną w stylu BBC. Niemniej wczesne dzieciństwo spędził wśród klasy robotniczej, zupełnie jak Beatlesi. Urodził się w 1926 roku w Holloway w północnym Londynie, w rodzinie cieśli. Jego pierwszą szkołą było kolegium jezuickie w Stamford Hill. Gdy jego rodzina przeniosła się do Kent, George poszedł do szkoły Bromley County. W domu nie było tradycji muzycznych i w dzieciństwie nie otrzymał edukacji w tym kierunku, za to jako nastolatek nauczył się grać ze słuchu na pianinie, a w wieku lat szesnastu założył już własny zespół i grał na szkolnych potańcówkach.

W czasie wojny służył w Fleet Air Arm[100], gdzie doczekał się stopnia porucznika marynarki. W 1947 roku został zdemobilizowany i okazało się, że nie bardzo wie, co ze sobą zrobić. Dzięki temu, że w czasie wojny ktoś był na koncercie i usłyszał, jak Martin gra na pianinie, zaproponowano mu podejście do egzaminów w Szkole Muzycznej Guildhall. Kształcił się tam przez trzy lata, grając na oboju jako drugim instrumencie. Następnie przez jakiś czas pracował na własny rachunek jako oboista, ale nie udało mu się osiągnąć nic ponad akompaniowanie podczas musicali czy granie z różnymi zespołami w londyńskich parkach w niedzielne popołudnia. Ostatecznie i te angaże się skończyły, bo odstawał poziomem od innych muzyków.

Pod koniec lat pięćdziesiątych pojawiła się oferta pracy – w charakterze asystenta kierownika działu A&R w Parlophone, jednej z mniejszych

wytwórni podlegających pod EMI. W tamtym okresie nie wiedział nawet, co znacza skrót EMI. To skrót od Electrical Musical Industries[101], a dziś jest największą wytwórnią płytową na świecie. Mimo że dostał tę pracę dzięki klasycznemu wykształceniu, które odebrał w Guildhall, miał się zajmować głównie muzyką jazzową i rozrywkową. Parlophone interesował się wieloma gatunkami, ale raczej mało pasjonującymi. „Parlophone był wówczas jak ubogi krewny takich poważnych graczy jak EMI, HMV czy Columbia. Gdy dołączyłem do nich w 1950 roku, nadal nagrywaliśmy na woskowych cylindrach". Parlophone został wykupiony przez EMI od niemieckich właścicieli tuż przed wojną. Od tego czasu niewiele się tam działo i zdaniem George'a Martina wielu ludzi z branży wróżyło mu szybki koniec. Sławne logo wytwórni „£" – zbieżne z symbolem brytyjskiego funta – w rzeczywistości nie ma nic wspólnego z milionami funtów, które od tamtego czasu zarobiła wytwórnia. Pochodzi ono od inicjału nazwiska założyciela, Carla Lindströma. Zarobki George'a w EMI były skromne – siedem funtów, cztery szylingi i dziewięć pensów tygodniowo – dlatego, by podreperować budżet, George nadal okazjonalnie grywał w parkach w niedzielne popołudnia, jeśli tylko udało mu się załapać do jakiegoś zespołu lub wkręcić na taki czy inny szkolny recital.

Szybko okazało się, że George Martin produkuje coraz więcej płyt z muzyką popularną. Dwiema z jego pierwszych zakontraktowanych gwiazd byli Bob i Alf Pearsonowie, którzy śpiewali wówczas nieśmiertelne utwory typu *My Brother and I*. George promował również The Five Smith Brothers oraz zespół grający muzykę do szkockich tańców ludowych – Jimmy Shand and His Band. To George jest odpowiedzialny za ich płytę *Bluebell Polka*, która do dziś świetnie się sprzedaje. Następnie przerzucił się na jazz i nagrywał takich twórców jak Johnny Dankworth czy Humphrey Lyttelton. W latach pięćdziesiątych niesamowitym przełomem okazały się płyty długogrające, mimo że dziś wydaje nam się, że od zawsze były częścią

historii muzyki. „EMI przekonała się do nich stosunkowo późno, bo dopiero w roku 1954. Sam nie wiem, czemu tak długo to trwało. W Decce produkowano je już w 1952 roku, co oznaczało, że mieliśmy sporo do nadrobienia”.

W Wielkiej Brytanii w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych nagrywanie płyt było procesem dość rutynowym i tradycyjnym – czymś na kształt wydawania miesięcznika. Co miesiąc wytwórnie takie jak Parlophone wypuszczały na rynek dziesięć nowych wydawnictw, planowanych dwa miesiące do przodu. Nazywano to comiesięcznymi nowościami. Taki zestaw zawsze był starannie obmyślony – i tak w jego skład wchodziły zawsze dwie płyty z muzyką klasyczną, dwie jazzowe, dwie z muzyką taneczną (na przykład Victor Silvester), dwie z męskim wokalem i dwie z damskim. Nie istniała jeszcze taka kategoria jak pop. „Nie było mowy o popie. Wszyscy zajmowali się muzyką klasyczną, jazzową, taneczną i wokalem”.

We wszystkich tych kategoriach Parlophone posiadał niewiele czołowych gwiazd. Victor Silvester miał kontrakt z Columbią – jedną z najlepiej prosperujących odnóg EMI. Najlepiej sprzedający się artyści pochodzili ze Stanów, a Parlophone nie miał się w tym względzie kim pochwalić. George’owi Martinowi udało się jednak znaleźć dla siebie niszę za sprawą serii wydawnictw komediowych, choć nikt z branży nie wróżył mu sukcesu. Jednym z jego pierwszych takich projektów była płyta *Mock Mozart / Phoney Folk Lore* Petera Ustinova[102]. Nagrywał też Petera Sellersa[103], duet komediowy Flanders i Swann, a z czasem również *Beyond the Fringe*, znaną w Cambridge, zanim jeszcze pojawiła się na West Endzie.

Wtedy właśnie do Anglii przybyła moda na skiffle i rock and rolla, zupełnie zmieniając oblicze sceny muzyki rozrywkowej. Brytyjskie zespoły wreszcie zaczęły nagrywać przeboje, choć nadal daleko im było do formatu

gwiazd amerykańskich. Niestety stary, poczciwy Parlophone, mimo wysiłków podejmowanych przez George'a Martina w kwestii wydawnictw komediowych, coraz bardziej odstawał od czołówki. „Wyglądało na to, że każda wytwórnia poza Parlophone znalazła sobie jakiś zespół lub solistę. Chodziłem po londyńskich barach w poszukiwaniu talentów". Nie skorzystał z okazji, by podpisać kontrakt z Tommym Hicksem, czyli późniejszym Tommym Steele'em, sądząc, że jest niczym więcej niż kolejną kopią Elvisa. „Bardzo zazdrościłem HMV i Columbii ich amerykańskich gwiazd, zazdrościłem innym wytwórniom, że mają gwiazdy rodzime, na przykład Cliffa Richarda. W pewnym sensie to jest przecież bardzo proste. Jak już masz artystę lub zespół, których publiczność lubi, to zostaje jedynie znajdowanie im kolejnych piosenek. W przypadku kabaretów za każdym razem startujesz właściwie od zera".

Rock and roll wiązał się z zupełnie nowym, ogromnym rynkiem odbiorców-nastolatków. W miarę jak rankingi sprzedaży płyt stawały się coraz ważniejszym wyznacznikiem sukcesu Parlophone, któremu i tak wszyscy wróżyli szybki koniec, z dnia na dzień coraz bardziej pozostawał w tyle. Ani Brian Epstein, ani Beatlesi nie byli świadomi, że w maju 1962 roku wytwórnia właściwie marzyła tylko o tym, żeby wreszcie pojawił się ktoś taki jak oni. Wielki George Martin, którego każde chrząknięcie i uwagę tak wnikliwie analizowali panowie z Liverpoolu, wcale nie był taki wielki. Jego sekretarka, a obecnie żona, Judy Lockhart-Smith, wspomina, że przy pierwszym spotkaniu Brian zrobił na niej ogromne wrażenie. „Miał na sobie elegancki płaszcz i był niebywale uprzejmy i elokwentny, zupełne przeciwieństwo typowego menedżera z Charing Cross Road". George też był pod wrażeniem. „Ale to, co mi puścił, nie rzuciło mnie na kolana. Nie powalili mnie, ich utwory także, choć faktycznie udało im się osiągnąć ciekawe brzmienie. Powiedziałem więc, że zorganizuję im próbne nagranie". Brian wyszedł z tego spotkania rozradowany, ale dla George'a Beatlesi byli po prostu kolejnym zespołem potencjalnie nadającym się do

podpisania kontraktu. W tamtym okresie tak usilnie szukał jakiejś gwiazdy, że przesłuchiwał setki takich muzyków. „Początkowo pomyślałem, że wykorzystam ich jako zespół akompaniujący jakiemuś artyście, coś na kształt Cliffa Richarda i Shadowsów. Koniecznie chciałem mieć swojego Cliffa. Na tym się wtedy koncentrowałem, na sprawdzaniu możliwości, czy któryś z nich nie mógłby być głównym wokalistą. Gdy ich poznałem, od razu zrozumiałem, że to się nie uda”.

Do pierwszego spotkania zespołu z George’em doszło 6 czerwca 1962 roku podczas próbnej sesji nagraniowej w studiu przy Abbey Road. To wtedy Brian przesłał George’owi listę sugerowanych utworów. „Spodobali mi się. Miło mi się z nimi spędzało czas, co chyba było dość dziwne, bo przecież ja już byłem kimś, a oni jeszcze zupełnie nie. Nie musiałem się martwić, czy mnie polubią, czy nie, ale miło mi było, że zapałali do mnie sympatią. Okazało się, że John jest fanem płyt Petera Sellersa i The Goon Show[104], których byłem producentem”.

Z listy zestawionej przez Briana George wybrał zaledwie trzy czy cztery utwory, w tym *Love Me Do* i *P.S. I Love You*. Twierdzi, że to musiała być bardzo wczesna wersja *Love Me Do*, bo zrobiła na nim umiarkowane wrażenie. Za to naprawdę podobało mu się ich brzmienie i charaktery. „Pomyślałem, że nic nie stracę, jeśli podpiszę z nimi kontrakt, choć nie miałem bladego pojęcia, co mógłbym z nimi zrobić i jakie utwory mieliby nagrać”. Nadal pochłonięty był pracą nad innymi wydawnictwami, znacznie wówczas ważniejszymi z jego punktu widzenia, takimi jak płyta z The Establishment, czyli pierwszym londyńskim klubem satyrycznym, który nie przetrwał jednak zbyt długo. Właśnie dlatego tyle trwało oczekiwanie na ostateczną decyzję w sprawie pierwszej płyty Beatlesów, podczas którego Pete Best wyleciał z zespołu. George Martin nie spieszył się z wyznaczeniem daty, ponieważ nie bardzo wiedział, jaki materiał miałby im dać do zagrania. Nie miał też pewności, czy może zaufać im na

tyle, by pozwolić nagrywać własne numery, czy raczej zatrudnić profesjonalistę, który coś dla nich napisze. Ostatecznie 11 września 1962 roku sprowadził ich do Londynu na nagranie pierwszego singla pod tytułem *Love Me Do*, z piosenką *P.S. I Love You* na stronie B. „Po namyśle wybrałem *Love Me Do* jako najlepszy z zaproponowanych utworów. Chyba najbardziej w ucho wpadała tam harmonijka Johna".

Gdy George Martin dowiedział się, że zespół właśnie zmienił perkusistę, postanowił nie ryzykować i wynajął doświadczonego muzyka sesyjnego, Andy'ego White'a, by mieć go na wszelki wypadek w pogotowiu. Poinformował o tym Briana, ale ten nie powiedział nic Ringo. Na samym początku George wyjaśnił Beatlesom, jak będzie wyglądać ich praca. „Dajcie mi znać, jeśli coś wam się nie podoba", zakończył. „Mnie się na przykład nie podoba twój krawat", wypalił George Harrison. Rzucona pół żartem pół serio uwaga była cytowana potem przez wiele lat, choć wtedy w studiu wcale George'owi Martinowi nie przypadła do gustu. Czarny krawat w czerwone róże, jego najnowszy nabytek, z którego był bardzo dumny, pochodził z domu handlowego Liberty. Pozostali jednak wybuchnęli śmiechem i w takiej atmosferze rozpoczęła się sesja nagraniowa. Dla Ringo była to pierwsza wizyta w studiu, więc czuł się wyjątkowo speszony. Byłby pewnie w jeszcze większym stresie, gdyby wiedział, że od samego początku za drzwiami stał inny perkusista, czekając na jego potknięcie.

Zaczęli od pracy nad *Love Me Do* i dopiero przy siedemnastym podejściu George Martin był zadowolony z efektu. „Nie zachwyciła mnie perkusja Ringo. Nie potrafił robić werbla, zresztą do dziś tego nie umie, mimo że znacznie poprawił swój warsztat. To Andy był perkusistą, jakiego potrzebowałem. Do tej pory Ringo grywał jedynie w dużych salach. Oczywiście lepiej było skorzystać z kogoś doświadczonego".

„Miałem w studiu gigantyczną tremę – wspomina Ringo. – Kiedy wróciliśmy na nagrywanie strony B, okazało się, że George Martin posadził

na moim miejscu innego perkusistę. To było okropne. Najpierw proszą mnie, żebym dołączył do Beatlesów, a potem okazuje się, że talentu starczy mi tylko na wspólne granie na potańcówkach, ale na nagrywanie płyt już nie. Zaczęli nagrywać *P.S. I Love You*. Ten drugi grał na perkusji, a ja na marakasach. Pomyślałem, że to koniec. Że wytną mi ten sam numer co Pete'owi Bestowi. Potem zapadła decyzja, żeby powtórzyć nagranie pierwszej strony, czyli materiału, na którym ja grałem na perkusji. Tym razem dano mi tamburyno. Byłem zdruzgotany. Co za porażka. Pomyślałem, jaki zakłamany jest cały ten przemysł muzyczny. Potwierdziło się to, co ludzie mówili. Że zatrudnia się innych muzyków, żeby grali za ciebie na płycie. Jeśli nie nadaję się do studia, to może w ogóle lepiej sobie pójdę, pomyślałem. Ale nikt się nie odezwał ani słowem. No bo co mieli powiedzieć oni czy ja? Byliśmy tylko młodziakami, którymi można dyrygować. Wiesz, o co mi chodzi. To były grube ryby, panowie z wytwórni płytowej w Londynie i w ogóle. A my po prostu robiliśmy to, co nam kazali. Gdy nagranie wyszło jako singiel, moje nazwisko pojawiło się pod *P.S. I Love You*, mimo że tylko grałem na marakasach, a ten drugi na perkusji. Na szczęście zdecydowano się wykorzystać pierwszą wersję *Love Me Do*, z moją perkusją, więc w sumie było OK".

To pierwsze nagranie – *Love Me Do* – ukazało się 4 października 1962 roku. Beatlesi byli już wtedy z powrotem w Liverpoolu, grali jak zwykle w miejscowych klubach i salach tanecznych i czekali, aż ich płyta zawojuje świat. Nic takiego się jednak nie stało. Ich wierni fani z Liverpoolu faktycznie nabyli krążek w wielkich ilościach, ale oczywiście sprzedaż w prowincjonalnym miasteczku nie może wpłynąć na ogólnokrajowe notowania. Zasypywali również listami programy grające piosenki na życzenie. Po raz pierwszy utwór puszczono na antenie Radia Luxemburg. Pani Harrison godzinami czekała przy odbiorniku na emisję, gdy syn oznajmił jej, że w radiu mają grać ich kawałek. W końcu znudziło ją czekanie i poszła spać, ale wkrótce obudził ją wrzask George'a, że są już na

antenie. Jego krzyki obudziły również ojca. Ten z kolei nie był wcale szczęśliwy, ponieważ niebawem miał wstawać na poranną zmianę.

„Gdy po raz pierwszy usłyszałem *Love Me Do* w radiu – mówi George – miałem ciarki na całym ciele. Wsłuchiwałem się w dźwięki prowadzącej gitary i wprost nie mogłem w to uwierzyć. Ale najważniejszym momentem dla nas było dostanie się do pierwszej dwudziestki na listach".

Z *Love Me Do* udało im się doczłapać do czterdziestego dziewiątego miejsca w notowaniach „New Record Mirror". *W* następnym tygodniu piosenka pojawiła się w notowaniu kolejnego czasopisma muzycznego – „New Musical Express" – i dotarła do dwudziestego siódmego miejsca, na którym utrzymała się przez dość długi czas. By wykorzystać fakt, że zespół nagrał płytę, Brian Epstein załatwił im kilka występów w telewizji, choć tylko na północy kraju. Chłopcy pojawili się w programie *People and Places* w telewizji Granada, nadającej z Manchesteru. Następnie musieli wrócić do Hamburga, na kolejną serię występów w Star-Club, uzgodnionych jeszcze przed nagraniem płyty. Bali się, że jeśli wyjadą za granicę i nie będą mogli promować swojej płyty w audycjach telewizyjnych i radiowych na żywo, to nagranie od razu trafi do lamusa. Niemniej pojechali w czwartą już trasę do Niemiec. Pod ich nieobecność album powolutku piął się w górę, co za każdym razem świętowali z pompą jako wielki sukces. *Love Me Do* dotarł do miejsca siedemnastego.

Tymczasem George Martin był z *Love Me Do* zadowolony, choć nie uradowany. „W moim przekonaniu nie było to dzieło wybitne, ale oczywiście cieszyłem się z reakcji na nich i ich brzmienie. Jedynym problemem było, co tu nagrać jako drugi singiel". W końcu znalazł im piosenkę, co do której był pewien, że zostanie przebojem. Nosiła tytuł *How Do You Do It?* Przesłał ją chłopakom, ale im się nie spodobała. Za to podobała się George'owi Martinowi, a ponieważ to on był szefem, upierał się, że ją właśnie mają nagrać. Oni jednak bezkompromisowo nadal twierdzili, że utwór im się nie podoba i nie chcą go nagrywać. To było

odważne, choć lekko naiwne posunięcie – demonstracja uporu grupy młodych, nieopierzonych prowincjuszy, którzy nie potrafili nawet czytać nut, ale chcieli pokazać obeznanemu i wpływowemu specjaliście w osobie George'a Martina, że są od niego mądrzejsi. „Powiedziałem im, że właśnie odrzucili hit i że to jest właściwie ich pogrzeb, ale skoro się upierają, to niech wymyślą coś lepszego. W tamtym okresie chłopcy byli głęboko przekonani o własnej racji i właściwie nic się w tym względzie nie zmieniło. I faktycznie wymyślili coś lepszego, *Please Please Me*, którym zwalili mnie z nóg". Niemniej George również miał rację co do *How Do You Do It?* – ostatecznie dał utwór innemu ze swych podopiecznych, zespołowi Gerry and the Pacemakers, który dotarł z nim na pierwsze miejsce listy przebojów.

Drugi singiel Beatlesów, *Please Please Me*, został nagrany 26 listopada 1962, ale z premierą wstrzymano się do stycznia następnego roku. Chłopcy wrócili na tę okazję z Hamburga, po czym pojechali z powrotem, tym razem tylko na kilka tygodni na swoją piątą i ostatnią trasę po hamburskich klubach.

Na koniec roku „New Musical Express" jak zawsze zorganizował konkurs popularności. W kategorii najlepszy brytyjski zespół wokalny głosami 21 843 czytelników zwyciężyli The Springfields. Beatlesi znaleźli się daleko za nimi z wynikiem 3 906 głosów, które prawdopodobnie w całości pochodziły z Liverpoolu. Niemniej załapali się na listę najlepszych. Zaistnieli, mimo że nadal niewiele wskazywało na to, że to właśnie oni mieli okazać się gwiazdą, na którą z takim utęsknieniem czekał George Martin i cały Parlophone.

Dick James jest jedynym człowiekiem z kręgu tradycyjnego show-biznesu, który dostał się do ścisłego grona osób bliskich Beatlesom – czy to na gruncie zawodowym, czy osobistym. Pojawił się w ich życiu tuż po George'u Martinie i, podobnie jak on, desperacko szukał kogoś takiego jak Beatlesi. Dick James jest w show-biznesie od zawsze. Pochodzi z tego typu

żydowskich rodzin londyńskich, w których człowiek właściwie wychowuje się wśród przyszłych agentów i liderów zespołów, wśród chłopców, którzy zawsze ci pomogą. Dick James ma kupę szmalu, ale wszystko zarobił uczciwie. To taki słodki, poczciwy, swój chłopak z Tin Pan Alley[105]. Beatlesi go uwielbiali. Zawsze śmiali się z niego, że tak kocha ballady. Od razu wiedzieli, że dobra, choć ckliwa *When I'm Sixty-Four* bardzo go uszczęśliwi. Dick tak czy inaczej jest szczęśliwym człowiekiem – chyba najszczęśliwszym w całym tym towarzystwie. Przeszedł długą drogę od czasu sprzed poznania Beatlesów, gdy był jednoosobową firmą producencką, do zarządzania wielką korporacją muzyczną. Jest milionerem nie tylko dzięki nim, ale również dzięki swojej ciężkiej pracy.

Dick urodził się w londyńskim East Endzie w 1920 roku jako Leon Isaac Vapnick. Jego ojciec był rzeźnikiem z Polski, który wyemigrował do Anglii w 1910 roku, mniej więcej w tym samym okresie, gdy z Polski przybyła tu rodzina Epsteinów. W wieku siedemnastu lat Dick był już zawodowym śpiewakiem. Występował z Alem Berlinem (obecnie agentem) i jego zespołem w Cricklewood Palais. Podczas II wojny światowej służył w korpusie służby medycznej, ale bynajmniej nie jako medyk, lecz jako członek orkiestry tegoż korpusu. To wtedy nauczył się czytać nuty. Po wojnie przyłączył się do zespołu prowadzonego przez Geraldo, który od razu zmienił mu nazwisko na Dick James. Przez wiele lat występował z większością ówczesnych big-bandów, po czym rozpoczął karierę solową. „Nigdy nie dotarłem na szczyt. Nikt nigdy nie dostawał histerii, gdy pojawiałem się na scenie, jak na przykład na widok Donalda Peersa czy Davida Whitfielda". Ale wiodło mu się całkiem dobrze. Sporo nagrywał, choć żadną płytą nie zawojował świata. Pierwszy album nagrał w 1942 roku wspólnie z Primo Scalą i jego Accordion Band, gdy był na przepustce. Później przez chwilę nagrywał z wytwórnią Decca, ale nie zarobili na nim wielkich pieniędzy. W 1952 trafił do Parlophone, gdzie spotkał młodego,

bystrego George’a Martina, chętnego do pracy z każdym popularnym wokalistą. W 1955 roku, pod opieką George’a właśnie, Dick James nagrał swój najważniejszy album, ten, z którym kojarzony jest do dziś. Był to *Robin Hood* – temat muzyczny do serialu telewizyjnego. Na listach przebojów dotarł aż do miejsca dziewiątego – najwyżej ze wszystkich jego projektów. Sukces zaowocował piętnastominutowym występem w Radiu Luxemburg w programie, którego producentem był inny zdolny, młody człowiek, Philip Jones.

Pomimo sukcesu *Robin Hooda* Dick James wiedział, że nie czeka go wielka kariera w roli wokalisty, ponieważ rynek muzyczny bardzo zmienił się od czasu, gdy zagościły na nim skiffle, rock and roll i cała ta młodzież. „Czułem, że zbliża się rewolucja, a ja jestem w złym miejscu o złym czasie”. Wprawdzie dopiero przekroczył trzydziestkę, ale już od kilku lat nosił tupecik. „Oczywiście tylko na scenie, nie prywatnie. To byłoby oszustwo”. Śpiewał aż do 1959 roku, ale już tylko na pół etatu i wyłącznie w Londynie i okolicach, ponieważ chciał być blisko żony i synka. Tymczasem na boku zaczął zajmować się produkowaniem muzyki. Pracował bezpłatnie jako asystent Sida Brona, ojca aktorki Eleanor Bron (która wystąpiła w drugim filmie Beatlesów, pod tytułem *Help!*). We wrześniu 1961 roku założył własną firmę producencką, mieszczącą się w dwóch pokojach przy Charing Cross Road w Londynie. Latem 1962 działała całkiem nieźle, choć Jamesowi nie udało się wypuścić na rynek żadnych przebojów.

Pewnego dnia skontaktował się z nim syn przyjaciela. Chciał puścić mu piosenkę, której nie udało mu się sprzedać żadnej wytwórni. Piosenką tą była *How Do You Do It?* Dick od razu pobiegł z nią do George’a Martina – starego kumpla z Parlophone. Teraz wiadomo, czemu George tak bardzo nalegał, żeby Beatlesi nagrali ten kawałek. „Powiedziałem George’owi, że jest świetna. Odparł, że może w takim razie nada się dla jego nowego zespołu z Liverpoolu. »Z Liverpoolu? – zdziwiłem się. – Chyba żartujesz,

jakim cudem?«”. George Martin wiedział, że utwór ten ma potencjał sprzedażowy, więc namówił Dicka Jamesa, żeby dał mu trochę czasu. Dick był wniebowzięty. Uznał, że wreszcie doczeka się przeboju, na który liczył od tak dawna. Ale w listopadzie 1962 roku George zadzwonił do Dicka z wiadomością, że Beatlesi napisali własny numer, *Please Please Me*, który jest doskonały. Z punktu widzenia Dicka Jamesa to był koniec, ale George Martin dodał, że jest z nim w biurze Brian Epstein, który nie zna nikogo w Londynie, więc może Dick mógłby mu pomóc. Dick faktycznie wyraził zgodę i od razu zapytał, czy mógłby być wydawcą *Please Please Me*, skoro George twierdzi, że to taki doskonały numer.

Brian wprawdzie umówił się już wcześniej na poranne spotkanie z innym wydawcą, ale obiecał Dickowi Jamesowi, że przyjdzie do niego później i porówna oferty. „Siedziałem w biurze, gdy o dziesiątej trzydzieści wszedł Brian. Był pół godziny przed czasem. Powiedział, że przesiedział u tego drugiego wydawcy dwadzieścia pięć minut, ale w tym czasie zjawił się jedynie goniec. Postanowił więc dać mi pierwszeństwo. Puścił mi ten utwór, a ja powiedziałem, że nigdy nie słyszałem czegoś tak elektryzującego, i spytałem, czy mogę go wydać”. Choć Brian dopiero przyjechał z Liverpoolu, wcale nie był zielony. Obiecał, że zgodzi się, by Dick James został wydawcą, jeśli ten zorganizuje chłopakom promocję. Dick od razu podniósł słuchawkę i obdzwonił kilku starych znajomych. Jednym z nich był Philip Jones, producent występu Dicka w Radiu Luxemburg. Właśnie przejął nowy program telewizyjny o muzyce popularnej pod tytułem *Thank Your Lucky Stars*. „Załatwiłem to od ręki, przez telefon. Puściłem Philipowi *Please Please Me*. Powiedział, że mu się podoba i weźmie ich do programu”. I tak w przeciągu pięciu minut Dick James załatwił Beatlesom ich pierwszy występ w krajowej stacji telewizyjnej (Granadę odbierała tylko północ kraju). Na Brianie zrobiło to oczywiście spore wrażenie. Nie minęła godzina, a Dick James został wydawcą Beatlesów. Wydawca muzyczny może zarobić krocie, jeśli

współpracuje z dobrymi kompozytorami, tantiemy za prawa autorskie dzieli się bowiem pół na pół pomiędzy kompozytora a wydawcę.

W tamtym okresie ktoś mógłby powiedzieć, że Dick James podjął złą decyzję, gdy w latach pięćdziesiątych postanowił zrezygnować ze śpiewania na rzecz kariery producenckiej. Mógł być także bezpieczniejszy jako agent, bo taką ścieżkę kariery również brał pod uwagę. Przez całe dziesięciolecia wydawcy muzyczni żyli ze sprzedaży nut, ale gdy nadeszła moda na płyty, ludzie przestali grać po domach i czasy nut się skończyły. Jednak choć z początku nic na to nie wskazywało, pojawienie się Beatlesów na drodze Dicka Jamesa sprawiło, że jego era miała dopiero nadejść.

Rozdział 21
Trasy

Na początku roku 1963 Beatlesi mieli na koncie jedną wydaną płytę, a kolejna była w drodze. Znaleźli też George’a Martina i Dicka Jamesa i mieli wystąpić w programie londyńskiej stacji telewizyjnej. Niemniej nadal mało kto o nich słyszał. Brian Epstein dwoił się i troił, żeby załatwić im jakąś akcję promocyjną na skalę ogólnokrajową lub lokalną, ale nie było łatwo. Stale zwracał się do George’a Harrisona z „Liverpool Echo”, jednak bez skutku. Pisał też do krytyka muzycznego z tego samego czasopisma, który podpisywał się jako Disker. Po raz pierwszy zwrócił się do niego jeszcze w 1962 roku i ku swemu zaskoczeniu w odpowiedzi otrzymał list z londyńskiej wytwórni Decca podpisany przez niejakiego Tony’ego Barrowa.

Tony Barrow został Diskerem już w 1953 roku, gdy miał siedemnaście lat i uczęszczał do szkoły w Crosby, niedaleko Liverpoolu. Przezwisko to towarzyszyło mu również na studiach na Uniwersytecie Durham oraz później, gdy zaczął pracę w Decce jako autor opisów na okładkach płyt. Do dziś jest zresztą znany jako Disker, mimo że z czasem został również rzecznikiem prasowym zespołu The Beatles. Gdy Brian napisał do niego po raz pierwszy, wszystko wskazywało na to, że Beatlesi spodobali się w Decce i wytwórnia będzie ich nagrywać. Tony Barrow stworzył nawet na tę okoliczność krótki artykulik – pierwszą wzmiankę o Beatlesach, która ukazała się w prasie. Ze współpracy ostatecznie nic nie wyszło i Tony nie wspominał już o zespole. Gdy jednak pojawił się pierwszy singiel *Love Me Do*, ponownie napisał o nich w swojej kolumnie.

Od czasu wydania płyty Brian przyjeżdżał do Londynu znacznie częściej. Podczas jednej z wizyt spotkał się z Tonym Barrowem, by

poprosić go o radę, jak zespół mógłby zdobyć większy rozgłos w mediach. „Brian nie wiedział, jak się promuje płytę, więc skontaktowałem go z prasą branżową. Następnie przyznał się, że nie ma rzecznika prasowego i że osobiście rozsyła powielone informacje promocyjne własnego autorstwa. Spytał, czy mógłbym mu pomóc. No więc właśnie wtedy, siedząc w swoim biurze w Decce, napisałem pierwsze w historii oficjalne oświadczenie prasowe zespołu The Beatles”. Tony nawet nie zdążył poznać zespołu. Co więcej, nie mógł się również podpisać własnym nazwiskiem czy nawet podać numeru telefonu, ponieważ ciągle pracował dla wytwórni Decca. Nie miał też niestety listy adresów, pod które miałby rozesłać oświadczenie. „Zaprosiłem więc na lunch pewnego gościa od promocji, którego kiedyś poznałem. To był typowy lunch za funta i dziewięć szylingów w pracowniczej kantynie BBC. Zgodził się podzielić ze mną swoją listą adresową”. Tym „gościem od promocji” był Andrew Oldham, który później przez chwilę pracował z Brianem Epsteinem, a potem został menedżerem Rolling Stonesów.

W tym samym czasie, czyli w październiku 1962 roku, EMI również wypuściło oświadczenie dla prasy, które miało towarzyszyć nowej płycie. Notka ta zawierała w dużej mierze tę samą treść, którą Brian zawarł w swoim liście będącym z kolei kompilacją materiałów z literatury fanklubowej. Znalazły się tam między innymi informacje o tym, że ulubionym kolorem Johna jest czarny, że lubi curry i Carla Perkinsa, nienawidzi tępaków i tradycyjnego jazzu. W rubryce „ulubiony samochód” wpisał „autobus”. Zgodnie z oświadczeniem cała czwórka miała ten sam cel – zarobić kupę forsy i przejść na emeryturę. Sądząc po innych materiałach prasowych z tego okresu, nie była to typowa odpowiedź. Powinni raczej wpisać: wszechstronna obecność w branży rozrywkowej.

1 maja 1963 Tony Barrow porzucił posadę w Decce na rzecz pełnego etatu w NEMS Enterprises. Pracował z jednoosobowego biura przy Monmouth Street – pierwszego lokalu wynajętego przez Briana Epsteina w

Londynie. Przez sześć następnych miesięcy regularnie wypuszczał komunikaty dla prasy, z których większość przechodziła bez echa. Owszem, prasa branżowa pisała o nowych wydawnictwach płytowych, zwłaszcza gdy 12 stycznia w końcu wyszedł singiel *Please Please Me*. Już 16 lutego piosenka dotarła na pierwsze miejsca list przebojów i wszyscy pisali o niej w samych superlatywach, ale prasa krajowa nadal nie dostrzegała tu tematu na artykuł.

W ciągu następnych sześciu miesięcy pierwszy i jedyny obszerniejszy materiał na temat Beatlesów w ogólnokrajowej gazecie ukazał się w lutowym wydaniu londyńskiego „Evening Standard", a jego autorką była Maureen Cleave[106]. W dniu publikacji artykułu *Please Please Me* nie dotarło jeszcze na szczyt list przebojów, a członkowie zespołu nadal pozostawali nieznani nawet wśród ludzi z branży. Panna Cleave usłyszała o ich wielkiej popularności w Liverpoolu. Napisała też, że po tym, jak miejscowi fani zmusili stację telewizyjną Granada do nakręcenia materiału o swych ulubieńcach, teraz drżeli o to, by ci nie uciekli im z Liverpoolu. Opisała też, jak śmieszni i naturalni są członkowie zespołu. To ona jako pierwsza z dziennikarek zwróciła uwagę na ich fryzury z grzywką sczesaną w dół, o których napisała, że są „w stylu francuskim". Tak właśnie na Wyspach określało się wtedy podobne uczesanie, ponieważ faktycznie wywodziło się ono z Europy kontynentalnej.

„Mimo że gazety muzyczne rzeczywiście o nich pisały, jakoś nie mogłem zainteresować Beatlesami innych dziennikarzy – mówi Tony Barrow. – Przełom nastąpił dopiero w październiku 1963 roku. Chciałbym powiedzieć, że to moje fantastyczne oświadczenia prasowe wywindowały Beatlesów na szczyt, ale to nieprawda. Prasa ogólnokrajowa jak zwykle z opóźnieniem zareagowała na to, co się działo. Dzieciaki w całym kraju, nie tylko w Liverpoolu, zaczynały szaleć na ich punkcie, ale jakoś nadal nikt inny ich nie dostrzegał. Z drugim singlem trafili od razu na sam szczyt list

przebojów, ale krajowe gazety wciąż nie postrzegały ich jako rewelacji, a w ich sukcesie nie widziały tematu na obszerny artykuł”. Najprościej można to wytłumaczyć tym, że w Wielkiej Brytanii nigdy wcześniej nic podobnego nie wydarzyło się na taką skalę, więc dziennikarze nie za bardzo potrafili rozpoznać, że oto dzieje się coś wielkiego. Dopiero jak to Coś wskoczyło im na głowę i zaczęło walić z całej siły, zorientowali się, że mają do czynienia z fenomenem.

Mimo że prasa krajowa ignorowała Beatlesów, w samym Liverpoolu można było przeczytać o nich w każdej gazecie. 5 stycznia 1963 roku Disker napisał obszerną recenzję nowego, drugiego już singla *Please Please Me*, w której pominął oczywiście fakt, że pracuje również jako rzecznik prasowy zespołu. Sławny George Harrison również próbował nadążyć za modą i 21 lutego w swojej stałej rubryce *Za murem rzeki Mersey* pochwalił występ Beatlesów w programie *Thank Your Lucky Stars*. Powiedział, że zespół wziął udział w nagraniu, zanim jeszcze *Please Please Me* dotarło na szczyt listy przebojów. W tamtym artykule zastanawiał się jeszcze, czy The Beatles okażą się zespołem jednego przeboju, ale już kilka miesięcy później zachowywał się niczym chart, którego nie sposób utrzymać na smyczy. Chwalił się, że nazywa się tak samo jak ten naprawdę sławny George Harrison. Mówił, że poczta zasypywała go kartkami z życzeniami urodzinowymi zaadresowanymi: „George Harrison, Liverpool”. Dostawał również listy z prośbą o kosmyk włosów – pierwsze objawy szaleństwa fanów na punkcie posiadania „relikwii” Beatlesów. George tymczasem marzył o tym, żeby w ogóle mieć włosy, a co dopiero rozdawać je lekką ręką.

Mieszkańcy Liverpoolu o nazwisku Lennon, McCartney, Harrison czy Starkey również spotykali się z podobnym zachowaniem – dziewczęta potrafiły wydzwaniać do nich o każdej porze dnia i nocy. Ale największym pokłosiem obecności na liście dwudziestu najlepiej sprzedających się utworów nie był wcale artykuł w „Liverpool Echo”, tylko trasa koncertowa

po całym kraju. Nie oznaczało to jeszcze wielkiego sukcesu, bo wszystkie składankowe trasy odbywające się na zasadzie pojedynczych koncertów w różnych miastach miały swoje mniejsze i większe gwiazdy. Niemniej załapanie się do tego grona było dla Beatlesów na tym etapie wielkim krokiem naprzód. Marzyli, by wyrwać się z Merseyside i pokazać się w całym kraju, a dzięki temu sprawdzić, czy na innych fanów mają tak samo duży wpływ, jak na wielbicieli w Liverpoolu, z którymi praktycznie dorastali. Poza tym trasa po Wielkiej Brytanii była idealnym sposobem na rozreklamowanie płyty, ponieważ mieli grać ten sam materiał na żywo w każdym zakątku kraju.

Pierwsza trasa, na którą ich zaproszono w lutym 1963 roku, była *de facto* trasą Helen Shapiro. To ona była główną gwiazdą. Wielka kariera Helen zaczęła się kilka lat wcześniej, gdy zaistniała jako jedna z pierwszych śpiewających nastolatek. Organizator trasy, Arthur Howes, miał już więc spore osiągnięcia na swoim polu, ponieważ promował wcześniej wszystkie trasy Cliffa Richarda. Dzięki temu, że dość wcześnie dostrzegł Beatlesów, to jemu przypadło w udziale promowanie niemal wszystkich ich brytyjskich tras. Brian już od jakiegoś czasu próbował się z nim skontaktować, gdy tylko dowiedział się, że to właśnie Howes przygotowuje trasy Cliffa. Ku jego zaskoczeniu, gdy wreszcie zdobył jego numer telefonu, okazało się, że Arthur mieszka w Peterborough. Było to w roku 1962, gdy Brian chodził jeszcze od wytwórni do wytwórni. „Pewnego niedzielnego popołudnia, które spędzałem w domu w Peterborough, zadzwonił telefon. Gość po drugiej stronie słuchawki przedstawił się jako Brian Epstein z Liverpoolu. Powiedział, że ma świetny zespół, i spytał, czy organizuję może coś, do czego mógłbym ich dołączyć. Oznajmił, że nazywają się The Beatles, na co ja zareagowałem śmiechem. Znowu to samo, pomyślałem. Kolejna grupa z dziwną nazwą. Ale ja nigdy nie odmawiam zespołom, póki ich nie usłyszę. Powiedziałem więc, że mogliby zagrać na jednym takim koncercie, który organizuję w Peterborough. Ot,

podwójny występ w Embassy Theatre w ramach programu Franka Ifielda”. Nie dostali gaży, tylko zwrot kosztów podróży, a występ w Embassy był pierwszym koncertem w dużej sali poza Merseyside. Niestety, okazał się zupełną porażką. To właśnie tego wieczoru „publiczność siedziała z założonymi rękami”, jak to później ujął Arthur Howes. „Ten wieczór należał do Franka Ifielda, więc w sumie trudno się dziwić. Ludzie kochali go tak bardzo i cały występ był tak rewelacyjny, że kiepskie dziesięć minut nie zrobiło większej różnicy”.

Ale Arthurowi Beatlesi się spodobali. Dał im kolejny angaż na jeszcze jeden występ w Peterborough. Znowu wyszło do bani, ale tak czy inaczej podpisał z nimi kontrakt. Nie przyniosło to zdecydowanych zmian, ale teraz Beatlesi mieli być do jego dyspozycji, gdyby ich potrzebował. „Bardzo ich polubiłem jako ludzi, a Brian wydał mi się wybornym biznesmenem. Zrobił na mnie duże wrażenie”.

W styczniu 1963 roku, gdy wreszcie wyszedł pierwszy singiel Beatlesów, Arthur przypomniał sobie o kontrakcie i zaproponował im udział w trasie Helen Shapiro. Gdy wyruszyli w lutym, na rynku był już ich drugi singiel, ale nic jeszcze nie wskazywało na to, że trafi na szczyt listy przebojów. Beatlesi mieli być jednym z wielu zespołów wypełniających wieczór. „Trwało to sześć miesięcy, aż poszło, przynajmniej jeśli idzie o mnie. Mnie obchodzi głównie sukces kasowy. Jeśli nie pracują, nie ma wpływów. W moim fachu nie ma sentymentów. Liczy się ciężka praca”.

„Udział w trasie okazał się błogosławieństwem – mówi John. – Wyrwaliśmy się z Liverpoolu i to był przełom, bo już czuliśmy się czerstwo i zaczynało robić się ciasno. Zawsze szybko się nudziliśmy graniem na jednej scenie i zaczynaliśmy pakować manatki, kiedy tylko pojawiała się kolejna. Scena w Hamburgu stała się dla nas za mała, więc postanowiliśmy zakończyć tę przygodę. Byliśmy wkurzeni, jadąc w te dwie ostatnie hamburskie trasy. Tam zdobyliśmy już wszystko”.

„To były niesamowite emocje – wspomina Ringo – wyjazd w trasę z Helen Shapiro i występy w tych wszystkich salach widowiskowych. Wcześniej tylko raz graliśmy w liverpoolskim Empire, jak Brian zorganizował występ tylko po to, żeby nas gdzieś pokazać. Byliśmy trzecią gwiazdą wieczoru. Jeden londyński menedżer którejś z tak zwanych gwiazd miał coś do nas. Nie chciał, żebyśmy w ogóle zagrali tego wieczoru. Za to trasa po prawdziwych salach widowiskowych była super. Nie mieliśmy pojęcia o takich rzeczach jak charakteryzacja, bo nigdy wcześniej nie graliśmy na poważnej scenie. Trochę wody upłynęło, zanim się przełamaliśmy. Wydaje mi się, że podpatrywałem, jak to robi Frank Ifield. Jego oczy wyglądały niesamowicie. Pomyśleliśmy więc, że też spróbujemy. Szaleliśmy potem na scenie niczym Indianie w barwach wojennych".

Na początku trasy z Helen Shapiro nie wzbudzili zbytniego entuzjazmu. Dopiero gdy drugi singiel znalazł się na szczycie, ludzie zaczęli na nich reagować bardzo pozytywnie. „To Helen była gwiazdą – tłumaczy Ringo. – To ona miała w garderobie telewizor, nie my. Musieliśmy ją pytać, czy możemy coś u niej obejrzeć. Nie mieliśmy może pełnych sal, ale za to byliśmy, kurczę, na scenie". John pamięta, że w Glasgow było sporo pisków. Mówi, że tam zawsze piszczeli – kochali rock and rolla, klimaty w stylu Shadowsów. „W Szkocji zawsze piszczeli na naszych występach. Pewnie nie mają tam nic innego do roboty". Beatlesi nadal byli w zasadzie zespołem rockandrollowym. *Twist and Shout*, który zaczęli dodawać do swojego zestawu scenicznego, to chyba najbardziej rockandrollowa piosenka w ich całej twórczości.

Nawet w trasie Ringo przez długi czas miał obawy, czy uda mu się wpasować w zespół. „Gdy szliśmy do hotelu, zawsze zastanawiałem się, z kim będę w pokoju. Oni znali się jak łyse konie. Najczęściej było tak, że John dzielił pokój z George'em, a ja z Paulem. I oczywiście wszystko było w porządku". John zachował z tras wspomnienie globalne, nie pamięta za to takich szczegółów, jak nazwy miast, w których grali na którymkolwiek z

tournée. „Nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Wszystko wyglądało tak samo”.

Jedyne szczegółowe wspomnienie Ringo z trasy z Helen Shapiro dotyczy tego, jak zostali wyrzuceni z przyjęcia. „Wydaje mi się, że to było w Carlisle. W hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, trwała akurat impreza, więc postanowiliśmy zajrzeć. Było tam pełno mięczaków, a wszyscy nagrzani jak trzeba. Wywalili nas, bo wyglądaliśmy jak obszarpańcy, którymi zresztą byliśmy”.

Gdy singiel *Please Please Me* dotarł do pierwszego miejsca list przebojów, fani muzyki rozrywkowej zaczęli ich rozpoznawać. Pod koniec *tournée* zbierali tak samo duże owacje jak Helen – gwiazda programu. Po zakończeniu pierwszej trasy Arthur od razu wysłał ich w kolejną, która miała się rozpocząć w marcu 1963 roku. Tym razem głównymi gwiazdami byli Chris Montez i Tommy Roe. Na plakatach Beatlesi znaleźli się dopiero na trzeciej pozycji, ale entuzjazm publiczności rósł z występu na występ. Zaczęli być rozpoznawalni. Ich występ w programie *Thank Your Lucky Stars* zdecydowanie pomógł w promocji płyty, pojawiły się też propozycje pisania utworów dla innych wykonawców. Skomponowali nawet jeden utwór dla Helen Shapiro[107].

Nie minęło wiele czasu, gdy utwór *Summer Holiday* w wykonaniu Cliffa Richarda zastąpił *Please Please Me* na szczycie listy przebojów. Następnie Cliffa zdetronizował Gerry and the Pacemakers z piosenką *How Do You Do It?*, którą Beatlesi swego czasu odrzucili. W marcu 1963 roku przyjęło się w branży muzycznej określenie „brzmienie rodem z Liverpoolu”. Miesiąc później sukces singla *Please Please Me* doprowadził do wydania longplaya pod tym samym tytułem. Na płycie znalazły się obydwie strony dwóch pierwszych singli zespołu oraz utwory *Twist and Shout*, *A Taste of Honey* i kilka innych. Ta płyta utrzymała się na liście najlepiej sprzedających się longplayów przez sześć miesięcy. W kwietniu

1963 roku zespół wydał też trzeci singiel, pod tytułem *From Me to You*, który również zajął pierwsze miejsce na liście i zdobył status srebrnej płyty.

W tym czasie Brian łowił kolejne talenty z Liverpoolu. Podpisał umowę menedżerską z Billym Kramerem, od razu dodał mu „J.” przed nazwiskiem i zorganizował wspierający go zespół: The Dakotas z Manchesteru. John i Paul podarowali im utwór *Do You Want to Know a Secret?*, który też stał się numerem jeden. Już w kwietniu, gdy tylko pojawił się na rynku singiel *From Me to You*, zaczęło się porównywanie płyt Beatlesów i dało się słyszeć głosy, że ta ostatnia jest słabsza. DJ Keith Fordyce napisał, że „śpiew i harmonijne brzmienie są dobre i faktycznie czuć wigor. Słowa też gładko się sprzedają, ale moim zdaniem daleko tej płycie do dwóch poprzednich krążków zespołu”. John i Paul napisali ten utwór w autokarze podczas trasy z Helen Shapiro. Jak zwykle ułożyli proste, nieskomplikowane słowa pełne zaimków, jak tytułowe „ja”, czy „ty”, dzięki którym odbiorcy łatwo mogli się zidentyfikować z utworem.

W maju miała się rozpocząć kolejna trasa po Wielkiej Brytanii, tym razem wspólnie z Royem Orbisonem. To właśnie tej trasy jako jedynej nie organizował Arthur Howes – Brian uważał, że nadszedł czas, by przekuć sukces płyty na wpływy z biletów. Zanim wyruszyli, pojechali na krótkie wakacje na Teneryfę. Spędzili je w domu ojca Klausa Voormanna, znajomego z Hamburga, z którym stale utrzymywali kontakt. Tych wakacji Paul o mało nie przypłacił życiem – pewnego dnia wypłynął w morze i porwała go fala. Podczas przerw w trasie Beatlesi wracali do domu do Liverpoolu. „Chodziliśmy dumni jak pawie – mówi Ringo. – Profesjonalny zespół, się wie. Większość zespołów dalej chałturzyła”. John czuł się jednak w Liverpoolu lekko spłoszony, mimo że udało im się odnieść sukces. „Nie mogliśmy się do tego przyznać, ale naprawdę nie znosiliśmy tych powrotów. Pozycja miejscowych bohaterów jakoś nas peszyła. Jak graliśmy tam koncerty, zawsze przychodziło pełno znajomych. Byliśmy zażenowani tym, że nagle jesteśmy tacy wymuskani i w garniturach.

Martwiliśmy się, że kumple pomyślą, że się sprzedaliśmy. W pewnym sensie mieliby rację”.

Podczas trasy z Royem Orbisonem na koncertach The Beatles zaczęło dochodzić do zamieszek, choć nie na taką skalę, żeby zainteresowały się tym ogólnokrajowe gazety, które nadal ignorowały istnienie zespołu. To była ich pierwsza trasa w roli gwiazd i wszędzie, gdzie się pojawili, wywoływali reakcję taką jak kiedyś w rodzimym The Cavern. Mimo że Brian trochę ich ugrzecznił i uczynił bardziej strawnymi dla show-biznesu – tak przynajmniej uważał John – nadal wygłupiali się na scenie, śpiewając idiotyczne przyśpiewki i wrzucając zabawne wstawki za każdym razem, gdy coś szło nie tak jak trzeba. „A teraz piosenka gorącej jak żelazko, wielkiej pieśniarki gospel, Victora Silvestera”. W wywiadach, które udało się Brianowi załatwić dla czasopism muzycznych, zachowywali się dokładnie tak samo. Maureen Cleave napisała w swoim artykule w „Evening Standard”, że rozmowa z nimi to jak szalona zabawa z czterema braćmi Marx. To właśnie podczas trasy z Royem Orbisonem zaczęło się sprzedawanie biletów na koncerty na czarnym rynku, rzucanie żelkami po tym, jak George bezmyślnie przyznał się, że ma do nich słabość, oraz szturmowanie przez fanów, którzy otaczali ich przed budynkiem i w hotelu – gdziekolwiek zespół się pojawił. Roy Orbison i Beatlesi byli dwiema równorzędnymi gwiazdami, z tym że występ Roya zawsze był przedostatni, a oni wychodzili na końcu jako główna gwiazda wieczoru. „Niełatwo było wychodzić po nim na scenę – opowiada Ringo. – Roy rzucał publiczność na kolana, więc oczekiwała czegoś więcej. W Glasgow siedzieliśmy wszyscy za sceną i słuchaliśmy tej burzy oklasków, które zbierał. A przecież on po prostu stał i śpiewał, wcale się nie ruszał ani nic takiego. Gdy zbliżała się nasza kolej, kryliśmy się za kulisami i szeptaliśmy do siebie: »Zgadnijcie, kochani, kto teraz. To wasi ulubieni wariaci«. Ale jak już wychodziliśmy na scenę, wszystko było OK”.

Wcale nie było OK dla Neila Aspinalla, kierownika tras. W Liverpoolu jeszcze jakoś dawał radę, obwożąc zespół po tych samych scenach, ale teraz było mu znacznie trudniej: codziennie zupełnie nowe drogi, nowe hotele, nowe sale i nowe problemy. „Zawsze, podczas każdej trasy, były kłopoty z mikrofonami – mówi John. – W żadnej sali nie potrafili nam przygotować mikrofonów tak, jak chcieliśmy. Nawet próby przed południem i jasne wytyczne nie pomagały. Zazwyczaj mikrofony znajdowaliśmy w niewłaściwym miejscu sceny, albo były ustawione za cicho. Przygotowywali nagłośnienie tak, jakby to był amatorski pokaz talentów. Byliśmy bardzo wyczuleni, gdy ktoś nie brał naszej muzyki na poważnie. Doprowadzało nas to do szału. Wrzeszczeliśmy na Briana, który zazwyczaj siedział w kabinie dźwiękowca. On z kolei dawał nam znaki, że nic więcej nie może zrobić”.

Najczęściej jednak wrzeszczeli na Neila. To do jego obowiązków należało przywożenie grupy oraz dostarczanie sprzętu na miejsce o ustalonym czasie, a także pomoc przy rozładunku. W miarę jak szaleństwo rosło i tłumy fanów napierały na zespół coraz bardziej, narażając ich tym samym na obrażenia i podkradając elementy sprzętu, coraz trudniej było Neilowi zapanować nad tym wszystkim w pojedynkę. „Przez pięć tygodni w trasie schudłem prawie dwadzieścia kilo. Nikt nie chce mi wierzyć, ale to prawda. Zszedłem z siedemdziesięciu na pięćdziesiąt kilogramów. Przez pięć tygodni nie dojadałem i nie dosypiałem. Nie było czasu”. I dlatego w drużynie pojawił się były bramkarz z The Cavern – Malcolm (Mal) Evans. Dołączył do Neila i odtąd pracowali razem.

Neil jest szczupły, szalenie inteligentny i robi co do niego należy, nie próbując skupiać na sobie uwagi. Niemniej ma bardzo wyraziste poglądy i bynajmniej nie jest przytakiwaczem. Z wyglądu trochę przypomina George’a. Mal jest dobrze zbudowanym facetem o dobrym sercu i pogodnym usposobieniu. Neil, żeby pracować dla Beatlesów, porzucił posadę księgowego, kariera Mala była może mniej imponująca, ale z kolei

dopóki nie dołączył do ekipy, żył jak pączek w maśle. Przez jedenaście lat pracował jako inżynier telekomunikacyjny, później pojawili się Beatlesi i jego życie zmieniło się na zawsze. Miał wówczas dwadzieścia jeden lat, żonę i dziecko. Spłacał kredyt na dom szeregowy przy Allerton Road w Liverpoolu. Był też dumnym posiadaczem pierwszego samochodu, a zarabiał piętnaście funtów tygodniowo. Miał totalnie ustabilizowane życie, płatne wakacje i gwarantowaną emeryturę. Po prostu był urządzony. Pewnego dnia w 1962 roku wyszedł z budynku poczty, w którym pracował, i postanowił, że tym razem nie pójdzie na swój codzienny spacer w porze lunchu na Pier Head. „Zauważyłem taką małą uliczkę o nazwie Mathew Street, która nigdy wcześniej nie rzuciła mi się w oczy. Zaprowadziła mnie ona do klubu The Cavern. Nigdy wcześniej tam nie byłem. Z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki, mocne rockandrollowe granie, trochę jak Elvis. Zapłaciłem szylinga i wszedłem do środka”.

Wkrótce Mal stał się tam częstym bywalcem, więc zaproponowano mu, że jeśli przyjmie posadę bramkarza, to nie będzie musiał płacić za wejście. Przez trzy miesiące dorabiał więc jako bramkarz w The Cavern, aż w końcu latem 1963 roku Brian zasugerował, żeby rzucił pracę na poczcie i został pomocnikiem Neila. Przez wszystkie te lata, gdy Beatlesi koncertowali poza Liverpoolem, jego zadanie polegało na prowadzeniu furgonetki, którą przewoził sprzęt do kolejnej sali koncertowej, rozstawianiu go na scenie i sprawdzaniu, czy wszystko gra, zanim pojawiał się zespół. Po koncercie składał to wszystko i bezpiecznie transportował w kolejne miejsce. Neil z kolei zaczął więcej czasu poświęcać chłopakom.

Mal opowiada, że już w pierwszym tygodniu pracy wyleciał z niej chyba z sześć razy. „Nigdy wcześniej nie widziałem z bliska perkusji. Kompletnie się na tym nie znałem. Na początku przez kilka dni pomagał mi Neil, ale mój pierwszy dzień solo był koszmarny. Grali właśnie na jakiejś wielkiej scenie, a ja miałem dziurę w mózgu. Zupełnie nie wiedziałem, gdzie co poustawiać. Poprosiłem o pomoc jakiegoś perkusistę z innego

zespołu. Nie miałem pojęcia, że każdy bębniarz lubi mieć talerze na innej wysokości. On ustawił je po swojemu, ale dla Ringo to było zupełnie do kitu. Najgorzej było jednak w londyńskim Finsbury Park Empire, gdzie zgubiłem gitarę Johna. I to taką, którą miał od lat. Po prostu zniknęła. »Gdzie jest mój Jumbo?«, spytał. Nie wiedziałem. Do dziś nikt nie wie, co się z nią stało. Dostało mi się zasłużenie. Super było spotykać tych wszystkich ludzi, których znałem z telewizji. Byłem dumny, że obcuję z gwiazdami. Nadal jestem. Szybko zorientowałem się jednak, że ludzie są dla mnie mili, próbują się do mnie zbliżyć, żeby użyć mnie jako przepustki do Beatlesów. Po niedługim czasie potrafiłem wyczuć takich na kilometr".

„On to miał fajnie – wspomina Neil. – Wychodził sobie i ustawiał instrumenty. Był mega popularny. Ludzie bili brawo i pokrzykiwali, a on żartował sobie ze sceny. Nie musiał się z nikim przepychać, jak już się zaczęło". „Szybko zmieniłem zdanie na temat chłopaków – mówi Mal. – Wcześniej byli dla mnie czwórką ślicznych dzieciaków. Widziałem w nich bogów, ale prędko zorientowałem się, że to normalne, równe chłopaki, wcale nie z brązu. Czasem narzekali, ale nie mogłem im odszczeknąć. Musiałem to znosić i już".

Obaj panowie zgodnie twierdzą, że najgorszym aspektem tras był pobyt w garderobie przed koncertem. Roiło się tam od dziennikarzy, policji, pracowników sal widowiskowych, a na zewnątrz mrowie fanów próbowało forsować drzwi. „Musiałem się tym wszystkim zajmować – opowiada Neil – póki nie zatrudniliśmy własnego gościa od kontaktów z prasą. Byłem też odpowiedzialny za dostarczanie jedzenia. Kiedy robiło się za gorąco, ktoś za bardzo się naprzykrzał, John czy któryś z nich krzyczał: »Neil, kaleki«. To był znak, że trzeba się kogoś pozbyć. Wzięło się to faktycznie od niepełnosprawnych, ale potem tym słowem określaliśmy każdego, kto przeszkadzał. Od pierwszej trasy zawsze było wokół nas pełno ludzi na wózkach. Każda garderoba była ich pełna, zanim jeszcze zdążyliśmy wejść. Wpuszczali ich kierownicy sal, sądząc, że bardzo się ucieszymy, bo

przecież takie kochane z nas chłopaki. To było straszne. Nie mogliśmy się ruszyć, ale co mieliśmy robić? Sami przecież też nie mogli się poruszać, więc zazwyczaj razem z Malem musieliśmy ich wynosić. Raz któryś wbił Malowi paznokieć w szyję. Niepełnosprawnych przybywało wraz z rosnącą popularnością Beatlesów. Z jakiegoś powodu właśnie tak postrzegano zespół: jako miłych, dobrych chłopców. Wszyscy myśleli więc, że oni Chcą się spotykać z niepełnosprawnymi, bo inaczej będą rozczarowani".

Niektórzy wierzyli nawet, że obcowanie z Beatlesami w cudowny sposób może ich uzdrowić. Był to jeden z przejawów bezkrytycznego uwielbienia, który nigdy nie trafił na pierwsze strony gazet. Zdjęcia kalekich osób wynoszonych z garderoby przez obsługę techniczną byłyby z pewnością nie na miejscu. Zamieszki zaczęły się już podczas pierwszych tras po kraju, mimo że nadal byli zespołem na wskroś liverpoolskim, obskakującym między poważnymi występami miejscowe sale koncertowe w Merseyside. Swój ostatni występ w The Cavern dali dopiero 23 sierpnia 1963 roku.

John przejechał do Liverpoolu na poród syna – Juliana, który otrzymał imię po swojej babce Julii. By odwiedzić Cyn w szpitalu Sefton General, dla niepoznaki musiał się przebrać. Było to w kwietniu 1963 roku. Poza Liverpoolem jeszcze ich nie rozpoznawano, ale tutaj byli sensacją. „Parę osób się zorientowało. »To jeden z nich«, krzyczeli, a ja zwiewałem ile sił". Kilka dni po narodzinach syna John pojechał na wakacje do Hiszpanii w towarzystwie Briana[108]. Cyn z dzieckiem wyprowadziła się z małego mieszkanka w centrum Liverpoolu i zamieszkała z Mimi przy Menlove Avenue. „Gdy chodziłam z wózkiem po Woolton, ludzie zaczepiali mnie, pytając: »Czy to pani jest Cynthią Lennon?«. Zawsze mówiłam, że nie".

W czerwcu 1963 roku, w dwudzieste pierwsze urodziny Paula, ich sława nadal ograniczała się w dużej mierze do Liverpoolu. Wszyscy fani wiedzieli oczywiście o urodzinach, więc Paul nie mógł zorganizować

imprezy w domu przy Forthlin Avenue. Urządził ją więc u ciotki Gin – jednej z dwóch, które opiekowały się nim i bratem po śmierci matki. To była wielka, głośna balanga, na której grali muzycy z przeróżnych zespołów, zupełnie jak na urodzinach Ringo i jak na wszystkich imprezach powitalnych, gdy Beatlesi wracali z Hamburga. Grał zespół The Fourmost – również podopieczni Briana – oraz The Scaffold, nowa grupa na liverpoolskiej scenie muzycznej, w której skład wchodzili: Roger McGough – miejscowy poeta, John Gorman, aktor komediowy i właściciel butiku, oraz Mike McGear, znany wcześniej pod nazwiskiem Michael McCartney – młodszy brat Paula. Michael nadal pracował jako fryzjer, ale w wolnych chwilach grywał z zespołem. Gdy Paul stał się sławny w rodzinnym mieście, Michael zmienił nazwisko dla potrzeb scenicznych, żeby nie budzić podejrzeń, że próbuje zbić kapitał na sukcesie brata. Z tego samego powodu nie chciał zostać wokalistą.

To na tej imprezie John wdał się w bójkę z Bobem Woolerem, miejscowym DJ-em, który kiedyś, jeszcze przed erą Briana, organizował im występy. „Dowaliłem mu – mówi John. – Obiłem mu żebra. Byłem nieźle narąbany. Wydaje mi się, że nazwał mnie ciotą[109]. Potem pozwał mnie za pobicie. Zapłaciłem mu dwieście funtów w ramach ugody. To była chyba moja ostatnia poważna bójka”. Pod wieloma względami ten incydent oznaczał koniec pewnego rozdziału i zarazem początek końca agresywnych zachowań Johna i jego zaczepnego stosunku do otoczenia. Był to również początek końca czasów liverpoolskich, ponieważ trasy Beatlesów wreszcie zaczęły zyskiwać rozgłos w całym kraju.

Tymczasem w sierpniu 1963 roku w Londynie ukazał się czwarty singiel zespołu pod tytułem *She Loves You*, który był przyczynkiem do szaleństwa określanego jako *yeah*, *yeah*, *yeah* i zapoczątkował ich sławę. Od tej pory Liverpool miał być zaledwie ich rodzinnym miastem.

Rozdział 22
Beatlemania

Beatlemania opanowała Wyspy Brytyjskie w październiku 1963 roku, tuż po tym, jak opadł kurz bitewny po Aferze Profumo[110]. Przez trzy lata trzymała kraj w żelaznym uścisku, rozlewając się po właściwie wszystkich zakątkach świata. Były więc nieustanne piski, krzyki *yeah*, *yeah*, *yeah*[111] w wykonaniu rozhisteryzowanych nastolatków z każdej warstwy społecznej i o każdym kolorze skóry, z których większość zapewne przez cały ten hałas nawet nie słyszała, o co ten szum. Emocjonalnie, mentalnie i seksualnie byli naładowani jak akumulator. Toczyli pianę z ust, płakali rzewnymi łzami, napierali na Beatlesów niczym stada lemingów lub po prostu mdleli.

Przez te trzy lata emocje nie malały, jedynie ich epicentrum przenosiło się z miejsca na miejsce. Każdy kraj był świadkiem tych samych scen zbiorowego szaleństwa – scen, których nikt wcześniej nie przewidział i które pewnie szybko się nie powtórzą. Dziś to wszystko brzmi jak fikcja, choć wydarzyło się zaledwie wczoraj. Nie sposób wyolbrzymić Beatlemanii, ponieważ to Beatlemania sama w sobie była wyolbrzymieniem. Niedowiarki niech sięgną po pierwszą z brzegu większą gazetę z tego okresu, a znajdą w niej niezliczoną ilość słów i zdjęć oraz relacje minuta po minucie z tego, co się działo, gdy Beatlesi wylądowali w danym zakątku świata.

Gdy to wszystko skończyło się w 1967 roku, ludzi tak silnie uderzyło uczucie zmęczenia lub nudy, że nie byli w stanie uwierzyć, iż to rzeczywiście miało miejsce. Czy naprawdę można aż tak oszaleć? Ludzie w różnym wieku, o różnym poziomie inteligencji – wszyscy ostatecznie poddali się temu szaleństwu, choć faktycznie największa histeria dotyczyła

nastolatków. Światowi przywódcy i sławy, którzy początkowo ostrzegali lub krytykowali, teraz potykali się w wyścigu do Beatlesów, próbując udowodnić, że doskonale znają członków zespołu, i pokazać innym, iż zdają sobie sprawę, że oto mamy do czynienia z fenomenem na skalę masową.

W Wielkiej Brytanii Beatlemania wybuchła nagle w październiku 1963 roku. Brian Epstein mówił, że w ogóle nie był na to przygotowany. Owszem, spodziewał się sukcesu, ponieważ właściwie był on już ich udziałem, za to zupełnie nie spodziewał się takiej histerii.

Singiel *She Loves You* ukazał się na rynku pod koniec sierpnia i również poszybował na pierwsze miejsce, śladami dwóch poprzednich wydawnictw. Już w czerwcu tysiące fanów zamówiły kolejny singiel, który na tym etapie nie miał jeszcze nawet tytułu. Na dzień przed rozpoczęciem sprzedaży spłynęły zamówienia na łączną liczbę pięciuset tysięcy egzemplarzy. We wrześniu pozycja Beatlesów w Wielkiej Brytanii była już zupełnie wyjątkowa. Mieli na koncie najlepiej sprzedającą się płytę *Please Please Me*. Mieli najlepiej sprzedającą się epkę[112] *Twist and Shout*. I mieli najlepiej sprzedający się singiel *She Loves You*.

Niemniej dopiero 13 października 1963 roku Beatlesi przestali być tylko ciekawym zjawiskiem ze świata muzyki popularnej, a stali się sensacyjnym newsem na pierwsze strony wszystkich krajowych gazet. To właśnie tego wieczoru wystąpili jako główna gwiazda w londyńskim Palladium, a występ ten transmitowano w telewizji jako *Sunday Night at the London Palladium*. Szacuje się, że obejrzało go tego dnia piętnaście milionów widzów. Przez calusieńki dzień fani okupowali Argyll Street, przy której leży Palladium. Gdy dziennikarze dowiedzieli się o tym zbiorowisku, sami zaczęli przybywać na miejsce. Drzwi do areny były zablokowane przez tłumy nastolatków, góry prezentów i sterty telegramów. W środku nie sposób było nawet przeprowadzić próby, ponieważ wszystko

zagłuszały piski tysięcy fanów zebranych na zewnątrz. Coraz to więcej stacji telewizyjnych wysyłało na miejsce swoich przedstawicieli z działu wiadomości, by rejestrowali zachowania tłumu, mimo że *show* miał być nadawany w konkurencyjnej stacji. Zupełnie zaskoczone służby porządkowe nie były w stanie kontrolować tłumu. Uznano, że samochód, którym zespół odjedzie z Palladium, zostanie podstawiony pod główne wejście, ponieważ fani spodziewali się, że czwórka wyjdzie tylnymi drzwiami. W tym czasie Beatlesi poruszali się już austinem princess z szoferem za kierownicą. Furgonetka Neila dawno poszła w odstawkę, wraz z pojawieniem się rekordowych wyników sprzedaży płyt.

Policjanci wpadli na pewien pomysł i przesunęli samochód ciut dalej od drzwi – w ramach kamuflażu. Oznaczało to mniej więcej tyle, że Beatlesi musieli wyjść z budynku pod eskortą Neila, w panice rozglądać się za samochodem, a potem pokonać blisko pięćdziesiąt metrów biegiem, o włos unikając śmierci z rąk rozszalałego tłumu. Następnego dnia na pierwszych stronach wszystkich gazet pojawiły się opisy i zdjęcia rozhisteryzowanego tłumu. Nie było w nich słowa o jakości występu, tylko o towarzyszącym mu chaosie.

„Od tego dnia – mówi Tony Barrow, rzecznik prasowy zespołu – już nic nie było takie samo. Moja praca już nigdy nie była taka sama. Sześć poprzednich miesięcy spędziłem na bezskutecznym dzwonieniu do gazet, aż nagle dziennikarze z całego kraju zaczęli gonić za mną”. Jego praca polegała teraz na wybieraniu razem z Brianem i innymi nowo zatrudnionymi rzecznikami, który dziennikarz dostąpi przywileju przeprowadzenia wywiadu z Beatlesami. „Nawet przed tym wszystkim nie byłem tego rodzaju rzecznikiem, jakich miała większość zespołów, wymyślającym działania mające im przynieść rozgłos. Nigdy się do tego nie uciekaliśmy, bo nie musieliśmy”.

W środę po koncercie Bernard Delfont ogłosił listę nazwisk osób, które miały wziąć udział w najważniejszym w brytyjskim show-biznesie

przedsięwzięciu roku – Royal Variety Performance[113]. Na liście gwiazd znalazła się na przykład Marlena Dietrich. Beatlesi byli w trasie, gdy lista została ogłoszona, a konkretnie w Liverpoolu, gdzie mieli zagrać w Southport Ballroom. Wszystkie krajowe gazety wysłały przedstawicieli ze swoich biur terenowych w Manchesterze, by uwiecznili reakcję Beatlesów na wiadomości. Liczyli oczywiście na jakieś satyryczne uwagi na temat rodziny królewskiej, ale ku radości Briana nie doczekali się. Royal Variety Performance zaplanowano na 4 listopada. Do tego momentu Beatlesi koncertowali w kraju i, nie licząc Niemiec, po raz pierwszy za granicą – w Szwecji. W Wielkiej Brytanii każdy występ generował te same histeryczne reakcje tłumów. Każdego dnia gazety niemal słowo w słowo powtarzały to samo, co dnia poprzedniego – zmieniały się tylko nazwy miast. Nawet w tych mniejszych miasteczkach jak Carlisle, gdzie rok wcześniej Beatlesów wyproszono z balu w miejscowym hotelu, witały ich tłumy. 24 października ponad sześciuset nastolatków czekało całą noc w kolejce po bilety. Większość z nich zabrała śpiwory i nocowała pod gołym niebem. Niektórzy spędzili w kolejce trzydzieści sześć godzin. Gdy otwarto kasy i kolejka ruszyła, posypały się rozbite okna wystaw sklepowych, a dziewięć osób trafiło do szpitala. W większych miastach poszkodowanych liczono w setkach.

Trasa szwedzka była pierwszą po Hamburgu zagraniczną wyprawą Beatlesów i bezpośrednim następstwem rekordowej popularności singli. Sprzedaż *She Loves You* w mgnieniu oka osiągnęła w Wielkiej Brytanii poziom miliona egzemplarzy, otrzymując status złotej płyty. Równie dobrze sprzedawała się w Europie, co wcześniej nie zdarzało się zbyt często w przypadku artystów brytyjskich. W Szwecji zespół spędził pięć dni – od 24 do 29 października. W tym czasie codziennie pojawiali się w brytyjskiej prasie, jak również w szwedzkich gazetach i telewizji. Podczas koncertu w Sztokholmie policja z psami kontrolowała tłumy fanów, którym nie udało

się dostać biletów. W środku czterdziestu policjantów z pałkami stało w rzędzie, ochraniając scenę, na którą napierali fani. Ostatecznie bariera została przerwana i ludzie wtargnęli na scenę. Ktoś nawet przewrócił George’a, ale policji udało się zapanować nad sytuacją, ratując muzyka przed zadeptaniem.

Szwedzcy fani przyjęli już beatlesowskie uczesanie i styl ubierania, podążając śladem brytyjskiej młodzieży. W Szwecji fryzura ta nazywana była „na Hamleta”. Sami Beatlesi datują początek Beatlemanii ciut później niż występ w Palladium, który wskazują Brian i Tony Barrow. Nie byli świadomi rozmiarów swojej popularności aż do trzydziestego pierwszego października, gdy wylądowali na lotnisku w Londynie po powrocie ze Szwecji. Zdawali sobie oczywiście sprawę z chaosu, którego byli przyczyną dwa tygodnie wcześniej w Palladium, i pozostałych rozrób, do których dochodziło w całym kraju. Ale podobne ekscesy towarzyszyły im już od czasów The Cavern – ich liczba powoli narastała, choć nie były one eksponowane w mediach. Przyzwyczaili się już do tego, że podczas trasy trzeba ich ukradkiem przemycać do i z sali koncertowej. Woleli przed tym uciekać, niż stawać twarzą w twarz z fanami i ryzykować utratę życia.

Gdy jednak wylądowali na londyńskim lotnisku, skala popularności po prostu ich uderzyła. To był pierwszy triumfalny powrót od czasów, gdy hucznie witano ich w The Cavern. Tysiące piszczących fanów przez kilka godzin blokowały całe lotnisko. W chaosie wywołanym ich przylotem utknął też gdzieś samochód wiozący premiera sir Aleca Douglasa-Home’a. Miss Świata, która też akurat znalazła się na lotnisku, została zupełnie zignorowana. Te lotniskowe sceny miały stać się powszechnym obrazkiem na następne trzy lata.

Występ podczas Royal Variety Performance był drugim ważnym londyńskim koncertem zespołu, a odbył się 4 listopada w Prince of Wales Theatre. Publiczność nie była aż tak liczna jak w Palladium, ale bardziej elitarna – przynajmniej teoretycznie – ponieważ siedzenia były

czterokrotnie większe niż normalnie. Było to zarazem wydarzenie charytatywne, na które przybyło pełno szych ze świata show-biznesu, przedstawicieli drobniejszej arystokracji i bogaczy handlujących starociami – wszyscy chcieli chociaż rzucić okiem na rodzinę królewską. Na sali obecni byli Królowa Matka, księżniczka Małgorzata i lord Snowdon. Nie najłatwiejsza widownia. Do tego istnieje żenująca tradycja, wedle której cała publiczność zapuszcza żurawia do loży królewskiej, by zobaczyć, jaką reakcję wywołuje dany artysta, i na tej podstawie dopiero zaczyna klaskać bądź się śmiać. Paul od samego początku zbierał salwy śmiechu. Beatlesi występowali bezpośrednio po Sophie Tucker. Paul powiedział, że bardzo się cieszą, że mogą występować po swojej ulubionej amerykańskiej gwieździe. Muzycznie zagrali swój stały zestaw, wprawiając publiczność w histerię samą zapowiedzią piosenki *She Loves You*. Następnie zagrali *Till There Was You* oraz *Twist and Shout*. John zapowiedział jeden utwór. „Ludzie zajmujący tańsze miejsca mogą klaskać – oznajmił, po czym, patrząc w kierunku loży królewskiej, dodał: – Pozostali mogą potrząsać biżuterią”. Na drugi dzień żart ten pojawił się na pierwszych stronach gazet. Każdemu bardzo się podobał subtelny dowcip wymierzony w rodzinę królewską. Wszystko było oczywiście zupełnie niewinne. Mimo że każdy wiedział, że to dość bezczelna uwaga, to jednak traktowano ją jako uroczą, bo sami Beatlesi uchodzili wówczas za uroczych. W następnej rozmowie z członkami zespołu Królowa Matka pokazała, że i jej uwadze nie uszedł ten wybryk. Skomentowała go nawet żartobliwie, choć dowcip był chyba niezamierzony. Spytała ich, gdzie mają kolejny występ, a gdy powiedzieli, że w Slough, odparła: „O, to niedaleko nas”. Koncert ten pokazywano w telewizji w niedzielę. Przed odbiornikami zasiadło dwadzieścia sześć milionów widzów.

Artykuły o kolejnych występach stały się wyjątkowo monotonne. Nawet takie gazety jak „Daily Telegraph”, które wcześniej utrzymywały, że materiały o gwiazdach muzyki popularnej są poniżej ich poziomu (mimo że

dziś z niemal religijną gorliwością co tydzień publikują listę dziesięciu najlepiej sprzedających się płyt), donosiły o każdym incydencie związanym z trasami Beatlesów. Niemniej jeszcze długo ich doniesienia, na przykład na temat koncertu w Newcastle z 28 października, wyglądały tak: „Nastolatki walczą o bilety na koncert zespołu The Beatles, grającego muzykę »popularną«…”. Sądzili, że nadal muszą wyjaśniać swoim czytelnikom, kim są Beatlesi.

W parlamencie rozgorzała debata na temat tysięcy policjantów, którzy jak kraj długi i szeroki mają teraz dodatkowe, wyjątkowo niebezpiecznie obowiązki z powodu The Beatles. Jeden z posłów zasugerował, że policja powinna zaniechać interwencji, na zasadzie zobaczymy, co się stanie. Na szczęście nikt nie potraktował go poważnie.

1 listopada rozpoczęła się kolejna trasa. Tym razem na plakacie nie znalazł się żaden Roy Orbison ani inna gwiazda – nie było takiej potrzeby. To była trasa Beatlesów. W programie, który miał trwać aż do 13 grudnia, znalazło się kilka akcji promocyjnych produktów beatlesowskich. Pewna firma z Peckham zaproponowała Beatlesom swetry „zaprojektowane specjalnie dla zespołu przez czołowego brytyjskiego producenta, z najwyższej jakości dwukolorową naszywką z nazwą grupy”. Wszystko to za trzydzieści pięć szylingów za sztukę. W tym czasie producenci z całego kraju konkurowali między sobą, któremu uda się zdobyć zgodę na wykorzystanie słowa „Beatles” na swoich produktach. Już w październiku 1963 roku marynarki beatlesówki – te ze stójką, zwykle ze sztruksu, które jako pierwszy nosił w Hamburgu Stu – były w sprzedaży dosłownie wszędzie. Zaczęły się też pojawiać w sklepach peruki *à la* Beatlesi. Pewna fabryka z Bethnal Green pracowała dzień i noc, by zaspokoić popyt. Ogłosiła nawet, że przyjmuje zamówienia z elitarnej szkoły Eton i z Pałacu Buckingham. Nie od samej królowej naturalnie, ale od jej pracowników. Większość nastoletnich chłopców zaczęła zapuszczać włosy na wzór Beatlesów. W listopadzie ruszyła istna lawina artykułów prasowych o

chłopcach, których nauczyciele wyrzucają z lekcji z powodu długich włosów, lub o praktykantach, których z tego samego powodu przełożeni nie chcą wpuszczać na teren fabryk.

2 listopada w „Daily Telegraph” ukazał się pierwszy wstępniak krytykujący histerię na punkcie The Beatles. Redaktor naczelny gazety napisał, że masowa histeria uderza tylko do pustych głów, zupełnie jak wystąpienia Hitlera. „Daily Mirror” od razu ruszył Beatlesom z odsieczą. „Trzeba być wyjątkowo zgorzkniałym wapniakiem, żeby nie kochać tych szalonych, rozwrzeszczanych, szczęśliwych przystojniaków z The Beatles”. Chwalono zespół, że nie robi sobie „nieprzyzwoitych żartów z homoseksualistów”. Najpierw atakowano ich, a potem broniono podczas dorocznych spotkań przywódców Kościoła anglikańskiego. Jeden z biskupów nazwał ich „psycho-żałosnym zespołem” i powiedział, że za ich jednotygodniową gażę można by wybudować katedrę w Afryce. Za to inny komentator stwierdził, że jest fanem zespołu i że nie ma w tej zabawie nic zdrożnego. To chyba właśnie „Daily Mirror” jako pierwszy poprosił swojego etatowego psychologa o ocenę sytuacji. Od tego czasu przez trzy lata psychologowie, zwłaszcza w Ameryce, zarabiali na tej praktyce niezłe pieniądze. Ten konkretny powiedział, że Beatlesi stanowią „upust dla popędu seksualnego”. Dołączyli do niego lekarze, orzekając, że dziewczęta doznawały orgazmu podczas koncertów zespołu.

Podczas trasy zespół dotarł do Cheltenham – wyjątkowo konserwatywnego miasteczka w hrabstwie Gloucestershire. Następnego dnia gazety ogłosiły „Upadek Wapniakowa” – tytuł ten redaktorzy mieli pewnie gotowy już poprzedniego dnia. W artykułach cytowano miejscowych policjantów, którzy twierdzili, że „tak szalonego wieczoru nie pamiętają od czasów oblężenia Mafeking[114]”. 14 listopada w Plymouth trzeba było poskramiać oszalałych fanów za pomocą armatek wodnych. W Portsmouth wybuchła wielka panika, ponieważ Paul miał lekką grypę i

trzeba było odwołać koncert. W każdej gazecie można było przeczytać szczegółowe doniesienia na temat jego stanu zdrowia, co godzinę uzupełniane przez lekarzy. 11 listopada w Birmingham zespołowi udało się uciec przed rozszalałym tłumem w przebraniach funkcjonariuszy policji. 18 listopada gwiazdą gazet został anglikański wikary, który poprosił Beatlesów o nagranie dla niego na Boże Narodzenie taśmy z *Oh Come All Ye Faithful, Yeah, Yeah*.

Wyniki sprzedażowe EMI szybowały w górę z dnia na dzień. Gdy wyszło na jaw, że Decca i inne wytwórnie odrzuciły Beatlesów, wszyscy porównywali to do sytuacji, gdy 20th Century Fox zrezygnowało z *Przeminęło z wiatrem*. Pod koniec listopada wyszedł piąty singiel zespołu – *I Want to Hold Your Hand* – i od razu znalazł się na pierwszym miejscu list przebojów. Jeszcze zanim się ukazał, liczba zamówień w samej tylko Wielkiej Brytanii wynosiła milion egzemplarzy. Ich druga płyta długogrająca, *With The Beatles*, wyszła kilka dni wcześniej. Na okładce znalazła się dość surowa, choć bardzo artystyczna fotografia ukazująca czterech muzyków od ramion w górę – wszystkich ubranych w czarne golfy. Ich twarze oświetlono w taki sposób, by jeden profil znajdował się w cieniu, tak jak niegdyś w Hamburgu fotografowała ich Astrid. Gdy na początku listopada ogłoszono wydanie nowej płyty, od razu spłynęło dwieście pięćdziesiąt tysięcy zamówień. W tamtym czasie była to najwyższa na całym świecie liczba egzemplarzy zamówionych przed oficjalną premierą longplaya. Beatlesi pobili rekord Elvisa, którego album *Blue Hawaii* zamówiono w liczbie dwustu tysięcy egzemplarzy.

Każdy dziennikarz brytyjski o liczącym się w branży nazwisku zabiegał o rozmowę z zespołem, godzinami czekając przed garderobą i licząc, że zamieni z nimi choć słowo. Donald Zec z „Daily Mirror” jako jeden z pierwszych przeprowadził z nimi obszerny wywiad. Miało to miejsce 10 września – na samym początku sławy Beatlesów w kraju. Mówiąc o ich

włosach, co wówczas każdy dziennikarz poczytywał za swój obowiązek, nazwał je fryzurami z epoki kamienia łupanego.

Już w grudniu 1963 snobistyczne niedzielne gazety dołączyły do reszty krajowej prasy i zaczęły wnikliwie i poważnie analizować nowy fenomen, angażując własnych psychologów, ale opisując wszystko znacznie dłuższymi słowami. „Observer" opublikował zdjęcie figurki bogini płodności o kształtach gitary. Figurkę znaleziono w prowincji Amorgos na Cykladach, a gazeta uznała, że „oznacza to, iż historia gitary jako symbolu seksualnego sięga czterech tysięcy ośmiuset lat przed erą Beatlesów". „Sunday Times" pisał, jak bardzo zespół przyczynił się do wzbogacenia języka angielskiego, wprowadzając do ogólnego obiegu liverpoolskie słowa jak choćby *gear* (w znaczeniu dobry, świetny). To z pewnością przywołało Edwarda Heatha – polityka Partii Konserwatywnej – do porządku. Wcześniej krytykował Beatlesów za to, że śpiewają w języku, który ciężko nazwać „królewską angielszczyzną". Niemniej pan Heath w pewnym stopniu odkupił swoje winy, gdyż podobno powiedział: „Kto mógłby przewidzieć rok temu, że Beatlesi staną się wybawieniem dla przemysłu sztruksowego?". Nawet „Daily Worker" – gazeta Brytyjskiej Partii Komunistycznej – komentowała związane z zespołem wydarzenia. „Brzmienie znad rzeki Mersey to głos osiemdziesięciu tysięcy podupadłych domów i trzydziestu tysięcy bezrobotnych".

Na początku grudnia zespół miał już na koncie siedem wydawnictw płytowych – zarówno singli, jak i epek – w pierwszej dwudziestce najlepiej sprzedających się płyt. 11 grudnia chłopcy wystąpili w telewizyjnym programie *Juke Box Jury* – cała czwórka oceniała prezentowane piosenki, zapewniając programowi najwyższą oglądalność w historii. Ogłoszono też kontrakt filmowy: Walter Shenson i George Ornstein w porozumieniu z United Artists postanowili obsadzić Beatlesów w swojej pierwszej produkcji do scenariusza liverpoolskiego dramaturga Aluna Owena. Brian Epstein był obecny przy ustalaniu szczegółów, by zapewnić swym

podopiecznym jak największy udział w zyskach. To samo zresztą robił teraz, podczas każdej trasy, skoro okazało się, że sama nazwa zespołu była żelazną gwarancją pełnej widowni.

Trasa pod tytułem *The Beatles Tour*, która rozpoczęła się w listopadzie, została „zorganizowana przez Arthura Howesa, w porozumieniu z Brianem Epsteinem". W październiku Brian przeniósł swoje biuro do Londynu, razem z Tonym Barrowem i nieustannie rosnącą rzeszą sekretarek i asystentów. Fanklub również rozrastał się w tempie astronomicznym i wkrótce przestał sobie radzić z tysiącami formularzy zgłoszeniowych od nowych członków. W gazetach roiło się od historii o biednych fanach, którzy od miesięcy czekają na odpowiedź, ale niestety lawina listów przerosła najśmielsze oczekiwania. Pod koniec roku 1963 oficjalny fanklub liczył prawie osiemdziesiąt tysięcy pełnoprawnych członków opłacających składki. Dla porównania na początku tego samego roku było ich zaledwie kilka tysięcy. Telewizja BBC pokazała nawet półgodzinną relację z Północnego Zjazdu Fanklubu Beatlesów, która miała miejsce w liverpoolskim Empire.

W okresie Bożego Narodzenia Beatlesi wystąpili z programem świątecznym, razem z pozostałymi gwiazdami Briana Epsteina – Cillą Black, Billym J. Kramerem, Tommym Quickly oraz zespołem The Fourmost. Pierwszy koncert odbył się w Bradford, potem w Liverpoolu, a następnie w londyńskim Finsbury Park Empire, gdzie nieszczęsny Mal zgubił ulubioną gitarę Johna. Teraz zainteresowanie ze strony inteligencji i, co za tym idzie, poważnych gazet było równie ogromne co ze strony prasy o lżejszej, popularnej tematyce. Beatlesi znaleźli się na ustach wszystkich, w każdej gazecie pojawiały się nie tylko artykuły na ich temat, ale także dowcipy i rysunki. „Daily Mail" przestał używać słowa „Beatlesi" w swoich nagłówkach prasowych, za to każdy artykuł o nich opatrzony był tym samym rysunkiem, przedstawiającym cztery głowy ze znanymi wszystkim fryzurami – cztery mopy, jak je nazywano.

Początkowo Brian martwił się, że sam stanie się przedmiotem zainteresowania tłumów. Niestety nic nie mógł na to poradzić. Z czasem jednak zorientował się, że dzięki temu może dużo prościej załatwić pewne rzeczy. „Obawiałem się, że będę za bardzo eksponowany. Na początku cała ta dyskusja na łamach prasy o ich przyzwyczajeniach, ubraniach, poglądach była bardzo ciekawa. Chłopcom też się to z początku podobało. To dobrze wpływało na nasze interesy. Ale w końcu przyszła obawa: jak długo uda im się budzić powszechne zainteresowanie? Bacznie śledziliśmy ich pozycję i planowaliśmy kontakty z prasą, żeby uniknąć momentu przesytu. Było blisko. Wielu innych artystów poległo właśnie na tym".

Sądząc po doniesieniach prasowych i telewizyjnych z tamtego okresu, nikt nie miał nad tym szaleństwem żadnej kontroli. Każda gazeta dzień w dzień publikowała poświęcony im materiał. W jednym tygodniu pięć gazet o zasięgu krajowym zaczęło wydawać coś, co same nazwały historią życia Beatlesów w odcinkach. Większość informacji zaczerpnięta była oczywiście ze starych broszurek reklamowych zespołu. Właściwie każdy, kto miał o nich cokolwiek do powiedzenia – za czy przeciw – gwarantował sobie w ten sposób miejsce w artykule. Byli wielką nowością na nudnej scenie muzycznej i zdecydowanie wyróżniali się na tle typowego blichtru show-biznesu, a do tego wszystkiego byli Brytyjczykami.

Kilka osób porównywało Briana Epsteina do złego czarownika, który ich stworzył i wypromował. Brian zawsze temu zaprzeczał. „We wszystkich naszych materiałach dla prasy – mówi Tony Barrow – i przy naszych kontaktach z dziennikarzami Brian podkreślał tylko to, co było dla nich dobre. Nigdy nie zmyślał żadnych dobrze wyglądających historii. Beatlesi byli czwórką miejscowych chłopaków z podwórka, takich, których pewnie każdy zna z lokalnej świetlicy. Dzięki temu potrafili porozumieć się z otoczeniem. Ludzie identyfikowali się z nimi od samego początku. Brian to dostrzegł i nigdy się z tym nie krył". Oczywiście, że Brian stworzył doskonale działającą maszynę – organizował im życie w najdrobniejszych

szczegółach, nigdy nikogo nie zawodził, w przeciwieństwie do tego, co działo się przed jego epoką.

Od 1963 roku napisano już miliony słów, próbując rozgryźć sukces Beatlesów. Można by stworzyć opasłe tomiszcze, gdyby tylko spisać te wszystkie teorie. Pierwsza faza analiz poświęcona była ich atrakcyjności na poziomie seksualnym. Następnie mędrcy orzekli, że Beatlesów trzeba rozpatrywać jako fenomen społeczny, symbol wszystkich frustracji i ambicji zupełnie nowej grupy, pokolenia powojennego, wymykającego się się podziałom klasowym i finansowym – nieprzesiąkniętych sztucznością nastolatków. Później w dyskusję włączyli się intelektualiści, studiując dogłębnie słowa i muzykę i doszukując się powalających na kolana interpretacji. Wszystko to było i nadal jest prawdziwe. Bo każdy powód, dla którego kogoś się lubi, jest prawdziwy.

Wtedy, w 1963 roku, dla przeciętnego dziennikarza zamienienie choć kilku słów z zespołem było szczytem marzeń. Każdy reporter wiedział, że jego wywiad będzie inny, zabawny. Chłopcy nigdy nie powtarzali tych samych dowcipów i komentarzy, w przeciwieństwie do większości tak zwanych sław. Ringo okazał się równie zabawnym gościem co pozostała trójka. Kiedyś na pytanie, czemu nosi tyle pierścionków na palcach, odpowiedział, że nie zmieściłyby mu się w nosie. „Byliśmy śmieszni podczas tych wszystkich konferencji prasowych, bo to wszystko to był przecież jeden wielki żart – wyjaśnia John. – Oni zadawali nam żartobliwe pytania, więc my dawaliśmy żartobliwe odpowiedzi. Ale tak naprawdę wcale nie byliśmy śmieszni. To był wszystko humor rodem z piątej klasy, jak w podstawówce. Beznadzieja. Jeśli pojawiały się jakieś dobre pytania na temat naszej muzyki, to zawsze odpowiadaliśmy poważnie. Oczywiście, że się denerwowaliśmy, choć pewnie ludzie tego nie dostrzegali. Denerwowaliśmy się na większość uroczystości. Nasz wizerunek to była tylko niewielka część nas. Stworzyliśmy go wspólnie z prasą. Musiał być nieprawdziwy, bo nie da się pokazać prawdziwego siebie. Gazety

przekręcają, co tylko mogą. Nawet jak coś było prawdziwe, to okazywało się już przestarzałe. Nowy wizerunek przyjmował się, kiedy my się już z nim żegnaliśmy”.

W ciągu zaledwie dwunastu miesięcy od wydania pierwszej płyty Beatlesi stali się inherentnym elementem brytyjskości. Na Boże Narodzenie 1963 roku Dora Bryan nagrała o nich piosenkę pod tytułem *All I Want For Christmas Is a Beatle*[115], która oczywiście dostała się na listę przebojów. Zresztą poza nimi na liście przebojów nie było już wtedy nikogo, jeśli nie liczyć innych liverpoolskich zespołów, z których wszystkie były pod opieką Briana Epsteina, i które nagrywał George Martin. Na pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, aż przez trzydzieści siedem tygodni na szczycie listy przebojów znajdowała się płyta wyprodukowana przez George’a Martina. Tego wyniku nie wyrównał od tamtej pory nikt i nikomu się to raczej nie uda. Na liście przebojów stworzonej przez „New Musical Express”, podsumowującej cały rok, to Beatlesi otrzymali tytuł najlepszego zespołu na świecie, zdobywając 14 666 głosów. Drugie miejsce zajął amerykański zespół The Everly Brothers głosami 3232 czytelników. W kategorii „Wokal brytyjski”, w której w poprzednim roku praktycznie zamykali peleton, teraz otrzymali 18 623 głosy. Drugie miejsce zajęła grupa The Searchers z o wiele skromniejszym wynikiem na poziomie 2169 głosów. W rankingu najlepiej sprzedających się singli roku dwie pierwsze pozycje zajęły płyty *She Loves You*, sprzedana w milionie trzystu tysiącach egzemplarzy, i *I Want to Hold Your Hand* z wynikiem milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy sprzedanych płyt. Daleko, daleko za nimi znalazł się dopiero Cliff Richard z singlem *Bachelor Boy*.

William Mann, krytyk muzyczny magazynu „The Times”, napisał długą i rzeczową recenzję muzyki Beatlesów, w której rozwodził się na temat ich na wskroś diatonicznych zbitek i submediantowych przejść. Johna Lennona

i Paula McCartneya nazwał „kompozytorami angielskimi, którzy wyróżnili się w roku 1963”.

„Chyba zaproszę ich kiedyś na weekend, żeby przekonać się, co z nich za kolesie”, powiedział wicehrabia Montgomery.

29 grudnia na łamach „Sunday Times” w swojej recenzji kompozycji Johna i Paula do baletu *Mods and Rockers* Richard Buckle nazwał tę dwójkę „najlepszymi kompozytorami od czasów Beethovena”.

Rozdział 23
Stany Zjednoczone

Sandi Steward jest typową amerykańską fanką Beatlesów. Nie jest płytka ani ograniczona, ale w zwyczajny sposób miła i rozsądna. Na początku 1964 roku mieszkała z rodzicami w małym, średnio zamożnym miasteczku w New Hampshire. Miała piętnaście lat i właśnie rozpoczęła naukę w szkole średniej.

„Pewnego dnia jechałyśmy z mamą do sklepu rolls-royce'em, którego wówczas mieliśmy, ale to właściwie nieistotne. W radiu puścili *I Want To Hold Your Hand*. To było moje pierwsze zetknięcie z Beatlesami. Pomyślałam: rany, jakie dziwne brzmienie! Nie mogłam przestać myśleć o tej muzyce. Nigdy wcześniej żaden kawałek nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Na drugi dzień w szkole okazało się, że inne dziewczyny też to słyszały i miały podobne odczucia. Pamiętam, że szłyśmy we trzy ulicą i rozmawiałyśmy o Beatlesach. Komentowałyśmy, jak brzydko wyglądają na zdjęciach, szczególnie w tych swoich marynarkach bez kołnierzyków. Muzyka była świetna, ale oni wyglądali naprawdę paskudnie. Z czasem zmieniłyśmy zdanie.

To wtedy po raz pierwszy w życiu na poważnie zaczęłam interesować się muzyką pop. O Beatlesach czytałam i wiedziałam dosłownie wszystko. Zapuściłam włosy, bo gdzieś wyczytałam, że lubią długowłose dziewczyny. Najpierw zakochałam się w Paulu – był cudowny, aż trudno to opisać słowami. Po prostu piękny. Z jakiegoś powodu nie lubiłam George'a. Na plakatach dorysowywałam mu kły wilkołaka, tak bardzo go nie lubiłam. Sądzę, że dzięki Beatlesom mogłam dawać ujście uczuciom miłości i nienawiści. Koniec końców udało mi się odrobinę polubić George'a.

Potem z Paula przerzuciłam się na Johna. Wydawał się taki mądry, błyskotliwy i miał takie seksowne ciało. To w nim zakochałam się bez pamięci. Miałam bzika na jego punkcie, wciąż o nim śniłam. W szkole porównywałyśmy z koleżankami swoje sny, opowiadałyśmy sobie, co każda z nas robiła ze swoim ukochanym Beatlesem. Ilekroć miałam doła, wiedziałam, że mogę po prostu zacząć śnić o Johnie, gdy tylko się położę i o nim pomyślę. To były przepiękne sny – robiliśmy z Johnem mnóstwo rzeczy. Kochaliśmy się, a następnego dnia opowiadałam o tym koleżankom. Nie wszystkie sny były erotyczne, ale niektóre tak. A przy tym były takie realistyczne. Mówiłam i myślałam o Beatlesach bez przerwy. Tata powtarzał, że kiedyś mi przejdzie, a ja krzyczałam tylko: nigdy, nigdy, przenigdy!

To wszystko było strasznie zabawne, bo ta moja wielka miłość do Johna nie przeszkadzała mi uganiać się za chłopakami w szkole. Ale to było coś zupełnie innego – John i tak był dla mnie najważniejszy. Czytałam wszystkie artykuły o Beatlesach i bez przerwy słuchałam audycji Murraya the K[116]. Murray był DJ-em i ekspertem od Beatlesów. Na punkcie Johna miałam taką obsesję, że aż napisałam list do Cynthii. Pisałam bardzo grzecznie, że jest mi niezmiernie przykro, ale kocham jej męża. Nigdy nie doczekałam się odpowiedzi.

W moim pokoju pełno było nagrań Beatlesów, a na wszystkich ścianach wisiały ich zdjęcia. Gdy pewnego razu zobaczyłam ich fotografię zrobioną w taki sposób, że połówki ich twarzy były jakby w cieniu, natychmiast pobiegłyśmy z dziewczynami do miasta i zrobiłyśmy sobie podobne zdjęcie. Kiedy zdawało mi się, że wszystko w życiu idzie nie tak, zamykałam się w pokoju i otaczałam Beatlesami, a szczególnie moim ukochanym Johnem. Beatlesi wypełniali pustkę w moim życiu – ci wszyscy zamożni ludzie, z którymi mieszkałam w New Hampshire, nie wnosili do

niego absolutnie nic. Nie lubiłam szkoły, nie lubiłam domu, w chwilach zwątpienia i beznadziei tylko Beatlesi trzymali mnie przy życiu.

Kiedy usłyszałam, że mają pojawić się w Carnegie Hall w Nowym Jorku, uznałyśmy z dwiema koleżankami ze szkoły, że koniecznie musimy tam pojechać. Prosiłyśmy i błagałyśmy rodziców o pozwolenie, bo nastoletnim dziewczynom nie wolno było jeździć samym do Nowego Jorku. A przynajmniej dziewczynom z takich domów jak nasze. Zasugerowałyśmy rodzicom, że mógłby to być nasz szczególny prezent urodzinowy, a jak nie, to uciekniemy…".

Promocją koncertu w Carnegie Hall miał się zająć niejaki Sid Bernstein – niski, brzuchaty były student Uniwersytetu Columbia, były kierownik sali balowej i były impresario, pracujący wówczas w jednej z największych agencji artystycznych w Ameryce, General Artists Corporation. Starając się budować swą karierę w świecie show-biznesu, Sid nigdy nie przestał interesować się nauką. Przez dziesięć lat uczęszczał na zajęcia wieczorowe z brytyjskiego systemu politycznego. „Pamiętam, jak poszedłem na wykład tego waszego Harolda Laskiego[117]. Był jednym z najlepszych mówców, jakich kiedykolwiek słyszałem. Poza Churchillem, ma się rozumieć". To zainteresowanie brytyjską polityką sprawiło, że Sid czytywał angielską prasę. W połowie 1963 roku coś nagle przykuło jego uwagę. „Ciągle natykałem się na tych Beatlesów. W agencji uchodziłem za znawcę muzyki młodzieżowej, tymczasem o tym zespole nigdy nie słyszałem. Nikt w branży nie zawracał sobie głowy brytyjską sceną muzyczną".

Sid zaprenumerował wszystkie brytyjskie magazyny muzyczne i postanowił skontaktować się z Brianem Epsteinem. Po wielu perypetiach udało mu się zdobyć jego domowy numer w Liverpoolu. Zadzwonił, przedstawił się, na co Brian odparł, że nigdy o nim nie słyszał. Sid zapytał, czy Brian nie chciałby przyjechać ze swoimi Beatlesami do Carnegie Hall, mimo że w rzeczywistości nic nie było jeszcze załatwione. „Na pytanie

Briana o termin, odparłem, że około 12 lutego. Podałem tę datę, pamiętając, że to dzień urodzin Lincolna, i mając nadzieję, że faktycznie uda mi się załatwić salę na ten dzień. Za dwa koncerty zaproponowałem sześć i pół tysiąca dolarów".

Brian nie od razu się zgodził. Minęło trochę czasu, nim wszystko udało się dograć, choć terminy wydawały się odpowiednie – miał już bowiem zaplanowane dwa programy telewizyjne Eda Sullivana na 9 i 16 lutego. W ten oto sposób Sid Bernstein stał się pierwszym popularyzatorem Beatlesów w Nowym Jorku. Wkrótce potem opuścił agencję, by wraz ze wspólnikiem założyć własną firmę. Zorganizował wszystkie, poza jednym, nowojorskie koncerty. Opowieści o tym, jak wprowadził zespół na amerykański rynek, snuto w całych Stanach, a nawet na całym świecie, jednak w rzeczywistości nie tylko Sidowi Bernsteinowi zespół zawdzięcza swój sukces za oceanem.

Brian zaczął pracować nad wypromowaniem Beatlesów w Ameryce latem 1963 roku. Towarzyszyła mu jednak obawa, że być może nie jest to jeszcze odpowiedni moment. Pierwsze podejście wylansowania zespołu w Stanach skończyło się klapą – w połowie 1963 roku w Ameryce pojawiły się cztery nagrania, wydane przez dwie różne firmy fonograficzne. Odzew i zainteresowanie były zerowe. Gdy zespół miał już ustabilizowaną pozycję na rynku brytyjskim, w listopadzie 1963 roku Brian wraz z Billym J. Kramerem udał się do Nowego Jorku. Było to dokładnie w miesiąc po zamachu na prezydenta Kennedy'ego. „Zamierzałem dowiedzieć się, dlaczego największa gwiazda brytyjskiej muzyki rozrywkowej wciąż nie rozbłysła na rynku amerykańskim. Zacząłem zupełnie jak w Londynie – chodziłem od jednej firmy fonograficznej do drugiej, od jednej stacji telewizyjnej do następnej".

Na swojej drodze Brian ponownie natknął się na Geoffreya Ellisa – przyjaciela, który niegdyś mieszkał niedaleko niego w Liverpoolu, a potem wyjechał do Oksfordu, by wreszcie w Nowym Jorku podjąć pracę agenta ubezpieczeniowego.

„Obiło mi się już o uszy, że Brian zajmuje się jakąś rockandrollową kapelą, ale nie chciało mi się w to wierzyć. Myślałem, że to jakaś bzdura i że niepozorny, nieśmiały Brianek nie pakowałby się w coś takiego. Spacerowaliśmy pewnego dnia w trójkę, jeszcze z Billym J. Kramerem, po Broadwayu, aż dotarliśmy do Times Square, gdzie Billy zapragnął kupić sobie obrzydliwą koszulkę w jednym z tamtejszych paskudnych sklepików. Brian od razu zaprotestował: »To nie twój styl, Billy«. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że naprawdę się w to wszystko wciągnął, że zaszła w nim duża zmiana”.

W trakcie tej wizyty Brian przekonał wytwórnię Capitol Records do wydania nagrań Beatlesów. Wcześniej owa wytwórnia, będąca własnością EMI, nie zdecydowała się na ten krok, dlatego też dwie inne amerykańskie firmy wypuściły kawałki Beatlesów, jednak ich wysiłki nie przyniosły oczekiwanego efektu. Brianowi udało się także umówić na spotkanie z Edem Sullivanem, prowadzącym najpopularniejszy wówczas w Stanach program telewizyjny. Pracujący dla niego łowcy talentów szepnęli mu słówko o sukcesach Beatlesów w Wielkiej Brytanii, więc Ed Sullivan zgodził się na dwukrotny występ zespołu w swoim programie. Brian nalegał, by w obu wypadkach Beatlesi byli gwoździem programu.

„Ed Sullivan protestował. Przeczuwał, że chłopcy znajdą się kiedyś na szczycie, lecz nie zgadzał się z moimi przewidywaniami, że będą największą gwiazdą na świecie. Koniec końców przystał na mój pomysł, ale dowiedziałem się później od producenta, że pokazywanie brytyjskiego zespołu jako głównej gwiazdy programu uznawał za absurdalne – przecież żadna brytyjska grupa nie zaistniała dotąd na amerykańskiej scenie muzycznej”.

Sami Beatlesi byli solidnie zestresowani wyjazdem do Ameryki. George odwiedził wcześniej Stany podczas krótkich wakacji w 1963 roku i według niego mieszkańcy tego kraju byli całkiem normalni i mogli okazać się zupełnie w porządku. Odwiedzał swoją siostrę, Louise, która poślubiła

Amerykanina i wyjechała z Liverpoolu do St. Louis. Louise Harrison, podobnie jak jej matka, była oddaną fanką Beatlesów – wydzwaniała do lokalnych rozgłośni radiowych z prośbami o puszczanie nagrań zespołu. John żywił jednak pewne obawy, jako że żadnemu muzykowi brytyjskiemu nie udało się dotąd podbić Stanów. „Cliff[118] pojechał i przepadł. Był czternasty na koncercie z Frankiem Avalonem[119]". George mówił, że widział film *Letnie wakacje* puszczany jako podrzędna produkcja w kinie samochodowym w Saint Louis.

W styczniu 1964 roku utwór *I Want To Hold Your Hand* debiutował na amerykańskich listach przebojów na pozycji osiemdziesiątej trzeciej. Tymczasem w Wielkiej Brytanii dopiero co spadł z pierwszego miejsca po dwóch miesiącach, za sprawą *Glad All Over* zespołu Dave Clark Five, powszechnie uważanego za nową rewelację na scenie muzycznej. Po sukcesie Clarka londyńskie gazety z lubością rozpisywały się o lokalnej gwieździe muzyki rozrywkowej. „Daily Express" krzyczał z pierwszych stron: „Brzmienie rodem z Tottenhamu deklasuje Beatlesów". Karykaturzyści nie posiadali się z radości, gdy po niemal sześciu miesiącach obmyślania żarcików o Liverpoolu mogli wreszcie napawać się wizją upadku Beatlesów. W londyńskim „Evening Standard" Vicky przedstawiła członków Rady Ministrów z fryzurami *à la* Beatlesi, a wśród nich premiera, zwracającego się do zebranych słowami: „Jak ja mam przekonać ludzi, że jesteście na bieżąco, skoro nosicie takie niemodne fryzury?".

Beatlesi zaczęli się martwić. „Nie mogliśmy nad tym zapanować – wspomina John. – Wszyscy wokół mówili, że oto nadchodzi Dave Clark i że już po nas. Przejęliśmy się, ale tylko na chwilę. Podobnie jak w Liverpoolu przejmowaliśmy się tym, że Gerry prześcignie nas w notowaniach »Mersey Beat«[120]".

Zanim zespół wyjechał do Ameryki, Brian zorganizował drugą trasę po Europie. Beatlesi spędzili trzy tygodnie we Francji, gdzie, począwszy od 15 stycznia, grali w paryskiej Olympii. Na londyńskim lotnisku trzech Beatlesów było żegnanych przez kilka tysięcy fanów. Ringo doleciał późniejszym lotem, zatrzymany w Liverpoolu przez mgłę. Na płycie lotniska pojawił się z transparentem z napisem TLES, mającym stanowić dokończenie skrótu BEA, widniejącego na samolocie[121]. Rysunek autorstwa Osberta Lancastera w „Daily Express" przedstawiał Napoleona z fryzurą w stylu Beatlesów.

Pierwszego koncertu Beatlesów w Olympii nie można było zaliczyć do udanych. Sam zespół przyznał, że było to pierwsze po niemal roku koncertowania tak chłodne przyjęcie przez publiczność. Doszło nawet do bójki pomiędzy fotografami, francuskimi policjantami i Brianem Sommerville'em, nowym rzecznikiem prasowym zespołu. Po koncercie publiczność nagrodziła Beatlesów skromniutkimi brawami, na co John zareagował słowami *Mersey beaucoup*[122].

Paryski korespondent BBC: W jakim stopniu istotne jest dla was odniesienie sukcesu w tym kraju?

PAUL: Liczy się odniesienie sukcesu gdziekolwiek.

BBC: Francuzi nadal jeszcze nie określili się względem Beatlesów. Jaka jest wasza opinia o nich?.

JOHN: Och, my lubimy Beatlesów. Są w dechę.

Tymczasem w Ameryce w drugim tygodniu po premierze piosenka *I Want To Hold Your Hand* była już na czterdziestym drugim miejscu. Do Briana odezwał się Norman Weiss z nowojorskiej firmy fonograficznej GAC. Weiss sfinalizował sprawę koncertu w Carnegie Hall i od tej pory pełnił funkcję amerykańskiego agenta Beatlesów. W londyńskim „Daily Mail" podróżujący z Beatlesami dziennikarz Vincent Mulchrone pisał: „Jeśli mamy się spodziewać, że między Paryżem a Beatlesami wybuchnie romans, to na razie ma on dość niemrawy początek. Albo to Pola Elizejskie

nie były dziś w odpowiednio imprezowym nastroju, albo Beatlemania wciąż traktowana jest przez Francję jak dylemat, który lepiej odłożyć na później. Przypomina to nieco kwestię przystąpienia Wielkiej Brytanii do strefy wolnego rynku".

Beatlesi byli właśnie w swoim apartamencie w paryskim hotelu George V, gdy nadeszła wieść, że utwór *I Want To Hold Your Hand* znalazł się na pierwszym miejscu w Ameryce. Piosenkę tę zaczęli tworzyć w domu dziewczyny Paula, Jane Asher, w Londynie. Chcieli zakpić z amerykańskiego utworu gospel. Fakt, że to właśnie ten numer jako pierwszy odniósł sukces w Ameryce, był dość osobliwy. Zespół uczcił swój sukces wystawną kolacją, podczas której Brian dał się sfotografować z nocnikiem na głowie. Natychmiast pojawiły się tabuny dziennikarzy i prezenterów telewizyjnych. Amerykańscy fani, jak Sandi Steward, oblegali Carnegie Hall i Eda Sullivana, próbując zdobyć bilety na koncert. Nieistniejąca dotąd na amerykańskich listach przebojów piosenka *She Loves You* niespodziewanie zaczęła gonić *I Want To Hold Your Hand*. Na longplayowej liście przebojów *Please Please Me* dotarło niemal na sam szczyt. Amerykańska prasa, podobnie jak rok wcześniej brytyjska, zareagowała z opóźnieniem, ale za to wystartowała ze śmiertelnie poważnego pułapu.

– Opowiedzcie o swoim charakterystycznym uczesaniu – rozpoczął pewien amerykański dziennikarz.

– Chyba o nieuczesaniu – odparł John.

– Wyszliśmy z basenu w Liverpoolu i spodobały nam się fryzury, które same się ułożyły – dodał George.

Dziennikarka agencyjna, Sheilah Graham, na początku swojego wywiadu zapytała, który z nich jest który. Magazyn „Life" zamieścił sześciostronicowy materiał o Beatlesach.

Chcąc uzyskać wymierne korzyści z darmowej reklamy w prasie i sukcesu Beatlesowskich nagrań, Brian namówił firmę Capitol na

przeznaczenie pięćdziesięciu tysięcy dolarów na tak zwaną „megapromocję”. Na terenie całych Stanów pojawiło się pięć milionów plakatów krzyczących: „Beatlesi nadciągają”, każdemu DJ-owi dostarczono wszystkie wydane w Wielkiej Brytanii nagrania zespołu, rozdawano miliony kopii czterostronicowej gazetki o Beatlesach oraz zdjęcia kierownictwa firmy Capitol w beatlesowskich perukach. „Podniósł się wielki szum – mówi wiceprezes firmy Capitol, Voyle Gilmore. – Ale nawet największy szum nie sprzeda kiepskiego produktu”.

Producenci *Ed Sullivan Show* nie radzili sobie z popytem na bilety – na siedemset dwadzieścia osiem miejsc zgłosiło się pięćdziesiąt tysięcy chętnych. Sid Bernstein mógł już sprzedawać bilety do Carnegie Hall za dwukrotnie wyższą cenę niż poprzednio. „Nawet sama pani Nelson Rockefeller nie była w stanie zdobyć biletu. Musiałem jej oddać swój”. Brian otrzymał propozycję kolejnego koncertu – w Madison Square Garden – za dwukrotnie wyższą stawkę niż w Carnegie Hall, ale propozycja przyszła zbyt późno. Zespół nie miał już wolnych terminów. Gdy 7 lutego 1964 roku Beatlesi opuszczali londyńskie lotnisko na pokładzie samolotu Pan Am 101, nowojorska stacja radiowa WMCA nadała pierwszy z całej serii podobnych komunikatów: „Jest szósta trzydzieści rano czasu beatlesowskiego. Odlecieli z Londynu trzydzieści minut temu, są nad Atlantykiem i zmierzają do Nowego Jorku. Temperatura powietrza to zero beatlestopni”.

Na pokładzie samolotu dało się wyczuć nerwową atmosferę. Członkowie zespołu nie znali szczegółów wielkiej akcji promocyjnej, wiedzieli jedynie, że są krytykowani i nazywani brzydalami. Wraz z Johnem leciała Cynthia, która po raz pierwszy i zarazem ostatni zdecydowała się ruszyć z mężem w trasę koncertową. Był tam również ten nie-słynny George Harrison z „Liverpool Echo”, któremu w roku 1954 zdawało się, że przeszedł na emeryturę, gdy w wieku czterdziestu pięciu lat

odszedł z londyńskiej Fleet Street[123] i przeniósł się do Liverpoolu. Tymczasem właśnie rozpoczynał swoją pierwszą z czterech ogólnokrajowych podróży z zespołem, o którym swego czasu nie chciał napisać ani słowa. Wspomina, że nikt nie wiedział, jakiego przyjęcia mogą się spodziewać po dotarciu na miejsce.

„Chłopcy mówili: »George, w Ameryce mają wszystko, czemu mieliby chcieć właśnie nas?«”. W swoich opowieściach George zawsze twierdzi, że wszyscy zwracali się do niego po imieniu.

Z kolei ten sławny George Harrison narzekał, że jest chory. „Martwiłem się też o swoje włosy. Umyłem je, ale po wyschnięciu zaczęły sterczeć”.

„Za pierwszym razem faktycznie nie czuliśmy się za dobrze – wspomina Ringo. – Zawsze tak było przed dużymi imprezami, choć nigdy tego nie okazywaliśmy, na przykład przed występem w Palladium. Wyjazd do Stanów to było dopiero coś, a wokół słyszeliśmy głosy, że co prawda jesteśmy popularni w Wielkiej Brytanii, ale dlaczego ma to od razu oznaczać, że tak samo będzie i tam?”.

Na pokładzie samolotu Neil i Mal pochłonięci byli podrabianiem podpisów Beatlesów na niezliczonych fotografiach, które miały trafić do fanów. Brian również nie miał spokojnego lotu – kilku brytyjskich biznesmenów, którym nie udało się porozmawiać z nim w Londynie, doszło do wniosku, że wysokość dziewięciu tysięcy metrów nad Atlantykiem będzie idealnym miejscem, żeby w końcu go dopaść. Podtykali mu krótkie notki o swoich produktach z prośbą o ich wylansowanie. Wszyscy spotkali się z uprzejmą odmową.

Wszelkie wątpliwości rozwiał widok lotniska Kennedy’ego podczas lądowania o trzynastej trzydzieści pięć. Port lotniczy wypełniony był do granic możliwości ponad dziesięcioma tysiącami wrzeszczących nastolatków. Wszyscy oni śpiewali *We Love You Beatles, Oh Yes We Do* – była to piosenka, czy może raczej rymowanka, charakterystyczna dla

amerykańskich fanów. Firma Capitol wciąż prowadziła swoją mega promocję i każda osoba opuszczająca samolot otrzymywała „zestaw beatlesowski”, składający się z peruki, zdjęcia z autografem i przypinki z napisem „Lubię Beatlesów”. Chłopakom udało się wreszcie przebić do lotniskowej salki konferencyjnej, gdzie odbyło się ich największe jak dotąd spotkanie z mediami. John wykrzykiwał do dziennikarzy, by się zamknęli, ale wzbudziło to jedynie ogólny aplauz.

– Zaśpiewacie coś dla nas?

– Najpierw kasa – odparł John.

– Jak wyjaśnilibyście swój sukces?

– Mamy swojego agenta prasowego.

– Jakie są wasze ambicje?

– Przybyć do Ameryki.

– Liczycie na wizytę u fryzjera?

– Byliśmy wczoraj.

– Chcielibyście zabrać ze sobą do domu coś z Ameryki?

– Rockefeller Centre.

– Czy bierzecie udział w społecznym buncie przeciw starszemu pokoleniu?

– To obrzydliwe kłamstwo.

– A co powiecie o ruchu z Detroit, chcącym stłamsić Beatlesów?

– Mamy swoją kampanię, tłamszącą Detroit.

– Co myślicie o Beethovenie?

– Uwielbiam go, szczególnie jego wiersze – odpowiedział Ringo.

W hotelu Plaza panował totalny chaos. Było to eleganckie miejsce szczycące się dyskrecją, jednak gdy kilka miesięcy wcześniej pięciu biznesmenów rezerwowało tam pokoje, nikt nie zadał sobie trudu sprawdzenia, kim tak naprawdę są. Gdy menedżer hotelu ujrzał oblegający jego budynek tłum tysięcy nastolatków, kazał nadać ogłoszenie w radiu, że przekaże Beatlesów do każdego nowojorskiego hotelu, który zgodzi się ich

przejąć. Sami Beatlesi nie byli specjalnie wdzięcznymi gośćmi. „Dlaczego wybrałeś akurat ten hotel?”, zapytał George’a pewien reporter. „To nie ja go wybrałem, tylko nasz menedżer. Mogę tylko powiedzieć, że tutejsze jedzenie mi nie smakuje”.

Tymczasem George rozchorował się na dobre, leżał w łóżku i wszystko wskazywało na to, że nie wystąpi w programie Eda Sullivana. Na próbie zastępował go Neil Aspinall, ale nafaszerowany prochami George jakoś dał radę przebrnąć przez sam występ. W całej Ameryce rozległ się jeden wielki pisk. Program miał rekordową oglądalność siedemdziesięciu trzech milionów widzów. W czasie emisji w Nowym Jorku nie skradziono ani jednego kołpaka samochodowego i nie odnotowano ani jednego przestępstwa dokonanego przez nastolatka. Elvis Presley wysłał im telegram z gratulacjami. Następnego ranka w „Herald Tribune” pisano, że Beatlesi to „75 procent reklamy, 20 procent uczesania i 5 procent melodyjnego zawodzenia”. „Daily News” komentował: „Presleyowskie wygibasy i jego kocia muzyka były zaledwie letnim naparem z mlecza w porównaniu ze stuprocentowym eliksirem zaserwowanym przez Beatlesów”. Każda gazeta zamieściła obszerny materiał o zespole wraz z długimi i wielowątkowymi analizami. Odbyła się też kolejna wielka konferencja prasowa. „Czy macie już wybraną główną aktorkę do swojego filmu?”. „Staramy się pozyskać królową – odparł George. – Ona się dobrze sprzedaje”.

Billy Graham wspominał, że złamał surową zasadę i w czasie trwania szabasu włączył telewizor, by zobaczyć Beatlesów. „To przejściowe – mówił. – To wszystko tylko przejawy niepewności naszych czasów i naszego zagubienia”. A potem Beatlesi wyruszyli pociągiem do Waszyngtonu.

„To, co się wydarzyło w Stanach, przypominało to, co działo się w Wielkiej Brytanii, tylko okazało się dziesięć razy mocniejsze – wspomina Ringo. – Więc właściwie w ogóle nie było podobne do tego, co znaliśmy z

Wielkiej Brytanii. W Waszyngtonie mieliśmy dwudziestotysięczny tłum, podczas gdy nasze własne podwórko przyzwyczaiło nas jedynie do dwutysięcznej grupy fanów”.

Waszyngtońskie Coliseum, w którym odbył się pierwszy na amerykańskiej ziemi koncert Beatlesów, jest zwykle używane jako miejsce walk bokserskich bądź boisko do koszykówki. Wystąpili na obrotowej scenie, dzięki czemu byli widoczni dla całej publiczności. Oznaczało to również, że z każdej strony mogły dosięgnąć ich rzucane w ich kierunku żelki. „To było straszne – wspomina George. – Bolało. W Ameryce nie mają miękkich żelków, tylko te twarde jak pociski. Jakaś gazeta dotarła do naszego starego dowcipu, o którym dawno już zapomnieliśmy, kiedy to John powiedział, że zjadłem mu wszystkie żelki. Gdziekolwiek się nie pojawialiśmy, ciskano nimi we mnie”.

Ówczesny premier brytyjski, sir Alec Douglas-Home, miał tego dnia przybyć z wizytą do Waszyngtonu, ale przełożył ją na dzień później, by uniknąć zamieszania wokół Beatlesów. Tego wieczoru zespół po raz pierwszy i ostatni przyjął zaproszenie na przyjęcie w ambasadzie. Wcześniej odrzucili zaproszenie na obiad z Lady Dixon, żoną brytyjskiego ambasadora w Paryżu.

„Zawsze staraliśmy się wymigiwać z tych durnowatych spotkań – mówi George – ale tym razem daliśmy się wrobić. Roiło się tam od snobów, serdecznie nieznoszących ludzi naszego pokroju. Chcieli nas jednak zobaczyć, bo byliśmy bogaci i sławni. Czysta hipokryzja. Zależało im tylko na reklamie samej ambasady”.

Krążą różne wersje opowieści o tym, co dokładnie działo się w waszyngtońskiej siedzibie ambasady, lecz w swojej książce o pierwszych trasach koncertowych zespołu (*Love Me Do*, Penguin, 1964) Michael Braun pisze, że zaczęło się całkiem przyjaźnie.

– Witaj, John – przywitał ich sir David Ormsby-Gore, obecnie Lord Harlech.

– Nie jestem John – powiedział John. – Jestem Charlie. To jest John.

– Witaj, John – ambasador zwrócił się do George’a.

– Nie jestem John – odparł George. – Jestem Frank. To jest John.

– O mój Boże – westchnął ambasador.

Do Beatlesów przyczepiło się kilka leciwych dam, dzierżących w dłoniach drinki i domagających się autografów. Jacyś nadgorliwi młodsi urzędnicy dyrygowali członkami zespołu, by rozmawiali ze wszystkimi i rozdawali autografy. „Podpisz to – zakomenderował jeden Johnowi, który odmówił. – Podpiszesz i będziesz bardzo uprzejmy”. Jakaś młoda dama podeszła do Ringo i wyciągnąwszy z torebki nożyczki do paznokci, zaczęła obcinać mu kosmyki włosów. John wyszedł wcześniej, ale inni zostali i widzieli tę scenę. Ambasador wraz z małżonką przepraszali za ten incydent. Nawet cały urok osobisty Briana nie był w stanie załagodzić sytuacji. „Zarówno ambasador, jak i jego żona byli przemili – opowiadał później – ale Beatlesi nie mogli już znieść tego przyjęcia. Od tamtej pory zawsze odrzucali podobne zaproszenia”.

Gdy wreszcie sir Alec Douglas-Home dotarł do Waszyngtonu na wizytę u prezydenta Johnsona, ten powiedział: „Podobała mi się twoja forpoczta, lecz czy nie sądzisz, że przydałaby im się wizyta u fryzjera?”.

Beatlesi wracali na swój nowojorski koncert w Carnegie Hall jak zwykle szczelnie oblepieni przedstawicielami mediów i fanami. Roiło się też od amerykańskich kombinatorów, ostrzących sobie zęby na kontrakty na wszystko, co związane z zespołem, cena nie grała roli. Szacuje się, że w roku 1964 w Stanach sprzedano beatlesowskie gadżety za łączną sumę pięćdziesięciu milionów dolarów. Pojawiło się także kilka longplayów z nieautoryzowanymi wywiadami, o udzieleniu których nikt nie miał bladego pojęcia. Ku irytacji Briana ktoś słono na nich zarobił. Na każdym z dwóch koncertów w Carnegie Hall pojawiło się ponad sześć tysięcy ludzi. Sid Bernstein zmuszony był odmówić nawet Davidowi Nivenowi i Shirley MacLaine. Dzień po koncertach gazety donosiły, że zaledwie

dwudziestopięciominutowym występom zespołu za każdym razem towarzyszyły histeryczne wrzaski i okrzyki.

Sandi Steward, piętnastoletnia fanka z New Hampshire, również dostała się na koncert, choć według niej hałas nie był wcale taki wielki. „Pierwszy koncert wcale nie był taki jazgotliwy. To znaczy nie było tego całego wrzasku jak podczas kolejnych występów, które były już totalnym wariactwem. Pamiętam, jak za pierwszym razem wkurzał mnie George, to pewnie dlatego go nie polubiłam. Zasłaniał nam Ringo i w ogóle nie było go widać. Wrzeszczeliśmy do niego, żeby się przesunął i dał nam go zobaczyć. Gdy byli na scenie, miało się wrażenie, że cię widzą – ciebie i tylko ciebie. No więc wydzierasz się, żeby tylko zostać zauważoną. Ja zawsze czułam, że John mnie widzi. Było jak we śnie – tylko ja i John, nikogo więcej. Nawet, gdy się krzyczy, to i tak słyszy się muzykę. W gazetach zawsze pisali, że przez hałas zupełnie nie słychać muzyki, ale to nieprawda – słychać, nawet jak się wrzeszczy. A te ich seksowne ruchy sprawiały, że chciało się wrzeszczeć jeszcze głośniej. Byli seksowni dla każdego fana z osobna. To była magia. Jednak nie sądzę, żeby wiele dziewcząt specjalnie się podniecało, przynajmniej nie na koncertach. Ja nie”.

Z Nowego Jorku Beatlesi polecieli do Miami na swój drugi występ w *Ed Sullivan Show*. Pilot samolotu miał na głowie beatlesowską perukę. Zespół spotkał się z Cassiusem Clayem[124], który stwierdził, że on sam jest wprawdzie najlepszy, za to Beatlesi są najładniejsi.

Zbliżał się 25 lutego, dwudzieste pierwsze urodziny George’a. Mimo że Sandi Steward za nim nie przepadała, i tak wysłała mu prezent. „Dowiedziałyśmy się, że zatrzymał się w hotelu Deauville w Miami. Z premedytacją wysłałyśmy tam paczkę poleconą, bo przecież będzie musiał się podpisać przy odbiorze, a my w ten sposób zdobędziemy jego autograf.

Ale nie zdobyłyśmy. I tak nie miało to większego znaczenia. To John był moją miłością i to jemu poświęciłam kolejne trzy lata życia”.

Rozdział 24
Wielka Brytania i powrót do Stanów Zjednoczonych

Do liverpoolskich szkół, do których uczęszczali niegdyś Beatlesi, zaczęły docierać dziwaczne prośby. Nastoletni fani z całego świata upraszali o kawałki ławek, przy których siedzieli członkowie zespołu, stare czapki czy zeszyty ćwiczeń. W niedługim czasie w obiegu pojawiło się całe mnóstwo zeszytów do ćwiczeń opatrzonych podpisami. Było ich zdecydowanie więcej, niż Beatlesi mogliby kiedykolwiek posiadać.

„Dostawaliśmy przezabawne listy od dziewcząt, głównie z Ameryki – wspomina pan Pobjoy z Quarry Bank. – Pytały, czy nasi chłopcy nie mogliby do nich napisać. Dla mnie było to naprawdę prześmieszne. Odczytywałem te listy na głos na korytarzu po porannej modlitwie, mieliśmy niezły ubaw. Chłopcom tak bardzo podobały się te listy, że przez dłuższy czas byli święcie przekonani, że to ja sam je wszystkie wymyślam, ale zdaje się, że wielu z nich faktycznie odpisywało tym nieszczęsnym dziewczętom”.

Spore rzesze fanów docierały także do rodziców słynnych muzyków. Wśród wielbicieli byli też i tacy, którzy pojawiali się na progu ich rodzinnych domów, po ówczesnym wybłaganiu u własnych rodziców dodatkowego przystanku podczas europejskich wojaży, by tylko znaleźć się w Dingle i Woolton. „Tych, którzy przemierzyli kawał drogi, zapraszałem zwykle na herbatę – mówi Jim McCartney. – Gdy przyjmowali zaproszenie, pokazywałem im drogę do kuchni. Wchodzili i natychmiast rozlegały się wrzaski i okrzyki, bo rozpoznawali to pomieszczenie z fotografii. Wiedzieli o mnie więcej niż ja sam. Fani mogliby być doskonałymi detektywami”.

W dniu dwudziestych pierwszych urodzin George’a pani Harrison z trudem mogła znaleźć kawałek wolnego miejsca w swoim domu, gdyż wszędzie roiło się od kartek i prezentów. Przywożono je pocztowymi furgonetkami. Również rodzice Ringo, Elsie i Harry, zostali dosłownie otoczeni i zabarykadowani we własnym domu przez koczujących na zewnątrz fanów, którzy wykradali kawałeczki drzwi lub mazali kredą po ścianach.

„Gdy pewnego niedzielnego ranka przed naszym domem ujrzałam autokar i dobijający się do naszych drzwi tłum fanów, po raz pierwszy dotarło do mnie, jak bardzo są sławni – mówi Elsie. – Jechali całą noc z Londynu. No i co ja miałam zrobić? Zaprosiłam wszystkich do środka i poczęstowałam herbatą z ciasteczkami. To było cudowne: taki szmat drogi wyłącznie z powodu Ritchiego. Fani nigdy nie jedli tych ciasteczek, owijali je starannie i zabierali jako pamiątki. Potrafili całymi dniami wdrapywać się po tylnym ogrodzeniu bądź spać na ulicy. Większość z nich była fizycznie wykończona, a jednocześnie zbyt podekscytowana, by odpoczywać czy jeść. Pytali, na którym krześle siadywał Ritchie, a ja odpowiadałam, by siadali sobie na wszystkich, bo tak robił syn. Nieustannie prosili, by pozwolić im wejść na górę i zobaczyć jego łóżko. Kładli się na nim, pojękując”.

Cyn i Julian zdążyli już wyprowadzić się z domu Mimi do własnych czterech kątów i Cyn robiła, co tylko mogła, by uniknąć rozgłosu. „Gdy tylko dziennikarze zorientowali się, kim jestem, ciągnęli za mną całymi chmarami. Pewnego dnia, gdy odwiedzałam matkę w Hoylake, dosłownie przyparli mnie do muru. Jeden z nich latał za mną wszędzie, aż znalazł mnie w sklepie. Udało mi się jakoś wymknąć tylnym wyjściem, wprost do warzywniaka, w którym spędziłam pół godziny, czekając, aż facet wreszcie sobie pójdzie”.

Po powrocie z Ameryki czekały na Beatlesów dobrze znane, histeryczne reakcje. Premier sir Alec Douglas-Home nazwał ich „naszym najlepszym

dobrem eksportowym” i „świetnym wkładem w bilans płatniczy”. Przewodniczący Partii Pracy i poseł z Liverpoolu, pan Wilson, nie był zachwycony faktem, że hrabia ewidentnie ma zamiar politycznie zarobić na Beatlesach. „Konserwatyści usiłują zrobić z zespołu swoją tajną broń”, mawiał.

Zaproszeni na obiad wydawany przez dziekana i wykładowców Brasenose College w Oksfordzie Beatlesi poprosili o kanapki z dżemem. Rzymsko-katolicki biskup nazwał ich „złem”, za to książę Filip uważał ich za fajnych gości – z Johnem uciął sobie nawet pogawędkę o książkach. Na uroczystej gali rozdania nagród Variety Club chłopcy mieli wreszcie okazję spotkać się z panem Wilsonem, którego omyłkowo nazwali panem Dobsonem.

W marcu ukazała się pierwsza książka Johna zatytułowana *In His Own Write*[125]. Tytuł był pomysłem Paula. Większość znawców literatury i wydawców zgodnie twierdziła, że książka jest wyłącznie kiepską sztuczką, która i tak nie chwyci – jakim cudem rockandrollowy muzyk miałby napisać cokolwiek porządnego? Tymczasem pozycja trafiła na listę bestsellerów, deklasując Jamesa Bonda. „Times Literary Supplement” pisał: „Powinien przeczytać ją każdy, kto drży z obawy o zubożenie języka angielskiego i brytyjskiej wyobraźni”. John został zaproszony w charakterze gościa honorowego na uroczysty lunch wydany przez księgarnię Foyles. Na uroczystości muzyk nie wykrztusił z siebie żadnej mowy, wymamrotał jedynie: „Dziękuję, niech wam szczęście sprzyja”. Brak przemówienia spotkał się z pewną dezaprobatą, ale sytuację uratował Brian Epstein, wygłaszając zgrabną mowę.

24 marca ukazał się szósty singiel zatytułowany *Can’t Buy Me Love*, który natychmiast zawędrował na sam szczyt list przebojów – również w Ameryce. Zanim nagranie faktycznie zostało wydane, poziom przedsprzedaży w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych wynosił trzy

miliony. Był to rekord na skalę światową. Niedługo potem sześć płyt Beatlesów zajęło najwyższe miejsca na amerykańskich listach przebojów. Ringo został wybrany wiceprezesem uniwersytetu w Leeds, w miejsce byłego przewodniczącego brytyjskiego Sądu Najwyższego. W Muzeum Madame Tussaud pojawiły się cztery woskowe figury, przedstawiające członków zespołu. W „New Statesman" ukazał się artykuł Paula Johnsona zatytułowany *Groźba beatelsizmu*. W „Sunday Telegraph" pisano, że zespół z pewnością się rozpadnie, bo jego członkowie pożenią się, a „szanse na to, że cztery przypadkowe kobiety polubią się lub przynajmniej będą w stanie znieść się nawzajem, są zaiste znikome".

W marcu Beatlesi rozpoczęli pracę nad swoim pierwszym filmem. Tytuł, *A Hard Day's Night*[126], nadano dopiero pod koniec pracy nad produkcją – był to pomysł Ringo, choć John użył wcześniej tego zwrotu w jednym ze swoich wierszy.

Jak zostało wspomniane, w owym czasie Paul spotykał się z Jane Asher, córką lekarza z Wimpole Street. Pierwszego dnia pracy nad filmem George poznał Pattie Boyd, która podobnie jak Jane Asher pochodziła z południowej części Anglii. Obie znacznie różniły się od kobiet Johna i Ringo. Pattie była modelką pracującą dla kolorowych czasopism, występowała również w bardzo popularnej reklamie telewizyjnej chipsów firmy Smiths. Producentem reklamy był Dick Lester, dzięki któremu Pattie dostała się na przesłuchanie do roli w filmie o Beatlesach.

„Przywitali mnie, a ja wprost nie mogłam uwierzyć, że byli dokładnie tacy, jak ich sobie wyobrażałam. Zupełnie jak ożywione postacie z fotografii. George praktycznie się nie odzywał, ale inni podeszli i zaczęli z nami rozmawiać. Gdy zaczęliśmy pracę nad filmem, czułam, że George mnie obserwuje i byłam nieco zmieszana. Najsympatyczniejszy i najbardziej rozmowny wydawał się Ringo. I Paul też. Strasznie bałam się Johna – po pierwszym dniu zdjęć poprosiłam ich o autografy. Wszystkich

oprócz Johna. Za bardzo mnie onieśmielał. George’a zapytałam, czy mógłby dać mi jeszcze dwa dla moich sióstr. Podpisał się, a pod autografami dla sióstr odcisnął dwa pocałunki. Pod moim było ich siedem. Pomyślałam, że chyba trochę mnie lubi”.

Pattie nie myliła się i wkrótce zaczęli się spotykać. „Przedstawiłam go mamie, a on pokazał mi pewien dom w Esher, który wpadł mu w oko. Też byłam nim zachwycona. Tydzień później była Wielkanoc – wraz z George’em, Johnem i Cynthią udaliśmy się prywatnym samolotem na weekend do Irlandii. Zorganizowaliśmy to w wielkiej tajemnicy, jednak w hotelu i tak czekały na nas tłumy dziennikarzy. Po raz pierwszy przeżyłam coś podobnego. Menedżer założył podsłuchy na telefony reporterów, dzięki czemu mogliśmy słyszeć te wszystkie okropieństwa, jakie przekazywali prasie. Gdy tylko wychodziliśmy z hotelu, szli za nami z aparatami. Nie sposób było się ich pozbyć. Doszło do tego, że razem z Cyn musiałyśmy się przebrać za pokojówki. Wyprowadzono nas tylnym wyjściem, wpakowano do pojemnika z praniem i w ten oto sposób na lotnisko dotarłyśmy furgonetką z pralni”.

Naturalną koleją rzeczy, dzięki temu całemu zamieszaniu i plotkom na jej temat, Pattie otrzymywała coraz więcej propozycji pracy jako modelka. „Przyjęłam wiele z nich, choć George uważał, że nie powinnam tego robić. Nie podobało mu się to. Chcieli mnie tam z niewłaściwych powodów”. Pattie niezmiernie martwiły listy z pogróżkami od fanek George’a, a nawet ataki fizyczne, z jakimi miały do czynienia żony i dziewczyny Beatlesów. „Te listy były naprawdę bardzo niepokojące – podłe i pełne złości, szczególnie te ze Stanów. Myślałam, że może to ja jestem okropna. Fanki pisały, że to one są prawdziwymi dziewczynami George’a i że powinnam trzymać się od niego z daleka, bo inaczej się ze mną policzą”. Przenieśli się do nowego domu George’a w Esher. „Mieszkaliśmy ze sobą około roku przed ślubem. Moja mama o wszystkim wiedziała, ale nigdy nie skomentowała tego ani słowem”.

Latem 1964 roku Beatlesi znów ruszyli w trasę. Zaczęli od Europy, a konkretnie od Danii. W Amsterdamie witał ich stutysięczny tłum. Dziewczyny skakały do kanałów, żeby tylko móc ich zobaczyć. Następnie udali się do Hongkongu, Australii i Nowej Zelandii. Jednak największy rozgłos towarzyszył i zawsze będzie towarzyszyć trasom po Ameryce, a to dlatego, że Beatlesi właśnie okazywali się lepsi od Amerykanów w dziedzinie, w której dotychczas Amerykanie byli światowymi liderami. Co ciekawe, największy tłum, jaki kiedykolwiek zebrał się, by oglądać Beatlesów, pojawił się w Adelaide. Wszyscy przyszli tylko po to, by obserwować przyjazd zespołu, a gazety szacowały, że zebrało się trzysta tysięcy osób. Tego rekordu nie pobito ani w Nowym Jorku, ani nawet w Liverpoolu[127].

Tymczasem 6 lipca w Londynie odbyła premiera *A Hard Day's Night*, na której obecni byli księżniczka Małgorzata oraz lord Snowdon. Miesiąc później pojawił się także longplay z muzyką z filmu.

19 sierpnia 1964 roku zespół wyruszył na pierwszą wielką trasę koncertową po Ameryce. Wcześniejszy pobyt w lutym był krótką, dwutygodniową wycieczką, w trakcie której zorganizowano jedynie kilka koncertów i występów w programach telewizyjnych. Natomiast trasa sierpniowo-wrześniowa trwała trzydzieści dwa dni i była najdłuższą, największą i najbardziej wyczerpującą, jaką kiedykolwiek odbyli. Przemierzyli nieco ponad trzydzieści pięć tysięcy kilometrów, spędzając sześćdziesiąt godzin i dwadzieścia pięć minut w powietrzu. Odwiedzili dwadzieścia cztery miasta w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Wystąpili trzydzieści jeden razy, z czego raz charytatywnie. „Podczas tamtego pobytu w Ameryce każdy z nas wypocił dziewięć i pół kilo" – wspomina organizator trasy, Mal. Amerykański agent zespołu, Norman Weiss z GAC, planował to *tournée* przez sześć miesięcy. „Roboty było niemal tyle, co przy planowaniu lądowania w Normandii. W grę wchodziły miliony

dolarów i niemożliwością byłoby doliczyć się, ile to wszystko kosztowało: począwszy od gaży dla zespołu, na sprzedanych hot dogach i zużytych taśmach filmowych skończywszy. Gdybyśmy chcieli, to mogliśmy potroić cenę biletów, a i tak by się wyprzedały, ale Brian twierdził, że byłoby to nie fair w stosunku do fanów. We wszystkich kontraktach mieliśmy zapis odnośnie cen za bilety. Warunki umów określaliśmy sami i zgadzał się na nie każdy organizator, nie posiadając się z wdzięczności za możliwość współpracy. W show-biznesie liczą się Beatlesi i Elvis – inne porównania są niedorzeczne. Nikt przed ani po Beatlesach nie gromadził takich tłumów".

Gdziekolwiek się pojawiali, padały kolejne rekordy, jednak dla samych członków zespołu przestało to mieć jakiekolwiek znaczenie. Codziennie działo się to samo i nawet zadawane im pytania były identyczne: co według nich było przyczyną ich sukcesu i kiedy spodziewają się końca. Nieustanne powtarzanie tego samego doprowadzało ich niemal do szewskiej pasji. Pewnego dnia uciekli na jednodniowy odpoczynek do odległego miasteczka, którego mieszkańców trzymano od nich z daleka. Jednak gdy wsiadali na pokład samolotu, by wyruszyć w dalszą część trasy, na lotnisku pojawił się szeryf i kilku innych dygnitarzy. Nowy rzecznik prasowy zespołu, Derek Taylor, dowiedział się, że oficjele życzą sobie autografów oraz wspólnych zdjęć z Beatlesami. Twierdzili, że zespół winien zrobić przynajmniej tyle, skoro oni wykazali się wielkodusznością i nie nachodzili muzyków w trakcie ich pobytu w miasteczku.

„Wróciłem do samolotu pogadać z chłopakami – wspomina Derek. – Paul patrzył przez okno na zgromadzonych, uśmiechając się do nich szeroko i kiwając potakująco głową, a jednocześnie mówił do mnie: »Wyjdź do nich szybko i powiedz, że my chcemy się z nimi spotkać, ale ty się nie zgadzasz, bo jesteśmy zbyt zmęczeni. No, idź«".

Nawet George Harrison, ten z „Liverpool Echo", był w szoku. „Nigdy nie zapomnę jednej grubej ryby z Kansas City. Gość przyszedł do Briana podczas naszego pobytu w San Francisco. Nie mieliśmy w planie wizyty w

Kansas City, a facet był milionerem, właścicielem lokalnego klubu piłkarskiego czy coś w tym rodzaju. Powiedział, że obiecał swojemu miastu, że sprowadzi Beatlesów. Brian odmówił, bo nie było jak umieścić tego w planach, a gość pyta, czy sto tysięcy dolarów wpłynie na zmianę zdania. Brian odparł, że pójdzie pogadać z chłopakami. Beatlesi grali w karty i żaden nawet nie podniósł wzroku znad stołu. Powiedział im o stu tysiącach dolarów, czyli trzydziestu tysiącach funtów. Powiedzieli tylko, że to zależy od niego, i kontynuowali grę. Brian wyszedł i powiedział, że jest mu niezmiernie przykro, ale nie mogą zrezygnować z wolnego dnia. Na co koleś mówi, że obiecał Kansas City i nie może wrócić tam bez nich. Podarł czek na sto tysięcy dolarów i wypisał drugi na sto pięćdziesiąt tysięcy. Była to najwyższa kwota, jaką kiedykolwiek zaoferowano jakiemukolwiek artyście w Ameryce. Proponowano im sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów za trzydzieści pięć minut. Brian przewidział, że górowanie prestiżem nad wszystkimi artystami amerykańskimi będzie czymś genialnym i zgodził się. Gdy podzielił się tą wiadomością z zespołem, nikt nawet na niego nie spojrzał.

Facet wrócił do domu, nie posiadając się z radości, choć wiedział, że nic na tym nie zarobi. Jego miasto nie było na tyle duże, by zwróciło mu się cokolwiek z sumy, jaką musiał wyłożyć, ale obietnicy danej Kansas City dotrzymał”.

Powłoczki na poduszki, na których Beatlesi spali w hotelu w Kansas City, zostały sprzedane dwóm biznesmenom z Chicago za trzysta siedemdziesiąt pięć funtów. Ci pocięli je na sto sześćdziesiąt tysięcy dwuipółcentymetrowych kwadracików, przytwierdzili do karteczek z informacją z czyjego łóżka pochodzą, i sprzedali po dolarze za sztukę. Nowojorska agencja chciała odkupić od Briana Beatlesów za trzy miliony siedemset piętnaście tysięcy dolarów, ale ten odmówił.

Wśród całego tego jazgotu, wrzasku i upajania się bijącymi wszelkie rekordy trasami po Wielkiej Brytanii i Ameryce, sami Beatlesi tkwili w

trzewiach tej gigantycznej maszynerii, przerzucającej ich z miejsca na miejsce. Zaczęło się to już w roku 1963 i od tamtej pory pozostawali niemal w hermetycznym zamknięciu. Przed występem siedzieli zabarykadowani w swoich garderobach, po koncercie rzucały się na nich chmary ludzi i tak w otoczeniu policji i ochroniarzy przedostawali się do hotelu. Tam z kolei byli odcięci od świata aż do kolejnego występu. Nigdy nie wychodzili na ulicę ani do restauracji, czy choćby na spacer. Kanapek, fajek i drinków dostarczali im Neil i Mal, którym Beatlesi też czasem zakazywali opuszczania hotelu, z obawy przed pozostaniem „bez opieki” lub po prostu z zazdrości. Siedzieli w swoich pokojach i wypełniali sobie czas paleniem, grą w karty lub grą na gitarach. Nie miało znaczenia, czy za jeden występ dostaną tysiąc, dziesięć czy sto tysięcy funtów. Bogactwo, wpływy i sława zdolne otworzyć każde drzwi okazały się bezużyteczne – Beatlesi byli w pułapce.

Przez pewien czas towarzyszyła temu oczywiście wielka euforia – na taki sukces czekali przecież bardzo długo. Grali ze sobą już od siedmiu lat, a na rynku muzycznym praktycznie nie istnieli. Mieli przynajmniej psychiczne i emocjonalne przygotowanie do jednorazowych występów, które okazały się mniej wyczerpujące niż te w hamburskich klubach, gdzie wciąż musieli grać „na ilość”. Po pierwszej płycie czekało na nich tyle scen, jedna po drugiej, że przez pewien czas nie mieli kiedy się tym znudzić czy narzekać. Dobrze pamiętają emocje towarzyszące osiąganiu kolejnych szczytów: pojawienie się ich muzyki na listach przebojów, potem pierwsze miejsce i kolejne, później telewizja, Palladium, gala Royal Variety Show i wreszcie Ameryka.

Choć John, Paul i George nie dali się zwieść rozgłosowi, jaki towarzyszył ich poczynaniom, zawsze uważali się za dobrych muzyków. Wiedzieli, że pracują solidnie, i nie mogli znieść, gdy nie traktowano ich poważnie. Nawet przez moment nie przyszło im do głowy, że mogliby po prostu przestać istnieć, choć wiele osób sądziło, że ich dni są policzone.

Wreszcie im się udało i nie widzieli powodu, dla którego miałoby się to zmienić. Takie podejście wyjaśniałoby ich stosunek do przedstawicieli prasy, wobec których nie okazywali ani wdzięczności, ani pokory. Nie przejmowali się swoimi ironicznymi czy niestosownymi odzywkami, wychodząc z założenia, że nikomu nie są nic winni.

Tylko Ringo zdawał się widzieć to nieco inaczej. Dla niego wszystko potoczyło się tak szybko – dołączył do zespołu, a za chwilę byli już w trasie. „Zupełnie nie przejmowaliśmy się przyszłością. Sam zawsze sporo ryzykowałem i byłem farciarzem, robiłem w życiu różne rzeczy i przeważnie miałem parę groszy w kieszeni. Ale sądziłem, że wszystko kiedyś musi się skończyć. Na trasie zdarzały się lepsze i gorsze występy, ale wszystkie były w zasadzie takie same. Zabawa zaczynała się wieczorami w pokojach hotelowych – trawka i te sprawy”.

Rozdział 25
Koniec tras koncertowych

W kolejnych dwóch latach – 1965 i 1966 – życie Beatlesów zdominowały trasy koncertowe, co w praktyce oznaczało, że tak naprawdę nie mieli żadnego życia prywatnego. W ciągu roku jeździli średnio w trzy długie trasy: po Wielkiej Brytanii, po Ameryce i w jeszcze jedną po innych krajach. Wydawali średnio trzy single i jedną płytę rocznie. Planowali również co roku kręcić po jednym filmie, ale po swojej drugiej produkcji *Help!* z 1965 roku zarzucili ten pomysł[128]. Dopiero pod koniec tej dwuletniej harówki ich życie i praca zaczęły wyglądać nieco inaczej.

Szczegółowe informacje dotyczące wszystkich tych tras koncertowych można z pewnością znaleźć gdzieś w archiwach prasowych, oczywiście gdyby ktoś był na tyle szalony, by po nie sięgać. Sami Beatlesi z pewnością większość już zapomnieli – zwyczajowo zapamiętują jedynie absurdalne sytuacje, na przykład tę, kiedy otrzymali Order Imperium Brytyjskiego.

12 czerwca 1965 roku ogłoszono, że Beatlesi zostaną członkami Orderu. Natychmiast dały się słyszeć głosy sprzeciwu – od Izby Lordów począwszy, na cywilnych obserwatorach przeciwlotniczych z czasów II wojny światowej, według których wydarzenie to znacznie obniża wartość nadanym im niegdyś orderom, skończywszy. Jeden z emerytowanych pułkowników orzekł, że wobec tego nie zamierza przekazać Partii Pracy ani darowizny w wysokości jedenastu tysięcy funtów, ani swoich dwunastu medali. Rozsiani po całym świecie posiadacze orderów nagle zaczęli je odsyłać.

Briana cieszył ten zaszczyt. Jak wspominał po latach, nie miał cienia wątpliwości, że Beatlesi przyjmą odznaczenie, choć sam John twierdzi, że

bardzo poważnie rozważał odmowę. Jego Order Imperium Brytyjskiego spoczywa dziś na telewizorze w domu Mimi[129].

„Podzielaliśmy ogólną opinię, że mianowanie nas do Orderu było naprawdę niezłą farsą. Dlaczego? Za co? Nie chciało nam się w to wierzyć. Wcale o tym nie marzyliśmy. Wszyscy uważaliśmy, że była to totalna głupota. Jak sądzisz, co postanowiliśmy? Nie idziemy. A potem wyszło na to, że jest to właściwie element gry, w którą sami zgodziliśmy się wplątać – podobnie jak nagroda imienia Ivora Novello[130]. Nie mieliśmy nic do stracenia poza tym skrawkiem samych siebie, który nie dowierzał całej tej sytuacji. Zgodziliśmy się, żeby podnieść ciśnienie tym, którzy i tak byli już nieźle wkurzeni, na przykład Johnowi Gordonowi[131]. Drażniliśmy się z tymi, którzy brali to wszystko śmiertelnie poważnie.

Czekając w Pałacu, nie mogliśmy się powstrzymać – to wszystko było tak komiczne, że po prostu parskaliśmy śmiechem. Był tam taki jeden strażnik, który tłumaczył, jak maszerować, ile robić kroków i jak dygnąć, witając się z królową. Wiedzieliśmy, że tak naprawdę królowa to przecież zwykła kobieta, ale przyjęliśmy konwencję i zgodziliśmy się wszystko posłusznie wykonać. Mam wrażenie, że sama królowa naprawdę wierzy w ten cyrk. Musi. Ja nie wierzę, że John Lennon, jeden z Beatlesów, różni się czymkolwiek od innych ludzi, bo wiem, że się nie różni. Prosty ze mnie facet, sądzę, że królowa z pewnością wierzy, że jest inna. Nie znosiłem tych wszystkich spotkań towarzyskich. Tych imprez i prezentacji, na które musieliśmy chodzić – wszystko było takie sztuczne. Gardziłem tymi ludźmi, których można było z łatwością przejrzeć na wylot. Może to kwestia klasy społecznej, ale nie – oni naprawdę byli sztuczni”.

O kilku trasach z lat 1965–1966 należałoby chociaż wspomnieć. W szczególności dotyczy to dwóch kolejnych *tournée* amerykańskich. W swoją trzecią podróż po Stanach Beatlesi wyruszyli 13 sierpnia 1965 roku. Miała ona trwać o połowę krócej niż poprzednia, która okazała się zbyt

wyczerpująca. Tę zaplanowano więc na siedemnaście dni, a zespół został ubezpieczony na kwotę miliona funtów, czyli dokładnie tyle, ile kosztowała poprzednia trasa. Ta sierpniowa przyniosła większe zyski od wcześniejszej, jako że Beatlesi grali głównie na stadionach baseballowych, na których pojawiali się zresztą ostatnio, jako pierwszy zespół muzyczny wykorzystujący takie obiekty.

Największy koncert odbył się 15 sierpnia na stadionie Shea w Nowym Jorku. „Przyszło ponad pięćdziesiąt pięć tysięcy ludzi – wspomina Sid Bernstein. – Zarobiliśmy wpływy w wysokości trzystu czterech tysięcy dolarów, rekordową sumę w historii show-biznesu". Rekord ten do dziś nie został pobity nawet przez samych Beatlesów. Z rzeczonych trzystu czterech tysięcy dolarów zespół otrzymał sto sześćdziesiąt. Ponad trzydzieści tysięcy poszło na wynajem stadionu, czternaście tysięcy na opłacenie tysiąca trzystu policjantów, pełniących tego dnia służbę, a ubezpieczenie zabrało jedenaście tysięcy. Po odjęciu kosztów promocji, materiałów reklamowych i innych wydatków, dla Sida Bernsteina zostało siedem tysięcy dolarów. „Mógłbym to powtórzyć choćby dziś – mówi. – W Stanach Beatlesi są tak popularni jak dawniej. Zaproponowałem im milion dolarów za dwa występy na Shea i wciąż tę propozycję podtrzymuję. Musiałoby się to wydarzyć wyłącznie w Stanach. Milion dolarów: to moja oferta".

Dokładnie rok później, w sierpniu 1966 roku, zespół wyruszył na swoją czwartą i zarazem ostatnią trasę po Ameryce. Była jeszcze krótsza, ale przyniosła największe zyski. Przy organizacji przedsięwzięcia pracował Nat Weiss, którego mianowano szefem nowojorskiej firmy Nemperor Artists. Przez piętnaście lat pracował w Nowym Jorku jako adwokat specjalizujący się w sprawach rozwodowych, aż pewnego dnia poznał Briana Epsteina i pod jego wpływem zainteresował się muzyką rozrywkową. W czerwcu 1966 roku Brian postanowił zebrać wszystkie elementy firmy NEMS pod jednym szyldem. Nazwa Nemperor pochodziła od adresu telegraficznego siedziby Nems.

Tuż przed rozpoczęciem trasy do Ameryki dotarła wypowiedź Johna o Jezusie. Kilka miesięcy wcześniej, w wywiadzie dla londyńskiego „Evening Standard”, John powiedział Maureen Cleave, że Beatlesi są „popularniejsi od Jezusa”. Nikt publicznie nie wnosił sprzeciwu i nie odniósł się do tych słów, jednak gdy powtórzone i pozbawione kontekstu obiegły Amerykę, wybuchł skandal.

„Zadzwonił do mnie przyjaciel, mówiąc, że w Nashville w Tennessee ludzie palą nagrania Beatlesów – opowiada Nat Weiss. – Skontaktowałem się z Brianem i powiedziałem, że moim zdaniem sprawa wygląda na tyle groźnie, że powinien przylecieć do Nowego Jorku”. Brian miał poważne obawy, bo na terenach Pasa Biblijnego[132] pojawili się członkowie Ku Klux Klanu, palący kukły przedstawiające Beatlesów. Rozważał nawet odwołanie kilku umówionych występów, nawet jeśli musiałoby to oznaczać zwrot miliona dolarów. „Za żadne skarby nie chciałem narazić chłopców na jakiekolwiek niebezpieczeństwo”.

Menedżerowie, burmistrzowie i lokalni oficjele przekonywali Briana, że znacznie więcej kłopotów mogą sprawić fani, gdy dowiedzą się, że koncerty zostały odwołane. John dokonał niewielkiego sprostowania, mówiąc, że wcale nie to miał na myśli, i trasa odbyła się zgodnie z planem. Koncerty na terenach Pasa Biblijnego okazały się najlepsze ze wszystkich. Pozostałe trasy w ciągu tych dwóch lat obejmowały Francję, Włochy, Hiszpanię i Niemcy (z hucznym powitaniem w Hamburgu).

W czerwcu 1966 roku Beatlesi udali się z Niemiec do Tokio na swoją pierwszą i jedyną trasę po Japonii. Sądząc po treści broszurki informacyjnej, tamtejsi fani posiadali najbardziej wszechstronną wiedzę o zespole. Był to najobszerniejszy i najdokładniejszy program, jaki kiedykolwiek stworzono na potrzeby koncertów. Poza wiedzą teoretyczną można było tam znaleźć tytuł każdej piosenki, jaką kiedykolwiek zaśpiewali, wraz z pozycją, jaką dany utwór zajmował na listach przebojów.

Nikt w Londynie nie sporządził nigdy tak misternego spisu. Brian trzymał jeden taki egzemplarz w szufladzie biurka jako ściągawkę.

Z Japonii Beatlesi wracali przez Manilę na Filipinach, czego potem bardzo żałowali. To tam doszło do jedynych prawdziwych zamieszek w ich karierze. W Wielkiej Brytanii i Ameryce o mało nie ginęli z nadmiaru sympatii, a w Manili zostali skopani i pobici przez urzędników i policję. Wszystko dlatego, że zachowali się nieuprzejmie wobec żony prezydenta, która zaprosiwszy zespół do siebie, czekała na nich w pałacu. Beatlesi twierdzili, że żadnego zaproszenia nie było, a pierwsza dama poczuła się niezwykle dotknięta.

Popularność Beatlesów w Wielkiej Brytanii była ogromna. Jakiś czas wcześniej centrala telefoniczna University College Hospital została całkowicie zablokowana po tym, jak Ringo przeszedł tam zabieg usunięcia migdałków. Co godzinę przekazywano informacje o stanie zdrowia pacjenta, a do szpitala zgłosiły się tysiące fanów z prośbami o przekazanie im migdałków Beatlesa. Ringo ogłosił jednak, że zostaną one spalone.

Znamienny stał się jeszcze jeden epizod. W październiku 1965 roku do Kanady przybyła królowa wraz z księciem Filipem. Dla brytyjskiej prasy największym newsem z tej wizyty były słowa księcia, że Beatlesom „żadnej przyszłości nie wróży”. Była to wiadomość na pierwsze strony gazet. Londyński „Evening Standard” przeprowadził sondaż, by przekonać się, czy fani zgadzają się z księciem – pięć na siedem osób miało odmienną opinię. Kilka dni później Brian Epstein otrzymał imienny telegram od księcia Filipa, w którym wyjaśniał on, że jego prawdziwe słowa brzmiały: „Wydaje mi się, że Beatlesi są w podróży”.

Był to dowód na to, że wielkie osobistości są niezwykle zaniepokojone, jeśli ich wypowiedzi na temat Beatlesów zostają źle zrozumiane. Przede wszystkim jednak incydent z księciem ujawnia wypowiadane coraz częściej pobożne życzenia, że Beatlesi naprawdę się kończą – przecież nie mogą wciąż utrzymywać tak zawrotnego tempa. Tymczasem zespół nagrywał

więcej płyt niż dotychczas – po każdym okresie skomasowanych docinków, jakoby grupa miała się rozpaść, Beatlesi wydawali kolejną płytę, która natychmiast wędrowała na pierwsze miejsca list przebojów. Gdy w grudniu 1965 roku utwór *Day Tripper* poszybował na pierwszą lokatę, stał się ich dziesiątym numerem pod rząd, który zajął najwyższe miejsce w brytyjskich notowaniach. Jeszcze w tym samym miesiącu wyruszyli w swoją ostatnią, jak się miało później okazać, trasę koncertową, choć oczywiście nikt nie był wówczas świadom, że sprawy przybiorą taki obrót. Po tej trasie zagrali jeszcze tylko jeden koncert – 1 maja 1966 roku na Wembley. Był to ostatni publiczny występ na żywo, jaki dali na ojczystej ziemi.

Pewnego dnia przyszedł w końcu ten moment, gdy ich singiel nie wskoczył od razu na pierwsze miejsce list przebojów, choć prowadził już po upływie tygodnia. Był to utwór *Paperback Writer* wydany w czerwcu 1966 roku. Co ciekawe, utwory z lutego 1967 roku, *Penny Lane* i *Strawberry Fields*, będące znacznie lepszymi od poprzedniego, na pierwszą lokatę nie dotarły nigdy. Być może sami fani przeczuwali, że już nigdy nie zobaczą Beatlesów grających na żywo. Ich ostatnim występem był zamykający amerykańską trasę koncert z 9 sierpnia 1966 roku.

„Wtedy, w San Francisco, Brian był potwornie smutny, niemal rozżalony – opowiada Nat Weiss. – Nigdy go takim nie widziałem. Pamiętam, jak nagle powiedział: »Co ja teraz zrobię? Co będzie dalej z moim życiem? To koniec. Mam wrócić do szkoły i nauczyć się nowego fachu?«. Było mu naprawdę niezwykle smutno. Później jednak wziął się w garść i postanowił, że jednak będzie pracował dalej i coś wymyśli”.

Po powrocie do Anglii nikt nie wydał żadnego komunikatu zaprzeczającego bądź potwierdzającego informacje o braku kolejnych tras koncertowych. W rezultacie zapanowało ogólne zamieszanie i rozeszły się plotki o rozpadzie zespołu. Fanklub i redakcja magazynu „Beatles Monthly” były dosłownie zasypywane listami od wielbicieli. Matka George’a miała już tak serdecznie dość odpowiadania na wciąż

powtarzające się pytania, że przygotowała kilkaset kopii listu, w którym informowała, że zespół się nie rozpada. Pisała, że chłopcy są zajęci nowym albumem i praca nad nim potrwa aż do świąt Bożego Narodzenia. „Dla mnie to wystarczający dowód na to, że absolutnie nie mają zamiaru się rozstawać. Z pozdrowieniami, Louise Harrison”.

Beatlesi zdecydowali już wcześniej, że nie będą jeździć w trasy koncertowe, ale ciężko było tak po prostu to ogłosić ze względu na różne wynikające z umów zobowiązania. Na kolejną krajową trasę liczył na przykład menedżer Arthur Howes, a brytyjscy fani już od dawna czuli się odrzuceni. Od momentu, gdy po raz pierwszy pojawili się na szczytach list przebojów, Beatlesi zagrali dla znacznie liczniejszej publiczności amerykańskiej niż brytyjskiej. Koncerty podczas czterech tras po Stanach odbywały się w wielkich obiektach na wolnym powietrzu, a w Wielkiej Brytanii podczas siedmiu tras wszystko działo się głównie w mniejszych salach.

Pomiędzy Arthurem Howesem a zespołem nie było wiążącej umowy, dotyczącej ilości tras koncertowych – menedżer spodziewał się jedynie, że jego podopieczni będą koncertować nieco dłużej. „W tym biznesie zakłada się, że kariera artysty potrwa pięć lat. Zawsze tak było – mówi. – Po pięciu latach zmienia się pokolenie i na rynek wkraczają nowi wykonawcy wraz ze swoją publicznością. Z Beatlesami jest inaczej – oni są wieczni. Nie muszą się o nic martwić. Ale ja owszem, martwiłem się, gdy przestali występować w Wielkiej Brytanii. Nie mieli za sobą nawet trzech lat koncertowania”.

Pełna widownia w największej sali w brytyjskim Manchesterze, Birmingham czy Glasgow to jedynie jakieś dwa i pół tysiąca ludzi. Najliczniejszą publiczność, bo aż cztery tysiące osób, może pomieścić Hammersmith Oden, ale nawet wypełniona po brzegi sala Hammersmith nie może równać się z pełną widownią na stadionie Shea, na którym pierwszego koncertu Beatlesów słuchało pięćdziesiąt pięć tysięcy osób.

Biorąc pod uwagę, że Beatlesi każdorazowo mieli zagwarantowane pięćdziesiąt procent zysków dla siebie, a przy tym koncertowali relatywnie krótko, Howes zarobił więcej, jeżdżąc z Cliffem Richardem niż z czwórką z Liverpoolu. Między październikiem 1958 a lutym 1963 roku Cliff Richard wyjechał z Arturem Howesem w jedenaście tras koncertowych. Między lutym 1963 a grudniem 1965 roku Beatlesi odbyli siedem tras, z czego sześć z Howesem.

„Największym osiągnięciem Beatlesów było otwarcie rynku amerykańskiego dla artystów brytyjskich. Nikomu przed nimi się to nie udało. To wyłącznie ich zasługa. Sam przywoziłem do nas wielu artystów z Ameryki, ale nikt z naszych nigdy nie pojechał do nich. Nikt nie był tam nimi zainteresowany. Otwierając drzwi amerykańskiego rynku, Beatlesi zarobili dla swojej ojczyzny gigantyczne pieniądze”.

Gdy Arthur Howes i paru innych wtajemniczonych wiedzieli już o decyzji dotyczącej zaprzestania wyjazdów, zespół podał ją do publicznej wiadomości. Jednym z oficjalnych powodów był gigantyczny postęp dokonujący się w ich muzyce: koncerty na żywo z wykorzystaniem pełnego składu orkiestry i niezliczonego sprzętu elektronicznego stawały się po prostu niemożliwe do zrealizowania. Tak właśnie było, jednak najistotniejszym powodem była rosnąca niechęć Beatlesów do wykonywanej roboty. Nie znosili tułaczki po całym świecie, występów zza szklanego ekranu, gdzie czuli się, jakby ktoś ich podglądał niczym w *peep show*. Nie lubili również występów na scenie, które stały się do siebie łudząco podobne. W ich mniemaniu była to farsa i kpina. Organizatorzy tras, Neil i Mal, nie mogli znieść towarzyszących im napięć, paniki i chaosu.

„Amerykańskie koncerty na wolnym powietrzu były straszne – wspomina Mal. – Graliśmy kiedyś na boisku baseballowym: zespół wystawiony na środku boiska, otoczony trzydziestotysięcznym tłumem wrzeszczących dzieciaków. Zapytałem menedżera, gdzie jest gniazdko.

Zdziwił się i stwierdził, że przecież oni grają na gitarach. Gość nie pomyślał, że na gitarach elektrycznych. Wpadliśmy w niezłą panikę, patrząc, jak elektrycy starają się zdążyć z rozwijaniem kabli. Za każdym razem, gdy nad otwartym obiektem zbierały się ciemne chmury, zamierałem ze strachu, bo kable plus deszcz to eksplozja, a przerwanie koncertu rozwścieczyłoby tłum".

„Na scenę zawsze wychodziliśmy w ostatniej chwili albo nawet jeszcze później – opowiada Neil. – Jeśli opuszczaliśmy garderobę zbyt wcześnie, fani dosłownie oblepiali nas po drodze na scenę, natomiast gdy wypadaliśmy w ostatniej chwili i musieliśmy biec, by zdążyć na czas, wszyscy schodzili nam z drogi. Tak właśnie zrobiliśmy przy pierwszym występie u Eda Sullivana w Nowym Jorku. Gość nieźle się tam napocił, sądząc, że się spóźnimy. Jakby nie było, program szedł na żywo. Całą winę za tę sytuację zrzucił na mnie".

„Te trasy bywały niebezpieczne – mówi Ringo. – Jednak nigdy o tym nie myśleliśmy. Kiedyś w Teksasie zapalił się samolot, a innym razem lecieliśmy z Liverpoolu do Londynu z otwartym oknem. Najedliśmy się trochę strachu, gdy jakiś jasnowidz przewidział, że zginiemy w Stanach na pokładzie samolotu. To nie było śmieszne". Przepowiednia pochodziła od kobiety, która wcześniej przewidziała śmierć prezydenta Kennedy'ego. Nie wszyscy zgodzili się wsiąść do samolotu Beatlesów. Mal napisał nawet list pożegnalny do żony – był przekonany, że zginie.

„Któregoś razu cudem uszliśmy z życiem. To było w Cow Palace w Stanach – opowiada Ringo. – Tłum ruszył i dopadł do limuzyny, w której spodziewał się nas znaleźć. Wgnietli cały dach samochodu. Mogliby nas pozabijać, ale my tymczasem siedzieliśmy bezpieczni w karetce. Tak nas wtedy przemycano.

Wiecznie musieliśmy się z kimś użerać – a to z policją, a to z organizatorami, a to z personelem hotelu. Zawsze sądziliśmy, że w pokojach jesteśmy bezpieczni, ale tam z kolei musieliśmy stawiać czoła

żądnej autografów obsłudze. Wszyscy zdawali się myśleć, czemu nie, o co wam chodzi, przecież pracowaliście dzisiaj tylko pół godziny. Tylko że po tym półgodzinnym koncercie prawdopodobnie pokonaliśmy jakieś trzy tysiące kilometrów, nie jedliśmy też i nie spaliśmy porządnie od wielu tygodni. Amerykańscy policjanci też nie byli lepsi. Kiedyś przyłapałem jednego, jak grzebał w naszych kieszeniach".

George wspomina, że przestało im się to wszystko podobać już przy pierwszej wielkiej trasie po Ameryce, w sierpniu 1964 roku. Nawet skrócenie tych wyjazdów na niewiele się zdało. „To było jak koniec pewnego etapu. W Hamburgu graliśmy nawet przez osiem godzin, świetnie się przy tym bawiąc, poznając nawzajem siebie i swoje możliwości. To był prawdziwy odlot. W Liverpoolu graliśmy krócej, ale nadal nam się podobało, byliśmy częścią publiczności, z ludźmi na sali dzieliliśmy nasze życie. Nigdy nie robiliśmy prób. Potem musieliśmy wszystko nieco dopracować, ale w The Cavern było genialnie – pełen spontan, wygłupy i śmiechy. Było tak kameralnie. A potem zaczęły się te trasy. Na początku ekstra – graliśmy krótsze i bardziej dopracowane koncerty i pracowaliśmy nad nowymi kawałkami, ale i to się skończyło. Jeżdżąc po świecie, popadliśmy w rutynę. Widownia zmieniała się każdego dnia, ale my robiliśmy ciągle to samo – nie odczuwaliśmy żadnej satysfakcji. Nikt nikogo nie słyszał – otaczał nas jeden wielki hałas. Grając wciąż te same starocie, nie rozwijaliśmy się jako muzycy. Totalny brak satysfakcji".

„To wszystko odbijało się na graniu – mówi Ringo. – Ludzie wszystko zagłuszali. Doszło do tego, że grałem nierówno. Przez połowę koncertu w ogóle się nie słyszałem, nawet z odsłuchów. Na salach ustawiano nas w dziwnych miejscach i staliśmy zbyt daleko od siebie. Na scenie grywaliśmy szybciej niż na płytach, głównie dlatego, że kompletnie się nie słyszeliśmy. Zdarzało mi się wchodzić w złych momentach, bo zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje. Przez część koncertów musieliśmy udawać, że śpiewamy, szczególnie kiedy mieliśmy zdarte gardła. Aż w końcu nikt już nie lubił

jeździć w trasy. Tego właściwie nie da się lubić. Jak tylko zaczynasz produkcję na skalę masową, to wszystko się sypie. Musisz dawać, żeby dostawać. Bywały wieczory, kiedy czuliśmy, że poszło nam fatalnie, nic z siebie nie daliśmy. Wtedy postanowiliśmy z tym skończyć, zanim innym też przestanie się to podobać".

„Gdy mieliśmy chwilę przerwy od koncertowania, czuliśmy się jak na wakacjach – opowiada John. – Przez jakiś czas nie musisz robić zupełnie nic i wraca beztroska. Potem nawet zaczynasz trochę tęsknić, do czasu, aż wracasz i znowu masz dość. To tak, jak w wojsku: jakkolwiek tam jest. Jedna wielka monotonia, przez którą musisz przebrnąć. Wszystko się zlewa. Nie pamiętam żadnej z tras. Mieliśmy definitywnie dość koncertowania. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie powodu, dla którego mielibyśmy jeszcze kiedykolwiek wyruszyć w trasę".

Paul twierdzi, że mogliby zdecydować się na występ na żywo tylko wtedy, gdyby był on zorganizowany w zupełnie innym stylu. A ponieważ nikt jakoś nie może obmyślić tego nowego stylu, to wygląda na to, że Sid Bernstein zaoszczędzi swój milion dolarów.

Zrezygnowanie z tego, co przyniosło im wielką sławę, było dość odważnym posunięciem. W show-biznesie tylko nieliczni decydują się wycofać, będąc na szczycie. Zwykle mawiają, że zamierzają się wycofać, zanim zrobi to publiczność, ale najczęściej robią to za późno.

Beatlesi się nie wahali – dla nich miał to być koniec Pierwszego Rozdziału. Naiwni i prostoduszni nie podejrzewali, co przyniesie Rozdział Drugi. Wiedzieli jedynie, że nie ma w nim miejsca na trudy koncertowania i niedogodności Beatlemanii.

Rozdział 26
Śmierć Briana Epsteina

Brian Epstein miał rację, gdy w San Francisco zdał sobie sprawę, że koniec wyjazdów w trasy stał się końcem pewnego etapu. Zdecydowany był jednak nie rezygnować i zająć się czymś innym – tak powiedział Natowi Weissowi. Tak też zrobił, przynajmniej na jakiś czas.

Firma NEMS Enterprises znacznie się rozrosła i sprawowała teraz pieczę nad wieloma artystami. Byli wśród nich Cilla Black, Gerry and the Pacemakers i wielu innych. Zajmowała się także pośredniczeniem w rozmaitych przedsięwzięciach artystycznych. Wynajęła teatr – Saville Theatre, a jej pracownicy wciąż rozwijali się jako menedżerowie artystyczni. Mimo że zatrudniano znacznie więcej ludzi niż za czasów liverpoolskich, wśród najważniejszych przedstawicieli NEMS wciąż byli starzy znajomi Briana. Przepracowawszy jakiś czas w wytwórni Pye, w 1963 roku do NEMS wrócił asystent Epsteina, Alistair Taylor, w obecności którego, jak wspomniałem wcześniej, Beatlesi podpisali swój pierwszy kontrakt. Przede wszystkim do londyńskiego oddziału NEMS dołączyli Geoffrey Ellis i Peter Brown – dwaj dobrzy kumple Briana z Liverpoolu.

Geoffrey, niegdyś mieszkaniec Oksfordu, a potem ubezpieczyciel z Nowego Jorku, wielokrotnie widywał się z Brianem podczas jego pobytów w Ameryce i w końcu dał się przekonać do przyjęcia posady w NEMS w Londynie. Jego znajomość prawa okazała się nieoceniona przy sporządzaniu kontraktów. Geoffrey dołączył do NEMS w październiku 1964 roku, zajmując stanowisko kierownicze, by rok później stanąć na czele całej firmy.

Peter Brown był w liverpoolskiej siedzibie NEMS do połowy 1965 roku. Do tego czasu nie miał w ogóle styczności z Beatlesami i w

Liverpoolu kierował sklepami muzycznymi, które powierzył mu Brian. Jednak w czerwcu 1964 roku ojciec Briana, Harry Epstein, postanowił sprzedać większość swoich sklepów, mimo że wciąż zarządzał nimi jego drugi syn, Clive. Przez pewien czas Peter Brown nadal pełnił dawną funkcję, jednak nie miał już bezpośredniego kontaktu z nowymi właścicielami sklepów. Wtedy Brian zaoferował mu pracę w londyńskiej NEMS Enterprises. „Na początku miałem pewne obawy, czy ponowna bliska współpraca z Brianem nie będzie prowadziła do kłótni, jakie znaliśmy z przeszłości, ale wszystko dobrze się ułożyło”. Peter przejął po Wendy Hanson stanowisko asystenta Briana.

Na początku 1967 roku Brian kupił dom w Sussex, który znalazł dla niego Peter – była to pokaźna, historyczna rezydencja przy Kingsley Hill nieopodal Heathfield. Kosztowała dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Brian przyjął także do pracy asystentkę, Joanne Newfield, siostrzenicę Joego Lossa. Jej biuro znajdowało się na najwyższym piętrze londyńskiego domu Briana przy Chapel Street w dzielnicy Belgravia, gdyż Brian bardzo często prowadził interesy właśnie z domu.

Tak oto wyglądało życie Briana Epsteina latem 1967 roku – był bogatym, przystojnym, znanym, trzydziestodwuletnim gejem. Ludzie uważali go za łowcę talentów i ojca chrzestnego sukcesu Beatlesów. Brian miał także wielu innych artystów i wiele innych zainteresowań, a w szczególności Saville. Każde jego działanie związane z teatrem było zawsze szeroko komentowane przez prasę. Z zewnątrz wszystko wskazywało na to, że Brian był absolutnie szczęśliwy i spełniony. Latem 1967 roku „Financial Times” oszacował, że Epstein wart jest siedem milionów funtów. W rzeczywistości było to znacznie mniej, ale faktycznie pozostawał dostatecznie bogaty, by nie martwić się o finanse do końca swoich dni.

14 sierpnia 1967 roku do Londynu przybyła matka Briana, pani Queenie Epstein, by spędzić ze swym najstarszym synem dziesięć dni w jego domu

w Belgravii. Do Liverpoolu powróciła w czwartek 24 sierpnia. Podczas wizyty była przygnębiona, gdyż miesiąc wcześniej zmarł ojciec Briana, Harry. Jego śmierć odbiła się także na samym Brianie, który dołożył wszelkich starań, by pobyt matki uczynić tak radosnym i przyjemnym, jak to tylko możliwe. Przygotowywał dla niej mieszkanie w Knightsbridge, jako że wcześniej zapadła decyzja, że pani Epstein przeniesie się z Liverpoolu do Londynu. Brianowi zależało, by matka była blisko niego, zmienił nawet swe codzienne nawyki, by dostosować się do jej zwyczajów – zamiast wstawać i chodzić spać bardzo późno, jak zwykł czynić do tej pory, co rano budził się na tyle wcześnie, by być gotowym, kiedy matka wchodziła do jego pokoju i odsłaniała okna. Około godziny dziesiątej jedli śniadanie, a potem Queenie żegnała syna, gdy wyjeżdżał do biura – to również od dawna nie było typowym zachowaniem Briana.

Przez całe dziesięć dni pobytu matki Brian każdego ranka wyruszał do Mayfair i pracował tam całymi dniami. W domu pojawiał się o modelowej dla pracowników biurowych porze, jadł z matką obiad, po którym oglądali razem telewizję, pili gorącą czekoladę i chodzili spać zawsze grubo przed północą. Joanne i Peter Brown zgodnie twierdzili, że Brian nie narzekał na taki rozkład dnia. Co prawda zdecydowanie wolał własny harmonogram, ale zdawał sobie sprawę, że taki układ zajęć w ciągu dnia cieszył matkę. Kochał ją i wiedział, że i ona kocha jego, zatem chciał, by czuła się u niego dobrze.

Osobiście odwiedziłem ją piątego dnia pobytu u syna, w piątek 18 sierpnia. Piliśmy herbatę i rozmawialiśmy o dzieciństwie Briana. Mogłem wywnioskować, że byli ze sobą bardzo związani i naprawdę się kochali. Brian odprowadził mnie do drzwi – rozmawialiśmy o jego zbliżającej się wizycie w Stanach i Kanadzie, gdzie miał poprowadzić wielkie widowisko telewizyjne. Nie mógł się wprost doczekać. Umówiliśmy się, że po jego powrocie spędzimy razem weekend w Sussex.

W czwartek matka Briana wróciła do Liverpoolu. Kilka godzin później Brian po raz pierwszy od dwóch tygodni spędził wieczór poza domem, choć była to tylko spokojna kolacja z Simonem Napier-Bellem[133] w restauracji Carrier's w Islington. Brian najbardziej nie mógł się doczekać długiego weekendu, który miał spędzić w swojej wiejskiej posiadłości. Z okazji święta państwowego zaprosił do siebie Simona Napier-Bella, który ze względu na wyjazd do Irlandii zmuszony był odrzucić propozycję.

„Brian wyjechał w piątek około trzeciej trzydzieści – mówi Joanne. – Był w świetnym nastroju. Powiedział, że spędzi wspaniały weekend i że zobaczymy się we wtorek. Patrzyłam, jak odjeżdża swoim bentleyem ze złożonym dachem, machając do mnie".

Joanne wiedziała, że ten weekend Brian miał spędzić także w towarzystwie swoich najlepszych przyjaciół, Petera Browna i Geoffreya Ellisa. Peter zadzwonił do niej po południu, mówiąc, że wyjedzie do Sussex sporo później, niż pierwotnie planował, a zatem Brian przez kilka godzin będzie w posiadłości sam. Joanne miała tylko nadzieję, że Peter nie spóźni się na kolację.

„Na kolację zdążyłem – opowiada Peter. – Była przepyszna. Byliśmy tylko my trzej, butelka wina, a na koniec kilka kieliszków porto. Planowałem przywieźć ze sobą kilka osób, ale się nie zjawiły. Brian był bardzo rozczarowany. To był jego pierwszy od dłuższego czasu weekend na wsi, liczył więc na dobrą zabawę i towarzystwo nowych ludzi. Niespecjalnie podobało mu się siedzenie z dwoma najbliższymi i najstarszymi kumplami".

Brian zadzwonił do kilku osób w Londynie, ale w piątkowy wieczór poprzedzający długi weekend nie zastał nikogo. Około dziesiątej postanowił, że w takim razie to on pojedzie do Londynu. Wbrew pozorom, nie była to wcale zaskakująca decyzja, bo Brian znany był z częstej zmiany zdania. Nierzadko wychodził w połowie własnych przyjęć, które uprzednio

misternie przygotowywał przez kilka tygodni. W jego mniemaniu ten długo wyczekiwany weekend spędzony w Sussex byłby strasznie nudny, a Londyn wydawał się jedynym miejscem, gdzie można się rozerwać.

„Odprowadziłem go do samochodu – opowiada Peter Brown. – Zauważyłem, że to niemądre z jego strony jechać o tej porze do Londynu, ale odparł, żebym się nie martwił i że nic mu nie będzie. Był trochę wstawiony po sutej kolacji, ale nie jakoś przesadnie. Powiedział, że wszystko jest w porządku i że wróci rano, zanim zdążę wstać".

Niedługo po wyjeździe Briana pod jego domem pojawiła się grupa gości, którzy w odpowiedzi na jego telefony przybyli z Londynu taksówką. Było jednak za późno, gdyż Brian zdążył już wyjechać. Peter Brown jeszcze przez chwilę miał nadzieję, że Brian tylko pojeździ trochę po okolicy i wkrótce wróci do domu. Tak się jednak nie stało i około dwunastej trzydzieści Geoffrey zaczął wydzwaniać do domu przy Chapel Street, by sprawdzić, czy przyjaciel dotarł na miejsce. Telefon odebrał Antonio, który pełnił w domu Briana funkcję kamerdynera (jego żona Maria była gosposią). Antonio zadzwonił na znajdujący się w sypialni domofon, chcąc poinformować Briana, że dzwoni pan Ellis, ale bez rezultatu. Geoffrey i Peter nie byli szczególnie zmartwieni – cieszyli się, że Brian dojechał bezpiecznie i prawdopodobnie śpi.

Następnego ranka, w sobotę, Peter Brown i Geoffrey Ellis wstali dość późno. Briana nadal nie było, ale właściwie nie spodziewali się, że wróci. Zakładając, że wciąż jeszcze śpi, postanowili do niego nie dzwonić. Około siedemnastej Brian odezwał się do Petera.

„Strasznie przepraszał, że nie pojawił się rano, jak obiecał, ale przespał cały dzień i nadal czuł się senny. Powiedziałem, że lepiej, żeby nie wracał samochodem, i jeśli wsiądzie do pociągu do Lewes, to odbiorę go ze stacji. Przyznał, że faktycznie tak będzie lepiej, ale i tak był zbyt otumaniony, by ruszyć w podróż. Zawsze tak się czuł, gdy przed snem brał tabletki nasenne.

Powiedział, że odezwie się później, gdy dojdzie do siebie, żebym wiedział, kiedy po niego wyjechać. Na tym skończyliśmy”.

Ale Brian nie zadzwonił.

W niedzielę, w porze lunchu, Antonio i Maria zaczęli się martwić, gdyż Brian wciąż nie wstawał. Co prawda wcześniej bywało, że pozostawał w łóżku aż do wczesnego popołudnia, więc nie było w tym nic niezwykłego, jednak Antonio i Maria zauważyli, że nie wyszedł ze swojej sypialni od momentu powrotu z Sussex w piątkowy wieczór. Spostrzegli także, że jego bentley przez cały weekend stał pod domem, nie słyszeli też, by gospodarz krzątał się po domu od sobotniego śniadania do popołudniowego telefonu do Petera. Oboje uznali, że słyszeliby, gdyby wstał czy wychodził z domu. O dwunastej trzydzieści zadzwonili do Petera Browna do Sussex, by powiedzieć mu, że zaczynają się martwić, ale ten był w pubie, więc skontaktowali się z Joanne, przebywającą w swoim domu w Edgware.

„Zadzwoniła Maria. Wydawała się bardzo zaniepokojona. Mówiła, że Brian siedzi w swoim pokoju nadzwyczaj długo. Ja też zaczęłam się denerwować. Dzwoniłam do Petera, ale bezskutecznie. Skontaktowałam się więc z Alistairem Taylorem i powiedziałam mu o wszystkim, dodając, że pojadę do Briana i tam się spotkamy. Zanim wsiadłam do samochodu, spróbowałam jeszcze dodzwonić się do lekarza Briana, ale okazało się, że jest w Hiszpanii”.

Gdy Peter i Geoffrey wrócili z pubu przed godziną drugą, gosposia miała im do przekazania kilka wiadomości.

„Zadzwoniłem na Chapel Street – opowiada Peter. – Od Antonia dowiedziałem się, że okropnie się martwią o Briana i że Joanne i Alistair już do nich jadą. Powiedziałem, że zupełnie nie muszą się przejmować, bo podejrzewałem, że Brian pewnie wyszedł gdzieś w sobotni wieczór i teraz odsypiał. Dodałem, że tylko sieją panikę i żeby spróbowali powstrzymać Alistaira od przyjazdu”.

Dotarłszy na Chapel Street, Joanne zastała Antonia i Marię bardzo poruszonych, mimo że Peter przekonywał ich, że nie ma powodu do obaw. Zadzwoniła do Petera i również usłyszała, że nie ma co panikować i że może dobrze byłoby, gdyby zadzwoniła do jego lekarza, Petera, by na wszelki wypadek przyjechał na miejsce. Gdy przybył doktor, Joanne zawiadomiła Petera, że zamierzają wyważyć drzwi. Chcąc wiedzieć, co się dzieje, Brown nie odkładał telefonu i pozostał na linii.

„Weszliśmy z doktorem do środka, w pokoju było ciemno. Zobaczyłam Briana leżącego na łóżku, plecami do nas. Lekarz wyprowadził mnie z pokoju. Poszłam powiedzieć Antonio i Marii, że wszystko jest w porządku – Brian po prostu śpi. A potem z pokoju wyszedł roztrzęsiony i blady lekarz. Powiedział, że Brian nie żyje. Wziął telefon, by powiedzieć to Peterowi".

„Nie mógł wydusić z siebie ani słowa – mówił Peter. – Domyśliłem się, co się stało".

Peter i Geoffrey natychmiast zawiadomili Beatlesów, którzy przebywali w Bangor w Walii na wykładach Maharishiego[134]. Już godzinę po odnalezieniu ciała dzwoniono z „Daily Express" z pytaniem, czy to prawda, że Brian Epstein nie żyje. Zaprzeczono.

Następnego dnia był to news na pierwszych stronach wszystkich gazet. Nekrolog w „The Times" zajmował trzy kolumny. Ludzie podejrzewali samobójstwo – tak to zwykle bywa, że ci, których udziałem nie było nigdy ani bogactwo, ani sława, ani władza lubią myśleć, że ich posiadacze nigdy nie są tak naprawdę szczęśliwi.

Brian Epstein mógł być zarówno bardzo szczęśliwy, jak i bardzo nieszczęśliwy. Jego nieszczęście nie miało nic wspólnego z Beatlesami czy z sukcesem. Jego nieszczęście było elementem choroby. Choroby, która nękała go od lat.

„W Liverpoolu Brian ciągle miał stany depresyjne – mówi Peter Brown. – Nie tak silne i długie jak potem, ale zmagał się z nimi, i to na długo przed pojawieniem się Beatlesów”. Różne doświadczenia Briana wpłynęły na jego kondycję psychiczną. Jednak rok poprzedzający jego śmierć był przełomowy.

„Gdy miał nawroty depresji, wystarczyła byle drobnostka, by się psychicznie rozsypał – opowiada Joanne. – Kiedyś próbował skontaktować się z Natem Weissem, który przyjechał do Londynu z Nowego Jorku. Pojechał do hotelu Grosvenor House, ale go tam nie zastał. Wrócił wściekły i zaczął wydzwaniać do hotelu. Przez przypadek podałam mu zły numer telefonu – zamiast 6296363 podałam 4766363, więc nie mógł się dodzwonić. Gdy się zorientowałam, że popełniłam błąd, Brian był straszliwie zły”.

Peter Brown wspomina, że problemem Briana był także jego perfekcjonizm – gdy tylko coś szło nie tak lub ludzie wtrącali się czy psuli jego plany, wpadał w furię. Był szalenie drobiazgowy, dokładny i zorganizowany. Za przykład jego perfekcjonizmu służą chociażby szczegółowe instrukcje dotyczące zachowania na scenie, które na początku współpracy przekazywał Beatlesom.

W miarę jak NEMS rozrastała się coraz bardziej, Brian zmuszony był zlecać pracę innym, a to oznaczało, że coraz więcej spraw nie toczyło się po jego myśli – głównie dlatego, że zwykł przydzielać zadania ludziom, bazując na swoich odczuciach, a nie na ich wiedzy czy doświadczeniu. Głównych artystów zachowywał jednak zawsze dla siebie, a na punkcie Beatlesów miał bzika. Do tego stopnia, że nie podobało mu się, gdy sekretarki zbytnio się z nimi zaprzyjaźniały. Nawet Petera Browna, swojego przyjaciela i asystenta, dopuścił do bezpośrednich kontaktów z zespołem dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią.

Na początku roku 1967 Brian scedował na innych większość obowiązków związanych z codziennym funkcjonowaniem NEMS, poza

Beatlesami. Sprowadził do firmy Australijczyka Roberta Stigwooda, który od tej pory zarządzał firmą wraz z innymi dyrektorami: Vikiem Lewisem, Bernardem Lee, Geoffreyem Ellisem i bratem Briana, Clive'em Epsteinem. Brian wycofał się z NEMS niedługo po tym, jak Beatlesi przestali koncertować. Poza niedochodowym teatrem Saville nic nie wypełniało luki po zespole, mimo że nie ustawał w poszukiwaniach, podobnie jak kiedyś, gdy postanowił wstąpić do RADA, lub potem, gdy nagle rzucił wszystko i zajął się Beatlesami. Po raz kolejny dał o sobie znać jego dawny głód tworzenia. Znów dręczyło go niespełnione pragnienie kreacji, mające jednocześnie niewielkie szanse na spełnienie. Takie historie przydarzały mu się często, zarówno w związkach miłosnych, jak i innych sferach prywatnego życia.

Był taki moment w jego życiu, kiedy miał okazję wykazać się kreatywnością. Były dyrektor akademii teatralnej, John Fernald, który przyjmował Briana na studia i którego Brian sam później zatrudniał, rozchorował się podczas trwania prób do sztuki *A Smashing Day*. Brian został nowym reżyserem. „W owym czasie był stale chory, zmagał się z powikłaniami po żółtaczce, ale poświęcił się tym próbom bez reszty – mówi Joanne. – Pracowałam z nim trzy lata i chyba nigdy wcześniej nie widziałam go tak szczęśliwym. Działał wraz z aktorami do późnych godzin nocnych i strasznie mu się to podobało". Wkrótce potem sztukę zdjęto z afisza.

Drzemiące w Brianie pragnienie tworzenia nigdy więcej nie znalazło ujścia. Miotał się w poszukiwaniu nowych wyzwań, ale nic nie było w stanie równać się z tym, co przynosiła mu praca z Beatlesami. W rzeczywistości coraz częściej dostrzegał minusy *stricte* biznesowej strony swej profesji. Był to jeden z powodów, dla których wycofał się z prowadzenia NEMS.

„On właściwie nigdy nie lubił być biznesmenem – mówi Joanne. – Nie lubił tych wszystkich spotkań. Za to bardzo chciał tworzyć. Zdarzało się, że

odwoływał nawet najważniejsze spotkania. Czasami musiałam mówić, że jest chory lub że ma ważną konferencję, a prawdziwym powodem było to, że wciąż tkwił w łóżku po bezsennej nocy. To było straszne. Zostawiał mi wiadomości o spotkaniach, z których miałam go jakoś wykręcić. Kiedyś musiałam odwołać spotkania z Bernardem Delfontem[135] aż cztery razy w ciągu jednego tygodnia… nie wiem, co musiał sobie pomyśleć".

Było jednak kilka rzeczy, które uwielbiał – Kingsley Hill, dom w Sussex i walki byków. W chwili śmierci Brian wspierał torreadora[136] i finansował film o walkach byków. Jego pozostałe kaprysy, jak narkotyki czy hazard, miały raczej charakter incydentalny. Kilka razy sięgnął po LSD, bo usłyszał, jakie doznania mieli po nim Beatlesi, ale zdarzyło się to dosłownie kilka razy. Skończył z tym mniej więcej w tym samym czasie co Beatlesi, czyli na długo przed śmiercią. Miewał okresy aktywności hazardowej – lubił to i był w tym niezły. Joanne często znajdowała rano plik pieniędzy, które wygrał poprzedniego wieczoru (zwykle około trzystu funtów), i wiadomość. „Pisał, żebym wpłaciła jego szczęście do banku". W tych hazardowych wypadach towarzyszył mu zwykle Peter Brown, który twierdzi, że Brian był świetnym graczem, bo wiedział, kiedy przestać. „To dlatego, że nigdy nie dawał się ponieść grze. Dla niego cały urok hazardu polegał na tym, by wyjść gdzieś późnym wieczorem i znaleźć się wśród ludzi".

Poza Beatlesami i Cillą Black żaden z jego artystów nie stał się gwiazdą i o wielu z nich wkrótce zapomniano. Sporo ludzi miało mu oczywiście za złe tę nadmierną troskę, jaką okazywał Beatlesom, a gdy potem wycofał się z NEMS – wytykano mu zupełny brak działań wspierających ich promocję. Sam Brian miał z tego powodu ogromne wyrzuty sumienia. „W tak wielu z nich naprawdę wierzył – wspomina Joanne. – Naprawdę tak było. Składał im wielkie obietnice i robił to zupełnie szczerze. Odchodzili z nową dawką nadziei, a po paru miesiącach wracali, oskarżając go o zaniedbanie".

Jedyna poważna kłótnia, jaką kiedykolwiek miał ze swoim podopiecznym, odbyła się nie z kimś odnoszącym mizerne sukcesy, ale z jego najpopularniejszą artystką, Cillą Black. Cilla od dłuższego czasu miała wrażenie, że Brian nie poświęca jej tyle uwagi co kiedyś, a przecież ona w pełni na nią zasługiwała. Z początkiem lata 1967 roku powiedziała sobie dość – Brian znów gdzieś wyjechał, zostawiając ją, więc postanowiła odejść. Ponieważ Briana nie było na miejscu, o decyzji Cilli jako pierwszy dowiedział się Peter Brown. Peter wiedział, jak na taką wiadomość może zareagować Brian, i bał się powiedzieć mu o tym. Skontaktował się więc z jego lekarzem, który poradził mu przekazywać tę informację stopniowo i ostrożnie. Gdy Brian dowiedział się o wszystkim, popełnił błąd i wysłał inne osoby, by spróbowały udobruchać Cillę, lecz w końcu spotkał się z nią osobiście u siebie w domu. Po kilku godzinach rozmów i ustaleń widmo odejścia zostało oddalone. Cilla i Brian stali się sobie bliżsi niż kiedykolwiek przedtem i taki stan rzeczy utrzymywał się aż do jego śmierci. Cilla zdała sobie sprawę, że nie potrafiłaby opuścić Briana.

Między Brianem a Beatlesami nigdy nie było kłótni – kochał ich miłością niezmienną i w pełni odwzajemnioną, jednak z końcem tras koncertowych zniknął najpoważniejszy powód ich współpracy. Wciąż często się widywali i wszelkie decyzje dotyczące zespołu podejmowali z udziałem Briana, ale pod koniec 1966 roku, gdy trasy przeszły do historii, Beatlesi zaczęli zajmować się własnym życiem – tym, co będą dalej robić, jak żyć i znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. To właśnie wtedy pojawiły się narkotyki, a potem religia. Przez kilka miesięcy żyli niczym pustelnicy, mając kontakt wyłącznie ze sobą nawzajem.

Brian zawsze chodził własnymi ścieżkami, które pod wieloma względami różniły się od stylu życia jego podopiecznych. Gdyby nie był ich menedżerem, to najprawdopodobniej nigdy by się nie zaprzyjaźnili – Brian różnił się od nich wiekiem, klasą społeczną, pochodzeniem, podejściem do wielu spraw, a przede wszystkim upodobaniami. Jednak

przez pięć lat jego życie wypełnione było w całości pracą na rzecz zespołu. Gdy ten etap się skończył, Beatlesi mieli siebie i swoje żony. Brian był sam. Sam z obsesją na własnym punkcie, obawami odnośnie swoich problemów, na rozmyślanie o których przez ostatnie pięć lat nie miał zbyt wiele czasu. Beatlesi nie zdawali sobie sprawy, jak wyglądał ostatni rok jego życia, jak bardzo uzależnił się od leków, gdy wszystkie jego prawdziwe i urojone lęki przejęły nad nim kontrolę i wpędziły w obsesję. Gdy długo po jego śmierci dowiedzieli się, że Brian nie bywał w biurze po kilka miesięcy i rzadko kiedy funkcjonował za dnia, byli szczerze zdumieni. Nie wiedzieli też nic o jego życiu osobistym. Dotarły do nich wieści, że na początku 1967 roku przeszedł lekką depresję, ale sądzili, że się z nią uporał. W czasach gdy pracował z zespołem, był zawsze szczęśliwy. Tak to wyglądało – obcowanie z nimi było jego największą radością. Uwielbiał wszystko, co dla nich robił.

„W 1966 roku zaprosił mnie i Pattie na tygodniowe wakacje w południowej Francji[137] – opowiada George. – Na miejscu okazało się, że zadbał o wszystko w najdrobniejszych szczegółach: przemyślał każdy posiłek, każdą wycieczkę, każde miejsce, jakie mieliśmy zobaczyć. I tak przez cały tydzień. Pewnego dnia pojawił się prywatny samolot, którym zabrał nas na walki byków. Taki już był. Tak bardzo pragnął uszczęśliwiać ludzi, że dopracowywał wszystko do perfekcji”. Gdy organizował uroczystą kolację, zadawał sobie wiele trudu, by dowiedzieć się, jakie papierosy lubi dany gość, i układał je przy odpowiednim nakryciu na stole.

Pattie wspomina, że dowiedziała się kiedyś od Joanne, jakie ilości leków przyjmuje Brian. „Zapytałam, dlaczego ona lub Peter nie powstrzymają go, ale odparła, że nie byli w stanie. Powiedziałam George’owi, by z nim porozmawiał, ale odparł, że nic to nie da”.

Na samym początku, jeszcze w The Cavern, Brian był najbardziej zafascynowany Johnem. Tylko z nim wyjechał na wspólne wakacje – udali

się do Hiszpanii, zostawiając Cyn w Liverpoolu. Relacja z Paulem była najbardziej skomplikowana i subtelna, przynajmniej z punktu widzenia Briana. Sam przyznał kiedyś, że miał wrażenie, iż musiał rekompensować Paulowi swoją bliską więź z Johnem. „Wydaje mi się, że Paul sądzi, że jestem bliżej z Johnem niż z nim. To nieprawda. Kiedyś tak było, ale teraz kocham ich wszystkich jednakowo". Paul zawsze dostawał od Briana wyjątkowo hojne podarunki. Sam Brian nie otrzymywał od swoich podopiecznych żadnych prezentów.

„Paul jako jedyny stawał się powodem zmartwień Briana – mówi Joanne. – Czasem dzwonił ponarzekać na coś lub o coś zapytać. Pozostali mogli zachowywać się tak samo, ale on zawsze szczególnie przejmował się Paulem. Bywało, że po rozmowie telefonicznej był strapiony – pozostałymi nigdy tak bardzo się nie martwił".

Powodem takiego stanu rzeczy było prawdopodobnie wykazywane przez Paula zainteresowanie finansami. Zaczęło się to w 1967 roku. Wcześniej to George był tym, który wypytywał Briana o kontrakty, ile na nich zarobią i czy nie mogliby więcej. Jednak w momencie, gdy George zaczął interesować się religią, natychmiast przestał dbać o kwestie materialne. Brian angażował się we wszystko, choć od czasu do czasu miewał odmienne zdanie od członków zespołu. Tak było w przypadku okładki do *Sgt. Pepper*, której przygotowanie wiązało się z licznymi przeszkodami natury prawnej, ekonomicznej i artystycznej. Nat Weiss opowiada, że gdy wiosną 1967 roku Brian przybył z wizytą do Nowego Jorku, dopadło go nagłe przeczucie, że umrze. Na lotnisku Kennedy'ego był już przekonany, że jego samolot roztrzaska się nad Atlantykiem, więc tuż przed startem napisał na kawałku papieru wiadomość, którą Nat Weiss miał przekazać Beatlesom jako jego ostatnią wolę. Wiadomość, którą nadal posiada Nat Weiss, brzmiała: „*Sgt. Pepper* / do zapakowania w kopercie / tej ze zwykłego / szarego papieru". Jako że samolot się nie roztrzaskał, Beatlesi nie dowiedzieli się nigdy, jak bardzo Brian obawiał się problemów,

które miała na nich ściągnąć okładka tej płyty. Podobnie jak nie dowiedzieli się o wielu innych sprawach z ostatniego roku jego życia.

8 września 1967 roku prokurator wydał oświadczenie, że śmierć Briana Epsteina była przypadkowa. Zmarł na skutek skumulowania się w organizmie dużej ilości bromku zawartego w przyjmowanym przez niego leku, Carbitralu. Brian miał w organizmie jedynie „niski poziom” bromku, ale ponieważ sam wielokrotnie i nierozważnie aplikował sobie jego „nadmierne dawki”, skumulowały się one w ilość wystarczającą, by go zabić.

Po zbadaniu ciała uznano, że nie przyjął on jednej, dużej dawki leku, ale kilka serii sporych dawek. Prokurator wiedział, że Brian przyjmował leki w postaci tabletek nasennych z powodu chronicznej bezsenności. W jego ciele wykryto ślady antydepresantów, barbituranu oraz bromku. Policja znalazła w jego domu siedemnaście fiolek z różnorakimi tabletkami, siedem z nich blisko łóżka, osiem w łazience i dwie w walizce. Lekarze specjaliści orzekli, że ilość bromku, którą przyjął, mogła spowodować senność, rozkojarzenie i utratę trzeźwości myślenia, natomiast sama śmierć nastąpiła na skutek przypadkowego przedawkowania. Nie ma najmniejszego powodu, by podważać tę tezę, bo wszystkie dowody medyczne wskazywały ponad wszelką wątpliwość, że Brian faszerował się lekami przez ostatnie trzy dni swojego życia. W przypadku samobójstwa zażywa się jedną porządną dawkę.

Teoria o samobójstwie wydaje się wysoce nieprawdopodobna, nie popełniłby go akurat wtedy – nie w momencie, gdy jego matka była pogrążona w żałobie. W całej tej sprawie można doszukać się jednego czy dwóch niewyjaśnionych wątków, ale nie wiadomo nic o jakichkolwiek kłótniach czy innych przyczynach ewentualnego załamania nerwowego. Była to po prostu nasilająca się depresja, bo jego długo wyczekiwany weekend miał okazać się pasmem nudy.

Nabożeństwo żałobne odbyło się 17 października 1967 roku w New London Synagogue przy Abbey Road, w dzielnicy St John’s Wood. Kilka metrów dalej mieściło się studio EMI, w którym nagrano prawie wszystkie piosenki Beatlesów, a tuż za rogiem, na Cavendish Avenue, znajdował się dom Paula.

Z synagogi blisko było także do stacji metra St John’s Wood, na której stoją najbliższe domu Paula budki telefonicznie. Brian korzystał z nich dwukrotnie:: po raz pierwszy, gdy w 1962 roku wybiegł ze studia EMI, by przekazać będącym w Hamburgu Beatlesom dobre wieści o ich pierwszym nagraniu, a po raz drugi – pięć lat później, tuż przed śmiercią. Brian pojechał wówczas do domu Paula, ale nie mógł się dostać do środka. Paul był tego dnia wyjątkowo nękany przez fanów i przestał w końcu reagować na dzwonek do drzwi. Brian musiał zatem poszukać budki telefonicznej, zadzwonić do Paula i zaanonsować się, zanim wpuszczono go do środka. Dla Briana ta historia zawsze miała znaczenie symboliczne.

George porównuje moment, gdy dowiedział się o śmierci Briana, do starego filmu. „Nagle odwracają ostatnią stronę pewnego rozdziału, pokazując, że to koniec jednej części, a za chwilę rozpocznie się kolejna. Tak właśnie było ze śmiercią Briana – była końcem rozdziału”.

Rozdział 27
Beatlesi – od narkotyków do Maharishiego

Gdy etap tras koncertowych był już za nimi, Beatlesi nie mieli pojęcia, co przyniosą kolejne miesiące. Przez dziesięć poprzednich lat, od 1957 do 1966 roku, nie tylko żyli razem, ale żyli właściwie jednym życiem. Nadal byli najbliższymi przyjaciółmi i wciąż zamierzali razem tworzyć muzykę, ale każdy z nich czuł, że oto nadszedł czas poszukiwań własnej, odrębnej tożsamości.

Jako pierwszy oddalił się George, który we wrześniu 1966 roku, czyli miesiąc po zakończeniu tras koncertowych, wyjechał z żoną do Indii. Była to jego pierwsza wielka fascynacja, której nie dzielił z pozostałymi.

John przyjął rolę w filmie *How I Won The War*. Zawsze lubił Dicka Lestera, choć jego dwa filmy o Beatlesach nie przypadły mu szczególnie do gustu. Mówił, że czuł się niczym statysta, ale nadal utrzymywał, że może właśnie w aktorstwie znajdzie dla siebie coś nowego. Podobał mu się również sam pomysł nakręcenia filmu antywojennego, bo temat ten zawsze był mu szczególnie bliski.

Ringo, jako największy domownik i najbardziej rodzinny członek grupy, zajął się powiększaniem rodziny i domu. Natomiast Paul jako jedyny nie mógł się odnaleźć. Zazdrościł George’owi i także bardzo chciał znaleźć sobie coś tak wciągającego i inspirującego jak muzyka hinduska. Zaczął trochę malować i odnawiać meble, ale bez większego zaangażowania. Starał się zbliżyć do Boga, ale to też nie wyszło. Postanowił więc stworzyć muzykę do filmu *The Family Way* i w ten sposób sprawdzić, czy pisanie

muzyki filmowej przyniesie mu satysfakcję. Nie przyniosło. W końcu wyruszył w długą podróż po Afryce.

Podczas gdy George rozwijał swoją pasję, John szybko zorientował się, że granie w filmach nie jest dla niego – nie lubił nawet większości aktorów. Tak więc on i Paul wciąż poszukiwali. Nie zamierzali wycofywać się z życia jako dwudziestopięcioletni milionerzy**,** ale ponieważ dążenie do uzyskania typowo uniwersyteckiej wiedzy nigdy specjalnie ich nie pociągało, nie bardzo wiedzieli, od czego zacząć. Naturalnie wcale nie chcieli, żeby ktokolwiek czegokolwiek ich uczył. Z materialnego i emocjonalnego punktu widzenia mieli na karku jakieś sto lat. I wtedy pojawiły się narkotyki, za pośrednictwem których dowiedzieli się o sobie bardzo wiele.

Beatlesi brali różnego rodzaju pobudzacze i stymulanty już w czasach hamburskich, a marihuanę palili okazjonalnie, tak jak inni od czasu do czasu pijali drinki. Alkoholu w zasadzie nie pili, poza sporadyczną lampką wina do posiłku. Swojego pierwszego kontaktu z LSD George i John nie byli świadomi, gdyż w 1965 roku podał im go zaprzyjaźniony dentysta. „Wrażenie było takie, jakbym nigdy wcześniej nie mówił, nie widział, nie myślał, nie słyszał i nie odczuwał smaków we właściwy sposób – opowiada George. – Po raz pierwszy w życiu nie byłem świadom własnego ja”.

Narkotyki nie kolidowały z muzyką. Zorientowawszy się, że aktorstwo czy renowacja mebli nie przyniosą należytej satysfakcji, Beatlesi znów byli razem i rozpoczęli pracę nad swoim najambitniejszym z dotychczasowych albumów, na którym nietrudno doszukać się odniesień do ich fascynacji narkotykami. Album ten zatytułowano *Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band*.

Był to również czas, gdy dojrzał pomysł nakręcenia kolejnego filmu[138]. Pracę nad trzecim obrazem odkładali przez ponad rok, podobnie jak wiele innych spraw, które były im zupełnie obojętne: na przykład

koncertowanie. Powstało wiele scenariuszy i wszystkie trafiały do kosza – jeden z nich napisał zmarły Joe Orton (wielki fan Beatlesów, na którego pogrzebie zabrzmiał utwór *A Day In The Life*). Beatlesi zdecydowali w końcu spróbować napisać scenariusz i nakręcić film we własnym zakresie – dla sprawdzenia samych siebie.

Inicjatorem tego przedsięwzięcia był Paul, który leciał w kwietniu do domu po spotkaniu z Jane z okazji jej dwudziestych pierwszych urodzin. Jane przebywała wówczas w Stanach na występach z Old Vic[139]. Paul wymyślił, że wszyscy członkowie zespołu zapakują się do autokaru i może coś z tego wyjdzie. Miało być magicznie, bo będą mogli robić, co im się podoba, i tajemniczo, bo nikt nie będzie wiedział, co robią ani dokąd jadą. Pozostali przystali na jego propozycję, ale przez sześć kolejnych miesięcy temat stał w miejscu.

W owym czasie George'a całkowicie pochłonęła muzyka hinduska, której ślady obecne są na albumie *Sgt. Pepper*. Jednocześnie wciąż poszerzał swoją wiedzę o religiach Wschodu. W rozwijaniu nowej pasji towarzyszyła mu żona, Pattie, która jako pierwsza miała kontakt z Maharishim. Pattie opowiada, że ich przygoda z religią zaczęła się zupełnie przypadkowo podczas wrześniowej wyprawy do Indii w 1966 roku. Wybrali się tam, by zgłębiać wiedzę o hunduskiej muzyce u Raviego Shankara[140], którego również poznali przez przypadek. W filmie *Help!* jest jedna scena, gdzie widoczne są dziwacznie wyglądające instrumenty muzyczne – znudzony pracą nad filmem George zabawiał się grą na jednym z nich. Jak się później okazało, był to sitar.

Poza nauką gry na sitarze, George poznał w Indiach duchowego guru Raviego, Tata Babę, który objaśniał mu działanie prawa karmy (przyczyny i skutku). „Spotkanie go, lektura *Autobiografii Jogina* oraz siedem tygodni spędzonych w towarzystwie Raviego były cenniejszym duchowym wydarzeniem niż cokolwiek, co poznaliśmy dotychczas, nawet narkotyki".

Po powrocie George i Pattie zaczytywali się w literaturze poświęconej religii i mistycyzmowi, którą zainteresowali się po pierwszych doświadczeniach George'a z LSD. Zaczął wówczas od Aldousa Huxleya, po czym stopniowo kierował swe zainteresowania ku religiom Wschodu.

W lutym 1967 roku Pattie wstąpiła do ruchu Spiritual Regeneration Movement[141]. George pojawił się tylko na jednym spotkaniu, ale nie został członkiem zgromadzenia, gdyż nie był przekonany, czy akurat tego potrzebuje. „Próbowałam nauczyć się medytacji z książek – opowiada Pattie. – Ale to wszystko było takie na pół gwizdka. Któregoś dnia koleżanka powiedziała mi o medytacji transcendentalnej i tak trafiłam na wykład do Caxton Hall. Nie było tam Maharishiego, tylko ktoś opowiadający o jego działalności, ale to właśnie wtedy przyłączyłam się do ruchu. Sam wykład nie był specjalnie porywający, lecz medytacja transcendentalna wydawała się mało skomplikowana. Od tamtej pory otrzymywałam wszelkie publikacje ruchu transcendentalistów, więc wiedziałam również o mającej się odbyć latem konferencji w Bangor".

Tymczasem George nie tylko chętnie opowiadał kolegom, o czym traktują czytane przez niego książki, ale także stale poszukiwał jakiegoś mędrca, który będzie potrafił właściwie nim pokierować. Kiedy przeczytał książkę o kontaktach z kosmosem, udał się na wyludnione tereny Kornwalii, by doświadczyć mistycznych przeżyć, ale kiedy kilkugodzinna wspinaczka na wzgórze nie przyniosła żadnego efektu, odpuścił. Słyszał o wielu ludziach pochodzących z Indii czy z Zachodu, o ich teoriach, ale jakoś nikt nie przekonywał go dostatecznie mocno. Wtedy pojawił się Maharishi. Należy zaznaczyć, że zanim stanął na drodze Beatlesów, zdążyli oni posiąść sporą wiedzę. Guru nie musiał ich więc nawracać, szukać, naprowadzać czy nawet głosić teorii, których by nie znali – traf chciał, że pojawił się w ich życiu akurat w momencie, gdy go szukali.

Wszystkie te duchowe poszukiwania nie przeszkodziły Beatlesom w tworzeniu. W lipcu 1967 roku, w emitowanym na żywo programie *Our World* pojawiła się piosenka *All You Need Is Love*. Usłyszało ją wtedy ponad sto pięćdziesiąt milionów ludzi. Duchowa przemiana zespołu miała jeden bardzo wymierny efekt – w sierpniu 1967 roku rzucili narkotyki. Przemyślenia, lektury i uduchowione rozmowy sprawiły, że Beatlesi doszli do wniosku, iż sztuczne środki pobudzające nie są im do niczego potrzebne. Co prawda nie żałowali, że ich próbowali, twierdząc, że wtedy okazały się pomocne, lecz uznali, że więcej ich nie potrzebują. Rzucenie narkotyków nie miało jednak żadnego związku z Maharishim, bo decyzję tę podjęli wcześniej. Guru jedynie potwierdził słuszność tego kroku, podając kilka dodatkowych, oczywistych powodów.

Co ciekawe, kiedy Paul i Brian mieli kontakt z LSD, skutecznie ignorowali rozliczne ostrzeżenia, a do rozsądku przemówiły im dopiero własne poszukiwania religijne. W połowie sierpnia 1967 roku w gazetach pojawiła się informacja, że Maharishi przybywa z wykładem do Londynu. „Wyglądało to na jakąś nagłą decyzję – mówi Pattie. – Nigdzie w naszych materiałach nie było wzmianki o Londynie czy nawet przyjeździe na konferencję w Bangor. Gdy tylko się o tym dowiedziałam, powiedziałam George’owi, że musimy tam być”.

Tymczasem George słyszał już wcześniej o przybyciu Maharishiego do Londynu i, powiadomiwszy chłopaków, postanowił, że wszyscy muszą posłuchać, jak przemawia w hotelu Hilton. Po wykładzie, który odbył się w czwartkowy wieczór 24 sierpnia 1967 roku, Maharishi zaprosił Beatlesów na sobotnią konferencję w Bangor. Muzycy zaproszenie przyjęli.

O fascynacji Maharishim i jego ruchem medytacji transcendentalnej zespół opowiedział Brianowi Epsteinowi, który także wykazał zainteresowanie tematem. Powiedział, że może uda mu się dotrzeć na konferencję, która trwać miała aż dziesięć dni. Jednak Epstein był wtedy zbyt pochłonięty nadchodzącym długim weekendem, który miał spędzić w

towarzystwie nowych znajomych w swojej wiejskiej posiadłości. Wieść o planowanym wyjeździe Beatlesów do Bangor nie na długo pozostała tajemnicą i w rezultacie podróż, która w założeniu miała być prywatnym, duchowym przeżyciem, przeistoczyła się w jedną wielką paradę. Do złudzenia przypominało to zarzucone rok wcześniej trasy koncertowe.

Stacja Euston wypełniona była po brzegi tysiącami gapiów i dziennikarzy, którzy koniecznie musieli zobaczyć, jak Beatlesi wsiadają o trzeciej pięćdziesiąt do pociągu osobowego do Bangor w południowej Walii, czy też „specjalnego pociągu do mistyki", jak następnego dnia nazwał go „Daily Mirror". Zamieszanie było tak wielkie, że do pociągu nie dopchała się Cynthia Lennon, którą celowo powstrzymywał jeden z policjantów, sądząc, że jest jedną z rozgorączkowanych fanek. W wagonie pierwszej klasy tłoczyli się John, Paul, George, Pattie, Ringo oraz Mick Jagger, Marianne Faithfull i Jennie Boyd, siostra Pattie. Ringo dotarł jako ostatni, bo właśnie urodziło mu się drugie dziecko, a jego żona wciąż przebywała w szpitalu. Do ostatniej chwili nie wiadomo było, czy w ogóle pojedzie. „Zadzwoniłem do Maureen do szpitala. Powiedziała, że nie mogę tego przegapić i muszę tam być".

Decyzja o wyjeździe zapadła bardzo szybko. Wiedział o niej Brian Epstein, choć nie miał na nią żadnego wpływu. W pociągu nie było nawet Mala i Neila, którzy towarzyszyli Beatlesom zawsze i wszędzie. Dla chłopaków był to pierwszy od pięciu lat wyjazd bez Briana lub kogoś, kto by się nimi opiekował. „To jakby wyjść z domu bez spodni", mówił John.

Przez kilka godzin siedzieli nieruchomo w przedziale, nie wychodząc nawet do toalety w obawie przed napaścią. Nie mieli też pojęcia, gdzie są ich bagaże. Nie mieli przy sobie żadnych pieniędzy i zastanawiali się, co też ma im do powiedzenia Maharishi. John stwierdził, że pewnie okaże się zaledwie kolejną wersją tego, co już dobrze znają, tylko pod inną nazwą. „No wiecie, tak jak jedni są z EMI, a inni z Dekki".

George nie podzielał tego zdania i był naprawdę przekonany, że czeka ich coś wielkiego. Mick Jagger siedział skupiony i milczący. John wyraził nadzieję, iż Maharishi powie mu, by zaszył się w jakiejś indyjskiej jaskini i pozostał tam do końca życia, co pozwoliłoby mu odciąć się od kariery muzycznej i jej konsekwencji. „Założę się, że tego nie zrobi. Pewnie powie, żebym zabrał się do pisania *Lucy In The Sky With Diamonds*".

Tymczasem w innym wagonie Maharishi siedział ze skrzyżowanymi nogami na rozłożonym przez wiernych białym płótnie, a ilekroć wybuchał śmiechem, całe jego ciało podskakiwało. Przyznał, że nigdy w życiu nie słyszał żadnej piosenki Beatlesów. Powiedziano mu naturalnie, że są oni niezwykle sławni, podobnie zresztą jak Mick Jagger. Ten ostatni wprawił Maharishiego w konsternację, gdyż nie mógł zrozumieć, co to znaczy, że Jagger był jednym z *rolling stones*[142].

W końcu Beatlesi znaleźli się w przedziale Maharishiego, który zaśmiewał się do rozpuku przez cały czas. Wywody swe ilustrował, trzymając w dłoni kwiat i tłumacząc, że jego prawdziwą wartością są płynące w nim soki. Płatki to wyłącznie iluzja, podobnie jak życie doczesne. Powiedział, że medytacja transcendentalna, której nauczy ich w Bangor, to po prostu sposób, jak szybko i łatwo wejść w stan duchowego skupienia. Gdy ktoś nauczy się jego technik medytacyjnych, powinien wykorzystywać je zaledwie przez pół godziny każdego ranka i to wystarczy na cały dzień. Dodał, że działa to trochę jak bank – nie musisz nosić przy sobie gotówki, skoro masz bank, do którego możesz wstąpić i wypłacić, ile ci potrzeba. „A jeśli jesteś zachłanny i dodasz jeszcze pół godziny medytacji po lunchu i wciśniesz jeszcze jedną sesję po podwieczorku?", zapytał John. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a rozbawiony Maharishi omal nie uderzył głową w sufit.

Beatlesi udali się na herbatę, a do Maharishiego przybył czekający na swoją kolej Mick Jagger wraz z dziewczynami. Obsługa pociągu wydzieliła

dla nich część wagonu restauracyjnego, ale i tak kilku osobom udało się przecisnąć i poprosić o autografy. „Po co jedziecie do Bangor? – pytało dwóch nastolatków, nie dowierzając, że ktokolwiek mógłby chcieć tam jechać, a już na pewno nie Beatlesi. – Gracie tam?” „Tak – odparł Ringo. – O ósmej trzydzieści na molo. Do zobaczenia”.

Na dworcu w miejscowości Flint Ringo oznajmił, że Flint jest jego rekordem w wycieczkach rowerowych z Dingle.

Prawdziwe pandemonium czekało na nich w Bangor. Beatlesi rozważali nawet podróż do kolejnej stacji i powrót taksówką, ale Maharishi powiedział, że jeśli będą trzymać się blisko niego, wszystko będzie w porządku. Wśród wrzeszczącej dzieciarni na stacji kręciła się dość zagubiona i skonsternowana grupka zwolenników Maharishiego, pragnących powitać go na konferencji. Każdy z nich dzierżył w dłoniach kwiat z zamiarem podania go mistrzowi, ale rozwrzeszczany tłum szybko odepchnął ich na bok. Bangor jest małym, nadmorskim miasteczkiem w północnej Walii. Mieści się tam pokaźna uczelnia, na terenie której odbywała się konferencja. Przebywało tam już ponad trzystu uczestników, niemających pojęcia o przyjeździe Beatlesów.

Sam Maharishi zdawał się całkiem dobrze bawić wśród całego tego zamieszania – był bardzo uprzejmy dla przedstawicieli mediów, bez sprzeciwu umówił się na konferencję, mającą się odbyć po spotkaniu z czekającymi na niego zwolennikami. Cała filozofia Maharishiego sprowadza się do tego, że życie składa się z duchowych i materialnych wartości. Nie jest propagatorem pustelniczego trybu życia i głosi, że pełne korzystanie z życia i jego materialnych przyjemności, jednak bez świadomości duchowej, jest niemożliwe. Jest to w pewnym sensie połączenie mistycyzmu wschodniego i zachodniego materializmu. Nie trzeba wyrzekać się pieniędzy czy uciech cielesnych, ale należy przyswoić sobie metody duchowego spełnienia. Dzięki temu możliwe jest przekraczanie samego siebie bez rezygnacji ze zwykłego życia.

Na spotkaniu Maharishi zagadnął swoich trzystu zwolenników o postępy w medytacji – jeden mężczyzna spytał, czy to możliwe, że podczas medytacji wciąż słyszy odgłosy samochodów.

Konferencja prasowa była dziwna i niezadowalająca – dziennikarze, wśród których przeważali lokalni przedstawiciele większych tytułów, nie mieli pojęcia, co tak naprawdę się dzieje. Byli przekonani, że obecność Beatlesów to jakiś chwyt reklamowy, i nie mogli uwierzyć, że zespół brał na serio słowa Maharishiego, kimkolwiek on był. Zadawali dość agresywne pytania, spodziewając się, że Beatlesi zaraz przyznają, że wszystko to jest jednym wielkim żartem. Paul, John, George i Ringo otrzymali jednak spore owacje, gdy wyjaśnili nic nierozumiejącym dziennikarzom, że całą tę sprawę traktują zupełnie poważnie.

Na jednej z uczelnianych budek telefonicznych John znalazł potem sporządzoną przez jakiegoś dziennikarza notatkę zatytułowaną „Paul, George, Ringo, John Lennon i Jagger”. Pod spodem znajdował się dokładny opis, w co byli ubrani. „Wskoczyłeś na moje miejsce – powiedział John do Micka Jaggera, zwracając uwagę na sposób, w jaki zapisano ich nazwiska na kartce. – Gdy byłem tym złym**,** zawsze nazywali mnie po prostu Lennonem. Teraz jestem Johnem Lennonem. Nie dotarłem jeszcze do etapu bycia Johnem. Ty wciąż jesteś Jaggerem”.

W niedzielę do południa wszyscy zostali już indoktrynowani i odpoczywali właśnie po wysiłku intelektualnym, gdy nadeszła wiadomość o śmierci Briana Epsteina. Maharishi przyjął ich ponownie – pocieszał ich, wspomagał, rozweselał i wyjaśniał, jak znikome jest znaczenie śmierci. Następnie Beatlesi wrócili samochodem do Londynu, nie doczekawszy końca konferencji. Pierwotnie zespół miał udać się do Indii, by we wrześniu 1967 roku spotkać się z Maharishim, ale z wielu powodów wyjazd ten przełożono na luty roku następnego – jednym z nich było pojawienie się *Magical Mystery Tour*.

Beatlesi i NEMS byli nieco zaniepokojeni nagłym zainteresowaniem, okazywanym im przez najróżniejsze organizacje, domagające się konferencji prasowej. Mówiło się nawet o sprzedaży mediom praw do nadawania relacji z ich podróży do Indii i zorganizowania oficjalnego biura prasowego. Wszystko to działo się na długo zanim podjęli decyzję o wyjeździe. Pracującym dla Maharishiego specjalistom od wizerunku pomysł ten wyjątkowo przypadł do gustu. Do NEMS przybył wysłannik rządu indyjskiego i oznajmił, że przygotował dla zespołu wizyty w sześciu indyjskich stanach oraz że umówi ich na spotkanie z premier Indii, panią Gandhi. Choć nikt nigdy w to nie uwierzy, ostatnią rzeczą, której życzyliby sobie Beatlesi, był medialny szum wokół ich religijności. Zawsze znajdował się ktoś, zazwyczaj jakiś rząd, kto starał się przekuć obecność Beatlesów we własne korzyści. Podobnie było w Grecji. W 1967 roku członkowie zespołu rozważali zakup jednej z greckich wysp – zobaczyli ją podczas jakichś wakacji i nawet zorganizowali już fundusze, co było wówczas nie lada wyczynem ze względu na restrykcje walutowe. Ministerstwo Finansów udzieliło im jednak specjalnej dyspensy, dzięki której mogli wywieźć pieniądze poza granice kraju.

Uznano, że ponieważ Beatlesi przyczynili się do tak znacznego wzbogacenia kraju, powinni mieć możliwość nabycia ustronnego schronienia. Cena została ustalona, a zespół nie robił sobie nic z wojskowego reżimu, który dopiero co przejął kontrolę nad Grecją. Podczas jednej z wypraw zespół został poproszony przez urzędnika o odwiedzenie spokojnej, greckiej wioski. Gdy dotarli na miejsce, ujrzeli hordy dziennikarzy – okazało się, że wszystko to zostało ukartowane przez turystów, chcących wykorzystać Beatlesów w celach propagandowych. Postanowili wówczas dać sobie spokój z grecką wyspą.

Teoria, jakoby różnorakie rządy umizgiwały się do czterech rockandrollowych muzyków, może wydawać się dość naciągana. Wiele osób postrzega przyznanie im Orderu Imperium Brytyjskiego jako przejaw

kokieterii, ale tak działo się za każdym razem – od przyjęć w ambasadach począwszy, na wizytach w różnych miejscach skończywszy. Rządzący zazwyczaj postrzegają Beatlesów jako łącznik z młodymi wyborcami.

Te wszystkie polityczne przepychanki wokół Maharishiego nie zniechęciły członków zespołu, szczególnie że większość tych działań nie miała bezpośredniego związku z samym guru. Co prawda wrodzony talent do przemawiania sprawił, że Maharishi dał się namówić na wiele medialnych i wizerunkowych akcji, zaś Beatlesi starali się pomagać mu w miarę możliwości. George i John pojawili się nawet w telewizyjnym programie Davida Frosta poświęconym medytacji transcendentalnej.

W 1968 roku George i John spędzili w Indiach dwa wiosenne miesiące, pobierając nauki u Maharishiego. Paul przebywał tam przez miesiąc, a Ringo wytrzymał dziesięć dni – tęsknił za domem, mimo że, podobnie jak pozostali, zabrał ze sobą solidny zapas fasolki w sosie pomidorowym. Wszyscy zgodnie twierdzili jednak, że pobyt ten był dla nich korzystny pod względem duchowym.

Pomimo całego zamieszania rok 1967, stojący pod znakiem LSD i Maharishiego, okazał się dla Beatlesów najbardziej produktywny ze wszystkich. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy nagrali więcej nowych piosenek (w sumie szesnaście) niż w pierwszym półroczu 1963 roku. Liczba ta równała się liczbie nowych utworów powstałych w całym roku 1966, co dodatkowo podkreśla, jak wiele zyskali dzięki rezygnacji z tras koncertowych.

W listopadzie 1967 roku wydali jeszcze kolejny singiel *Hello, Goodbye*, a potem, w grudniu, *Magical Mystery Tour*. Był to godzinny, kolorowy film telewizyjny, nad produkcją którego spędzili więcej czasu niż nad tworzeniem muzyki do niego. Począwszy od kwietnia, kiedy pojawił się pomysł nakręcenia filmu i powstał tytułowy utwór, Beatlesi nie kontynuowali pracy nad produkcją aż do września. Wyruszyli wówczas autokarem do Devon. Cała grupa liczyła czterdzieści trzy osoby, przy czym

nikt – z Beatlesami włącznie – nie wiedział, co się właściwie wydarzy. To była podróż bez scenariusza.

Kręcenie filmu zajęło im łącznie dwa tygodnie – beztrosko planowali, że po pobycie w Devon wystarczy im zaledwie tydzień w studio filmowym w Shepperton, sądząc, że można się tam tak po prostu pojawić. W rzeczywistości zmuszeni byli udać się na lotnisko w Kent. Najwięcej czasu, bo aż jedenaście tygodni – o jedenaście razy dłużej niż się spodziewali – zajął montaż. Podobnie jak przy kręceniu filmu, tak i tutaj głównym motorem napędowym działań był Paul. Wraz z reżyserem doglądał każdej minuty montażu. Pozostali członkowie zespołu też zwykle byli na miejscu: śpiewali sobie z podpitym artystą ulicznym, który wpakował im się do montażowni. Przy produkcji nie zważali zupełnie na zasady i konwencje obowiązujące w branży – brnęli naprzód, nie przejmując się brakiem wiedzy i doświadczenia. Film stanowił dla nich medium zupełnie nowe, ale przede wszystkim po raz pierwszy robili coś samodzielnie – bez wsparcia Briana Epsteina czy George'a Martina.

Film ukazał się w brytyjskiej stacji BBC w okresie świąt Bożego Narodzenia w 1967 roku. Można było zobaczyć go w większości krajów Europy, w Ameryce Południowej, Australii i Japonii. Brak fabuły i reżyserskiego doświadczenia był aż nazbyt widoczny. Rodzimi krytycy telewizyjni nie szczędzili słów bezlitosnej krytyki. „Daily Express" pisał o „ewidentnej tandecie" i „pozbawionej smaku bzdurze". Rozgłos, jaki towarzyszył tej produkcji przed jej faktycznym pojawieniem się, sprawił, że większość ludzi dawno zapomniała, iż był to jedynie pewien eksperyment, i oczekiwała zbyt wiele. Po raz pierwszy od pięciu lat Beatlesi spotkali się z krytyką, a większość recenzentów wykorzystała tę sytuację do cna.

Na długo przed emisją filmu zespół niemal zdążył o nim zapomnieć, pomny nauk z przeszłości, choć Paul prawdopodobnie wciąż żywił nadzieję, że obraz spotka się z dobrym przyjęciem. Poczuli się

wystarczająco pewnie, by spróbować swoich sił w pełnometrażowym filmie fabularnym.

Pomijając film, to był dobry rok. Album *Sgt. Pepper* uważany był za ich największe z dotychczasowych osiągnięć. Pracujący dla „The Times” wpływowy krytyk muzyczny William Mann nazwał go dziełem bardziej twórczym niż cokolwiek innego, co do tej pory stworzono w muzyce rozrywkowej.

Ten rok zaczął się od indywidualnych poszukiwań, a skończył na ponownym zjednoczeniu zespołu, choć tym razem bez menedżera. Za to pojawił się Maharishi. Jako odrębne jednostki zaczęli wreszcie porządkować swoje myśli, domy i poczynania. I tak oto dotarliśmy do punktu, w którym znajdują się dziś, czyli do roku 1968.

Część 3

Rozdział 28
Przyjaciele i rodzice

Próżno dziś szukać w Liverpoolu tablic pamiątkowych w miejscach narodzin Beatlesów, choć do ich dawnych domów co roku pielgrzymują tysiące fanów. W Liverpoolu mieszkają obecnie rodzice tylko jednego członka grupy, ale miasto ma przecież swojego ex-Beatlesa, Pete'a Besta.

Pete mieszka wraz żoną, dwójką dzieci i teściami, pracuje jako krajacz chleba w piekarni i zarabia osiemnaście funtów tygodniowo. Po rozstaniu z Beatlesami grał jeszcze w innych zespołach, ale w 1965 na dobre pożegnał się z show-biznesem. Przez rok nie miał żadnego zajęcia i stronił od ludzi. Odrzucił również lukratywne oferty za spisanie swoich wspomnień. Te z Hamburga, głównie o dziewczynach, piciu i prochach, z pewnością byłyby intratnym towarem.

„A co dobrego by to dało, poza kasą? Byłoby odebrane jako przejaw zawiści. Ja chciałem tylko spróbować ułożyć sobie życie, choć trochę mi to zajęło. Najbardziej bałem się ludzkiego okrucieństwa – gdy spotykałem kogoś, wiedziałem, co powie lub pomyśli: że jestem tym beznadziejnym gościem. Ta świadomość mnie dobijała, a ludzie byli dla mnie niemili i mówili mi straszne rzeczy".

Pete trochę się załamał – gdy tkwi przed telewizorem w domu swojej matki, wygląda na bardzo zmęczonego. Nosi fryzurę w stylu Beatlesów i wciąż ubiera się w skórzaną kurtkę i dżinsy, jak za dawnych czasów w Hamburgu. Pani Best porzuciła własne interesy, ale twardy charakter pozostał jej po dziś dzień – wciąż uważa, że Beatlesi wywalili Pete'a z zazdrości. Pete twierdzi, że cały czas przeczuwał, iż Beatlesi są nieźli i odniosą kiedyś wielki sukces. „I to właśnie było w tym wszystkim najdotkliwsze – wiedziałem, co mnie ominie. Najpierw było mi bardzo

przykro. Kiedy tak mi dowalili, pożałowałem, że kiedykolwiek ich spotkałem. Miałbym jakąś zwykłą posadę, może w szkole, i obce byłyby mi te wszystkie troski. Ale teraz już mi przeszło. Poważnie. Mam mnóstwo fajnych wspomnień. Świetnie się bawiłem i za to jestem wdzięczny. A potem nadszedł ten Sądny Dzień".

W hamburskich klubach wciąż pełno jest brytyjskich wykonawców, ale nie ma już Klausa. Zaczął grać w brytyjskiej kapeli Manfred Mann. Fascynacja Beatlesami zaprowadziła go ponownie do Anglii, gdzie dołączył do zespołu, choć nie umiał grać na żadnym instrumencie prócz pianina. Wciąż utrzymuje z Beatlesami bardzo przyjacielskie kontakty. To w jego domu powstała jedna z kompozycji George'a. Klaus zajmuje się też trochę rysunkiem – stworzył projekt okładki jednego z albumów Beatlesów, *Revolver*.

Astrid nadal mieszka w Hamburgu, choć nie pracuje już jako fotograf. Twierdzi, że nie mogła znieść zainteresowania ze strony mediów i konsekwentnie odrzucała wszelkie oferty spisania wspomnień o czasach beatlesowskich. Ostatnią pracą, jaką podjęła, było kelnerowanie w jednym z małych, dziwacznych nocnych klubów w Hamburgu. Jest żoną Gibsona Kempa, pochodzącego z Liverpoolu byłego muzyka rockandrollowego. Przez pewien czas Gibson grał w trio między innymi wraz z Klausem. Astrid nadal nie zmieniła prawie niczego w pokoju Stu – wciąż jest tam ciemno i przerażająco, i stale palą się świece.

Fred Lennon nie miał kontaktu z Johnem od roku 1945, gdy ten skończył pięć lat, aż do roku 1964. W tym czasie niespecjalnie starał się go odnaleźć, nawet o niego nie pytał. Zajmował się wówczas zmywaniem naczyń w hotelu w Esher. „Pewnego dnia pracująca ze mną kobieta oznajmiła: »Freddie, jeśli to nie jest twój syn, to ja już nie wiem«. Powiedziała, że w tym zespole jest chłopak, który ma takie nazwisko jak ja i taki sam głos, chociaż nie umie śpiewać tak dobrze jak ja. Nigdy wcześniej o nich nie słyszałem".

John najprawdopodobniej wielokrotnie mijał hotel, w którym pracował jego ojciec, i nawet o tym nie wiedział. Chodził tamtędy do i z domu w Weybridge. Gdy Fred zdał sobie sprawę, że to jego syn, natychmiast zaczął pojawiać się we wszystkich gazetach, udzielając wywiadów. Utrzymuje naturalnie, że wcale nie szukał rozgłosu. Wszystko samo się jakoś potoczyło. Samo przydarzyło się również to, że „Tit Bits" zapłacił mu czterdzieści funtów za opowieść o jego życiu, oraz to, że wydał płytę. Fred twierdzi, że za śpiew na tej płycie nie otrzymał żadnych pieniędzy. „Jeśli już to straciłem. Kazali mi wyleczyć zęby, co kosztowało mnie sto dziewięć funtów. Do dziś spłacam po dziesięć funtów miesięcznie".

Fred odbył krótkie, dwudziestominutowe spotkanie z Johnem, z którego został wyproszony. Starał się skontaktować z nim ponownie, pojawił się nawet pewnego dnia przed jego domem, ale zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem. Fred jest bardzo niski, ale zawsze wygląda niemal wytwornie – jego gęste, siwiejące włosy są teatralnie zaczesane do tyłu. Ma pięćdziesiąt pięć lat, a wciąż jest radosny i przystojny. „Dziewczyny wciąż się za mną oglądają. A jeśli one uważają, że jestem taki fajny, to znaczy, że jest OK. Wiem, że John panicznie boi się starości, ale przekażcie mu ode mnie, że jestem młodszy od niego".

Ojciec bardzo skrupulatnie śledził poczynania Johna. „Zawiódł mnie tylko dwa razy: pierwszy, kiedy przyjął Order, czego ja bym nie zrobił, bo arystokracja nie jest w stanie mnie sobie kupić, a drugi, gdy nie odezwał się na lunchu w Foyles. Ja z pewnością wygłosiłbym im porządną mowę i jeszcze zaśpiewał".

Od roku 1964 Fred twierdził, że pragnie nawiązać z Johnem prawdziwą relację. „Żeby mógł się przekonać, jakim facetem jestem naprawdę". Nie odrzuciłby też pomocy, „gdyby John przypadkiem takową mi zaproponował". Gdy do Johna dotarły wieści, że Fred Lennon jest taką skarbnicą wspomnień o Julii i jego własnym dzieciństwie, zgodził się na wielkie pojednanie. Ku radości Freda panowie spotkali się i zaprzyjaźnili.

Na początku 1968 roku Fred przestał zmywać naczynia i mieszka teraz w opłacanym przez Johna eleganckim mieszkaniu.
Mimi zajmuje obecnie luksusowy dom nieopodal Bournemouth. Towarzyszy jej jedynie kot Tim – przybłęda, którego John przyniósł przed laty. Dom jest jasny i słoneczny, położony tuż nad brzegiem morza, z ogrodu można zejść schodkami wprost na brzeg. Kosztował dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Z przodu i z tyłu posiadłość jest praktycznie niedostępna. Spokój Mimi bywa zakłócany jedynie w okresie letnim, kiedy zatoką Poole przepływają turyści. Gdy mijają jej dom, słyszy, jak na łodziach huczą megafony: „A ten z pasiastymi roletami to dom Johna Lennona. A to Mimi". Gdy usłyszała to po raz pierwszy, podbiegła rozwścieczona na skraj ogrodu i stojąc na schodkach, krzyczała: „Zamknijcie się!". Ale odpowiedział jej jedynie głośny wybuch śmiechu. Nie licząc tych incydentów, Mimi wiedzie spokojne życie. Kilka lamp zniknęło sprzed jej domu za sprawą żądnych pamiątek fanów. Od czasu do czasu widuje ich, jak robią ukradkiem zdjęcia, ale to wszystko. Twierdzi, że utrzymuje swój adres i numer telefonu w tajemnicy.

Większość jej mebli jest stylizowana na antyki. Wszystko wygląda na nowe, ale tak naprawdę zostało przywiezione ze starego domu w Liverpoolu. Jak sama mówi, miała tam kilka ładnych drobiazgów. Pewnego razu do jej liverpoolskiego mieszkania przyjechał dziennikarz, rozejrzał się wokół i zauważył, jak ładnymi rzeczami się otacza: „Czyż nie miło ze strony Johna, że kupił to wszystko dla niej?". Natychmiast został wyrzucony za drzwi. W domu jest też wiele książek, głównie klasyka i biografie. Właśnie czytała *Maxa* Lorda Davida Cecila. Za powieściami nie przepada. Na telewizorze stoi przyznany Johnowi Order Imperium Brytyjskiego, choć sama Mimi obawia się nieco, że ludzie mogą odebrać to jako znieważenie rodziny królewskiej. John po prostu pojawił się u niej pewnego dnia i przypiął jej order, mówiąc, że to jej się on należy.

W korytarzu i w sypialni wisi część złotych płyt zespołu, choć nie aż tyle, co u innych rodziców. Mimi ma również swoją tablicę pamiątkową – to prezent od Johna. Napis na niej to słowa, które powtarzała nastoletniemu Johnowi niemal codziennie: „Gitara jest w porządku jako hobby, John, ale wyżyć z niej nie dasz rady”.

Mimi niespecjalnie chciała opuszczać Liverpool. „Byłam tam bardzo szczęśliwa, to był bardzo wygodny dom, w który włożyłam mnóstwo pieniędzy. Jednak John marudził mi przez jakieś dwa lata, a potem odpuścił – to mieszkaj sobie. A potem zaczął znowu, kiedy rodzice innych zaczęli się przeprowadzać. »Ty głuptasku – powiedziałam. – Nie trzeba mnie wyciągać z tarapatów«. Po premierze ich pierwszego filmu byłam z Johnem w Londynie. Pewnego dnia zszedł na śniadanie i mówi: »No dobra, zamierzam znaleźć ci dom. Gdzie miałby być?«. Powiedziałam, że w Bournemouth, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Złapał za telefon i zadzwonił do swojego szofera, Anthony’ego. Powiedział, żeby szykował mapy Bournemouth, wyjeżdżamy od razu. Pomyślałam sobie, że teraz to się dopiero ładnie nabiegamy. Na miejscu wzięliśmy od Rumsey’s listę domów, lecz po obejrzeniu wielu nie znaleźliśmy nic, bo ja chciałam taki nad morzem. Pomyślałam, że wreszcie mamy to z głowy i możemy wracać do domu. Tymczasem agentowi przypomniało się nagle jedno z ostatnich zleceń.

W tym domu nadal mieszkali właściciele, więc nie chciałam wchodzić do środka, a tym bardziej nie z Johnem w takim stroju. Miał na sobie stare, dziurawe dżinsy i leciwą, za małą już zamszową kurtkę, którą kupiłam mu sto lat temu. A do tego tę swoją głupią czapeczkę żeglarską. Powiedziałam, że nie powinniśmy nachodzić ich w taki sposób, na co John odparł, że to przecież tylko lichutki, drobnomieszczański domek i że jak nie będę uważać, to mój umysł podzieli los domu. Wmaszerował do środka i rzucił: »Jak się macie? Mogę się rozejrzeć?«, a gospodarze tylko się na niego

gapili. John spytał: »Podoba ci się, Mimi? Jak nie, to ja go wezmę«. Zadzwonił do swojego księgowego i kupił ten dom”.

Mimi wprowadziła się w październiku 1965 roku, a swoje lokum w Liverpoolu sprzedała za sześć tysięcy funtów. Była to przyzwoita cena, a sama Mimi mówi, że to dobry dom w dobrej dzielnicy. Posiadłość w Bournemouth wciąż zapisana jest na Johna, ale Mimi może mieszkać tam tak długo, jak zechce. On płaci wszystkie rachunki, a Mimi powiedział, żeby wydała swoje sześć tysięcy wedle uznania. Odparła, żeby się nie wygłupiał. „Tu jest pięknie. W duchu zawsze marzyłam, żeby przenieść się na południowe wybrzeże, kiedy John przestanie już pracować. Odkąd tu jestem, nie zaznałam zimy. Z paroma osobami spotkałam się na drinka, ale nic poza tym. Nigdy jakoś nie zawierałam przyjaźni poza gronem rodzinnym. Dużo spaceruję i czytam. Dni są doprawdy za krótkie”.

Rodzice każdego z Beatlesów dzięki swym synom odczuli wielką różnicę materialną i każde z nich zareagowało na nią w nieco odmienny sposób. Mimi prawdopodobnie jako jedyna praktycznie nie zmieniła swojego podejścia do Johna. Pod wieloma względami nadal traktuje go jak dawniej, podczas gdy pozostali wykazują delikatną tendencję do otaczania swych synów uwielbieniem, żeby nie powiedzieć czcią. Mimi nadal krytykuje styl ubierania się i wygląd Johna, podobnie jak robiła to, gdy był nastolatkiem. Mówi mu, że przytył albo że nie powinien szastać pieniędzmi. „Jest zbyt miękki, gdy idzie o pieniądze. Łatwo go naciągnąć. Jest niewiarygodnie hojny – ciągle mu to powtarzam”. Pozostali rodzice nawet się nie zająkną krytycznym słowem na temat swoich synów.

Mimi nie przejmuje się też sposobem, w jaki John mówi, twierdząc, że on po prostu nigdy nie będzie mówił wyraźnie i ucinanie końcówek zdań to jego specjalność. „Robi się w tym coraz gorszy i czasem w ogóle go nie rozumiem. W dodatku skacze z tematu na temat”. Mimi nie widuje Johna regularnie, ale zawsze dostaje od niego śmieszne liściki z za granicy, a na kopertach John umieszcza rysunki. Mimi trzyma je wszystkie w biurku.

Gdy John się pojawia, przetrząsa jej rzeczy, by sprawdzić, co też robiła pod jego nieobecność. Wciąż znajdują się tam książki, które John pisał jako dziecko. Mimi czytuje je od czasu do czasu. „To właściwie to samo, co opublikował. Takie jego gryzmoły, jak ja to mówię. Bazgrał tak sobie przez całe lata i choć uważam, że jego pierwsza książka była lepsza, to wciąż zdarza mi się wybuchnąć śmiechem przy czytaniu niektórych wierszy”.

Życie Mimi nie zmieniło się specjalnie, mimo że otacza się luksusem. Mówi, że oddałaby wszystko wraz z domem i własnymi osiągnięciami włącznie, żeby John znów był małym chłopcem. „Dałabym dwa miliony funtów, żeby tylko cofnąć czas. Wiem, że to strasznie egoistyczne, ale zawsze myślę o nim jako o małym chłopczyku. To głupie, wiem, ale nic nie zastąpi mi tego wspaniałego czasu, gdy John był mały”.

Pragnęłaby widywać go częściej, ale za żadne skarby świata nie chciałaby dać mu tego odczuć czy też zbyt mocno nim zawładnąć. „Nie jego wina, że jestem wdową. Nie ma nic gorszego dla chłopca niż poczucie, że ktoś się na nim uwiesił – on ma swoje życie i własną rodzinę i to o nich powinien myśleć. Wie, że jestem. Odwiedza mnie, kiedy tylko może. Latem przesiedział na dachu całe cztery dni, a ja tylko donosiłam mu drinki. John nie okazuje uczuć, ciężko przychodzi mu przepraszanie. Ale któregoś wieczoru powiedział, że nawet gdyby nie odwiedzał mnie każdego dnia czy miesiąca, to i tak codziennie o mnie myśli – bez względu na to, gdzie jest. A to znaczy dla mnie bardzo wiele”.

Najszczęśliwszym dniem w życiu Jima McCartneya był, jak przyznaje, ten, gdy w 1964 roku Paul powiedział mu, że może zrezygnować z pracy. W przeciwieństwie do innych rodziców Jimowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Miał sześćdziesiąt dwa lata, przed sobą jeszcze trzy do emerytury i od czternastego roku życia pracował w tej samej firmie bawełniarskiej. Miał dość. Pomimo wysługi lat i doświadczenia jego pensja wynosiła zaledwie dziesięć funtów tygodniowo, a stagnacja w branży jeszcze bardziej uprzykrzyła mu ostatnich kilka lat. Ponadto od dawna żył w obawie, że

otrzyma wypowiedzenie, a na jego miejsce zostanie zatrudniony ktoś młodszy.

Paul znalazł dla niego wart osiem tysięcy siedemset pięćdziesiąt funtów dom na półwyspie Wirral w hrabstwie Cheshire. Jakiś rok później, po niemal dziesięciu latach bycia wdowcem, Jim ponownie się ożenił. Spotkał się z Angelą tylko trzykrotnie, zanim poprosił ją o rękę. Ona również była wdową, młodszą od Jima o dobrych kilka lat i miała pięcioletnią córkę, Ruth. Od śmierci męża w wypadku samochodowym mieszkała w jednopokojowym mieszkaniu w Kirby. „Byliśmy dwiema samotnymi duszami". Są ze sobą bardzo szczęśliwi. Jim ma bzika na punkcie Ruth, obecnie młodej, inteligentnej kobiety, która wypytywanie szkolnych koleżanek o sławnego przyrodniego brata uważa za głupawe. Angie to pełna wigoru, dowcipna i temperamentna osoba – świetnie radzi sobie z prowadzeniem sporego domu i jeździ samochodem męża, jako że on sam nie prowadzi. Tchnęła w Jima drugą młodość – ubiera się on teraz w modne, obcisłe sweterki i wąskie spodnie. To dokładnie ten sam styl, za który jakiś czas temu ganił Paula.

W tym samym domu mieszka również brat Paula, Michael.

– Właśnie zaniosłam Mike'owi materac i trzy arkusze kalki – mówi Angie.

– To bardzo higienicznie – komentuje Jim.

– A teraz chce jeszcze kilka półtorakilogramowych torebek mąki. Zrzuca je na deskę do chleba i nagrywa towarzyszący temu dźwięk. Sypialnia zawalona jest sprzętem, a jaki tam jest bałagan! Jak myślisz, o co tu chodzi?

– O dźwięk spadających na deskę do chleba półtorakilogramowych torebek mąki – tłumaczy Jim.

W nowo kupiony dom zainwestowano jeszcze dodatkowe osiem tysięcy funtów, przeznaczając je na założenie centralnego ogrzewania, umeblowanie i ogólne odnowienie. Do domu przynależy również rozległy

teren z widokiem na ujście rzeki Dee. Mimo że wyposażenie domu jest nowe, sprawia on wrażenie przytulnego. Właściciele chętnie korzystają z wszelkich wygód.

„Tęskno mi do Liverpoolu i niektórych starych przyjaciół, ale nie jakoś bardzo. Miałem już naprawdę dość ludzi powtarzających: »Musisz być taki dumny. Opowiedz, jak to jest?«. Tylko to chcieli wiedzieć. W kółko to samo. Odciąłem się od takich osób, ale nadal utrzymuję kontakt z bliskimi znajomymi, których zapraszam do siebie”.

Do swojego lekarza Jim zwraca się po imieniu, a nawet używa jego pseudonimu, Pip. I nie jest to wcale sztuczna czy udawana relacja. Kiedy tylko Pip wpada, Jim natychmiast wyciąga słodową whisky. Zatrudnia dwóch dochodzących ogrodników, jednak rosnących w dużej cieplarni winogron dogląda osobiście. Ma już nawet wino własnej roboty, więc trunków zawsze jest u niego pod dostatkiem. Z biblioteki wypożycza książki ornitologiczne i wie dokładnie, jakie ptaki może obserwować w swoim ogrodzie. Jest też znawcą wiewiórek.

Zdradza go liverpoolski akcent, lecz patrząc na jego życie, ubiór i wszelkie wygody, którymi się otacza, aż trudno sobie wyobrazić, że ten człowiek spędził czterdzieści lat w komunalnym mieszkaniu, zarabiając dziesięć funtów tygodniowo. A już szczególnie gdy widzi się go na wyścigach – tam dopiero wygląda jak prawdziwy dżentelmen. Porzucenie pracy, nowy dom, a przede wszystkim nowe małżeństwo naprawdę go uszczęśliwiły, ale kolejna wielka frajda spotkała go w dniu sześćdziesiątych drugich urodzin. Był wieczór 6 lipca 1964 roku, dzień premiery pierwszego filmu Beatlesów.

„Po premierze pojechaliśmy do Dorchester, była tam też księżniczka Małgorzata. Zobaczyłem, jak Paul macha do kogoś, by ten podał mu jakąś paczkę. Wręczył mi ją i powiedział: »Proszę, wszystkiego najlepszego, tato«. Otworzyłem ją i zobaczyłem zdjęcie konia. Powiedziałem: »To bardzo miłe«, ale tak naprawdę zastanawiałem się, co ja, do diabła, zrobię

ze zdjęciem konia. Najwyraźniej Paul zauważył moje zdziwienie, bo powiedział: »To nie jest tylko zdjęcie. Kupiłem ci tego cholernego konia, jest twój, a w sobotę biegnie w Chester«”.

Ów słynny wałach, Drake’s Drum, kosztował tysiąc pięćdziesiąt funtów. Paul opłaca także jego treningi, które miesięcznie kosztują około sześćdziesięciu funtów. W 1966 roku koń zdobył pulę nagród, wartą łącznie trzy tysiące funtów, w tym wart tysiąc funtów bieg z Newbury oraz odbywającą się w Aintree gonitwę Grand National.

Jimowi niczego w życiu nie brakuje. Podobnie jak pozostali rodzice Beatlesów, posiada konto bankowe, z którego może korzystać bez ograniczeń. I choć nie zachowuje się szczególnie ostentacyjnie, delektowanie się życiem na poziomie klasy średniej zdaje się sprawiać mu przyjemność większą niż pozostałym.

„Ta zmiana była dość nagła. Miałem sześćdziesiąt dwa lata i musiało minąć nieco czasu, zanim do tego przywykłem. Teraz czuję się jak ryba w wodzie. Nie nabyłem co prawda akcentu wyższych sfer, ale podoba mi się takie życie – zupełnie jakbym żył tak od zawsze”.

Bratu Paula, Michaelowi, przywyknięcie do zmian, jakie zaszły w jego życiu, zajęło trochę więcej czasu. Paul zawsze był mu bardzo bliski – zarówno pod względem wieku, jak i wspólnych zainteresowań. Był z nim mocniej związany niż George ze swoimi braćmi, co w gruncie rzeczy okazało się mniej korzystne dla Michaela. „Wpływ brata na mnie był nieunikniony – to on zawsze odnosił sukcesy, on był pierwszy, najprzystojniejszy, on miał wszystkie dziewczyny, a potem jeszcze całą sławę”.

Przez wiele lat Michael, jako brat Paula, proszony był w Liverpoolu o autografy. Ku powszechnemu rozczarowaniu zawsze uparcie podpisywał się jako „Michael McGear”. Zwykle wypiera się jakiegokolwiek związku z bratem. „Nie, skarbie, ale chciałbym być jego bratem. Byłbym wtedy kasiasty, co nie?”.

O Michaelu McGearze mówi się coraz więcej, choć droga do osiągnięcia rozgłosu była długa i pełna wyrzeczeń. Michael przyjął pseudonim w 1963 roku, gdy dołączył do grupy Scaffold. Zaczęło się obiecująco – piosenką do serialu, który był na antenie przez dwadzieścia siedem tygodni. Potem jednak działo się stosunkowo niewiele, poza kilkoma występami. Następny sukces przyszedł dopiero w roku 1967, gdy ich singiel *Thank U Very Much* znalazł się na liście Top Ten. Potem były kolejne programy i nagrania. Michael potrafi śpiewać i komponować, choć zawsze umniejszał swoje talenty i pragnął zajmować się czymś innym.

„Nie chcę być sławny. Chcę być tylko dobry w tym, co robię, i robić to po swojemu. Zawsze obawiałem się, że będę jak brat Seana Connery'ego albo Tommy'ego Steele'a, którzy stale usiłują naśladować swoich sławnych braci".

Harrisonowie mieszkają nieopodal Warrington, gdzie przeprowadzili się w 1965 roku, gdy ojciec George'a przestał pracować jako kierowca autobusu. Warrington to nie miejsce, do którego zazwyczaj przenoszą się ludzie z Liverpoolu, gdy poszczęści im się w życiu – zwykle wybierają miejscowości nad wodą lub ekskluzywne okolice Cheshire, jak było choćby w przypadku Jima McCartneya. Warrington oddalone jest od Liverpoolu o dwadzieścia cztery kilometry i o tyle samo od Manchesteru – jednego z bardziej uprzemysłowionych miast Anglii, gdzie nawet w słoneczne dni jest ponuro i szaro.

Harrisonowie nie mieszkają w samym Warrington, ale w wiosce o nazwie Appleton – pięć czy sześć kilometrów za miastem. Ich posiadłość usytuowana jest w iście sielskiej scenerii, wśród pól i bez sąsiadów w pobliżu. Dom Harrisonów jest najbardziej odosobnionym i najtrudniejszym do znalezienia ze wszystkich domów rodziców Beatlesów. To budynek w kształcie litery L, wokół którego rozpościera się jednohektarowy ogród, jeszcze do niedawna będący polem uprawnym. Nad doprowadzeniem go do porządku pracuje przychodzący dwa razy w tygodniu ogrodnik.

Harrisonowie mówią, że to dom parterowy, choć na górze znajduje się jeden pokój. Pokojem tym nazywają pomieszczenie o długości prawie dziesięciu metrów, biegnące przez cały dom. To tam odbywają się przyjęcia i wieczory filmowe.

Dom kosztował George'a dziesięć tysięcy funtów. Gdy dodać do tego wszelkie prace modernizacyjne i udogodnienia, na przykład nowe, niezabudowane schody i oszkloną werandę, wartość nieruchomości z pewnością sięgnie dwudziestu tysięcy. W Bournemouth, gdzie mieszka Mimi, za taki sam dom trzeba byłoby pewnie wyłożyć czterdzieści tysięcy. Wewnątrz znajduje się mnóstwo nowiutkich mebli w nowoczesnym stylu, dywany z długim włosiem i liczne bibeloty przywiezione z całego świata. Większość tych nadsyłanych zewsząd drobiazgów nie była przeznaczona dla ich syna, jak w przypadku innych rodzin sławnej czwórki – to prezenty, które Harrisonowie dostali od fanów. Oprócz tego, w odróżnieniu od pozostałych rodziców, nie obwiesili pomieszczeń złotymi i srebrnymi płytami zespołu. Tutaj na ścianach wiszą pamiątki dedykowane Haroldowi i Louise Harrisonom, wśród nich ogromna, złota tablica z napisem: „Haroldowi i Louise Harrisonom w podziękowaniu za czas i pomoc poświęconą fanom Beatlesów na całym świecie. Fani amerykańscy. Pomona, Kalifornia, 1965".

Pozostali rodzice Beatlesów sądzą, że pani Harrison jest chyba lekko stuknięta, i zupełnie nie mogą pojąć, dlaczego tak wiele czasu poświęca na serdeczne kontakty z fanami, skoro wcale nie musi tego robić. A Louise po prostu uwielbia fanów. Jest fanką fanów. Każdą wolną chwilę wykorzystuje, by odpisywać na ich listy. Nierzadko przesiaduje nad nimi do drugiej w nocy i wysyła nawet dwieście listów tygodniowo. Nie są to bynajmniej jakieś krótkie notki, ale porządne, około dwustronicowe listy. Dodatkowo podpisuje i rozsyła zdjęcia. Jej rachunek za znaczki pocztowe jest niebotyczny.

„Zawsze osobiście odpisywałam na wszystkie listy, poza tymi od ewidentnych świrów. Jeśli list jest w obcym języku, powiedzmy hiszpańskim, to czytam go dokładnie i wychwytuję takie słowa jak na przykład *admiro*[143]. Wtedy już z grubsza wiem, o co chodzi, i odsyłam zdjęcie z autografem”. Co miesiąc pani Harrison udaje się do liverpoolskiego centrum fanklubu, gdzie odbiera kolejną partię zdjęć – około dwóch tysięcy sztuk.

„Od początku dostawałam cudne listy od fanów, albo nawet częściej od ich matek. »Droga pani Harrison! Nie ma pani pojęcia, ile znaczy dla nas pani list. Po latach wypisywania na adresy nieistniejących fanklubów i bezskutecznym oczekiwaniu na odpowiedź dostajemy list od samej mamy George’a! Moja córka oszalała«. Sami widzicie, że muszę to robić dalej. Naturalnie był taki okres, kiedy po prostu nie dawałam rady odpowiadać na wszystkie listy, bo w 1963 i 1964 roku przychodziło ich po czterysta pięćdziesiąt dziennie. Na dwudzieste pierwsze urodziny George’a przyszło trzydzieści tysięcy kartek, a do tego przyjechało całe mnóstwo rozwrzeszczanych fanów. Przed domem musiał się pojawić policjant, który ledwo radził sobie z dzieciarnią całującą naszą klamkę. »U was tak zawsze? – pytał funkcjonariusz. – Ja bym zwariował«. Pracownicy poczty przez lata podjeżdżali pod nasz dom specjalną furgonetką wypełnioną listami, ale teraz jest już o wiele spokojniej. Jeśli tylko nie wypadam z rytmu, to jestem w stanie ogarnąć właśnie dwieście listów tygodniowo”.

Fani, z którymi Louise nawiązała kontakt, mają w zwyczaju składać niespodziewane wizyty – właśnie niedawno pojawiła się amerykańska rodzina, która przybyła tu specjalnie po to, by ją zobaczyć. „Spędzali dwa tygodnie w Europie i Rzymie i wcale nie planowali pobytu w Anglii, jednak postanowili przylecieć z Paryża do Manchesteru, a potem taksówką dotarli do nas. Całe szczęście, że byliśmy w domu”.

Pani Harrison lubiła pisywać listy na długo zanim George stał się sławnym Beatlesem. Z dwiema osobami utrzymuje korespondencyjną znajomość od trzydziestu lat – wszystko zaczęło się od miesięcznika „Woman's Companion". Jedna z tych osób mieszka w Barnsley, a druga w Australii. Począwszy od roku 1936, pani Harrison pisuje z nimi o wszystkich sprawach rodzinnych, a gdy po latach Beatlesi dotarli również do Australii, w tamtejszych gazetach pojawiły się zdjęcia małego George'a. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób się tam znalazły, i nawet sam George nigdy ich wcześniej nie widział. Okazało się, że to korespondencyjna znajoma pani Harrison wygrzebała wśród starych listów fotografie, które przesłała jej jego mama.

„Ludziom wydaje się, że jako rodzice George'a na pewno jesteśmy inni. Byliśmy kiedyś na ślubie jednego z fanów i wszyscy w kółko powtarzali: »Jak to możliwe, że bawicie się wśród takich jak my?«. Oni chyba sądzą, że zajmujemy się wyłącznie przechadzaniem w futrach z norek. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Chcą, żebyśmy byli inni. Gdy Harry jeszcze pracował, wszyscy mu powtarzali: »No nie mów, że ty wciąż pracujesz«. A teraz, kiedy nie pracuje, są przekonani, że musimy być jacyś inni. Ludziom nie przetłumaczysz".

Pan Harrison przestał pracować w 1965 roku, mając za sobą trzydzieści jeden lat pracy jako kierowca autobusu. „Jeździłem wielką pięćsetką – to był szybki autobus, przemieszczający się z nielicznymi tylko przystankami po całym Liverpoolu. Nie można było pozwolić sobie na utknięcie w jakichkolwiek korkach. »Ile dostajesz za tę swoją pięćsetkę?«, zapytał mnie kiedyś George. »Dziesięć funtów i dwa szylingi«, odparłem, a on spytał, czy to dzienna stawka. Ja mu na to, że tygodniowa. »To się nazywa mieć cholerny tupet«, powiedział wtedy i dodał, że zapłaci mi trzykrotnie więcej za nicnierobienie. I pożyję w dodatku o dziesięć lat dłużej".

Każdego lata państwo Harrison jeżdżą po całym kraju i otwierają różnego rodzaju kiermasze, zwykle parafialne. Pani Harrison do kościoła

nie chodzi, ale ponieważ została wychowana jako katoliczka, uważa, że powinna pomagać w miarę swoich możliwości.

„Najdalej na południe dotarliśmy aż do Salisbury. Harry, co to było za miejsce na północ od Londynu? Psiakość! Zapomniałam. O, wiem, Harpenden. Ogłaszali w gazecie, że przyjeżdżamy otworzyć kiermasz, zwykle tak robią. Oceniamy też w konkursach piękności. Mieliśmy już stowarzyszenia dla upośledzonych umysłowo, niewidomych, no i stowarzyszenia kościelne. Właściwie jest mi wszystko jedno, jaka to organizacja. Podczas przemówienia otwierającego jakieś wydarzenie mówię zwykle, że jest mi miło być tam z nimi i móc pomagać. I mówię, że George i reszta przesyłają pozdrowienia i życzą wszystkiego dobrego. A potem, gdy krążymy wśród stoisk, oblegają nas tłumy ludzi, ale my lubimy to robić. Najważniejsze to nieść pomoc innym”.

Prawdziwy ojciec Ringo, który także nazywa się Ritchie Starkey, miał bardzo niewielki kontakt z synkiem od czasu, gdy rozstał się z jego matką. Ringo miał wówczas pięć lat. Sam pamięta, że poza okresem wczesnego dzieciństwa widział ojca tylko raz – w 1962 roku, jeszcze przed Beatlesami, a w trakcie przygody z zespołem Rory’ego Storma.

„Akurat był u Starkeyów, gdy wpadłem z wizytą – opowiada Ringo. – Nie bawiłem się już wtedy w dziecinadę i nie miałem nic do niego. Powiedział: »Widzę, że sprawiłeś sobie auto«. Właśnie kupiłem sobie zodiaka. Odpowiedziałem: »Chcesz zobaczyć?« Odparł, że chce – wyszliśmy, poprzyglądał się i tyle. Od tamtej pory go nie widziałem i nie miałem z nim żadnego kontaktu”.

Ojciec Ringo wyprowadził się z Liverpoolu i obecnie mieszka w Crewe, gdzie pracuje jako cukiernik i dorywczo myje okna. Ożenił się ponownie, ale nie doczekał się potomstwa z nową partnerką – Ringo jest jego jedynym dzieckiem, a dzieci Ringo jego jedynymi wnukami. Pieczołowicie zbiera ich zdjęcia, wyrywa je z gazet, jeśli tylko się pojawią. Nie odczuwa zazdrości z powodu sukcesów syna, ale żałuje, że jego własnego ojca nie

ma już z nimi, bo staruszek zawsze uwielbiał Małego Ritchiego. Na niego samego w rodzinie mówi się Duży Ritchie, a na Ringo – Mały Ritchie.

Fakt, że od początku wielkiej kariery Beatlesów ojciec Ringo unika rozgłosu i trzyma się z dala od syna, jest godny uznania. Gdy zdarza się, że ktoś skojarzy jego nazwisko i pyta, czy są ze sobą spokrewnieni, odpowiada, że jest jego wujem. Przyznaje jednak, że chciałby znów zobaczyć syna. „Tylko że jestem taką ślamazarą. Potrzebuję solidnego kopniaka, żeby cokolwiek zrobić". Irytuje go, gdy od czasu do czasu czyta w gazetach o Harrym Gravesie, drugim mężu Elsie, jako o „ojcu Ringo", choć wie, że Harry nie jest tu nic winien. Chciałby sprostować tę informację, chociaż z drugiej strony woli, żeby prasa nie dowiedziała się, kim jest i gdzie mieszka. Nie chce mieć nic wspólnego ze sławą Ringo. Ojciec i syn są do siebie podobni – obaj są spokojni i mają niską samoocenę. Mają też podobne nosy i nie znoszą cebuli, co jest dość osobliwe, bo przecież przez większość życia nie mieszkali razem.

Matka Ringo mieszka wraz z mężem w luksusowym domu w ekskluzywnej dzielnicy Woolton na przedmieściach Liverpoolu. Dom kosztował osiem tysięcy funtów, a w znalezieniu go pomogła koleżanka Ringo z dzieciństwa, Marie Maguire. Dom znajduje się niedaleko najlepszej części Woolton, gdzie mieszkali państwo Epsteinowie. Elsie i Harry są jedynymi spośród rodziców Beatlesów, którzy wciąż mieszkają w Liverpoolu.

Ich ulokowany w odpowiedniej odległości od ulicy dom otacza półhektarowy, bujny trawnik ozdobiony krzewami róż, a okoliczne domy wyglądają, jakby były niezamieszkałymi eksponatami wystawowymi. W Dingle było zupełnie inaczej – tam wręcz trudno przecisnąć się pomiędzy wyglądającymi z okien czy przesiadującymi na progach mieszkańcami.

Wewnątrz znajduje się mnóstwo kupionych przez Ringo gustownych, stylowych mebli, a na ścianach, w drogich ramach wiszą trzy złote i dwie

srebrne płyty Beatlesów. Z telewizora ze ślubnego zdjęcia spoglądają Ritchie i Maureen, a z drugiego ich dzieci.

„Gdy tak teraz myślę, to chyba największym przeżyciem był koncert w Palladium – opowiada Elsie. – Siedzieliśmy tam i słuchaliśmy, jak ci wszyscy londyńczycy wrzeszczą. Premiery filmowe też były fajne. I powitanie w Liverpoolu. Wszystko było cudne. Ale trzeba podkreślić, że Ritchie nigdy nie zrobił się zarozumiały, nie zmienił swojego stylu życia, a i Maureen jest bardzo skromną, zwyczajną osobą".

„Mnie bardziej podobała się ich wcześniejsza muzyka – mówi Harry. – Taki rock and roll. Ale musieli się zmienić, prawda? W tym biznesie tak trzeba. Teraz trzeba wsłuchać się w ich melodie, i to więcej niż jeden raz".

Elsie i Harry przeprowadzili się do nowego domu później niż pozostali rodzice Beatlesów. „Zawsze mówiłam, że nie przeprowadzę się za żadne skarby świata. Bardzo lubiłam swoich sąsiadów w Dingle – nawet gdy chłopcy byli już sławni, nasze stosunki nie uległy zmianie. Nigdy nie czuliśmy się tam źle. Problem był z fanami – w końcu nie mogłam już tego znieść. Teraz nie jest źle, zwłaszcza tutaj. Ale dla chłopców to wciąż duży problem. Wiele razy widziałam, jak Ritchie przesiadywał tu aż do zmroku, bo bał się wychodzić za dnia. Czyż to nie straszne? Ale chyba nie można mieć wszystkiego, prawda? Wierzyłam, że tu będę miała więcej prywatności. Nigdy nie lubiłam tego całego rozgłosu, ścigających mnie dziennikarzy i tych wszystkich ludzi, którzy ciągle chcieli, bym gdzieś pojechała, bywała na jakichś otwarciach. A tu naprawdę jest spokój – nikt tu nawet nie zna naszego numeru telefonu".

Rodzice Beatlesów nie lubią rozgłosu. Żadne z nich nie udziela wywiadów. Nie chcieliby powiedzieć czegoś, co mogłoby w jakikolwiek sposób zirytować synów. Szczególnie ostrożni w tym względzie są Elsie i Harry. Ringo musiał kiedyś zadzwonić do matki i powiedzieć jej, by przestała ciągle powtarzać, że w jego oczach widziała promienie słońca.

Harrisonowie uwielbiają być w kontakcie z fanami, Jim McCartney ceni wszystkie zmiany na lepsze, a Mimi kocha swój świat marzeń, z Johnem jako małym chłopcem. Tylko Elsie i Harry nadal jakoś nie mogą dojść z tym wszystkim do ładu, zupełnie jakby trochę nie dowierzali. Zanim cokolwiek zrobią, zastanawiają się dwa razy, choć żyje im się całkiem dobrze.

W roku 1965, w wieku pięćdziesięciu jeden lat Harry rzucił pracę jako malarz i dekorator w Liverpool Corporation. „Gdybym tylko chciał, to mógłbym przepracować tam kolejnych czternaście lat. Firma była naprawdę w porządku. Z chłopców byli prawie tak dumni, jak ja. Oczywiście zdarzały się też żarciki w stylu: »Ty to nie musisz wystawać w kolejce po zarobek, co?«, i takie tam. Ritchie już od dłuższego czasu powtarzał mi, żebym zrezygnował, ale nie wydawało mi się to właściwe. Aż pewnego dnia jego kolega zobaczył mnie stojącego zimą na dwunastometrowej drabinie i malującego jakiś gminny budynek. Wtedy Ritchie zmusił mnie do rzucenia roboty. Czas się trochę wlecze. Odmalowałem dom. Znów mógłbym to zrobić albo zlecić komuś innemu – teraz przecież nas stać. Musiałem przywyknąć do nowego stylu życia, ale chyba powoli zaczynam to lubić. Zawsze zostaje mi jeszcze ogród albo mniejsze prace przydomowe”.

Wieczorami oglądają telewizję, grają w bingo lub chodzą na przyjęcia taneczne. Te ostatnie są dla nich nowością i bywają na nich naprawdę często. Zaprzyjaźnili się też z paroma lokalnymi biznesmenami, którzy zapraszają ich na przyjęcia firmowe. Na imprezach zazwyczaj wychodzi w końcu na jaw, kim są, i muszą składać autografy. Harry nawet to lubi, Elsie wręcz przeciwnie.

„Gdy odwiedzałem ostatnio krewnych w Romford, pojechałem z siostrzeńcem na szkolną uroczystość – to miał być jakiś koncert. Wydało się, kim jestem, wiesz jak to bywa, no i skończyło się na tym, że musiałem rozdać jakieś trzysta autografów. Koncertu w ogóle nie widziałem”.

Harry sam zawsze trochę śpiewał, zwykle w pubach naśladował Billy’ego Danielsa. A jakiś czas temu dorzucił do repertuaru także kilka kawałków Beatlesów.

„Kiedyś padało tu u nas przez trzy dni. Siedzieliśmy i gapiliśmy się na deszcz, więc dla zabicia czasu postanowiłem napisać kilka piosenek. Chcesz zobaczyć? Tu jest taka: siedzą tak cały dzień, rozmyślając i czekając na dźwięk telefonu. Napisałem już chyba z pięć kawałków. Wysłałem je do Ritchiego w nadziei, że napisze do nich muzykę. Tylko tego im jeszcze brakuje – muzyki. Ale odesłał mi je, mówiąc, że umie grać tylko na jednym instrumencie, więc muzyki napisać nie może. No cóż, przynajmniej mam co robić, nie? To dziwne uczucie, gdy nagle po latach nie potrzebujesz pieniędzy. Po latach zasuwania. W pociągach wciąż jeździmy drugą klasą, tam przecież też można dostać porządne miejsce.

Tęsknimy za przyjaciółmi, ale często jeździmy do nich w odwiedziny. Czasem, gdy tamtędy przejeżdżam, wstępuję na budowy. Patrzę na chłopaków na drabinach, a oni wrzeszczą do mnie. Wtedy ja krzyczę do nich: »Tak to już w życiu bywa, chłopaki. Machajcie tymi pędzlami«”.

„To wszystko jest niesłychane – mówi Elsie. – Więcej osiągnąć już chyba nie można. Dokonali wszystkiego. Ostatnich pięć lat było jak bajka, ale i tak wciąż się o niego martwię, o jego zdrowie, po tym wszystkim, co przeszedł. Ja wiem, że on jest już mężczyzną z własnymi dziećmi, ale i tak się martwię”.

Rozdział 29
Imperium Beatlesów

Po śmierci Briana Epsteina w NEMS Enterprises zaszły pewne zmiany. W tej stale rozwijającej się firmie, skupiającej prężnie działających menedżerów, agentów i właścicieli teatrów, nadszedł czas na podjęcie decyzji – czy kontynuować tak szeroko zakrojoną działalność, czy raczej przystopować i skupić się na umacnianiu obecnej pozycji. Mimo że w ostatnim roku życia Brian niespecjalnie się udzielał, jego śmierć była równoznaczna z odejściem przywódcy. To on wiódł prym w wypatrywaniu talentów. A przede wszystkim to on był twórcą firmy.

Jego matka, Queenie Epstein, odziedziczyła znaczną część fortuny, a młodszy brat Clive przejął stanowisko prezesa. Posiadał udziały w NEMS jeszcze z czasów liverpoolskich. Z dziesięciu tysięcy akcji o wartości jednego funta za sztukę Brian posiadał siedem tysięcy, Clive dwa tysiące, a każdy z Beatlesów po dwieście pięćdziesiąt akcji. Clive nie porzucił pracy w branży telewizyjnej, niewiele czasu przeznaczając na działalność w NEMS. Jest równie przystojny jak Brian i ma z nim wiele wspólnego, na przykład nieco nieobecne spojrzenie. W przeciwieństwie do brata jest blondynem. Od Briana różni go także spokojniejszy i mniej wyczerpujący tryb życia – zarówno w sferze zawodowej, jak i prywatnej. Wolne chwile lubi spędzać w towarzystwie żony i dwójki dzieci.

Robert Stigwood odszedł z firmy na krótko po przejęciu jej przez Clive’a, co w pewnym stopniu rozwiązało dylemat, czy dalej angażować się w sektor menedżerski. To było głównym zadaniem Stigwooda – miał wykorzystywać swój dar do wyszukiwania nowych zespołów i zajmować się ich promocją. Odchodząc, zabrał wypromowanych przez siebie muzyków. Obecnie NEMS Enterprises to zespół menedżerów i agentów, a

stanowisko dyrektora generalnego piastuje Vic Lewis. Dawny przyjaciel Briana, Geoffrey Ellis, nadal zasiada w zarządzie. Znaczna część spraw i pieniędzy Beatlesów trafia teraz do Apple, a nie do NEMS. Apple to firma, którą sami założyli i którą sami kierują. Jest to inicjatywa, która głównie dzięki staraniom Paula zaczęła nabierać kształtu jeszcze przed śmiercią Briana, ale na dobre rozwinęła się w 1968 roku.

Najbliższy przyjaciel i asystent Briana, Peter Brown, przejął kontrolę nad większością spraw prywatnych Beatlesów, choć Clive Epstein oświadczył, że od tej pory mają oni wolną rękę w podejmowaniu osobistych decyzji. Ani on, ani NEMS nie zamierzają w tej kwestii zastępować Briana. I tak właśnie jest obecnie – Beatlesi sami zajmują się swoimi sprawami. Peter pełni rolę łącznika pomiędzy nimi a NEMS i resztą świata. Jeśli ktokolwiek ma do zespołu jakąś sprawę i nie jest z marszu spławiany, musi kontaktować się z Peterem. On zajmuje się wszelkimi ustaleniami. Posiada zastrzeżony numer telefonu, wyłącznie na potrzeby Beatlesów, i tylko im numer ten jest znany.

Tony Barrow nadal pełni funkcję rzecznika prasowego, choć jednocześnie prowadzi własną firmę *public relations* – Tony Barrow International. Nadal pisze do „Liverpool Echo” pod pseudonimem Disker i wiele czasu poświęca prowadzeniu fanklubu, którego sekretarką wciąż jest Freda Kelly. Roczne członkostwo w klubie kosztuje siedem funtów i sześć pensów, za które fani regularnie otrzymują klubowy magazyn oraz prezent na Boże Narodzenie. Beatlesi zawsze wydawali specjalną płytę w okresie świąt, wyłącznie dla członków klubu. Zazwyczaj zawiera ona jakieś skecze i kilka ckliwych kawałków – zupełnie jak za starych czasów z The Cavern. Klub liczy obecnie nieco ponad czterdzieści tysięcy członków, podczas gdy w roku 1965, a więc w okresie szczytowej popularności zespołu, było ich dwukrotnie więcej. W klubie, posiadającym czterdzieści placówek zagranicznych, pracuje społecznie czterdzieści sekretarek. Fanklub od samego początku dopłaca do interesu. Sam koszt wysłania czterdziestu

tysięcy magazynów i plakatów kilka razy w roku pochłania prawie wszystkie wpływy z subskrypcji. Doliczyć należy też dodatkowe koszty – wysłanie wszystkim członkom specjalnych, kolorowych zdjęć *Sgt. Pepper* kosztowało siedemset funtów. I nie zapominajmy o pensji dla dwóch pełnoetatowych pracowników klubu.

Magazyn „Beatles Monthly" przynosi niezły dochód, ale nie jest powiązany z fanklubem, mimo że kupuje go większość jego członków i mnóstwo innych osób. Kosztuje dwa szylingi, a poziom jego sprzedaży w Wielkiej Brytanii sięga osiemdziesięciu tysięcy egzemplarzy. W Ameryce wychodzi jako dodatek do czasopisma „Datebook". Miesięcznik ukazuje się od sierpnia 1963 roku i jest najdłużej obecnym na rynku brytyjskim fanowskim magazynem. Nie wydaje go NEMS, ale firma o nazwie Beat Publications, która płaci za ten zaszczyt. NEMS nie ma udziału w zyskach ze sprzedaży, ale bacznie pilnuje, by magazyn trzymał odpowiedni poziom. To świetna publikacja – są w niej najlepsze fotografie Beatlesów, znacznie ciekawsze od tych zwykle pojawiających się w prasie.

Do magicznego kręgu Beatlesów dołączyło zaledwie kilka osób – w kwestiach zawodowych wciąż współpracują z tymi, którzy jako pierwsi dali im szansę, gdy w 1962 roku pojawili się w Londynie. Poza strukturami NEMS i Apple ich najważniejszym doradcą i zarazem przyjacielem jest George Martin. Jednak w przeciągu pięciu lat jego sytuacja zmieniła się niemal o sto osiemdziesiąt stopni. W roku 1962 był bogiem z Parlophone i znakomitym dyrektorem artystycznym, od którego zależało dosłownie wszystko. Dziś Beatlesi nie są zależni od nikogo. George Martin pożegnał się z EMI w sierpniu 1965 roku, przepracowawszy tam aż piętnaście lat, w trakcie których obserwował, jak Parlophone podnosi się po kryzysie oraz jak zyski EMI osiągają wprost nieprawdopodobny poziom.

„Na sukcesie Beatlesów nie zarobiłem ani pensa. Dostawałem wyłącznie pensję z EMI, która i tak mi się należała z uwagi na umowę. Nigdy nie miałem żadnego udziału w ich zyskach i cieszę się, bo dzięki

temu zawsze mogłem mówić to, co chciałem. Nikt nie mógł powiedzieć, że jechałem na sławie Beatlesów. Ale w EMI wszyscy byli przekonani, że ja muszę czerpać jakieś korzyści z ich zysków, muszę mieć coś z ich wszechstronnej działalności. Z kolei Beatlesi też zawsze sądzili, że mam się dobrze, bo przecież w EMI na pewno o mnie dbają".

W ciągu pierwszego roku Beatlemanii (1963) Martin był prawdopodobnie jedyną osobą mającą styczność z zespołem, która nie zbiła na nim fortuny. Zrobił to z pewnością Dick James, ich muzyczny wydawca. Wówczas Martin był bardziej odpowiedzialny za większą liczbę nagrań plasujących się na pierwszych miejscach list przebojów niż jakikolwiek inny wydawca w historii brytyjskiego popu, choć owa lista nie była zbyt długa. Większość z tych nagrań w jego trzydziestosiedmiotygodniowej passie pierwszych miejsc była dziełem Beatlesów. W swoim dorobku miał też jednak hity Cilli Black, zespołu Gerry and the Peacemakers, Billy'ego J. Kramera, Matta Monro i wielu innych.

W roku 1964 jego pensja wzrosła do trzech tysięcy funtów, jednak wyłącznie w wyniku zapisu w umowie zawartej z EMI jeszcze przed pojawieniem się Beatlesów. Martin próbował wynegocjować dla siebie jakiś motywacyjny system płac. „Sądziłem, że ktoś, kto odwala całą ciężką robotę, zasługuje na jakieś wynagrodzenie, ale EMI bardzo się ten pomysł nie spodobał". Postanowił więc odejść, czym również nie uszczęśliwił EMI, gdyż zabrał ze sobą kolejnych dwóch dyrektorów artystycznych, Johna Burgessa i Rona Richardsa. Wraz z Peterem Sullivanem z Dekki założyli własną firmę, Associated Independent Recordings, w skrócie AIR. Wszyscy ostrzegali ich, że to wielkie ryzyko – iść pod prąd względem tradycyjnej polityki firm fonograficznych. Działających niezależnie dyrektorów artystycznych jest w stanie załatwić jedna klapa artystyczno-biznesowa, podczas gdy wielka firma, dysponująca liczną załogą, może pozwolić sobie na wiele niewypałów. Jednak największe ryzyko dla George'a Martina wiązało się z kwestią, czy utrzyma przy sobie Beatlesów. W świetle prawa

wciąż obowiązywał ich kontrakt z EMI. George Martin był po prostu dyrektorem artystycznym w EMI, zatrudnionym przy pracach nad albumami Beatlesów. Skoro opuścił szeregi EMI i stał się wolnym strzelcem, to EMI nie musi już dawać mu żadnych zleceń – chyba że sami Beatlesi upomną się konkretnie o niego jako dyrektora artystycznego. „Nie konsultowałem mojego odejścia z chłopakami. Po prostu zaryzykowałem, ufając, że nadal będą mnie chcieli". No i chcieli. EMI zgodziło się – nadal są producentami płyt Beatlesów, ale George pracuje przy nich już nie jako pracownik EMI, ale jako wolny strzelec. Firma musi zatem go opłacać, i to słono. „Wydaje mi się, że teraz zarabiam więcej niż dyrektor generalny EMI".

AIR ma do dziś swój drobny wkład w przemianę brytyjskiego rynku fonograficznego. Wielu wybitnych specjalistów wyniosło się z wielkich korporacji i zaczęło sprzedawać swe usługi za podwójne lub potrójne stawki. Na początku 1968 roku AIR miało pod swymi skrzydłami takich artystów jak Beatlesi, Cilla Black, Gerry and the Peacemakers, Shirley Bassey, Adam Faith, Lulu, Tom Jones, Manfred Mann i wielu innych. George Martin, z dwudziestoma trzema złotymi płytami na koncie, ma wreszcie względny spokój. Wiedzie wystawne życie w wielkim, nowiutkim, luksusowym domu nieopodal Hyde Parku i jest właścicielem wiejskiej posiadłości w Wiltshire. Wraz z żoną Judy są rodzicami małej córeczki – Lucy (brak związku z *Lucy In The Sky*). Opiekuje się nią pełnoetatowa niania. Martin stara się nieco ograniczać pracę i zajmować komponowaniem, co nieco śmieszy Beatlesów, którzy twierdzą, że tylko ludzie młodzi potrafią tworzyć muzykę pop. Martin napisał już muzykę do kilku produkcji i pomagał Paulowi przy pracy nad ścieżką do filmu *A Family Way*. Skomponował też główny jingiel dla BBC Radio One (używany aż do połowy lat siedemdziesiątych). Podpisał również kolejne kontrakty na muzykę filmową.

Gdy plan Beatlesów o posiadaniu własnych studiów nagraniowych i dyrektorów artystycznych, czyli rozkwit Apple, wypali, rola George'a Martina może ulec zmianie. Jednak cokolwiek by się nie działo, jego własna firma zdaje się mieć ugruntowaną pozycję. Już teraz wykazują zainteresowanie systemem Playtape, który według Martina zastąpi wkrótce płyty winylowe. Jak przekonamy się w rozdziale trzydziestym, gdy Beatlesi wchodzą do studia, George Martin stara się być zawsze w pogotowiu, choć zespół czuje się już na tyle pewnie w tworzeniu muzyki, a nawet aranżacji, że z Wielkiego George'a robi sobie żarty.

Wydawca muzyczny Dick James nie ma w zespole tak silnej pozycji – łączą go z Beatlesami wyłącznie interesy, choć chłopcy za nim przepadają. Formalnie Dick jest milionerem i to wcale nie wyłącznie dzięki Beatlesom, ale również dzięki temu, że stworzył solidną firmę, czym przyciągnął wielu innych artystów. Dawno minęły już czasy, gdy prowadził ją z jednego, niewielkiego pomieszczenia. Dziś jest właścicielem eleganckiego biurowca przy New Oxford Street, noszącego nazwę nie inną jak Dick James House[144]. Na parterze budynku mieści się oddział banku Midland (wyjątkowo praktyczne posunięcie) oraz biura Northern Songs oraz Dick James Music. W firmie Jamesa, zajmującej cztery kondygnacje i łączną powierzchnię dwóch tysięcy metrów kwadratowych, pracują obecnie trzydzieści dwie osoby.

Dick James wciąż zajmuje się promocją i sprzedażą nagrań Beatlesów (według niego żaden artysta nie jest aż tak dobry, by nie potrzebował porządnej akcji promocyjnej), jednak jego głównym zajęciem jest ściąganie tantiem. To on wypracowuje jak najkorzystniejsze warunki, chociaż w tej branży wiele zależy od panujących zwyczajów. Gdy Beatlesi wydawali *Magical Mystery Tour*, umieszczając wszystko w specjalnym opakowaniu zawierającym książeczkę z dwiema epkami, musiał się nieźle targować z EMI o tantiemy dla zespołu. Prowadzili niekończące się dysputy o każdy

grosik, ale te grosiki pomnożone przez miliony naprawdę nie pozostały bez znaczenia. Jak wielu z tej branży, także Dick James rozszerzył swoją działalność – zajmuje się wszystkimi etapami produkcji płyty, począwszy od załatwiania studiów nagraniowych i samodzielnej produkcji, aż po zlecanie ich sprzedaży poważnym firmom. Podobnie jak George Martin, on także wiele zawdzięcza Beatlesom. Współpraca z nimi pozwoliła mu na zbudowanie własnej marki w show-biznesie.

Wszyscy kumple Beatlesów to podobni do nich goście z Liverpoolu. W różnych okresach przez życie słynnej czwórki przewijało się wiele osób, ale tylko z kilkoma nadal pozostają w kontakcie. Wciąż przyjaźnią się z Alexisem Mardasem (znanym jako Magic Alex), specem od elektroniki, Robertem Fraserem, właścicielem galerii, i Victorem Spinettim, aktorem, którego zatrudniali przy filmach *Help!* i *Magical Mystery Tour*. Pozostali w większości znikali, gdy tylko kończył się filmowy bądź płytowy kontrakt. Nawet gdy rozglądają się za kimś do współpracy, zawsze starają się w pierwszej kolejności skontaktować z którymś z dawnych znajomych. Jednym z nich jest Pete Shotton.

Shotton był najlepszym przyjacielem Johna od czasu, gdy skończył on mniej więcej trzy lata. Byli dwoma łobuziakami z Quarry Bank, ale później Pete poszedł do szkoły policyjnej i kontakt się urwał. Po trzech latach zrezygnował z policji, zdawszy sobie sprawę, że praca ta jest zupełnie wbrew jego naturze, i imał się różnych tymczasowych robót, takich jak pilnowanie kawiarni, która zresztą wkrótce splajtowała. Traf chciał, że gdy w 1965 roku Pete był bez pracy i bez pieniędzy, natknął się w Liverpoolu na Johna. Ten obiecał, że pomoże mu w rozkręceniu dowolnego interesu. „Byłem na wakacjach w Hampshire i wpadł mi w oko pewien supermarket na Hayling Island. Po prostu mi się spodobał, więc John kupił go dla mnie za dwadzieścia tysięcy funtów”. Na pierwszy rzut oka John nieźle ryzykował, inwestując w Pete’a taką sumę i nie mając przy tym żadnej gwarancji, że przyjaciel będzie potrafił sobie poradzić z nowym

wyzwaniem, skoro jego wcześniejsze dokonania wskazywały raczej na coś wręcz przeciwnego. Pete prowadził jednak swój supermarket przez prawie dwa lata i to z powodzeniem. Podniósł wartość obiektu i poszerzył asortyment o dział odzieży męskiej. „Gdyby John nie pojawił się wtedy na mojej drodze, to pewnie skończyłbym jako zwykły bandzior. John mówi, że sam też tak by skończył. Nie miałem grosza przy duszy, pakowałem się w wiele śliskich interesów, a przez tę kawiarnię poznawałem nieciekawych gości". Jesienią 1967 roku John poprosił, by Pete zrezygnował z supermarketu na Hayling Island – kierownictwo przejęła w nim matka Pete'a – i zaproponował mu przeprowadzkę do Londynu oraz pracę w Apple. Pete otworzył na Baker Street pierwszy butik Apple i został jego menedżerem.

Kolejny przyjaciel z Liverpoolu, Terry Doran, również jest zatrudniony w Apple, gdzie zajmuje się publishingiem. Terry pierwotnie był jednym ze znajomych Briana z czasów liverpoolskich, ale samych Beatlesów też poznał dość wcześnie. Gdy ich kariera nabrała tempa, Brian pomógł Terry'emu, który pracował jako dealer samochodowy w Liverpoolu, otworzyć własny serwis. Nosił on nazwę Brydor Car (nazwa to zbitka Brian i Doran) i sprzedawał samochody między innymi Beatlesom. Później firma została zamknięta. Alistair Taylor, który pracował zarówno w liverpoolskim sklepie NEMS, jak i w agencji NEMS Enterprises i był świadkiem podpisania umowy z Beatlesami, również pracuje teraz w Apple jako kierownik biura. Inny przyjaciel Johna z dzieciństwa, Ivan Vaughan, nie jest w żaden sposób związany zawodowo z Beatlesami, ale wciąż się z nimi przyjaźni. Chodził z Paulem do jednej szkoły i to on poznał go z Johnem i jego skifflową kapelą, The Quarrymen. Obecnie studiuje psychologię wychowawczą.

Dwóch najbliższych, najbardziej oddanych i najważniejszych pomocników, a zarazem kumpli to Neil i Mal. Neil (lub Nell) Aspinall od zawsze był ich prawą ręką. Mal Evan, jak zostało wspomniane, pojawił się

nieco później, po krótkim okresie pracy w klubie The Cavern w charakterze bramkarza. To właśnie oni dwaj zajmowali się organizacją podczas największych *tournée* po świecie. Już wtedy nie lubili określenia „kierownik trasy koncertowej” – robili bowiem mnóstwo innych rzeczy – a teraz, gdy Beatlesi nie koncertują, nazwa ta kompletnie przestała mieć jakiekolwiek przełożenie na rzeczywistość. Relacja między nimi a Beatlesami jest niezwykle subtelna: otrzymują honorarium, usługują muzykom, ale nie jest to zależność pan – sługa. Są kumplami, którym przy okazji płaci się właśnie za to, że nimi są – gotowi zawsze i wszędzie, ilekroć któryś z Beatlesów zapragnie towarzystwa kumpla.

Mal jest postawny, bardzo uprzejmy, dobroduszny, rozsądny i wzbudza zaufanie. Z kolei Neil, niższy i szczuplejszy, jest bystry i bezpośredni. Gdyby doszło kiedyś pomiędzy nimi do jakiejś poważnej różnicy zdań, Neil byłby gotów rzucić wszystko i odejść. Gdy nie chce czegoś robić, po prostu się na to nie godzi, choć przypomina mu się tylko jedna taka sytuacja, kiedy odmówił udziału w jakimś wyjeździe. John oświadczył mu wtedy, że zabiera go ze sobą do Hiszpanii na zdjęcia do *Jak wygrałem wojnę*. Koniec końców Neil dał się przekonać i pojechał – całymi dniami szwendał się po planie tylko po to, by po robocie John miał z kim pogadać, bo z pozostałymi aktorami nie miał zbyt wiele wspólnego.

Z kolei Mal, mający za sobą lata stałej roboty, traktuje wszystko jako przydzielone mu zadanie i nigdy nie narzeka. „W Ameryce ciągle pytają: »A co zrobisz, jak to się skończy?« – mówi Neil. – Nigdy się tym nie przejmowałem, ani wtedy, ani teraz. Będę robił coś innego i tyle. Pojęcia nie mam, czym zajmę się później. Nie martwię się tym zupełnie”. Gdy w 1966 roku skończyły się trasy koncertowe, życie Neila i Mala przestało być tak męczące. Jednak kiedy Beatlesi wchodzą do studia, jadą do telewizji czy pracują przy filmie, obaj wracają do swych starych ról – wożą ich do i ze studia oraz czuwają, by cały sprzęt i instrumenty były gotowe na czas. Wciąż noszą się po beatlesowsku: solidarnie zapuścili wąsy i bokobrody,

chodzą też w długich fularach. Zdecydowanie wtapiają się w zespół – tak samo mówią i wyglądają.

Gdy Beatlesi nie nagrywają, życie Mala i Neila jest jeszcze bardziej rozregulowane długimi okresami bezczynności, jednak zawsze pozostają w gotowości. „Mamy się niby wymieniać co tydzień, ale jakoś tak obaj jesteśmy zawsze w pobliżu”. Jeśli któryś z chłopaków jedzie gdzieś osobno, zabiera ze sobą Mala lub Neila. Neil był z Johnem podczas kręcenia filmu. Mal pojechał z Paulem do USA spotkać się z Jane, a z Ringo odbył podróż do Rzymu, by tam pracować przy filmie. W lutym 1968 roku pojechał z zespołem do Indii, do Maharishiego. Zrobili też kawał dobrej roboty jako łącznicy między zespołem a ludźmi takimi jak Dick James. Tu wykazał się szczególnie Neil. To on pilnował, by słowa piosenek dokładnie spisywano, a potem wysyłano do Dicka Jamesa. Pomagają też czasem, biorąc po prostu do ręki marakasy, trójkąty czy inne instrumenty i grając razem z Beatlesami. John często zwraca się do Neila o pomoc podczas pracy nad ostatecznymi wersjami piosenek. Obaj pojawili się w filmie *Magical Mystery Tour*, a Mal był nawet jednym z pięciu magików. Regularnie publikują artykuły o Beatlesach na łamach „Beatles Monthly”, a Mal jest oprócz tego świetnym fotografem.

Neil jest kawalerem, mieszka w dużym, luksusowym mieszkaniu w nowym budynku przy Sloane Street, naprzeciwko hotelu Carlton Towers. W wolnym czasie lubi malować; jest to hobby, które podziela z Beatlesami. W jego mieszkaniu stoi pianino i choć sam właściciel grać nie potrafi, to na instrumencie stoi książka do ćwiczeń otwarta na lekcji drugiej. Przez długi okres Beatlesi raczej mało wykorzystywali Neila, bo tak bardzo cenili go za to, czego już zdążył dokonać – jakby nie było, ma więcej dyplomów niż oni wszyscy razem wzięci. Od roku 1968 pełni jednak funkcję dyrektora Apple Corps – głównej firmy Beatlesów. Trzyma pieczę nad wszystkimi sektorami Apple. Ma teraz przestronne, luksusowe biuro przy Wigmore Street, urządzone iście po królewsku.

Mal jest żonaty i ma dwoje dzieci. Po przeprowadzce do Londynu przez dłuższy czas mieszkał u Neila i przy każdej nadarzającej się okazji jeździł do Liverpoolu. W 1967 roku kupił dom w Sunbury i przeniósł się tam wraz z rodziną. Wybierając dom, chciał, by był on położony w rozsądnej odległości od domów Johna, Ringo i Paula. Obecnie Mal również zajmuje wysokie stanowisko w Apple Records.

Mal i Neil nigdy nie mogli zrozumieć, skąd bierze się ten fantastyczny wizerunek Beatlesów. „To wcale nie robota Briana – mówi Neil. – Co prawda odpicował ich, wcisnął w garnitury i pomógł wziąć się w garść, ale zawsze jawili się jako tak bezgranicznie dobrzy, mili i sympatyczni, choć wcale jakoś specjalnie tacy nie są, a już na pewno nie bardziej niż przeciętny człowiek. Sądzę, że ludzie Chcieli ich takimi widzieć. Fani stworzyli sobie wizerunek na własny użytek, choć zupełnie nie wiem po co. To po prostu było dla nich ważne. Teraz, gdy występują publicznie, bardziej przypominają siebie sprzed czasów Briana; są osobnymi bytami, które robią i mówią to, na co mają ochotę. Ludzie nadal myślą, że oni są tacy mili, choć przy okazji nieco »ekscentryczni«. To doprawdy dziwne, jak ludzie przyzwyczajają się do wykreowania czyjegoś wizerunku”.

„Zawsze spotykam się z tym samym pytaniem: którego Beatlesa lubię najbardziej – mówi Mal. – Zwykle odpowiadam, że tego, który ostatnio był dla mnie miły”.

Rozdział 30
Beatlesi i ich muzyka

Beatlesi nieustannie się rozwijają. Pojawiają się publicznie, ale sporadycznie, dla zabicia czasu, tylko na chwilę, po czym znów znikają. Gdy kończą pracę nad projektem, są już nim zazwyczaj tak znudzeni, że ani myślą do niego wracać, nawet jeśli okazał się ogromnym sukcesem. W swojej muzyce za każdym razem umiejętnie przeplatają nowe ze starym, jak choćby w przypadku *Eleanor Rigby* i *Yellow Submarine* czy *I Am The Walrus* i *Hello, Goodbye*.

Gdyby pokusić się o szukanie wyraźnych przełomów w ich twórczości, znalazłoby się ich wiele. Pierwsza faza rock and rolla skończyła się wiosną 1964 roku utworem *Can't Buy Me Love*. Era nieskomplikowanych brzmień dobiegła końca w sierpniu 1965 roku, wraz z wydaniem *Yesterday* i wprowadzeniem do repertuaru nowych instrumentów. W sierpniu 1966 roku, wraz z ostatnim utworem na płycie *Revolver*, nadeszła era prawdziwych eksperymentów, która miała swój ciąg dalszy na *Sgt. Pepper*. Wytłumaczalne są także ewidentne anomalie, jak choćby *All You Need Is Love* z połowy 1967 roku, która w gruncie rzeczy bardziej pasowałaby do lat 1963–1964, jednak pojawiła się dużo później, jako utwór będący swego rodzaju autoparodią – w ten etap w swojej twórczości weszli właśnie dopiero w roku 1967. Nagrany na początku 1968 roku utwór *Lady Madonna* wcale nie miał być pozostałością po roku 1963, ale pastiszem rock and rolla. Szczegółowe wyjaśnianie wszystkich niuansów kryjących się za powstaniem ich utworów to robota dla muzykologów, i to nie tylko dla pana Manna z londyńskiego „Timesa", który był obecny na każdym koncercie w stolicy. Poważni krytycy muzyczni z Ameryki mogliby napisać o Beatlesach całą książkę i pewnie już to zrobili. Zamiast jednak

analizować historię wszystkich piosenek, łatwiej jest podzielić twórczość zespołu na okres tras koncertowych i czas po zaprzestaniu koncertowania.

Zanim zespół zabrał się w 1962 roku do prawdziwego nagrywania, John i Paul mieli już za sobą ponad sześć lat wspólnego tworzenia. Napisali razem setki piosenek, z czego większość zaginęła lub po prostu została zapomniana. Paul wciąż ma zeszyt pełen zapisków, ale niewiele z nich wynika – wszystkie teksty są dosyć proste, w stylu *Love Me Do* Czy *You Know I Love You*, a ich dawna muzyka to nic więcej jak do, re, mi. Już wtedy nikt poza nimi nie był w stanie z tych notatek wywnioskować, jak dany utwór powinien brzmieć, a teraz nawet oni już tego nie pamiętają. Fakt, że Paul zapisywał wszystkie te „oryginalne kompozycje spółki Lennon-McCartney", jest raczej przejawem jego próżności albo przekombinowanego profesjonalizmu, bo tak naprawdę, zagrawszy je setki razy w The Cavern, znali je na pamięć. Po nagraniu pamiętającej czasy skifflowe płyty *Love Me Do* Beatlesi mogli z powodzeniem wykorzystać pozostałe stare numery, ale nie zdecydowali się na to. Napisali już tyle piosenek, że stworzenie kolejnych na nową płytę przychodziło im stosunkowo łatwo. Zwykle powstawały one podczas wspólnego grania Paula i Johna. Siadywali razem w hotelach bądź gdzieś w podróży i po prostu grali. *She Loves You* powstała w autobusie w Yorkshire. Obaj testowali nowe struny, brzdękając każdy swoje kawałki, pogrążeni we własnych myślach aż do momentu, gdy jednemu spodobało się to, co gra drugi. Wtedy łączyli siły, grając dalej razem, po czym wracali do motywu granego przez pierwszego. Dziś zaprzeczają, jakoby umyślnie koncentrowali się na prostych słowach o dużym ładunku emocjonalnym jak „ja", „mnie" i „ty" – samo się tak układało. Według nich tekst *Love Me Do* jest równie filozoficzny czy poetycki co *Eleanor Rigby*.

Ich pierwsze utwory były jednak mniej skomplikowane. Byli prostymi chłopakami piszącymi piosenki dla rozwrzeszczanych fanek, grywali na jednorazowych występach w oczekiwaniu na natychmiastową reakcję.

Pisali, obmyślali i szlifowali swoje numery podczas tras koncertowych, więc gdy trafiali w końcu do studia, mieli je doskonale przećwiczone. „To ciągłe wychodzenie na scenę i granie tego samego na tych samych starych gitarach, bębnach i basie naprawdę cofało nas w rozwoju – mówi George. – Musieliśmy wciąż używać tylko podstawowych instrumentów. Przez dłuższy czas właściwie nie wiedzieliśmy, co innego można robić. Byliśmy zwykłymi chłopakami z północy, których nagle wpuszczono do wielkiego studia EMI. Tam wszystko działo się bardzo szybko: jedno podejście i gotowe. Tak właśnie było z *Love Me Do*. Lepiej graliśmy tę piosenkę na scenie, niż wyszło to na płycie".

Nagranie pierwszej płyty długogrającej, *Please Please Me*, zajęło im zaledwie jeden dzień i kosztowało czterysta funtów. Natomiast nagranie *Sgt. Pepper* zajęło cztery miesiące i pochłonęło dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Dziś, gdy już nie koncertują, ich sesje nagraniowe są długie i skomplikowane. „Teraz, gdy gramy wyłącznie w studiu, nigdy nie mamy pojęcia, co się będzie działo – opowiada George. – Zawsze musimy się męczyć, zaczynając zupełnie od zera i rozpracowując wszystko na bieżąco. Jeśli Paul napisze piosenkę, przychodzi do studia, mając ją w głowie. Strasznie trudno jest mu nam ją przekazać, a nam ją odebrać. Kiedy wychodzimy z jakimiś propozycjami, możemy nie trafić w jego pomysł, bo on nie ma tego jeszcze w głowie. To wszystko trwa strasznie długo. Nikt nie wie, jakie uzyskaliśmy brzmienie, dopóki wszystkiego nie nagramy i nie odsłuchamy". Nikt nie wie również, w jaki sposób brzmienie rodzi się w głowach Beatlesów. Oni sami tego nie wiedzą albo nie pamiętają, dlaczego dany utwór zagrali w określony sposób. Nie ma sensu ich o to wypytywać, bo już dawno wyrzucili z pamięci takie szczegóły, chyba że jest to coś bardzo świeżego. Jedynym wyjściem jest towarzyszenie im w studiu, chociaż nawet wtedy nie da się zajrzeć do ich głów i można jedynie przysłuchiwać się, co z tego wszystkiego wyniknie.

A LITTLE HELP FROM MY FRIENDS[145]

W marcu 1967 roku Beatlesi kończyli pracę nad albumem *Sgt. Pepper*. Byli w połowie prac nad piosenką dla Ringo, bardzo w jego stylu, którą zaczęli zajmować się dzień wcześniej. O czternastej do domu Paula przy St. John's Wood przyjechał John. Poszli na górę, do pracowni. Był to wąski, podłużny pokój wypełniony sprzętem stereofonicznym i wzmacniaczami. Na ścianie wisiał wielki tryptyk Jane Asher i duża, srebrna rzeźba Paolozziego[146], przedstawiająca kominek zwieńczony głowami Daleków. John zaczął brzdąkać na gitarze, a Paul podgrywał coś na pianinie. Bawili się tak przez kilka godzin, niczym w transie, dopóki któryś nie wymyślił czegoś godnego uwagi, a ten drugi nie wyłuskał tego wśród ogólnego jazgotu. Skoczną melodię skomponowali poprzedniego popołudnia, mieli też tytuł: *A Little Help From My Friends*. Teraz mieli dopracować muzykę i wymyślić słowa.

– *Are you afraid when you turn out the light?*[147] – zaśpiewał John.

Paul powtórzył i przytaknął z aprobatą. John stwierdził, że mogliby wykorzystać ten motyw w każdej zwrotce, gdyby udało im się wymyślić jeszcze więcej podobnych pytań.

– *Do you believe in love at first sight?*[148] – zanucił John, ale po chwili przerwał. – Nie, liczba sylab się nie zgadza. Co myślisz? Można to jakoś przedzielić i dodać pauzę jako dodatkową sylabę?

John zaśpiewał ten sam wers z przerwą:

– *Do you believe, mmm, in love at first sight?*

– A może tak – zaproponował Paul. – *Do you believe in a love at first sight?*

John powtórzył i zaakceptował pomysł, a jednocześnie dodał kolejną linijkę tekstu:

– *Yes, I'm certain it happens all the time*[149].

Następnie wspólnie zanucili obie linijki, wstawiając między nimi zwykłe la-la-la. Oprócz tego mieli tylko refren: *I'll get by with a little help from my friends*[150].

John dodał nagle:

– *Would you believe*[151] – i brzmiało mu to nieco lepiej. Potem zmienili kolejność:

– *Would you believe in a love at first sight. Yes, I'm certain it happens all the time*.

A potem:

– *Are you afraid when you turn out the light?* – jednak czwartym wersem wciąż było la-la-la i nie potrafili wpaść na pasujący rym.

Było już koło piątej. Do domu przyszła Cynthia, w okularach przeciwsłonecznych na nosie, a wraz z nią Terry Doran, jeden z ich starych kumpli z Liverpoolu (również kolega Briana Epsteina). John i Paul grali dalej, Cyn zaczęła czytać książkę, a Terry przeglądał magazyn o horoskopach. John i Paul wciąż powtarzali te swoje trzy wersy w poszukiwaniu czwartego.

– Co się rymuje z *time*? – zapytał John. – *Yes, I'm certain it happens all the time*. Do tego musi być jakiś rym.

– A może: *I just feel fine*[152] – zaproponowała Cyn.

– Nie – odparł John. – Nikt nie używa już *just*. To słowo nic nie znaczy, taka zapchajdziura.

John zanucił: *I know it's mine*[153], ale przeszło to jakoś bez echa. Niespecjalnie pasowało po *Are you afraid when you turn out the light*. Ktoś nawet zasugerował, że brzmi to nieprzyzwoicie.

Terry zapytał, kiedy mam urodziny. Odparłem, że 7 stycznia. Paul przestał grać, mimo że sprawiał wrażenie totalnie pochłoniętego piosenką, i odezwał się:

– Hej, to tak jak mój brat.

Wysłuchał, jak Terry czyta horoskop, po czym wrócił do bazgrania przy pianinie. Nagle zaczął grać *Can't Buy Me Love*. Przyłączył się John, śpiewając ile sił w płucach, śmiejąc się i pokrzykując. Potem Paul zaczął grać utwór *Tequila* – znów obaj zaśmiewali się i krzyczeli jeszcze głośniej. Terry i Cyn czytali dalej.

– Pamiętasz, jak w Niemczech ciągle wrzeszczeliśmy? – zapytał John.

Zagrali piosenkę jeszcze raz – tym razem przy każdej pauzie John wykrzykiwał coś innego: „majtki", potem „książę Edynburga", potem „cycek", potem „Hitler".

Wygłupy i wrzaski ucichły równie nagle, jak się zaczęły, i obaj spokojnie wrócili do pracy nad utworem.

– *What do you see when you turn out the light*[154] – zaśpiewał John, wtrącając trochę innych słów do poprzedniej wersji i pomijając słowo *afraid*. Potem dodał kolejny wers: – *I can't tell you, but I know it's mine*[155] – wprowadzając niewielkie zmiany, dopasował wszystko do siebie.

Paul stwierdził, że tak będzie dobrze, i zapisał pełne cztery wersy w notesie. Mieli już całą zwrotkę i refren. Paul wstał i przeszedł się po pokoju, a John zasiadł do pianina.

– A może kawałek pysznego ciasta z Basingstoke? – odezwał się Paul, sięgając w kierunku półki.

– Nada się na deser – odparł John.

Paul skrzywił się. Terry i Cynthia wciąż pogrążeni byli w lekturze. Paul sięgnął po stojący w kącie sitar i zaczął go stroić, uciszając Johna. Ten zastygł na chwilę przy pianinie, patrząc nieobecnym wzrokiem przez okno. Na podwórzu przed domem Paula dało się zauważyć sześć dziewczęcych głów sterczących ponad murkiem. Dziewczyny przysiadły na chwilę na chodniku, ale już po chwili pojawiły się ponownie. Kurczowo trzymały się ogrodzenia, aż znów brakło im sił. John spoglądał bezmyślnie przez

okrągłe, druciane okulary. Nagle zaczął odgrywać hymn, wymyślając na bieżąco słowa.

– Tkwisz przy murze, by ujrzeć móc Jego Twarz.

Potem jakby podskoczył i zaczął grać jakąś skoczną piosenkę, niczym przyśpiewkę na meczu rugby.

– Napiszmy coś o rugby, co?

Oczywiście nikt go nie słuchał. Tymczasem Paul nastroił sitar i grał wciąż te same dźwięki. Po chwili wstał i przeszedł się po pokoju. John wziął porzucony sitar, ale nie potrafił usadowić się z nim wygodnie. Paul powiedział, że musi usiąść na podłodze po turecku i ułożyć instrument na stopie – George tak robił. Z początku wydaje się to niewygodną pozycją, ale po godzinach ćwiczeń da się przywyknąć. John posłuchał rady, ale zaraz zrezygnował i oparł instrument o krzesło.

– Hej – zawołał nagle do Terry'ego. – Byłeś tam w końcu?

– Tak, kupiłem ci trzy takie kurtki, jak ma George.

– Super – powiedział zadowolony John. – To gdzie są?

– Zapłaciłem czekiem i wydadzą mi je dopiero jutro.

– Ej, a nie mogłeś powiedzieć, dla kogo to? – spytał John. – Mogłeś powiedzieć, że dla Godfreya Winna. Ja chcę je już.

– Będą jutro – powiedział Paul. – Nie przejmuj się, jutro i tak musimy znaleźć jeszcze parę rzeczy.

Paul wrócił do gry na sitarze i zaczął śpiewać bardzo spokojną, piękną piosenkę o głupcu siedzącym na wzgórzu. John słuchał w milczeniu, gapiąc się bezmyślnie w okno, jakby był kompletnie nieobecny. Paul odśpiewał piosenkę jeszcze wiele razy, wypełniając niewymyślone jeszcze wersy zwyczajowym la-la-la. Gdy skończył, John zasugerował, żeby lepiej zapisał sobie te słowa, bo jeszcze je zapomni, ale Paul odparł, że nie ma takiej możliwości. To był pierwszy raz, gdy Paul zagrał Johnowi tę piosenkę. Obyło się bez jakichkolwiek dyskusji.

Zbliżała się siódma, czyli czas przenosin do studia EMI. Postanowili zadzwonić do Ringo i powiedzieć mu, że skończyli jego piosenkę – co oczywiście nie było prawdą – i że nagrają ją wieczorem. John podszedł do telefonu i po chwili wygłupów wybrał numer, ale linia była zajęta.

– Czy jak zostanę na linii, to w końcu się połączę?

– Nie, musisz się rozłączyć – odpowiedział Paul.

IT'S GETTING BETTER

Innym razem, w pierwsze wiosenne popołudnie, Paul wybrał się na spacer z psem, Marthą. Johna wciąż nie było, a mieli dokończyć nagrania do *Sgt. Pepper*. Wpuścił Marthę do swojego astona martina i przekręcił kluczyk, ale silnik nie odpalił. Miał nadzieję, że parę kopniaków załatwi sprawę, ale po chwili zrezygnował i przesiadł się do mini coopera o przyciemnianych szybach. Podkręcił solidnie obroty, a gdy gosposia otworzyła mu wielką, czarną bramę, wypruł przez nią ku zaskoczeniu fanów – i już go nie było. Pojechał na Primrose Hill, zaparkował i wysiadł, nie zamykając samochodu na klucz. Paul zawsze zostawia samochód otwarty.

Martha biegała po ogrzanej słońcem trawie, a Paul pomyślał, że wreszcie nadeszła wiosna. „Jest coraz lepiej”[156], powiedział sam do siebie. Miał na myśli pogodę, ale uśmiechnął się mimowolnie, bo było to jedno z tych zdań Jimmy'ego Nicholsa, z których ciągle nabijali się w Australii. Któregoś razu Ringo był chory i nie mógł grać, więc na części australijskiej trasy zastępował go Jimmy Nichols. Za każdym razem, gdy ktokolwiek pytał Jimmy'ego, jak mu idzie, czy mu się to podoba i czy daje sobie radę, ten odpowiadał zawsze: „Jest coraz lepiej”.

Gdy o drugiej pojawił się John i mieli rozpocząć pracę nad nowym utworem, Paul powiedział:

– Napiszmy piosenkę pod tytułem *It's getting better*.

Zaczęli więc grać, śpiewać, improwizować i wygłupiać się. Gdy melodia była już mniej więcej opracowana, Paul rzekł:

– Musisz przyznać, że jest coraz lepiej.

– Powiedziałeś: „Musisz przyznać, że jest coraz lepiej”[157]?

John wyśpiewał te słowa i tak pracowali do drugiej nad ranem. W tym czasie do Paula przyszło wiele osób, niektóre z nich były umówione na spotkanie. Wszyscy musieli czekać na dole, czytając, albo zostali odesłani z kwitkiem. Paul i John zrobili sobie tylko jedną przerwę na posiłek, coś odsmażanego na szybko.

Następnego wieczoru weszli do studia. Paul zagrał nowy utwór na pianinie, wystukując rytm do słów lub śpiewając la-la-la przy akompaniamencie, żeby pozostali mogli zorientować się, jak to brzmi. Pomysł spodobał się Ringo i George’owi, a także George’owi Martinowi.

Nagrywając piosenki, posługują się wymyślonym przez siebie systemem wielowarstwowego tortu, i pierwszą rzeczą, którą musieli się teraz zająć, było nagranie podkładu na jednej ścieżce. Omówili z grubsza brzmienie instrumentów, jakie chcą wykorzystać, i pogawędzili o innych sprawach. Gdy to ich znudziło, rozchodzili się, by pograć na tym, co mieli akurat pod ręką. W kącie studia stał keyboard, pozostawiony tam po jakiejś innej sesji nagraniowej – ktoś przysiadł się do niego i wystukał kilka dźwięków. Postanowili go wykorzystać. Ringo usiadł przy perkusji i zagrał swój pomysł na podkład, a Paul śpiewał mu jednocześnie do ucha. Ze względu na hałas musiał wrzeszczeć, by cokolwiek mu wyjaśnić. Po jakichś dwóch godzinach prób mieli gotowy pomysł na podkład. George Martin i dwóch dotąd bezczynnych techników studyjnych udali się do swojego dźwiękoszczelnego pomieszczenia, gdzie znów czekali, aż Beatlesi wreszcie się zorganizują.

Neil i Mal przygotowali instrumenty i sprzęt, a muzycy zaczęli w końcu grać i śpiewać *It’s Getting Better*. Siedzący trochę z boku Ringo wyglądał na nieco zagubionego. Pozostała trójka niemal trykała się głowami przy jednym mikrofonie. Zagrali tę piosenkę chyba z dziesięć razy, a jedynym,

co na razie się nagrywało, były instrumenty, a nie wokal. Paul powtarzał co chwila: „Jeszcze raz, spróbujmy tak” albo „Zróbmy mniej basu albo więcej perkusji”. Do północy udało im się nagrać podkład. Następnego dnia u Paula pojawili się John i George. Zamierzali nagrać wokal, więc obecność Ringo była zbędna. Był tam również Ivan Vaughan, kolega Johna i Paula z czasów szkolnych O siódmej trzydzieści poszli do EMI, gdzie, niczym niezwykle wyrozumiały gospodarz, czekał już na nich George Martin. Wielokrotnie odsłuchali nagrany poprzedniego wieczora podkład. George Harrison i Ivan gawędzili w kącie studia, ale Paul i John słuchali w skupieniu. Paul wydawał technikom instrukcje, które gałki poruszyć, naprowadzając ich na uzyskanie pożądanego efektu – jakie ma być brzmienie, które fragmenty podobają mu się najbardziej i tak dalej. George Martin tylko się przyglądał, wtrącając się jedynie wtedy, gdy było to konieczne. John gapił się przed siebie.

W studiu pojawił się wydawca muzyczny, Dick James, ubrany w kurtkę koloru karmelowego. Przywitał się z nimi radośnie i zażartował, że w plotce o rzekomym kupnie Northern Songs przez EMI nie ma ani krzty prawdy. Wysłuchał podkładu do *It’s Getting Better*, ale nie okazał żadnych emocji. Zagrali też dla niego jedną z innych piosenek – o dziewczynie, która ucieka z domu. George Martin przyznał, że przy tym utworze nieomal się rozpłakał. Dick James posłuchał piosenki i powiedział, że jest bardzo dobra, że przydałoby mu się więcej takich. „To znaczy, że nie podobają ci się bardziej odlotowe kawałki?”. Dick James powiedział, że nie to miał na myśli i po chwili wyszedł.

Odsłuchali podkład do *It’s Getting Better* chyba po raz setny, ale Paul wciąż nie był zadowolony z efektu. Uznali, że lepiej zadzwonić po Ringo i zrobić to jeszcze raz. Ktoś poszedł do telefonu. Pojawił się Peter Brown, który właśnie wrócił z podróży do Ameryki. Przywiózł kilka amerykańskich płyt, na które Beatlesi dosłownie się rzucili. Puścili mu *She’s Leaving Home* i kilka innych kawałków z *Sgt. Pepper*, które zdążyli

już nagrać. A potem jeszcze podkład do *It's Getting Better.* Paul powiedział jednemu z techników, by spróbował uzyskać jeszcze inny dźwięk, po czym stwierdził, że tak jest dużo lepiej i może tak zostać. Ringo nie będzie jednak potrzebny. „A my właśnie wezwaliśmy Ringo", powiedział John. Udało się go jednak odwołać. Studio było już przygotowane do nagrywania wokali. Mal, na prośbę Neila, przyniósł napoje: herbatę i sok pomarańczowy.

Herbata Paula zdążyła wystygnąć, bo ten zajmował się stojącym w kącie oscyloskopem. Bawiąc się przełącznikami, uzyskał aż sześć różnych dźwięków. Jednemu z technicznych powiedział, że gdyby udało się komuś wyprodukować oscyloskop z możliwością kontrolowania dźwięków i ich wysokości, to powstałby nowy instrument elektroniczny.

Wreszcie byli gotowi – stanęli we trzech przy jednym mikrofonie i zaśpiewali *It's Getting Better*, a George Martin i jego dwaj asystenci nagrali wokal. Beatlesi tylko śpiewali, nie grali na instrumentach, a podkład słyszeli w nałożonych na uszy słuchawkach. Po prostu śpiewali do nagranego wcześniej akompaniamentu. W studiu słychać było jedynie głosy, bez żadnego tła muzycznego. Brzmiało to bardzo nijako i poza tonacją. Próbowali tak chyba ze cztery razy, gdy John powiedział, że nie czuje się za dobrze i że przydałoby mu się trochę świeżego powietrza[158]. Ktoś otworzył tylne drzwi i nagle rozległo się walenie i wrzaski, a drzwi zaczęły się uginać pod naporem fanów, którym jakimś cudem udało się przedostać do środka. George Martin wyszedł z reżyserki i poradził Johnowi, żeby lepiej wyszedł na dach niż przed budynek.

– Co z Johnem? – spytał Paul przez mikrofon, bo George Martin zdążył już wrócić do reżyserki.

– Patrzy na gwiazdy – odparł George Martin.

– Jak Vince Hill? – powiedział Paul i wraz z George'em, śmiejąc się, zaczął śpiewać *Edelweiss*[159]. Po chwili wrócił John.

Siedzący w kącie studia Mal, Neil i Ivan nie słyszeli tych żartów. Wypili już herbatę. Ivan pisał list do matki, a Neil uzupełniał pamiętnik, który zaczął prowadzić dwa tygodnie temu, choć, jak twierdzi, powinien był zacząć to robić jakieś pięć lat wcześniej.

W pewnym momencie w drzwiach stanął dawny znajomy, Norman Smith. Miał na sobie fioletową koszulę. Był kiedyś ich inżynierem dźwięku, teraz zaś pracował dla Pink Floyd. Zapytał uprzejmie George'a Martina, czy jego kumple mogliby wpaść podpatrzeć Beatlesów przy pracy, ale George tylko się uśmiechnął, nie dając jednoznacznej odpowiedzi. Norman przyznał, że może powinien od razu spytać Johna, czy wyświadczyliby mu taką przysługę, ale George Martin odmówił. Dodał, że gdyby wpadł z chłopakami około jedenastej, to może uda mu się coś załatwić. Zjawili się więc o jedenastej, wymieniając kilka wymuszonych uprzejmości na powitanie. Beatlesi wciąż pracowali nad wokalami do *It's Getting Better*, odśpiewując piosenkę już chyba po raz tysięczny. Zanim wybiła druga, udało im się wreszcie stworzyć coś, co przynajmniej nie było powodem do niezadowolenia.

MAGICAL MYSTERY TOUR

Melodia i słowa do *It's Getting Better* były gotowe, zanim Beatlesi weszli do studia, ale gdy któregoś wieczoru, o siódmej trzydzieści, pojawili się przy Abbey Road z zamiarem nagrywania *Magical Mystery Tour*, mieli zaledwie tytuł i kilka taktów. Przed budynkiem jak zwykle czekał na nich tłum fanów, lecz tym razem nie krzyczących, a milczących i skruszonych niczym pokorni poddani speszeni obecnością mistrzów. Gdy chłopcy wchodzili do środka, jedna z dziewczyn ośmieliła się podać George'owi przypinkę z napisem „George nowym premierem". „Czemu miałbyś zastąpić Paula McCartneya[160]?", zapytał George'a John.

W studiu Paul zagrał na pianinie pierwsze takty do *Magical Mystery Tour*, żeby pokazać pozostałym, jak to ma brzmieć. Wymachiwał przy tym

rękoma i co jakiś czas wykrzykiwał: „Pstryk, pstryk”, mówiąc, że będzie jak w reklamie. John miał na sobie pomarańczowy rozpinany sweter i fioletowe aksamitne spodnie oraz małą futrzaną torebkę. Otworzył ją, wyjął papierosa i zapalił. Ktoś krzyknął, że dzwoni do niego szofer, Anthony.

Wszyscy zebrali się wokół pianina, na którym Paul wciąż grał pierwsze takty. Polecił Malowi zapisać kolejność, w jakiej będą pracować nad piosenką. Mal zanotował niezdarnie niczym uczniak tytuł utworu i czekał na kolejne instrukcje. Paul powiedział: „Trąbki” – właśnie tak, na początku będą trąbki, takie fanfary wtórujące słowom *roll up, roll up for the Magical Mystery Tour*[161]. Lepiej, żeby Mal zapisał także ten wers, bo był jedynym, jaki mieli. Paul powiedział mu, żeby zapisał jeszcze DAE – pierwsze trzy akordy utworu. Mal polizał ołówek z zamiarem zanotowania kolejnych inspirujących uwag Paula, ale się nie doczekał.

Po przygotowaniu instrumentów Beatlesi zabrali się do nagrywania podkładu muzycznego – zawsze w ten sposób zaczynali pracę. Do studia wrócił John i spytał Mala, czy ten kontaktował się już z Terrym. Mal odparł, że nie udało mu się go namierzyć, na co John odpowiedział, że na tym polega praca Mala, musi go namierzyć i ma to robić do skutku.

Dopracowanie i nagranie pierwszej ścieżki z podkładem zajęło kilka godzin. Gdy skończyli, Paul poszedł do siedzącego w reżyserce George’a Martina i wielokrotnie odsłuchał efektu nagrania. Podczas gdy Paul zaangażował techników przy pracy w reżyserce, na dole w studiu George wydobył ze skórzanej kurtki zestaw kredek i zaczął coś rysować, a Ringo palił papierosa i gapił się w przestrzeń z tym swoim nieszczęśliwym wyrazem twarzy, który pojawia się u niego zawsze, kiedy milczy. John siedział przy pianinie, brzdąkając po cichu lub podskakując niczym szaleniec, to znów waląc w klawisze i grając jakąś dziwaczną melodię. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Uśmiechał się przy tym do siebie tym swoim diabelskim uśmieszkiem i spoglądał zza okularów niczym japoński gnom.

Neil przeglądał stos „Occult Weeklies”, który pozostali zdążyli już przekartkować, a Mal zniknął. W końcu Paul zaakceptował brzmienie pierwszego nagrania, wrócił na dół i stwierdził, że mogą teraz dodać kilka nowych rzeczy.

W studiu ponownie pojawił się Mal, wnosząc dużą, papierową torbę pełną różnokolorowych skarpetek. Podał ją najpierw Johnowi, który zachwycony wybrał sobie kilka pomarańczowych, frotowych par, a potem przekazał pakunek pozostałym. Poprzedniego wieczoru rzucił w przelocie: „Mal, skarpetki”. Gdy już wszystkie pary zostały rozdane, Paul spytał Mala, czy udało mu się zdobyć jakieś plakaty, ale ten odparł, że przez cały dzień szukał po dworcach autobusowych i nie znalazł żadnego. Mieli nadzieję, że zdobędą oryginalne plakaty, które staną się inspiracją do słów piosenki, tymczasem zmuszeni byli sami wymyślić coś, co będzie pasowało do jedynego gotowego wersu: *Roll up, roll up*. Gdy tak przerzucali się pomysłami, Mal zapisywał je wszystkie skrupulatnie: „rezerwacja”, „zaproszenie”, „podróż życia”, „satysfakcja gwarantowana”. Wkrótce jednak znudzili się, postanowili zacząć śpiewać cokolwiek i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Na koniec Paul stwierdził, że przy kolejnej ścieżce doda do podkładu nieco więcej basu. Założył słuchawki, by posłuchać, co do tej pory nagrali, i podniósł gitarę basową. Potem doszedł do wniosku, że powinni dołożyć jeszcze więcej dźwięków. Paul, Ringo, John, George, Neil i Mal złapali za wszystkie prymitywne instrumenty, jakie mieli pod ręką: marakasy, dzwonki i tamburyna. George Martin tym razem nie dołączył, choć na wielu płytach również i on brał udział w nagraniach. Wszyscy założyli słuchawki i zaczęli grać.

O godzinie drugiej mieli gotowy podstawowy podkład, do którego dodali też bas, trochę perkusji oraz mnóstwo wrzasków i chaotycznych słów, po czym… zapomnieli o *Magical Mystery Tour* na prawie sześć miesięcy.

Beatlesi zawsze zdają się nagrywać w kompletnym chaosie. Sklejanie wszystkiego w całość na bieżąco jest na pewno kosztowną metodą pełną prób i błędów. Kiedyś nagrywali piosenki za jednym podejściem i na jednej, góra dwóch ścieżkach, a teraz potrzebują co najmniej czterech ścieżek, bo wciąż wymyślają dodatkowe instrumenty czy efekty. A gdy dodać jeszcze czterdziestoosobową orkiestrę, jak w przypadku *A Day In The Life*, to koszty nagrania stają się naprawdę kosmiczne. Obserwując poszczególne etapy prac, często trudno zrozumieć, jakiego efektu poszukują, skoro po nagraniu kilku ścieżek wszystko zdaje się brzmieć doskonale. Nierzadko zdarza się, że końcowa, skomplikowana i wielowątkowa wersja jakby tłamsi pierwotną, prostą melodię. Ale oni wiedzą, że jeszcze coś nie pasuje, nawet jeśli nie potrafią określić co dokładnie. Są nieprawdopodobnie zaangażowani w to, co robią – mogą wgryzać się w jeden utwór nawet przez dziesięć godzin.

Zazwyczaj rolę lidera przejmuje Paul – musi być bowiem ktoś, kto powie, że coś nie jest wystarczająco dobre i trzeba to powtórzyć. Niby wszyscy to wiedzą, ale ktoś musi wydać polecenia, a Paul robi to najlepiej, bo ma w sobie najwięcej zapału do pracy. Najważniejsze decyzje podejmują jednak wspólnie – gdy pracują nad piosenką Johna, to on staje się głównym dowódcą. Podobnie jest z George’em, który jako jedyny ma absolutnie pełną kontrolę nad swoimi utworami.

*

Tak mniej więcej wygląda schemat prac nagraniowych. Jeśli jednak chodzi o sam sposób pisania tekstów i tworzenia muzyki, jednego schematu brak – to wynik przeróżnych sposobów działania.

„Ostatnie cztery piosenki na płycie to zwykle istna katorga – mówi Paul. – Jeśli potrzebujemy jeszcze czterech kawałków, to musimy po prostu usiąść i je wymyślić. Niekoniecznie są one gorsze od tych powstałych wyłącznie z nieskrępowanej wyobraźni, a często są nawet od nich lepsze, bo na tym etapie nagrywania płyty wiemy już, jakiego rodzaju piosenki do

niej pasują”. W ten oto sposób powstaje mniej więcej jedna trzecia ich piosenek – potrzebny jest nowy numer, ale nie można czekać na natchnienie. John i Paul mogliby robić tę ciężką robotę w pojedynkę, ale zwykle decydują się na współpracę, spotykają się koło czternastej i przeznaczają resztę dnia na komponowanie. Reszta piosenek to zawsze efekt natchnienia, nawet jeśli jest ono zaledwie minimalne. Rzadko zdarza się, że gdy ni stąd ni zowąd pojawia się inspiracja, od razu siadają i zabierają się do roboty – najczęściej lokują pomysł gdzieś z tyłu głowy, odkładając go na później. Nawet będąc w trakcie pracy nad albumem, przynoszą sobie nawzajem niedokończone kawałki do przesłuchania. Robią to przede wszystkim z lenistwa, licząc na pomoc innych.

Pomysł na *Eleanor Rigby* zakiełkował w głowie Paula, gdy pewnego dnia w Bristolu przyglądał się wystawie sklepowej i przyszło mu do głowy imię i nazwisko Daisy Hawkins. Zabawiając się w myślach tymi dwoma słowami, zmienił je w końcu na Eleanor Rigby. Melodia przyszła sama, ale słowa pozostały niedokończone aż do samego nagrania. Ostatnią zwrotkę wymyślili wszyscy razem w studiu, dorzucając pomysły w ostatniej chwili.

Jedyną piosenką, o której mogą powiedzieć, że powstała błyskawicznie i została nagrana bez żadnych zmian, był utwór Johna, *Nowhere Man*. Sam John nie jest z niej specjalnie dumny. „Siedziałem sobie, próbując coś wymyślić, gdy nagle pomyślałem o sobie samym: siedzącym tak, nic nierobiącym i niezmierzającym donikąd. A kiedy już o tym pomyślałem, reszta przyszła łatwo, samo się ułożyło. Chociaż nie, teraz sobie przypominam, że próbowałem przestać o tym myśleć i skupić się na czymś innym, ale nic to nie dało. Miałem już tego serdecznie dość, więc poddałem się i poszedłem się położyć. I wtedy pomyślałem o sobie jako o nieistniejącym człowieku, siedzącym w swoim nieistniejącym królestwie[162]”.

Niezwykle rzadko zdarza się, że natchnienie przychodzi znikąd. Zazwyczaj ma swoje źródło we wspomnieniach lub otoczeniu – może to być przeszłość, jak w przypadku *Penny Lane*, lub teraźniejszość, jak przy *Lovely Rita*. Specjalistą w czerpaniu pomysłów z mediów zawsze był John. „*Mr Kite* to był strzał w dziesiątkę: tego dnia, gdy próbowałem coś wymyślić, wszystkie słowa podano mi jak na tacy. To był taki stary plakat, który kupiłem w sklepie ze starociami. Byliśmy chyba w Surrey czy gdzieś tam i kręciliśmy teledysk do *Strawberry Fields Forever*. Mieliśmy przerwę, więc wstąpiłem do sklepu i kupiłem plakat reklamujący rewię, w której występował Pan Kite. Mieli tam być też Hendersonowie, pojawiający się ostatnio pod nazwą Pablo Fanques Fair. Miały być obręcze i konie, ktoś przechodzący przez płonącą beczkę i koń Henry. Początek przedstawienia o piątej pięćdziesiąt, przy Bishopsgate. Spójrz na wykonawców: Pan Kite jest gwiazdą programu[163]. Praktycznie nie musiałem nic dopisywać, wystarczyło połączyć tekst, słowo w słowo. Nie byłem specjalnie dumny z tego numeru, nie było w tym żadnej mojej pracy. Po prostu udawałem, że coś tworzę, bo potrzebowaliśmy wtedy nowego kawałka do *Sgt. Pepper*”.

Podobne niespodziewane natchnienie przyczyniło się do stworzenia utworu, który dla wielu pozostaje najlepszą piosenką na płycie *Sgt. Pepper*, a mianowicie *A Day In The Life*. Utwór ten nie mógł pojawiać się antenie BBC w związku z podejrzeniami, że zawiera odniesienia do narkotyków – chodzi o wers *I’d love to turn you on*[164]. Nawet John był zadowolony z efektu. Większość słów w pierwszej części – wersy zaczynające się od *I read the news today, oh boy*[165] – to autentyczne fragmenty prasy, którą John czytał w dzień powstania piosenki. „Pisałem ją, mając na pianinie wydanie »Daily Mail« otwarte akurat na »skrócie wiadomości« czy »z kraju i ze świata«, czy jak oni to tam nazywają. Była tam wzmianka o odkryciu czterech tysięcy wybojów na ulicach Blackburn, w Lancashire. Kiedy pojechaliśmy nagrywać, w zwrotce wciąż brakowało jednego słowa,

wiedziałem, że ma być: *Now they know how many holes it takes to… something, the Albert Hall*[166]. Zwrotka była trochę bez sensu, ale z jakiegoś powodu kompletnie nie mogłem wymyślić tego czasownika. Co dziury mogły zrobić z Albert Hall? To Terry wpadł na pomysł z „wypełnić" Albert Hall i to było to. Być może sam szukałem właśnie tego wyrazu, tylko nie mogłem się wysłowić. Osoby trzecie niekoniecznie faktycznie podają ci słowo czy wers; one raczej dorzucają ten wyraz, którego właśnie szukasz".

Film, o którym jest wzmianka w tekście, nie był jednym z tematów w gazecie. Tym razem chodziło o produkcję, w której John właśnie grał: *Jak wygrałem wojnę*. Była to zrealizowana na podstawie powieści historia o wojnie wygranej przez wojsko brytyjskie[167]. Słowa *about a lucky man who made the grade*[168] to dość luźne nawiązanie do śmierci przyjaciela Johna i reszty Beatlesów, Tary Browne'a. Brat Paula, Michael, był jego serdecznym przyjacielem. W gazecie, którą przeglądał John, pisząc piosenkę, znalazła się wzmianka o jego śmierci. „Nie opisałem dokładnie wypadku, Tara nie popełnił samobójstwa, ale taki obraz pojawił się w mojej głowie podczas pisania tej zwrotki". Tara nie był także członkiem Izby Lordów. Był synem lorda Oranmore i Browne, a co najciekawsze, pochodził z rodziny Guinnessów.

Geneza *Good Morning, Good Morning* wywodzi się z telewizyjnej reklamy płatków kukurydzianych. „Często pracuję przy pianinie z grającym w tle po cichu telewizorem. Gdy kiepsko mi idzie i nie mogę niczego wymyślić, zaczynają docierać do mnie słowa płynące z telewizora. Właśnie w takiej sytuacji usłyszałem: »*Good morning, good morning*«". W przypadku Johna często bywa tak, że pierwszym krokiem do stworzenia piosenki jest wymyślenie jakiegoś rytmu, do którego potem dopasowuje słowa. Następnie w myślach lub przy pianinie zmienia i udoskonala ten podstawowy rytm, składający się najpierw z trzech bądź czterech nut.

Gdy pewnego dnia John siedział w swoim domu w Weybridge, usłyszał w oddali syrenę policyjnego samochodu – był to dźwięk składający się z dwóch powtarzających się nut: wysokiej i niskiej. Rytm ten utkwił mu w pamięci i próbował dopasować do niego jakiś tekst: *Mis-ter, Ci-ty, p'lice-man, sit-tin, pre-tty*[169]. Próbował jeszcze zmienić nieco kolejność na […] *sitting pretty, like a policeman* i na tym poprzestał. Stwierdził, że to będzie podstawa piosenki, ale nie ma sensu teraz się nad tym rozwodzić – zawsze można będzie wrócić do niej w razie potrzeby. „Zapisałem to sobie na jakiejś kartce. Zawsze jestem przekonany, że zapomnę, więc zapisuję, choć pewnie bym nie zapomniał". Tego dnia zapisał jeszcze kilka głupawych słów, które potem można dopasować do kolejnego rytmu. *Sitting on a cornflake, waiting for the man to come*[170]. Wydawało mi się, że powiedział *van to come*[171], ale tylko mi się tak wydawało, choć John uznał, że ta wersja właściwie bardziej mu się podoba i taką wykorzysta. Miał w głowie jeszcze jedną melodię – zaczynało się to od *sitting in an English country garden*[172]. To właśnie robi przez przynajmniej dwie godziny dziennie – siedzi na schodach przed oknem i patrzy na swój ogród. Tym razem, siedząc tak, myślał o tym i tak długo powtarzał w głowie te słowa, aż wymyślił do nich melodię. „Nie wiem, jak się to wszystko skończy, być może wszystkie te myśli znajdą się w jednej piosence – *sitting in an English country garden, waiting for the van to come*. Nie wiem".

I tak właśnie było – poskładał do kupy wszystkie elementy i powstało *I Am the Walrus*. W tle słychać uporczywe wycie policyjnej syreny, od której wszystko się zaczęło. To bardzo częsty przypadek: elementy piosenek, które z początku były odrębnymi pomysłami, stają się jednym utworem. Przy okazji John oczyszcza umysł, robiąc miejsce dla nowych koncepcji. Inspiracją dla niego jest zwykle rytm, choć coraz częściej próbuje dopasować swoje wiersze lub luźne skojarzenia do muzyki, natomiast Paul zwykle zaczyna od melodii. Któregoś ranka John obudził się o siódmej i nie

mógł zasnąć. W głowie krążyły mu słowa *pools of sorrow, waves of joy*[173]. Wstał i zapisał je, tworząc jednocześnie aż dziesięć wersetów, które potem pojawiły się w *Across the Universe*. Podczas tych porannych zapisków zdawał sobie sprawę, że to jedynie jakieś kiepskie frazy bez ładu i składu, dzięki którym dobrnie do następnego wersu. Był nimi tak zażenowany, że zaczął pisać coraz mniej wyraźnie i starannie, bo bał się, że ktoś mógłby kiedyś odczytać słowa, które wcale mu się nie podobały. Podobnie postępował ze swoimi wierszami z dzieciństwa albo listami do Stu – ukrywał w ten sposób swoje sentymentalne wywody, na wypadek gdyby trafiły w ręce Mimi lub kogoś innego. Ostatecznie piosenka wcale mu się nie podobała. Twierdził, że nie wyszła tak, jak słyszał ją w głowie. Po powrocie z Indii w kwietniu 1968 roku postanowił nagrać ją ponownie, bo przyszło mu do głowy kilka nowych pomysłów.

Gdy John rozmawia z George'em Martinem o swoich utworach, w swoje opowieści wplata mnóstwo przeróżnych świstów i innych odgłosów, bo właśnie w ten sposób John stara się przekazać swoją wizję piosenki. Nie wydaje się też tak zdecydowany jak Paul, bo po odsłuchaniu nagrania pyta innych o opinię, podczas gdy Paul zwykle mówi prosto z mostu, że należy zrobić coś jeszcze raz.

Kolejną piosenką, która zakiełkowała w głowie Johna jako prosty zlepek słów bez muzyki, było *Hey Bulldog*. To jeden z tych utworów, który pojawiwszy się w okresie po trasach koncertowych, zajął w studiu nagrań stosunkowo niewiele czasu. Został zarejestrowany w całości w ciągu jednego dnia w lutym 1968 roku. Pewnej niedzieli musieli pojawić się w studiu na nagraniu trzyminutowego filmiku promującego piosenkę Paula, *Lady Madonna*, która znalazła się na stronie A singla wydanego w marcu. „Paul powiedział, żeby nie tracić czasu i popracować nad prawdziwą piosenką, i spytał, czy mógłbym coś przynieść. Miałem wtedy w domu jakieś zapiski, więc zabrałem je ze sobą". Z pomocą Neila i pozostałych

skończyli pisać słowa, John opowiedział im z grubsza, jakie jest jego wyobrażenie o tym kawałku, i grając na instrumentach, stworzyli wspólnie podkład. Wszystko to było jednocześnie nagrywane przez ekipę filmową. Słowa zmieniały się jeszcze potem kilkukrotnie, nawet podczas śpiewania, bo Paul błędnie odczytał pismo Johna i zamiast *measured out in news*[174] pojawiło się *measured out in you*[175] – zgodnie wybrali tę drugą wersję. Gdy zaczęli nagrywać, w całym tekście nie było ani jednej wzmianki o buldogu, był za to fragment o ryczącej żabie[176], więc Paul zaczął szczekać jak pies, żeby rozśmieszyć Johna. Postanowili wkomponować to szczekanie i zmienić tytuł, a John przyznał, że pomysł z psem jest świetny i że to mógłby być pies, który ciągle szczeka i zaczepia cię, niczym ta dziewczyna z piosenki, która próbuje cię poderwać. John chwycił sitar i zaczął śpiewać z akcentem z Lancashire, brzdąkając jak George Formby[177], ale nie udało im się wkomponować tego w piosenkę.

John komponuje głównie przy pianinie, zupełnie nieobecny przez długie godziny, podczas gdy jego palce wędrują po klawiszach w poszukiwaniu dźwięków. „Tu mam jeszcze jakieś zapiski, kilka słów wziętych chyba z jakiejś reklamy: »Płacz, maluszku, płacz, niech ci mama kupi coś«. Wygrywałem to sobie na pianinie, ale teraz odkładam na potem – przyda się kiedyś. Zdarza mi się wstawać przy pianinie, jakbym był w jakimś transie. Czasami zdaję sobie sprawę, że umknęło mi parę rzeczy, które mogłyby się kiedyś przydać”. Paul zwykle pracuje nad całą piosenką, a nie nad poszczególnymi kawałkami, choć bardzo często zostawia je niedokończone. A nawet jeśli są ukończone, to i tak leżą potem długo nietknięte. Utwór *When I’m Sixty Four*[178] (wiek wybrany celowo na cześć ojca Paula) powstał jeszcze w czasach The Cavern, a wpadł mu w ręce i wydał się odpowiedni dopiero podczas prac nad *Sgt. Pepper*.

Bywa też tak, że gdy zarówno John, jak i Paul mają po niedokończonej piosence, łączą ją w jedną – świetnym tego przykładem jest *A Day In the Life*. „Napisałem pierwszą część i dałem Paulowi do posłuchania, mówiąc, że potrzebujemy jeszcze ośmiu środkowych taktów. Odpowiedział: »A może tak: *Woke up, fell out of bed, dragged a comb across my head*?«[179]”. To była piosenka, którą stworzył, nie mając pojęcia, nad czym ja pracowałem. Powiedziałem, że to strzał w dziesiątkę. Potem stwierdziliśmy, że przydałby się łącznik, jakiś narastający dźwięk, który połączyłby oba fragmenty. Chcieliśmy wymyślić też zakończenie i zdecydować, jak będzie brzmiał podkład oraz jakich instrumentów użyć. Podobnie jak z większością naszych piosenek, i ta nie była zupełnie gotowa aż do ostatniej chwili. One wszystkie ciągle się zmieniają. Często jest tak, że nie udaje się zrobić takiego podkładu, jaki wymyślam sobie na samym początku. Tak było z *Tomorrow Never Knows*, gdzie miałem w głowie pomysł ze śpiewającym w tle chórem tysięcy mnichów. Musieliśmy oczywiście odpuścić z przyczyn praktycznych i zrobiliśmy coś innego, ale teraz wiem, że powinienem był bardziej zdecydowanie bronić swojego pierwotnego pomysłu, bo ta piosenka tego właśnie potrzebowała”.

Długi pobyt w Indiach u Maharishiego wiosną 1968 roku okazał się świetnym momentem na pisanie piosenek – i to wcale nie hinduskich. Dziwne i obce środowisko Hamburga uaktywniło w nich liverpoolskie brzmienie. Podający się za eksperta w temacie Beatlesów Marshall McLuhan uważa, że potwierdza to jego teorię: gdy stare, dobrze znane nam środowisko zostaje nagle zastąpione nowym, owo stare staje się inspiracją artystyczną. Pobyt w Indiach miał na Beatlesów podobny wpływ, przynajmniej na Paula, który wrócił do swych młodzieńczych fascynacji, takich jak musicale rodem z Hollywoodu czy westerny. Po powrocie John i Paul napisali około sześciu czy siedmiu piosenek, co w sumie wystarczyłoby na nowy album. Mieli już nawet na niego gotowy pomysł:

miał zawierać piosenki będące ścieżką dźwiękową z nieistniejącego musicalu i nosić tytuł *A Doll's House*[180]. Doll to imię dziewczyny, a w jej tytułowym domu rozrywek mieli spotykać się przeróżni ludzie. Jednak Beatlesi zorientowali się, że tytuł *Doll's House* został już kiedyś przez kogoś wykorzystany.

Gdy po powrocie do Paula schodzili się znajomi, grał dla nich swoje utwory w towarzystwie Jane śpiewającej la-la-la. Robił to zwłaszcza wtedy, gdy ktoś zaczynał tyradę, ile to spraw zostało zawalonych podczas ich nieobecności. „Nie, nie, nie opowiadajcie mi o tym, lepiej posłuchajcie". I zaczynał grać kawałek o młodzieńcu imieniem Rocky Racoon, który w hotelowym pokoju znajduje wyłącznie Biblię. Śpiewając rym *Bible – rival* robił skruszoną minę. Miał też piosenkę o rupieciach na wysypisku. Śpiewając, przerywał przy fragmencie o „potrzaskanym jubileuszowym kubku", by powiedzieć, że fantastycznie śpiewa się słowo „jubileuszowy". Potem był kawałek o dziewczynie siedzącej w oddali z czerwoną parasolką, a w nim tylko kilka słów między zwykłym la-la-la. Szczególnie upodobał sobie śpiewanie piosenek o tym, jak to świetnie być znów w Związku Radzieckim, które naprędce wyśpiewywał w stylu country. W refrenie naśladował głos członka zespołu Beach Boys. Brat Paula, Michael, zasugerował nawet zaproszenie Beach Boysów do zaśpiewania refrenu, ale Paul się nie zgodził. Mimo że w piosenkach Paula wciąż roiło się od niezapełnionych luk, śpiewając je znajomym, nie oczekiwał żadnych sugestii, jak było w przypadku Johna. Nie śpiewał ich też po to, by się popisywać – zwyczajnie dzielił się radością, która towarzyszyła mu przy początkach pracy nad utworami, zanim zdołał je ukończyć, a potem zapomnieć na zawsze.

Wyprodukowanie dźwięku, jaki John, Paul i George słyszą w swoich głowach, jest zadaniem karkołomnym dla Beatlesów, a co dopiero dla George'a Martina. Dostaje od nich skrawki melodii, których często nie

sposób poskładać w całość, albo w ostatniej chwili zasypują go problemami nie do rozwiązania – tak jak wtedy, kiedy wydawało im się, że mogą wynająć sobie studio w Shepperton na sfilmowanie *Magical Mystery Tour* z zaledwie tygodniowym wyprzedzeniem. Podobnie jest teraz, gdy nagle wymyślą sobie, że wieczorem chcą mieć do dyspozycji czterdziestoosobową orkiestrę, a George Martin ma to wszystko zorganizować. Bywa też nieco zdziwiony ich brakiem rozeznania muzycznego. „Chcą na przykład, żeby skrzypce grały F pod małym C, czego skrzypce naturalnie zrobić nie mogą". Jednocześnie zgadza się na ich technikę nagrywania ścieżki po ścieżce, aż do uzyskania pożądanego brzmienia. Polubił tę elektroniczną zabawę podczas nagrywania jeszcze w czasach eksperymentów z dziwacznymi dźwiękami na płytach Petera Sellersa. Podejrzewa, że Beatlesi mogliby często nagrać nawet i sześćdziesiąt cztery ścieżki, by pododawać wszystko, co wpadnie im do głowy, a nie zaledwie cztery. „Widziałem kiedyś film o tym, jak tworzył Picasso. Zaczynało się od szkicu, który następnie pokrywał kolejnymi warstwami. Mając w głowie wciąż ten sam pierwotny pomysł, zmieniał go, nakładając warstwy. Czasami nawet ten oryginalny pomysł może zostać zamazany".

Problemy zaczynają się wtedy, gdy nie chodzi już tylko o dodanie czegoś do zarejestrowanej ścieżki, ale o wyłuskanie fragmentów z dwóch różnych ścieżek. Z technicznego punktu widzenia jednym z najbardziej skomplikowanych był utwór *Strawberry Fields Forever*. Jak zwykle nagrali kilka ścieżek, ale gdy potem John słuchał sobie tego w domu, doszedł do wniosku, że nie tak to miało brzmieć. „Chciał, by była to łagodna, przyjemna piosenka, a twierdził, że wyszła zbyt wrzaskliwie. Spytał, czy mógłbym nagrać mu nową ścieżkę smyczków. Napisałem więc nową partyturę, nagrałem, ale nie spodobało mu się – to wciąż nie było to. Teraz chciał, żebym połączył pierwszą część pierwotnego nagrania z drugą częścią tego nowego. Powiedziałem, że to niemożliwe – były nagrane w

innych tonacjach i zupełnie innym tempie”. Gdy George Martin głowił się, jak się do tego zabrać bez konieczności powtarzania całej sesji nagraniowej, zauważył, że przyspieszając o pięć procent tempo wolniejszego fragmentu, nie tylko uzyskał takie samo tempo jak w części drugiej, ale nawet zrównał tonacje. Zupełnym przypadkiem udało mu się niewielkim nakładem pracy połączyć obie części.

Beatlesi nigdy nie przejmowali się ani wówczas, gdy ktoś mówił, że coś jest niemożliwe, ani kiedy George twierdził, że ich nowatorskie koncepcje są w gruncie rzeczy przeżytkiem. Wpadli kiedyś na ich zdaniem świeży pomysł, żeby na końcu *She Loves You* po ostatnim *yeah*, *yeah* dodać sekstę. „Powiedziałem im, że to strasznie oklepane i że Glenn Miller robił takie rzeczy dwadzieścia lat wcześniej. A oni na to: »No i co z tego?«. Tak sobie wymyślili”.

George Martin dzieli swoją pracę z Beatlesami na dwa etapy. „Na początku naprawdę bardzo mnie potrzebowali. Nie mieli o niczym pojęcia i liczyli na moje wsparcie. Chcieli, żebym odtworzył to ich ogłuszające brzmienie, które tworzyli w The Cavern, a którego nikt nie rejestrował. Tacy ludzie jak Cliff czy The Shadows byli bardzo spokojni i powściągliwi. Drugi etap trwa obecnie. Teraz wiedzą już, co chcą uzyskać na płycie, a mnie powierzają aranżację. W ten sposób z bossa czterech szalonych młodziaków z Liverpoolu stałem się gościem kurczowo uczepionym ostatnich pozostałości tajemnej wiedzy o nagrywaniu płyt”. Martin żywi nadzieję, że to wszystko jest pół żartem, pół serio. Obie strony po prostu trochę się droczą: oni z niego pokpiwają, a jego bawi ich naiwność. Obawia się, że pewnego dnia mogą ulec jej zbyt mocno i to nie w sferze muzycznej, ale na przykład filmowej, gdy nie będą chcieli jakiejkolwiek pomocy ze strony znawców tematu – takich jak choćby on sam. Już przy pracach nad ich produkcją telewizyjną miał wrażenie, że wzięli na siebie za dużo, i sądząc po reakcjach brytyjskich krytyków, nie mylił się.

Według niego najbardziej wszechstronny muzycznie talent przejawia Paul, potrafiący stworzyć utwór od początku do końca. „Z nich dwóch to on jest jak Rodgers i Hart[181]. Potrafi tworzyć świetne chałtury, choć nie sądzę, by był z tego powodu szczególnie dumny. Ciągle stara się być coraz lepszy, a w szczególności usiłuje dorównać Johnowi w pisaniu tekstów. Spotkanie z Johnem skłoniło go do próby tworzenia utworów o głębszym przesłaniu. Gdyby nie John, to wątpię, by Paul był w stanie napisać *Eleanor Rigby*. Paul potrzebuje publiczności, John nie. W odróżnieniu od Paula John jest strasznie leniwy i gdyby nie Paul, wielokrotnie już by się poddał. John pisze dla rozrywki i byłby szczęśliwy, mogąc grać te swoje melodie tylko dla Cyn. Paul za to lubi publikę. John ma niezwykle interesujące rozumienie muzyki; kiedyś puściłem mu *Daphne and Chloë* Ravela. Powiedział, że nie może tego zrozumieć, bo linie melodyczne są zbyt długie i że on patrzy na tworzenie muzyki jako na pracę nad małymi kawałeczkami, które potem łączy się w całość”.

Zarówno Paul, jak i John mają wrodzony talent muzyczny, obaj też są niezwykle oryginalni, jednak zupełnie różnią się stylami: Paul potrafi stworzyć prostą, słodką muzykę jak w *Michelle* czy *Yesterday*, a twórczość Johna jest znacznie bardziej poszarpana i agresywna, jak choćby w przypadku *I Am The Walrus*. Ma to pewien związek z ich osobowościami – John był zawsze niepokorny i agresywny, a Paul słodki i łagodny i cechy te dawały o sobie znać na długo zanim zaangażowali się w pisanie piosenek. Najciekawsze jest jednak to, że pomimo ponad dziesięcioletniej bliskiej współpracy nadal pozostali silnymi indywidualnościami. Obaj zachowali swoją odrębność. Co więcej, te lata jeszcze bardziej ją umocniły. W czasach rock and rolla pisali podobne utwory, ale począwszy od *Yesterday*, łatwo jest odróżnić piosenkę Paula od piosenki Johna. Mają na siebie nawzajem ogromny wpływ – Paul czuje większą motywację, by bardziej przykładać się do pisania tekstów, a Johna zachęca do pracy zapał i zaangażowanie

Paula. Nadal jednak wciąż bardzo się od siebie różnią. Począwszy od 1963 roku, gdy dziennikarz muzyczny z „The Times” zachwycił się ich „na wskroś diatonicznymi zbitkami”, pisana przez nich muzyka jest nieustannie analizowana, wychwalana i poddawana najróżniejszym interpretacjom. Uważa się, że wpływ na ich twórczość miało wszystko, od czarnego bluesa począwszy, na czardaszu skończywszy.

Gdy tylko rozeszła się wieść, że Beatlesi zażywają narkotyki, w ich piosenkach zaczęto dopatrywać się odniesień do rozmaitych używek. Nawet słowo „help” w piosence dla Ringo, *With A Little Help From My Friends*, miało ponoć oznaczać trawkę. *Lucy In the Sky With Diamonds* miało być skrótem od LSD, a w rzeczywistości było jedynie przypadkową grą słów. To syn Johna, Julian, narysował kiedyś dla taty obrazek przedstawiający dziewczynkę z jego klasy – Lucy – na tle nieba. W Ameryce mówiono, że *meeting a man from the motor trade*[182] na pewno oznacza człowieka wykonującego aborcję, podczas gdy tak naprawdę było to żartobliwe odniesienie do przyjaciela, Terry’ego Dorana, który był sprzedawcą samochodów. W piosenkach Beatlesów faktycznie pojawiają się odniesienia do narkotyków, ale nie w takich ilościach, jakich doszukują się ich niektórzy. Co ciekawe, kilka faktycznie nieprzyzwoitych zwrotów przeszło bez echa, jak na przykład fragment z *Penny Lane* o przytulankach, który w rzeczywistości jest odniesieniem do nieprzyzwoitego zachowania młodzieży z Liverpoolu.

Te rozmaite interpretacje śmieszą samych muzyków. W piosence *I Am the Walrus* John celowo zostawił oryginalne gry słowne i wszystkie bzdury, które przyszły mu do głowy przy pisaniu tekstu, bo wiedział, że sporo osób będzie miało niezły ubaw, próbując to wszystko przeanalizować. Beatlesów nie interesuje, czy prawdziwa jest wygłaszana przez niektórych opinia, że są oni najwspanialszymi twórcami piosenek na świecie i są najlepsi od czasów Schuberta. Oni nigdy nie dyskutują o swojej muzyce ani nie

poddają jej żadnym ocenom, a gdy już są zmuszeni o niej rozmawiać, to Paul mówi zwykle, że po prostu starają się być coraz lepsi. „Za każdym razem chcemy stworzyć coś nowego. Po *Please Please Me* stwierdziliśmy, że następnym razem zrobimy coś innego – raz już założyliśmy kostiumy klaunów, teraz czas zmienić przebranie. Czemu mielibyśmy ciągle trzymać się tego samego? To byłoby głupie. To jakby przez całe życie nosić wyłącznie szare garnitury. Wydaje mi się, że każdy chciałby próbować robić coś nowego za każdym razem, gdy zabiera się do jakiejś roboty – to jest wyłącznie nasze hobby i tyle. Rozsiadamy się wygodnie i świetnie się bawimy".

George w ogóle nie podziela opinii, jakoby napisali wiele utworów, o których warto dyskutować (jego sposób tworzenia omówiony zostanie osobno), ale od czasu do czasu i on tęskni za dawnymi czasami. „Często myślę, że fajnie byłoby znów zagrać w czwórkę, jako zespół. Nie robiliśmy tego od momentu zarzucenia tras koncertowych. Może któregoś dnia wynajęlibyśmy studio i pograli tak sami dla siebie". „To są dobre kawałki – mówi John – ale nic genialnego. Gdy słyszę je w radiu, mam do nich stosunek obojętny, nigdy nie słucham uważnie. Gdyby ktoś je atakował, mówił, że są wstrętne, to może wtedy jakoś bym zareagował". Nigdy nie przesłuchują swoich płyt, chyba że zabierają się do nowego albumu i chcą posłuchać poprzedniego, by przypomnieć sobie, gdzie wówczas dotarli. Żaden nie podśpiewuje sobie własnych kawałków ani przed ich nagraniem, ani po. Gdy John czy pozostali wchodzą w refrenie *She Loves You*, brzmi to tak, jakby wyśmiewali się z napisanej przez kogoś innego kiepskawej pioseneczki".

„Za każdym razem wielokrotnie uważnie przesłuchujemy swoje kawałki – mówi John – ale kiedy są już skończone, przestają się liczyć. Bardzo nie lubię słuchać fragmentów, które nie wyszły tak, jak powinny. Są takie w *Lucy In the Sky…* Niektóre dźwięki w *Mr. Kite* też nie są dobre. Podoba mi się *A Day in the Life*, ale i tak nie jest w połowie tak dobra, jak

sądziłem, że będzie, kiedy nad nią pracowaliśmy. Myślę, że mogliśmy się do niej bardziej przyłożyć, ale wtedy mieliśmy to gdzieś. Ludzie zawsze powtarzają, że nasze stare kawałki tak bardzo różnią się od nowych, ale ja się z tym nie zgadzam. Słowa są inne, ale to dlatego, że powstają w inny sposób. Melodia jest w zasadzie taka sama. Mój obojętny stosunek do naszej muzyki wynika chyba głównie z tego, że inni tak bardzo się nią przejmują. Jest to w pewnym sensie całkiem miłe, ale zazwyczaj po prostu mnie wkurza. Fajnie, że ludziom się podoba, ale jak zaczynają ją »doceniać«, doszukując się nie wiadomo jakiej głębi i robiąc z tego wielkie halo, to wychodzą jakieś brednie. To tylko dowodzi, że mamy rację, sądząc, że większość tak zwanej sztuki to tak naprawdę stek bzdur. Nie cierpieliśmy tych wszystkich pierdół, które pisano i mówiono o Beethovenie i balecie. Teraz to samo robią z nami. Nie ma w tym nic istotnego. Wystarczy kilku gości, którzy się nakręcą i będą sobie wmawiać, że to takie ważne. Jeden wielki kant. My też jesteśmy oszustwem. Wiemy, że wszystkich oszukujemy, bo wiemy, że ludzie chcą być oszukiwani. Sami dali nam na to przyzwolenie. Mówimy na przykład: »Wrzućmy to tutaj, będą się mieli nad czym głowić«. Jestem przekonany, że wszyscy artyści tak robią, gdy zdają sobie sprawę, że to oszustwo. Założę się, że Picasso też tak robił i od dobrych osiemdziesięciu lat ma z tego niezły ubaw.

To wszystko jest jednocześnie smutne, bo kiedy się nie nabijamy, to oszukujemy samych siebie, sądząc, że jesteśmy ważni. Ludzie nie łapią żartów. Gdybyśmy powiedzieli, że robiąc *She's Leaving Home*, rozmyślaliśmy o bananach, nikt by nie uwierzył. Oni nie chcą wierzyć. To dołujące: zdać sobie sprawę, że mieliśmy rację, sądząc kiedyś, że Beethoven to jeden wielki żart, tak jak my teraz. On tylko sobie brzdąkał, to wszystko. Pytanie brzmi, czy Beethoven i reszta mu podobnych zdają sobie sprawę, że są oszustami, czy też faktycznie uważają się za niezwykle istotnych. Czy premier rozumie, że jest tylko zwykłym gościem? Nie wiem. Może po prostu dał się wrobić w to całe udawanie, że wie, co robi. Wkurza

mnie, bo on naprawdę sądzi, że wie, co jest grane, choć w istocie nie ma pojęcia. Ludzie myślą, że Beatlesi wiedzą, w czym rzecz, a my nie wiemy. My tylko się w to bawimy. Wszyscy chcą wiedzieć, jakie było prawdziwe przesłanie piosenki *Mr. Kite*. Nie było żadnego. Po prostu ją napisałem, poupychałem razem trochę słów, potem dorzuciłem dźwięki. Nie wgryzałem się w nią, kiedy ją pisałem, ani w nią nie wierzyłem przy nagrywaniu. Ale i tak nikt mi nie uwierzy. Ludzie nie chcą wierzyć. Dla nich piosenka musi być ważna i już”.

Rozdział 31
John

John mieszka w okazałej rezydencji z epoki Tudorów, na prywatnym osiedlu w Weybridge, w hrabstwie Surrey. W sąsiedztwie znajduje się także dom Ringo. Posiadłość Johna kosztowała w sumie sześćdziesiąt tysięcy funtów – choć kupił ją za dwadzieścia, pozostałe czterdzieści poszło na odnowienie, przeróbki pomieszczeń, malowanie, umeblowanie, założenie ogrodu i wybudowanie basenu. Wydał zdecydowanie za dużo i zdaje sobie z tego sprawę. „Podejrzewam, że chcąc go sprzedać, odzyskałbym zaledwie połowę tej kwoty, jakieś trzydzieści tysięcy funtów. Muszę znaleźć jakiegoś piosenkarza, któremu go opylę. W każdym razie na pewno kogoś niezbyt rozgarniętego”. W ogrodzie stoi pomalowana na jaskrawy kolor przyczepa kempingowa, której wygląd miał korespondować z wzorami wymalowanymi na rollsie. Dom stoi na łagodnym wzgórzu, a wokół rozciąga się reszta posiadłości. John zatrudnia pełnoetatowego ogrodnika, gosposię o imieniu Dot oraz szofera Anthony’ego, ale żadne z nich nie mieszka w posiadłości.

Wewnątrz rozciąga się ciemny, zawalony książkami korytarz, za to pokoje są duże, jasne i bogato zdobione. Od razu zwracają uwagę długie, pluszowe sofy, wielkie, puszyste dywany i szykowne zasłony. Wszystko wygląda na zupełnie nowe i nieużywane, niczym z planu hollywoodzkiego filmu, a między tymi wspaniałościami znajdują się pojedyncze, niepasujące do siebie bibeloty: stare plakaty czy antyki. Te z kolei wyglądają na bardzo zużyte. Są i osobiste drobiazgi – z pewnością wybierał je John, a nie dekorator wnętrz. Jednocześnie trudno się oprzeć wrażeniu, że gdy tylko spełniły kaprys posiadacza, rzeczy te zostały porzucone i zapomniane. Te salony z powodzeniem mogłyby być korytarzami, bo zdaje się, że nikt

nigdy ich nie używa, mimo że są utrzymane w nienagannym porządku. Domownicy tylko przechodzą przez nie, chcąc wyjść na zewnątrz. Całe życie toczy się w jednym, małym, prostokątnym pokoiku na tyłach domu. Jedna z jego ścian zrobiona jest w całości ze szkła i wychodzi on na otoczony drzewami ogród.

John, Cynthia i urodzony 8 kwietnia 1963 roku Julian większość czasu spędzają właśnie w tym pokoju i w kuchni. Otaczające ich bogactwo zdaje się w ogóle ich nie interesować. To Dot wszystkiego tu dogląda. W prywatnych pomieszczeniach Cyn sama dba o rodzinę, gotując dla całej trójki. Od czasu do czasu John robi herbatę. Również Julianem opiekuje się wyłącznie Cyn, nigdy nie zatrudniała niani, chociaż Dot często zajmuje się chłopcem. To ona została z nim, gdy na początku 1968 roku John i Cyn byli w Indiach. Cyn przejmuje się czasem tym, ile kosztuje ich ten wielki i prawie nieużywany dom. Johnowi, jeśli już o tym pomyśli, wydaje się to zabawne. „To wszystko musi kosztować fortunę – mówi Cyn. – John wydaje pieniądze pod wpływem impulsu, a to się udziela. Wciąż czuję się winna, czasem aż muszę dojść do siebie, gdy uzmysławiam sobie, jaką wartość coś może mieć dla niektórych ludzi. Nasz rachunek za jedzenie i napoje jest zdumiewający, a to przeważnie sam chleb, herbata, cukier, mleko, kocia karma i napoje, bo alkoholu nie pijamy. Mimo to wydajemy czasem sto dwadzieścia funtów miesięcznie. Nie wiem, jak to się dzieje”.

John i Cyn mają pięć kotów, ich imiona symbolizują etapy życia muzyka: jest Mimi po ciotce oraz Nei i Mal po najbliższych współpracownikach. Kociak urodzony latem 1967 roku, w okresie fascynacji jogą, otrzymał imię Babidji[183]. Wiele standardowych rachunków, jak gaz i prąd, bezpośrednio opłaca księgowy, resztę reguluje Cyn. „Czasem zdarza mi się otwierać jakieś rachunki – mówi John – ale jeśli coś mi się w nich nie podoba, odkładam je i natychmiast o nich zapominam, aż w końcu ktoś nie zacznie się o nie upominać. Od czasu do

czasu kwestionuję je, ale zawsze słyszę wtedy: »Rachunek jest poprawny, proszę pana«. Z nimi nie wygrasz”.

Każdy z Beatlesów otrzymuje tygodniowo pięćdziesiąt funtów w banknotach pięciofuntowych, jak pomoc domowa. Rzadko zdarza się, by mieli przy sobie gotówkę. „Nie wiem, ile mam pieniędzy – mówi John. – Nic mi nie wiadomo o zakopanym w ogrodzie kufrze pełnym kasy. To wszystko przypuszczenia, ale ja wiem, że nie ma tego aż tyle, ile się niektórym wydaje. Wszystko jest gdzieś ulokowane, i to na wiele sposobów. Pytałem kiedyś księgowego, ile tego w sumie jest. Zapisałem to sobie nawet na jakiejś karteczce, ale ją zgubiłem”.

Mały, prostokątny pokoik Johna i Cyn zagracony jest plakatami, ozdobami i fotografiami. Duża tabliczka wisząca na jednej ze ścian głosi: „Mleko nie szkodzi”. W tym pokoju jedzą, oglądają telewizję, a gdy jest zimno lub pada, John spędza większość czasu właśnie tu. Gdy akurat nie nagrywa i nie tworzy, zwija się w kłębek na małej sofie i tkwi tak bezczynnie. Sofa jest dla niego za mała i z pewnością wygodniej byłoby mu na jednej z tych miękkich kanap stojących za ścianą, ale on, podkuliwszy nogi, może tak leżeć godzinami. Gdy pogoda dopisuje, otwiera przesuwane szklane drzwi, wychodzi na schody i przesiaduje tam, patrząc na swój basen i wiejski, angielski ogród.

Główne drzwi zazwyczaj otwiera Anthony lub Dot, choć gdy John jest w dobrym nastroju, robi to czasem sam. Bardzo rzadko osobiście odbiera telefony – skontaktowanie się z nim w ten sposób jest praktycznie niemożliwe, bo wszystkie wiadomości nagrywają się na automatycznej sekretarce. Urządzenie to skutecznie zniechęca większość osób, które próbują się z nim skontaktować – głos w słuchawce mówi: „Tu Weybridge, cztery, pięć, coś tam, coś tam, ble, ble, ble, proszę zostawić wiadomość”. Jego zastrzeżony numer telefonu ciągle się zmienia – ma to być sposób na utrzymanie go w tajemnicy i wybieg ten działa doskonale: John nigdy nie potrafi go zapamiętać.

Zwyczajny wieczór w domu Lennonów jest po prostu zwyczajny. Tego konkretnego zwyczajnego wieczoru pojawiło się dwóch domokrążców twierdzących, że są australijskimi studentami i sprzedają czasopisma. Akurat tak się złożyło, że to John otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Twierdzili, że biorą udział w zawodach, kto zdobędzie więcej prenumerat, a nagroda ułatwi im studiowanie. John odparł, że jasne, że to świetnie, niech wejdą i powiedzą, czego sobie życzą. Podali mu listę czasopism i poprosili o wybranie tych, które mogłyby być dla niego ciekawe. Zaznaczył wiele i dwaj studenci-sprzedawcy poinformowali go, że w sumie wyszłoby siedemdziesiąt cztery funty. John odparł, że w porządku, niech poczekają, aż znajdzie jakieś pieniądze. Znalazł jedynie pięćdziesiąt funtów przeznaczonych na prowadzenie domu. Dał im je, a oni stwierdzili, że to w zupełności wystarczy, serdecznie podziękowali i wyszli.

Cyn przygotowała kolację – zaczęli od kawałka melona, a potem były wędliny z warzywami. John nie jadł wędlin, gdyż przeszedł na wegetarianizm. Posiłek popijali zimnym mlekiem. Johnowi obluzowała się plomba i ruszając ją bez przerwy, wydawał przy jedzeniu dziwne, bulgoczące dźwięki. Podszedł do lodówki i wypił lodowate mleko prosto z butelki. Cyn zauważyła, że to z pewnością nie było dobre dla jego zęba. W trakcie posiłku cały czas grał telewizor. Obrócili się tak, by móc patrzeć, i co chwila zmieniali kanały. Chyba nigdy nie oglądają jednego programu dłużej niż dziesięć minut. John gapił się zza okularów w milczeniu, zamyślony i nieobecny. Cyn czytała jednocześnie „Daily Mirror”, a Julian oglądał jakiś program i trajkotał. Potem przeniósł się na dywan i zaczął coś rysować. Cyn przyniosła mu kolorowe długopisy i podpytywała syna, co rysuje. Odpowiedział, że to klatka dla ptaków, taka sama jak w ogrodzie, i dokładnie opisał każdy szczegół rysunku. John i Cyn uśmiechali się do niego.

John otworzył szklane drzwi i usiadłszy na schodku, patrzył na basen i oddychał świeżym powietrzem. Na powierzchni basenu filtr brzęczał

niczym statek kosmiczny tuż po wylądowaniu. Julian wyszedł na zewnątrz i podszedł do basenu. Wrzucił do środka kilka wioseł, potem wyciągnął je i wrócił do domu. Cyn sprzątała. Przyjechał Terry Doran, którego wszyscy ciepło przywitali, z Julianem ładującym mu się na kolana włącznie.

– Chcesz, żeby tatuś położył cię spać? – spytała Cyn, uśmiechając się do szczerzącego zęby w uśmiechu Johna. – Czy wolisz Terry'ego?

Julian powiedział, że woli Terry'ego, ale Cyn sama wzięła go na ręce i położyła do łóżka.

– To może coś skręcisz? – zwrócił się John do Terry'ego. Terry przytaknął, a John przyniósł metalową skrzyneczkę. Wewnątrz znajdował się zawinięty w aluminiową folię tytoń i bibułki. Skręcili kilka papierosów, które wypalili na spółkę. Wszystko to działo się w czasach palenia trawki, dziś to już przeszłość. Cyn wróciła, telewizor wciąż grał, więc usiedli i zaczęli skakać po kanałach. Około północy Cyn zrobiła kakao. Terry wyszedł, a John i Cyn poszli spać. John miał zamiar jeszcze poczytać książkę, którą od kogoś dostał, ale Cyn powiedziała, że chciałaby przeczytać ją pierwsza.

„Cieszę się, że udało mi się to wszystko osiągnąć za młodu. Dzięki temu mogę teraz do końca życia robić to, na co mam ochotę. To by było straszne, gdybym musiał przeżyć praktycznie całe życie, żeby dojść do czegoś, i na koniec stwierdzić, że to zupełnie bez sensu. My od początku to wiedzieliśmy, ale musieliśmy przekonać się na własnej skórze. Przez długi czas mieliśmy swoje małe cele, nigdy specjalnie nie wybiegaliśmy w przyszłość. To była cała gama małych celów: nagrać płytę, być na szczycie list przebojów, potem znowu zrobić film i tak dalej. Wszystko działo się etapami. Nie rozmyślaliśmy nigdy nad czymś spektakularnym. A teraz mogę, teraz nie interesują mnie już poszczególne etapy. Nie pociąga mnie aktorstwo – strata czasu. Pisania też próbowałem. Chciałem mieć swoją książkę, to mam, po prostu. Teraz interesuje mnie chyba nirwana, buddyjskie niebo. Niewiele o tym wiem i nie bardzo umiem to wyjaśnić –

George lepiej się na tym zna. Studiowanie religii sprawiło, że staram się pracować nad relacjami z innymi, nie być nieuprzejmym. To nie jest świadoma próba zmiany osobowości. A może jest, nie wiem. Staram się po prostu być takim, jakim sam chcę i jakimi chciałbym widzieć innych. W pełniejszym zrozumieniu siebie samego pewnie pomogły mi narkotyki, ale nie przesadnie. Nie trawka. To było tylko tak dla jaj. To LSD było tym samouświadamiaczem, który wskazał właściwy kierunek – jak brałem kwas, miałem niesamowite wizje. Ale najpierw trzeba ich szukać, żeby potem móc je ewentualnie zobaczyć. Być może nieświadomie ich szukałem i dojrzałbym je w końcu, ale pewnie zajęłoby mi to więcej czasu.

Ten pierwszy raz z kwasem to zupełny przypadek. George'a i mnie zaproszono na kolację i ktoś nas poczęstował, a my byliśmy zupełnie zieloni. Wcześniej tylko paliliśmy zioło, nic nie wiedzieliśmy o tych wszystkich koszmarach związanych z LSD. No i nikt nas nie pilnował, a to niedobrze. Naprawdę sądziliśmy, że zaczynamy świrować. Są jednak lepsze sposoby. Nie mam nic przeciwko naukom chrześcijańskim i dziś nie wygłosiłbym już tej uwagi o Jezusie. Dziś myślę inaczej. Buddyzm wydaje mi się prostszy i bardziej logiczny niż chrześcijaństwo, ale do Jezusa nic nie mam. Jak Julian pójdzie do szkoły, to opowiem mu wszystko o Jezusie, ale opowiem mu też, że było wielu innych Jezusów i o tych buddyjskich też mu opowiem, bo to porządni ludzie.

Kiedy wygłosiłem tę uwagę o Jezusie, ludzie zaczęli przysyłać mi różne książki o Nim. Przeczytałem wiele z nich i sporo się dowiedziałem, na przykład tego, że Kościół anglikański wcale nie jest taki religijny. Za dużo w nim polityki, a tego nie można łączyć – nie można być zarazem niepokalanym i dzierżyć władzy. Może kiedyś dowiem się, że guru są tacy sami: strasznie upolitycznieni. Nie wiem. Wiem tylko, że jestem coraz bardziej świadomy i chcę wiedzieć jeszcze więcej. Nie wiem, czy powinno się być biednym, czy nie. Mam wrażenie, że mógłbym to wszystko rzucić – to naprawdę strata energii, ale zanim to zrobię, muszę wiedzieć, po co – co

będzie w zamian. Ostatecznie mógłbym zrezygnować z tych wszystkich materialnych rzeczy, ale na razie chcę żyć właśnie tak”.

Cyn mówi, że zauważyła w Johnie pewną zmianę – może jest nieco milszy, na pewno się wyciszył i stał się bardziej tolerancyjny, ale nadal niespecjalnie idzie mu komunikacja. „Może to egoistyczne z mojej strony, ale jest mi łatwiej, gdy on do mnie mówi”, wyznaje. John zgadza się, że nigdy nie był specem w dziedzinie kontaktów społecznych. W jakimś ilustrowanym dodatku przeczytał kiedyś wywiad ze swoim szoferem, Anthonym, w którym opowiadał on, jak w trakcie kręcenia filmu całymi godzinami woził Johna po Hiszpanii, a on nie odezwał się ani słowem. „Dopóki tego nie przeczytałem, nie miałem pojęcia, że tak było”.

Rekord Johna w nieodzywaniu się, nicnierobieniu i niekomunikowaniu się z kimkolwiek wynosi trzy dni. To było na długo przed okresem medytacji. „Jestem w tym ekspertem. Mogę wstać z łóżka i natychmiast zacząć nic nie robić. Siedzę na schodku i rozmyślam, patrząc w przestrzeń, i tak aż do chwili, gdy pora iść spać”. John wcale nie uważa, że trwoni czas. Znacznie poważniejszy problem pojawił się zaraz po tym, jak przestali koncertować – wtedy potrafił leżeć w łóżku do trzeciej po południu. Teraz przynajmniej usiłuje wstać i wyjść na światło dzienne. Mówi, że skoro i tak nic nie robi, to równie dobrze może to robić na słońcu. Nawet jeśli John próbuje nawiązać rozmowę, to Cyn, podobnie jak jego ciotka Mimi, często ma problem ze zrozumieniem, o co mu chodzi. Choć trzeba przyznać, że od przyjazdu Maharishiego John postępuje zgodnie z naukami buddyzmu i bardzo się stara.

„Ciężko przychodzi mi gadanie o wszystkim i o niczym. To bez sensu. Ale robię to od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy potrafię. To taka gra. Jak się masz? Która godzina? Jak leci? Takie tam bezsensowne teksty. Rzecz w tym, że nie ma już tematów do rozmowy. Ja nieustannie myślę o komunikowaniu się, ale ubieranie tego w słowa to strata czasu. W kręgu Beatlesów porozumiewamy się kodem. Zawsze tak było, bo na trasach

kręciło się koło nas mnóstwo obcych. Nigdy jakoś nie gadaliśmy z innymi ludźmi, a teraz, kiedy już w ogóle nie spotykamy obcych, nie ma po co rozmawiać. Rozumiemy się nawzajem – reszta się nie liczy. Zdarza nam się sporadycznie, że ze sobą rozmawiamy, ale tylko wtedy, gdy chcemy pewne rzeczy powiedzieć głośno, żeby nie zapomnieć, jakie decyzje podjęliśmy. Często pogrążam się w rozmyślaniu – to ta sama kategoria zjawisk co gadanie o pogodzie, więc chyba nie powinienem tak do końca negować próżnej gadaniny. To takie typowe rozmyślanie: co będę dziś robił, czy wstawać, czy nie wstawać, pisać piosenkę czy nie… a tego telefonu nie odbiorę. Rozmowa jest tak naprawdę najpowolniejszą formą komunikacji, lepsza jest muzyka. Właśnie przez muzykę komunikujemy się ze światem. W amerykańskim biurze mówią, że słuchają na okrągło *Sgt. Pepper*, żeby wiedzieć, co my sobie myślimy w tym Londynie. Czasem miewam takie napady gadania – idę i gadam sobie z Dot albo z Anthonym, albo z ogrodnikiem, żeby zobaczyć, czy w ogóle umiem to robić. Są wtedy nieźle zaskoczeni”. Największą zmianą, jaka zaszła w Johnie, jest spadek poziomu agresji. Zauważyli to wszyscy bliscy znajomi. Wierzą, że to dzięki sukcesowi. „Trochę to trwało – mówi Ivan Vaughan. – Jeszcze kilka lat temu była w nim taka wrogość, nie chciał z nikim gadać, był nieuprzejmy, trzaskał drzwiami. A teraz potrafi zaprosić kogoś do domu, zaproponować, by usiadł, te sprawy”.

Inny przyjaciel ze szkoły, Pete Shotton, który prowadzi butik Apple, potwierdza, że John złagodniał. „Teraz wreszcie widać w nim to dobro, które ja dostrzegałem zawsze. To nauczyciele sądzili, że on jest zły, nikt nie wierzył w moje zdanie. Cieszę się, że jest teraz taki szczęśliwy. Przez całe swoje dzieciństwo i młodość zawsze starał się być najlepszy. Nieustannie musiał górować nad innymi i osiągał cel za pomocą pięści albo, jeśli przeciwnik był za duży, osłabiał go obelgami i sarkazmem. Dzisiaj John niczego nie musi już udowadniać, nie musi już być numerem jeden i dlatego jest szczęśliwy. Ta zmiana jest bardzo widoczna. W Art College

ciągle chodził zgarbiony, z opuszczoną głową, jak jakiś zahukany królik, niby zapędzony w kozi róg, ale w każdej chwili gotów do ataku. Widać to wyraźnie na starych zdjęciach. Na nowych uśmiecha się. Uczy się, bo sam tego chce, a nie jak w szkole, gdzie każą ci się uczyć, żebyś pasował do ogółu. Ale nie wszystko w nim się zmieniło. Nie zrobił się zarozumiały czy próżny i ciągle ma wielki gest. Zawsze kiedy miał przy sobie tuzin cukierków, a nas było trzech plus on, to rozdawał wszystkim po trzy. Przez samo obcowanie z nim ja sam zrobiłem się bardziej szczodry".

John nie rozumie, czemu sukces miałby sprawić, że będzie zarozumiały czy w jakikolwiek inny sposób się zmieni. Sukces nie ma dla niego znaczenia, a ponadto uważa, że może go osiągnąć każdy. To zdanie podziela też Paul. Obaj twierdzą, że najważniejsza w karierze jest silna wola. „Każdy może odnieść sukces, jeśli tylko wystarczająco często powtórzy sobie, że może. My nie jesteśmy ulepieni z jakiejś innej gliny, jesteśmy tacy sami jak wszyscy, tak samo dobrzy jak Beethoven. Tak naprawdę wszyscy jesteśmy tacy sami. Trzeba chęci i sprzyjających okoliczności, ale ani z talentem, ani z jakimiś kursami czy wykształceniem nie ma to nic wspólnego. Zdarzają się przecież beznadziejni malarze i pisarze, prawda? Nikt nie powiedział im, jak to się robi, sami sobie wmówili, że potrafią. Co to jest talent? Ja nie wiem. Rodzisz się z tym, odkrywasz po drodze? Głównym talentem jest wiara we własne możliwości. Paul i ja zawsze rysowaliśmy, a George nie chciał nawet spróbować, bo twierdził, że nie potrafi. Długo zajęło nam przekonanie go, że każdy umie rysować. Teraz rysuje bez przerwy i jest coraz lepszy.

Wiedzieliśmy, że świadectwo ukończenia szkoły średniej nie jest żadną przepustką. Mogliśmy wprawdzie pomęczyć się i wytrwać trochę dłużej, ale to nie dla mnie. Wierzyłem, że wydarzy się coś, czego będę musiał doświadczyć, i wcale nie chodziło o egzaminy szkolne. Zanim skończyłem piętnaście lat, niczym nie różniłem się od przeciętnego gówniarza. A potem postanowiłem napisać piosenkę i napisałem. Ale to mnie wcale nie

zmieniło. Nazywanie tego odkryciem talentu to jakieś pierdoły, ja po prostu to zrobiłem. Nie mam żadnego daru, poza darem do bycia szczęśliwym i do olewania. Ktoś musi rozwalić ten cały mit o talencie, uświadomić ludzi. Politycy też nie mają żadnego daru – to zwykły kant. Może mój guru podpowie mi, jaki jest mój prawdziwy talent, może to coś zupełnie innego, czym powinienem się zająć.

Nie czułem nigdy ciężaru odpowiedzialności z tytułu bycia tak zwanym idolem. Ludzie nie mają prawa tego od nas oczekiwać. Tak naprawdę to jest nakładanie nam na barki bagażu odpowiedzialności, jak wtedy, gdy Paul przyznał się w gazetach, że brał LSD. Skoro dziennikarze tak bardzo przejęli się jego brakiem poczucia odpowiedzialności i obawiali się, że ludzie mogą go naśladować, to sami powinni być wystarczająco odpowiedzialni, by tego nie publikować. Czułem się odpowiedzialny przed publicznością wyłącznie w tym sensie, że powinniśmy być możliwie naturalni. Musieliśmy udzielać się towarzysko, bo tego od nas oczekiwano, ale nawet w takich okolicznościach staraliśmy się zachowywać maksymalnie normalnie. Straszliwie nudne było nieustanne odpowiadanie na te same pytania: ciągle tylko fryzury i fryzury. I jeszcze to spoufalanie się z tyloma ludźmi i żonami burmistrzów, tymi wszystkimi nieudacznikami pozbawionymi gustu, którzy kreują trendy. I z tymi o zerowych standardach, będącymi wyroczniami w kwestii standardów.

Od samego początku nie znosiłem tych zagrywek w stylu spotkanie z żoną jakiegoś organizatora. Wszyscy dookoła mówili, że trzeba przejść przez te sztywne spotkania towarzyskie. Tam nie da się być sobą. Nikt by cię nie zrozumiał, gdybyś powiedział to, co naprawdę chcesz. Wszyscy oczekują, że będziesz ich zabawiać i tylko to ci pozostaje. Nie wierzę, że ludzie naprawdę tacy są. A z drugiej strony, dlaczego oni się na to wszystko godzą? Teraz nie muszę już nigdzie chodzić, no, może od czasu do czasu do klubu. Cyn mnie w to wrabia. Któregoś wieczoru wybraliśmy się na jakieś otwarcie do starego znajomego. Wszędzie David Jacobs. Poszedłem tam z

George’em. Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, George zorientował się, co się święci – ja nie. Rozejrzałem się, ale już go nie było, nawet nie wszedł do środka. A ja już się tam znalazłem i utknąłem – to było straszne.

Nigdy nie myślę o tym, że jestem Beatlesem. Nigdy. Jestem sobą. Nie jestem sławny. To inni nadają mi tę otoczkę. Dopóki się nie pojawią i nie zaczną się dziwnie zachowywać, nie pamiętam o swojej tak zwanej sławie. A potem sobie uświadamiam: a no tak, racja, to dlatego – i przypominam sobie, że jestem Beatlesem. Jeszcze jakiś rok temu byłem do tego bardziej przyzwyczajony. Wtedy znajdowaliśmy się w epicentrum istnego młyna, jeździliśmy po całym kraju, spotykając ludzi, i wiedzieliśmy, że będą się gapić. Teraz już mnie tak nie nosi, a jeśli wychodzę, to ze znajomymi, więc i tak zapominam. Aż do momentu, gdy pójdę w jakieś nowe miejsce i znowu się na mnie gapią. Ludzie gapili się na nas, jeszcze zanim staliśmy się sławni – kiedy wsiadaliśmy do autobusu w The Cavern ubrani w skóry i z gitarami w rękach. Ale wówczas nam się to podobało, to był taki nasz bunt i sposób na wkurzenie tych wszystkich damulek w stylu Annie Walker[184], przesiadujących w kawiarniach Kardomah. Brakuje mi tych naszych głupawych dowcipów. Dawniej pakowałem się do czyjegoś przedziału i udawałem głupka albo wydurniałem się w sklepach. Wciąż mam ochotę zrobić coś takiego, ale nie mogę, bo od razu by było: »Beatlesi się wydurniają«. »Uśmiejecie się«.

Kiedyś jechaliśmy samochodem na Wembley. Napisaliśmy na kartce: »Którędy do Wembley?« i mówiąc w obcym języku, pokazywaliśmy mapę Walii. Ludzie aż się pienili, tłumacząc nam drogę. Innym razem wpadliśmy na pomysł przebrania się, żeby móc normalnie funkcjonować. Ja i George stawiliśmy się do odprawy celnej w długich płaszczach i brodach, licząc na to, że nikt nas nie rozpozna, ale się nie udało. Najlepszy był Paul – udawał, że jest świrniętym fotografem i bez przerwy wygadywał jakieś brednie. Nawet Brian dał się nabrać”.

Johnowi najbardziej brakuje zwyczajnego wychodzenia z domu. Mimo że Beatlemania dawno już minęła, ani on, ani pozostali Beatlesi wciąż nie mogą wyjść niezauważeni. Udaje się to Cyn, której długoletnie unikanie rozgłosu teraz procentuje. „Nie możemy robić najprostszych rzeczy razem, jako rodzina. Jak choćby wyjście na spacer. To okropne. Czasem żałuję, że to wszystko w ogóle się wydarzyło". To właśnie John najbardziej z nich wszystkich nie znosi tego, że nie może być zwykłym obywatelem. Gdy pomyśli, że cokolwiek zrobi, to prawdopodobnie do końca życia i tak będzie sławny, ma ochotę krzyczeć. „Nie! Myślisz, że to możliwe? Przestać być sławnym? A gdybyśmy zniknęli na długie lata, czy coś by to dało? Pewnie stalibyśmy się sławni inaczej, jak Greta Garbo. A może pojawi się jakiś nowy zespół i przejmie pałeczkę? Cudownie byłoby zostać zupełnie zapomnianym".

Pod koniec roku 1967 i na początku 1968 Beatlesi próbowali złapać ponowny kontakt z rzeczywistością. Ich twarze stały się niemal tak znane, jak twarze członków rodziny królewskiej, więc nikt nie spodziewał się spotkać ich na ulicy czy w Wimpy[185]. Podczas prac nad *Magical Mystery Tour* bez problemu mogli bywać w małych kafejkach w Soho. Tak wielu ludzi stylizowało się wówczas na Beatlesów, nosząc bokobrody i wąsy, że nikt nie wierzył, że to oni są tymi prawdziwymi.

„Zrobiliśmy kiedyś z Ringo próbę: wybraliśmy się do kina. To był pierwszy taki wypad od lat, od czasów Liverpoolu. Poszliśmy na Morecambe'a i Wise'a[186] w Esher. Wybraliśmy sobie seans w południe, licząc, że wtedy będzie spokój, ale zapomnieliśmy, że właśnie trwały wakacje i kino było pełne. Nie obejrzeliśmy całego filmu, zjedliśmy tylko lody i wyszliśmy, ale nikt nas nie zaczepiał. To była tylko taka próba. Może teraz będę chadzał częściej. Brian zabierał nas kiedyś do teatru w West Endzie. Było w porządku, bo chodziliśmy całą ekipą. Ludzie się na nas gapili, ale nie zawracali nam głowy. Tylko że teatr mnie nie obchodzi, więc

tego mi zupełnie nie brakuje. Jakichś pięciu gości na scenie, udających, że są gdzie indziej. Brakuje mi kina. W Liverpoolu ciągle do niego chodziłem.

Kiedyś wsiedliśmy z Ringo do autobusu, też na próbę, żeby zobaczyć, czy nam się uda. Nigdy wcześniej nie byłem w londyńskim autobusie. To było na Embankment. Jechaliśmy dwadzieścia minut i było super. Ludzie nas rozpoznali, ale to nie miało większego znaczenia. Byliśmy w dobrych nastrojach. Zaczęliśmy nawet filmować współpasażerów, a konduktorka opowiadała nam jakieś sprośne kawały. Większość ludzi nie wierzyła, że to naprawdę my. Następnego dnia do biura zadzwonił ktoś z gazety mówiąc, że jakaś kobieta twierdzi, że widziała nas w autobusie. Powiedziałem im, że pani się myli i że to nie byliśmy my. Jeszcze chwilę, a pytaliby: »Jakie to było uczucie, John, jechać sobie autobusem po tylu latach?«. Mam to głęboko w dupie. Chciałbym tylko, żeby wszyscy dali mi święty spokój. Nie jestem typem towarzyskim. Mam wystarczająco dużo przyjaciół, by przeżyć. Chcę mieć tylko święty spokój, moje rzekome towarzyskie usposobienie to bzdura. Przez lata podtrzymywałem ten wizerunek, ale nie jestem żadną katarynką. To była taka maska obronna – fałszywka, za którą teraz mi się obrywa. Wiem, że brzmi to jak biadolenie. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”.

Paul i George od czasu do czasu wychodzą do ludzi, ale John rzadko się na to zdobywa. Do niego wszystko musi przychodzić samo, a jeśli nie – zupełnie się tym nie interesuje. Dodatkowo jego styl życia sprawia, że ciężko go czymś zainteresować, no, może poza telewizją, którą śledzi non stop. „Oglądanie telewizji przez kilka tygodni działa niemal tak samo dobrze jak trawka. Kilka lat temu nie mogłem znieść takich gości jak Hughie Green[187], a teraz już mnie nie drażnią. Teraz mnie śmieszą. On i Michael Miles[188] są moimi ulubieńcami. Wszystko jest identyczne jak w gazetach – czytasz te wszystkie artykuły i wpadają ci do głowy jako całość.

Dużo rozmyślam podczas oglądania. To trochę jak gapienie się w ogień i pogrążanie we własnych myślach. Patrzysz, ale się nie skupiasz”.

Impuls do działania dają mu tylko pozostali Beatlesi. – Nikt nie może się z nimi równać. Z początku zwyczajnie nie wytyczali wokół siebie żadnych granic, bo byli zbyt pochłonięci szukaniem własnej drogi i wspólnym graniem, ale gdy już stali się sławni i ludzie celowo starali się do nich zbliżyć, najczęściej z nieczystych pobudek, natychmiast stanowczo odrzucali wszelkie zaczepki. Większość gwiazd show-biznesu zmienia przyjaciół w miarę, jak ich koncerty stają się coraz większe. Ale Beatlesi nie mają żadnych przyjaciół ze świata muzyki z wyjątkiem Micka Jaggera. W ich normalnym, codziennym życiu wciąż liczą się tylko oni oraz Mal, Neil i Terry. „Odkąd staliśmy się sławni, poznaliśmy trochę nowych ludzi, ale nigdy nie mogliśmy wytrzymać z nimi więcej niż dwa dni. Niektórzy kręcili się koło nas trochę dłużej, nawet przez kilka tygodni, ale potem znikali z naszego życia. W większości przypadków nie udało nam się znaleźć z nimi wspólnego języka”.

John najczęściej spotyka się z Ringo, bo mieszkają blisko siebie. Kiedy mu się nudzi, to po prostu zjawia się u Ringo, żeby powygłupiać się w ogrodzie albo pobawić się jego drogimi zabawkami. Nigdy nie umawiają się na spotkanie i nie snują żadnych planów. Robią to, na co akurat mają ochotę, i wszystko jest na zasadzie „to na razie – na razie”. Na nieszczęście dla Cyn, ze wszystkich Beatlesów to właśnie Johnowi najtrudniej jest wytrzymać bez pozostałej trójki. Nie jest to z jego strony absolutnie przejaw jakiejś złośliwości, podobnie jak nieodzywanie się do niej czy wpadanie w trans. On po prostu już taki jest, a ona musi to akceptować.

„Jeśli przez trzy dni jestem sam i nic nie robię, to jakbym zupełnie opuszczał swoje ciało. Po prostu mnie nie ma. Cyn nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Krążę gdzieś i widzę siebie z góry albo patrzę jakby zza głowy: widzę swoje ręce i wiem, że się poruszają, ale rusza nimi jakiś robot. Ringo rozumie, o co mi chodzi, i mogę z nim o tym porozmawiać.

Muszę spotykać się z innymi, żeby zobaczyć samego siebie. Wtedy dociera do mnie, że na świecie są ludzie podobni do mnie – to pocieszające i uspokajające. Jeśli posunę się za daleko, to naprawdę robi się lekko przerażająco. Muszę się z nimi spotykać, żeby znów nawiązać kontakt z samym sobą i zejść na ziemię. Czasami nie schodzę na ziemię – któregoś wieczoru nagrywaliśmy, a ja byłem nieobecny. I Paul też. Byliśmy jak dwa zachowujące pozory roboty.

Naprawdę jesteśmy sobie bardzo potrzebni. Zawsze gdy spotykaliśmy się po jakiejś dłuższej przerwie, czuliśmy się zażenowani, dotykając się. Wymyślaliśmy jakieś karkołomne uściski dłoni, żeby tylko ukryć zakłopotanie, albo tańczyliśmy jak szaleni. Potem zaczynaliśmy się ściskać. A teraz robimy jak w buddyzmie – padamy sobie w objęcia. Ot, po prostu – na powitanie".

Czasem nachodzi go ochota, by wyjechać gdzieś z Cyn i Julianem, no i oczywiście z Beatlesami. Pomysł z tą grecką wyspą, który właśnie jemu szczególnie przypadł do gustu, naprawdę wydawał się genialny. „Będziemy tam mieszkać wszyscy razem. Kto wie, może zostaniemy na stałe, a do domu będziemy wpadać z wizytą albo na jakieś sześć miesięcy w roku. Będzie super, tylko my na całej wyspie. Są tam jakieś małe domki, które sobie odnowimy, urządzimy i będziemy mieszkać w swojej małej społeczności. Sytuacją polityczną w Grecji w ogóle się nie przejmuję, pod warunkiem, że nas nie będzie dotyczyła. Nie obchodzi mnie, czy rządzą faszyści, czy komuniści – są tak samo beznadziejni, jak niektórzy tutaj, a nawet jak większość. Widziałem Anglię i widziałem Stany – ich rządy też mnie nie obchodzą. Wszystkie są takie same. Zobacz, co tutaj wyprawiają – odcięli Radio Caroline[189] i usiłowali przymknąć Stonesów, a jednocześnie wydają miliardy na zbrojenia nuklearne i wszędzie aż roi się od amerykańskich baz wojskowych, o których nikt nie wie. W północnej Walii jest ich pełno".

Pomysł z grecką wyspą spełzł na niczym, podobnie jak wiele innych zwariowanych koncepcji, które w ciągu ostatnich dwóch lat przychodziły Johnowi do głowy. Pewnego dnia wyszykował się na wyprawę przyczepą kempingową do Indii, choć nie dojechałby takim gratem nawet do Weybridge. Według pomysłu Johna on, Cyn i Julian mieli w niej mieszkać, a jego szofer Anthony miał ciągnąć ich rolls-royce'em. Innym pomysłem była przeprowadzka na wysepkę u wybrzeży Irlandii. John nawet kupił tę wyspę. „Nie, nie pamiętam, gdzie to było, gdzieś koło Irlandii". Pomysł z grecką wyspą stał się w domu Johna przedmiotem dyskusji przez parę ładnych tygodni. Doszli nawet do etapu, w którym zaczęli się zastanawiać, co począć ze szkołą Juliana. John ma ugruntowaną opinię, jeśli chodzi o rodzaj szkoły, do jakiej chciałby posłać synka, ale wracając do wizji sześciu miesięcy na greckiej wyspie, nagle zapomina o wszystkich swoich zamiarach. „Mógłby chodzić do szkoły w Grecji – powiedział do Cyn, która miała zdecydowanie bardziej realistyczne spojrzenie na tę kwestię. – Co w tym złego? Przez sześć miesięcy w roku chodziłby tam, a przez pozostałe tutaj, w Anglii. Te małe greckie szkółki na wsiach są bardzo dobre. Czemu miałby tam nie chodzić? Język podłapie raz dwa".

Cyn stwierdziła, że takie kombinowanie i ciągłe zmiany nie wyszłyby mu na dobre, więc John wymyślił, że poślą go do angielskiej szkoły w Atenach, do której posyłają swoje dzieci wszyscy brytyjscy dyplomaci i tego typu szychy. Cyn zwróciła uwagę, że wtedy Julian musiałby mieszkać w Atenach. Zgodnie odrzucili ten pomysł – żadne nie chciało posyłać go do szkoły z internatem. John wolałby w miarę możliwości posłać chłopca do szkoły publicznej. Niedawno dowiedział się, że przedszkole, do którego chodził Julian, wcale nie było publiczne, jak sądził. Cynthia wyjaśniła mu, że w żadnym publicznym nie było miejsc i dlatego trafił do innego przedszkola. „Sam nie wiem – mówi John. – Wydaje mi się, że płatne szkoły niekoniecznie są gorsze od innych. Jeśli tylko mały będzie zadowolony, to jakie ma znaczenie to, czy trzeba za to płacić? Ale z

pewnością nie posłałbym go do szkoły z internatem. Ani do Eton. Jeśli poszedłby do Eton, to uczyliby go wierzyć w te wszystkie bzdety. A może szkoła buddyjska, jeśli jest tam taka. Albo zwykła szkoła, postępowa, niedaleko Weybridge, to w zupełności wystarczy.

Rozmyślaliśmy o jego edukacji dość długo. Wydobyłem nawet jakiś informator o wszystkich szkołach w Anglii, ale wszędzie tylko pisali, że mają piłkę nożną i tenis. Czyż to nie absurd? Priorytety im się kompletnie pomieszały. On ma się nauczyć dostrzegać ludzi wokół siebie i tyle. Niespecjalnie musi wiedzieć, jak sir Francis Drake wybił Hiszpanów albo że telewizję wynaleziono w Wielkiej Brytanii, i uczyć się tego całego nacjonalistycznego bełkotu. On chce wiedzieć, jak żyć w takim świecie.

Jeśli faktycznie wyjedziemy, to sam będę musiał przejąć rolę nauczyciela, ale na pewno zapewnimy mu towarzystwo innych dzieci, z którymi będzie mógł się bawić. Ja miałem szczęśliwe dzieciństwo i lubiłem chodzić do szkoły. To nauczyciele mnie nienawidzili, zresztą z wzajemnością, ale szkołę lubiłem. Kiedy wspominamy sobie wszyscy dawne czasy, to czasami rozmawiamy o nas jako o Beatlesach, ale zazwyczaj wracamy do okresu szkolnego. Nie sądzę, żeby Julian mógł pójść do takiej szkoły, do jakiej ja chodziłem. Muszę przyznać, że szkoła publiczna może być dla niego ciężka ze względu na mnie. Będą się z niego wyśmiewać: syneczek zarabiającego miliony piosenkarza. Będą wytykać go palcami. A w szkole prywatnej nie miałoby to znaczenia, bo tam chodzi tylko o kasę”.

Cyn jest w gruncie rzeczy dużo silniejsza, niż może się wydawać. Przechodziła już przez to wszystko i dobrze wie, w jakim punkcie znajduje się obecnie. Rozumie, że John często robi coś nierozważnie, bywa egoistą, lecz nie celowo, tylko bezmyślnie. Wszystkie kłótnie z okresu liverpoolskiego są już dawno za nimi. Teraz są bardzo szczęśliwi, choć Cyn twierdzi, że gdyby nie jej ciąża, to pewnie nigdy by się nie pobrali. John przyznaje jej rację. „On nigdy nie był zainteresowany ustatkowaniem się,

podobnie jak nigdy nie rozważał podjęcia regularnej pracy. Gdybym nie zaszła w ciążę, a potem za niego nie wyszła, to w momencie, gdy zaczęły się trasy po świecie, nasze drogi powoli by się rozeszły. Ja zostałabym pewnie w Art College i pracowała jako nauczycielka. Gdyby nie Julian, to nigdy by się to nie wydarzyło. To on nas scalił". Cyn nie łudzi się, że miłość mogłaby pokonać odległość. „On kochał Beatlesów. Gdyby nie dziecko, po prostu by z nimi odszedł".

Oboje zgodnie twierdzą, że cieszą się z pojawienia się dziecka, bo dzięki niemu wciąż są razem. Zgadzają się, że tak po prostu miało być. Los tak chciał, a John wyjątkowo mocno wierzy w zrządzenia losu. Cyn miewa takie okresy, gdy chciałaby spróbować czegoś nowego – podjąć pracę, może zrobić użytek z licznych kursów na uczelni artystycznej. Wraz z żoną George'a wpadły kiedyś na pomysł otworzenia wspólnego butiku w Esher, ale nic z tego nie wyszło. „Czuję lekką frustrację. W tej chwili nie zdecydowałabym się na kolejne dziecko. Nie teraz, gdy tyle się dzieje. Zdaję sobie sprawę, że potem może być za późno i w ogóle nie będę chciała mieć już dzieci. Ale naprawdę dopada mnie frustracja, bo chciałabym coś robić. Trochę maluję i szyję, lecz coraz częściej myślę, że chciałabym pójść do pracy. No, może nie teraz, ale za jakiś czas. Nigdy dotąd nie pracowałam. Mogłabym projektować albo uczyć".

Cyn wypomina Johnowi jego uzależnienie od Beatlesów, bo czasem naprawdę sprawia jej ono przykrość. „Bywa tak, że coś mu zaproponuję, a on albo to ignoruje, albo twierdzi, że to zły pomysł. A potem, po kilku tygodniach, Ringo wychodzi z dokładnie takim samym pomysłem i wtedy John natychmiast się do tego zapala. Nie martwię się tym jednak. Nie potrafię tego wyrazić słowami, ale czuję, że jestem silna. Takie mam przekonanie. Wiele rozumiem. Marzą mi się rodzinne wakacje, bez Beatlesów – tylko John, Julian i ja".

– Co takiego? – odzywa się John, uśmiechając się. – Bez naszych kumpli Beatlesów?

– Właśnie tak, John. Rozmawialiśmy o tym w zeszłym tygodniu, nie pamiętasz?

– I co ustaliliśmy?

– Że moglibyśmy wyjechać gdzieś tylko we trójkę, bez twoich kumpli.

– Ale to fajnie mieć wokół siebie przyjaciół.

– I to właśnie mnie boli: dla niego wyjazd wyłącznie z rodziną to za mało.

John się uśmiecha, a Cyn tylko kiwa głową.

– Oni potrzebują ciebie mniej niż ty ich – mówi.

Zanim zdąży odpowiedzieć, Cyn podaje przykład, który najwyraźniej miała już przygotowany.

– George pojechał do Los Angeles tylko z Pattie, prawda? On jakoś nie musiał ciągnąć wszystkich ze sobą.

John uśmiecha się i przyznaje jej rację.

– Gdy skończyliśmy koncertować, próbowałem radzić sobie sam. Pośmiałem się trochę i pograłem sobie w monopol na planie filmowym, ale to nie było to. Najbardziej ucieszyłem się, jak spotkałem się z chłopakami, bo znowu poczułem się normalnie.

– Jasne, wiem, a potem, jak wszyscy przejdą już na emeryturę, to przeprowadzimy się razem do małego domku gdzieś na urwiskach Kornwalii, tak? – mówi Cyn, spoglądając na niego strapionym wzrokiem.

– Nie, bo ja nie mogę przejść na emeryturę. Muszę pisać te cholerne piosenki. Muszę pracować, żeby uzasadnić swoje istnienie.

Rozdział 32
Paul

Gdy pozostali Beatlesi przeprowadzili się do bogatego Surrey, Paul jako jedyny został w Londynie. Mieszka w dużym, wolnostojącym, trzypiętrowym domu na St. John’s Wood, nieopodal stadionu krykietowego Lord’s i bardzo blisko studia EMI. Kupił go pod koniec 1966 roku i zapłacił za niego czterdzieści tysięcy funtów. W odróżnieniu od Johna i Ringo, niewiele w nim zmienił. Z ogrodu zrobiła się istna dżungla – kompletnie zarósł i jego jedynym bywalcem jest buszująca tam Martha. Gdy Paul się wprowadzał, ogród był przepiękny. Wszyscy, zwłaszcza ojciec, stale upominali go, by w końcu się nim zajął, ale Paul zdawał się czerpać przyjemność z posiadania dziczejącego ogrodu oraz z faktu, że tak bardzo irytuje tym innych. Niemniej pod koniec 1966 roku postanowił doprowadzić teren do porządku i wybudować tam magiczny dom. Miał to być rodzaj pagody na podeście, o przeszklonym dachu z widokiem na niebo. Gdy konstrukcja została ukończona, Paul i Jane zaczęli się zastanawiać nad przeprowadzką do mniejszego domu na wsi.

Dom otoczony jest wysokim, ceglanym murem z podwójną, czarną bramą sterowaną ze środka. Trzeba odezwać się do mikrofonu, wtedy odbiera ktoś z domu i jeśli powie się to, co trzeba, brama otwiera się, po czym zamyka się ze szczękiem, by do środka nie przedostali się fani. Wokół domów Beatlesów zawsze kręcą się wielbiciele, ale najwięcej jest ich zawsze koło domu Paula – w końcu to Paul i w dodatku mieszka w Londynie. Budynku zawsze pilnują ochroniarze usadowieni na murze po drugiej stronie ulicy. Mają stamtąd widok ponad ogrodzenie, na wypadek gdyby coś niepokojącego działo się przy drzwiach wejściowych. Idąc ulicą,

łatwo można rozpoznać dom Paula, bo na murze zawsze wiszą całe tabuny dziewcząt usiłujących zajrzeć na teren posiadłości.

W suterenie znajduje się mieszkanie dla służby, które przez długi czas zajmowało małżeństwo, państwo Kelly – ona była gosposią, on kimś w rodzaju kamerdynera, ale tak naprawdę po prostu zajmowali się domem, jednocześnie w nim mieszkając. Po nich pojawiali się różni przypadkowi ludzie, których Paul nie zwalniał, mimo że zdarzali się i tacy, którzy kompletnie nie nadawali się do tej pracy. Tak naprawdę prowadzeniem domu i przyjmowaniem gości mogłaby z powodzeniem zajmować się sekretarka, ale Paul nigdy nie chciał się na to zgodzić. Bardzo często zdarzają się okresy, gdy po prostu mieszkają sami, a gdy Paul wyjeżdża za granicę, najczęściej zagląda tu ojciec, by przypilnować domu i Marthy.

Paul nie przejmuje się niczym, nawet tym, że ludzie, z którymi był poumawiany, wystają przed jego domem, podczas gdy on jedzie sobie przez Afrykę lub Amerykę. Jedyne, czego mu potrzeba, to dobra, matkująca kobieta, która koło pierwszej czy o jakiejś innej dziwnej porze poda ciepłe śniadanie. Jeśli Jane nie pracuje, to właśnie ona gotuje i robi to doskonale. Na parterze domu znajduje się obszerna, dobrze wyposażona kuchnia, a także duża, pełna przepychu jadalnia, z której chyba nikt nie korzysta. Na tyłach mieści się salon, który jest najbardziej eksploatowanym pomieszczeniem. Pokój ten jest bardzo duży i wygodny – z drzwiami balkonowymi wychodzącymi na ogród. W salonie stoją spore, zielonkawe, delikatnie wypłowiałe meble w stylu edwardiańskim oraz pokaźny, drewniany stół, przy którym jada się większość posiłków. Jadalnia używana jest znacznie rzadziej. Na stole leży zwykle biały obrus, nadając pomieszczeniu wykwintnego wyglądu. Oprócz tego panuje chaos – wszędzie porozrzucane graty, mnóstwo ozdób, migających świateł, pakunków, gazet i elementów sprzętu. To tutaj Beatlesi, Mal, Neil i cała reszta zbierają się przed sesjami nagraniowymi i to tu tak naprawdę spędzają większość czasu podczas wizyt w Londynie. W pokoju panuje

bezpretensjonalna, domowa atmosfera. „Gdzie bym nie mieszkał, zawsze tak było, również w Forthlin. Teraz może wygląda to nieco inaczej, choćby za sprawą tego dużego, kolorowego telewizora, ale atmosfera zawsze jest taka sama”.

Na pierwszym piętrze znajduje się sypialnia Paula – duże pomieszczenie w kształcie litery L, wyposażone w kosztowne łoże z rzeźbionym wezgłowiem. W umeblowaniu tego pokoju pomagała Jane. W domu są jeszcze dwie inne sypialnie. Na samej górze jest miejsce pracy Paula, czyli pokój, w którym on i John harują, komponując piosenki. To również tam znajduje się fascynująca rzeźba Paolozziego, który był wzorem i nauczycielem Stu Sutcliffe’a.

Znana wszystkim Martha (jeśli sądzicie, że ominęła ją sława, sięgnijcie po „Beatles Monthly”[190]) jest wielkim, kudłatym owczarkiem staroangielskim o przyjaznym usposobieniu. Jest łagodna nawet wtedy, gdy nękają ją pchły. Ma specjalne drzwiczki, by mogła swobodnie wychodzić do ogrodu, ale Paul i tak stara się zabierać ją na prawdziwe, długie spacery. Zwykle idą na Primrose Hill lub do Regent’s Park. Kiedyś byli też w Hampstead Heath, ale Martha dostała ataku padaczki i więcej już tam nie poszli. Poza psem jest jeszcze kilka kotów i kociąt, których liczba zmienia się z dnia na dzień. Wszyscy Beatlesi mają koty, a ich urodziny są skrzętnie odnotowywane w „Beatles Monthly”. Co ciekawe, Paulowi udaje się wychodzić na spacery z Marthą i być zupełnie nierozpoznawanym. Gdy opuszcza dom, fani nigdy nie wiedzą, dokąd jedzie, a w parku zwykle podnosi kołnierz kurtki i chadza najbardziej ustronnymi ścieżkami. Tam spotyka jedynie starszych miłośników psów, których znacznie bardziej interesuje wielka Martha niż sam Paul. Beatles wymienia z nimi uściski dłoni i gawędzi o psach, a czasem nawet zaczepia ludzi, których praktycznie nie zna. Nie robi tego żaden z pozostałych Beatlesów, bo żaden nie jest z natury tak towarzyski jak Paul.

Któregoś dnia był na samej górze Primrose Hill i zauważył aktora, którego trochę znał. Zawołał za nim, ale ten minął go bez słowa, dając mu do zrozumienia, że go nie zna i nie chce, by za nim wołano. To był taki typowy, młody, brytyjski aktor z wyższych sfer, który rozpoznawszy w końcu Paula, rzucił tylko: „Witam”. Paul poznał kiedyś tego gościa dzięki Jane. Grali niegdyś razem w sztuce, a potem zaprosił Jane i Paula do siebie na kolację.

Paul spytał, jak mu się powodzi, na co ten z fałszywą skromnością odparł, że miał okazję grać w Nowym Jorku. „Ach, tak, a w czym?”, spytał Paul. „Nie mogę powiedzieć – odparł aktor, jeszcze bardziej siląc się na skromność. – Nigdy nie mówię takich rzeczy. Przed premierą nie mówi się o sztuce, bo można wszystko zepsuć. Nie sądzisz?”. Paul uśmiechnął się i przytaknął, że pewnie faktycznie tak jest. „No, to do widzenia”, powiedział aktor i ruszył dalej, machając przy tym rękoma i wdychając głęboko świeże powietrze, jakby zgodnie z tekstem didaskaliów.

„Dziwne, nie? – powiedział Paul, wracając do samochodu. – Że ktoś taki kompletnie nie umie się wyluzować. Zupełnie nie potrafi zachowywać się naturalnie. Ale w zasadzie jest w porządku. Jak tylko wypije kilka drinków i trochę odpuści, to robi się z niego miły gość. Pod koniec tamtej kolacji był już prawie zupełnie normalny. Naprawdę żal mi takich ludzi, bo nauczono ich takiego stylu bycia. Kiedy ja miałem szesnaście lat i byłem niezbyt pewnym siebie, nieposkromionym dzieciakiem, marzyłem, żeby stać się takim aktorem: uładzonym, panującym nad sobą i zawsze absolutnie pewnym siebie. Teraz wiem, że warto było przejść przez ten dziwny etap, by dziś być normalnym. Jane, ze względu na swoją przeszłość, też trochę się z tym boryka i nic nie może na to poradzić. Tak ich wychowano”.

Jane i Paul stanowią uroczą, kochającą się parę. Wszyscy to widzą. Jim od początku uważał, że nic nie uszczęśliwi Paula tak, jak małżeństwo. Jane Asher pochodzi z rodziny aktywnej zawodowo – jej ojciec jest lekarzem, a

matka nauczycielką muzyki. To ona uczyła George’a Martina gry na oboju. Już jako dziecko Jane grywała w filmach i na scenie, a Paula poznała w maju 1963 roku na koncercie w Albert Hall. Miała wówczas siedemnaście lat i pojawiała się w telewizyjnym programie muzycznym *Juke Box Jury*. Na koncert wysłano ją w towarzystwie reportera z „Radio Times” – nastoletnia Jane miała podzielić się swoimi wrażeniami na temat występujących zespołów. Według niej jedyną kapelą, przy której warto trochę pokrzyczeć, byli Beatlesi. Gdy zobaczyła ich po koncercie na korytarzu, jej uwagę w pierwszej kolejności przyciągnął George. Jednak to Paul był tym, który najszybciej rozpoznawał gwiazdy – to on ją zauważył i zaczepił. Już po chwili podrywali ją wszyscy Beatlesi. „Wszyscy pytaliśmy: »Wyjdziesz za mnie?« – opowiada Paul. – To był nasz stały tekst do wszystkich dziewczyn”. Zaprosili ją do hotelu Royal Court na drinka. „Szałowa panienka z Londynu, o których tyle słyszeliśmy. Pomyśleliśmy, że jesteśmy ustawieni”. Po całej serii porozumiewawczych spojrzeń, chłopcy zostawili Paula samego z Jane w sypialni – a oni przez cały wieczór rozmawiali o sosie pieczeniowym i ulubionym jedzeniu. „Pomyślałem, że to dziewczyna dla mnie. W ogóle nie próbowałem jej dotykać ani się z nią przespać. Powiedziałem jej tylko, że fajna z niej dziewczyna”.

„Nie mogli uwierzyć, że byłam dziewicą”, dodaje Jane. Przez kilka następnych tygodni spotykali się dość często, zwykle spacerując po Soho. Początek roku 1963 to czas, gdy niewiele osób rozpoznawało Paula, za to Jane znało wielu. Gdy Paul wrócił z krótkiego pobytu w Rzymie, Jane przyszła z mamą, by powitać go na lotnisku. Gdy okazało się, że nie zdążył na transport do Liverpoolu, pani Asher zaproponowała, by przenocował u nich. Początkowo Paul nie chciał się zgodzić, bo chłopakowi z robotniczej rodziny nie przystoi nocować u rodziny swojej dziewczyny. W końcu jednak uległ. Jeden nocleg zmienił się w trzy, potem w trzy tygodnie, a potem w trzy lata. I tak oto, bez wiedzy fanów, przez cały czas spędzany w

Londynie Paul mieszkał u Jane. Trwało to do końca roku 1966, gdy w końcu kupił własny dom przy St. John’s Wood.

I znowu – wieczór w ich domu podobny jest do typowego wieczoru młodej pary. Jane zrobiła kolację złożoną z samych dań wegetariańskich – podobnie jak John i George, Paul był wtedy wegetarianinem. Pierwszym daniem było awokado z sosem winegret, a potem zapiekanka z warzyw i orzechów na ostro. Wypili też pół butelki białego wina, kończąc to, co pozostało z gotowania. W trakcie posiłku do drzwi wciąż dobijali się fani. Jako że w domu akurat nie było służby, za każdym razem do domofonu podchodziła Jane. Była przy tym niezwykle uprzejma – wstając każdorazowo od stołu i nie okazując cienia irytacji, prosiła, by fani zaczekali chwilę, gdyż są w trakcie posiłku. Paul miał wtedy ten okres, kiedy po kilkunastu wizytach fanów po prostu zaczynał mieć dość. Dawno przestałby już podchodzić do drzwi, podobnie jak wtedy, gdy Brian Epstein nie mógł dostać się do środka. W końcu Jane namówiła Paula, by wyszedł do nich, mimo że nie skończył jeszcze kolacji. Z grymasem na twarzy stanął przed domem i rozdał autografy wszystkim czekającym na niego dziewczętom. Po kolacji wyjęli zdjęcia z ostatnich wakacji w Szkocji (przynajmniej raz w roku spędzają tydzień w domu Paula w Argyllshire). Potem oglądali telewizję i poszli spać.

Był to pewnie jeden z tych spokojniejszych wieczorów, bo w ich domu często bywają goście. Paul zachęca znajomych do odwiedzin, a oni chętnie korzystają. Gdy w 1967 roku Jane przez pięć miesięcy grała w Ameryce, odwiedziny te były bardzo częste. Pozostali Beatlesi nie mają tak wielu gości, między innymi dlatego, że mieszkają dużo dalej. Gdy pracują nad nowym albumem, przez dom non stop przewijają się różni ludzie. Jeszcze przed śmiercią Briana Paul zajmował pozycję lidera, a teraz przejął już tyle obowiązków, że większość spraw załatwia właśnie z domu. Gdy pewnego dnia deliberowali nad okładką do *Sgt. Pepper*, do Paula przyszedł znajomy artysta, Peter Blake. Byli tam też wówczas John i Terry Doran. Gdy Peter

się pożegnał, ówczesny pracownik Paula wszedł do salonu i oznajmił, że przy bramie stoi jakiś pastor. Zebrani parsknęli śmiechem. Ktoś stwierdził, że to pewnie kawał. Paul spojrzał na Johna, który najwyraźniej nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z pastorem, więc powiedział pracownikowi, by go odprawił. Terry dodał, że może to być jakiś przebrany aktor telewizyjny. Znowu roześmiali się serdecznie, a Paul stwierdził, że to właśnie Terry powinien pójść i grzecznie poinformować pana, że Paula nie ma w domu. Gdy Terry był już w połowie drogi, Paul nagle zmienił zdanie: „Albo wpuśćmy go, co? Jeśli wygląda w porządku, to może być nawet interesujący". Wróciwszy, Terry powiedział, że facet faktycznie wydaje się bardzo zabawny. Otworzyli zatem elektroniczną bramę i wpuścili go do środka.

Do salonu nerwowym krokiem wszedł schludnie ubrany duchowny w średnim wieku. Zebrani powitali go uprzejmymi uśmiechami, a Paul wskazał mu miejsce wśród nich. Pastor przeprosił za najście, tłumacząc, że przecież z pewnością są bardzo zapracowani i potwornie zajęci. Sam wymyślał dla nich wymówki i z całą pewnością był niezwykle zaskoczony, że w ogóle go wpuszczono. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu, i postanowił od razu przejść do rzeczy. Paul zapytał, o co chodzi, a pastor zdał sobie sprawę, że to pewnie musi być pan McCartney. Rozglądał się przy tym wokoło, usiłując rozpoznać pozostałych, ale najwyraźniej bez powodzenia. Składając dłonie razem, powiedział, że organizują właśnie kiermasz i zastanawiał się, czy Paul mógłby się na nim pojawić na chwileczkę. Oczywiście miał świadomość, jak bardzo są zapracowani, a wszystko, co do tej pory zrobili, było wspaniałe i teraz z pewnością są ogromnie zajęci…

„Nie, nigdy nie biorę udziału w takich imprezach", powiedział Paul. „Naturalnie, naturalnie – odparł pospiesznie pastor. – Domyślam się. Jesteście tak zapracowani. Wiem o tym. Tak bardzo zapracowani…". „Nie, nie jesteśmy – powiedział Paul z uśmiechem. – Wcale nie w tym rzecz, po

prostu to chyba nie byłoby odpowiednie, bo przecież ja nie jestem wierzący. Rozumie pan?”. Pastor odwzajemnił uśmiech i tylko bezwiednie kiwał głową, przytakując każdemu słowu Paula, który dodał, wciąż się uśmiechając: „Popracowalibyście lepiej nad wynikami waszej pracy, zamiast polegać na takich chwytach reklamowych, jak my”. „A tak, ma pan rację, zupełną rację. Staramy się. Staramy się zrobić z tym porządek. W przyszłym tygodniu mamy nabożeństwo międzywyznaniowe”. „Na początek może być – rzekł Paul. – Lepiej nie ciągnijmy tego tematu, bo mogłoby to potrwać do rana”. Pastor pospiesznie odparł: „Racja. A jesteście przecież tak zapracowani. Nie mogę wymagać, byście przyszli, jesteście tak bardzo zajęci…”.

Paul nie zadał już sobie trudu ponownego tłumaczenia, że nie o to mu chodziło. Pastor wstał, uśmiechając się, więc pozostali również się podnieśli. Podszedł do każdego z nich i szczerząc się w uśmiechu, nie ustawał w podziękowaniach, a jednocześnie przyglądał im się, uporczywie usiłując ich rozpoznać. Czuł, że skądś przecież musi ich skojarzyć. Paul odprowadził go do drzwi. Wychodząc, pastor jeszcze raz się odwrócił i powiedział: „Na pewno wszyscy jesteście bardzo sławni na całym świecie”. Gdy wreszcie sobie poszedł, wszyscy zgodnie stwierdzili, że był bardzo miły. Z faktu pozostania nierozpoznanym cieszył się szczególnie John. Zauważył, że to bardzo zabawne, jak ludzie zawsze przejmują się tym, że nie rozpoznają ich od razu. Zupełnie jakby mieli im tym sprawić przykrość, podczas gdy w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie.

Około piątej gosposia Paula, pani Mills, przyniosła posiłek: jajka sadzone, bekon, kaszanka, mnóstwo chleba z masłem i herbaty. Pojawili się George i Ringo, a potem Neil i Mal. Po posiłku wszyscy udali się do studia.

Poza osobami ze ścisłego kręgu Beatlesów lub ludźmi związanymi z powstającą właśnie płytą, w domu Paula często bywają też jego krewni z Liverpoolu. Ojciec, macocha Angie i przyrodnia siostra Ruth czy ciotki i wujkowie spędzają z nim nierzadko cały tydzień. Spośród wszystkich

Beatlesów to Paul jest najczęstszym gościem w rodzinnym mieście. John nie pojawia się tam wcale, odkąd Mimi przeniosła się do Bournemouth, a George, podobnie jak Ringo, dość regularnie odwiedza rodziców w Warrington. Jednak Paul często jeździ tam całkiem spontanicznie na weekendy, szczególnie gdy Jane jest poza Londynem, a on nie ma zbyt dużo pracy. Równie często zdarza się też, że Jane mu towarzyszy. Najczęstszym bywalcem Liverpoolu jest brat Paula, Michael, szczególnie od czasu, gdy jego nagrania i inne dokonania zaczęły odnosić sukcesy w Londynie. Telefon w domu Paula nie przestaje dzwonić – mają dwa różne numery i oba są zastrzeżone, lecz choćby zmieniały się one nie wiadomo jak często, fani zawsze jakoś je zdobywają. Paul odbiera telefony osobiście i mówi wtedy śmiesznym głosem. Łatwo stwierdzić, kiedy dzwoni jakiś fan, bo w słuchawce zapada zawsze przerażająca cisza, a wtedy Paul rozłącza się bez słowa.

– Ach, tak, cześć – utrzymuje wciąż ten sam, śmieszny ton, choć po głosie w słuchawce odgadł już, z kim rozmawia. To sławny didżej chce zaprosić go na niedzielę na przejażdżkę konną. – Dobra, zobaczę, czy dam radę.

Paul mówi uprzejmym, ale niezobowiązującym tonem, a jednocześnie robi miny do słuchawki, gdy tamten zapewne podlizuje się, zapewniając, jak Paul doskonale jeździ.

– Dobra, super, dobra. W porządku. Być może do zobaczenia. Cześć.

Telefon dzwoni ponownie i tym razem to tata dopytuje się o planowaną weekendową wizytę w Liverpoolu.

– Jak sądzisz, o której będziesz, synu? Żebym się mógł przygotować.

– Na co przygotować? – pyta Paul.

– Oj, no wiesz, po prostu przygotować.

– Nie wygłupiaj się, tato. Nie chcę, żebyś się na cokolwiek przygotowywał. Jak przyjadę, to będę.

W Niemczech Astrid była początkowo nieufna wobec Paula, choć głównie przez wzgląd na jego znajomość ze Stu. „Trochę mnie przerażało, że ktoś może być tak nieustannie miły. Brzmi to głupio. To dziwne, że czasem czujemy się bardziej komfortowo w towarzystwie ludzi nieuprzejmych tylko dlatego, że przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia. To wręcz głupie, że jesteśmy nieufni w stosunku do tych, którzy są dla nas mili”.

Paul przejął tę uprzejmość głównie po ojcu, podobnie zresztą jak jego brat. Gdy miał siedemnaście lat i koledzy przechodzili właśnie bunt przeciw rodzicom, Paul jako jedyny słuchał ojca i wszystkich jego kazań, co bywało powodem drwin wśród kolegów.

Paul jest też tym Beatlesem, do którego najłatwiej się zbliżyć osobom spoza branży, choć z drugiej strony to właśnie jego najtrudniej jest rozgryźć. Ma się wrażenie, że hamuje sam siebie, zawsze jest o jeden krok przed wszystkimi i w pełni świadom wrażenia, jakie wywołuje. Zwraca też uwagę na to, co myślą o nim inni, czym różni się od pozostałych członków zespołu. John ma to w nosie, Ringo jest zbyt poważny, by zawracać sobie tym głowę, a George w ogóle żyje w innym wymiarze.

Paul pogodził się już z tym swoim stylem bycia. Kiedyś próbował trzymać dystans i nie okazywać innym zainteresowania. „Dużo bardziej muszę się starać, żeby się nie starać. W moim przypadku to takie sztuczne, więc równie dobrze mogę się po prostu starać”.

Starania Paula, by być uprzejmym i pracowitym, miały dla zespołu ogromne znaczenie – to bowiem jego styl uprawiania *public relations* przejął potem Brian Epstein, choć wcześniej Paul próbował promować zespół (z kiepskim skutkiem), pisząc lakoniczne notki prasowe i wygłaszając krótkie przemówienia. Jego zabiegi stały się szczególnie ważne po śmierci Briana – dziś to Paul zajmuje się większością spraw i faktycznie można powiedzieć, że to on, a nie John, jest w pewnym sensie liderem zespołu. Choć tak naprawdę poważne dywagacje na temat lidera

Beatlesów mijają się z celem. Paul jest biznesmenem i siłą napędową. Porządnie wykonuje swoją robotę, ciągnąc tym samym pozostałych za sobą, jednak żadne kluczowe decyzje nie zapadają bez ogólnej zgody wszystkich chłopaków. Gdy już coś postanowią, Paul natychmiast zaczyna działać i nie znosi niekompetencji. Przy pracy nad okładką do *Sgt. Pepper* zdarzyło się opóźnienie z dostarczeniem próbnej odbitki projektu. Ponieważ nie dotarła ona do Paula w ustalonym terminie, zadzwonił do EMI i rozmawiając to z jednym, to z drugim działem dotarł w końcu do osoby bezpośrednio za to odpowiedzialnej. Powiedział dosadnie, co myśli o takim postępowaniu, a po krótkim czasie okładka z dołączonymi przeprosinami została mu dostarczona.

Innym razem, gdy toczyły się jakieś dyskusje z EMI, Paul zadzwonił do samego szefa, prezesa sir Josepha Lockwooda, który poprosił, by Paul chwilę zaczekał, po czym wskoczył do swojego rolls-royce'a i pojawił się u niego osobiście. Lockwood twierdzi, że z takim intelektem McCartney mógłby być niezłym prawnikiem. Paul jest uparty i chce, by wszystko było jak należy. Wciąż żywi resztki urazy, którą kiedyś podzielali też pozostali – to pozostałości okresu, gdy wszyscy starali się dyrygować Beatlesami i mieli ich za zwykłych rockandrollowych przygłupów. Paul nie znosi insynuacji, jakoby był niespełna rozumu. Pewnego dnia poszedł na spotkanie w EMI, na którym próbował wszystkich przekonać, jakim znakomitym pomysłem będzie Apple. Wrócił wściekły. „Oni mają nas za stukniętych", mówił, chodząc po salonie.

Cała koncepcja Apple to robota Paula. Formalnie wszystko zaczęło się jeszcze przed śmiercią Briana, ale nawet wtedy był to projekt Paula. John i reszta zgadzają się ze wszystkim, co postanowi, i pojawiają się na najważniejszych spotkaniach. Zgodnie z wizją Paula Apple to gigantyczna korporacja ze sklepami, klubami, studiami i najlepszymi specjalistami w branży – od operatorów kamer i inżynierów począwszy, na artystach, tekściarzach i kompozytorach skończywszy.

„Chcemy, aby powstało takie środowisko artystyczne, gdzie niczym pod parasolem ludzie będą mogli tworzyć w dogodny dla siebie sposób. Przez NEMS przewijają się tysiące funtów, które nie są należycie wykorzystywane. Trzymają je zamrożone w jakimś Bingley Building Society czy gdzieś tam. A tu chodzi przecież o hobby, o naszą muzykę. Tworzymy ją, leżąc do góry brzuchem. Apple też przekujemy na solidną firmę, siedząc sobie wygodnie w fotelu. Spotkania biznesowe mogą również podnosić na duchu, a nie podcinać skrzydła".

Produkcja *Magical Mystery Tour* w ogóle nie ruszyłaby z miejsca, gdyby nie Paul, który przez piętnaście tygodni dawał z siebie wszystko, przejmując odpowiedzialność za każdy etap prac. Niepochlebne opinie, z jakimi projekt ten spotkał się w Wielkiej Brytanii, początkowo były dla Paula dużym rozczarowaniem. „Od początku wiedzieliśmy, że to tylko takie przymiarki. Mieliśmy świadomość, że nie poświęciliśmy odpowiednio dużo czasu, nie zrobiliśmy wszystkiego dokładnie. Ale gdy pracujesz nad czymś tak długo, to nawet jeśli dzieło nie jest idealne, masz nadzieję, że może w gruncie rzeczy jest lepsze, niż ci się wydaje. Teraz cieszę się z tych kiepskich opinii – źle by się stało, gdyby te wszystkie niedociągnięcia uszły nam na sucho. Dzięki temu postawiliśmy sobie wyzwanie, by następną rzecz zrobić jak należy".

Zaraz po zakończeniu prac nad *Magical Mystery Tour* Paul zaczął obmyślać fabułę filmów pełnometrażowych. Wraz z Jane oglądał *Oto jest głowa zdrajcy*[191] i oboje zapragnęli stworzyć coś w widowiskowej scenerii. Paul pomyślał o romansie – bo niby dlaczego mieliby się zawsze tylko wygłupiać? Potem pojawił się pomysł na bardziej współczesną opowieść – Liverpool w czasach Wielkiego Kryzysu.

Paul i Jane spędzają ze sobą więcej czasu niż inne pary wśród Beatlesów – głównie dzięki Jane często wyjeżdżają, na przykład do Szkocji. Jako pierwsi zadeklarowali chęć przeprowadzki na wieś, do

mniejszego, spokojnego domu. John i George również teraz o tym myślą. „Zawsze próbowałem się targować z Jane – mówi Paul. – Chciałem, żeby całkowicie zrezygnowała z pracy”. „Odmawiałam. Tak już mnie wychowano, że musiałam zawsze coś robić. No i lubię grać. Nie chciałam z tego rezygnować”. „Teraz wiem, że głupotą było namawianie jej do rzucenia sceny – przyznaje Paul. – To targowanie się to była tylko taka gra”.

Wielokrotnie zdarzały się sytuacje, że jedno z nich chciało stanąć na ślubnym kobiercu, ale drugie było przeciwne. Jane twierdzi, że w jej przypadku na zmianę zdania zwykle miało wpływ jakieś wydarzenie związane z Beatlesami, które następowało na ogół w takim momencie, gdy już wszystko zdawało się być na dobrej drodze. Paul uważa, że winna jest kariera Jane, choć jednocześnie przyznaje, że gdy pojawiła się możliwość wyjazdu do Ameryki, stwierdził, że powinna skorzystać i pojechać. „Gdy wróciłam po pięciu miesiącach, Paul był zupełnie inny – brał LSD, którego ja nie tykałam. Byłam zazdrosna o jego duchowe doświadczenia, które dzielił z Johnem. Przez dom przewijało się dziennie jakieś piętnaście osób, a wszystkie pokoje zawalone były różnymi dziwnymi przedmiotami”.

Teraz życie Paula jest znacznie spokojniejsze i bardziej poukładane. W przeciwieństwie do pozostałych łatwiej przychodzi mu też mówienie swojej partnerce o własnych emocjach, dzięki czemu Jane dobrze wie, co Paul myśli. „Dodatkowym problemem było też to, że długo wiodłem żywot kawalera – dodaje Paul. – Nie traktowałem kobiet w taki sposób, jaki ogólnie uważa się za odpowiedni. Zawsze było ich wokół mnie mnóstwo, nawet w okresach, gdy miałem jakieś stałe dziewczyny. Ja w ogóle zawsze prowadziłem swobodny i niezbyt unormowany tryb życia. Wiem, że to egoizm, był on zresztą powodem kilku kłótni. Kiedyś Jane zostawiła mnie i wyjechała grać do Bristolu. Powiedziałem wtedy, że bardzo proszę, jedź sobie, znajdzie się inna. Ale życie bez niej było straszne”.

Właśnie wtedy napisał *I'm Looking Through You*[192]. To właśnie Jane była inspiracją do napisania kilku z jego najpiękniejszych utworów, jak choćby *And I Love Her*. Gdy zaręczyli się w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia w 1967 roku, wszystkie te problemy mieli już dawno za sobą. Jedynym długotrwałym punktem zapalnym był wówczas Maharishi, choć i tu potrafili dojść do porozumienia. Jane nie zafascynowała się guru w takim stopniu jak inni, chociaż zdawała się rozumieć jego magnetyzm. Sama jednak zdecydowanie wolałaby przeżywać te wszystkie duchowe doznania na osobności. Gdy Paul i Jane wyjeżdżali do Indii w 1968 roku, Paul nie był tak zagorzałym wyznawcą guru jak George i John, ale czuł, że może to pozwoli mu odnaleźć odpowiedzi na nurtujące go pytania. Jane zgodziła się mu towarzyszyć i jak się potem okazało, był to dla nich obojga dobry i szczęśliwy okres.

„Jako Beatlesi przechodziliśmy przez miliony płytkich przemian, które tak naprawdę okazywały się bez znaczenia i niczego w nas nie zmieniły – mówi Paul. – To trochę tak jak w tych ekskluzywnych miejscach: zaczynasz lubić awokado i szpinak i inne odjechane dania i jesz je każdego dnia. Uczysz się o winie i tak trwa to przez chwilę. A potem wracasz. Zdajesz sobie sprawę, że stoi przy tobie kelner, pyta, na co masz ochotę, a nie co inni chcieliby, żebyś zamówił. I jeśli masz ochotę na płatki kukurydziane na lunch, to je sobie zamawiasz, nie czując się przy tym jak błazen. Takie cykle przychodzą falami, są… jak wąsy. Nosiłem je, żeby rozbawić innych, taka głupotka. Powygłupiałem się, a pewnego dnia je zgoliłem i wróciłem na stare miejsce. Albo z tym jedzeniem: popróbowałem, dowiedziałem się i jestem z powrotem. To trochę jak spotkanie kogoś sławnego. Jak się przejdzie przez tę początkową fazę szoku, to zauważa się, że gość jest zupełnie jak Harry Bloggs. Cały czas jest się świadomym, że to tylko Harry Bloggs, ale trzeba przejść ten etap, żeby faktycznie na to wpaść. Zawsze wracamy do swojego stylu bycia, bo nigdy się nie zmieniamy. Możemy

stanowić układ A plus Jeden, gdzie Jeden to szary garnitur, i wtedy będzie cykl szarego garnituru. Albo A plus Dwa, przy czym Dwa to kwieciste koszule, ale i tak nadal jesteśmy A. A później jest już tylko A plus Śmierć. Wybacz te moje mądrości, ponosi mnie, jak się rozgadam.

Bo widzisz, wszystkie fizyczne zmiany są sztuczne. Wpadasz w cykl, ale nie zatracasz się w nim na zawsze, bo im więcej wiesz, tym wiesz mniej, i wtedy to inni ludzie służą ci za wentyl bezpieczeństwa. Tak naprawdę to my jesteśmy tą samą osobą, jesteśmy czterema częściami jednego organizmu. Jesteśmy jednostkami tworzącymi Kumpli, którzy są jednością. Jeśli jeden z nas, jedna strona Kumpli przechyla się na jedną stronę, to reszta przechyla się wraz z nim albo przyciąga go z powrotem. Każdy dodaje od siebie coś do całości. Ringo jest bardzo sentymentalny. Zawsze lubił słuchać soulu, chociaż dopóki nie pokazał nam tego rodzaju muzyki, nic o niej nie wiedzieliśmy. To pewnie dlatego piszemy dla niego takie sentymentalne kawałki jak *With A Little Help From My Friends*. George jest bardzo stanowczy i jeśli już się na coś zdecyduje, angażuje się w to bez reszty. Dzięki niemu nasza czwórka jest bardziej stanowcza. Wykorzystujemy tę jego cechę dla naszych potrzeb. Wszyscy czerpiemy z siebie nawzajem to, czego chcemy lub czego potrzebujemy. John jest szybki. Zobaczy na horyzoncie coś nowego i już go nie ma.

A ja jestem konserwatywny, zawsze muszę wszystko sprawdzić. Jako ostatni spróbowałem trawki czy LSD i jako ostatni wskoczyłem w kwieciste ciuchy. Jestem wolniejszy niż John. Jestem takim typem, po którym w klasie wszyscy spodziewają się najmniej. Kiedy pojawiała się nowa gitara Fendera, John i George natychmiast biegli do sklepu. John poleciał dlatego, że była po prostu nowa, a George zdecydował, że koniecznie musi taką mieć. A ja? Ja zastanawiałbym się, sprawdzał, czy mam tyle pieniędzy, a potem trochę odczekał. Wśród naszej czwórki jestem konserwatystą. Nie porównuję się z innymi ludźmi, a w porównaniu z własną rodziną wychodzę na dziwaka.

Podział ról nadal obowiązuje, bo jesteśmy właśnie tacy, a nie inni. Ale też zawsze będziemy się nieco zmieniać, dlatego że nie jesteśmy konformistami. To właśnie to niedopasowanie i ciągła chęć robienia czegoś nowego sprawiają, że nasza muzyka wciąż się wyróżnia. Poprzednie pokolenie pracowało nieustannie nad osiągnięciem pewnego statusu życiowego, zdobyciem określonych ciuchów i wpasowaniem się w jakieś normy. My mieliśmy to szczęście, że w wieku dwudziestu pięciu lat zdaliśmy sobie sprawę, że możemy pasować do takich norm, do jakich sami chcemy. Teraz mógłbym na przykład rozsiąść się wygodnie i prezesować firmie aż do siedemdziesiątki, tylko że nie nauczyłbym się tak wielu rzeczy, jak podczas podejmowania nowych wyzwań. Oczywiście można nauczyć się sporo o życiu, robiąc cały czas jedno i to samo, ale wtedy twoje horyzonty nie są zbyt szerokie.

My się nigdy nie dostosowywaliśmy, choć wszyscy wmawiali nam, że musimy się w końcu jakoś określić, ale nigdy im nie uwierzyliśmy. Mówiono, że musimy nosić szkolne marynarki, tymczasem jeśli jesteś wystarczająco pewny siebie, to wbrew podzielanej przez wielu opinii wcale nie musisz iść przez życie w szkolnym mundurku. Nie uczymy się, jak być architektami, malarzami czy pisarzami. Uczymy się być. To wszystko”.

Rozdział 33
George

George mieszka w pomalowanym na jaskrawe kolory, podłużnym, niskim, jednopiętrowym domu w Esher, stojącym na terenie prywatnego osiedla, którym zarządza National Trust[193]. Osiedle jest bardzo podobne do tego, na którym mieszkają John i Ringo. Wjeżdża się na nie przez bramę, za którą rozciąga się krajobraz przypominający ogrody pałacowe. Z początku trudno dostrzec jakiekolwiek domy, gdyż stoją z dala od wjazdu – odosobnione i luksusowe. Każdy ma swoją nazwę zamiast numeru, co sprawia, że odnalezienie właściwego stanowi spore wyzwanie. Najtrudniej jest znaleźć dom George'a. Jego nazwy, Kinfauns, próżno szukać nawet na samym domu czy na terenie ogrodu, a podjazd wygląda, jakby przynależał do innego budynku.

Od głównej bryły domu odchodzą dwa skrzydła, a całość zgrabnie otacza prostokątne podwórze, na którym znajduje się podgrzewany basen. George sam pomalował czy też potraktował jaskrawą farbą w sprayu wszystkie zewnętrzne ściany, a od strony ogrodu dom ozdabia krzykliwy miraż. Wewnątrz znajduje się pięknie urządzona kuchnia z sosnowymi meblami i ścianami oraz designerskim sprzętem kuchennym. Pomieszczenie to wygląda jak żywcem wyjęte z ilustrowanego dodatku do poradnika o urządzaniu modnej kuchni roku 1968. W głównym salonie znajdują się dwa wielkie, okrągłe okna, ciągnące się od podłogi po sam sufit.

W domu George'a nie widać ani złotych płyt, ani innych przedmiotów nawiązujących do kariery Beatlesów. Ten dom mógłby równie dobrze należeć do jakiegoś młodego, współczesnego architekta bądź projektanta mody, który spędził nieco czasu na Wschodzie. Pośrodku salonu stoją

niziutkie stoliki, a obok nich, na arabską modłę, leżą poduchy do siedzenia. Ani śladu krzeseł. Koło jednego ze stołów stoi bogato zdobiona fajka wodna. George siedzi po turecku na podłodze i trzymając sitar, zakłada nowe struny. Ma na sobie długą, białą, indyjską koszulę. Z tlącego się na ozdobnej podstawce kadzidełka wydobywa się słodki zapach, przepełniający cały dom.

„Mnie już nie kręci bycie Beatlesem. To wszystko jest takie banalne i nieistotne. Mam już dosyć tego mnie, nas, ja i tych wszystkich nieistotnych rzeczy, które robimy. Teraz staram się zgłębiać ważniejsze aspekty życia. Myślenie o tym, że jestem Beatlesem, to krok wstecz, a mnie interesuje przyszłość, chociaż opowiedzenie ci, w co dokładnie wierzę, zabrałoby mi jakieś sześć miesięcy: wszystkie hinduistyczne teorie, filozofie Wschodu, reinkarnacja, medytacja transcendentalna… Gdy zaczynasz to pojmować, zauważasz, że cała reszta jest bez znaczenia. Wiem, że dla przeciętnego wyznawcy Boga to bardzo niekonwencjonalne myślenie”.

Rozlega się dźwięk telefonu. George idzie odebrać i słyszy w słuchawce tłumiony chichot.

– Sklep z winami w Esher – mówi szorstkim i zniecierpliwionym głosem. – Nie, przepraszam – odkłada słuchawkę.

Pattie wraz ze swoją siostrą, Jennie, która właśnie wpadła z wizytą, wyszywają w kuchni. Obie mają na sobie ubrania z butiku Eastern Apple. Siedzą skupione, pracując w błogiej ciszy, na ich twarzach malują się delikatne uśmiechy, a zza ściany dobiegają pierwsze dźwięki sitaru, bo George właśnie zaczyna ćwiczenia. Cała ta sceneria ma niemal średniowieczny charakter.

Pattie jest jedyną wśród kobiet Beatlesów, która tak wiele rzeczy robi w domu sama – choć pewnie gdyby miała dzieci, dużo bardziej polegałaby na czyjejś pomocy. Mają jedynie gosposię, Margaret, która zwykle siada z nimi przy stole podczas posiłków i jest traktowana jak członek rodziny. Kobieta zajmuje się sprzątaniem, a gotuje wyłącznie Pattie, która także

wyciera naczynia i pomaga w porządkach. „To wcale nie taki duży dom, na jaki wygląda. Pełno tu rupieci i gdybym miała jeszcze więcej służby do pomocy, to tak naprawdę bardziej by zawadzali”. Pattie chodzi też sama na zakupy do pobliskiego supermarketu. Właśnie kupiła tabliczkę czekolady i stwierdziła, że smakuje jak mydło, więc odesłała ją, składając reklamację. Nie podpisała się własnym nazwiskiem – nauczyła się od George’a unikania wszelkiego rozgłosu. Użyła nazwiska Margaret, licząc na darmowe czekolady jako formę rekompensaty.

W porównaniu z partnerkami Johna, Paula i Ringo Pattie jest chyba najbardziej podobna do męża – oboje są bardzo nowocześni w podejściu do związku, zupełnie tacy, jak opisują to magazyny o nowoczesnych małżeństwach. Pattie podziela również zainteresowania George’a w znacznie większym stopniu niż pozostałe żony. Fascynację kulturą indyjską dzielili od samego początku i brała czynny udział we wszystkich etapach duchowego rozwoju. Jednocześnie zachowała nieco swojej wolności i niezależności – nadal pracuje jako modelka.

Każdy, kto przez te lata miał bliski kontakt z Beatlesami, twierdzi, że George przeszedł największą przemianę. Nawet ci spośród fanów George’a, którzy śledzą jego poczynania od niedawna, uważają, że się zmienił. Dla wielu ludzi był kiedyś najprzystojniejszym z Beatlesów, a teraz narzekają, że zbytnio zapuścił i zaniedbał włosy. To jedynie powierzchowna zmiana, dużo ważniejsze są te wewnętrzne. Georgie, jako najmłodszy, bardzo długo traktowany był jako najmniej dojrzały. Ludzie, którzy znali Johna, Paula i George’a, zwykle traktowali tego ostatniego jak chłopca. John i Paul rozwinęli się bardzo wcześnie, i to zarówno fizycznie, seksualnie, jak i pod względem talentu. Piosenki pisali na długo zanim George w ogóle o tym pomyślał.

George miał z tego powodu lekki kompleks niższości, ale nie było to nic poważnego. Cyn pamięta, że zawsze kręcił się koło nich, gdy chciała spędzić trochę czasu sam na sam z Johnem. Podobnie było w przypadku

Astrid i Stu. W szkole George nie był specjalnie zdolnym ani tak obiecującym uczniem jak Paul. Na praktyce zawodowej, w porównaniu z bystrym, kończącym już szkołę Paulem oraz Johnem, studentem sztuk pięknych, George był często niesprawiedliwie uważany za gorszego od reszty. Julia Lennon była absolutnie przerażona, gdy John przedstawił jej kolejnego młodocianego przyjaciela. Ona już nawet Paula uważała za dzieciaka.

„Był słodkim, małym chłopcem – mówi Astrid. – Takim małym George'em. Nigdy go nie ocenialiśmy, w przeciwieństwie do Stu, Johna czy Paula, o których zawsze mówiło się, że są tacy mądrzy. George nie rozwijał się tak szybko, jak pozostali. Ale wcale nie był głupi i nikt nawet przez chwilę tak o nim nie myślał. Stroił sobie nawet żarty z samego siebie, parodiując się jako tego najmłodszego. Któregoś roku dałam każdemu z nich pięknie zapakowany prezent gwiazdkowy. John otworzył swój jako pierwszy i znalazł tam dzieła Marquisa de Sade'a w wydaniu Olympia Press. George wziął swój prezent i spytał: »A ja co tam znajdę? Komiksy?«".

George miał przynajmniej zawsze pod ręką gitarę i przykładał się do gry dużo bardziej niż Paul czy John, dzięki czemu był od nich zdecydowanie lepszy. Na scenie do tego stopnia skupiał się na grze, że praktycznie wcale się nie uśmiechał, a jednocześnie przez bardzo długi czas nie chciał spróbować niczego nowego, jak choćby malowanie, bo sądził, że nie jest wystarczająco bystry.

Od końca roku 1966 to właśnie George jest najbardziej wszechstronny z całej czwórki. Jako pierwszy wyrwał się poza Beatlemanię, a pozostali zazdrościli mu nowych pasji, bo sami nie mogli ich w sobie odkryć. George stał się nawet liderem w paru sprawach, ale nie na siłę, jak John za czasów The Quarrymen – to inni sami zaczęli zwracać się do George'a i podzielać jego pasje. Dziś jest tym Beatlesem, który w najmniejszym stopniu polega na pozostałych, podczas gdy oni otwarcie przyznają, że tęsknili za sobą

nawzajem w trakcie tych długich miesięcy po zakończeniu tras koncertowych, kiedy każdy poszedł w swoją stronę. „Wcale mi ich nie brakowało – mówi. – Chociaż super było wrócić z Indii i o wszystkim im opowiedzieć”.

„George nie tęskni za nikim – mówi Pattie. – Jest niezwykle niezależny i coraz bardziej się wyłamuje. Odnalazł coś znacznie silniejszego niż Beatlesi, choć nadal pragnie się z nimi dzielić swoim światem. Stał się dla nich źródłem inspiracji, ale chce, by oni również podzielali jego zainteresowania”.

Największymi i najtrwalszymi pasjami George’a są teraz religia i muzyka hinduska, dzięki czemu omijają go wszystkie pułapki wynikające z bycia Beatlesem. Chociaż był taki okres, kiedy to właśnie on miał największą obsesję na punkcie pieniędzy: był milionerem, lecz nadal wypytywał Briana Epsteina o wszystkie podpisywane kontrakty. Obecnie nie udaje mu się oczywiście uniknąć rzeczy typu rozdawanie autografów czy odbieranie telefonów, a gdy już to się dzieje, jako jedyny z całej czwórki potrafi być nieuprzejmy. Wydaje się na moment zapominać, dlaczego to wszystko się wydarzyło, i po prostu irytuje się, gdy zaczepiają go zupełnie obce osoby. Był wściekły, gdy w pociągu do Bangor pewna kobieta zakłóciła mu picie herbaty prośbą o autograf. Pozostali Beatlesi, podpisując wszystko z grymasem znudzenia na twarzach, musieli powstrzymać jego wybuch, upominając go, żeby nie unosił się zbytnio, nawet jeśli fani zachowują się natarczywie.

George ma totalną obsesję na punkcie popularności. Gdy w gazetach pojawia się jakakolwiek wzmianka o nim, wpada w szał. Przekonała się o tym sama Pattie, niejednokrotnie będąca sprawczynią takiego zamieszania. Mimo ponaddwuletniego stażu małżeńskiego wciąż nie może przywyknąć do popularności i rozgłosu. „Myślę sobie, że teraz na pewno wszystko będzie dobrze, nikt niczego nie zauważy, a nawet jeśli, to dadzą nam spokój. Tak myślałam też o tym zeszłorocznym wyjeździe do Los Angeles,

tymczasem ku mojemu przerażeniu zobaczyłam tam kamery telewizyjne i setki wrzeszczących dziewcząt. W 1964 pojechaliśmy na Tahiti, a ponieważ był to szczyt Beatlemanii, wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać. Dołożyliśmy wszelkich starań, żeby wyjazd utrzymać w tajemnicy: Najpierw Neil i ja polecieliśmy pod przybranymi nazwiskami do Amsterdamu, a potem zawróciliśmy na Tahiti, by tam spotkać się z George'em. I nawet wtedy wszystko się wydało. Teraz wygląda to już trochę lepiej, ale zawsze najgorzej jest poza Anglią. Dość bezproblemowo można dostać się do samolotu na lotnisku w Londynie, ale potem angielska prasa daje cynk tym z miejsca docelowego i znowu są tłumy. Całkiem nieźle jest nocami. Kiedyś wyszliśmy z restauracji i niewyśledzeni przeszliśmy sobie kilka przecznic. Wciąż zadziwiają mnie ci wiecznie obecni wokół domu fani – włażą do ogrodu, a nawet do domu. Któregoś dnia przedostali się do naszej sypialni: wykradli moje spodnie i piżamę George'a".

Mimo przestróg męża Pattie kilkakrotnie nieumyślnie przyciągnęła uwagę mediów. Pewnego dnia dostała list od jakiegoś starszego człowieka z prośbą o wysyłanie mu używanych oprawek od okularów, bo zbiera je, by wysyłać potem do Afryki. Pattie pomyślała, że to bardzo szczytny cel, i poszła rozejrzeć się po okolicznych sklepach, wykupując wszystkie okulary, jakie tylko znalazła. Następnie usunęła z nich szkiełka i wysłała do tego człowieka. „Dzień później w »Daily Mirror« pojawił się artykuł o tym, co zrobiłam. Ten człowiek napisał nawet do mnie z podziękowaniem. Mówił, że taka reklama w prasie bardzo przysłużyła się sprawie, ale George był wściekły".

Podobnie jak pozostałe dziewczyny, Pattie również miała do czynienia z sytuacjami, w których groziło jej niebezpieczeństwo tylko z racji tego, że jest żoną Beatlesa. Najgorsze były święta Bożego Narodzenia w 1965 roku, gdy Beatlesi przygotowywali świąteczny program w Hammersmith. „Pojechałam tam z Terrym. Związałam sobie włosy, żeby wyglądać inaczej.

Nie wiem, jakim cudem kilka dziewcząt jednak rozpoznało mnie i zaczęło bić, zdjęły nawet buty, którymi we mnie rzucały, wykrzykując: »Dopadnijmy ją!«. Zostałam otoczona i nie mogłam się wydostać. Rzucały we mnie różnymi przedmiotami i wrzeszczały jak najęte. Terry'emu udało się odciągnąć mnie do bocznego wyjścia. Gdy tak się przepychaliśmy, dziewczyny wciąż mnie kopały, niektóre nawet przecisnęły się za nami przez drzwi i znów zaczęły wymierzać mi kopniaki. Mówiłam, żeby przestały, a one tylko krzyczały: »Za kogo ty się masz?«. Zaczęłyśmy się bić – jednej przyłożyłam w twarz, a Terry przyparł inną do muru i nie pozwalał się ruszyć. Wszystkie krzyczały i przeklinały, a nam wreszcie udało się jakoś wydostać. To były takie wstrętne dziewuchy, drobniutkie trzynasto- czy czternastolatki. Nie wiem, skąd pochodziły. Teraz nie jest już tak źle, choć czasem zdarzają się różne incydenty, na przykład Cyn została całkiem niedawno zaatakowana na ulicy. Jakaś dziewczyna kopnęła ją w nogę i powiedziała, żeby lepiej zostawiła Johna w spokoju, bo pożałuje. To niewiarygodne, biorąc pod uwagę, jak długo John i Cyn są już małżeństwem. Kiedy na ulicy widzę grupkę dziewcząt, wciąż odczuwam strach i nie jestem w stanie spojrzeć im w oczy. Zawsze schodzę im z drogi w obawie, że mogą mnie uderzyć".

Bycie żoną Beatlesa, podobnie jak bycie samym Beatlesem, wiąże się ze skomplikowanymi relacjami zarówno ze starymi, jak i z nowymi przyjaciółmi. Pattie jest bardzo związana z siostrą, która pracuje w Apple Boutique. Spędzają razem mnóstwo czasu. Jennie jest też żywo zainteresowana religią i kulturą indyjską. Poza siostrą Pattie ma kilkoro bliskich przyjaciół.

„Ludzie wtrącają te swoje złośliwe uwagi w stylu: »Tobie wypada, ty możesz sobie na to pozwolić«. Po starych przyjaciołach nie spodziewasz się tego typu głupawych tekstów. Podobnie jest z nowo poznanymi osobami – myślisz sobie, że ktoś jest miły, a potem ten ktoś nagle mówi coś takiego, co świadczy o tym, że uważa cię za człowieka innej kategorii. Pracowałam

kiedyś trochę dla »Vogue'a« i była tam taka kobieta, która powiedziała mi: »Nie uważam cię teraz za modelkę, jesteś raczej gwiazdką«. Nie jestem aktorką ani żadną gwiazdą. Jestem sobą, zawsze byłam sobą. Jako żony musimy się czymś zająć, gdy nasi mężowie spędzają długie godziny w studiu. Mamy sporo pomysłów, ale potem i tak wyjeżdżamy wszyscy z Esher, udając się do naszej wiejskiej, czterdziestohektarowej posiadłości. Potem na tapecie była Grecja czy jeszcze jakieś inne miejsce. Wciąż mamy szalone pomysły.

Chciałabym się czymś zająć tak sama dla siebie. Zaczęłam nawet brać lekcje gry na pianinie, ale okazało się, że osiągnięcie przyzwoitego poziomu zajęłoby mi strasznie dużo czasu. Jestem przekonana, że można robić wszystko, co tylko się chce, pod warunkiem, że odpowiednio się w to zaangażuje, ale z pianinem to po prostu było już za późno. Potem poszłam do jasnowidza, który powiedział mi, że moja babka grała na skrzypcach i że ja też mam podobny talent. Nie wiem, skąd wiedział, że moja babcia była skrzypaczką. Pomyślałam więc, że spróbuję, i przez pewien czas chodziłam na lekcje, ale to było jeszcze gorsze. Grę na skrzypcach trzeba zacząć naprawdę wcześnie. Teraz uczę się gry na dilrubie – to taki indyjski instrument. I chodzę na lekcje tańca indyjskiego do Rama Gopala. Jest cudnie, chodzimy tam z Jennie codziennie. Nie chcę być taką cichą żoneczką zamkniętą w domu. Chcę robić coś ciekawego".

O ile Pattie po prostu pogłębia swoją wiedzę o kulturze indyjskiej, to George niemal popada w fanatyzm – jak ze wszystkim, czego się podejmuje. Kiedyś tak intensywnie ćwiczył grę na gitarze, że palce mu krwawiły, a teraz potrafi przez cały dzień grać na sitarze. Gdy nie gra, pochłania jedną książkę religijną za drugą. George nie jest bynajmniej nawiedzony – w miarę jak uczy się coraz więcej, staje się bardziej pokorny i zrelaksowany. Nie ma tendencji do prawienia kazań, choć zawsze, kiedy w prasie pojawia się jakaś jego wypowiedź, istnieje niebezpieczeństwo, że zostanie odebrany jako większy fanatyk niż jest w rzeczywistości. Paul i

John od razu ukróciliby jego pretensje czy wyśmiali aluzje, gdyby takowe się pojawiały. Już na samym początku, jeszcze przed Maharishim, gdy George zaczynał samodzielną przygodę z buddyzmem i jogą, pozostali byli równie zafascynowani słuchaniem o jego nowych pasjach, jak on ich odkrywaniem.

„Spójrz na tę książkę. Każdy z nas dostał po jednej od pewnego Hindusa, gdy byliśmy na Bahamach. Tu jest data 25 lutego 1965 roku. To moje urodziny. Sięgnąłem po nią dopiero niedawno, kiedy zacząłem interesować się Indiami. Jest genialna. Ten Hindus to był naprawdę ktoś, po samym nazwisku widać. Tak naprawdę to już jego tytuł świadczy o tym, jak mądrym jest człowiekiem. Teraz wiem, że to był element całości. Taki właśnie był plan, żebym przeczytał ją akurat teraz. Wszystko toczy się wytyczonym torem: ścieżki Johna, Paula i George'a przecięły się w jednym momencie, niedługo potem dołączył Ringo. Staliśmy się zjawiskiem, które spowodowało jakąś reakcję. Jesteśmy jedynie maleńkimi trybikami w wielkiej maszynie. W życiu liczy się tylko Karma, która ogólnie oznacza czyn. Każdy czyn pociąga za sobą reakcję, która jest adekwatna do tego czynu i *vice versa*. Wszystko, co się dzieje, wywołuje reakcję, to jak zrzucenie tej poduszki. Zobacz, zrobiło się w niej wgniecenie.

Twoja samsara to powtarzające się wcześniejsze okresy życia i momenty śmierci. My wszyscy już tu kiedyś byliśmy. Nie wiem, czym wtedy byłem, choć przyjaciele, jakich miało się w poprzednim życiu, zazwyczaj stają się nimi również w obecnym. Nie znosi się tych samych ludzi, co poprzednio, i tak długo, jak będziesz nienawidzić, tak długo będą istnieli ludzie, których się nienawidzi. Reinkarnacja powtarza się aż do momentu, gdy poznasz prawdę absolutną. Niebo i piekło to tylko stan umysłu. Wszystko kreujemy sami.

Staliśmy się Johnem, Paulem, George'em i Ringo, ponieważ byliśmy już nimi ostatnio, wszystko gotowe jak na tacy. Zbieramy teraz to, co zasialiśmy w poprzednim życiu – cokolwiek to było. A jesteśmy tutaj, żeby

dojść do perfekcji, stać się niczym Chrystus. Każda dusza jest potencjalnie boska, a świat rzeczywisty to tylko iluzja. Stworzyły go przyziemność i identyfikacja z przedmiotami. Wszystko, co się dzieje, jest nieistotne, bo nie można wprowadzić do planu żadnych zmian, nawet za pomocą wojny czy bomby wodorowej. To wszystko jest bez znaczenia. Oczywiście dla osób bezpośrednio dotkniętych kataklizmem to ma znaczenie i zrzucenie bomby byłoby czymś strasznym, ale w ogólnym rozrachunku liczy się tylko to, co dzieje się w nas samych.

Kiedyś naśmiewałem się, czytając, jakim to chrześcijaninem jest Cliff Richard. Wciąż wzdrygam się, gdy o tym słyszę, ale wiem też, że religia i Bóg to jedyne realne sprawy. Wiem, że niektórzy mają mnie za wariata i czasem mnie samemu ciężko uwierzyć, że tak nie jest, bo nadal tak wiele spraw postrzegam w pospolity sposób. Wiem jednak, że wiara jest dobra. Jej brak to zamęt i pustka. Jeśli nie będziesz robił jakichś bzdur, życie samo się ułoży i tego staram się trzymać. Zatarłem w swoim życiu wszystko to, co wydarzyło się do momentu, gdy miałem dziewiętnaście lat. Jest przede mną jeszcze tak wiele nowego, dostrzegam tyle możliwości i zaczynam rozumieć, że jedyne, co wiem, to że nic nie wiem”.

Dopóki w jego życiu nie pojawiła się medytacja transcendentalna, wciąż szukał czegoś lub kogoś, kto połączyłby wszystkie wątki w spójną całość. W odróżnieniu od pozostałych, odkąd tylko zaczął medytować, George nie zrobił sobie ani jednego dnia przerwy. Tamci albo zapominają, albo są zbyt zajęci.

Kolejną rzeczą zajmującą istotne miejsce w życiu George’a jest muzyka. John i Paul zaczęli razem komponować już na samym początku znajomości, ale w przypadku George’a upłynęło bardzo wiele czasu, zanim podjął pierwsze próby, mimo że pomagał przecież przy hamburskich nagraniach. Jego kawałki zawsze powstawały bez udziału Johna i Paula – George po prostu przynosi do studia gotowy tekst i melodię. Jak we wszystkim, co teraz robi, w muzyce widać wpływy Wschodu. Jego

pierwsza piosenka ujrzała światło dzienne dopiero na drugiej płycie – wydanym w listopadzie 1963 roku krążku *With The Beatles*. Utwór ten nosił tytuł *Don't Bother Me*[194] i powstał w hotelowym pokoju w Bournemouth podczas trasy koncertowej. George był w tym czasie chory i musiał sporo odpoczywać.

„Czułem się paskudnie. Miałem brać coś na wzmocnienie i oszczędzać się przez kilka dni. Postanowiłem spróbować coś napisać, tak dla jaj. Wziąłem gitarę i grałem tak długo, aż zrobiła się z tego piosenka, a potem przy nagrywaniu kolejnej płyty kompletnie o niej zapomniałem. To była strasznie gówniana kompozycja i jak tylko pojawiła się na albumie, natychmiast wymazałem ją z pamięci".

O pisaniu piosenek zapomniał na kolejne dwa lata. „Robiłem wtedy tak wiele rzeczy, że jakoś nigdy się do tego nie zabrałem". George ma tendencję do pomniejszania znaczenia swoich utworów, traktując je wyłącznie jako efekt uboczny innych zajęć. Nie pamięta, ile ich napisał, i nie do końca wie, przy których płytach je tworzył. Jego kolejne piosenki pojawiły się na albumie *Help!*, który wydano w sierpniu 1965 roku. Były tam dwa jego utwory: *I Need You* oraz *You Like Me Too Much*. W grudniu 1965 roku na *Rubber Soul* pojawiły się kolejne dwa kawałki jego autorstwa: *Think For Yourself* i *If I Needed Someone*. Zastanawiając się nad albumami, na których znalazły się jego piosenki, George zapomniał o tej płycie, a prawda jest taka, że oba te utwory w niczym nie ustępowały pozostałym numerom na krążku.

W sierpniu 1966 roku wyszedł album *Revolver*, a na nim największa jak dotąd liczba piosenek George'a na jednej płycie: *Taxman*, *I Want To Tell You* oraz *Love You To*. Ta ostatnia stanowiła pierwszy z serii utworów, w których słychać indyjskie instrumenty – w tym przypadku jest to tabla. Już wkrótce ten trend podchwyciły setki zespołów rozrywkowych z Wielkiej Brytanii i Ameryki. Od tej pory piosenki George'a stawały się coraz

bardziej hinduskie, bazowały na jego coraz większej znajomości sitaru i hinduskiej muzyki w ogóle. Najlepszym z jego dotychczasowych utworów jest chyba *Within You, Without You*, będący kombinacją świetnego tekstu i zapadającej w pamięć muzyki. Pojawił się on na płycie *Sgt. Pepper*, wydanej w czerwcu 1967 roku. Sześć miesięcy później pojawił się też *Blue Jay Way* z wydawnictwa *Magical Mystery Tour*, a w marcu 1968 jego pierwszy utwór dołożony na singiel, *The Inner Light*.

„Gdy tylko miałem więcej czasu, pisałem częściej, a już szczególnie po zakończeniu tras koncertowych. W głowie miałem tak dużo indyjskich motywów, że musiałem je jakoś uwolnić". Wielkim wyzwaniem dla George'a jest skompletowanie muzyków hinduskich nadających się do sesji nagraniowych w Londynie. Podczas prac nad *Within You, Without You* i *Blue Jay Way* znalezienie i przesłuchanie osób grających na hinduskich instrumentach zajęło mu długie tygodnie. W Anglii nie było profesjonalistów grających na instrumentach, których potrzebował. „Zwykle miałem do czynienia z ludźmi, którzy na co dzień byli na przykład kierowcami autobusów. Na hinduskich instrumentach pogrywali sobie wieczorami i dlatego część z nich w ogóle się do tego nie nadawała, a i tak musieliśmy ich zatrudniać. Byli znacznie lepsi od muzyków z Zachodu, bo dla nich była to po prostu ich muzyka, choć i tak mieliśmy wiele problemów. Próby ciągnęły się godzinami".

Sesje nagraniowe George'a są dłuższe nawet od tych przy utworach spółki Lennon – McCartney. Tu również pomaga George Martin i cała reszta, ale to Harrison wszystkim dowodzi. W studiu pojawiają się grupy bardzo dziwnie wyglądających Hindusów, znoszących dziwaczne instrumenty, z którymi siadają po turecku i grają, by George mógł ocenić ich umiejętności. Jeszcze do niedawna problemem nie do przeskoczenia było zapisywanie muzyki w taki sposób, by Hindusi mogli ją odtworzyć, bo przecież większość z nich nie rozumie zachodniego zapisu nutowego. Podczas prac nad pierwszymi indyjskimi utworami George'a muzycy

musieli po prostu załapać, w czym rzecz, słuchając tego, co on sam im grał. Nawet Wielki George Martin nie zna się na indyjskim systemie zapisu muzycznego.

Dziś George radzi sobie znakomicie: nauczył się zapisywać swoje utwory w stylu hinduskim, by jego muzycy byli w stanie je zagrać. „Zamiast ósemek i kropek na pięciolinii oni używają bardzo prostego zapisu – coś jak nasze toniczne sol-fa. Zamiast tego całego do, re, mi jest sa, re, ga, ma, pa, dha, ni, sa. W ich piosenkach często nie występują słowa, tylko właśnie te dźwięki. Chcąc zaznaczyć, jak wysoki, niski lub długi ma być dany dźwięk, zapisuje się pod nimi specjalne znaczki. Pierwsze dźwięki w *Within You* do słów *we were talking* zapisane byłyby tak: ga, ma, pa, ni. Wystarczy nawet zapisać tylko pierwszą literę. Teraz jestem w stanie pójść do hinduskich muzyków, dać im zapis, zagrać im wszystko, żeby usłyszeli, jak to brzmi, i potem spokojnie mogą radzić sobie sami".

Na grę na sitarze George poświęca przynajmniej trzy godziny dziennie. Siada wtedy po turecku, a koniec instrumentu hinduskim zwyczajem opiera na podbiciu lewej stopy. Ma mnóstwo zeszytów wypełnionych muzyką zapisaną indyjskim systemem – to są jego ćwiczenia, które musi wykonywać. Jego nauczyciel, Ravi Shankar, dosłał mu też nagrane ćwiczenia, których George słucha zawsze i wszędzie, jeśli tylko sam nie gra, nawet przy jedzeniu. Jest naprawdę bardzo pracowity i zaangażowany, choć jak sam mówi, zajmie mu długie lata, zanim osiągnie przyzwoity poziom. Tak bardzo koncentruje się na nauce muzyki indyjskiej, że jego własne, beatlesowskie utwory powstają zwykle w pośpiechu. Nagminnie zapomina o tym, że powinien coś stworzyć, aż do momentu, gdy nadchodzi czas nagrania nowej płyty i doznaje nagłego olśnienia, że chyba powinien coś napisać.

Within You, Without You powstała po kolacji w domu przyjaciela, Klausa Voormana, grającego obecnie w Manfred Mann. „Klaus miał w domu fisharmonię, na której nigdy wcześniej nie grałem. Pogrywałem sobie

na niej dla zabawy, gdy nagle zaczęło wychodzić z tego *Within You*. Najpierw była melodia, a potem pierwszy wers, który tak naprawdę opisywał to, co właśnie robiliśmy: *we were talking*[195]. Tego wieczoru wymyśliłem tylko tyle, a resztę dokończyłem potem w domu. Zawsze mam problem z tekstem, nie jestem specjalnie uzdolniony poetycko. Tak naprawdę to moje teksty są kiepskie, ale nie przejmuję się tym, bo przecież to wszystko żarty. Jeśli komuś to się spodoba, to super, ale ja nie przywiązuję do tego zbytniej wagi".

Wielu krytyków nie mogło pojąć, dlaczego na *Sgt. Pepper* po utworze *Within You*, *Without You* słychać nagle wybuchy śmiechu. Niektórzy twierdzili, że to pewnie pozostali członkowie zespołu naśmiewali się z muzyki George'a, tymczasem był to w całości właśnie jego pomysł. „Po takiej dawce indyjskiej muzyki potrzebna jest chwila wytchnienia, to taka odskocznia po pięciu minutach smutnych dźwięków. Przecież nie trzeba tego brać tak strasznie poważnie. I tak miało być słychać reakcje widowni oglądającej *show Sgt. Pepper* – cały ten album utrzymany jest w takiej konwencji".

Na *Magical Mystery Tour* pojawiła się piosenka George'a pod tytułem *Blue Jay Way*, którą napisał podczas pobytu w Kalifornii na początku lata 1967 roku. Sam tytuł to nazwa ulicy w Los Angeles, przy której on i Pattie wynajęli dom. Właśnie przylecieli z Londynu i czekali na swojego przyjaciela, Dereka Taylora (byłego rzecznika prasowego Beatlesów pracującego obecnie w Apple). „Derek utknął w korkach i zadzwonił, że się spóźni. Powiedziałem mu przez telefon, że dom jest przy Blue Jay Way, a on odparł, że na pewno go znajdzie, a jak nie, to zawsze może zapytać gliniarza. Czekałem i czekałem, byłem kompletnie wykończony lotem, ale nie chciałem zasnąć, dopóki się nie pojawi. Na zewnątrz była mgła i robiło się coraz później. Walcząc ze snem, postanowiłem napisać piosenkę o tym, jak czekam na niego przy Blue Jay Way – tak dla jaj i dla zabicia czasu. W

tym domu stały niewielkie organy Hammonda, których wcześniej w ogóle nie zauważyłem. Pograłem sobie i wyszła z tego piosenka". Cały tekst utworu nawiązuje do tego, jak George czekał na Dereka Taylora: *There's a fog upon LA, and my friends have lost their way…*[196]. Po powrocie do Esher George doszlifował piosenkę, a w jej ostatecznej wersji nadal słychać w tle głęboki, dudniący dźwięk organów.

W styczniu 1968 roku George po raz pierwszy zgodził się napisać muzykę do filmu. Była to produkcja pod tytułem *Wonderwall*. Często proszono go o coś podobnego, ale zwykle odmawiał. Pewnego dnia pracował nad piosenką dla Marianne Faithfull, która poprosiła go, by stworzył dla niej coś w stylu *Within You, Without You*. George nie wiedział, co z tego wyjdzie – miał w głowie melodię, ale słowa wychodziły mu wciąż jakieś żartobliwe… Pomyślał nawet, że ukończony tekst okaże się zbyt zabawny i będzie musiał się go pozbyć.

„Na razie mam to: *You can't love me with an artichoke heart*[197] i brzmi nieźle – zaśpiewał, przygrywając sobie na organach Hammonda. – Ale nie wiem, co z resztą tego żarciku: *You can't listen with your cauliflower ear*[198] albo *Don't be an apricot fool*[199]. Sam nie wiem. Zobaczę, co z tego wyjdzie. Nie mam szerokiej skali głosu, dlatego wszystkie moje piosenki są takie łatwe. Marianne ma podobny głos, więc będzie pasować".

George faktycznie nie ma szerokiej skali, ale sądząc po listach przychodzących do „Beatles Monthly", fani mają chyba inne zdanie. Wciąż pytają, dlaczego John i Paul nie pozwalają George'owi śpiewać częściej. „To nieprawda, że mi nie pozwalają. Śpiewałbym, gdybym chciał, ale mi się nie chce". Za prawdziwych kompozytorów i tekściarzy George uważa Johna i Paula, więc sam nie odczuwa potrzeby tworzenia, skoro oni są tak znakomici. Chyba że akurat wpadnie mu coś do głowy.

„Nie jestem pewien, czym chcę się teraz zająć. Autentyczne, klasyczne indyjskie piosenki są diametralnie różne od tych popularnych kawałków z

naleciałościami hinduskimi, które piszemy. To są tylko zwykłe utwory rozrywkowe z delikatnie hinduskim podkładem. Nawet do tych moich nie jestem jakoś specjalnie przekonany. Dla kogoś z zewnątrz są niezłe, ale z mojej perspektywy i biorąc pod uwagę to, co naprawdę chciałbym robić, brzmią bardzo przeciętnie. Zawsze robię wszystko w pośpiechu i dopiero gdy całość jest już nagrana, dociera do mnie, co jeszcze powinienem był zrobić".

Ludzie zbyt serio traktujący muzykę Beatlesów wydają się George'owi po prostu zabawni. Mówi, że słowa w *Within You* z założenia są prawdziwe, ale i tak miał to być pewien żart. „Ludzie tego nie rozumieją. To tak samo jak z *I Am The Walrus* Johna: *I am he as you are he as you are me*[200]. To prawda i zarazem żart. A ludzie doszukują się jakichś ukrytych znaczeń. To jest na poważnie, ale jednocześnie nie jest". George uważa, że jako zespół mogliby pójść jeszcze dalej i pewnie w zakresie muzyki i tekstów tak właśnie się stanie. Jego zdaniem tekst Johna w I *Am The Walrus* o ściąganiu majtek był świetny. „A czemu nie można śpiewać o pieprzeniu się? Przecież to się dzieje non stop na całym świecie, to dlaczego by o tym nie wspomnieć? To tylko wymyślone przez ludzi słowo, które samo w sobie nic nie znaczy. Spróbuj powtarzać sobie – pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć. No i co? To nic nie znaczy, więc czemu by go nie użyć w piosence? Kiedyś w końcu to zrobimy, ale jeszcze tego nie rozważaliśmy". Zgadzałoby się to z teorią Kennetha Tynana o tym, że piosenki Beatlesów pochodzą wprost od średniowiecznych pieśni angielskich, które zawierały mnóstwo niecenzuralnych słów. W tym względzie prawdą jest więc stwierdzenie, że George, John i Paul faktycznie nie stworzyli jeszcze niczego nowego.

Tymczasem w posiadłości George'a Harrisona, która z tymi nisko zawieszonymi, białawymi, drewnianymi belami przypomina nieco rancho, zadzwonił telefon. Nie był to fan, ale były pracownik z długą i pogmatwaną

historią o tym, jak to pożyczył Jayne Mansfield dwieście pięćdziesiąt funtów, a ta zmarła, nie oddawszy pieniędzy, i teraz grozi mu eksmisja, więc może George mógłby mu pomóc. Ten odparł, że naturalnie, oczywiście. Odłożył słuchawkę i powiedział: „Czymże jest dwieście pięćdziesiąt funtów?”.

George nadal jest Beatlesem – to jego praca i jak to z pracą bywa, musi czasem o niej pomyśleć, zresztą tak jak o swojej przyszłości. Właśnie zaczyna do niego docierać, że to jego obowiązek, by pracę wykonywać porządnie. Być może ciąży na nim, jako na gwieździe muzyki rozrywkowej, jakaś społeczna odpowiedzialność. Jeszcze nie tak dawno temu żaden z Beatlesów nawet przez chwilę się nad tym nie zastanawiał.

Więź George’a z pozostałymi Beatlesami jest wciąż bardzo silna i nie zmienią tego ani jego ćwiczenia gry na sitarze, ani skłonność do kontemplacji. To John, Paul i Ringo są jego największymi przyjaciółmi i podobnie jak oni dzielili z nim fascynacje religijne, tak i on podziela ich pasje – jakkolwiek prozaiczne by nie były – od noszenia długich fularów po kamery filmowe.

„Jeśli jeden z nich spróbuje czegoś nowego, pozostali koniecznie muszą się o tym dowiedzieć – opowiada Pattie. – Mają swoje odchyły, tak jak dzieciaki w czasach szkolnych, ale dzięki temu są szczęśliwi. Przy każdym kolejnym zachwycie czymś nowym trwonią mnóstwo pieniędzy. Kupują rzeczy, których potem nigdy nie używają, choć często po jakimś czasie znajdują one zastosowanie. Wielkie pieniądze poszły na kamery i sprzęt filmowy, ale dzięki temu przekonali się, że potrafią kręcić filmy, nie mając zbytniej wiedzy teoretycznej. Teraz już wiem, że są jak jedna całość. Gdy byłam świeżo po ślubie, nie mogłam tego pojąć. Oni należą do siebie nawzajem. Żaden człowiek nie należy wyłącznie do jednej osoby. Nie ma sensu trzymać się ich kurczowo, bo byłoby to żałosne. George jest moim mężem, ale musi mieć wolność w kontaktach z nimi, kiedy tylko jej zapragnie. Dla niego poczucie wolności jest bardzo istotne. George’a łączy

z chłopakami wiele spraw, o których ja nie mam pojęcia. Nikt nie jest w stanie przebić się do ich świata czy choćby spróbować go zrozumieć. Nikt. Nawet żony. Kiedyś mnie to bolało, bo zaczęłam zdawać sobie sprawę, że istnieje pewien świat, do którego nigdy nie będę należała. Rozmawiałam o tym z Cyn, która powiedziała, że oni zawsze będą elementami jednej całości".

Jest jeszcze tylko jedna drobna kwestia z życia Beatlesa, którą Pattie ośmiela się krytykować. W odróżnieniu od samych członków zespołu, Pattie jest zdania, że powinni przeznaczyć część swoich pieniędzy na jakąś działalność charytatywną. (Począwszy od lata 1968 roku, zaczęli przekazywać zyski z kilku piosenek na rzecz pewnych organizacji charytatywnych. Wpływy z *Across The Universe* trafiły do Światowego Funduszu na rzecz Przyrody).

„Wiem, że o wielu z tych organizacji mówi się, że z zebranych pieniędzy korzystają tylko pracujący w nich urzędnicy, ale przecież musi być coś, co można robić. Tak jak Marlon Brando pomaga tym bezdomnym dzieciakom. Swego czasu, na samym początku ich kariery, wokół Beatlesów aż roiło się od przeróżnych stowarzyszeń, namawiających ich do działania. Do garderoby przyprowadzano im całe chmary kalekich dzieciaków, jakby byli jakimiś uzdrowicielami. Takie rzeczy wzbudzały w nich odrazę. Nie miałabym nic przeciwko zorganizowaniu jakiejś akcji charytatywnej, tylko że znowu ten cały rozgłos nie przyniósłby niczego dobrego, a raczej, jak mówi George, wszystko by popsuł. Zawsze tak się dzieje. Ludzie zaraz pomyśleliby, że robimy to z nieczystych pobudek. To tak, jak niektórym nie mieściło się w głowach, że naprawdę chcieliśmy pójść i posłuchać, co mówi Maharishi. Nie tak łatwo się rozeznać, co należy zrobić".

George twierdzi, że wie, co zrobi, i zupełnie nie martwi się o przyszłość, bo jego fascynacja sferą duchową nigdy nie przeminie. Cynicy

przegrają. Zainteresowanie kulturą Indii nie jest jedynie przemijającym etapem.

„Osiągnięcie stanu wiecznej szczęśliwości to teraz mój najważniejszy cel, ale nadal mam robotę do wykonania, bo przecież jestem Beatlesem. Musimy robić swoje, bo teraz wiele możemy. Możemy próbować wielu rzeczy, pokazywać, testować to czy tamto, czego inni nie mogą lub nie chcą zrobić. Tak jak z narkotykami. Ludzie mający normalną pracę nie mogą poświęcić na nie tyle czasu, ile my mogliśmy. Gdyby Mick [Jagger] trafił za kratki za palenie trawki, to byłby najodpowiedniejszą osobą, której mogłoby się to przytrafić. Tak byłoby znacznie lepiej, niż gdyby przytrafiło się to komuś bez grosza przy duszy i zrujnowałoby mu życie. Jeśli jesteś bogaty i sławny, to łatwiej przejść przez takie historie.

Tak naprawdę to dopiero zabraliśmy się do kręcenia filmów. *Magical Mystery Tour* to był pryszcz. Pokażemy, że można. Każdy może zrobić film i wcale nie trzeba tego całego zamieszania ze sponsorami, firmami, setkami techników i wycyzelowanymi scenariuszami. Sami zrobimy jeden albo dwa filmy rocznie, choć niekoniecznie będziemy w nich grać. Będziemy wypożyczać nasze studia i ludzi każdemu, kto tylko będzie chciał. I pożyczymy pieniądze, a jeśli kiedykolwiek będziemy musieli skorzystać z pomocy sponsorów, to postaramy się, żeby nie mieli żadnego wpływu na naszą pracę. Będziemy w ten sposób zataczać koła, robiąc filmy i próbując wciąż nowych rzeczy. A po filmach znowu spróbujemy czegoś nowego. Czego – to się dopiero okaże. Gdy zaczynaliśmy prace nad płytami, nie mieliśmy pojęcia, że kiedyś będziemy robić filmy.

I tak będzie dalej: będziemy znów próbować czegoś nowego, posuwając się małymi krokami do przodu. Potem umrzemy i zaczniemy nowe życie. Znowu będziemy próbować i wciąż się doskonalić. Tu życie. Tu śmierć. Jak dotąd, jeśli chodzi o życie, jeszcze nic nie zrobiliśmy”.

Rozdział 34
Ringo

Ringo mieszka rzut beretem od Johna – na tym samym prywatnym osiedlu w Weybridge, w hrabstwie Surrey. Sunny Heights, czyli jego duży dom wybudowany w 1925 roku w stylu z epoki Tudorów, kosztował trzydzieści siedem tysięcy funtów. Kolejne czterdzieści tysięcy Ringo wydał na renowację. Nie ma tam basenu jak u Johna czy George'a, jest za to znacznie większy teren, porośnięty drzewami i krzewami. Budynek stoi tyłem do pola golfowego St. George's Hill i co ciekawe, ani Ringo, ani John nie są członkami klubu golfowego. Nigdy nie ubiegali się o członkostwo. Kiedy się tu przeprowadzili, reporter jednej z gazet zwrócił się do klubu z pytaniem, czy Beatlesi mogą zostać jego członkami. Poinformowano go, że to niemożliwe, gdyż obowiązywała długa lista oczekujących. Sam Ringo twierdzi, że i tak nie chciałby do niego należeć, bo zupełnie nie łapie, o co chodzi w tym całym łażeniu po trawie.

Założenie ogrodu kosztowało niemało – tylna część domu wychodzi teraz na ogromny, wykopany w ziemi amfiteatr. Mnóstwo tam ceglanych tarasów i sadzawek, do których można przejść prosto z głównego salonu. Po obu stronach amfiteatru rozciąga się niewielki las, również będący własnością Ringo. Na jednym z drzew zamocowano pokaźny domek dla dzieci.

Ku zdumieniu Ringo, część przebudowy tylnej części domu, a dokładniej postawienie półkolistej ściany, kosztowało dziesięć tysięcy funtów. Podobnie jak pozostali Beatlesi, tak i on przez lata nie pytał nikogo o szacunkowe koszty podejmowanych przedsięwzięć, co sprawiało, że górna granica praktycznie nie istniała. Działo się tak niekoniecznie dlatego, że nagle wszyscy chcieli zrobić ich w konia – raczej starali się, by

oferowane przez nich materiały i usługi były z najwyższej półki. „Kiedy tak sobie chodzę – mówi Ringo, spoglądając na swój imponujący ogród – to często zastanawiam się, co taki niechluj jak ja robi w takim przepychu. Ale to mija. Człowiek się przyzwyczaja i przygotowuje na dyskusję z każdym, kto próbuje wyciągnąć ode mnie zbyt dużo kasy".

Latem 1967 roku Ringo zlecił dobudowanie kolejnego skrzydła domu, w którym mieszczą się dodatkowe salony, pokoje gościnne, pracownia oraz jedno bardzo długie pomieszczenie służące jako sala kinowa bądź pokój bilardowy. Skrzydło to postawiła firma budowlana, której Ringo był współwłaścicielem. To jego jedyne indywidualne przedsięwzięcie. Niestety, w połowie tego samego roku firma musiała zostać zamknięta ze względu na zamrożenie kredytów. „Wybudowaliśmy wiele świetnych domów, ale nikogo nie było na nie stać. Nie straciłem na zamknięciu firmy, ale zostałem z dwunastoma nowiutkimi mieszkaniami i domami, które przez długi czas po prostu stały puste".

Salon Ringo jest chyba najładniejszy ze wszystkich Beatlesowskich salonów, choć od strony ogrodu jest znacznie zacieniony ze względu na kradnący nieco światła taras. W pokoju tym znajdują się przepiękne meble i rozciągnięty na całej podłodze ciemnobrązowy dywan od Wiltona[201]. Kosztował fortunę. Robiony był na zamówienie z jednego elementu i stąd jego horrendalna cena. Ringo przechodzą ciarki, gdy sobie pomyśli, ile za niego zapłacił, i nie chce, żeby ktokolwiek przypominał mu tę kwotę – była to dwukrotność ceny, jaką przeciętny człowiek płaci za cały dom.

Jedno z pomieszczeń służy za bar – bardzo staroświecki i kiczowaty, ale znajdują się tam również autentyczne drobiazgi barowe, na przykład kowbojska kabura podarowana mu przez Elvisa. W całym domu znaleźć można złote płyty i inne nagrody, ale nie jest tego zbyt wiele. W pokoju Ringo na ścianach wiszą skąpe półki na książki, a na nich mocno sfatygowane woluminy. Część z nich jest nowa, ale wyglądają na używane

– są to książki traktujące o hinduizmie – część zaś również jest nowa, ale praktycznie nietknięta. Wśród nich są głównie dzieła Dickensa i tytuły historyczne. Spośród wszystkich Beatlesów jedynie John ma porządne regały na książki.

W domu jest jeszcze kilka pomieszczeń zarezerwowanych na zabawki właściciela. Te są zwykle bardzo drogie, a najliczniejszym zbiorem są kamery filmowe. Ringo nakręcił parę naprawdę genialnych filmów, choć sam nie lubi ich pokazywać i wcale nie uważa, że są dobre. Jeden z nich to dwudziestominutowy, kolorowy obraz składający się w większości z ujęć ze zbliżenia na oczy Maureen, a w tle słychać muzykę elektroniczną. Jest też taka scena, gdzie jadąc autostradą M1, Ringo filmuje przez okno samochodu światła nadjeżdżających z naprzeciwka pojazdów. Inna znakomita sekwencja powstała, gdy siedział na ogrodowej huśtawce i bujając się, kręcił obraz domu i ogrodu. Cały proces kręcenia i montaż to dzieło samego Ringo. Co prawda używał bardzo drogiego sprzętu, ale mimo to efekt jest niezwykle ciekawy. Nawet podczas prac nad *Magical Mystery Tour* Ringo miał szansę wykorzystać swój sprzęt i nakręcić jedno czy dwa ujęcia.

Ringo trochę maluje, lecz niezbyt wiele. Jego żona, Maureen, całymi godzinami wyszywa misterne wzory. Przy jednym z nich odwołała się do symbolu z *Sgt. Pepper* – wszystko pokryte jest cekinami, setkami cekinów. Zabrało jej to z przerwami sześć tygodni, kiedy czekała na narodziny Jasona. Ich pierwszy syn, Zak, przyszedł na świat we wrześniu 1965 roku, a Jason w sierpniu 1967 roku. Ringo mówi, że na razie nie planują kolejnych dzieci. Chce, żeby Maureen nieco odpoczęła. Zatrudniają mieszkającą z nimi na stałe nianię oraz panią do sprzątania, ale podobnie jak John i Cyn, również Ringo i jego rodzina przebywają właściwie wyłącznie w głównej części domu. Nie ma się jednak wrażenia, że ktokolwiek tu komuś usługuje. Maureen sama gotuje dla Ringo, a w przeciwieństwie do domu Lennonów, cały ich dom sprawia wrażenie zamieszkanego.

Gdy Ringo nie pracuje, krzątają się oboje, i podobnie jak John cały czas słuchają muzyki, a ich życie toczy się przy włączonym telewizorze – włączonym nawet w pomieszczeniach, w których akurat ich nie ma. Oglądają bardzo dużo. Mają aż sześć odbiorników telewizyjnych, a Ringo może zmieniać kanały, nie ruszając się z kanapy w głównym salonie, jedynie operując gałką przy sofie. Gdy w radiu lub w telewizji pojawia się jakiś utwór Beatlesów, Ringo jedynie uśmiecha się lub kiwa głową, gdy akurat jest w towarzystwie. John i Paul zdają się w ogóle nie zauważać takich sytuacji, a George wcale nie ogląda telewizji i nie słucha płyt z muzyką rozrywkową.

„Nie puszczam sobie naszych piosenek. Maureen czasem je włącza – jest fanką Beatlesów i Franka Sinatry. Kiedyś każde pojawienie się naszej piosenki w radiu świętowaliśmy jak opętani. Nie przejmuję się zbytnio, gdy ludzie nas atakują. Jesteśmy tak znani, że teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Krytycy faktycznie są w stanie obrzydzić niektóre nagrania, choć wielu osobom mogłyby się one podobać. Kiedy jesteś na początku kariery, wszyscy wstawiają się za tobą, ale jak już ci się uda, to usilnie cię krytykują. Jeżeli na lotnisku wita cię tylko trzydzieści osób, to inni powiedzą, że to żadne tłumy i że pewnie się kończysz. Wszyscy by chcieli, żeby było tak, jak za czasów naszych tras koncertowych. Myślą sobie: »O, Beatlesi, na pewno kręcą się wokół nich miliony ludzi«”.

Podobnie jak pozostałych członków zespołu, Ringo też bawią karkołomne próby doszukiwania się drugiego dna w ich utworach. Ta praktyka jest szczególnie popularna w Ameryce. „Tam po prostu musi tak być. Oni mają setki takich gości, którzy zajmują się czymś, co tutaj robi zaledwie dziesięciu, i dlatego wciąż doszukują się czegoś wyjątkowego”. Ringo, jak pozostali, też stara się prowadzić normalne życie. Uważa, że skoro przestali koncertować i funkcjonować jako dobro publiczne, to ludzie powinni zostawić ich w spokoju. „Tymczasem oni ciągle się gapią, jakbyśmy byli w cyrku. To zrozumiałe, kiedy jestem Ringo z Beatlesów, ale

jak jestem Ritchiem, to powinienem mieć więcej swobody. Ale chyba nie można tego wymagać – ludzie tyle o tobie słyszeli, że po prostu chcą cię zobaczyć. Ot, sława. Do ludzi nie dociera, że już nie gramy, oni i tak chcą się pogapić”.

Pewnego wieczoru Ringo i John wracali z Londynu rolls-royce’em Johna, prowadzonym przez jego szofera, i minęli po drodze rozświetlony pub pełen gości bez marynarek. Beatlesi nie mogli się nadziwić – dla nich była to scena niczym z bajki, którą ledwie pamiętali.

„To było super. Dopiero jak odjechaliśmy kawałek dalej, to nagle nas oświeciło – sami siedzieliśmy w garniturach i czuliśmy się dość sztywno. Wracaliśmy od Queenie [pani Epstein]. To było krótko po śmierci Briana. Dotarłszy do domu, postanowiliśmy się przebrać i wrócić do tego pubu na drinka. Zaprowadziłem Maureen do Cyn, żeby nie musiała siedzieć sama, i poszliśmy. Było jak za starych, dobrych czasów. Przynieśliśmy dziewczynom chipsy i szampana piccolo. Sam pub wcale się nie zmienił, był taki sam jak te, do których chadzaliśmy kiedyś. Stał przy Coronation Street. Rozpoznawszy nas, barman był niezwykle zadowolony. Wypiliśmy sobie po browarze, musieliśmy złożyć też po kilka autografów, ale to nie było specjalnie uciążliwe”.

Ringo uważa, że skoro już raz się udało, to powinni móc częściej wyskakiwać na szybkie piwko. Nigdy nie próbował sam wybrać się na spacer, bo przecież nie przepada za przechadzkami. Żaden z Beatlesów nie prowadzi sportowego trybu życia, za wyjątkiem Paula, który regularnie spaceruje z Marthą. Jedynymi ćwiczeniami Ringo jest granie w bilard albo jednorękiego bandytę. „Przecież jest ogród. Co w tym złego? Często po nim chodzę”. Wydaje się, że Ringo nie potrzebuje ćwiczeń, by być w formie – przez sześć ostatnich lat utrzymuje stałą wagę, wahającą się między pięćdziesięcioma siedmioma a sześćdziesięcioma kilogramami. To naprawdę zaskakujące, biorąc pod uwagę niezdrowy tryb życia, jaki prowadził podczas tras koncertowych, oraz wieloletnie choroby przebyte w

dzieciństwie. Wszyscy Beatlesi są w dobrej formie, chociaż wydają się nieco bladzi. Rozpoczynając pracę nad każdym nowym filmem czy podpisując duży kontrakt, przechodzili badania lekarskie i nigdy nie doszukano się u nich jakichkolwiek problemów zdrowotnych. Po zakończeniu tras koncertowych jedynie John przybrał nieco na wadze, ale potem szybko zgubił zbędne kilogramy.

Ringo zdał wreszcie egzamin na prawo jazdy – wcześniej oblał aż trzy razy i przez dwa lata prowadził samochód bez uprawnień. Teraz ma trzy auta: mini coopera, land rovera i facel vegę. „Nie pytaj mnie, jak się to pisze. Nie było mnie w szkole, jak przerabiali ortografię".

Poza rodzicami, Ringo pomógł też innym znajomym i przyjaciołom, pożyczając im pieniądze na kupno własnych domów.

„Mam mnóstwo rupieci. Rzucam się i kupuję coś, co potem służy mi najwyżej tydzień. Ciągle gromadzę na przykład sprzęt filmowy – zawsze chcę mieć lepszy albo jakiś wyjątkowy i bez przerwy kupuję nowości. Nie wiem, ile jestem wart. Gdybym zażądał podania mi jutro do ręki wszystkich pieniędzy, jakie posiadam, to nie mam bladego pojęcia, jaka to byłaby suma". Ringo nigdy nie ma przy sobie gotówki. „Jak wyglądają jednofuntowe banknoty? A robią jeszcze te urocze półkoronówki? Maureen jest od zakupów, ale ona też używa wyłącznie karty".

W sklepie składają swój popis na rachunku, który zostaje następnie wysłany do księgowego, a ten odsyła im go do zatwierdzenia, zanim ostatecznie dokona zapłaty. „Moje rachunki zamykają się zwykle w jakimś tysiącu funtów miesięcznie. Chociaż ostatnio było tysiąc sześćset, bo kupiłem nowy obiektyw. Wkopałem się tylko jeden jedyny raz – byliśmy wtedy u Briana i wraz z Maureen chcieliśmy wrócić nieco wcześniej do domu, a że przyjechaliśmy z kimś, to Peter [Brown] pożyczył nam swój samochód. To była niedziela i w połowie drogi, na trasie szybkiego ruchu, na totalnym odludziu i w środku nocy zabrakło nam paliwa. Wokół ani jednej stacji, a nawet gdyby była, to i tak byliśmy bez pieniędzy.

Zatrzymałem jakiegoś przejeżdżającego gościa, któremu powiedziałem, że skończyła mi się benzyna, i spytałem, czy pożyczyłby nam z pięć szylingów na paliwo. Zapytał, czy jestem Ringo. Przytaknąłem, a on powiedział, że nie ma sensu pożyczać mi kasy, bo i tak nigdzie w pobliżu nie znajdziemy czynnej stacji, ale zaoferował, że odwiezie nas do domu. I tak też się stało. Było super, tylko że facet okazał się dziennikarzem »Daily Telegraph«. Ta cała sytuacja była jedną z tych błahych historyjek, które zawsze jakoś przedostają się do prasy, mimo że wcale sobie tego nie życzysz. Zabrałem gościa do domu, dałem mu jedną z naszych płyt, a o całym zajściu nie ukazała się nigdy żadna wzmianka".

Kilka lat temu wszyscy Beatlesi dostali książeczki czekowe, tak na wszelki wypadek, ale w ogóle z nich nie korzystają. „W życiu nie podpisałem żadnego czeku – mówi Ringo. – Nawet nie wiem, jak to się robi, a swoją książeczkę zgubiłem, jak tylko ją dostałem. Nigdy nie zdarzyło mi się jednak, by w sklepie odmówiono mi możliwości podpisania rachunku, nawet jeśli nigdy wcześniej tam nie byłem. Nikt nigdy nie kazał mi udowadniać, że naprawdę jestem Ringo".

Ringo nie odczuwa potrzeby przekazywania pieniędzy na cele charytatywne i nie rozumie, dlaczego miałby to robić. „Brian czasem rozdawał jakieś rzeczy w naszym imieniu. John zrobił kartkę świąteczną dla Oxfamu[202], prawda? Zarobili na tym niezłe pieniądze. Nie podoba mi się to. Większość ludzi zarządzających tymi organizacjami wcale nie jest miła. Co dobrego zrobił Aberfan Fund[203], poza opłaceniem tych wszystkich prawników? Wypłacili ludziom po pięć tysięcy funtów za utratę dziecka. To jakiś absurd. Pięć milionów funciaków nie może ci wynagrodzić straty dziecka. Uważam, że na tych wszystkich organizacjach mnóstwo ludzi zbija kasę. Nie, to nie dla mnie. Rząd i tak zabiera dziewięćdziesiąt procent naszych pieniędzy, a nam z jednego funta zostaje zaledwie jeden szyling i dziewięć pensów. A rząd przeznacza przecież te pieniądze na pomoc

ludziom, prawda? To tak, jakby wspomagać organizacje charytatywne. I tak nie zmienia to faktu, że rząd jest beznadziejny. Niczego nie potrafią załatwić. Autobusy, pociągi – nic nie działa, jak należy. Wczoraj jechałem przez miasto samochodem i po drodze minąłem pięć autobusów o numerze siedem, jeden za drugim, a w każdym zaledwie po dwie osoby. Dlaczego nie mogliby wszyscy jechać jednym? Rząd zabiera nam za dużo pieniędzy w podatkach. Nic nie poradzisz – jesteś opodatkowywany przez całe życie. Jak już doprowadzą do tego, że nie będzie bogatych ludzi, to nie będzie miał kto rządowi płacić. Ze wszystkiego, czego rząd się podejmuje, wychodzi gówno, a nie złoto. Kolej przynosiła zyski, jak była firmą prywatną, zgadza się? Ten nasz rząd jest jak Anglia w czasach wiktoriańskich – przestarzały. Wszystkie rządy są takie same: i za laburzystów, i za torysów. Żaden z rządzących nie ma mi nic do zaoferowania, potrafią jedynie spierać się ze sobą. Jeśli jeden mówi jedno, to natychmiast ten drugi musi powiedzieć coś zupełnie innego – tylko to potrafią. Dlaczego nie mogą się zebrać do kupy i pracować razem dla dobra kraju?”.

Wszyscy twierdzą zgodnie, że Ringo jest typem sentymentalnym, ale tak naprawdę każdy z nich ma w sobie nieco tego pierwiastka. Jednym z sentymentów Ringo jest słabość do Anglii jako miejsca zamieszkania, podczas gdy pozostali utrzymują, że jest im ono obojętne. Gdy aktualny był temat greckiej wyspy czy innych pomysłów związanych z zagranicznym wyjazdem, Ringo jako jedyny nie był ich zwolennikiem. On chciałby, żeby wszyscy zamieszkali razem na jakimś czterdziestohektarowym terenie w Devon. Nie kręci go perspektywa dłuższego wyjazdu za granicę. „Nie mógłbym mieszkać poza Anglią. Stąd pochodzę, stąd wywodzi się moja rodzina. Wiem, że Anglia nie jest jakaś wyjątkowa, ale ja po prostu dobrze się tu czuję”.

Ringo wyjeżdża na wakacje za granicę i lubi spędzać czas z innymi Beatlesami, szczególnie z Johnem. On i Maureen nie pojechaliby jednak ni

z tego, ni z owego do Kalifornii, jak George i Pattie. Podobnie jak John, Ringo woli wyjeżdżać z pozostałymi Beatlesami. „Fajnie jest być razem”. Wciąż hołduje też staremu, północnemu stereotypowi małżeństwa, gdzie mężczyzna jest panem domu. „Tak to już jest – mój dziadek [Starkey] zawsze miał w domu swoje miejsce, na którym siadał wyłącznie on. Chyba jestem podobny”. Tak jak John ma w sobie coś z Andy’ego Cappa[204], Paul i George są w postrzeganiu rodziny bardziej zbliżeni do przedstawicieli klasy średniej.

Ringo martwi się, że ludzie odbierają go jako większego pana i władcę, niż jest w rzeczywistości. „Maureen mówiła mi kiedyś, że kobieta, która u nas sprząta, boi się mnie. Wcale tego nie chcę ani nie oczekuję. Wydaje mi się, że to wina Maureen, która biega po całym domu, powtarzając, że trzeba zrobić to i tamto, bo ja niedługo wrócę”. Kiedy wychodzą z domu, Ringo towarzyszy żonie w sposób właściwy klasie robotniczej. Kilka lat temu byli na kolacji w Woburn Abbey, rezydencji księcia Bedford. Ringo przyjaźnił się z książęcym synem, Rudolphem, prywatnie fanem muzyki rozrywkowej. „Myślałem, że fajnie będzie popatrzeć sobie, jak mieszkają inni, i dlatego tam poszedłem”. Zaniepokoił się, gdy usadzono go przy wspaniałym stole wyjątkowo daleko od żony – wszystko zgodnie z zasadami średniej i wyższej klasy społecznej. „Powiedziałem: O, nie. Chodź tutaj, kochanie. Usiłowali nas rozdzielić. Przezabawni ludzie. Wydaje mi się, że kobiety nie chcą być traktowane na równi z mężczyznami – chcą być chronione, a w zamian za to lubią opiekować się mężczyznami. Tak to właśnie działa”.

Z Londynem dali sobie spokój już jakiś czas temu i rzadko wychodzą wieczorami. „Zabawowy Londyn był w porządku, dopóki nie stał się zbyt zabawowy. W czasach, gdy dopiero stawaliśmy się sławni, fajnie było chodzić po ulicach, widząc, że ludzie cię rozpoznają, tak podobno mają wszystkie gwiazdy show-biznesu, tylko że to strasznie nudne”.

W domu nie przyjmują gości w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Ringo ma jednego czy dwóch przyjaciół, jak choćby Roy Trafford, jeszcze z czasów Liverpoolu. Najczęściej wpada John – przyłącza się do picia herbaty czy czegokolwiek, co akurat robią. Maureen woli spokojne życie, choć tak naprawdę żyje życiem męża: cokolwiek ten postanowi, ona chce tego samego. Są ze sobą bardzo szczęśliwi. Jest jedyną z żon Beatlesów, która czeka do późnych godzin nocnych na powrót męża do domu, jakkolwiek późno i w jakimkolwiek stanie by się nie pojawił.

„Gdy akurat nagrywa, często czekam do wpół do piątej nad ranem. Poprzedniego dnia Ringo zazwyczaj wstaje późno i nie jada porządnego posiłku przed wyjściem, dlatego staram się mieć coś dla niego, kiedy wraca, choćby nie wiem o której. Wtedy przynajmniej wiem, że coś zjadł. Mało co jedzą podczas pracy. Jeśli okazuje się, że jedli coś normalnego albo byli gdzieś potem z chłopakami, to nie ma problemu – zawsze jakoś wykorzystam ziemniaki i nic się nie zmarnuje. Zwykle jednak podaję mu jakiś posiłek – je szybko, bo jest zmęczony, ale lubi przegryźć coś po powrocie do domu. Nie męczy mnie to, że na niego czekam. Mogę wtedy poprzestawiać meble dla zabicia czasu, ale głównie po prostu sobie siedzę. Któregoś wieczoru przez dwie godziny zastanawiałam się, gdzie przestawić lampę. Zabieram się też do szycia – robię zasłony albo ubrania. Kiedyś poprzyszywałam cekiny do starego abażuru”.

Maureen poświęca sporo czasu na odpowiadanie na korespondencję i wykazuje duże zainteresowanie wszystkimi listami od fanów Ringo. Doskonale rozumie, ile to może dla kogoś znaczyć, bo przecież sama była jedną z fanek. Jest jedyną osobą w kręgu Beatlesów, poza matką George’a – panią Harrison – którą w ogóle interesuje korespondencja z fanami. Nie odpisuje w takim stopniu jak pani Harrison, bo ma przecież na głowie wielki dom i dwójkę małych dzieci. Kiedy ludzie nadsyłają kartki urodzinowe, nadal pisze krótkie podziękowania, dodając, że Ritchie jest zbyt zajęty, by odpisać osobiście. Zawsze mówi o nim Ritchie, nigdy

Ringo, nawet pisząc do osób, dla których on jest wyłącznie Ringo. „Tak naprawdę, to nie wiem, dlaczego tak jest, Ringo wydaje mi się jakieś śmieszne. On ma na imię Ritchie”. Od czasu do czasu namawia Ringo do wyprodukowania sporej partii autografów, których nie rozsyła co prawda każdemu, bo byłoby to zbyt czasochłonne, ale dorzuca je zawsze, gdy odpisuje na szczególnie sympatyczne i grzeczne listy.

„Lubię odpisywać na listy. Robię to już od pięciu lat i często dostaję cudne odpowiedzi od rodziców. Czasem mam opóźnienie, jak na przykład po narodzinach Jasona – wtedy to było jakieś kilka tygodni i przez ten czas uzbierały się trzy wielkie torby listów. Nie robię tego wyłącznie dlatego, że ludzie są uprzejmi. Wiem, że jeśli sama polubiłabym kogoś na tyle, by do niego napisać, to chciałabym otrzymać jakąś odpowiedź. Spotykałam takie listy od fanów, w których pisali, że to jest już ich piętnasta próba. Muszą się czuć naprawdę paskudnie. Pisali do biura, a biuro dostaje takich listów tysiące i po prostu nie wyrabia. I nie chcę przez to powiedzieć, że chciałabym dostawać ich więcej niż obecnie – o, nie, dziękuję”.

Maureen, czekając na Ringo, szyje sporo ubrań. „Lubię rzeczy powstające pod wpływem chwili. Robię to w takim pośpiechu, że nigdy nie korzystam z wykrojów. Zaczynam szyć sukienkę, a potem przycinam ją coraz bardziej i w końcu wychodzi mi z tego chusteczka”. Gdy chce spróbować coś uszyć, kupuje zawsze tanie resztki materiału, żeby zbyt wiele nie zmarnować. Jest bardzo ostrożna w kwestiach finansowych – wszystkie zakupy załatwia w lokalnym supermarkecie w Weybridge. Zawsze zbiera kupony premiowe, co raczej mija się z celem, bo przecież stać ich na wszystko. Lubi naklejać te kupony – co jakiś czas wyciąga swoją małą książeczkę i sprawdza, ile ich już ma. Ringo sądzi, że robi to trochę dla żartu, ale jest dumny ze sposobu, w jaki żona prowadzi dom i dba o niego. Podobają mu się również jej wyroby, jak chociażby ten abażur z cekinami.

Zak i Jason są na tyle mali, że Maureen i Ringo nie myślą jeszcze o ich edukacji. Podobnie jak John, Ringo chciałby, żeby poszli do zwykłej szkoły publicznej. „Ale Zak nie jest przeciętny, prawda? Nie daliby mu spokoju. Teraz jest już trochę lepiej, ale i tak będą się go czepiać. Jeśli jedynym wyjściem na zapewnienie mu odrobiny spokoju jest zapłacenie za to, będziemy musieli to zrobić. Jeśli będą chcieli iść do szkoły z internatem, to im pozwolę, chociaż wolałbym mieć ich w domu. Chcę tylko, by czuli się wolni i kochali się nawzajem. Mówię to wszystko, ale tak naprawdę to nie wiem, co będzie, gdy dorosną. Nie chcę nakładać na nich takich ograniczeń, jakich sam doświadczyłem. Wiesz, matka mówiąca, żebyś nie bawił się przy oknie albo uważał, żeby niczego nie potłuc. Nigdy nie wiadomo, co będzie, jak przyjdzie twoja kolej na zostanie rodzicem”.

Ringo nie chciałby, żeby chłopcy otrzymali taką edukację, jak on sam – w końcu był to raczej brak edukacji. Lata choroby odcisnęły na nim pewne piętno, choć nie jakieś poważne, a przynajmniej on sam nie nazwałby go poważnym. Dla przykładu, ortografia jest mu kompletnie obca, ale niespecjalnie się tym przejmuje. Jego wiedza o położeniu miast też jest dość specyficzna. „Wiem, że nie potrafię pisać bezbłędnie, ale przeczytać mogę wszystko, co tylko mi podsuniesz. Angielska pisownia każdemu sprawia trudności. Z matematyki nie jestem taki zły, ale i tak najlepszy jestem w pracach manualnych. Potrafię zrobić większość drobnych rzeczy, jeśli tylko da mi się święty spokój. W końcu sam do wszystkiego dojdę. Problemy zaczynają się wtedy, gdy trzeba coś napisać”.

Ringo dołączył do zespołu jako ostatni, na długo po tym, jak pozostali mieli na dobre wykształcone osobowości i ugruntowane pozycje. Dla niego było to fantastyczne zrządzenie losu – dołączył do chłopaków akurat wtedy, gdy się rozkręcali. Dla pozostałych nigdy nie była to kwestia szczęśliwego trafu: byli przekonani, że są w stanie osiągnąć sukces. Gdy zbierają się razem, Ringo jest zazwyczaj nieco wycofany, wciśnięty za te swoje bębny, podczas gdy reszta tłoczy się przy mikrofonie. Twierdzi, że nie jest gadułą,

choć jego żarty i uwagi są tak samo trafne i udane jak pozostałych. Różnica polega na tym, że Ringo nie lubuje się w paplaninie jak Paul albo George; gdy wchodzi na swój ulubiony temat, nie zachowuje się też jak John, bez przerwy sypiący głupawymi żarcikami. Ringo milczy, dopóki ktoś nie zwróci się do niego bezpośrednio. Podczas odpoczynku faktycznie sprawia wrażenie wycofanego i strapionego. Siwe pasemka jego włosów są teraz znacznie bardziej intensywne: oprócz miejsca nad czołem po lewej stronie, siwizna pojawiła się również na prawej brwi. Część lekarzy twierdzi, że do przedwczesnego siwienia mogą przyczyniać się czynniki psychologiczne, jednak większość uważa, że nie mają one żadnego znaczenia.

Jego nos wcale nie jest tak duży, jak mogą sugerować niektóre fotografie czy karykatury. Wielu uważało, że to oznaka żydowskiego pochodzenia. „Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mam duży nos, aż do czasu, gdy stałem się sławny. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógł pomyśleć, że jestem Żydem, aż do dnia, gdy zadzwonił do mnie jakiś gość z »Jewish Chronicle« i musiałem tłumaczyć mu, że nim nie jestem. Powoli zaczynam zauważać, że na to, kim dziś jestem, wpłynęło moje wychowanie: bez ojca i z wiecznie nieobecną i zapracowaną matką. To dlatego pozostaję cichy i zamknięty w sobie. Właśnie zaczynam poznawać samego siebie, choć w tamtym okresie byłem bardzo szczęśliwy. Widziałem kiedyś w telewizji program o skutkach, jakie na dziecku może wywrzeć długotrwały pobyt w szpitalu – może stać się wyjątkowo introwertyczne”.

Ringo nie jest introwertykiem, jest niezwykle otwarty, przyjazny i chyba najbardziej uroczy ze wszystkich Beatlesów. Nie jest ani trochę egocentryczny. Maureen uważa, że gdyby tylko chciał, mógłby osiągnąć dużo więcej. „To był jego pomysł z tymi cekinami, nie mówił ci? Wiem, że to tylko drobnostka, ale on nigdy nie przypisuje sobie żadnych zasług. Sądzę, że często sam siebie nie docenia – zapomina o wielu swoich świetnych pomysłach, bo uważa, że nie są dość dobre. Twierdzi, że od dobrych pomysłów są pozostali, podczas gdy sam sprawdza się w wielu

różnych dziedzinach. Dobrze maluje. Wydaje mi się, że filmy również będą czymś, w czym odniesie sukces, więc mam nadzieję, że to się uda. Jest dobry we wszystkim. Doskonale tańczy”.

W rzeczywistości Ringo jest znacznie silniejszą osobowością, niż mogłoby się wydawać. Jego intensywnie niebieskie oczy dodają mu też dużo uroku. Z pewnością nie jest zespołowym błaznem czy maskotką. Jego opinie liczą się tak samo jak opinie pozostałych Beatlesów. W obliczu ewidentnych talentów Paula i Johna, z początku Ringo był jeszcze bardziej wycofany, a mimo to zespół naprawdę liczy się z jego zdaniem. Ringo jest istotnym elementem całej czwórki, uzupełniającym zespół o dobrze pojęty sentymentalizm, ale również zdroworozsądkowe podejście do życia i zwykłe, ludzkie ciepło. Ma dobre pomysły zarówno jako Beatles, jak i zwykły człowiek.

„Myślę, że dzięki temu, że w zespole wszyscy jesteśmy równi, udało nam się stać całością. Różnimy się od siebie, a jednocześnie jesteśmy podobni. Jeśli w zespole jest jedna gwiazda czy niekwestionowany lider, to albo go polubisz, albo nigdy do niego nie wrócisz. A w czteroosobowym zespole możesz mieć swojego ulubieńca i nadal darzyć sympatią pozostałych. Jeśli nie podobał ci się Elvis, to po sprawie. Z naszą czwórką wybór jest większy. Nigdy nie było między nami rywalizacji – ani w sferze prywatnej, ani publicznej, choć każdy z nas ma swoich fanów. Gdybyśmy stanęli we czterech przed milionem fanów, którzy mieliby ustawić się za swoimi ulubieńcami, to pewnie Paul miałby ich najwięcej. John i George byliby na drugim miejscu, a ja na ostatnim. Tak przypuszczam. Widać to po listach od fanów i ich wrzaskach na nasz widok. Fani Johna raczej nie przepadają za Paulem i odwrotnie. A wśród moich są też fani ich obu – lubią mnie, a jednocześnie mają swojego wybrańca. To może gdyby podliczyć, kogo ludzie lubią najbardziej w drugiej kolejności, miałbym szansę wygrać.

Wiem, że wszyscy chcą mi matkować. Uaktywnia im się wtedy to matczyne ciepło dla małego, sentymentalnego Ritchiego. Tak było zawsze, nawet gdy byłem dzieckiem: lubiły mnie zarówno starsze panie, jak i dziewczęta. Paul też trochę tak ma. Taki już jestem i wiem o tym, więc dlaczego miałbym to zmieniać? Czasami chciałbym być inny i gdy ludzie ciągle namawiają mnie do nakręcenia filmu, myślę sobie, że mógłbym zagrać jakiegoś skończonego łajdaka. Fajnie byłoby zobaczyć ich reakcje.

Nie jestem specjalnie twórczy i zdaję sobie z tego sprawę, ale ludzie sądzą, że na pewno chciałbym taki być. W listach pytają mnie, dlaczego nie spróbuję. Ale ja próbowałem, kilka lat temu starałem się napisać dwie pioseneczki, ale niechcący stworzyłem totalne gnioty. Świadomość, że nie jest się twórczym, może człowieka zdołować. A do tego jeszcze wiesz, że ludzie tak właśnie o tobie myślą. Ale w grupie czterech osób niekoniecznie wszyscy muszą być kreatywni, prawda? Pięćdziesiąt procent wystarczy. Pomyśl sobie o tych wszystkich zespołach, i to dobrych, które nie mogą w ogóle niczego wymyślić. Pewnie, że wolałbym to umieć – jeśli się dobrze zastanowić, to jest to moja zmora. Mam w domu pianino, ale nie umiem na nim grać. Często nachodzi mnie ochota, żeby napisać jakąś śliczną piosenkę – siadam i nic. Nie wiem jak. Czasem czuję się taki wystawiony poza nawias – siedzę przy tych swoich bębnach i gram tylko to, co oni każą mi grać. Gdy zdarza się, że jakiś inny perkusista mówi mi, że to był świetny kawałek, wiem dobrze, że to chłopacy poinstruowali mnie, co mam robić, choć to mnie przypisuje się całą zasługę.

Robienie filmów jest w porządku, choć czasem mam tego po dziurki w nosie. To takie ciągłe domysły – że może coś z tego wyjdzie, że może będzie niezłe. Ale filmy mnie pociągają, bo jeśli nie umiem pisać muzyki, to może właśnie w filmach się odnajdę. Wiem, że chwalono mnie za udział w *A Hard Day's Night*, ale tak naprawdę nie miałem wtedy zielonego pojęcia, co się działo. Ta scenka z chłopcem nad kanałem, która ponoć była taka dobra… podczas jej kręcenia byłem totalnie nawalony. Kompletnie

otępiały. Poprzedniej nocy w ogóle nie spałem, przyszedłem w jakimś płaszczu przeciwdeszczowym i czułem się totalnie wykończony, prawie nie mogłem się ruszać. Dick musiał do mnie krzyczeć, ale scena wyszła w porządku. Ten moment z kopnięciem kamienia, to był mój kawał. Naprawdę. Cała reszta to pomysł Dicka. Ja byłem zamroczony.

Po tej produkcji proponowano mi wiele ról, ale takich dużych, i to ja miałem być główną gwiazdą. Na jedną prawie się zgodziłem – miałem grać doktora Watsona w Sherlocku Holmesie, ale doszedłem do wniosku, że to zbyt duże przedsięwzięcie. Na razie nie chcę ponosić odpowiedzialności za coś tak wielkiego. Gdyby potem wyszła z tego klapa, to byłoby okropne. Mniejsza rola, w porządku – nie czułbym takiej odpowiedzialności i gdyby dobrze mi poszło, to może spróbowałbym czegoś większego. Na *Candy* się zgodziłem, bo to nie była duża rola, no i tam grały wielkie gwiazdy: Marlon Brando i Richard Burton. Pomyślałem, że to na nich głównie spoczywa odpowiedzialność i będę mógł się od nich uczyć. Spędziłem na planie zaledwie dziesięć dni i grałem hiszpańskiego ogrodnika, postać ze znikomą linią dialogową. Ja oczywiście nie potrafię grać, nie wiem, jak to się robi. Przyglądam się tym aktorom w telewizji i tam to widać, że oni są aktorami – ich twarze nie przestają grać. I te ich oczy… ja tak nie umiem. Ja nic nie robię. Nie wiem – może właśnie to jest granie”.

Ringo twierdzi, że nie miałby nic przeciwko, gdyby jutro to wszystko zniknęło. Czuje, że jest farciarzem i potrafiłby jakoś zarobić na kawałek chleba, nawet gdyby miało to oznaczać powrót do pracy montera. „Dzisiaj pewnie nie byłbym już monterem. Rzuciłem to jeszcze przed końcem praktyk i poszedłem grać w zespołach. Gdyby nie Rory Storm, a potem Beatlesi, to pewnie nadal biegałbym w szajce teddy boysów. A dziś byłbym pewnie jakimś robotnikiem. Naturalnie cieszę się, że nim nie jestem. Fajnie będzie w jakimś sensie przejść do historii. Chciałbym, żeby dzieciaki czytały o mnie w podręcznikach”.

Pisanie biografii osób żyjących jest o tyle skomplikowane, że nic nie jest zakończone. Dążenie do ustalania faktów i opinii jest niebezpieczne, bo te nadal się zmieniają. Zanim to przeczytacie, Beatlesi nie uwierzą pewnie w połowę tego, co opowiedzieli mi w poprzednich rozdziałach. Do tego czasu być może poznajdują sobie nowe domy. Z drugiej jednak strony, pisząc o ludziach żyjących, ma się dostęp do informacji z pierwszej ręki, o ile sami zainteresowani zechcą ci poświęcić nieco czasu. W tym przypadku zechcieli, chociaż wspominanie Beatlemanii nudziło ich niemiłosiernie. Na szczęście jest to jak dotąd najdokładniej zarejestrowany w rozlicznych źródłach etap ich kariery, ale jako że niniejsza książka ma być przede wszystkim opisem ich życia, próbowałem stworzyć swoisty skrót również tego okresu. Ze wszystkich sił starałem się nie ingerować osobiście w opinie zawarte w tej książce, choć pewnie i tak roi się w niej od moich uwag. Walczyłem też z pokusą analizowania – na rynku jest już zbyt wiele pozycji interpretujących życie i twórczość Beatlesów. Być może za pięćdziesiąt lat ktoś napisze o nich krytyczną biografię. Rzecz jasna zakładając, że nadal będzie się o nich pamiętać.

Jestem oczywiście przekonany, że pamiętać się będzie. Gdybym nie był, nie pisałbym tak obszernej książki. Trudno powiedzieć, jak będzie wyglądać najbliższa przyszłość Johna, Paula, George’a i Ringo. Czy nakręcą jeszcze jakieś filmy? Czy pomysł z Apple wypali? Co będzie z Maharishim? A może znudzą się i po prostu rzucą to wszystko? Odpowiedzi na niektóre z tych pytań poznamy prawdopodobnie jeszcze przed ukazaniem się niniejszej publikacji. Przeszli już przez tak liczne etapy w swoim życiu, że nie ma powodu wątpić, iż przed nimi jest ich równie wiele.

Beatlesi są przekonani, że mogą odnieść sukces w dziedzinie filmu, podobnie jak na każdym innym polu, na którym zechcą się sprawdzić, choć w całej historii show-biznesu nikt nie powtórzył takiego fenomenu. Elvis Presley szybko zaniechał filmowej kariery. Charlie Chaplin zabrał się do reżyserii poważnych filmów, ale jakoś nie można nazwać ich

fenomenalnymi. Podobnie jak z Beatlemanią, ten Chaplinowski człowieczek w meloniku okazał się w swoim czasie strzałem w dziesiątkę. Czy Beatlesi znów będą mieli rację? Czas pokaże, czy odczują jakiekolwiek konsekwencje życia w izolacji. Czy sztuka ucierpi na braku bodźców? Niektórzy znawcy uważają, że gdyby Picasso bywał w towarzystwie i poznawał wciąż nowych ludzi i miejsca, to nie bawiłby się w rysuneczki na kartach dań.

Przynajmniej Apple dostarcza wciąż nowych wyzwań, bo życie prywatne Beatlesów jest teraz bardziej prywatne niż kiedykolwiek wcześniej. Jak dotąd wspólna firma wydaje się ich najbardziej konstruktywnym przedsięwzięciem. Po latach sprzeciwu wobec jakichkolwiek form pomocy i buntu przeciw wszelkim organizacjom Beatlesi angażują teraz swój czas i pieniądze w różnorakie formy wspierania innych ludzi. Czegokolwiek by nie mówić o medytacji transcendentalnej, kolejnym zwrocie w ich sposobie myślenia, to zainteresowanie religią wyszło muzyce wyłącznie na dobre. Gardzący swego czasu poglądem, jakoby gwiazdy muzyki rozrywkowej winny mieć także różne zobowiązania, Beatlesi postrzegają go teraz niemal jak swoją misję, i to zarówno w sprawach duchowych, jak i materialnych. Jeśli prawdą są ich przechwałki, że właściwie niczego jeszcze nie dokonali, to biograf, który za pięćdziesiąt lat zabierze się do spisywania ich losów, będzie miał do zrobienia znacznie więcej niż zanalizowanie nagrań zespołu rockandrollowego i opisanie towarzyszących im okoliczności.

Przekonamy się, czy i w jakim stopniu dadzą sobie radę sami. Gdy stawali się sławni, mieli Briana Epsteina, a gdy rodzili się jako kompozytorzy, czuwał nad nimi George Martin. Eksperci nie dają im większych szans, że działając na własny rachunek, sprawdzą się w pracy nad czymś nowym.

„W dziedzinie muzyki mają jakieś instynktowne przeświadczenie o tym, co mają robić – mówi George Martin. – Zawsze są o krok przed

innymi, ale w pozostałych kwestiach pozostają bardzo niedoświadczeni. Pod wieloma względami przypominają dzieci: uwielbiają wszystko, co magiczne. Gdybym klasnął Johnowi przed nosem i wyczarował wazon z bukietem kwiatów, byłby wniebowzięty i mógłbym zrobić z nim to, co zechcę. Lubią mieć wszystko na już: płytę, film – muszą być zaraz, natychmiast. Wydaje mi się, że potrzebują kogoś, kto nad tym zapanuje, dzięki temu będą mogli pozwolić sobie na swoje dziwactwa. Jeśli spróbują ogarnąć wszystko sami, może im się to nie udać”.

Nie sposób zaprzeczyć, że wszyscy są jeszcze bardzo młodzi, dobrze też, że wciąż chcą mierzyć się z życiem. Należy mieć nadzieję, że to się nie zmieni. A jednocześnie jutro mogą zwinąć manatki, żyć ze swoich milionów i odcinać kupony. Na razie radzą sobie nieźle. Dali nam z siebie sporo, a w zamian otrzymali swoje brytyjskie ordery.

HUNTER DAVIES

Gozo, maj 1968

Posłowie
1985

Pisząc zakończenie, celowo nie stawiałem żadnej hipotezy, co dalej stanie się z członkami zespołu. Było tak wiele fantastycznych opcji: filmy i nowe przedsięwzięcia, choćby Apple. Beatlesi nie pojawiali się już publicznie i kroczyli własnymi ścieżkami, a każdy z nich wiódł swoje życie, ale nigdy przez myśl mi nie przeszło, że ostateczny rozłam był tak blisko. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zarejestrowałem ich drogę do kariery, uchwyciłem ich w momencie szczytowej formy, a okazało się, że to wszystko miało się skończyć. W dodatku był to koniec dość paskudny.

Tymczasem wracając do roku 1968, po ukończeniu książki i przebrnięciu przez wszystkie nudne dyskusje z kierownictwem Apple oraz uzyskaniu aprobaty ze strony Beatlesów i ich żon odnośnie zawartości książki, zafundowałem sobie roczne wakacje za granicą. Wraz z żoną i resztą rodziny udaliśmy się najpierw na Gozo na Malcie, a potem do Portugalii. Dwójka naszych dzieci miała wówczas cztery i dwa lata, więc był to wręcz idealny moment na podróże, zanim dzieciaki zaczną chodzić do szkoły. Za granicą napisałem powieść, podobnie zresztą jak moja żona. Nigdy nie wróciłem już do pracy nad *Class of 68*, czyli książki sprzed biografii Beatlesów. Były to początki protestów studenckich i innych niepokojów społecznych, więc wszystkie zebrane w 1966 roku wywiady i materiały zupełnie straciły na wartości.

Pewnej grudniowej nocy 1968 roku spaliśmy w wynajętym domu w Praia da Luz w Algarve, gdy nagle obudziły nas wrzaski i wściekłe walenie do bramy domu. Z początku sądziliśmy, że to jacyś pijani rybacy wracający po nocy. Nasz wynajęty dom, będący kiedyś przetwórnią sardynek, stał

przy samej plaży, a dookoła niego i pokaźnego ogrodu ciągnął się wysoki mur. Potem zdałem sobie sprawę, że ktoś krzyczy moje imię z bardzo wyraźnym, liverpoolskim akcentem. „Hunter Davies, wstawaj, gnoju!”. Najpierw myślałem, że to John, bo był to taki zachrypnięty głos, ale gdy wyszedłem do ogrodu i otworzyłem bramę, okazało się, że mam przed sobą Paula. Stał tam w towarzystwie jakiejś obcej mi kobiety i małej dziewczynki – pięcio-, może sześcioletniej.

Tego wieczoru Paul siedział sobie w Londynie i spontanicznie postanowił, że przyjedzie spędzić ze mną wakacje. Przez cały czas byłem z nimi wszystkimi w kontakcie i wysłałem mu pocztówkę z zaproszeniem, więc wiedział, gdzie jestem, chociaż nie rozmawialiśmy przez telefon. Kiedy tylko Paul wpadł na pomysł dołączenia do mnie, kazał Neilowi znaleźć pierwsze połączenie lotnicze. Tego wieczoru nie było już żadnego. Paul oczywiście nie mógł poczekać do następnego dnia, bo obmyśliwszy sobie plan, chciał zrealizować go teraz. Natychmiastowe zaspokojenie. Wynajęto więc prywatny samolot. Ku wielkiemu zdziwieniu mieszkańców, maszyna wylądowała na lotnisku w Faro w samym środku nocy. Lotnisko otworzono dopiero rok temu i wciąż było raczej prymitywne. Rzadko wykorzystywano je dla planowych lotów, o luksusowych, prywatnych odrzutowcach nie wspominając.

Decyzja Paula była tak nagła, że wyruszył bez jakichkolwiek portugalskich pieniędzy, ale pomyślał, by przywieźć mi w prezencie kilka butelek whisky. Na praktycznie wyludnionym lotnisku w Faro znalazł jakiegoś urzędnika, któremu wręczył pięćdziesiąt funtów, prosząc o wymianę ich na escudo, a potem kompletnie o tym zapomniał. Wskoczył do zauważonej nagle taksówki, która jakimś cudem akurat tam stała, i podał kierowcy nasz adres. Gdy już do nas dotarli, to ja zapłaciłem za kurs.

Ich przyjazd okazał się bardzo radosny – dwójka naszych dzieci, Caitlin i Jake, słysząc hałasy, wyskoczyła z łóżek. Caitlin ucieszyła się, widząc Heather, dziewczynkę w podobnym wieku. Moja żona i ja byliśmy jednak

nieco zaskoczeni widokiem tej jasnowłosej Amerykanki o imieniu Linda. Nigdy wcześniej o niej nie słyszeliśmy, a gdy wyjeżdżaliśmy z Anglii, u boku Paula była Jane Asher, z którą mieliśmy świetny kontakt. Czy ta Linda to przygoda na jedną noc, czy też związek z Jane to już historia?

Na odpowiedzi na te pytania musieliśmy nieco poczekać, bo następnego dnia oboje wstali dość późno, mimo że w porze lunchu pojawili się nagle lokalni dziennikarze. Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób dowiedzieli się o pojawieniu Paula. Mieszkaliśmy przecież w dość odludnej części Algarve, w dodatku był środek zimy. Dopiero później okazało się, że plotka rozniosła się, kiedy pracownik lotniska, któremu Paul wręczył pięćdziesiąt funtów, rozpowiadał następnego ranka o jakimś dziwacznym, długowłosym Angolu, który nie dość, że pojawił się nagle w środku nocy, to jeszcze rozdawał kasę.

Dzień później pojawiła się lizbońska prasa – grube ryby ze stolicy – i Paul zgodził się na małą konferencję prasową na plaży. Na koniec poprosił, by nie ujawniano jego adresu i dano mu już spokój, bo przecież jest na wakacjach – jego prośba została spełniona. W ciągu kolejnych dni ciągle pojawiali się jacyś handlarze i hotelarze z lokalnego Lagos z prezentami, koszami owoców i jedzenia oraz zaproszeniami na przyjęcia i do restauracji. Nigdy wcześniej nie byłem świadkiem takiej reakcji, chociaż czasem widywałem, jak John rozrywał pakunki, szukając w nich darmowych podarków. Dziwnie było obserwować to w odległym kraju Europy Zachodniej. Sława jest nagrodą samą w sobie. Ci, którzy ją mają, zyskują jeszcze więcej.

Linda pozostawała dość nieufna, co było całkiem zrozumiałe – zapewne zdawała sobie sprawę, że przyjaźniliśmy się z Jane i pewnie będziemy wobec niej nastawieni krytycznie. Pragnęła też mieć Paula tylko dla siebie, bo był to przecież pierwszy etap ich romansu, tymczasem on lubował się w długich, filozoficznych dyskusjach do późnych godzin nocnych. Paul lubi gadać, objaśniać, wyrażać swoje zdanie. Z początku zdawało nam się, że

Linda to typ dziewczyny przytakującej, przesadnie adorującej, nieodstępującej swojego mężczyzny na krok i chłonącej każde jego słowo. Nie wróżyliśmy im długiego związku. Nie mogliśmy pojąć, cóż takiego mogła dać Paulowi. Przez tych dziesięć dni, które z nami spędzili, zdarzały się dość chłodne sytuacje.

Często wyjeżdżaliśmy całą grupą na wycieczki: Caitlin jechała zwykle z Paulem, Lindą i Heather ich samochodem. Ku naszemu przerażeniu dowiedzieliśmy się potem, że pozwalano jej siadać za kierownicą na kolanach Paula. To był początek serii drobnych spięć w kwestii wychowania dzieci. Innym razem Jake zaczął zabawiać się wielkim nożem do mięsa, więc mu go zabrałem, na co Paul powiedział, że to nie jest dobry sposób nauki. Według niego dzieci same powinny przekonać się o niebezpieczeństwie. Powiedziałem, że jako rodzice musimy przewidywać pewne rzeczy i konsekwencje, czego dzieci nie są w stanie zrobić, bo inaczej mogą zostać bez palców. To były takie błahe kwestie, ale wtedy rozprawialiśmy o nich godzinami.

Paul miał znakomite kontakty z dziećmi i z wszystkimi odwiedzającymi nas osobami – naprawdę starał się z nimi zaprzyjaźnić, pozwalając im na wiele. Nasza dwójka musiała wydawać się nieco powściągliwa. Zorientowaliśmy się, że Heather miała dotąd dość niespokojne dzieciństwo – krążyła nad Atlantykiem między Lindą a swoim ojcem i pozwalano jej na znacznie więcej, a przynajmniej tak to wyglądało z naszego dość tradycyjnego i konserwatywnego punktu widzenia.

Pewnego dnia wybraliśmy się w góry w Monchique. Zaparkowaliśmy w wiosce i właśnie schodziliśmy ze wzniesienia, gdy Paul zauważył jakiegoś człowieka wspinającego się w górę z osiołkiem. Przekonał go, by pozwolił Caitlin i Heather na małą przejażdżkę, i wsadził je po kolei na grzbiet zwierzęcia. Caitlin właśnie odbyła swoją rundkę i Paul zsadzał ją z osła, gdy nagle zwierzę niespodziewanie zrobiło krok w tył, stając wprost na jej stopie. Rozległ się potworny krzyk, a gdy udało nam się zdjąć but i

skarpetkę, okazało się, że stopa odniosła poważne obrażenia, a z największego palca zszedł paznokieć.

Znajdowaliśmy się na pustkowiu, na zupełnie odludnym szlaku. Paul od razu postanowił biec po pomoc w górę, w kierunku wioski. Po drodze udało mu się zatrzymać jakiś samochód i namówić kierowcę, by po nas przyjechał. Zabraliśmy Caitlin do maleńkiego, lokalnego szpitala w Monchique, gdzie stopa została oczyszczona, a Caitlin dostała zastrzyk przeciwtężcowy – na wszelki wypadek. Aby ją nieco rozweselić i nagrodzić za bycie dzielną, Paul kupił jej w wiosce fioletową chustę. Gdy spotkaliśmy się z Lindą i moją żoną, Heather rozpłakała się, widząc, że Caitlin dostała prezent – Paul kupił chustę i dla niej, by było sprawiedliwie. Koniec końców udało nam się poznać i nieco lepiej zrozumieć Lindę, choć nie obyło się bez spięć. Dla niej chyba też nie był to łatwy okres – nie czuła się jeszcze pewna co do Paula, wciąż miała konkurencję i była skazana na nasze towarzystwo, co stanowiło zapewne ostatnią rzecz, na jaką miała ochotę.

Moja podejrzliwość co do jej osoby okazała się oczywiście całkowicie bezpodstawna, bo podczas naszych kolejnych spotkań Linda stawała się coraz bardziej wyluzowana i przyjazna. Jej małżeństwo z Paulem było strzałem w dziesiątkę. Kłócą się, rzecz jasna, od czasu do czasu – jak wszyscy – o zwykłe sprawy, jak wychowywanie dzieci i inne rodzinne historie, ale nawet szesnaście lat po ślubie, który zawarli w 1969 roku, wydają się całkiem stabilnym związkiem. Linda zapewniła Paulowi moralne wsparcie, którego zawsze tak bardzo potrzebował. Jak wiadomo, John był niezwykle krytyczny i często nawet okrutny w swojej zażyłości z Paulem. Jane Asher to bardzo niezależna kobieta odnosząca własne sukcesy, a Linda gotowa była poświęcić całą swoją energię i uczucia wyłącznie rodzinie i Paulowi, a jeśli tego naprawdę potrzebował, także jego pracy.

Gdy w 1969 roku wróciłem do Anglii, wciąż byłem z nimi w kontakcie. Odwiedzałem Paula, bywałem na Abbey Road i w nowych biurach Apple. Zauważyłem, że zarówno stare, jak i nowe imperium zaczęło się rozpadać. Podczas swojego pobytu w Portugalii Paul często rozmawiał ze mną o Beatlesach, dzięki czemu dowiedziałem się o licznych problemach, jakich doświadczyli podczas nagrywania albumu *The Beatles*, znanego jako *White Album*. Paul wciąż sporo komponował, więc zakładałem, że przynajmniej albumy będą im dobrze szły. Pamiętam, jak w Portugalii zagrał mi jakiś kawałek, który napisał w toalecie (rzadko kiedy udawał się tam bez gitary) – tytuł brzmiał *There You Go Eddie*. To była tylko jedna króciutka zwrotka – nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek to dokończył. Dowiedział się, że moje prawdziwe, chrześcijańskie, pierwsze imię to Edward, choć ja sam nigdy się do tego nie przyznawałem.

W Londynie szybko wyszło na jaw, że tworzenie muzyki zeszło już na dalszy plan. W Apple panował chaos, podobnie jak w finansach i wszystkich interesach, a Beatlesi wciąż się kłócili: o siebie nawzajem i o podział kompetencji.

Nigdy nie przypuszczałem, że koniec Beatlesów – kiedykolwiek by nie nastąpił – pełen będzie prawniczej gmatwaniny, sporów o pieniądze, błahych konfliktów charakterów, pyskówek, głupich wzajemnych oskarżeń, szczeniackich obelg i niedorzecznych sprzeczek. Niestety, koniec wyglądał tak jak w przypadku wielu przedsięwzięć w show-biznesie – był po prostu smutny. Inny sławny brytyjski duet artystów tworzących piosenki – Gilbert i Sullivan – też skończył na kłótniach i dąsach. Strasznie to przykre, że Lennon i McCartney zakończyli współpracę jako para skłóconych byłych przyjaciół. Mam nadzieję, że ta książka ukazuje rozkwit ich naprawdę fenomenalnego związku, choć koniec był niestety dość nędzny. I jak to bywa w przypadku nędznych historii, nie ma sensu po raz kolejny wyciągać wszystkich brudów. Ich relacje strasznie się zagmatwały – wszystko kręciło się wokół tego kto, co i kogo posiadał. Przez blisko dziesięć lat prawnicy

dostawali solidne wynagrodzenia, a archiwa prasowe zapełniały się raportami z najnowszych posiedzeń sądowych. Wielu obserwatorów uważało wówczas, że to te prawnicze przepychanki stały się przyczyną rozpadu Beatlesów, ale tak naprawdę były one wynikiem, a nie powodem kłótni, chociaż pojawiające się od jakiegoś czasu konflikty charakterów same w sobie były wystarczające. Co zatem spowodowało rozpad zespołu?

Beatlesi nie byli specjalnie pomocni w ustaleniu konkretnych przyczyn. W pewnym momencie każdy z nich miał inną teorię: wszyscy obwiniali Paula, a ten z kolei obwiniał pozostałych. Kłócili się nawet o to, który z nich odszedł pierwszy. Patrząc z perspektywy czasu, moja teoria o rozpadzie jest taka, że zaczął się on dużo wcześniej. Gdy ponownie przejrzy się książkę, widać to jak na dłoni, choć nie mogę powiedzieć, że wtedy cokolwiek przeczuwałem. Gdyby sprecyzować jeden powód, dla którego zespół rozpadł się wtedy, kiedy faktycznie się rozpadł, to nie byłyby to wcale kłótnie o interesy, ale pojawienie się w życiu Johna Yoko Ono. Taka przynajmniej jest moja teoria.

Jako Beatlesi zaczęli odsuwać się od siebie już w 1966 roku, po zakończeniu tras koncertowych i zaniechaniu życia jak w komunie. Piosenki tworzone przez wiodących osobne życie Lennona i McCartneya co prawda odnosiły sukcesy, ale przypominały raczej jakieś oszustwo. Nie były to już wspólne numery jak za starych, dobrych czasów, wymyślone razem w podróży. Fani z łatwością rozpoznawali utwory Lennona czy McCartneya, mimo że wciąż obaj się pod nimi podpisywali. Podczas prac nad *Sgt. Pepper*, przychodzili do studia z praktycznie ukończonymi kompozycjami, jeśli nie na papierze, to przynajmniej w głowach.

Taka praca na nowych zasadach była w porządku, pod warunkiem, że nadal pozostawali kumplami, nikt nie czuł się znudzony i nie próbował iść w odrębnym kierunku. Już wtedy jednak zaczęły się pojawiać drobne sprzeczki, które w głównej mierze wynikały po prostu z nudy. W 1968 roku Ringo miał lekceważący stosunek do nagrywania podwójnego albumu.

Mówił, że ma już dość bycia perkusistą. Miałem okazję obserwować go wielokrotnie podczas prac studyjnych, więc mogę potwierdzić, że było to dla niego dość nużące zajęcie. Na scenie znajdował się zawsze na równi z pozostałymi, miał swoje specjalne wstawki i zdobył rzeszę wiernych fanów. Tymczasem w studiu bywał zwyczajnie ignorowany. Nierzadko zdarzało się, że John i Paul robili kilkugodzinne przerwy w nagraniach, by wszystko rozplanować, dopracować słowa albo miksowanie utworu, a Ringo czuł się wtedy kompletnie bezużyteczny. Jego partie można było dograć w każdej chwili, ale gdy tylko udawało mu się uszczknąć jeden dzień wolnego, natychmiast ściągano go z powrotem.

Podczas prac nad *Let It Be*, po jakiejś kłótni, George wyszedł ze studia. Zawsze miał swój wkład w albumy, choć nie tak znaczny jak John i Paul – przynosił własne, skrupulatnie dopracowane utwory. W trakcie fascynacji hinduizmem jego wkład widoczny był także w twórczości pozostałych Beatlesów. George zawsze przykładał najmniejszą wagę do bycia Beatlesem i jako pierwszy z równym zaangażowaniem poświęcał się także innym sprawom, jak religia czy muzyka hinduska. Jego też często ściągano z powrotem do pracy w studiu.

W końcowych latach filarem zespołu faktycznie był Paul – w okresie między 1967 a 1969 rokiem to on nakręcał pozostałych do tworzenia i namawiał na nowe projekty, jak choćby *Magical Mystery Tour*. Miał wiele pomysłów na filmy i rozszerzenie działalności Apple. Uwielbiał być Beatlesem i nie chciał, by to się skończyło. Podczas pobytu w Portugalii w 1968 roku wciąż miał głowę pełną planów, jak reaktywować zespół i znów grać na żywo. Nie myślał wcale o trasach koncertowych, bo to wszystkim zbrzydło do reszty – brakowało mu grania na żywo, wykonywania całych utworów od początku do końca, razem, przed prawdziwą publicznością. Chciał na nowo uchwycić atmosferę, która towarzyszyła im na samym początku kariery. George’owi nie podobał się żaden z pomysłów Paula,

pozostali również nie pałali specjalnym entuzjazmem. Mimo to Paul naprawdę miał nadzieję, że uda mu się postawić na swoim.

John pozwalał Paulowi kierować większością spraw związanych z Beatlesami, bo sam nie miał wówczas lepszych pomysłów. Znudziło go już byciem Beatlesem, ale niespecjalnie wiedział, co innego mógłby w życiu robić. To wielkie znudzenie widoczne było wyraźnie podczas mojego pobytu u niego w domu (Rozdział 31), kiedy potrafił spędzać całe dnie, rozmyślając w milczeniu. W jego małżeństwo wkradła się rutyna, a Cynthia jako pierwsza przyznała, że tak naprawdę nigdy nie nadawali na tych samych falach. W książce bardzo otwarcie mówi o tym, że gdyby nie jej ciąża, John nigdy by się z nią nie ożenił. (Niewiele brakowało, a za sprawą presji rodziny i znajomych z kręgów biznesowych ta informacja zostałaby usunięta). Cynthia wiedziała, że John zawsze bardziej kochał Beatlesów niż ją, ale przecież wiele ich łączyło. John nie miał innego pomysłu na swoje życie i nic lepszego nie majaczyło na horyzoncie.

A potem pojawiła się Yoko. John odnalazł wreszcie swoją bratnią duszę i natychmiast wstąpiło w niego nowe życie. Był już na kompletnie innej orbicie i właśnie wtedy zdał sobie nagle sprawę, że Paul, będący dotąd jego kumplem, przyjacielem od serca, jest pod wieloma względami równie konwencjonalny jak Cynthia. John i Yoko odkryli nowe, pochłaniające ich bez reszty cele, a pozostali Beatlesi przestali się liczyć. Gdy Paul zwrócił się do niego z pomysłem na koncert telewizyjny na żywo, John nie wykazał żadnego zainteresowania.

Yoko wprowadziła się do życia i pracy Johna – podczas ostatnich sesji nagraniowych Beatlesów była tuż obok niego. Pozostałym członkom zespołu niespecjalnie pasował wpływ, jaki miała na Johna, nie podobała im się także jej nieustanna obecność w studiu. George i Ringo i tak mieli już dość, więc cały czar prysł do reszty. John i Yoko byli teraz zajęci zupełnie innymi sprawami. Beatlesi przestali tworzyć w 1969 roku. W 1970 roku ukazał się album *Let It Be*, który został nagrany prawie rok wcześniej.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy John rozpoczynał nowe, ekscytujące życie z Yoko, Paul poznał Lindę. Pojawiła się w odpowiednim momencie: John ruszał w swoją stronę, a ona przekonała Paula, że nie powinien czuć się gorszy, tylko wziąć sprawy w swoje ręce, bo tak naprawdę może robić wszystko – wystarczy, że spróbuje. W pewien sposób przejęła nad nim kontrolę, nie stając się jednocześnie jego przeciwnikiem. Gdy doszło do przepychanek w Apple, zarówno John, jak i Paul mieli po swojej stronie nowych sojuszników.

W finansową sytuację Beatlesów chaos zaczął się wdzierać od momentu śmierci Briana Epsteina, choć wydarzenie to raczej ukazało istniejący tam zamęt, niż faktycznie go wywołało. Stworzenie Apple tylko pogorszyło ten stan. Potrzebny był ktoś, kto zapanuje nad bałaganem i poprowadzi interesy – w porozumieniu z George'em i Ringo John i Yoko zatrudnili amerykańskiego księgowego, Allena Kleina. Paul nie zapałał do niego sympatią i chciał, by ich sprawami zajął się wybitny nowojorski prawnik Lee Eastman, który jednocześnie był ojcem Lindy. Pozostali uważali, że Paul usiłuje wciągnąć w biznes swoich teściów, czym bardzo go urazili. Sądził, że powinni byli wykazać się większym zrozumieniem jego intencji. Paul zdał sobie sprawę, że aby uwolnić się od Apple, nie może pozwać do sądu Kleina – musi pozwać Johna, George'a i Ringo.

Zrozumiał, że żaden z Beatlesów nie ma pełnej kontroli nad sobą samym: podobnie jak ich piosenki, tak i oni byli własnością innych ludzi bądź korporacji. Utrzymywał, że robił to wszystko dla ich dobra, nie wyłącznie dla siebie. Pozostała trójka właśnie w nim doszukiwała się przyczyn całego zamieszania, a Kleina wciąż uważała za wybawcę… Te lata były naprawdę paskudne.

Wydarzeniem, które ostatecznie zaważyło na rozstaniu się Beatlesów, był pojawienie się Kleina, choć tak naprawdę różnice pomiędzy Johnem a Paulem, które przybrały na sile wraz z pojawieniem się Yoko, widoczne były już od dawna. Ten niemal dziesięcioletni okres ciągnących się w

nieskończoność rozpraw sądowych kosztował ich wszystkich mnóstwo energii – zarówno tej psychicznej, jak i twórczej. W dodatku zmuszeni byli pojawiać się w sądzie w związku z innymi licznymi kwestiami: rozwodami, przestępstwami narkotykowymi, problemami imigracyjnymi, pozwami złożonymi przeciwko nim bądź przez nich samych.

Jedynym zabawnym, przynajmniej dla obserwatorów, wątkiem było szaleństwo związane z Apple. Odnosiło się wrażenie, że Beatlesi albo nie zdawali sobie z niczego sprawy, albo ich samych też bawił fakt, że obrabiano ich z kasy. Głupawe projekty, sklepy, interesy, uleganie ekscentrycznym kaprysom i przedziwnym ludziom pochłaniały miliony funtów. Zrobiła się z tego swoista przypowieść, przestrzegająca przed bezsensownością angażowania się w wielkie interesy: gromadząc i wydając pieniądze, marnujemy własne siły, więc chodźmy zaszaleć. Beatlesi przejęli luksusowe biura przy londyńskiej Savile Row, wstawili do nich drogie sprzęty, a potem naturalnie pojawiła się tam połowa hippisowskiego świata, próbując uszczknąć coś dla siebie. Znalazło się też kilku cwanych doradców, których zadaniem było pomóc Beatlesom wszystkim pokierować.

Przez pierwszych kilka lat po rozpadzie zespołu gazety pisały wyłącznie o Johnie. Wraz z Yoko stworzył kilka utworów, założył zespół Plastic Ono Band oraz dał się sfotografować z nią nago dla „Two Virgins” (1969), czym zadziwił i rozbawił cały świat muzyki rozrywkowej. Potem rozpoczęli swoje łóżkowe posiadówki, urządzane w rozsianych po całym świecie hotelach, udzielając wywiadów prasowych na temat chorób toczących świat i sposobów ich przezwyciężania. John dał już sobie spokój z grami słownymi i żarcikami obecnymi niegdyś w jego wcześniejszych, beatlesowskich utworach, i poszedł w kierunku awangardy. Zajął się też wspieraniem przeróżnych akcji, takich jak sprawa Hanratty’ego[205]. Jego nowe utwory pełne były emocji, poruszały tematykę konfliktów

społecznych i odwoływały się do politycznych sloganów. Najnowsze dokonania Lennona stały się dla przeciętnego laika zwykle dość zabawne, ale kilka z jego samodzielnie stworzonych piosenek, jak choćby *Imagine* z 1971 roku, spotkało się z ogromnym uznaniem.

W 1969 roku John ożenił się z Yoko, a potem na stałe przeprowadził do Nowego Jorku, odbywszy wcześniej długą batalię prawną o przyznanie mu statusu rezydenta. Miałem wówczas okazję z nim rozmawiać – zdecydowanie zaprzeczał, jakoby pojawienie się Yoko doprowadziło do rozpadu małżeństwa z Cynthią. „Ono już dawno się rozpadło", powiedział. Co ciekawe, kiedy rozpad Beatlesów był nieunikniony, John oznajmił Paulowi, George'owi i Ringo: „Chcę rozwodu – tak samo jak z Cynthią". Przez wiele lat utrzymywał z nimi, a w szczególności z Paulem, relację podobną właśnie do związku małżeńskiego.

W roku 1974 John zostawił Yoko na mniej więcej rok – rok pełen narkotyków, alkoholu i dążenia do samozagłady. Jednak gdy na świat przyszedł ich syn, Sean, Lennon na dobre wrócił do życia rodzinnego. Od kiedy zaprzestał być Beatlesem, nagrał łącznie dziesięć płyt, ale po wydanym w 1975 roku składankowym krążku *Shaved Fish* stwierdził, że robi sobie pięcioletnią przerwę na zajmowanie się dzieckiem.

Do studia wrócił pod koniec roku 1980, co zaowocowało nowym albumem *Double Fantasy* wydanym akurat na piąte urodziny Seana. Wkrótce potem został zamordowany. Był 8 grudnia 1980 roku, John wracał ze studia i znajdował się już przed nowojorskim budynkiem o nazwie Dakota, w którym mieszkał. Zamachowiec, Mark David Chapman, czekał tam na niego przez cały dzień. Gdy wcześniej John wychodził z mieszkania i udawał się do studia, Chapman podał mu do podpisania egzemplarz *Double Fantasy*, który ten uprzejmie opatrzył autografem „John Lennon, 1980". Gdy dobrych kilka godzin później muzyk wracał do domu, Chapman oddał w jego kierunku pięć strzałów z odległości około półtora metra. Cały świat był w szoku.

Przez krótką chwilę reakcje ludzi na tę wiadomość były niemal histeryczne, w szczególności na terenie Stanów Zjednoczonych. Yoko zaapelowała o ogólnoświatową chwilę ciszy. Świat pogrążył się w autentycznej żałobie. Wiele osób w Wielkiej Brytanii nie mogło wyjść ze zdziwienia, że reakcje są tak żywiołowe – nie zdawano sobie sprawy, że od momentu rozpadu Beatlesów funkcjonowały dwa kompletnie różne wizerunki Johna Lennona.

W Wielkiej Brytanii John postrzegany był jako niegroźny ekscentryk, dziwak, który zniknął z jakąś cudaczną kobietą, zajmował się przedziwnymi rzeczami i od czasu do czasu nagrywał śmieszną muzykę. Etap, kiedy uważano go za gwiazdę muzyki rozrywkowej lub ikonę mody czy czegokolwiek innego, dawno już przeszedł do historii. Był zaledwie przebrzmiałym, choć wciąż powszechnie kochanym, symbolem lat sześćdziesiątych. Brytyjskie gwiazdy zawsze starały się odwiedzać go podczas pobytów w Ameryce, jakby usiłowały złożyć hołd Dobremu Staruszkowi – będącemu już na emeryturze, może odrobinę sfiksowanemu, ale jednak komuś, kto za młodu wywarł na nich wszystkich wielki wpływ.

Jak okazało się natychmiast po jego śmierci, w Ameryce John jawił się jako zupełnie inny człowiek: był czynnym duchowym przywódcą, symbolem nadziei i walki nowego pokolenia z problemami, kimś, kto potrafi dotrzeć do milionów młodych ludzi nawet wtedy, gdy przez mniej więcej pięć lat praktycznie nie pojawia i nie wypowiada się publicznie. Piosenka *Give Peace a Chance*, napisana na poczekaniu po jednej z łóżkowych posiadówek w Montrealu w 1969 roku, stała się inspiracją dla pokolenia czasów wojny w Wietnamie, hymnem ruchu na rzecz pokoju, śpiewanym po dziś dzień, na długo po tym, jak aranżowane happeningi i kampanie Lennona z lat siedemdziesiątych popadły w zapomnienie.

Śmierć Johna uwydatniła jego niezwykły wkład w muzykę popularną i charakter młodego pokolenia z Zachodu. Ukróciła także wszelkie przypuszczenia o tym, czy Beatlesi kiedykolwiek do siebie wrócą.

Emocjonalnie umarli w 1970 roku, pierwszy pogrzeb odbył się w roku 1980. Jedną z konsekwencji śmierci Johna był fakt, że pozostali trzej Beatlesi natychmiast wykazali zainteresowanie własnym bezpieczeństwem. Po rozpadzie zespołu każdy z nich wiódł własne, osobne życie, ale od końca 1980 roku zaczęli zdawać sobie sprawę, że nawet jako osoby prywatne muszą być szczególnie ostrożni.

Ringo mieszka dziś w doskonale strzeżonym Tittenhurst Park – siedemnastowiecznej rezydencji, stojącej na trzydziestu hektarach ziemi w pobliżu Ascot w Berkshire (John i Yoko mieszkali tam przed wyjazdem do Stanów). Po rozpadzie grupy jego życie osobiste stało się dość zagmatwane i od tamtej pory już kilkakrotnie zmieniał nie tylko domy, ale także kraje, w których mieszkał. Niedługo po ukazaniu się książki wraz z Maureen przenieśli się z Weybridge do Highgate w północnej części Londynu i wówczas widywałem się z nim dość często. W roku 1975 para się rozwiodła. Miała już wówczas trzecie dziecko, córeczkę Lee. Rozwód był dość ciężki i pełen gorzkich słów, a po zakończeniu sprawy Ringo rozpoczął tułaczy styl życia, będący poniekąd wynikiem rozpadu małżeństwa. Widywano go w wielu różnych krajach i z różnymi dziewczynami. Przez parę lat teoretycznie mieszkał w Monte Carlo, ale większość czasu zdawał się spędzać w Stanach. W 1981 roku pojawił się w Anglii po sześcioletniej nieobecności – wrócił zszokowany śmiercią Johna i pełen obaw, że jego może spotkać podobny los. „W dzień zabójstwa Johna poleciałem z L.A. do Nowego Jorku, by być przy Yoko. Przydzielono mi dwóch ochroniarzy i jeszcze dwóch z obstawy Yoko miało mnie pilnować, ale w tym wielkim budynku pogubiliśmy ich wszystkich. Ja sam też się zgubiłem i wyszedłem na ulicę nie tymi drzwiami, co trzeba – zupełnie sam. Po jakimś czasie w obawie o swoje bezpieczeństwo zatrudniłem stałą ochronę. Nie znosiłem tego. Do śmierci Johna zawsze czułem się w Ameryce bezpiecznie, ale nie da się żyć w strachu. Jeśli samego prezydenta

nie da się wystarczająco dobrze ochronić, to jakie szanse mają inni? Dopadli nawet papieża”.

Jednym z plusów powrotu do Anglii i zamieszkania w swoim dawnym domu, Tittenhurst Park było to, że od Maureen i ich trojga dzieci dzieliło go jedynie czterdzieści minut drogi. Dziś znów są przyjaciółmi, choć nie nadzwyczajnie bliskimi. Ringo wrócił do Anglii w towarzystwie nowej kobiety, Barbary Bach, amerykańskiej aktorki, którą w kwietniu 1981 roku poślubił w londyńskim urzędzie stanu cywilnego w dzielnicy Marylebone. Na ślubie obecni byli George i Paul, a także matka Ringo, Elsie.

Siedem lat młodsza od Ringo Barbara była wcześniej żoną pewnego Włocha, z którym miała dwójkę dzieci: trzynastoletniego Gianniego i szesnastoletnią Francescę. Pojawiła się także w „Playboyu” i wystąpiła w filmie o Jamesie Bondzie, *Szpieg, który mnie kochał*. Łącznie zagrała w trzydziestu produkcjach, z czego do największych należały *Humanoid, Il Maschio Ruspante* i *Jaskiniowiec*. Spośród wielu filmów z jej udziałem, tylko kilka zostało nagrodzonych. To właśnie podczas kręcenia *Jaskiniowca w* 1980 roku poznała Ringo. W 1984 roku pojawili się razem w filmie, do którego Paul napisał scenariusz, *Pozdrowienia dla Broad Street*. Ich role w tej produkcji nie wymagały specjalnego wysiłku. Nietrudno zauważyć, że Ringo pozostał w bliskich stosunkach z Paulem i George’em, bliższych niż panowały między nimi dwoma, a za życia Johna przyjaźnił się także z nim.

Spotkałem się z Ringo i jego nową żoną na herbacie w ich londyńskim lokum w dzielnicy Chelsea w marcu 1985 roku – to był niewielki dom przerobiony ze starych stajni, służący im równocześnie jako biuro. Ringo zdawał się być w dobrej formie, wystrojony w garnitur i świeżo ogolony. Właśnie tego dnia po raz pierwszy od około dziesięciu lat zgolił brodę. Wciąż głaskał się po gładkim podbródku, jakby chciał się upewnić, że nadal ma twarz. Jak zwykle miał mnóstwo pierścieni na palcach, tak samo jak w latach sześćdziesiątych, a do tego w lewym uchu połyskiwał niebieski kolczyk. Wyglądało to dość osobliwie: czterdziestopięcioletni dżentelmen z

punkowym kolczykiem. Ostatnio zrobił sobie także tatuaż: gwiazdę i księżyc na lewym ramieniu, które koniecznie musiał mi pokazać. Barbara posiada identyczny na udzie. „Na bardzo ponętnym fragmencie”, stwierdził Ringo, ale ona nie zgodziła się na prezentację. Zadzwonił telefon i Barbara poszła porozmawiać z ojczymem Ringo, Harrym. Matka Ringo kilka dni wcześniej przeszła zawał. Ringo i Barbara natychmiast pojechali do Liverpoolu, by odwiedzić ją w szpitalu, a teraz jej stan zdawał się poprawiać. Elsie ma już siedemdziesiąt lat, jest w tym samym wieku co Harry i gdy ich odwiedziłem, mieszkali wciąż w tym samym domu co w 1968 roku.

Ringo wpakował się do niewielkiej kuchni, otwierając wszystkie szafki w poszukiwaniu czegoś, co można podać do herbaty. Podziwiałem jego bujne, ciemne włosy, ale jednocześnie zastanawiałem się, gdzie podziały się siwe kosmyki – szczególnie to siwiejące miejsce z przodu, które miał od zawsze. Wyznał, że je zafarbował, podobnie jak przez lata farbował sobie każdy białawy fragment brody. Tak naprawdę to właśnie dlatego ją zgolił – o ile mógł znieść szpakowatą brodę, o tyle miał już dość ciągłego farbowania pokaźnych, białych fragmentów, które uparcie się pojawiały. Zaczesał włosy do tyłu, by udowodnić, że są prawdziwe, bez śladu łysiny czy zakoli. „Nie to, co niektórzy moi znajomi – powiedział. – To ile ty mówisz masz lat, Hunt, co?”. Wyglądał dużo zdrowiej niż w 1968 roku, pomimo delikatnego brzuszka i lekko pełniejszych policzków. Był przede wszystkim zdecydowanie szczęśliwszy i bardziej radosny. Kiedy widywałem go w 1968 roku, często sprawiał wrażenie poirytowanego: chodził wciąż tam i z powrotem, wiecznie spięty, jakby coś go gryzło albo czymś się zamartwiał – przyszłością własnego małżeństwa bądź przyszłością Beatlesów.

Po zakończeniu rozmowy Barbara wróciła do kuchni, sprawdzić, co Ringo przygotowuje do herbaty. Pogłaskała go po podbródku, po raz kolejny sprawdzając jego gładkość. Nigdy wcześniej nie widziała go tak

gładko ogolonego, a przynajmniej nie z bliska. „Po raz pierwszy zobaczyłam go w 1966 roku, kiedy zabrałam moją młodszą siostrę na ich koncert na Shea Stadium. Miałam wtedy jakieś dziewiętnaście lat. Siostra miała beatlesowską perukę i była ich prawdziwą fanką. Mnie nie interesowali jakoś szczególnie. Jedyne, co pamiętam z tego ich występu, to to, że był dość krótki i głośny". Ringo twierdzi, że kiedy poznali się w 1980 roku na planie *Jaskiniowca*, zakochał się w niej natychmiast, gdy tylko zobaczył, jak wysiada z samolotu.

„Przez pierwsze dwa miesiące nieźle się nade mną znęcała, nieustannie czepiając się o jakieś drobnostki. Gdy z okazji walentynek zorganizowałem przyjęcie, ciągle pytała, po co to robię. Stale mnie o coś wypytywała, ewentualnie zupełnie ignorowała. Gdy zapadła decyzja o ślubie, zapytałem, gdzie chciałaby zamieszkać".

„Chciałam wrócić do Europy – mówi Barbara. – Ale Ritchie mówi wyłącznie po angielsku, więc musiało paść na Anglię. Anglia też mi odpowiadała, bo to najmniej policyjne państwo, jakie znam. Czuję się tu bezpiecznie, nie mając absolutnie żadnej ochrony. Czuję się prawdziwą Angielką, nie Brytyjką, tylko Angielką – klasyczna ryba z frytkami".

Ringo znalazł wreszcie w jednej z szuflad puszkę z łososiem i otworzywszy ją, dolał nieco octu dla smaku. Zamieszał i rozłożył wszystko do trzech miseczek. „Nie wędzony? – spytałem. – Sądziłem, że wy, wielkie gwiazdy, żywicie się tylko wędzonym łososiem".

„Powiem ci coś o tym wędzonym łososiu – odezwał się Ringo tym swoim silnym, liverpoolskim akcentem. – Oni go nie gotują… Pamiętam, jak jadłem go po raz pierwszy, kiedy Brian przywiózł nas do Londynu i nalegał, żebyśmy wszyscy spróbowali wędzonego łososia. Nigdy nie jedliśmy tego w Dingle. Brian stawiał. Wszyscy zaczęliśmy się strasznie krzywić i mówić, że to wstrętne. Teraz nawet mi smakuje".

Tak czy inaczej, sądząc po herbacie u Ringo czy posiłkach, jakie jadałem w domach pozostałych Beatlesów, żaden z nich nie jest jakimś

specjalnym smakoszem, chociaż Ringo uważa, że w kuchni radzi sobie nieźle, przygotowując dla siebie i Barbary niedzielne śniadania.

Spytałem Barbarę o jej epizod w „Playboyu”. Czy była na tej, no, rozkładówce?

– No wiesz, byłam na okładce! – odparła.

– Wciąż ma nadzieję na rozkładówkę – dodał Ringo. – Jak skończy pięćdziesiąt lat, czyli za rok.

– On ciągle kłamie w kwestii mojego wieku.

– Sam sobie policz, Hunt. Ma dwadzieścia dziewięć lat i trzydziestojednoletnie dziecko. Przecież chodziłeś do szkoły.

– Do pięćdziesiątki brakuje mi jeszcze kilku ładnych lat – powiedziała Barbara.

– Już się nie mogę doczekać. Kobiety w tym wieku to przecież prawdziwy krzyk mody. Jak będzie miała tę pięćdziesiątkę, to będzie taką Joan Collins z Ascot… och, nie, przestań… – krzyczał Ringo, a Barbara okładała go ściereczką do naczyń.

Ach, te małżeńskie sceny. Wyszedłem więc grzecznie z kuchni i poszedłem podziwiać wystrój biura. Na jednej ze ścian wisiało wielkie zdjęcie Johna i Paula – fotkę zrobił i powiększył Ringo. Obaj mieli wtedy baki i długie włosy. W tle widać kawałek grzbietu Marthy. Zdjęcie zrobione zostało około 1968 roku na Cavendish Terrace. Ringo był wówczas dobrze rokującym fotografem i to on jest autorem czterech zdjęć widniejących we wkładce do książki. Pamiętam, że był zadowolony z tych, na których byli John i Cyn, Paul i Jane oraz George i Pattie, natomiast nie znosił tego, na którym był z własną rodziną. Było nieudane, bo musiał użyć samowyzwalacza i po ustawieniu aparatu zdążyć jeszcze wrócić na swoje miejsce. Na ścianie widniał napis: „Problem z mocnym staniem na ziemi obiema nogami jest taki, że nie można zdjąć gaci”.

Ringo wciąż lubuje się w gadżetach i zabawnych bibelotach. W jego głównym domu stoją najnowsze modele telewizorów i sprzęt grający z

najwyższej półki. Nadal ma też pięć samochodów, a wśród nich wyjątkowego mercedesa pullmana, który ma w środku trzy rzędy siedzeń i jest krótszy zaledwie o pięć centymetrów od klasycznego londyńskiego autobusu.

„W 1965 sprzedałem wszystkie pięć samochodów. To było niedorzeczne – przecież w danej chwili i tak można jeździć tylko jednym, ale znowu zacząłem je kupować. Teraz znów mam pięć, nie, sześć – zapomniałem o jaguarze żonki". Ringo jest najmniej zamożny spośród żyjących Beatlesów, przynajmniej jeśli chodzi o dochód, ale twierdzi, że nie ma problemów finansowych. „Wydaję jak szalony, bez przerwy, ale i tak nie ma znaczenia, ile wydam, bo pieniędzy starczy mi do końca życia".

Od momentu rozpadu zespołu Ringo nie miał nowych doświadczeń twórczych – ani w sferze artystycznej, ani biznesowej. Najbardziej nieprawdopodobnym wydarzeniem w jego całym życiu była propozycja dołączenia do Beatlesów, która ma nikłe szanse na powtórzenie się. Do jego wiejskiej posiadłości przylega gospodarstwo rolne, w którym pracuje dla niego dziesięć osób. „Przechadzam się tam i wskazując na żonkile, mówię, że to żonkile, ale tak naprawdę kompletnie się na tym nie znam". Ringo zainwestował także w liverpoolską telewizję kablową i kilka innych niewielkich przedsiębiorstw. Jeśli chodzi o jego karierę muzyczną, to po rozpadzie Beatlesów wydał kilka melodyjnych albumów i singli, na których udało mu się nie zgrywać ważniaka, jednak teraz etap nagraniowy ma już chyba za sobą. Jego ostatni album zatytułowany *Old Wave* pojawił się w roku 1984 i został wydany w Kanadzie, Niemczech i kilku innych krajach. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie wyraziły zainteresowania jego sprzedażą – była to pierwsza muzyczna porażka któregokolwiek z Beatlesów.

„A jak myślisz, jak się czułem? Byłem wściekły. Teraz opowiadam, że album jest bardzo popularny w Afganistanie czy gdzieś tam, no i w Kanadzie. Już trochę o tym zapomniałem, ale wtedy byłem okropnie

zawiedziony. Podobało mi się to, co zrobiłem. Moim zdaniem to był mój najlepszy produkt. Zatytułowałem go *Old Wave* tak dla żartu, zamiast *New Wave*. Teraz to chyba jestem już tym starym pokoleniem. Jeden gość w L.A. chciał się nawet ze mną ostatnio zobaczyć w sprawie wydania go w Ameryce, ale odwołał spotkanie, bo zachorowała jego matka".

W odróżnieniu od Paula, Ringo raczej nie potrzebuje, by schlebiano mu jako muzykowi, i nie wydaje się specjalnie przybity faktem, że jego kariera dobiegła końca. „Wydaje mi się, że Paul wciąż to uwielbia. Ja już słyszałem te wszystkie brawa – były bardzo głośne. Usłyszałem je i teraz już ich chyba nie potrzebuję. Aplauz też musi się kiedyś skończyć".

Teraz mówił tym swoim głosem *à la* Lawrence Olivier. Radził sobie zadziwiająco dobrze jako aktor i wciąż nie wypadł z obiegu – ku zdziwieniu wielu osób, Ringo nadal dostaje propozycje ról filmowych, mimo że od rozpadu Beatlesów minęło już piętnaście lat. Przez okres ten udowodnił, że potrafi to robić i to na własny rachunek, a nie wyłącznie dzięki popularności bycia ex-Beatlesem. „Lubię aktorstwo. Trochę jestem pozerem".

Jego rola w *Jaskiniowcu* nie była szczególnie wymagająca, bo tylko chrząkał tam i pojękiwał, a w całym filmie pada zaledwie piętnaście słów. Jednak w pozostałych produkcjach miał całkiem dobre epizodyczne role charakterystyczne. Wystąpił między innymi w *Candy* (1968), *Magic Christian* (1969), *That'll Be The Day* (1973), *Lisztomanii* (1975), *Sextette* (1978) oraz *Księżniczce Daisy* (1983). W roku 1984 użyczył swego głosu narratorowi w kultowym telewizyjnym filmie dla dzieci *Thomas The Tank Engine* (*Tomek i przyjaciele*). Rok później przygotowywał się do roli Żółwia w dużej, sześcioczęściowej, amerykańskiej produkcji telewizyjnej *Alicji w Krainie Czarów*.

„Gdy się pobraliśmy, przeszliśmy na coś w rodzaju połowicznej emerytury – mówi Barbara. – W roku, w którym go poznałam, zrobiłam trzy filmy, a od tamtej pory było ich naprawdę niewiele". „Przez ponad

cztery lata po ślubie nie spędziliśmy osobno ani jednego dnia – opowiada Ringo. – Najdłuższe rozstanie trwało dwie godziny. W 1981 mieliśmy ten paskudny wypadek samochodowy. Najgłupsze w tym wszystkim było to, że jechaliśmy właśnie na przyjęcie. Gdybyśmy wracali po imprezie, to jeszcze byłoby do zrozumienia. Straciłem panowanie nad samochodem. Zdaje się, że to było na autostradzie A3. Naprawdę niewiele brakowało, a oboje byśmy zginęli. Obudziłem się w szpitalu i czułem się paskudnie. Z Barbarą też było kiepsko. Pielęgniarka ocuciła nas i obsługiwała, wciąż mówiąc: »Bardzo proszę, skarbie, pyszna herbata«. Taka jest Anglia. Herbata wyleczy wszystko. Pobyt w tym szpitalu kosztował nas tylko dwanaście i pół funta, podczas gdy za taki sam pobyt w Stanach płaciłbym do dzisiaj”.

Ringo przeszedł też poważną operację żołądka, a powodem była ta sama dolegliwość, która ciągnęła się za nim jeszcze z czasów dzieciństwa. Podczas pobytu w Monte Carlo dostał nagle boleści jelitowych. „Pociachali mnie na kawałki i wyciągnęli półtora metra bebechów”. Pomimo takich przeżyć, wciąż wiedzie dość szalone życie jak na pana w średnim wieku – jest regularnym bywalcem klubów nocnych i imprez.

„Przez dwadzieścia lat praktycznie mieszkałem w nocnych klubach. Nadal nie sypiam, po prostu nie mogę, i nie ma to nic wspólnego z latami koncertowania czy grania w Hamburgu. Tak już mam. Nawet jako dziecko nie mogłem zasnąć aż do świtu i tak mi zostało. Chyba w całym swoim życiu nie przespałem podczas jednej nocy więcej niż cztery godziny. Gdy zaczęliśmy się spotykać, Barbara była przerażona: zapada zmrok i dla niej jest to czas, by pójść spać, jak na małą, porządną aktoreczkę przystało. Dla mnie to czas na wyjście. Ja wolę położyć się o czwartej. Ona o dwudziestej drugiej. Dlatego nie wychodzimy już tak często. Zawsze przywołuję przykład George’a, który podobno jest wielkim »samotnikiem«. Kiedy jest w Anglii, potrafi wychodzić na kolację nawet cztery razy w tygodniu, tylko że nikt o tym nie wie. Jest chyba tak samo towarzyski jak ja, ale robi to prywatnie, a ja publicznie. Uwielbiam chodzić na imprezy w rodzaju

premier i tym podobnych i zakładać muchę. Dopóki jej nie założę, czuję się nieubrany”. „Właśnie byliśmy u George’a na Hawajach, zobaczyć jego nowy dom – dodaje Barbara. – Wygląda fantastycznie. Ma tysiące hektarów dżungli, które przekształca w ogród tropikalny. Pokazał nam wszystko, opowiadając, że tu będzie mostek, a tam jeziorko. Zachowuje się jak dziecko”.

Jeżeli nową życiową pasją George’a jest ogrodnictwo, to jaką pasję ma Ringo? Nie tęskni za czymś, czemu mógłby poświęcać swoją energię?

„Co masz na myśli? To jest moja pasja – Barbara. Człowieku, jestem zakochany. To niesamowite, lepsze od ogrodu. Nie trzeba jej codziennie podlewać. Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedykolwiek mi się to przytrafi – to najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Nigdy nie byłem szczęśliwszy”.

Nie miał problemu z rozmawianiem o czasach Beatlesów i utrzymuje, że to też był szczęśliwy okres, choć niespecjalnie chciałby do niego wrócić. „Dobrze się bawiłem i nie chcę wymazywać tego z pamięci, ale nie mógłbym tego powtórzyć. Świetnie było się w to bawić, mając dwadzieścia lat, ale jako czterdziestopięciolatek już bym nie mógł. Poza tym to zaledwie osiem lat z mojego życia. Było, minęło”.

Dawniej miał ambicję, by jego nazwisko znalazło się w szkolnych podręcznikach, i właściwie mu się to udało. „Jak się okazało, nasz zespół jest ważny dla kolejnych pokoleń. Nie da się teraz tego powstrzymać, ale mam już trochę dość tej komercjalizacji wszystkiego, co wiąże się z Beatlesami. Żal mi tych dzieciaków naciąganych na nowe pamiątki, które dopiero co opuściły linię produkcyjną. A potem ludzie kradną stare, złote płyty i wciskają je jakiemuś Japońcowi za trzynaście tysięcy funtów. Kiedyś podesłano mi książkę, w której widniały już autografy Johna, Paula i George’a – brakowało tylko mojego. Podpisałem więc, dodając »1985«. Od razu wiedziałem, że pokrzyżuję tym komuś plany. Teraz nie będzie można jej sprzedać jako wydania z autentycznymi autografami z lat sześćdziesiątych”.

Ringo jako jedyny nie wydał żadnej książki[206] ani nie pozwolił nikomu pisać o swoim życiu, jego różnych etapach czy swojej muzyce. George sprezentował mu ostatnio oprawiony w skórę tom zatytułowany *Ringo Starr: największy perkusista na świecie* – wszystkie kartki wewnątrz były puste. „Powiedział, żebym zaczął je zapisywać. Na razie nie napisałem nawet daty 1 stycznia. Nigdy nie wydam książki o byciu Beatlesem. Mogę napisać, że pewnego dnia wypiliśmy trzy filiżanki herbaty, a potem ktoś zarzuci mi, że to nieprawda, bo było ich cztery. Ja wiem swoje i tyle. Po co zawracać sobie głowę?”.

Gdy w latach siedemdziesiątych jego dzieci dorastały, Ringo był zwykle w rozjazdach, za to teraz ich wzajemne kontakty są znacznie lepsze. Jego najstarszy syn, Zak, ma dziewiętnaście lat, Jason siedemnaście – obaj zostali posłani do znanych brytyjskich szkół prywatnych: Haileybury i Highgate. Czternastoletnia Lee nadal chodzi do Queen’s College przy londyńskiej Harley Street. „Zapłaciłem za najlepsze szkoły, ale nic dobrego z tego nie wyszło. Obaj chłopcy chcieli skończyć edukację w wieku szesnastu lat. I co ja mogłem zrobić? Chciałem, żeby zostali tam jeszcze dłużej, ale ja sam skończyłem ze szkołą, mając lat trzynaście”.

Obaj jego synowie są perkusistami. Ringo uważa, że Zak jest w tym naprawdę bardzo dobry, a Jason mógłby być dobry, ale jest nieśmiały. „Mówiłem mu, że będzie musiał to przezwyciężyć, jeśli chce grywać na scenie. Któregoś dnia przyszedł do mnie z pewnym pomysłem: będzie grał na perkusji, siedząc sam w jakimś pomieszczeniu, a reszta chłopaków zarejestruje jego grę na wideo i potem puszczą nagranie podczas koncertu. Wszystko miał obmyślone. Zak zawsze odkrywa te swoje nowe style muzyczne i sądzi, że ja nigdy o nich nie słyszałem. Znajdzie gdzieś jakieś bluesowe nagranie i mówi: »Tata, posłuchaj tego«. Albo soul: »Tata, to jest super«. No pewnie, że mówi do mnie tato, przecież nim jestem. Któregoś dnia włączył swoje ostatnie, genialne odkrycie i okazało się, że to Ray

Charles. Nie, nie czuję się przez to stary, chociaż Zak nazywa mnie »starym hipisem«. Raczej mnie to bawi”.

Obecnie (1985) Zak gra w zespole Night Flight, ale nie idzie mu zbyt dobrze. Na początku jego muzycznej kariery wkurzał go fakt, że jest synem Ringo czy że w ogóle pozostaje jakkolwiek z nim powiązany. „W gazetach pisano o nim: »Zak Starr, syn Ringo Starra«, a on się wściekał. Mówiłem mu, że przecież nie zadzwoniłem do gazet, żeby umieszczali tam moje nazwisko, ale on i tak chyba uważał, że to była moja wina. Nie mógł zrozumieć mechanizmu, według którego działają gazety. Potem któregoś dnia powiedział mi, że czuje, że jego zespół gra z nim tylko dla jego nazwiska. Powiedziałem mu wtedy: »Musisz się jeszcze wiele nauczyć, synu«”.

Zak mieszkał przez chwilę w jednym domu z Ringo i Barbarą w Tittenhurst Park, ale ciągle wybuchały jakieś kłótnie. „A, takie tam typowe spięcia między rodzicami a dziećmi. Sam też na pewno przez to przechodziłeś. Kocham go, jest moim synem, ale czasem nie podobało mi się jego podejście do pewnych spraw. Mieszkanie razem nie było zbyt fajne. Po jakiejś kłótni w końcu go wyrzuciłem. To było głupie i banalne. Zaczęliśmy mieć wrażenie, że ten nastoletni chłopak po prostu nas ignoruje. Jadł i spał w domu, ale kompletnie z nami nie rozmawiał, więc go wywaliłem. Wyniósł się na jakieś sześć miesięcy, a potem wrócił. Teraz mieszka w domku stojącym na naszym terenie i jesteśmy ze sobą znacznie bliżej”.

W lutym 1985 roku Zak zadzwonił do ojca, gdy ten był w biurze, i zapytał, kiedy wróci do domu. „Odparłem, że nie jestem pewien, ale chyba koło siódmej trzydzieści. Powiedział, żebym w takim razie wpadł do niego po drodze, bo ma dla mnie niespodziankę. Myślałem, że chodzi o jakiś kontrakt płytowy, tymczasem gdy dotarłem na miejsce, okazało się, że mój syn rano się ożenił…”. Ringo zaśmiał się. Czy nie miał obaw jako ojciec dziewiętnastolatka bez stałej pracy i kwalifikacji, który właśnie ożenił się z

o sześć lat od siebie starszą kobietą? „Żadnych. Znałem tę dziewczynę, Sarę [Menikides], już od jakiegoś czasu. Nie spodziewaliśmy się, że się pobiorą, w każdym razie nie wtedy, ale cieszyłem się, że zrobił to po cichu, bez tego całego zamieszania. Byłem bardzo zadowolony. Ona jest bardzo sympatyczna, choć podobni są do siebie jak dzień do nocy. Ale ze mną i Barbarą jest tak samo i dajemy radę. Barbara nie przepada za muzyką i nie lubi siedzieć do późna, jest raczej dość cicha, a jednak wyszła za perkusistę rockowego. Wiesz, jacy oni potrafią być głośni. Sara zrobiła dokładnie to samo".

Mimo że ślub odbył się w tajemnicy, bez zdjęć w gazetach, Ringo zdaje sobie sprawę, że następnego etapu raczej nie da się zataić. „Zaledwie wczoraj wieczorem rozmawiałem z nimi o ich »publicznym« dziecku. Jeśli zdecydują się je mieć, to na pewno będzie to news na pierwsze strony gazet. Myślę, że byłoby super. Niesamowicie. Nie mogę się już doczekać, kiedy zostanę dziadkiem. Rozpuszczę wnuka do granic możliwości. Bo to oczywiście będzie chłopiec, już zapowiedziałem to Zakowi. I chciałbym, żeby dali mu po mnie imię Richard, choć niespecjalnie podoba im się ten pomysł. Kiedy urodził się Zak, chciałem dać mu na imię XL, bo uważałem, że wszystkie imiona są takie nudne. Same litery byłyby dużo fajniejsze, ale Maureen się nie zgodziła. Wybraliśmy więc krótkie imię, którego nie da się już skrócić. Odezwała się we mnie wtedy stara, kowbojska natura. Wiem, że Jason to dwusylabowe imię, ale i tak zwykle mówimy na niego Jay. Twierdzi, że jest już wyższy ode mnie o dwa i pół centymetra, ale ja się z tym nie zgadzam. Zak jest mniej więcej tego samego wzrostu co ja. Z tym też się nie zgadzam. Jestem wyższy od nich obu i zawsze tak będzie".

Ciekawe, czy którekolwiek z dzieci Ringo zostanie muzykiem z prawdziwego zdarzenia[207]. Paul ma dwie córki i syna, którzy jeszcze nie udzielają się publicznie, lecz być może któreś z nich odziedziczyło po nim zdolności muzyczne, podobnie jak on przejął je po swoim ojcu. W 1985 to

Julian Lennon, jako przedstawiciel drugiego pokolenia Beatlesów, radził sobie w muzycznym świecie najlepiej. Miał wtedy na koncie dobrze przyjętą płytę i piosenkę na liście Top Twenty. W jego głosie słychać trochę Johna, a do tego potrafi pisać sympatyczną muzykę. Ringo dobrze wie, że świat najbardziej ucieszy pojawienie się przedstawiciela trzeciego pokolenia Beatlesów. Ciężko to sobie wyobrazić, ale to wkrótce się stanie i delikatny, dziecięcy głosik powie: „A mój dziadek jest Beatlesem”.

Po rozpadzie zespołu George z początku radził sobie znakomicie – był wyraźnie wdzięczny, że w końcu może zająć się swoim życiem i skupić na swojej nowej pasji, czyli indyjskiej muzyce i mistycyzmie. Album *All Things Must Pass* wydany w 1970 roku został przyjęty bardzo dobrze, podobnie jak jego koncert dla Bangladeszu, który odbył się rok później. Udało się wówczas zebrać gigantyczne pieniądze na rzecz uchodźców, niemal dziesięć milionów dolarów, chociaż nie obyło się bez kilku procesów sądowych. Kłopoty z prawem pojawiły się też po wypłynięciu podejrzeń, że w utworze *My Sweet Lord* George „podświadomie splagiatował” fragmenty cudzej piosenki. Sprawa ciągnęła się latami, zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Stanach Zjednoczonych. Koniec końców George został obciążony astronomicznie wysoką grzywną. Jak na ironię, musiał zapłacić firmie, której właścicielem był nie kto inny jak Allen Klein, który wcześniej wykupił prawa autorskie do oryginalnego utworu, co do którego George rzekomo dopuścił się plagiatu.

George zarzekał się, że nigdy więcej nie pojedzie w trasę koncertową, ale jednak w 1974 roku odbył *tournée* po Stanach. Nie był to jednak żaden znaczący sukces – krytykowano go za zbytnie eksperymentowanie, choć tak naprawdę ludzie byli rozczarowani głównie tym, że nie chciał grać wielu Beatlesowskich numerów. To doświadczenie wykończyło go psychicznie i fizycznie i w 1974 roku otarł się o załamanie nerwowe. W roku 1969 nic nie wskazywało na to, że cokolwiek pójdzie nie tak – George szybko odciął się od najgorszego bałaganu w Apple i poświęcił swoim

pasjom. Jednak już w połowie lat siedemdziesiątych był nieszczęśliwy i podłamany. Kończył się jego związek z Pattie, o którym mówi, że chylił się ku upadkowi już w 1972 roku. Napisał wówczas *Sad Song*[208]. „To jest smutna piosenka – powiedział. – To był okres, kiedy nasze drogi z Pattie zaczęły się rozchodzić". Rozwód nastąpił w 1977 roku. George i Pattie nie mieli dzieci. Jakiś czas później Pattie wyszła za przyjaciela George'a, gitarzystę Erica Claptona[209].

W 1978 roku George poślubił Olivię Arrias, Kalifornijkę meksykańskiego pochodzenia urodzoną w katolickiej rodzinie, która swego czasu pracowała jako sekretarka w jego wytwórni płytowej Dark House Records. Zanim zdecydowali się na ślub, mieszkali ze sobą przez cztery lata.

Pierwsze i jak dotąd jedyne dziecko George'a i Olivii urodziło się pierwszego sierpnia 1978 roku – nadano mu imię Dhani. Ten brązowooki i ciemnowłosy chłopczyk jest bardzo podobny do matki. To pierwsze dziecko George'a, który został ojcem stosunkowo późno, bo w wieku trzydziestu pięciu lat. Cóż, nie można zaprzeczyć, że zawsze planował wszystko ze sporą ostrożnością. Dziś rodzina Harrisonów mieszka w wielkiej wiktoriańskiej posiadłości Friar Park przy Henley-on-Thames w Oxfordshire. Wprowadzili się tam w 1969 roku, a gdy kupili tę posiadłość, budynek wyglądał, jakby za chwilę miał zostać zburzony, bo mieszkające tam poprzednio zakonnice nie były już w stanie utrzymać go w należytym stanie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat posiadłość ta stała się prawdziwą pasją George'a. Stworzył tam swoje studio nagrań, świątynię, ale przede wszystkim założył piętnastohektarowy ogród. O znajdujące się tam egzotyczne kwiaty i rośliny troszczy się dziesięciu ogrodników, a na terenie posiadłości pracują też jego dwaj starsi bracia, Harry i Peter, doglądając ogrodu i całego domu. Jeden z nich mieszka w stróżówce na terenie posesji, a drugi niedaleko majątku. Wejścia do domu strzeże drewniany znak z

napisem w dziesięciu językach: „Teren prywatny: Nie wchodzić”. Jest nawet wersja amerykańska, która brzmi: „Spadaj”.

Autobiografia George’a pod tytułem *I Me Mine* wydana w 1980 roku przez Genesis Publications i w 1982 przez W.H. Allen dedykowana była „wszystkim ogrodnikom”. George pisze w niej, że uważa się za ogrodnika. „Jestem bardzo prostym człowiekiem. Nie chcę utknąć w biznesie, bo jestem ogrodnikiem. Sadzę kwiaty i obserwuję, jak rosną. Nie chodzę do klubów i na imprezy. Zostaję w domu i patrzę na płynącą rzekę”. To ostatnie faktycznie jest prawdą, bo George rzeczywiście wiedzie zwykłe, spokojne życie, nie jest jednak samotnikiem, za jakiego uważają go niektórzy. Jeśli termin samotnik rozpatrywać w kategoriach Howarda Hughesa[210], to oznaczałby co najmniej ekscentryka, jeśli nie prawie szaleńca, jakim George z pewnością nie jest. Pozostał rozsądny, zrównoważony, dowcipny, krytyczny wobec siebie samego i otaczającego go świata. Jest szczery, prostolinijny, miły, szczodry i pełen ideałów. Potrafi być również zrzędliwy, surowy, niesprawiedliwy i pamiętliwy. Izolując się od świata w tych romantycznych, gotyckich włościach, wiedzie pod wieloma względami „normalniejsze” życie niż Paul, bo nie odgrywa już tej publicznej roli supergwiazdy.

George trzyma się z dala od świateł jupiterów, bo dobrze wie, że najchętniej podświetlałyby one dawne, beatlesowskie czasy, o których nie cierpi rozmawiać. Nawet już w późnych latach sześćdziesiątych, kiedy pisałem swoją książkę, ciężko mi było namówić go na opowieści o życiu Beatlesa. A szkoda, bo z całej czwórki to właśnie on ma najlepszą pamięć. W przypadku Johna często odnosiłem wrażenie, że opowiadane przez niego bzdury o tym okresie to po części sposób zwrócenia na siebie uwagi i prowokacja, a częściowo próba zatuszowania poczucia winy. W sprzyjającej atmosferze zawsze można było namówić go na ponowne wspominki. Paul nie ma problemu z opowiadaniem o przeszłości. A George

zawsze mówił rzeczowo, zwięźle i z nieco lekceważącym podejściem do opisywanych wydarzeń. Piętnaście lat później ma wiele znacznie bardziej zajmujących tematów do rozmyślań. Przez cały ten okres żadnej osobie postronnej nie udało się zmusić go do wynurzeń na temat czasów beatlesowskich – ani pozytywnych, ani negatywnych. Wspomina je tylko mimochodem i jakby na marginesie.

„Sporo było takich rzeczy, do których musieliśmy zabrać się wszyscy razem, a które mnie osobiście niespecjalnie interesowały – pisał w swojej książce. – W ogóle w tym całym beatlesowskim życiu nie było właściwie nic fajnego i nawet najbardziej emocjonujące sprawy z czasem stawały się męczące. Przecież z tego samego żartu nie śmiejesz się dwa razy, chyba że naprawdę ci odbije. W byciu Beatlesem więcej jest dobra niż zła, ale codzienne pojawianie na pierwszych stronach gazet było okropne. To straszne wtrącanie się w nasze życie. Według wersji Dicka Lestera mieliśmy wtedy niezły ubaw, to niby była jedna wielka impreza. W filmach wyglądało to nieźle, ale w prawdziwym życiu nie mieliśmy złudzeń: Beatlesi byli skazani na porażkę. Własna przestrzeń życiowa jest niezwykle istotna. To dlatego niepowodzenie było kwestią czasu, bo wcześniej wszystko przypominało bajkę. A każda bajka kiedyś się kończy”.

Cóż, prawdą jest, że po wzlotach przychodzą upadki. Jak długo można znosić podobne tempo? Co zrobić, kiedy już dotrze się na sam szczyt? Według Beatlesów nawet utrzymywanie się na topie już z definicji jest przegraną. George był zawsze przekonany, że ich dni są policzone, i chciał wydostać się z tego kręgu, zanim ktokolwiek się zorientuje. Po zawieruchach w połowie lat siedemdziesiątych George’owi bardzo pomógł w życiu dom i ogród, a także małżeństwo, pierwsze dziecko i… trochę dobrej zabawy. Sprawia wrażenie, jakby wciąż tylko wygłaszał kazania, zawracał wszystkim głowę, opowiadając o filozofii indyjskiej, ogrodnictwie albo historii i jak już człowiek zaczyna sądzić, że naprawdę lekko mu

odbiło i traktuje wszystko zbyt poważnie, George nagle przerywa i śmieje się z samego siebie.

Zawsze przepadał za *Latającym Cyrkiem Monty Pythona* i jego ekipą, która w latach siedemdziesiątych miała miliony fanów zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Stanach. Udało mu się nawet zaprzyjaźnić z komikami, a szczególnie z Erikiem Idle i Michaelem Palinem. Pythoni pochodzili z nieco innego świata niż Beatlesi – wszyscy byli przykładnymi, w większości wyedukowanymi na Oksbridge przedstawicielami klasy średniej. W prywatnym życiu byli znacznie poważniejsi i bardziej oczytani, niż sugerowałby to ich publiczny wizerunek, ale podobnie jak Beatlesi szli w swojej karierze pod prąd, robiąc wszystko po swojemu.

George uwielbiał *The Rutles*, telewizyjną parodię Beatlesów stworzoną głównie przez Erica Idle. Sam pojawił się nawet w tym programie jako reporter, oczywiście po wcześniejszej solidnej charakteryzacji. W 1978 roku George dowiedział się, że zespół Pythona ma jakieś problemy z EMI związane z filmem *Żywot Briana*. Ówczesny prezes EMI, lord Delfont, uważał naigrawającą się z życia Jezusa produkcję za przykład wyjątkowo kiepskiego gustu. George zainteresował tematem swojego partnera w interesach, Denisa O’Briena, który pomagał mu w okresie kryzysu Apple. Zebrawszy dwa miliony funtów, wspomogli produkcję filmu, który okazał się wielkim sukcesem. Tak narodziła się firma HandMade Films, której nazwę George zaczerpnął z jakiejś ręcznie wyprodukowanej gazety wręczonej mu podczas wizyty w starej fabryce papieru w Somerset.

Powstała w roku 1978 HandMade Films stała się jedną z bardzo popularnych brytyjskich wytwórni filmowych. Nie jest to specjalnie prężna branża, chociaż David Puttnam[211] również radził sobie wtedy całkiem nieźle. Firma George’a ma na koncie dziesięć sporych produkcji, do których należą między innymi *Długi Wielki Piątek*, *Bandyci Czasu*, *Misjonarz, Parada szeregowców*, *Water* i *Private Function*. Wszystkie te

filmy mają jedną wspólną cechę: umiejscowione lub przynajmniej inspirowane są Wielką Brytanią. Naśladowanie Ameryki i produkowanie amerykańsko-brytyjskich filmów to jedne z przyczyn tarapatów, w jakie wpadli lordowie Grade i Delfont.

George ma też swój czynny udział w działalności firmy: często pojawia się w roli „producenta filmowego". Ponoć w przygotowaniu jest wiele kolejnych projektów, ale George twierdzi, że prawdziwym biznesmenem jest Denis O'Brien: to on ma żyłkę do interesów i czuwa nad tym, by filmy powstawały w odpowiednim czasie i w ramach odpowiedniego budżetu. „Ciężko być producentem filmowym. Przecież sam o ludziach przy kasie mówiłem kiedyś: »A co oni mogą wiedzieć?«, a teraz jestem jednym z nich. Wiem jednak, że jeśli nie zapewni się artyście maksymalnej wolności, to nie ma sensu w ogóle z nim współpracować. Większość naszych relacji po dziś dzień pozostaje bez zarzutu".

Rozmawiałem z paroma osobami zaangażowanymi w produkowanie filmów w HandMade i wszyscy zgodnie twierdzą, że George jest idealnym szefem: skoncentrowanym na bieżących przedsięwzięciach, pomocnym, a jednocześnie odpowiednio zdystansowanym. Pozostając w „przyjaźni" z ekipą Monty Pythona, nie stał się jednym z nich, nie upodobnił się do nich i niekoniecznie zgadza się z artystycznymi roszczeniami co poniektórych twórców. Po prostu pozwala im pracować. George'owi należy się uznanie za to, co zrobił z wytwórnią HandMade Films – może być dumny z jej powstania, a praca w niej z pewnością daje mu wiele satysfakcji. Wszystko to stworzył bez najmniejszego wykorzystania swojej beatlesowskiej przeszłości. Nie zabiegał o widownie pełne gwiazd podczas premier filmowych, nie użyczał swojego nazwiska na potrzeby wielkich gali, nie promował swoich filmów osobiście ani nie rozgłaszał swoich kolejnych inwestycji[212]. Był sponsorem, stojącym zawsze w cieniu, człowiekiem zza kulis, cieszącym się, gdy produkt mówił sam za siebie.

Nie jestem do końca przekonany, czy decyzja o napisaniu książki *I Me Mine* faktycznie była słuszna. George dokładał wszelkich starań, by odseparować się od okresu, kiedy był Beatlesem, a jednocześnie to właśnie jego dzieciństwo, wspomnienia z czasów istnienia zespołu oraz ujawnienie oryginalnych rękopisów jego piosenek prawdopodobnie przyczyniły się do podniesienia atrakcyjności tej książki. Całość okazała się raczej nieszkodliwa i dość oszczędna w słowach, za to cena była powalająca. Każdy z dwóch tysięcy podpisanych egzemplarzy wydanych w 1980 roku jako edycja limitowana kosztował sto czterdzieści osiem funtów. W drugim wydaniu swej autobiografii George przyznaje, że ma wyrzuty sumienia odnośnie motywów stojących za wydaniem *I Me Mine* z takim przepychem, ale tak naprawdę wcale ich nie podaje, stwierdzając jedynie, że dzięki temu wsparł tę dziedzinę sztuki, jaką jest produkcja oprawionych w skórę, horrendalnie drogich książek.

Jeśli dobrze rozumiem jego duchowe poszukiwania, to George usiłuje wznieść się ponad siebie samego, odnaleźć drogę do wspanialszych bogów i niepodważalnych prawd. Jego książka sprawia jednak wrażenie lekcji na temat własnego ja, czego najlepszym dowodem jest sam tytuł, choć z drugiej strony mogła to być taka forma podwójnej ironii. Zdaje się, że powinniśmy traktować ją jako kolejny dowód złożonej natury George’a. Kwestionując własną popularność, sam ją napędza. Odseparowując się od Beatlesów, jednocześnie do nich powraca. „Wielka czwórka była taka świetna, ponieważ gdy któryś z nas miał kiepski nastrój, pozostali mogli to jakoś zamaskować. Chroniliśmy siebie nawzajem. A teraz, gdy jesteś sam, musisz bardziej się pilnować. Czasem mi ich brakuje. Naprawdę bardzo się kochaliśmy”.

Podobnie jak pozostali Beatlesi, George również szybko zrozumiał, że ludzie lubią osoby znane właśnie dlatego, że są znane. Ogromnie trudno jest znaleźć kogoś, komu można zaufać. Porządni ludzie trzymają się raczej na uboczu, a ci torujący sobie drogę łokciami idą do przodu. We własnym

towarzystwie, zajmując równorzędne pozycje, mogli przynajmniej polegać na wzajemnej, czasem brutalnej szczerości. Należy żywić nadzieję, że w swoich obecnych, szczęśliwych związkach małżeńskich George, Paul i Ringo doświadczają autentycznej prawdy, otrzymują szczere do bólu porady i niełatwą krytykę, jaką dzielił się z nimi John, podobnie jak oni z nim i ze sobą nawzajem.

Z książki George'a dowiedziałem się ku swemu zadziwieniu, że odbył on podróż do Liverpoolu. Miało to miejsce w okresie, gdy poznał Olivię i chciał pokazać jej stojący w Arnold Grove dom, w którym się urodził, a potem swoją starą szkołę – Institute for Boys. Nie ma w tym w zasadzie nic dziwnego, lecz przecież George nie znosił swojej szkoły. W książce nadal podtrzymuje to zdanie. Czy nie uskarżał się na nią przesadnie? Oto skomplikowana natura George'a. Wciąż nie cierpi na przykład latania, jak za czasów beatlesowskich (wówczas pobyt na pokładzie samolotu czy na lotnisku odchorowywał niemal fizycznie), a mimo to zaczął ostatnio jeździć samochodami wyścigowymi. Nadal jest wegetarianinem nieustannie zafascynowanym Indiami, ruchem Hare Kriszna i sprawami duchowymi.

Od śmierci Johna George, podobnie jak Paul i Ringo, miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Paul obawia się na przykład, że ktoś przyczai się w krzakach i wyskoczy nagle podczas jego joggingu. Kiedyś zdawało mu się, że w jego ogrodzie jakiś obcy człowiek pali papierosa – jak się później okazało, była to tylko widziana z oddali uliczna latarnia. George boi się, że niebezpieczeństwo nadejdzie w najmniej spodziewanym momencie, na przykład pewnego dnia jakiś fotograf wyceluje w niego, rzekomo chcąc zrobić zdjęcie. Z tego też powodu nie znosi, gdy ktoś fotografuje go znienacka.

Jeżeli chodzi o muzykę, George na razie zrezygnował z nagrywania i występów publicznych. W ciągu ostatnich piętnastu lat regularnie wydawał płyty, choć ta z 1982 roku, zatytułowana *Gone Troppo*, nie odniosła sukcesu. W 1984 roku George oświadczył, że skończył z muzyką

rozrywkową, co nie oznacza, że skończył z muzyką jako taką – nadal komponuje, ale teraz robi to w domu i wyłącznie dla zabawy. Można tylko mieć nadzieję, że to sytuacja przejściowa. Styl tworzenia muzyki George'a był inny niż w przypadku Johna i Paula – oni pisali piosenki, a on dzielił się uczuciami. „Pisanie było jak chodzenie do spowiedzi", wyznał w swojej książce. Czuł sobowiązek stworzenia jakiegoś utworu dopiero wtedy, gdy miał odpowiedni nastrój – dobry lub całkiem kiepski. Właśnie dlatego pisanie zajmowało mu tak wiele czasu i zwlekał z nim aż do chwili, gdy faktycznie miał coś do powiedzenia. Dla Paula tworzenie muzyki jest tak samo naturalną rzeczą jak wstawanie z łóżka, chodzenie, jedzenie i spanie.

Trudno przewidzieć, jak dalej będzie wyglądać życie George'a. Jego sukcesy jako producenta filmowego to niemała niespodzianka, przynajmniej dla tych, którzy poznali go jako maskotkę zespołu, muzyka, w porównaniu z Johnem i Paulem, dość nieśmiałego i wycofanego. George może nas jeszcze nie raz zaskoczyć swoimi artystycznymi lub biznesowymi projektami. Równie dobrze może też zaszyć się na Hawajach, w swojej nowo nabytej posiadłości i dla odmiany zająć się ogrodem tropikalnym, które to zajęcie z pewnością pozwoliłoby mu ustrzec się przed kontaktem z niebezpiecznymi fotografami.

W odróżnieniu od pozostałej trójki Paul wszedł w swoje niezależne życie dość niepewnym krokiem. Jego żona nie była specjalnie lubiana przez pozostałych muzyków, a sam Paul najdotkliwiej odczuł wszystkie prawne zawirowania rozpadu zespołu. Z jednej strony pozostali Beatlesi nienawidzili go za rozpętanie całej afery, a z drugiej nie lubili go fani, którzy błędnie przypuszczali, że to właśnie on stoi za rozpadem zespołu. Paul również stał się samotnikiem, co we wczesnych latach siedemdziesiątych było niezmiernie popularne wśród wielkich gwiazd. Należało odseparować się i odnaleźć samego siebie tylko po to, by udowodnić własne istnienie. Trochę wcześniej pojawiły się nawet plotki o śmierci Paula: zaszył się on wówczas na swojej maleńkiej farmie w

szkockim Argyllshire. „Kiedy rozpadł się zespół, czułem się paskudnie. Obwiniano mnie o porzucenie Beatlesów, a ja przecież nigdy tego nie zrobiłem. W trakcie tych wszystkich spraw sądowych każdy z nas zachowywał się trochę nienormalnie. Dzwoniłem do Johna, a on mówił, żebym dał mu spokój. Dzwonię do George'a, a on zaczyna rzucać mięsem. Średnio to pasuje do Hare Kriszny".

Paul pisywał od czasu do czasu utwory dla innych artystów lub do filmów, lecz zdał sobie sprawę, że powinien zająć się tym, co zawsze sprawiało mu w życiu największą frajdę: koncertowaniem. To zawsze była jego ambicja, jeśli chodzi o Beatlesów – żeby znów wyciągnąć chłopaków ze studia, choćby tylko od święta. Postanowił więc stworzyć własny zespół, Wings. Do przedsięwzięcia zaprosił też Lindę, niemającą dotąd żadnego muzycznego doświadczenia. Świat muzyki pop mocno się z nich wtedy naigrawał. Zaczynali bardzo spokojnie, pojawiając się niezapowiedziani na uczelnianych kampusach, ale i to nie uchroniło Lindy przed kpinami krytyków czepiających się jej głosu i oskarżających, że bezczelnie wpakowywała się mężowi do zespołu. Jednym z pierwszych singli Wings była wersja dziecięcej rymowanki *Mary Had a Little Lamb*, nieszczególnie udana. Podobno John powiedział wtedy, że Paul brzmiał jak Engelbert Humperdinck[213] – trudno o paskudniejsze porównanie. Czepiał się go jeszcze na kilku swoich płytach. Na płycie *Imagine* śpiewa o nowej twórczości Paula, że jest jak „muzak[214]" oraz że „piękna buzia starcza na rok czy dwa".

Zespół Wings powoli nabierał wyrazu. Ku niesłychanej radości publiczności, podczas tras koncertowych Paul przestał odmiawiać wykonania tego czy innego numeru Beatlesów. Utwory, które Paul skomponował na płyty *Band on the Run* i *Venus and Mars*, zdobyły pierwsze miejsca list przebojów i prawie, jeśli nie dokładnie, powtórzyły sukces nagrań Beatlesów. Trasa koncertowa, na którą Paul wyruszył w 1976

roku z Wings, była w całości wyprzedana i stała się najlepszym dowodem, że zespół, niezależnie od obecności Lindy, to naprawdę dobra kapela.

Nowe utwory Paula nie dorównują może *Yesterday* czy *Eleanor Rigby*, ale z komercyjnego punktu widzenia to właśnie on spośród całej czwórki odniósł zdecydowanie największy sukces komercyjny. W 1977 roku piosenka *Mull of Kintyre* pobiła wyniki wszystkich singli Beatlesów. Paul twierdzi, że grając z Wings, zarobił większe pieniądze niż przez cały okres istnienia swego pierwszego zespołu. I wcale nie jest w to tak trudno uwierzyć, biorąc pod uwagę fakt, ile różnych osób miało swój udział w ich beatlesowskiej karierze.

Grupa Wings już nie istnieje, a kilka osób, które pracowały z McCartneyem w czasach świetności tego dziwnego, naprędce utworzonego bandu czerpie aktualnie korzyści z opowiadania, jakim to straszliwie trudnym we współpracy, apodyktycznym i nieprzyjemnym człowiekiem był Paul. Pewnie jest w tym odrobina prawdy, bo jest on perfekcjonistą i swoimi wymaganiami faktycznie potrafi doprowadzić asystentów do szału. A pracować z Paulem po rozpadzie Beatlesów można już tylko i wyłącznie w charakterze „asystenta", nigdy na równych prawach lidera. Sam artysta twierdzi z kolei, że ma już dość dowodzenia zespołem. „Nie cierpię zespołów – to jak utknięcie w jakichś niezdrowych stosunkach".

Paul wciąż jest tym Beatlesem, który w mediach pojawia się najczęściej – dość regularnie udziela wywiadów, jest otwarty i szczery w rozmowach o sobie, swojej przeszłości, zmartwieniach czy radościach. Oczywiście niektórzy powątpiewają w jego motywacje i czepiają się go za bycie zbyt czarującym. Faktycznie może trochę aktorzy, grając rolę Paula McCartneya – wielkiej gwiazdy, uwielbianej przez każdą mamusię – i przez to wydaje się czasem nieco przemądrzały. Wierzę jednak, że jednocześnie mówi o sobie tylko prawdę.

W 1984 roku udzielił niezliczonych wywiadów, promując *Pozdrowienia dla Broad Street*. Wielu recenzentów skrytykowało tę produkcję, żeby nie

powiedzieć: zmieszało z błotem… Zawsze uważałem, że krytyka *Magical Mystery Tour* była niesprawiedliwa i to przede wszystkim Paulowi jako głównemu pomysłodawcy obrywało się najbardziej. W tej niewielkiej, telewizyjnej produkcji były przecież świetne piosenki. Wszyscy mieliśmy spore oczekiwania względem *Broad Street* – pełnometrażowego filmu z dobrą obsadą, ale scenariusz Paula był tak nużący, że niewiele dało się z nim zrobić. Może teraz, gdy już wyprodukował własny film, skoncentruje się na komponowaniu i śpiewaniu, a może nawet sporadycznym występowaniu w filmach, a do pomocy przy kwestiach typu scenariusz zatrudni ekspertów. Dziwi mnie fakt, że nigdy nie spróbował swoich sił w prawdziwym scenicznym musicalu – wystarczy pomyśleć, czego taki reżyser jak Trevor Nunn[215] mógłby dokonać z kompozycjami Paula!

Paul wciąż komponuje i śpiewa, nawet po rozpadzie Wings, i z pewnością jeszcze nie raz jego hity pojawią się na liście Top Twenty. Nie sposób wyobrazić sobie McCartneya robiącego cokolwiek innego. Jednocześnie jest też biznesmenem w pełnym tego słowa znaczeniu: prowadzi ulokowaną na londyńskim Soho Square firmę McCartney Promotions Limited, która sprawuje pieczę nad całą jego twórczością, kilkoma produkcjami filmowymi (na przykład *Annie* czy *Grease*) oraz licznymi nagraniami innych artystów. Paul przynajmniej zainwestował swoje pieniądze w muzykę, a nie, jak niektórzy, jakieś nudne udziały w nieruchomościach…

Wystarczająco często dawał już światu znać, że najważniejsza jest dla niego rodzina. Jego najstarsza córka, Heather, ma dziś dwadzieścia dwa lata i pracuje jako asystentka fotografa. Następna w kolejności jest urocza, ciemnowłosa siedemnastolatka Mary, potem rudowłosa, piętnastoletnia Stella i w końcu jasnowłosy, siedmioletni James. Każde z nich uczęszczało do szkół państwowych, co biorąc po uwagę presję, jakiej mogli doświadczyć, jest dość nietypowe. Wszyscy mieszkają, bawią się i spędzają

czas jak zwyczajna rodzina, bez obecności nianiek i służących. Z zewnątrz ich nowy dom w Sussex sprawia dość odpychające wrażenie, pewnie za sprawą reflektorów i wysokiego ogrodzenia. Nadmierna dbałość o bezpieczeństwo jest jednak zupełnie zrozumiała, jeśli ma się w pamięci tragiczną śmierć Johna. Okoliczni mieszkańcy, ze względu na liczne zabezpieczenia przed intruzami, mówią na ten dom Paulditz, choć w środku jest zaskakująco mały – jest tam zaledwie pięć sypialni, a cała rodzina wiedzie zwykłe, skromne i spokojne życie. Linda nigdy nie czuła się typową gospodynią, choć gotuje wyśmienicie. Do zajmowanej obecnie posiadłości przenieśli się ze znajdującego się nieopodal mniejszego domku, a oba budynki złączyli w jeden, by czuć się bezpieczniej. Londyński dom w St. John's Wood, darzony wyjątkowym sentymentem przez freaków z Apple i beatlesowskie szalone fanki z Abbey Road, również wciąż należy do rodziny. Oprócz tego mają farmę w Argyll w Szkocji. Paul jest niepalącym wegetarianinem, trochę biega, zajmuje się garncarstwem, uwielbia rysować i malować oraz oglądać telewizję. Wpływ nagminnego oglądania telewizji widoczny jest w *Broad Street* – album okraszony był komercyjnym blichtrem i dickensowskim klimatem rodem z nadawanego na BBC *The Children's Hour*.

Podobnie jak George, on także pełen jest rozmaitych sprzeczności. Jak na sprytnego i ponoć przebiegłego człowieka w dość idiotyczny sposób dał się aż czterokrotnie w przeciągu ostatnich dziesięciu lat złapać na posiadaniu miękkich narkotyków. Ładowanie się na japońskie lotnisko z wartą tysiąc funtów marihuaną to naprawdę niepojęta głupota. Dla odpowiedzialnego ojca bycie przyłapanym na braniu jakichkolwiek narkotyków, choćby tych miękkich, jest nie do pomyślenia.

Pozwolił, by jego włosy pokryły się siwizną, ale wystarczy spojrzeć, jak na widok fotografów natychmiast wciąga brzuch. Jego zainteresowanie własną osobą obejmuje nie tylko warunki fizyczne. Często narzeka na to, co się o nim pisze, a jednocześnie udziela wywiadów – po tylu latach powinien

już przewidywać konsekwencje swoich czynów. Denerwuje go to szaleństwo ze sprzedawaniem i kupowaniem pamiątek związanych z Beatlesami, a jednocześnie sam licytuje w domu aukcyjnym Sotheby's. (Zależało mu na pocztówce, którą wysłał kiedyś Johnowi, ale jego oferta została przebita). Tak naprawdę obaj z George'em przyczynili się do panującego obecnie szału na wszystko, co związane z Beatlesami – sami ujawnili przecież sporo smakowitych materiałów: zeszyt z rysunkami Paula i książkę George'a z oryginalnymi wersjami jego piosenek.

Ach, cóż za skomplikowany człowiek z tego Paula, jaki pełen zawiłości, samousprawiedliwień, obaw i przeróżnych skłonności! Jakim cudem w latach sześćdziesiątych wzięliśmy go za taką rozkoszną duszyczkę, a George'a zaakceptowaliśmy jako tego cichutkiego, małego chłoptasia? Dziś uważam, że obaj są przypadkami znacznie trudniejszymi do rozszyfrowania i zrozumienia niż John. Lennon przynajmniej był bezpośredni, mówił bez ogródek. Paul i George to bardziej złożone osobowości – obaj denerwują się, gdy obcy im ludzie utrzymują, że świetnie ich znają, a także kiedy przedstawia się ich w sposób absolutnie jednoznaczny.

Niedługo po śmierci Johna odbyłem z Paulem kilka osobistych rozmów. Tak wiele spraw go wtedy trapiło, zwłaszcza, co zrozumiałe, śmierć dawnego przyjaciela. Rozmowy te miały miejsce w maju 1981 roku, a ja wynotowałem sobie parę spraw, o których mi wtedy powiedział.

Śmierć Johna stała się wydarzeniem niemal kultowym – wiecznie pojawiały się jakieś nowe książki i temat ten wciąż znajdował się na ustach dziennikarzy. Można było odnieść wrażenie, że wychwalając Johna, wielu ludzi jednocześnie atakowało Paula. On sam czuł, że został już solidnie skrytykowany w książce Philipa Normana, mojego niegdysiejszego kolegi z „The Sunday Times". Poniekąd sam mu pomogłem, pozwalając przeglądać moje notatki i podając takie informacje, jak numer telefonu do Mimi. Gdy przyszedł do mnie, powiedział, że pisze taką ogólną książkę o latach sześćdziesiątych. Nie wiedziałem wtedy, że tak naprawdę ma to być

biografia Beatlesów. Żaden z nich nie udzielił mu ani jednego wywiadu do tej książki, której pełny tytuł brzmiał *Shout!: The True Story of The Beatles*[216].

3 maja 1981 roku zadzwonił do mnie Paul i przez ponad godzinę mówił o tym, jak strasznie się z tego powodu czuje. Biadolił już wcześniej mojej żonie, bo gdy zadzwonił pierwszy raz, byłem na spacerze na Hampstead Heath. Powiedział, że miał już serdecznie dość tych wszystkich ludzi drążących wciąż jego relację z Johnem i niebędących w stanie jej pojąć. Tylko on znał prawdę, która była całkowicie inna niż to, co słyszy się wokół. Krytykował także mnie za to, że po śmierci Johna pojawiłem się w jakichś wiadomościach w telewizji. Składając hołd Johnowi, powiedziałem wtedy, że to on był tym większym twardzielem z twórczym zacięciem, a Paul był łagodniejszy i milszy. Najbardziej dotknął go tego dnia wywiad z Yoko, która twierdziła, że Paul zranił Johna bardziej niż ktokolwiek inny. Dla Paula były to najokrutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszał. „Jakoś nikt nigdy nie rozwodzi się nad sytuacjami, kiedy to John zranił mnie – mówił Paul. – Na przykład wtedy, gdy nazwał moją muzykę muzak. Ludzie wciąż gadają tylko o tym, że go zraniłem. A gdzie przykłady, kiedy dokładnie to się stało? Tego to już nikt nie mówi. Wciąż tylko mnie obwiniają. Czy naprawdę mógłbym zranić Johna bardziej niż ktokolwiek inny? Bardziej niż ten kierowca, który potrącił Julię? Między nami toczyła się ciągła rywalizacja. Ja napisałem *Penny Lane*, to on napisał *Strawberry Fields*. Tak to właśnie działało, ale tylko jeśli chodzi o tworzenie piosenek. Nie rozumiem, dlaczego Yoko mówi takie rzeczy. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, wszystko było w porządku, powiedziała mi wtedy, że niedawno razem z Johnem płakali, słuchając jednej z moich płyt”.

Zasugerowałem, żeby do niej zadzwonił i dowiedział się, co tak naprawdę powiedziała. „Nie zadzwonię – odparł. – To zbyt banalne. To nie

jest dobry moment. Nie zadzwoniłbym do niej z tego powodu”. Spytałem, co jego zdaniem mogło tak dotknąć Johna.

„Przychodzi mi do głowy tylko jedna sytuacja, o której John wypowiedział się kiedyś publicznie. Razem z Ringo zrobiłem wtedy *Why Don’t We Do It In The Road*. To nie było celowe działanie. John i George musieli jeszcze załatwić kilka spraw, a ja i Ringo mieliśmy wolne, więc powiedziałem, żebyśmy nagrali ten numer. Słyszałem potem, jak John sobie go podśpiewywał, podobał mu się i chyba sam chciał go ze mną zrobić. To była piosenka bardzo w jego stylu i chyba dlatego tak mu się podobała. Pomysł na nią też był Johna, nie mój. Napisałem ją tylko dzięki niemu. Być może nieświadomie raniłem ludzi. Wtedy nie miałem pojęcia, że John będzie miał coś przeciwko. Na ślubie Ringo (w zeszłym tygodniu) Neil napomknął mi coś o tym, że Mimi jest przykro, że nie skontaktowałem się z nią po śmierci Johna. Nawet o tym nie pomyślałem. Przecież ja nie znam Mimi. Nie widziałem jej pewnie jakieś dwadzieścia lat, od czasów Menlove Avenue. Kiedy spotykałem się tam z Johnem, byłem jeszcze smarkaczem i nawet nigdy nie wszedłem do środka. Ale zadzwoniłem do niej, bo może faktycznie czuła się dotknięta, przeprosiłem za brak kontaktu, mówiąc, że nie miałem jej numeru telefonu. Okazała się świetną osobą i dobrze nam się rozmawiało. Mówiliśmy o książce Philipa Normana – jej też się nie podobała. Powiedziała, że powinienem wysłać list ze skargą, ale odparłem, że ciągle piszę takie listy, a potem wszystkie drę na kawałki. Twierdziła, że powinienem coś z tym zrobić, że takie rzeczy nie powinny mieć miejsca. W jednym z tych listów napisałem: „W wypadku trzęsienia ziemi powstaje mnóstwo różnych wersji zdarzenia przedstawianych przez świadków. I wszystkie są prawdziwe”. A jak można uzyskać pełną wersję zdarzenia od kogoś, kogo w ogóle tam nie było? Ale ten list też podarłem.

Tak naprawdę to nikt nie wie, jak bardzo pomogłem Johnowi. Wraz z Lindą pojechaliśmy do Kalifornii, żeby wybić mu z głowy ten jego tak zwany straceńczy weekend, w trakcie którego wciąż szprycował się

narkotykami. Powiedzieliśmy mu, żeby wracał do Yoko i niedługo potem tak właśnie zrobił. Pojechałem aż do L.A., żeby ze skurczybykiem pogadać. Sam nic mi od siebie nie dał, za to brał pełnymi garściami. Zawsze mnie o coś podejrzewał. Oskarżał o intrygi i o potajemne przejęcie Northern Songs. Faktycznie, rozważałem zainwestowanie pewnej puli pieniędzy, a Peter Brown zaproponował, że może właśnie Northern Songs byłoby dobrą inwestycją, więc kupiłem trochę udziałów, chyba z tysiąc. John się wściekł, od razu podejrzewał spisek. Zaraz sam też kupił część udziałów. Zawsze uważał, że coś knuję i mataczę. Taką mam reputację, czarującego, ale sprytnego gościa. Na ślubie Ringo powiedziałem Cilli (Black), że lubię Bobby'ego (jej męża). Tylko tyle: Bobby to fajny facet. Ale co tak naprawdę masz na myśli, Paul? Chyba nie to, prawda? Chcesz mi coś przez to powiedzieć? To nie była żadna gejowska uwaga, ale ona oczywiście nie mogła w to uwierzyć. Nikt nie może. Wszyscy sądzą, że ciągle coś kombinuję. W przeciwieństwie do Johna jestem czasem trochę wycofany. Patrzę perspektywicznie, jestem ostrożny. John z miejsca rzuciłby się na jakąś darmową gitarę, a ja zastanowiłbym się najpierw, o co chodzi temu gościowi i co to będzie oznaczało, jeśli przyjmę taki prezent. To ja zawsze kazałem Kleinowi odkładać kasę na podatki. Wcale nie podoba mi się bycie takim powściągliwym. Wolałbym być impulsywny jak John, on działał natychmiast. Był też zawsze najgłośniejszy, miał najdonośniejszy głos, był jak najgłośniejsza w chmarze wrona. Razem z George'em nazywaliśmy go w studiu kogucikiem. Nigdy nie zamierzałem go okantować. Nigdy. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jaką John potrafił być kombinatorską świnią. Po śmierci stał się Martinem Lutherem Lennonem, ale to też nie jest jego prawdziwe oblicze, nie był żadnym świętoszkiem. Tak naprawdę był pogromcą mitów.

Przez tych dziesięć wspólnych lat ciągle piętnował moje kompozycje. Miał jakąś paranoję na punkcie moich piosenek, potrafiliśmy się nieźle o nie pokłócić. Na początku John był lokalnym bohaterem, starszym

chłopakiem jeżdżącym po autodromie, kimś dla nas niesamowitym. Ja i George byliśmy młodsi i to naprawdę się liczyło. Istny kult nastoletniego bohatera. Często opowiadałem, że moje pierwsze skojarzenie z nim to ten jego przepity oddech, ale to była tylko taka opowiastka. Ja byłem tym uroczym chłoptasiem, ale to tylko jedna ósma prawdy. Tak mówiłem o nim, gdy po jakimś czasie ludzie zaczęli wypytywać mnie o moje pierwsze wspomnienie związane z Johnem. Moje pierwsze wrażenie – był świetny, świetny gość i piosenkarz. Moim faktycznie pierwszym wrażeniem było to, że składał słowa w nieprawdopodobny wręcz sposób. Śpiewał »chodź, pójdziemy razem do zakładu penitencjarnego«, nie znając żadnego z tych słów. Wszystko wymyślał na poczekaniu, dla mnie to było coś. Pod koniec zrobił się straszliwie zazdrosny. Wiesz, że nawet nie dawał mi dotknąć swojego dziecka? Czasem naprawdę już go nosiło z tej zazdrości. Chyba sam trochę jej od niego przejąłem…

To prawda, że niespecjalnie lubiłem Stu, ale nie było w tym nic osobistego. On po prostu nie umiał grać na basie, to wszystko. Moje zarzuty wobec niego były wyłącznie praktyczne i podyktowane ambicjami wobec całego zespołu. On sam wiedział, że nie potrafi grać. To ja mu powiedziałem, by stał tyłem do widowni, nie chciałem, żeby został naszym basistą. Stu sam od nas odszedł i został w Hamburgu. Wówczas John poprosił najpierw George’a, żeby grał na basie. Rozmawiałem z nim o tym niedawno. Nie zgodził się, więc John poprosił mnie. Ciężko mi to szło, nie taki miałem plan. Z Pete’em Bestem było tak samo. Nie zazdrościłem mu tego, że był przystojny – on po prostu nie umiał grać. Ringo był znacznie lepszy i to dlatego nie chcieliśmy grać z Pete’em.

Teoria z morderstwem Briana to jakiś obłęd, ale to całe zamieszanie z beatlesowskimi gadżetami to prawda. Zarobili na nas grube miliony, ale koniec końców nie był to wystarczający powód, by ciągać ich wszystkich po sądach. I tak nie odzyskalibyśmy kasy, a wlekłoby się to w nieskończoność. Znakomita większość i tak wyszłaby z tego bez szwanku.

To wszystko była wina Briana. On myślał tylko o kasie. Zawsze mówiłem, że forsa była dla niego najważniejsza.

Wiedzieliśmy, że był gejem, ale to nie miało żadnego znaczenia. Przez pewien czas nie zdawał sobie sprawy, że wiedzieliśmy, i postanowiliśmy nie zmieniać tego stanu rzeczy. Bo co by to dało? Nigdy z nim o tym nie rozmawialiśmy, to była jego prywatna sprawa, która dla nas nie miała żadnego znaczenia. Widząc jakiegoś gościa przebranego za kobietę, być może rzucaliśmy sobie porozumiewawcze spojrzenia za jego plecami i łapiąc jego wzrok, sprawdzaliśmy, czy się zarumieni, ale nigdy mu nic nie powiedzieliśmy. To wszystko było pełne serdeczności. A jeśli chodzi o ten rysunek z Brianem siedzącym w The Cavern pośród dzieciaków i śliniącym się, to to też nieprawda. Wiem, że istnieje coś takiego jak swoboda twórcza, ale są też pewne granice. Pozostałe rysunki mogły być prawdziwe, bo wykonane na podstawie zdjęcia, więc ten także zaczęto uważać za prawdziwy. To taka próba rozdmuchania faktu, że Brian był gejem. On nigdy nie przesiadywał w The Cavern, nie mieszał się z tłumem. Stał z tyłu, chciał pozostać niezauważony. Nie było żadnego ślinienia się.

Idealizowałem Johna. Był tym dużym chłopakiem, który coś osiągnął. A ja byłem mały. Gdy podrosłem i dojrzałem, zacząłem mu dorównywać. Osiągnąłem jego poziom. Pisałem piosenki tak jak on i czasami były one tak dobre, jak jego kawałki. Staliśmy się sobie równi i John zaczął czuć się niepewnie. Właściwie to zawsze tak się czuł. Był niepewny w relacjach z kobietami. Gdy poznał Yoko, poprosił mnie, żebym jej nie podrywał. Przeczytałem gdzieś, że twierdzi, iż pomagał przy *Eleanor Rigby*. No, jasne, jakieś pół linijki. Zapomniał też kompletnie o tym, że to ja napisałem muzykę do *In My Life*. Melodia była moja, ale może w tej kwestii po prostu się pomylił. Zapomniał.

Rozumiałem, co się z nim działo, gdy spotkał Yoko. Musiał przygotować sobie grunt, pozbywając się starych emocji. Przyznał się do wszystkich dawnych romansów. Ja i Linda też to zrobiliśmy, gdy się

poznaliśmy – przyznając się do swojej przeszłości, udowadniasz, jak bardzo kogoś kochasz. John chciał mi dopiec. Nigdy, przenigdy nie atakowałem Johna, ale nie mogę ukryć mojej złości za te wszystkie rzeczy, które kiedyś powiedział – o muzaku i o tym, że śpiewam jak Engelbert Humperdinck…

Gdybyśmy tak mieli podliczyć te wszystkie sytuacje, w których to on zranił mnie – ja zrobiłem samodzielnie tę jedną jedyną piosenkę, a zobacz, co on mówił o mnie…

Jak tak się nad tym zastanowić, to porównując te dwie sprawy, ja mu nic złego nie zrobiłem. A poza tym on postąpił dokładnie tak samo z *Revolution 9* – zawinął się i zrobił beze mnie, ale o tym to już jakoś nikt nie mówi. Teraz to John jest tym dobrym, a ja skończonym draniem. Powiedziałem, że przecież do śmierci Johna panowało przekonanie, że jest na odwrót, choć żadna z tych opinii nie jest do końca prawdziwa. Pocieszyłem go, że niedługo wszystko samo się ułoży.

„Tylko że ludzie drukują te fakty o mnie i Johnie, a to wcale nie są fakty – narzekał. – Ale jako takie pozostaną na piśmie, przejdą do historii, na zawsze. Ludzie będą w to wszystko wierzyć. Ja, Ringo i George obiecaliśmy sobie, że już teraz zawsze będziemy dla siebie mili. Kiedy się spotykamy, nigdy nie wspominam o Apple. Zdążyłem się już nauczyć, że każda taka wzmianka prowadzi do kłótni i docinków… Wszystko wskazuje na to, że nieświadomie zraniłem też George’a Martina, o czym nie wiedziałem, dopóki nie przeczytałem jego książki. Nie pozwoliłem mu zająć się *She’s Leaving Home*. Dzwoniłem do niego, ale był zbyt zajęty, nie mógł tego zrobić przez kolejne dwa dni czy dwa tygodnie albo jakoś tak, więc pomyślałem sobie: do diabła, jeśli on nie ma dla mnie czasu, to znajdę kogoś innego. To mnie wtedy zraniono i dlatego poszukałem kogoś innego. A teraz George twierdzi, że zrobiłem to celowo. No cóż, jeśli miałoby to być jedyne moje przewinienie wobec niego…

John i ja byliśmy prawdziwymi kumplami z pola bitwy. Taka była prawda. Teraz wiem, że w rzeczywistości żaden z nas nigdy nie wiedział,

co drzemie głęboko w duszy drugiego. Nie znaliśmy prawdy. Niektórzy ojcowie zaczynają pałać nienawiścią do własnych synów. Nigdy nic nie wiadomo.

Na ślubie Ringo poszedłem do toalety i spotkałem tam pana młodego – byliśmy tylko we dwóch i wtedy powiedział mi, że miał w życiu dwie takie sytuacje, kiedy go upokorzyłem. Potem dodał, że sam upokorzył się aż trzykrotnie. W tej właśnie chwili akurat coś wypluwałem i moja ślina poleciała na jego marynarkę. Powiedziałem, że teraz jesteśmy kwita, bo zrobiłem to właśnie po raz trzeci. Obróciłem to w żart, to była taka kumpelska gadka, żadna kłótnia. Nikt się nikogo nie czepiał. Po prostu powiedział to i rozmowa potoczyła się dalej, ale teraz wciąż zastanawiam się, o jakich innych dwóch sytuacjach mówił Ringo, w których, jak twierdzi, miałem go upokorzyć…

Pewnie wszystkim się to zdarza, ale nie opowiadamy publicznie o każdym incydencie. Kiedyś George opowiedział mi o momencie, w którym go zraniłem, ale wydaje mi się, że on zrobił mi większą krzywdę, kiedy powiedział, że już nigdy więcej ze mną nie zagra.

Było mi okropnie przykro, kiedy Beatlesi zarzucili mi próbę wciągnięcia w interesy Lee Eastmana tylko dlatego, że był moim teściem. Zdecydowali się na Kleina, zupełnie jakby podejrzewali, że chcę zaangażować członka rodziny z jakichś nieczystych pobudek. Znali mnie przecież od dwudziestu lat, a jednak tak właśnie pomyśleli. Nie mogłem w to uwierzyć. John powiedział, że nagranie *Magical Mystery Tour* służyło wyłącznie zaspokojeniu mojej ogromnej próżności. Boże! Przecież robiłem to z myślą o nich, żebyśmy nadal grali razem, tworzyli, zrobili coś nowego.

W kwestiach prawniczych byliśmy totalnymi frajerami. Wciąż mam kontakt z Lee Eastmanem, który zarobił fortunę. Dla mnie. Musiałem podać Beatlesów do sądu, żeby udowodnić swoje racje. Nie chciałem tego. Na trzy miesiące zaszyłem się w Szkocji, gdzie zadręczałem się myślami, i w końcu doszedłem do wniosku, że to jedyne słuszne wyjście. Pozwać ich do

sądu. To była straszna decyzja. Nadal mi się za to obrywa, to o mnie w książkach do historii pisze się jako o tym, który zniszczył Beatlesów.

To nieprawda, że nienawidziłem Johna. Kiedy na jego płycie pojawiły się te docinki na mój temat, ludzie mówili, że na pewno muszę go teraz nienawidzić, ale tak nie było. Pamiętam, jak kiedyś podczas jednej z naszych wielkich kłótni w studiu zdjął te swoje babcine okulary – wciąż mam ten obrazek przed oczami. Odłożył je i powiedział: „Paul, przecież to tylko ja". Potem założył okulary z powrotem i kłóciliśmy się dalej… Te słowa ciągle dzwonią mi w uszach. „Przecież to tylko ja". Stały się jakąś moją mantrą. Mógłbym opowiedzieć kilka pikantnych historii o Johnie, ale tego nie zrobię. Nie za życia Yoko i Cynthii. John z pewnością by tak zrobił, chwyciłby się tego pomysłu i natychmiast go zrealizował, opowiadając pierwszą lepszą anegdotę, która przyszłaby mu do głowy. Podziwialiśmy go za to. To była prawdziwa szczerość, ale mogła być bolesna. Potrafił być naprawdę podły. Ja jestem bardziej wyważony i nigdy nie powiedziałbym takich rzeczy, jakie mówił John.

Nikt poza mną nie zna prawdy i w tym tkwi cały problem. Któregoś dnia rozmawiałem z Neilem i wspominaliśmy sobie pewną zabawną historię. Pamiętaliśmy wszystko ze szczegółami, co mówiliśmy, w co byłem ubrany i że ktoś miał wachlarz. Byliśmy pewni tej historii w siedemdziesięciu pięciu procentach, nie zgadzała się jedna ważna kwestia: ja twierdziłem, że miało to miejsce na Piccadilly, a Neil, że na Savile Row. Nawet dziś pamiętam to doskonale, każdy szczegół. Neil też pamięta, tylko że według niego było to w zupełnie innym miejscu.

Zanim ukończyłem trzydzieści lat, sądziłem, że świat jest bardzo precyzyjnie poukładany, a teraz wiem, że życie to jeden wielki bałagan. John o tym wiedział, był świetnym pogromcą mitów. Teraz pewnie obalałby mit o własnej śmierci.

Nie pamiętam lat sześćdziesiątych – przepłynąłem przez nie niczym w jakimś narkotycznym śnie. Któregoś dnia, gdy byłem gdzieś z Lindą,

podeszła do mnie jakaś jasnowłosa piękność, zarzuciła mi ręce na szyję i zapytała: »Pamiętasz mnie, Paul?«. Ja na to: »Hmm, niech pomyślę«, ale miałem w głowie kompletną pustkę. »Ależ Paul, przecież kochaliśmy się w L.A…«. »Ach, tak – odparłem. – Doprawdy? Poznaj moją żonę, to jest Linda… A teraz przepraszam, musimy już iść…«. Takie sytuacje zdarzały się, nawet zanim się ożeniłem. To dość ryzykowne incydenty, ale Linda znosi to całkiem nieźle".

Zasugerowałem Paulowi, że może powinien zapisać albo zarejestrować na taśmie swoje wyobrażenia na temat relacji z Johnem, uwolnić się od nich raz na zawsze, a potem wcisnąć gdzieś głęboko do szuflady i zapomnieć.

„Może. Zrobiłem coś takiego po pobycie w więzieniu[217]. Opisałem swoje uczucia. Nie mogłem mieć tam ołówka i papieru, a tylko tego potrzebowałem, więc po powrocie do domu od razu wszystko opisałem. Teraz nie wiem, co z tym zrobić. Nie chcę, żeby po prostu ukazało się to drukiem. To jest tylko dla mnie, jakieś dwadzieścia tysięcy słów. Linda i jedna czy dwie inne osoby już to czytały i uważają, że jest niezłe. Mam drukarkę, na której wydrukowałem jedną kopię dla siebie, tylko jedną. Mam ją cały czas. Chciałem, żeby okładką była po prostu czysta, biała kartka, a w środku były tylko czarne słowa na białym papierze. Tanim, białym papierze. Chciałem, żeby to wyglądało jak zwykłe, kieszonkowe czytadło. Nic kosztownego. Mieści się w kieszeni, jakieś piętnaście centymetrów na dziesięć. Przez chwilę rozważałem wydanie tego w kilku kopiach i sprzedawanie z jakiegoś straganu – tak znienacka pojawić się z tym na ulicy i sprzedawać za marne grosze, ale nie chcę żadnego zamieszania. A potem dowiedziałem się, że jakiś muzyk zrobił już coś takiego, więc nie chciałem, żeby wyglądało to na zgapienie pomysłu. Dlatego wciąż mam tę jedyną kopię. Kiedyś dam ci do przeczytania i powiesz mi, co myślisz. A co do mnie i Johna, to może kiedyś opiszę naszą

relację. Pomagałem mu przy jego pierwszej książce. O tym jakoś nikt nigdy nie mówił. Na pewno nie John…”.

Jeśli chodzi o pozostałych aktorów tego beatlesowskiego dramatu, to ich najbliższy współpracownik, Neil Aspinall, dostał kierownicze stanowisko w Apple i wyprodukował film *Let It Be*. Nadal jest w firmie, choć obecnie ma znacznie mniej pracy. Neil ma żonę i piątkę dzieci. Z kolei Mal Evans, który w porównaniu z dość nerwowym Neilem zawsze zdawał się taki wyluzowany i pogodny, skończył tragicznie. Odszedłszy od żony i dzieci, przeprowadził się do Ameryki, a tam w 1976 roku padł ofiarą policyjnej strzelaniny w Los Angeles. Zmarli również ojciec Paula, Jim, ojciec Johna, Fred, oraz mama George’a, Louise. Chłopak, który poznał ze sobą Johna i Paula, Ivan Vaughan (Rozdział 2) jest schorowanym człowiekiem, borykającym się z chorobą Parkinsona. George Martin został nieźle prosperującym, niezależnym producentem muzycznym, ale nie odkrył dotąd nikogo dorównującego Beatlesom. Jego uwaga w zakończeniu książki, że jeśli będą próbować sami iść dalej przez życie, to może im się nie udać, okazała się w pewnym sensie prorocza.

Po rozstaniu z Johnem Cynthia wyszła za pewnego Włocha, ale zarówno to małżeństwo, jak i kolejne zakończyło się rozwodem. Obecnie w jej życiu jest nowy mężczyzna, z którym wiedzie spokojne życie w Kumbrii, niedaleko Penrith. Powróciła do swoich artystycznych zainteresowań, które od czasu poznania Johna zeszły na dalszy plan. Czterdziestopięcioletnia Cynthia rozważa różne opcje zawodowe – od świata mody po przeprowadzanie wywiadów telewizyjnych. Julian obecnie stawia pierwsze kroki w świecie muzyki popularnej.

Pete Best przezwyciężył depresję, znalazł porządną pracę i po szesnastu latach w liverpoolskim biurze pośrednictwa pracy zarabia teraz osiem tysięcy pięćset funtów rocznie[218]. W 1985 roku ukazała się w końcu jego książka, wspomnienia z czasów beatlesowskich, która zyskała przychylne

recenzje w „The Times”. Po dekadzie ciszy w temacie upamiętniania swoich najsławniejszych mieszkańców Liverpool zabrał się nagle do stawiania pomników oraz organizowania wystaw, wycieczek i innych atrakcji mających przyciągnąć turystów (Aneks A).

Wciąż toczy się jeden spór sądowy: batalia Paula o kontrolę nad Northern Songs. To dość nietypowe, że Beatlesi wciąż nie są właścicielami swojej twórczości. Gdy Paul pracował nad *Broad Street*, musiał nawet wystąpić o zgodę na wykorzystanie *Yesterday*. To bardzo długa historia (Rozdział 20 opisuje jej początki), sięgająca czasów Dicka Jamesa i jego firmy, która jako wydawca Beatlesów była właścicielem pięćdziesięciu procent wszystkich ich nagrań. Następnie prawo własności należało do firmy Lew Grade ATV, a jeszcze później do Australijczyka, Holmesa a’Courta. Paul próbował odkupić udziały za dziesięć milionów funtów, jednak bezskutecznie. W momencie powstawania tego tekstu podobno oferuje już kwotę dwudziestu milionów. Northern Songs jest właścicielem ponad dwustu utworów duetu Lennon-McCartney, co tak naprawdę stanowi cały dorobek Beatlesów. Jak widać jest to więc dość łakomy kąsek.

Jeśli kiedykolwiek poczujecie ukłucie zazdrości wobec milionerów, pomyślcie o tym, że ich również spotykają poniżenia, a ich plany też bywają udaremniane. Nawet fortuna nie zawsze może zagwarantować tego, czego pragniemy. Cała ta sytuacja doprowadziła przynajmniej do pojednania między Paulem i Yoko, którzy mieli za sobą kilka lat dość napiętych stosunków. W interesach Yoko jest tak dobra jak Paul, jeśli nie lepsza. Jestem przekonany, że razem dopną swego.

A co z twórczością Paula, George’a i Ringo? Wszystko wskazuje na to, że ich nowe zainteresowania – literatura, sztuka, teatr czy nawet muzyka pop – nie wydadzą raczej szczególnie imponujących owoców. Beatlesi od zawsze szczycili się swym brakiem wykształcenia, nieskazitelnością i nieuległością. Byli źródłem natchnienia dla samych siebie, cała czwórka inspirowała się wzajemnie, wydobywając z każdego to, co w nim drzemało.

Skoro teraz chcą funkcjonować jako niezależni artyści pracujący na własny rachunek, to skąd nadejdzie natchnienie? Kto będzie źródłem inspiracji? Teraz są już w dojrzałym wieku, dlaczego mielibyśmy tego oczekiwać? Ringo kończy w tym roku czterdzieści pięć lat, Paul czterdzieści trzy, a mały George czterdzieści dwa. Mają własne dzieci albo ogrody, którymi muszą się zajmować, i czasu na siedzenie z założonymi rękami pod dostatkiem. Inna rzecz, że Paul nie jest stworzony do odpoczywania, Linda wie o tym bardzo dobrze. To ją bardziej ciągnie na łono rodziny, jej mąż w głębi duszy nadal chciałby istnieć jako wielka gwiazda – śpiewa ze Steviem Wonderem czy Michaelem Jacksonem albo kimkolwiek innym, żeby udowodnić, że wciąż potrafi. Pomimo czerpania autentycznej radości z życia rodzinnego, sława wciąż działa na Paula jak magnes.

Kiedy myślę o ostatnich piętnastu latach, dziwię się, że nikt jeszcze nie zajął miejsca Beatlesów. Niektórzy pewnie się z tym nie zgodzą – siedem lat temu mówiło się, że większe niż oni pieniądze zarabiał zespół The Osmonds. Teraz to samo mówi się o Michaelu Jacksonie. I pewnie gdyby tak policzyć co do dolara, to faktycznie tak jest. A za pięć lat ktoś inny zadziwi świat swoim śpiewem, sprzeda więcej płyt i będzie się mówiło, że jest większy niż Beatlesi. Pojawią się też kompozytorzy piszący oryginalne melodie i zarabiający większą kasę – na dobrej drodze jest Andrew Lloyd Webber. Będą nowe gwiazdy muzyki pop, które wpasują się we współczesne czasy, wpłyną na miliony ludzi, wykreują nową modę i nowe zachowania. Pisząc te słowa, słyszę dobiegającą z radia w pokoju mojej młodszej córki piosenkę Boya George’a. Ten to z pewnością zrobił wrażenie na całym tak zwanym cywilizowanym świecie! Ale czy za piętnaście, czy nawet pięć lat wciąż będziemy nim równie zachwyceni?

Jeśli chodzi o jakiś jeden zespół, który w ciągu ostatnich piętnastu lat komponował, występował i miał podobny wpływ na swoje pokolenie, to ciężko jest wskazać kogokolwiek, kto mógłby równać się z Beatlesami. Oni potrafili robić te trzy rzeczy znakomicie i naprawdę trudno będzie ich

pobić. Ale nie chodzi tu przecież o jakieś zawody, udowadnianie, że jest się lepszym od innych. Oni tacy byli. Są. Cieszmy się z tego. Zapomnijmy o tych ponurych historiach z Apple, o żałosnych sprzeczkach i kłótniach, a przede wszystkim postarajmy się pogodzić ze straszliwą tragedią, jaką była śmierć Johna. On i pozostali Beatlesi zostawili nam wystarczająco dużo powodów do radości.

Niniejsza książka miała i ma na celu uwiecznić okres, gdy Beatlesi byli na szczycie. Ich własnymi słowami oraz słowami ludzi im towarzyszących miała opowiedzieć, jak tam dotarli. To, czego dokonali, było wyjątkowe – jakaś przedziwna alchemia sprawiła, że ich różnorodne talenty i osobowości przeniknęły się, nałożyły na siebie, dając w rezultacie mieszankę znacznie lepszą, silniejszą i oryginalniejszą niż to, czego dokonaliby, działając indywidualnie. Jestem im wdzięczny za to, co stworzyli jako Beatlesi podczas tej stosunkowo krótkiej wspólnej kariery. To właśnie ich twórczość zawsze mi o nich przypomina. Beatlesi już dawno umarli. Niech żyją Beatlesi.

HUNTER DAVIES

Londyn, 1985

Aneks A
Memento mori: 2009

Tak wiele osób, które pojawiły się w tej książce w 1968 roku, dziś już nie żyje albo, jak w przypadku Briana Epsteina, zmarło podczas jej pisania. Potem nadeszła śmierć Johna Lennona w roku 1980 i George'a Harrisona w 2001 roku. Kiedy teraz o tym myślę, aż trudno uwierzyć, że w chwili swojej śmierci w 1967 roku Brian Epstein miał zaledwie trzydzieści trzy lata. Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, nie miałem pojęcia, że był tak młody – zaledwie dwa lata starszy ode mnie. Wydawał się wtedy taki dojrzały, obyty, wytworny, nowoczesny i miał już na koncie prawdziwe sukcesy. Czułem się przy nim jak jakiś niechlujny, prowincjonalny prostak. Pamiętam pobyt w jego domu przy Chapel Street w Belgravii, gdzie pożerałem wzrokiem prace L.S. Lowry'ego – pierwsze oryginały, jakie kiedykolwiek widziałem. A potem ten jego dom w Sussex, który był jeszcze wspanialszy. Ani ja, ani Beatlesi nie wiedzieliśmy nic o jego życiu prywatnym ani dręczących go wewnętrznych rozterkach. (Ich koniec starałem się pokazać w Rozdziale 26).

Życie Johna, George'a, a także Briana zostało dobrze uwiecznione i zapamiętane. Wciąż będą się pojawiać nowe książki o nich, ale pomyślałem, że spróbuję ustalić kilka faktów i napisać dwa słowa o tych, których spotkałem na swojej drodze w czasie zbierania materiałów i pisania tej książki – są to osoby, które już niestety nie żyją.

NEIL ASPINALL (1942–2008)

Neil zmarł w marcu 2008 roku, mając sześćdziesiąt pięć lat. W powstałej w 1968 roku książce pojawia się głównie jako pierwszy *roadie* Beatlesów, a

także ich prawa ręka i niezastąpiony przyjaciel, który okazał się mieć spory wpływ na ich życie. Był jedną z dwóch istotnych w historii Beatlesów osób, które nigdy nie spisały swoich wspomnień z tamtego okresu. (Tą drugą osobą, która mogłaby opowiedzieć co nieco – choć byłby to zaledwie maleńki fragment z całej beatlesowskiej sagi – jest Jane Asher, narzeczona Paula McCartneya w okresie, gdy powstały jedne z jego najlepszych utworów. Jane konsekwentnie nie daje się namówić na żadne wynurzenia). Neil Aspinall był przy Beatlesach zawsze, od samego początku. Był przyjacielem i współpracownikiem, jedną z najbliższych osób. Został szefem Apple i dbał o interesy firmy[219]. Niezła posadka, jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie prawne zawirowania po rozpadzie zespołu i konflikty między Paulem i Yoko…

Neil urodził się w 1942 roku w Prestatyn. Chodził do tej samej szkoły co Paul, do równoległej klasy, i był o rok wyżej niż George. Jego pierwsze wspomnienia o George'u? Za jakąś komórką na rowery George poprosił, czy nie mógłby się sztachnąć jego fajką. W szkole średniej Neil zdał egzaminy aż z dziewięciu przedmiotów, a potem studiował rachunkowość. To dzięki przyjaźni z Pete'em Bestem, ówczesnym perkusistą Beatlesów, odnowił znajomość z Paulem i George'em. Neil mieszkał w domu Pete'a, którego matka prowadziła niewielki klub o nazwie Casbah, gdzie Beatlesi grywali jeszcze jako The Quarrymen. Neil rozpoczął współpracę z nimi w 1961 roku, podwożąc ich starą furgonetką na lokalne koncerty. Dostawali wtedy po pięć szylingów za występ, co dawało w sumie jednego funta za wieczór.

Jednym z dramatyczniejszych wydarzeń we wczesnej historii Beatlesów, znanym wszystkim wiernym fanom zespołu, było wyrzucenie Pete'a Besta i zatrudnienie na jego miejsce Ringo. Rzecz miała miejsce w 1962 roku, a na ulicach Merseyside pojawili się fani demonstrujący w obronie znacznie przystojniejszego Pete'a. Jak zostało wspomniane na

kartach tej książki, to wcale nie Beatlesi podjęli się tego niewdzięcznego zadania – poinformowanie Pete'a o swej decyzji zostawili Brianowi Epsteinowi. Podczas gdy Pete pracował potem jako krajacz chleba, Beatlesi stali się najpopularniejszym zespołem na świecie. Pewien fakt nie ujrzał wówczas światła dziennego: w momencie wyrzucenia Pete'a z zespołu jego przyjaciel Neil, będący jednocześnie przyjacielem Beatlesów, miał romans z matką Pete'a. Ich syn urodził się w tym samym roku, w którym wyrzucono Pete'a z zespołu. Dziewiętnastoletni wówczas Neil znalazł się nagle w okrutnie trudnej emocjonalnej pułapce – z jednej strony Pete zostawiony na lodzie przez jego nowych przyjaciół, z drugiej jego kochanka Mona, wściekła za sposób, w jaki potraktowano jej Pete'a. John opowiedział mi tę historyjkę z ironicznym uśmieszkiem jeszcze w 1967 roku, gdy pisałem tę książkę, ale dodał, by o tym nie wspominać. Tak więc związek Neila z Moną zupełnie się w niej nie pojawia, choć stanowił istotny element tego całego dramatu z Pete'em Bestem. Tak naprawdę wtedy tylko połowicznie uwierzyłem w tę opowieść Johna, podobnie jak nie byłem przekonany co do historii o jego przelotnej przygodzie erotycznej z Brianem Epsteinem. Ten dawny związek Neila z Moną stał się ostatnio powszechnie znanym faktem, a sam Neil nigdy nie zerwał kontaktów z ich synem, Roagiem, mimo że po jakimś czasie ożenił się i doczekał kolejnych dzieci.

Również w 1962 roku Neil porzucił studia i zaczął pełnoetatową pracę dla Beatlesów, co było dość odważnym posunięciem, zważywszy na to, że nikt nie wiedział wtedy, jakie będą losy zespołu. Gdy zaczęli wyjeżdżać w zagraniczne trasy, do ekipy dołączył jeszcze jeden techniczny – Mal Evans. Neil towarzyszył Beatlesom przez wszystkie lata największej popularności, uczestniczył w trasach koncertowych i koncertach. Obrywało mu się od nich, miał załatwiać niestworzone rzeczy i spełniać absurdalne zachcianki – na przykład wynająć samolot, gdy Paul i Linda postanowili nagle odwiedzić mnie w Portugalii. Był zdecydowanie kimś więcej niż tylko technicznym,

monterem i najbliższym współpracownikiem: był przyjacielem i powiernikiem, gdy zespół grzązł nagle w braku pomysłów, Neil wymyślał słowa do piosenek, a gdy chcieli wydostać się z jakiegoś prywatnego bagna, pomagał.

Jego wiedza z dziedziny rachunkowości okazała się bezcenna w prowadzeniu interesów Apple, bo żaden z Beatlesów nie miał przecież bladego pojęcia o finansach. Z biegiem lat to on zajmował się większością ich kwestii zawodowych, a także niektórymi artystycznymi. Niejednokrotnie musiał stawać naprzeciw wielkich, międzynarodowych korporacji, które z powodzeniem mogły pozwolić sobie na zatrudnianie najlepszych księgowych i prawników. Z większości tych batalii Neil wychodził zwycięsko, zarabiając dla zespołu kolejne miliony.

Beatlesi ufali mu bezgranicznie. Neil dobrze znał różne mroczne sekrety, lecz był lojalny i wierny, a przy tym kompletnie nie pociągały go uroki gwiazdorskiego życia. Doskonale znał wszystkie dziwactwa swoich przyjaciół i pracodawców, ich zachłanność i skłonność do popełniania głupstw. Łatwo przychodziło mu obgadywanie ich czy narzekanie na ich ostatnie występki. Niejednokrotnie miałem okazję spotykać się z nim na lunchu i często odnosiłem wrażenie, że wcale nie był fanem Beatlesów – po prostu został uwikłany w całe to związane z nimi zamieszanie. Jednocześnie pozostawał członkiem tej rodziny, częścią zespołu, dlatego z jednej strony narzekał sobie, jak to w rodzinie bywa, ale z drugiej nigdy nie zdradziłby jej tajemnic.

Neil otrzymywał oczywiście sowite wynagrodzenie, więc nigdy nie musiał uciekać się do wyjawiania sekretów. Kiedy próbowałem wydusić z niego jakieś opowieści zza kulis albo wspomnienia z sytuacji, w których brał udział, mówił mi zawsze, że nie pamięta. To samo powtarza Mick Jagger. W przypadku Neila było to faktycznie możliwe, bo zwyczajnie nie interesował się prywatnymi sprawami Beatlesów; nie rozumował zresztą w ten sposób. Miał ironiczne, surowe, dość obojętne i cyniczne podejście do

większości ludzi. Znacznie bardziej interesowały go fakty i cyfry niż czcza paplanina. Może więc nie byłby w stanie napisać książki z rewelacjami na temat zespołu? Pewne jest jedno: był przy nim zawsze, ale jednocześnie jakby obok. Beatlesi mieli naprawdę dużo szczęścia, mając kogoś takiego.

MAL EVANS (1935–1975)

Mal Evans dołączył do Beatlesów w 1963 roku jako asystent Neila, któremu pomagał z coraz większym nawałem pracy przy trasach koncertowych. (Trzeba było między innymi dźwigać coraz więcej coraz cięższego sprzętu). Mal jeździł też w światowe *tournée* Beatlesów. Po ukończeniu szkoły pracował na poczcie, potem jako bramkarz w The Cavern. Wraz z Aspinallem stanowili wyrazisty duet: Mal był wysoki – metr osiemdziesiąt pięć wzrostu – i przysadzisty, Neil zaś drobniejszy i szczupły. Neil zawsze był raczej typem wojownika, i to dość neurotycznego, a gdy otrzymywał zadania poniżej jego poziomu intelektualnego, bywał urażony. Natomiast Mal zawsze był zadowolonym, życzliwym olbrzymem, szczęśliwym, że może być blisko zespołu i dla niego pracować. Robił wszystko, o co go proszono – począwszy od trzymania fanek z daleka (choć od czasu do czasu oczywiście wpuszczał co ładniejsze) na przynoszeniu herbaty i bieganiu po papierosy skończywszy.

Do dziś pamiętam, jak któregoś wieczoru pojawił się w studiu przy Abbey Road z paczkami wciąż zapakowanych, nowiutkich skarpet i koszul[220]. Któryś z chłopaków poprosił go o nowe ubrania, a potem do życzenia dołączyli się pozostali i Mal praktycznie wykupił cały sklep, biorąc wszystko, co wpadło mu w ręce. Chłopcy praktycznie na niego wleźli, walcząc o najlepszą koszulę. Mal zawsze był też gotów zagrać na dodatkowych instrumentach – w *Dear Prudence* było to tamburyno, a w *Maxwell's Silver Hammer* kowadło. Miał też symboliczne rólki w niektórych filmach Beatlesów, jak choćby w *Help!*, gdzie widzimy go przelotnie jako pływaka długodystansowego. Beatlesi wypróbowywali też

na nim swoje nowe teksty – był dla nich uosobieniem przeciętnego słuchacza i chcieli poznać jego opinię: czy teksty w ogóle do niego trafiają i czy miałby jakieś sugestie. To prawdopodobnie właśnie Mal wymyślił nazwę *Sgt. Pepper*. Taki wkład w twórczość zespołu winien być rozpatrywany we właściwym kontekście. Ludzie tacy jak Pete Shotton utrzymują, że są autorami wielu słów czy fraz z utworów Beatlesów, ale należy pamiętać, że John i Paul, podobnie jak wielu innych twórców, pytali o opinię każdego, kto się nawinął. Często były to tylko próby tego, co sami zdążyli już wymyślić – część z tych pomysłów wykorzystano, a część odrzucono.

Malowi wciąż dokuczano, bo powszechnie wiadomo było, że jego prawdziwą miłością, największym ulubieńcem ze świata muzyki rozrywkowej wcale nie byli Beatlesi, a Elvis. Spotkanie z królem rock and rolla, możliwe dzięki bliskiej współpracy z Beatlesami, stało się jednym z najważniejszych momentów w życiu Mala. Miał pokaźną kolekcję nagrań i pamiątek związanych z Presleyem.

Gdy Beatlesi przestali grać, Mal przez jakiś czas pracował dla wytwórni Apple, produkował też trochę muzyki pod nazwą firmy, promując głównie zespół Badfinger. Następnie przeprowadził się do Ameryki, rozstając się z żoną i opuszczając dwójkę swoich dzieci. Wygląda na to, że szukał wówczas nowych wyzwań, bo w odróżnieniu od Neila nie udało mu się odnaleźć swojego miejsca w pracy za biurkiem. Podobno pracował nad spisaniem swoich wspomnień i był właścicielem całkiem pokaźnej kolekcji pamiątek beatlesowskich. W 1975 roku zginął w przedziwnej strzelaninie w Los Angeles. Wszystko wskazuje na to, że Mal zamknął się w jakimś pomieszczeniu z bronią i groził, że popełni samobójstwo. Najprawdopodobniej borykał się wtedy z depresją lub był pod wpływem narkotyków. Wezwano policję, padły strzały, Mal zginął na miejscu. W chwili śmierci miał czterdzieści lat, dokładnie tyle co John.

DEREK TAYLOR (1934–1997)

Derek był najzabawniejszą, najsympatyczniejszą, najlepiej wychowaną i pewnie najbardziej utalentowaną osobą ze ścisłego kręgu Beatlesów. Z Johnem, Paulem, George'em i Ringo łączyło go podobne poczucie humoru, prześmiewczy stosunek do rzeczywistości i równie niewybredne co u Johna podejście do języka. Derek urodził się w Liverpoolu, gdzie pracował w lokalnej gazecie, a w 1962 roku przeprowadził się do Manchesteru i otrzymał poważną, prestiżową posadę: dla „Daily Express", pisał o show-biznesie. Jednym z jego zadań było opisanie koncertu Beatlesów w Manchesterze w maju 1963 roku. Według Dereka był to zespół znakomity i niebanalny i od tej pory pisywał o nich regularnie. Przez chwilę podpisywał nawet teksty w „Daily Express", których prawdziwym autorem był ponoć George.

Brian poprosił Dereka, by spisał jego wspomnienia, które zostały wydane w 1964 roku pod tytułem *A Cellarful of Noise*. Derek został asystentem Briana i jeździł z Beatlesami po całym świecie. Stan ten trwał do momentu, gdy Derek i Brian posprzeczali się – poszło ponoć o to, że pewnego wieczoru po jakimś spotkaniu Derek odjechał luksusową limuzyną, która według Briana czekała na niego.

W latach 1965–1968 Derek mieszkał w Ameryce, gdzie pracował jako rzecznik prasowy wielu popularnych wykonawców[221]. To właśnie dlatego nie miałem z nim zbytniego kontaktu podczas pisania biografii – po prostu rzadko pojawiał się wtedy w Wielkiej Brytanii. Udało mi się go jednak poznać, zanim zaczął pracować dla Beatlesów. Było to w 1963 roku, gdy obaj gościliśmy na irlandzkim Festiwalu Ostryg w Galway. Organizatorom zależało wówczas na rozpropagowaniu uroczystości na terenie Wielkiej Brytanii. Derek reprezentował „Daily Express", a ja „The Sunday Times". Podobnie jak dziś, również wtedy młodzi dziennikarze bardzo chętnie zabierali się do opisywania wszelkich okazji, które miały szansę przerodzić się w darmową popijawę.

Derek był jednym z najdowcipniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, i wcale nie miał na to wpływu żaden guinness. Od tamtej pory byliśmy przyjaciółmi. Zrobił nam wtedy – mnie i mojej żonie – wredny kawał. Moja żona towarzyszyła mi na tym festiwalu i była właśnie w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem. Derek od razu się zorientował, choć był to dopiero trzeci miesiąc. Zaprosił nas wraz z innymi dziennikarzami do swojego pokoju na pożegnalne przyjęcie. Gdy przyszliśmy, jego samego tam nie było, ale zastaliśmy kartkę z wiadomością, byśmy czuli się jak w domu i do czasu jego powrotu zajęli się mini barkiem. Czekając, opróżniliśmy barek, ale Derek się nie pojawił. Okazało się, że nikomu nic nie mówiąc, wymeldował się z hotelu wczesnym rankiem, płacąc za dotychczasowy pobyt, a my mieliśmy uiścić bajońską dopłatę za wypity alkohol.

Gdy Beatlesi stworzyli Apple, Derek wrócił do Anglii wraz z żoną i dziećmi i został rzecznikiem prasowym zespołu. Czuł się w tej roli wyśmienicie: był zabawnym, nastawionym samokrytycznie i rozsądnym człowiekiem pośród obłędu i pozerstwa reżimu Apple. Odbierałem go kiedyś z Savile Row, bo byliśmy umówieni na lunch. W biurze oznajmił mi, że są jego urodziny i muszę spróbować jego specjalnego, urodzinowego tortu. Jakaś wytworna dziewczyna wniosła wciąż gorące ciasto imbirowe – najwyraźniej pieczone na miejscu. Derek ukroił mi kawałek. Było fenomenalne. Sięgnąłem więc po kolejny. Podczas lunchu omal nie wpadłem pod stół – początkowo ze śmiechu, a potem dlatego, że kręciło mi się w głowie. Nie miałem pojęcia, że w cieście był haszysz. Nie byłem przyzwyczajony do takich rzeczy i nigdy świadomie nie zażywałem narkotyków. Wiem, to dość żałosne wyznanie jak na kogoś, kto żył w latach sześćdziesiątych.

Derek ponownie wyjechał do Ameryki, a potem w latach dziewięćdziesiątych znów wrócił, by pracować dla Beatlesów, zwłaszcza przy wydaniu *Anthology*. Napisał trzy zbiory wspomnień związane z

Beatlesami i pomagał George'owi przy pisaniu jego książki *I Me Mine*. Derek powinien był napisać jeszcze więcej, bo miał świetne pióro, ale jakoś nigdy nie zabrał się za tę jedną, porządną książkę, o której często wspominał. Jego listy są natomiast wysoko cenione przez każdego z ich adresatów. Derek zdecydowanie bardziej interesował się sobą, życiem, rodziną i przyjaciółmi niż harówką przy pisaniu książek. Wraz z żoną, Joan, mieli szóstkę dzieci. We wrześniu 1997 roku, w wieku sześćdziesięciu trzech lat, zmarł na raka.

MIMI SMITH (1903–1992)

Ciotka Johna do końca życia mieszkała w swoim domu nad zatoką Poole na półwyspie Sandbanks. Order Imperium Brytyjskiego Johna, który w czasie mojej wizyty w jej domu miał swoje miejsce na odbiorniku telewizyjnym, został zwrócony Johnowi zgodnie z jego prośbą. John odesłał go do Pałacu Buckingham na znak protestu. Mimi oddała siostrzeńcowi także jego albumy z wycinankami i rysunki z dzieciństwa, które tak pieczołowicie przechowywała. Na trzy dni przed swoją śmiercią w 1980 roku, John zadzwonił do Mimi, mówiąc, że tęskni za domem i planuje przyjazd do Anglii. Mimi zmarła w grudniu 1992 roku, mając osiemdziesiąt dziewięć lat. Na jej pogrzebie pojawiła się Cynthia i Yoko.

FREDDIE LENNON (1912–1976)

Ojciec Johna, którego udało mi się spotkać na chwilę przed wydaniem tej książki (patrz: Przedmowa), ożenił się ze swoją nową dziewczyną, Pauline Jones. W momencie poznania Freddiego miała osiemnaście lat, a on sam pięćdziesiąt cztery. Ślub odbył się w Gretna Green[222], bo z jakiegoś powodu rodzina dziewczyny nie przepadała zbytnio za Freddiem… Para doczekała się dwóch synów: Davida i Robina, którzy nigdy nie mieli okazji poznać swojego przyrodniego brata. Freddie zmarł 1 kwietnia 1976 roku w Brighton. Cierpiał na raka żołądka. Podczas choroby otrzymał kwiaty od Johna nadesłane z Ameryki. Po śmierci ojca John zaproponował, że pokryje

koszty pogrzebu, ale Pauline nie wyraziła na to zgody. Kobieta wyszła ponownie za mąż.

Freddie był sympatycznym, zabawnym facetem, choć niekoniecznie niezawodnym mężem i ojcem. Był typem włóczęgi, który po porzuceniu pracy na morzu nigdy nie znalazł sobie porządnego zajęcia i imał się przeważnie zleceń w hotelowych kuchniach. Czy gdyby John nie został Beatlesem, to skończyłby podobnie? Twierdził kiedyś, że tak właśnie by było, choć biorąc pod uwagę jego pobyt na uczelni artystycznej – jakikolwiek by on nie był – pewnie lepiej poradziłby sobie w życiu. Albo i nie.

JIM McCARTNEY (1902–1976)

Ojciec Paula przeprowadził się z dużego domu w Wirral, gdzie miałem okazję go odwiedzić, do mniejszego, położonego nieopodal. Przez ostatnie lata życia cierpiał na poważny artretyzm. Zmarł w roku 1976, w wieku siedemdziesięciu czterech lat. Jim był prawdziwym dżentelmenem – zawsze elegancko ubranym, uroczym i uprzejmym. Na zawsze zapamiętam wieczór, który spędzałem w towarzystwie Jima i jego żony Angie. Właśnie wtedy dostali nagrany przez Paula utwór *When I'm Sixty-four* – puszczali go przez cały wieczór raz po raz.

LOUISE HARRISON (1911–1970)

Matka George'a była fanką Beatlesów – w odróżnieniu od Mimi zawsze okazywała wiele serca Beatlesom i ich muzyce. W okresie największej popularności zespołu miesięcznie odpowiadała nawet na dwa tysiące listów od fanów. Kiedy poznałem ją i jej męża Harolda w 1967 roku, mieszkali już w nowym, luksusowym domu niedaleko Warrington. Niestety, Louise zmarła zaledwie trzy lata później po przegranej walce z rakiem.

HAROLD HARRISON (1909–1978)

Po śmierci żony ojciec George'a nadal mieszkał w ich parterowym domu, ale znacznie więcej czasu spędzał w domu syna we Friar Park nieopodal

Henley. W 1974 roku pojechał z George’em w trasę koncertową, promującą jego album *Dark Horse*. Zmarł w 1978 roku na skutek rozedmy płuc.

ELSIE GRAVES (1914–1987)

Małżeństwo matki Ringo z jego ojcem, Ritchiem, rozpadło się, gdy Ringo miał jakieś trzy lata. Kobieta wyszła potem za mąż za Harry’ego Gravesa, z którym Ringo miał bardzo dobry kontakt. To właśnie ojczym kupił mu pierwszą perkusję. Elsie zmarła w 1987, a Harry w 1994 roku.

LINDA McCARTNEY (1941–1998)

Linda była pierwszą żoną Paula, którą poślubił w 1969 roku. Zmarła w 1998 roku po trzyletniej walce z rakiem piersi. Ich małżeństwo okazało się długie i szczęśliwe, pomimo wielu głosów powątpiewania. Jednym z niedowiarków byłem ja sam, kiedy poznałem ją w Algarve w 1968 roku. (Uważałem wówczas, że będzie kolejną przelotną przygodą). Linda dała się poznać jako odnosząca sukcesy na wielu polach, utalentowana kobieta – świetna fotografka, obrończyni praw zwierząt i bizneswoman.

Sukces zawodowy ich dwóch córek nie powinien być żadnym zaskoczeniem – Mary (ur. 1969) jest fotografką, a Stella (ur. 1971) znaną na całym świecie projektantką mody. Najmłodsze dziecko Paula i Lindy, syn James (ur. 1977), początkowo pozostawał w cieniu, by zaistnieć później jako muzyk – gitarzysta i perkusista. Przekonamy się, jak potoczy się jego kariera[223].

Pozostali synowie Beatlesów również próbowali pójść w ślady ojców i z pewnością każdy z nich odziedziczył zacięcie muzyczne. Nie bez znaczenia było też wychowanie w środowisku muzycznym. Przecież Jim, ojciec Paula, sam był świetnym muzykiem. Ojciec Johna, Freddie, miał o sobie podobne zdanie. Jak dotąd nikt z drugiego pokolenia Beatlesów nie wspiął się na takie wyżyny muzyczne, jak ich ojcowie. A z drugiej strony, jakże mieliby tego dokonać?

MAUREEN STARKEY (1946–1994)

Maureen od 1965 roku była żoną Ringo. Miała z nim trójkę dzieci. Ich małżeństwo przetrwało dziesięć lat. Pattie Boyd w swojej najnowszej książce opisuje przelotny romans Maureen z George'em, ale mimo to ona i Ringo przyjaźnili się ze sobą, a były mąż wspomagał ją finansowo. Podobno po rozwodzie Maureen była tak załamana, że wjechała rozpędzonym motocyklem w ceglany mur i musiała przejść operację twarzy – tak przynajmniej twierdzi Cynthia Lennon w swojej drugiej autobiografii. W 1989 roku Maureen wyszła za Isaaca Tigretta, z którym miała córkę. Zmarła na białaczkę w 1994 roku, w Seattle – w chwili śmierci towarzyszył jej Ringo. Miała czterdzieści osiem lat.

MONA BEST (1924–1988)

Matka Pete'a Besta, znana jako Mo. Odegrała ważną rolę we wczesnych latach twórczości zespołu The Quarrymen, który występował w mieszczącym się w podziemiu jej wielkiego, wiktoriańskiego domu w Hayman's Green klubie Casbah. Rodzinna legenda głosi, że pieniądze na ten dom zdobyła, stawiając na Lestera Piggotta, który wygrał wyścigi konne Epsom Derby na koniu Never Say Die. Mo urodziła się w Indiach w brytyjskiej rodzinie wojskowej, wyszła za brytyjskiego oficera, a potem wróciła do Anglii. Swojemu klubowi nadała nazwę Casbah i udekorowała go w nieco wschodnim stylu, by przypominał jej dzieciństwo.

Pamiętam ją jako niską, ciemnowłosą, ponętną, silną i zdeterminowaną kobietę. Bez trudu mogę sobie wyobrazić mieszkającego w jej domu nastoletniego Neila Aspinalla, który nie był w stanie oprzeć się jej urokowi, mimo dzielących ich dziewiętnastu lat. Mo nigdy nie wybaczyła Beatlesom i Brianowi Epsteinowi tego, że wyrzucili jej syna z zespołu, jednak gdy w 1967 roku John spytał, czy pożyczyłaby mu część indyjskich medali jej ojca, które chciał założyć przy tworzeniu okładki albumu *Sgt. Pepper*, zgodziła się bez wahania. Zmarła po długiej chorobie w 1988 roku. Jej dom ma obecnie status zabytku.

BOB WOOLER (1926–2002)

Bob przez siedem lat pracował jako konferansjer w klubie The Cavern i wielokrotnie miał okazję zapowiadać Beatlesów. To on pomógł zorganizować spotkanie Briana Epsteina z Beatlesami, a potem poślubił jego sekretarkę. Małżeństwo nie trwało jednak długo. Miał niezwykle teatralny jak na liverpoolskie warunki głos i był też bardzo czuły na punkcie swojego wieku – zawsze odejmował sobie jakieś dziesięć lat, by nie wydawać się o wiele starszym od członków zespołów, z którymi współpracował. Był człowiekiem życzliwym, przyjaznym i pomocnym. Nigdy nie wydał swoich wspomnień, choć zapowiadał wielokrotnie, że to zrobi. Zarobił sporo pieniędzy jako prelegent i przewodnik po miejscach związanych z Beatlesami. Zmarł w 2002 roku w wieku siedemdziesięciu sześciu lat.

CLIVE EPSTEIN (1936–1988)

Młodszy brat Briana, który po jego śmierci w 1967 roku przejął dowodzenie w NEMS Enterprises, stając się jednocześnie odpowiedzialnym za Beatlesów oraz wiele innych grup i projektów firmy. Wcześniej zajmował się rodzinną firmą meblarsko-elektryczną w Liverpoolu. Pracując w NEMS, musiał stawić czoła zawirowaniom w Apple oraz Allenowi Kleinowi. Zmarł w 1988 roku, mając pięćdziesiąt jeden lat – doznał zawału serca podczas wyjazdu na narty z żoną.

Urodzona w 1914 roku Queenie Epstein była matką Briana i Clive’a. To z nią musiałem załatwiać interesy po śmierci Briana, nawet kwestie prawne związane z kontraktem na moją książkę. Zawsze utrzymywała, że Brian nie był gejem i że w książce nie może być wzmianki o wydarzeniach opowiadających o młodości Briana w Liverpoolu. Zmarła w 1996 roku, przeżywszy obu swych synów.

DICK JAMES (1920–1986)

Wydawca muzyki Beatlesów w firmie Northern Songs, podobnie jak Brian Epstein i sami Beatlesi, był właścicielem udziałów firmy. Udziały Beatlesów były niewielkie i gdy firma została sprzedana przez Jamesa, a

potem sprzedana raz jeszcze, zespół nigdy nie odzyskał praw autorskich do własnej twórczości. Ich obecnymi właścicielami są firma Sony i Michael Jackson, co na zawsze pozostało wielką bolączką Paula.

Zanim został wydawcą muzycznym, Dick nagrał kilka kiepskich ballad. Przez całe dziesięciolecia panował w muzycznym świecie zwyczaj sprzedawania zapisu nutowego popularnych utworów, co dawało wydawcom sporą władzę. Początkowo Beatlesi nie mieli nic przeciwko temu, ale z czasem zmienili zdanie.

Chłopcy lubili Dicka i często stroili sobie z niego żarty, gdy pojawiał się przy Abbey Road. Gdy wchodził, odśpiewywali śmiesznymi głosami „Robin Hood, Robin Hood jedzie przez wąwozy” – był to fragment hitu śpiewanego przez Dicka w latach pięćdziesiątych. Dick zdawał sobie sprawę, że był wielkim szczęściarzem, któremu łatwo i szybko udało się zarobić wielką kasę dzięki pracy z Beatlesami. Kontynuował potem swoją dobrą passę i został multimilionerem dzięki reprezentowaniu muzyki Eltona Johna i wielu innych artystów. Zmarł w 1986 roku, mając sześćdziesiąt pięć lat.

MAHARISHI (1917–2008)

Maharishi Mahesh Yogi został duchowym przewodnikiem Beatlesów w latach 1967–1968 i przez pewien czas odgrywał znaczną rolę w ich twórczości. Jego przesłanie pokoju i miłości połączone z medytacją przemawiało również do wielu innych hipisowskich artystów lat sześćdziesiątych.

Podczas spotkania w Bangor w Walii w 1967 roku Maharishi dał każdemu z Beatlesów specjalne, tajemne słowo lub dźwięk, którego powtarzanie podczas medytacji miało zapewnić im spokój, a być może nawet wprowadzić w stan lewitacji – taka przynajmniej była wersja samych Beatlesów. Żaden z nich nigdy nie osiągnął takiego poziomu. Zespół udał się na trzymiesięczne nauki Maharishiego do Indii. Ringo wrócił jednak znacznie wcześniej, nie mogąc znieść tamtejszego jedzenia. W późniejszym

okresie John odrzucił nauki Maharishiego, uważając, że zbytnio koncentrował się on na pieniądzach i towarzyszących im co ładniejszych dziewczynach. Wyśmiewał go też w swojej piosence *Sexy Sadie*, pisząc: „Seksowny Sadie… wszystkich nabrałeś”.

Zamieszanie wywołane wokół Maharishiego w związku z kontaktami z Beatlesami nie zmalało jednak nawet wtedy, gdy sam zespół stracił już nim zainteresowanie. Gdy jego koneksje z Beatlesami dawno odeszły już w zapomnienie, Maharishi zdołał jeszcze przekazać światu swoją słynną filozofię oraz system medytacji transcendentalnej. Powstawały szkoły i uczelnie propagujące jego nauki, które zrzeszały tysiące zwolenników. George do końca życia podtrzymał swe zainteresowanie spirytualizmem hinduskim. Maharishi zmarł w 2008 roku, w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat[224].

THE QUARRYMEN (1956–1959)

Większość członków The Quarrymen wciąż żyje, ale w pewnym sensie umarli wraz z powstaniem Beatlesów. Podczas gdy Beatlesi zapisali się na kartach historii, pozostali członkowie The Quarrymen dawno usunęli się w cień i stali się zaledwie marnymi przypisami do opowieści o Beatlesach. Dlatego też nie pojawiają się również w tej historii, poza wczesnymi jej rozdziałami. Ale co tak naprawdę się z nimi działo? Co każdy z nich zrobił z własnym życiem?

Pete Shotton (ur. 1941) był najlepszym przyjacielem Johna z czasów szkoły średniej. Tak jak on popadał w tarapaty, nie uczył się i często wygłupiał. Mimo że nie przejawiał zainteresowań muzycznych, John namówił go do przyłączenia się do jego skifflowego zespołu The Quarrymen, powstałego gdzieś w roku 1956. Wręczył mu wtedy jakąś tarkę do prania, oby tylko pozostał w zespole i był jego przyjacielem.

Urodzony w 1941 roku Rod Davis, który także chodził do szkoły Quarry Bank, potrafił grać na jednym instrumencie – banjo. Był bystry. W

późniejszym okresie często reprezentował szkołę i jako jedyny z oryginalnego składu The Quarrymen poszedł na uniwersytet. Była to uczelnia Trinity College w Cambridge.

Eric Griffiths urodził się w 1940 roku, również uczęszczał do Quarry Bank i razem z Johnem uczył się gry na gitarze. A przynajmniej próbował się uczyć.

Len Garry (ur. 1942) chodził do tej samej szkoły co Paul (Liverpool Institute). W zespole pojawił się po tym, jak na próbę nie zgłosił się człowiek wybrany do gry na basetli ze skrzynki po herbacie.

Colin Hanton (ur. 1938) był nieco starszy od pozostałych muzyków i jako jedyny nie chodził nigdy do typowej, brytyjskiej szkoły średniej. Gdy powstawał zespół The Quarrymen, rozpoczął już praktykę jako tapicer, jednak został namówiony do przyłączenia się do zespołu, który rozpaczliwie potrzebował perkusisty.

Tych pięć osób plus John grało 6 lipca 1957 roku w parafii Woolton, gdzie John po raz pierwszy spotkał Paula. Paul przyłączył się do grupy, potem to samo zrobił George. W połowie tego samego roku, mając już na koncie pierwsze amatorskie nagranie, pięciu członków oryginalnego składu opuściło zespół i każdy z nich poszedł własną drogą. Pomimo kiepskich wyników w szkole i zachowania pozostawiającego wiele do życzenia, Pete Shotton został słuchaczem szkoły policyjnej i w odróżnieniu od pozostałych, nie zerwał kontaktu z Johnem. Gdy pisałem tę książkę w 1967 roku, spotkałem się z Pete’em, spisałem jego wspomnienia i byłem świadkiem sytuacji, gdy John załatwił mu dwadzieścia tysięcy funtów na zakup sklepu. Pete sprawiał wrażenie życzliwego, dowcipnego gościa, jednak wówczas nie udało mu się przebić – ani sklep, ani inna działalność pozornie nie przyniosła mu wielkiego sukcesu. Mówiłem Johnowi, że ta inwestycja to strata pieniędzy i że nigdy ich nie odzyska, ale on twierdził, że ma to gdzieś i gdyby to Pete był bogaty, to z pewnością postąpiłby tak samo wobec niego.

Do roku 1998 nie wiedziałem, jakie były dalsze losy Pete’a ani pozostałych członków The Quarrymen. Dopiero gdy, będąc na Kubie, pracowałem nad książką o Karaibach, trafiłem przypadkowo na trzecią międzynarodową konferencję o Beatlesach. Poprzednie dwie jakoś kompletnie mi umknęły. Na pokładzie samolotu spotkałem Pete’a Nasha, uznanego eksperta od Beatlesów, który namówił mnie na wygłoszenie referatu. Plakat głosił, że pojawią się także The Quarrymen. Pomyślałem, że to na pewno jakaś grupa kubańskich sobowtórów, ale nie – to była oryginalna piątka Quarrymen. Podobnie jak ja, panowie mieli już wtedy koło sześćdziesiątki.

W roku 1997, po czterdziestu latach bez jakiegokolwiek kontaktu ze sobą, członkowie The Quarrymen zostali zaproszeni na czterdzieste urodziny klubu The Cavern. Pojawili się wówczas na scenie, ale tylko markowali grę, bo uprzednio zdecydowanie za dużo wypili. Tak bardzo spodobał im się ten wspólny występ, że postanowili później wydobyć stare instrumenty i sprawdzić, czy nadal potrafią coś razem stworzyć. Unowocześnili zespół i od tamtej pory podróżują po świecie, grając na imprezach poświęconych Beatlesom. Robią to wszystko niejako na pół etatu, bo nadal prowadzą normalne życie prywatne i mają swoje stałe zajęcia. Każdy z nich założył własną rodzinę.

Ku mojemu zdziwieniu Pete został multimilionerem, zarabiając duże pieniądze na pierwszym sklepie, swoim małym supermarkecie, i oddał Johnowi pożyczone pieniądze. Następnie otworzył sieć restauracji serwujących wołowinę – Fatty Arbuckle – którą ostatnio sprzedał z niezłym zyskiem. Teraz mieszka głównie w Dublinie i inwestuje w nieruchomości, podróżuje po świecie i korzysta z życia. Długo utrzymywał kontakt z Johnem, nawet przez chwilę, pod koniec lat sześćdziesiątych, pełnił funkcję jego asystenta (było to jeszcze zanim Lennon poznał Yoko). Następnie pracował w Apple. Gdy John przeprowadził się do Stanów, Pete ponownie zajął się swoimi interesami.

Tymczasem Rod ukończył Cambridge i przez jakiś czas żył z zasiłku, by potem tłuc się trochę po kraju i wreszcie zostać wykładowcą turystyki. Po odejściu ze szkoły Eric pracował przez osiem lat jako oficer floty handlowej, a potem imał się przeróżnych zajęć, zanim objął stanowisko w administracji państwowej. Jeszcze później został szefem działu planowania i produkcji w szkockiej służbie więziennej w Edynburgu, by w końcu otworzyć małą sieć pralni chemicznych. Len wyemigrował do Nowej Zelandii, a potem wrócił do Liverpoolu, gdzie pracował w opiece społecznej. Perkusista Colin nigdy nie wyjechał z rodzinnego miasta i nadal pracował jako tapicer.

To, czego dowiedziałem się na Kubie, a także historie Pete'a o Johnie (począwszy od momentu, gdy skończył sześć lat do końca jego życia), wydało mi się tak fascynujące, że napisałem książkę o przeszłości i teraźniejszości The Quarrymen, która ukazała się w 2001 roku.

Eric Griffiths zmarł w 2005 roku w Edynburgu, pozostawiając żonę Reldę i trzech synów. Pete Shotton wycofał się z grania w obecnym składzie The Quarrymen. Po raz ostatni widziałem go w 2007 roku, gdy odwiedził mnie w Londynie. Większość czasu spędzał wtedy na Cyprze i utrzymywał, że znów kontaktuje się z Johnem – za pośrednictwem amerykańskiego medium. To niepodobne do Pete'a, który zawsze był sceptykiem. Teraz jednak zarzekał się, że John jest z nim w kontakcie, opowiada mu o starych dziejach i nawet wspólnie tworzą muzykę.

W 2009 roku pozostała trójka nadal wykonywała oryginalne skifflowe numery The Quarrymen, grając na całym świecie podczas imprez poświęconych Beatlesom[225]. Wydali też kilka nieźle sprzedających się płyt. Do zespołu dołączył John Duff Lowe, który we wczesnym składzie The Quarrymen grał na pianinie i pojawia się na pierwszym amatorskim nagraniu zespołu. Zanim los ponownie połączył go z grupą, Duff – jak zwykło się na niego mówić – osiedlił się w Bristolu, gdzie pracował jako

doradca finansowy. Oby The Quarrymen grali ze sobą jeszcze parę ładnych lat – wreszcie im się udało, i to po czterdziestu latach przerwy. Jeżdżą teraz na międzynarodowe trasy koncertowe i nagrywają płyty – zupełnie jak Beatlesi. Mają nawet swoje *groupies*. „Sęk w tym – jak powiedział mi Pete na Kubie – że one wszystkie mają koło sześćdziesiątki, ale z drugiej strony w naszym wieku już nie ma co grymasić…”.

Aneks B
Dyskografia oryginalnych nagrań Beatlesów

Autorami wszystkich kompozycji jest duet Lennon i McCartney, o ile nie zaznaczono inaczej.

Niemcy rok 1961

Jako zespół wykonujący podkład dla Tony'ego Sheridana Beatlesi nagrali osiem utworów, z czego tylko jeden stanowił w całości ich kompozycję – był to instrumentalny kawałek zatytułowany *Cry For A Shadow* napisany przez Lennona i Harrisona. W innym, *Ain't She Sweet*, głównym wokalistą był John Lennon, a w pozostałych sześciu Beatlesi wykonywali podkład. Mowa o *My Bonnie*, *The Saints*, *Sweet Georgia Brown*, *Take Out Some Insurance On Me*, *Baby*, *Why* oraz *Nobody's Child*.

Single Beatlesów wydane w Parlophone Records w Anglii

1962 październik *Love Me Do / P.S. I Love You*
1963 styczeń *Please Please Me / Ask Me Why*
kwiecień *From Me To You / Thank You Girl*
sierpień *She Loves You / I'll Get You*
listopad *I Want To Hold Your Hand / This Boy*
1964 marzec *Can't Buy Me Love / You Can't Do That*
lipiec *A Hard Day's Night / Things We Said Today*
listopad *I Feel Fine / She's A Woman*
1965 kwiecień *Ticket To Ride / Yes It Is*
lipiec *Help! / I'm Down*
grudzień *Day Tripper / We Can Work It Out*
1966 czerwiec *Paperback Writer / Rain*
sierpień *Yellow Submarine / Eleanor Rigby*
1967 styczeń *Penny Lane / Strawberry Fields Forever*
lipiec *All You Need Is Love / Baby / You're a Rich Man*
listopad *Hello, Goodbye / I Am The Walrus*
1968 marzec *Lady Madonna / The Inner Light* (Harrison)

Single wydane przez Apple Records

1968 sierpień *Hey Jude / Revolution*

1969 kwiecień *Get Back / Don't Let Me Down*
maj *The Ballad of John and Yoko / Old Brown Shoe* (Harrison)
październik *Something* (Harrison) / *Come Together*
1970 marzec *Let It Be / You Know My Name*

Płyty długogrające wydane przez Parlophone Records w Anglii

1963 maj *PLEASE PLEASE ME*
I Saw Her Standing There; *Misery*; *Ask Me Why*;
Please Please Me; *Love Me Do*; *P.S. I Love You*;
Do You Want to Know A Secret; *There's A Place*
Utwory nieskomponowane przez Beatlesów:
Anna; *Chains*; *Boys*; *Baby It's You*;
A Taste of Honey; *Twist and Shout*
grudzień *WITH THE BEATLES*
It Won't Be Long; *All I've Got To Do*; *All My Loving*;
Don't Bother Me (Harrison); *Little Child*;
Hold Me Tight; *I Wanna Be Your Man*
Not A Second Time
Utwory nieskomponowane przez Beatlesów:
Till There Was You; *Please Mister Postman*;
Roll Over Beethoven; *You Really Got A Hold On Me*;
Devil In Her Heart; *Money*
1964 lipiec *A HARD DAY'S NIGHT*
A Hard Day's Night; *I Should Have Known Better*;
If I Fell; *I'm Happy Just To Dance With You*;
And I Love Her; *Tell Me Why*; *Can't Buy Me Love*;
Any Time At All I'll Cry Instead;
Things We Said Today; *When I Get Home*;
You Can't Do That; *I'll Be Back*
grudzień *BEATLES FOR SALE*
No Reply; *I'm A Loser*; *Baby's In Black*;
I'll Follow The Sun; *Eight Days A Week*;
Every Little Thing; *I Don't Want To Spoil The Party*;
What You're Doing
Utwory nieskomponowane przez Beatlesów:
Rock And Roll Music; *Mr Moonlight*; *Kansas City*;
Words Of Love; *Honey Don't*;
Everybody's Trying To Be My Baby
1965 sierpień *HELP!*

Help!; *The Night Before*;
You've Got To Hide Your Love Away;
I Need You (Harrison); *Another Girl*;
You're Going To Lose That Girl; *Ticket To Ride*;
It's Only Love; *You Like Me Too Much* (Harrison);
Tell Me What You See; *I've Just Seen A Face*;
Yesterday
Utwory nieskomponowane przez Beatlesów:
Act Naturally; *Dizzy Miss Lizzy*
grudzień *RUBBER SOUL*
Drive My Car; *Norwegian Wood*; *You Won't See Me*;
Nowhere Man; *Think For Yourself* (Harrison);
The Word; *Michelle*;
What Goes On (Lennon, McCartney i Starkey);
Girl; *I'm Looking Through You*; *In My Life*; *Wait*;
If I Needed Someone (Harrison); *Run For Your Life*
1966 wrzesień *REVOLVER*
Taxman (Harrison); *Eleanor Rigby*; *I'm Only Sleeping*;
Love You To (Harrison); *Here, There And Everywhere*;
Yellow Submarine; *She Said She Said*;
Good Day Sunshine; *And Your Bird Can Sing*;
For No One; *Dr Robert*; *I Want To Tell You* (Harrison);
Got To Get You Into My Life; *Tomorrow Never Knows*
1967 czerwiec *SGT. PEPPER'S LONELY HEARTS CLUB BAND*
Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band;
With A Little Help From My Friends;
Lucy In The Sky With Diamonds; *Getting Better*;
Fixing A Hole; *She's Leaving Home*;
Being For The Benefit Of Mr Kite;
Within You, Without You (Harrison);
When I'm Sixty-four; *Lovely Rita*
Good Morning, Good Morning; *A Day In The Life*

Płyty długogrające wydane przez Apple Records

1968 listopad *THE BEATLES (DOUBLE ALBUM)*
Back In The USSR; *Dear Prudence*; *Glass Onion*;
Ob-la-di Ob-la-da; *Wild Honey Pie*;
The Continuing Story of Bungalow Bill;
While My Guitar Gently Weeps (Harrison);

Happiness Is A Warm Gun; *Martha My Dear*;
I'm So Tired; *Blackbird*; *Piggies*; *Rocky Raccoon*;
Don't Pass Me By;
Why Don't We Do It In The Road; *I Will*; *Julia*;
Birthday; *Yer Blues*; *Mother Nature's Son*;
Everybody's Got Something To Hide Except;
Me And My Monkey; *Sexy Sadie*; *Helter Skelter*;
Long Long Long; *Revolution 1*; *Honey Pie*;
Savoy Truffle; *Cry Baby Cry*; *Revolution 9*;
Good Night

1969 styczeń *YELLOW SUBMARINE*

Yellow Submarine; *Only A Northern Song*;
All Together Now; *Hey Bulldog*; *It's All Too Much*;
All You Need Is Love; *Pepperland*; *Sea Of Time*;
Sea Of Holes; *Sea Of Monsters*;
March Of The Meanies; *Pepperland Laid Waste*;
Yellow Submarine In Pepperland

październik *ABBEY ROAD*

Come Together; *Something* (Harrison);
Maxwell's Silver Hammer; *Oh! Darling*;
Octopus's Garden; *I Want You (She's So Heavy)*;
Here Comes the Sun (Harrison); *Because*;
You Never Give Me Your Money;
Sun King; *Mean Mr Mustard*; *Polythene Pam*;
She Came in Through the Bathroom Window;
Golden Slumbers; *Carry That Weight*; *The End*

1970 maj *LET IT BE*

Two of Us; *Dig a Pony*; *Across the Universe*;
I Me Mine (Harrison);
Dig It (Lennon, McCartney, Harrison, Starkey);
Let It Be (wersja druga);
Maggie Mae (aranżacja Lennon, McCartney, Harrison, Starkey);
I've Got a Feeling; *One After 909*;
The Long and Winding Road;
For You Blue (Harrison); *Get Back* (wersja druga)

Minialbumy

1967 grudzień *MAGICAL MYSTERY TOUR* (dwa minialbumy)

Magical Mystery Tour; *Your Mother Should Know*;

I Am The Walrus; *The Fool On The Hill*;
Flying (Lennon, McCartney, Harrison, Starkey);
Blue Jay Way (Harrison)

UWAGA: Pojawiło się jeszcze dwanaście innych minialbumów, ale tylko na jednym z nich znalazła się piosenka, która nie ukazała się wcześniej na żadnym longplayu ani singlu (mowa o *I Call Your Name* na minialbumie *Long Tall Sally*).

Utwory Lennona i McCartneya nagrane przez innych artystów

Do kwietnia 1968 roku pojawiło się ponad tysiąc nagrań różnych utworów Lennona i McCartneya w wykonaniu innych piosenkarzy, zespołów czy orkiestr. Najpopularniejszym z nich było *Yesterday*, z którym zmierzyło się aż sto dziewiętnaścioro artystów od Pata Boone'a, Johnny'ego Mathisa i Connie Francis, po Kennetha McKellara, Big Ben Banjo Band i zespół Gwardii Irlandzkiej.

Dziesięć utworów Beatlesów najpopularniejszych wśród innych artystów

(Numer oznacza liczbę różnych artystów wykonujących dany utwór)

Yesterday 119
Michelle 80
A Hard Day's Night 57
Can't Buy Me Love 52
I Want To Hold Your Hand 46
All My Loving 43
And I Love Her 42
She Loves You 39
Help 32
Please Please Me 28

Dodatek
Na dachu Apple Records

Hunter Davies mieszka w północnej części Londynu, niedaleko Camden Town. Jego klasyczny, angielski, zadziwiająco skromny domek mieści się przy cichej, niepozornej uliczce podobnej do tysiąca innych w mieście. Drzwi otwiera mi żona autora, Margaret Forster. Jest znacznie bardziej znana od męża i posiada większy dorobek. W przeszłości została uhonorowana wieloma nagrodami, między innymi za znakomitą biografię Elizabeth Barrett Browning. Szalenie dystyngowana i sympatyczna starsza pani proponuje herbatę i wycofuje się do swojej części domu, pozostawiając mnie w gabinecie męża, pełnym, podobnie jak klatka schodowa, pamiątek po zespole, dzięki któremu stał się sławny. Kolekcja jest bogata i pełna oryginalnych zdjęć z lat sześćdziesiątych, ale dla znawcy tematu mniej imponująca, niż można się spodziewać. Sam Davies co chwilę podkreśla, że nigdy nie czuł się ekspertem w sprawach związanych z Beatlesami i od zawsze prosił takowych o merytoryczne poprawki do swego wielokrotnie wznawianego dzieła. Dzięki niemu i z jego powodu był świadkiem powstawania piosenek duetu Lennon – McCartney, a potem ich nagrywania w studiu przy Abbey Road. Pracował nad książką w najlepszym okresie działalności The Beatles – między innymi podczas produkcji albumu *Sgt. Pepper*.

Hunter Davies do dziś znajduje w swym domu bezcenne skrawki papieru z rękopisami znanych na całym świecie piosenek, które niegdyś podniósł z podłogi studia, a których reprodukcje ozdabiają kolejne wydania autoryzowanej biografii zespołu. Od jakiegoś czasu zastanawia się nad wydaniem osobnej antologii. Jest jedną z niewielu znanych mi osób

pozostających w równie zażyłych stosunkach z Paulem McCartenyem i Yoko Ono.

Pierwsze, twardookładkowe wydanie książki zatytułowanej po prostu *The Beatles* z roku 1968 było objawieniem, mimo narzuconych autorowi pewnych ograniczeń przez nieżyjącego w momencie jej opublikowania menedżera grupy Briana Epsteina. Materiały pochodzące z pierwszej ręki – z rozmów autora z czwórką bohaterów, których zaufanie dość szybko zdobył, a także ich rodzinami oraz przyjaciółmi – ukazały będących u szczytu sławy Beatlesów w zupełnie nowy sposób. Oryginalną obwolutę zaprojektował najbardziej rozchwytywany artysta Swingującego Londynu Alan Aldridge, późniejszy autor słynnej dwutomowej antologii piosenek zespołu, zilustrowanej przez światową czołówkę grafików. Czeskojęzyczna wersja tego wydawnictwa była sprzedawana w polskich księgarniach jeszcze w latach sześćdziesiątych i wzbudzała ogromną sensację. Dobiegający osiemdziesiątki Davies cieszy się znakomitą formą – wciąż jest bardzo przystojny, jak w roku 1966, kiedy Anglia była równocześnie królestwem muzyki pop i futbolu. Piłka nożna to druga, a tak naprawdę pierwsza jego pasja, którą realizuje nie tylko jako fan między innymi Tottenham Hotspur, ale i jako ghostwriter autobiografii angielskich tytanów tego sportu – Paula Gascoigne’a, Wayne’a Rooneya i Dwighta Yorke’a. Jego słynne cotygodniowe felietony piłkarskie w „New Statesmanie” są już klasyką gatunku. Cierpliwy rozmówca, która wraz żoną wrócił właśnie ze swej wiejskiej posiadłości, gdzie najczęściej pisze i najchętniej spędza lato, zaprasza mnie na koniec rozmowy na niezwykłą wycieczkę. Udajemy się na dach budynku przy Savile Row 3, gdzie mieściły się biura należącego do Beatlesów koncernu Apple oraz studio nagraniowe. Na tym właśnie dachu po raz ostatni wystąpili publicznie 30 stycznia 1969 roku, dając kilkudziesięciominutowy koncert w porze lunchu dla niewielkiej grupy przyjaciół zgromadzonych wokół i setek słuchaczy na ulicach, skutecznie blokujących ruch w samym centrum Londynu. Występ ten, sfilmowany

przez ekipę Michaela Lindsaya Hogga, stał się później finałem oscarowego filmu *Let It Be*. Nasza wycieczka to ostatnia możliwość zobaczenia legendarnych wnętrz Apple, kiedyś pomalowanych wyłącznie na biało i wyłożonych grubymi zielonymi dywanami. Nowym właścicielem budynku jest amerykański koncern odzieżowy, który ma zamiar otworzyć tu swój najważniejszy sklep. Hunter Davies znakomicie orientuje się w rozkładzie pomieszczeń – bywał tu przecież wielokrotnie – i pokazuje mi kolejne pokoje, opowiadając o ich przeznaczeniu w czasach świetności The Beatles. Wspólne zdjęcie na słynnym dachu to pewnie ostatnia okazja na taką pamiątkę.

Piotr Metz

Londyn, czerwiec 2012

Zdjęcia oraz podziękowania

Autor kieruje swe podziękowania do Paula, Ringo, Yoko Ono, Olivii Harrison oraz Apple za umożliwienie dalszego korzystania z ich materiałów objętych prawami autorskimi.

Wydawca dziękuje także innym osobom i agencjom za możliwość użycia ich fotografii. Dołożono wszelkich starań, by dokładnie ustalić właścicieli wszystkich zdjęć, a w razie wszelkich ewentualnych niedopatrzeń spieszymy z przeprosinami i będziemy wdzięczni za uwagi, które zostaną uwzględnione w kolejnych wydaniach niniejszej pozycji. Jeżeli nie podano inaczej, zdjęcia pochodzą z kolekcji Huntera Daviesa.

Wkładka 1

Stanley Parkes (str. 2, u góry), Sean Mahoney (Beat publications) (str. 9 – oba), United Press (str. 12, u góry)

Wkładka 2

JL Davis (str. 1), Peter Bruchmann (str. 2, u dołu), Yoko Ono (str. 4, u dołu), „Cumbrian Newspapers Limited” (str. 8), Ringo Starr (strony 10 i 11), John Lennon (str. 12), „Cheshire Observer” (str. 14) – Mark Lewisohn Collection, Paul McCartney (str. 16, u dołu).

1 Nawiązanie do pierwszego wersu piosenki *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band: „It was twenty years ago today"* – dokładnie dwadzieścia lat temu – przyp. tłum.

2 National Trust – Narodowy Fundusz na Rzecz Renowacji Zabytków. Brytyjska organizacja zajmująca się ochroną zabytków oraz przyrody – przyp. tłum.

3 Mowa o firmie Apple Corps Ltd, założonej przez członków zespołu w Londynie. Zręby organizacji Apple pojawiły się już w roku 1967. Londyńskie biuro otwarto jesienią tego roku, a nazwa pojawia się na okładce albumu *Sgt. Pepper* – przyp. tłum.

4 Niech będzie, co ma być – przyp. tłum.

5 Kolejno pojawiające się tytuły utworów: *Magical Mystery Tour*, *The Word*, *Come Together*, *Day in the Life*, *I Feel Fine*, *Money*, *Act Naturally*, *The Fool on the Hill*, *When I'm Sixty Four*, *I Should Have Known Better* – przyp. tłum.

6 Seria książek autorstwa Bena Schotta, zawierających przeróżne *trivia* na temat kultury brytyjskiej – przyp. tłum.

7 Dosłownie: Wyobraźcie to sobie, czyli dzieciństwo z moim bratem Johnem Lennonem – przyp. tłum.

8 Słowo powstałe z dwóch wyrazów – Oksford i Cambridge. Popularne w Wielkiej Brytanii wspólne określenie tych dwóch środowisk akademickich – przyp. red.

9 Termin, który dosłownie można przetłumaczyć jako „szalony / odjechany Londyn", miał oddawać atmosferę lat sześćdziesiątych w stolicy Anglii – z kolorową modą, szaloną muzyką itd. – przyp. tłum.

10 Prawdziwa historia Beatlesów – przyp. tłum.

11 Rocznik 1966 – przyp. tłum.

12 Grupa elitarnych uniwersytetów w Stanach, między innymi Columbia, Harvard i Princeton – przyp. tłum.

13 Gra słów oparta na imieniu autora. Fraza „White Hunter" znaczy „biały myśliwy" – przyp. tłum.

14 Tytuł oryginalny brzmi *How I Won the War* – przyp. red.

15 Andy Capp – postać z komiksu brytyjskiego. Andy to przedstawiciel klasy robotniczej, który jednak nigdy nie imał się prawdziwej pracy. Często chodzi podchmielony – przyp. tłum.

16 Sierżant Pieprz – przyp. tłum.

17 Sól i pieprz – przyp. tłum.

18 Subkultura, której członkowie nazywani byli teddy boys lub po prostu teds, narodziła się we wczesnych latach pięćdziesiątych w Londynie. Szybko została skojarzona z muzyką skifflową i rock and rollem – przyp. red.

19 Dosłownie: mały druh. Piosenka opowiada o pożegnaniu ojca z synem – przyp. tłum.

20 Nawiązanie do jednego z wersów piosenki *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band*: *We hope you will enjoy the show* – mamy nadzieję, że widowisko wam się spodoba – przyp. tłum.

21 Grupa artystyczna, przedstawiająca popularne w dziewiętnastowiecznej Ameryce widowiska rozrywkowe, złożone z piosenek, tańca, skeczów, parodii itp. – przyp. tłum.

22 Statki typu „Liberty" – jednostki masowo budowane w USA i Kanadzie podczas II wojny światowej w celu szybkiego uzupełniania strat wojennych – przyp. tłum.

23 Przystań w centrum Liverpoolu, nad rzeką Mersey – przyp. tłum.

24 Nostalgiczny utwór autorstwa Cole'a Portera o utraconej miłości, której wspomnienie budzi dźwięk *beguine*'a – przyp. tłum.

25 Popularne brytyjskie letnisko w regionie North West England, położone nad Morzem Irlandzkim – przyp. tłum.

26 W oryginale: S*port Speed and Illustrated. Edited and Illustrated by J.W. Lennon* – przyp. tłum..

27 Absurdalny wiersz Lewisa Carrolla z książki *Po drugiej stronie lustra*, będącej kontynuacją *Alicji w Krainie Czarów*. Oryginalny tytuł wiersza brzmi *Jabberwocky*, tutaj w przekładzie Macieja Słomczyńskiego *Dżabbersmok* – przyp. tłum.

28 Mowa o rządzie utworzonym przez Harolda Wilsona w 1964 roku po wygranej Partii Pracy w wyborach parlamentarnych – przyp. tłum.

29 Egzamin zdawany na zakończenie szkoły średniej, po piątej klasie, czyli w wieku piętnastu–szesnastu lat. Po pięciu klasach szkoły średniej uczniowie chcący kontynuować naukę na uniwersytecie przygotowują się przez kolejne dwa lata do egzaminów A-level, które zdają w wieku siedemnastu–osiemnastu lat. Część uczniów zaraz po piątej klasie wybiera naukę w *College*'u, czyli w szkole wyższej o profilu zawodowym, na przykład kolegium nauczycielskim, szkole artystycznej czy szkole o profilu technicznym – przyp. tłum.

30 Nazwa linii kolejowej działającej w środkowej części Stanów Zjednoczonych, dosłownie oznacza „linia do rockandrollowej wyspy", choć w rzeczywistości pochodzi od małego miasteczka o nazwie Rock Island – przyp. tłum.

31 Rodzaj muzyki folk, z wpływami jazzu i bluesa, w której obok takich instrumentów jak banjo czy harmonijka ustna często w roli instrumentów pojawiają się także przedmioty codziennego użytku – przyp. tłum.

32 Utwór Buddy'ego Holly'ego – przyp. red.

33 Nawiązanie do nazwy szkoły Quarry Bank. Dosłownie nazwa oznacza „pracownicy kamieniołomu" – przyp. tłum.

34 Egzamin powszechnie zdawany w latach 1944–1976 na koniec szkoły podstawowej, którego wynik decydował o przyjęciu do szkoły średniej. Obecnie zachowany w niewielu hrabstwach – przyp. tłum.

35 Arthur Askey (1900–1982) – komik i aktor – przyp. tłum.

36 James Laver (1899–1975) – historyk sztuki – przyp. tłum.

37 Sydney Silverman (1895–1968) – polityk, członek Partii Pracy – przyp. tłum.

38 „Siedem królowych Anglii" – przyp. tłum.

39 W oryginale: Masked Melody Makers – przyp. tłum.

40 Dosłownie: Królowa Sheby, film niemy z 1921 roku w reżyserii J. Gordona Edwarda – przyp. tłum.

41 Tytuł piosenki znaczy: „Dzięki za przejażdżkę powozem" – przyp. tłum.

42 Tytuł piosenki znaczy: „Koniku, trzymaj ogon w górze" – przyp. tłum.

43 Piosenka Elvisa Presleya z 1957 roku – przyp. tłum.

44 Na płycie *Let It Be* piosenka ta występuje jako *Maggie Mae* – przyp. red.

45 Niektóre źródła podają, że George urodził się dzień wcześniej, 24 lutego – przyp. red.

46 Cissy to imię żeńskie, ale również alternatywny sposób zapisu słowa *sissy* – maminsynek, ciota – przyp. tłum.

47 Dosłownie: Droga do Mandalay – przyp. red.

48 Buntownicy – przyp. tłum.

49 Najprawdopodobniej pierwsze spotkanie młodego Harrisona z The Quarrymen miało miejsce 6 lutego – przyp. red.

50 Rockersi – subkultura popularna w Wielkiej Brytanii w latach pięćdziesiątych, związana z gangami motocyklowymi – przyp. tłum.

51 Mowa o Piusie XII (1876–1958) – przyp. tłum.

52 Małżeństwo Johna i Cynthii trwało od roku 1962 do roku 1968 – przyp. red.

53 Miasto w Anglii czternaście kilometrów na zachód od centrum Liverpoolu, w którym Cynthia spędziła dzieciństwo i gdzie przeprowadziła się po rozwodzie z Johnem – przyp. tłum.

54 Tęcze – przyp. tłum.

55 Najgłośniejsza powieść D.H. Lawrence’a, napisana w 1928 roku, która wywołała skandal obyczajowy z uwagi na poruszony w niej temat fizycznej miłości damy i mężczyzny z niższych sfer, odważne opisy scen miłosnych i niecenzuralny jak na owe czasy język. Pierwszą nieocenzurowaną wersję można było wydać w Anglii dopiero w 1960 roku, a i wówczas wydawcę postawiono przed sądem za naruszenie Ustawy o publikacjach obscenicznych. Proces ów był wielkim wydarzeniem medialnym – przyp. tłum.

56 Fragment *Opowieści kanterberyjskich* autorstwa Geoffreya Chaucera z XIV wieku o rubasznym i pieprznym charakterze – przyp. tłum.

57 Chodzi o piosenkę *I’ll Build a Stairway to Paradise* z nagrodzonego Oscarem filmu *Amerykanin w Paryżu* z 1951 roku. Film powstał na podstawie poematu symfonicznego o tym samym tytule autorstwa George’a Gershwina z 1928 roku – przyp. tłum.

58 *When the Saints Go Marching In* – popularny standard jazzowy, który powstał na podstawie hymnu gospel *When the Saints Are Marching In*. Muzykę napisał James Milton Black, a słowa Katharine Purvis – przyp. tłum.

59 Pierwsze znaczenie to „świerszcze”, a drugie „krykiety” – nawiązanie do popularnej w Anglii gry w krykieta – przyp. tłum.

60 Żuki – przyp. tłum.

61 Tytuł można przetłumaczyć jako: Długi John i Srebrne Żuki – przyp. red.

62 Aluzja do sławnego irlandzkiego poety Thomasa Moore’a – przyp. tłum.

63 Amerykański piosenkarz i gitarzysta, jeden z pionierów rock and rolla – przyp. tłum.

64 Casbah lub Kasbah – forteca, zazwyczaj budowana na wzgórzu nad miastem w Północnej Afryce. Nazwa ta odnosi się szczególnie do fortecy znajdującej się w Algierze i zlokalizowanej wokół niej dzielnicy miasta – przyp. tłum.

65 W oryginale: *mak show*, czyli zniekształcony niemiecką, twardą wymową angielski zwrot *make show* – „robić widowisko” – przyp tłum.

66 Amerykański piosenkarz i gitarzysta rockandrollowy, autor popularnego w latach pięćdziesiątych utworu *Be-Bob-A-Lula* – przyp. red.

67 Jeden z utworów wykonywanych przez Presleya, stworzony na bazie niemieckiej piosenki ludowej – przyp. tłum.

68 Popularne nazwy narkotyków – mieszanki amfetaminy z dekstroamfetaminą oraz tej ostatniej z amylobarbitonem – przyp. tłum.

69 Żartobliwy przydomek miasta portowego Portsmouth i tamtejszego klubu piłkarskiego – przyp. tłum.

70 Annunzio Paolo Mantovani (1905–1980) – angielski dyrygent i kompozytor włoskiego pochodzenia, który w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych prowadził bardzo popularną w Anglii orkiestrę – przyp. tłum.

71 Neil Aspinall, później techniczny Beatlesów, a także wieloletni (prawie do swej śmierci w roku 2008) dyrektor firmy Apple, miał z panią Best nie tylko romans, ale i dziecko (więcej na ten temat – zob. *Aneks A*) – przyp. red.

72 Litherland – miejscowość położona dziewięć kilometrów od Liverpoolu – przyp. tłum.

73 Peter Sellers – znany głównie z ról komediowych brytyjski aktor filmowy, który w roku 1960 wcielił się w postać hinduskiego lekarza w komedii obyczajowej *Milionerka* – przyp. tłum.

74 Tradycyjna szkocka pieśń ludowa – przyp. red.

75 Miasto w hrabstwie Kent – przyp. tłum.

76 Stowarzyszenie dyrektorów dwustu czterdziestu trzech szkół prywatnych z Anglii, Irlandii i krajów zależnych od Korony Brytyjskiej, obecnie funkcjonujące pod nazwą Headmasters’ and

Headmistresses’ Conference – przyp. tłum.

77 Brytyjski aktor i reżyser teatralny i filmowy – przyp. red.

78 Miasto w hrabstwie Hampshire, około sześćdziesięciu kilometrów na południowy zachód od Londynu. Jego rozwój związany jest z założonym tam garnizonem – przyp. tłum.

79 Popularny w Wielkiej Brytanii muzyk pochodzący z Trynidadu – przyp. red.

80 Jeden z liverpoolskich teatrów – przyp. tłum.

81 RADA – Royal Academy of Dramatic Art – brytyjska uczelnia wyższa specjalizująca się w kształceniu aktorów i innych osób zawodowo związanych z teatrem – przyp. tłum.

82 Brytyjska aktorka teatralna i filmowa, nominowana do Oscara za drugoplanową rolę w filmie *Czyż nie zabija się koni?* – przyp. red.

83 Brytyjska aktorka teatralna, telewizyjna i filmowa. Znana jest między innymi z ról w filmach *Opowieść wszech czasów* oraz *Diana, królowa ludzkich serc* – przyp. red.

84 Brytyjski aktor teatralny i filmowy, zdobywca wielu prestiżowych nagród, czterokrotnie nominowany do Oscara – przyp. red.

85 Irlandzki aktor, producent i reżyser, laureat Oscara za całokształt artystyczny – przyp. red.

86 Album Daphne Oram, brytyjskiej kompozytorki muzyki elektronicznej – przyp. red.

87 Brytyjski aktor, wokalista i kompozytor – przyp. red.

88 Firma fonograficzna założona w Wielkiej Brytanii w roku 1929 przez Edwarda Lewisa – przyp. tłum.

89 Według współczesnych ustaleń, choć Raymond Jones rzeczywiście istnieje i odwiedzał sklep, historia została podkoloryzowowana przez Alistaira Taylora, asystenta Epsteina, i opisana w jego autobiografii. Od tej pory powtarzana jest jako prawdziwa – przyp. red.

90 Firma fonograficzna, druga co do wielkości po EMI brytyjska wytwórnia płytowa – przyp. tłum.

91 Wytwórnia płytowa założona w Niemczech w 1896 roku. Jej brytyjska filia stała się z czasem własnością EMI – przyp. tłum.

92 Dzielnica Londynu – przyp. tłum.

93 Sam Leach – popularyzator muzyki i właściciel klubu Cassanova w centrum Liverpoolu – przyp. tłum.

94 Szkoły te zostały założone przez Państwowe Stowarzyszenie Promocji Edukacji Religijnej. Powstawały w dziewiętnastym wieku i były nastawione na edukację dzieci z biednych rodzin – przyp. tłum.

95 Czytanie dla początkujących – przyp. tłum.

96 Orkiestra dęta – przyp. tłum.

97 Dosłownie „pierścienie” – przyp. tłum.

98 Dosłownie „czas na gwiazdę” – przyp. tłum.

99 Amerykański wokalista i gitarzysta bluesowy – przyp. tłum.

100 Siły lotnicze należące do Marynarki Wojennej – przyp. tłum.

101 Elektryczno-Muzyczne Zakłady Przemysłowe – przyp. tłum.

102 Aktor znany między innymi z roli Nerona w *Quo Vadis* z 1951, a także Herculesa Poirota w pięciu adaptacjach od 1978 do 1988 roku – przyp. red.

103 Brytyjski aktor i reżyser. Zagrał w takich filmach jak *Różowa Pantera*, *Doktor Strangelove* i *Jak zabić starszą panią?* – przyp. red.

104 Popularny brytyjski radiowy program kabaretowy z udziałem Petera Sellersa – przyp. tłum.

105 Nieformalna nazwa nadana grupie wpływowych producentów muzycznych i kompozytorów, którzy na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku zdominowali amerykański rynek muzyki popularnej – przyp. tłum.

106 Z wywiadu z Maureen Cleave pochodzi, uznana w wielu kręgach za skandaliczną, słynna wypowiedź Johna, jakoby Beatlesi mieliby być popularniejsi od Jezusa (zob. strona 324) – przyp. red.

107 Chodzi o utwór *Misery* – przyp. red.

108 Pikanterii temu wyjazdowi dodaje fakt, że Cynthia Lennon właśnie urodziła syna, a jak twierdzi liverpoolski przyjaciel Lennona Pete Shotton, ten miał w trakcie wycieczki jednorazową przygodę z Brianem Epsteinem – przyp. red.

109 Incydent miał miejsce po wspólnych wakacjach Johna i Briana w Hiszpanii – przyp. red.

110 Afera Profumo – polityczny skandal z roku 1963. Nazwa pochodzi od Johna Profumo – ministra, sekretarza stanu ds. wojny w rządzie Partii Konserwatywnej. W 1961 roku Profumo wdał się w przelotny romans z *showgirl* Christine Keeler. W marcu 1963 roku, po odkryciu kolejnych bulwersujących faktów, opozycja poruszyła tę sprawę w parlamencie. Profumo zaprzeczył, że jego znajomość z Keeler miała nieprzyzwoity charakter, musiał się jednak przyznać do kłamstwa po serii artykułów prasowych. W efekcie zrezygnował z roli ministra i członka parlamentu. Skandal wstrząsnął rządem konserwatystów i przyczynił się do przejęcia władzy przez Partię Pracy w wyborach w 1964 roku – przyp. tłum.

111 Fragment piosenki *She Loves You* – przyp. tłum.

112 EP – *extended play* – tzw. epka, minialbum zawierający najczęściej cztery utwory – przyp. tłum.

113 Gala organizowana co roku w Wielkiej Brytanii, której gośćmi honorowymi są najważniejsi członkowie rodziny królewskiej. Uroczystość transmitowana jest przez stacje BBC i ITV – przyp. tłum.

114 Najważniejsze wydarzenie II wojny burskiej (1899–1902), które przesądziło o zwycięstwie Wielkiej Brytanii – przyp. red.

115 Pod choinką chcę znaleźć tylko Beatlesa – tytuł jest pastiszem popularnej piosenki świątecznej pt. *All I Want For Christmas Is You*, czyli „pod choinką chcę znaleźć tylko ciebie” – przyp. tłum.

116 Murray the K (Murray Kaufman) prowadził audycję w nowojorskim radiu. Był samozwańczym „piątym Beatlesem” i ich niechcianym „kumplem”, narzucał nieprzyzwyczajonym do agresywności amerykańskich mediów muzykom swój pretensjonalny „lans” – przyp. red.

117 Harold Laski (1893–1950) – brytyjski politolog, ekonomista, profesor London School of Economics, sekretarz brytyjskiej Partii Pracy w latach 1945–1946 – przyp. tłum.

118 Chodzi o Cliffa Richarda – przyp. tłum.

119 Amerykański aktor i piosenkarz, bożyszcze nastolatek – przyp. tłum.

120 „Mersey Beat” – publikacja muzyczna rozprowadzana na terenie Liverpoolu, przedstawiająca lokalne zespoły oraz występujących w okolicy przyjezdnych muzyków. W 1962 roku gazeta ogłosiła sondaż na najpopularniejszy zespół muzyczny – pierwsze miejsce zajęli Beatlesi, a drugie Gerry and the Pacemakers – przyp. tłum.

121 BEA – skrót od nazwy British European Airways, widniejący na samolotach brytyjskich linii lotniczych – przyp. tłum.

122 W języku francuskim słowa „dziękuję bardzo” to *merci beaucoup* – przyp. red.

123 Ulica w Londynie, przy której swą siedzibę miała znakomita większość londyńskich gazet – przyp. tłum.

124 Prawdziwe nazwisko Muhammada Alego – przyp. red.

125 Tytuł jest grą słów, a można go przetłumaczyć jako „sam o sobie”. Książka ta wraz z materiałem z pozycji *A Spaniard in the Works* ukazała się w Polsce jako *John Lennon na własne kopyto* – przyp. tłum.

126 W Polsce film wyświetlano jako *The Beatles* – przyp. red.

127 Podczas tej trasy koncertowej jeden jedyny raz zmienił się skład zespołu. Ringo trafił do szpitala na wycięcie migdałków, o których podarowanie prosili potem fani z całego świata, a na pierwszych koncertach światowej trasy zastąpił go, aż do odcinka w Australli, Jimmy Nicol, perkusista sesyjny – przyp. red.

128 Początkowo plany te próbowano zrealizować, obmyślając kolejne produkcje, między innymi z udziałem Michelangelo Antonioniego – przyp. red.

129 W 1969 roku John zwrócił odznacznie na znak protestu (patrz: *Aneks A*) – przyp. red.

130 Nagroda przyznawana przez Brytyjską Akademię Kompozytorów i Autorów Tekstów. Paul McCartney i John Lennon otrzymali ją w 1965 roku – przyp. tłum.

131 John Gordon Harvey Corrigan MBE – urodzony w 1942 roku brytyjski żołnierz i pisarz historyczny, odznaczony Orderem Imperium w 1995 roku – przyp. tłum.

132 Potocznie używana nazwa dla południowych stanów USA, zamieszkałych przez niezwykle religijne społeczności – przyp. tłum.

133 Słynny brytyjski menedżer wielu gwiazd muzycznych – przyp. tłum.

134 Maharishi Mahesh Yogi – założyciel i guru ruchu Medytacja Transcendentalna – przyp. tłum.

135 Brytyjski impresario teatralny – przyp. tłum.

136 Chodzi o angielskiego torreadora Henry'ego Higginsa – przyp. tłum.

137 Pattie i George byli małżeństwem od 21 stycznia 1966 roku – przyp. red.

138 Zob. Rozdział 25, początek – przyp. red.

139 Jeden z najstarszych teatrów w Londynie – przyp. tłum.

140 Jeden z najsłynniejszych muzyków indyjskich, wirtuoz gry na sitarze. Zmarł 11 grudnia 2012 roku – przyp. red.

141 Ruch odnowy duchowej – przyp. tłum.

142 W wolnym tłumaczeniu: „włóczędzy" – przyp. tłum.

143 *Admiro* brzmi podobnie do angielskiego słowa *admire*, czyli „podziwiać" – przyp. tłum.

144 Biuro Dicka Jamesa – przyp. red.

145 W tytułach podrozdziałów autor podaje tytuły robocze – przyp. red.

146 Rzeźbiarz szkocki włoskiego pochodzenia, który łączył realizm z elementami kubizmu. Jest autorem okładki płyty Paula McCartneya *Red Rose Speedway* (1973) – przyp. red.

147 Czy boisz się, gdy gasną światła? – przyp. tłum.

148 Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? – przyp. tłum.

149 Tak, jestem pewien, że zdarza się co chwilę – przyp. tłum.

150 Poradzę sobie przy wsparciu przyjaciół – przyp. tłum.

151 Czy byłbyś w stanie uwierzyć… – przyp. tłum.

152 U mnie wszystko w porządku – przyp. tłum.

153 Wiem, że to moje – przyp. tłum.

154 Co widzisz, gdy gasną światła – przyp. tłum.

155 Nie mogę ci powiedzieć, ale wiem, że to coś mojego – przyp. tłum.

156 W języku angielskim: *It's getting better* – przyp. tłum.

157 W języku angielskim: *You've got to admit it's getting better* – przyp. tłum.

158 George Martin i Hunter Davies prawdopodobnie byli nieświadomi, że Lennon poczuł się źle po pomyłkowym zażyciu tabletki LSD. McCartney i Harrison wpadli w panikę, dowiedziawszy się, że wyszedł na dach, i pobiegli go ściągnąć. – przyp. red.

159 *Edelweiss* to tytuł piosenki śpiewanej przez brytyjskiego piosenkarza Vince'a Willa – przyp. tłum.

160 Po angielsku premier rządu to w skrócie „PM". Swoim pytaniem John żartobliwie sugeruje, że w dobie Beatlemanii rozwinięcie tego skrótu to raczej Paul McCartney niż „Prime Minister" – przyp.

tłum.

161 Przybywajcie, przybywajcie na Magiczną Wyprawę w Nieznane – przyp. tłum.

162 W oryginale fragment piosenki brzmi: Nowhere Man sitting in his nowhere land – przyp. tłum.

163 W oryginale fragment piosenki *Being for the Benefit of Mr. Kite!* brzmi: *Mr. Kite is topping the bill* – przyp. tłum.

164 W wolnym tłumaczeniu może oznaczać : „chciałbym cię namówić/zachęcić” – przyp. tłum.

165 Co za wiadomości czytałem w dzisiejszej prasie – przyp. tłum.

166 Teraz wiadomo, ile dziur potrzeba, żeby… coś tam Albert Hall – przyp. tłum.

167 Powieść *How I Won the War* Patricka Ryana ukazała się w 1963 roku – przyp. red.

168 Dosłownie: „Szczęściarz, któremu się udało” – przyp. tłum.

169 Pan policjant ma się wybornie – przyp. tłum.

170 Siedząc na płatku kukurydzianym w oczekiwaniu na tego faceta – przyp. tłum.

171 Na tę furgonetkę – przyp. tłum.

172 Siedząc w wiejskim, angielskim ogrodzie – przyp. tłum.

173 Kałuże smutku, fale radości – przyp. tłum.

174 Odmierzony wiadomościami – przyp. tłum.

175 Odmierzony tobą – przyp. tłum.

176 Bullfrog – przyp. tłum.

177 George Formby był brytyjskim aktorem komediowym i piosenkarzem. Grał na banjo i wypracował własny styl gry na tym instrumencie – przyp. tłum.

178 Gdy będę miał sześćdziesiąt cztery lata – przyp. tłum.

179 Obudziłem się, spadłem z łóżka, przeciągnąłem włosy grzebieniem – przyp. tłum.

180 Dom lalki. To tytuł sztuki Henryka Ibsena, a także nawiązanie do wydanej wcześniej w 1968 roku płyty grupy Family *Music in a doll’s house* – przyp. red.

181 Rodgers i Hart byli dwoma amerykańskimi autorami piosenek. Rodgers pisał muzykę, a Hart słowa – stworzyli razem ponad pięćset utworów – przyp. tłum.

182 „Spotkanie z dealerem samochodowym” – przyp. tłum.

183 Piąty kot Johna i Cynthii nosił imię Jesus – przyp. red.

184 Annie Walker to postać z popularnej brytyjskiej opery mydlanej, *Coronation Street*, uosabiająca przemądrzałą, snobistyczną kobietę o protekcjonalnym sposobie bycia, głęboko przeświadczoną o swej doskonałości i wyjątkowości – przyp. tłum.

185 Wimpy to nazwa sieci restauracji typu fast food, której pierwsza placówka została otwarta w 1954 roku w Londynie – przyp. tłum.

186 Eric Morecambe i Ernie Wise to dwaj brytyjscy komicy tworzący niezwykle popularny wówczas duet – przyp. tłum.

187 Hughie Green – popularny gospodarz brytyjskich programów telewizyjnych – przyp. tłum.

188 Michael Miles – brytyjski prezenter telewizyjny – przyp. tłum.

189 Radio Caroline to nadająca w latach 1964–1968 rozgłośnia radiowa ulokowana na specjalnym promie zakotwiczonym na wodach eksterytorialnych. Nadając na teren Wielkiej Brytanii i łamiąc jej prawo, jednocześnie mu nie podlegała – przyp. tłum.

190 Jej głównym tytułem do sławy jest unieśmiertelnienie w poświęconej jej piosence MCartneya *Martha My Dear* z podwójnego albumu *The Beatles* – przyp. red.

191 Ang. *A Man for all Seasons.* Film opowiada o konflikcie między królem Anglii Henrykiem VIII a Thomasem More’em – przyp. red.

192 Dosłownie: próbuję cię przejrzeć – przyp. tłum.

193 National Trust – Narodowy Fundusz na Rzecz Renowacji Zabytków. Brytyjska organizacja zajmująca się ochroną zabytków oraz przyrody – przyp. tłum.

194 Dosłownie: Nie przeszkadzaj mi – przyp. tłum.
195 Rozmawialiśmy – przyp. tłum.
196 Nad Los Angeles unosi się mgła, a moi przyjaciele się zgubili… – przyp. tłum.
197 Nie możesz mnie kochać sercem karczocha – przyp. tłum.
198 Nie usłyszysz uchem kalafiorkiem – przyp. tłum.
199 Nie bądź ciemną masą morelową – przyp. tłum.
200 Ja to on, jak ty to on, jak ty to ja – przyp. tłum.
201 Jedna z najstarszych brytyjskich firm zajmujących się projektowaniem i tkaniem dywanów – przyp. tłum.
202 Oxfam – międzynarodowa organizacja humanitarna powstała w Wielkiej Brytanii w 1942 roku. Jej głównym celem jest walka z głodem na całym świecie oraz wspomaganie krajów rozwijających się – przyp. tłum.
203 Aberfan Fund – fundusz pomocowy ustanowiony po katastrofie z 1966 roku w walijskiej miejscowości Aberfan. W wyniku ulewnych deszczów osunęła się część hałdy węglowej, przysypując okoliczne domy i pobliską szkołę. Wśród ofiar było wiele dzieci – przyp. tłum.
204 Andy Capp – postać z komiksu brytyjskiego przedstawiająca człowieka, który nigdy nie miał prawdziwej pracy – przyp. tłum.
205 James Hanratty został skazany na karę śmierci za morderstwo i gwałt. Wielu ówczesnych intelektualistów i artystów, w tym Lennon, postulowało za jego uwolnieniem – przyp. red.
206 W 2004 roku Ringo wydał książkę pod tytułem *Postcards ftom the Boys*, zawierającą pocztówki, jakie otrzymał od Paula, Johna i George'a – przyp. red.
207 Zak został profesjonalnym muzykiem. Grał między innymi z takimi sławami jak The Who czy Oasis – przyp. red.
208 *Sad Song* (ang.) – smutna piosenka – przyp. tłum.
209 Na weselu Claptona i Boyd obecni byli Harrison, McCartney i Starr, którzy nawet muzykowali wraz z innymi gwiazdami (w tym Mickiem Jaggerem, Davidem Bowiem i Eltonem Johnem). Lennon z jakiegoś powodu nie został zaproszony. Związek Boyd z Claptonem rozpadł się szybko. Z Harrisonem Pattie pozostała w kontakcie aż do jego śmierci – przyp. red.
210 Howard Hughes – amerykański miliarder, pilot i producent filmowy, który pod koniec swojego życia odciął się od świata – przyp. tłum.
211 Słynny brytyjski producent filmowy – przyp. red.
212 W 1986 roku George, jako producent filmu *Niespodzianka z Szanghaju* z Madonną i jej ówczesnym mężem Seanem Pennem w rolach głównych, wraz z Madonną wziął udział w konferencji prasowej zorganizowanej z okazji premiery. Film okazał się spektakularną klapą finansową i artystyczną – przyp. red.
213 Engelbert Humperdinck – brytyjski piosenkarz hinduskiego pochodzenia, o którym krytycy nie wypowiadali się zbyt pochlebnie – przyp. tłum.
214 Rodzaj muzycznego tła, muzyka puszczana w miejscach publicznych w celu zapełnienia ciszy – przyp. red.
215 Słynny angielski reżyser teatralny, telewizyjny i filmowy. Do jego najsłynniejszych musicali należą *Koty* i *Les Misérables* – przyp. red.
216 *Krzyk!: Prawdziwa historia Beatlesów* – przyp. red.
217 W 1980 roku na lotnisku w Tokio Paul został zatrzymany za posiadanie marihuany. Cztery lata później wspólnie z Lindą również zostali aresztowani za posiadanie narkotyków – przyp. red.
218 Dopiero przy wydaniu Antologii w połowie lat dziewięćdziesiątych trzej Beatlesi dopilnowali, żeby Pete Best otrzymał pokaźne tantiemy z tego tytułu – przyp. red.

219 Aspinall zarządzał Apple niemal do śmierci. Według nieoficjalnych informacji powodem jego rezygnacji był jednak nie tylko stan zdrowia, ale i wymuszone zastąpienie go przez menedżera bardziej nowoczesnego w działaniu – przyp. red.

220 Zob. strona 401 – przyp. red.

221 Mowa między innymi o The Rolling Stones i Neilu Youngu – przyp. red.

222 Gretna Green – wioska w południowej Szkocji. Jest jednym z najpopularniejszych na świecie miejsc na zawarcie związku małżeńskiego – odbywa się tam ponad pięć tysięcy ślubów rocznie, z czego większość to uroczystości organizowane w tajemnicy przed najbliższymi – przyp. tłum.

223 Pierwszy album multiinstrumentalisty Jamesa McCartneya ukazał się w roku 2013. Jego EP-kę krytyka przyjęła znakomicie, czego efektem był wystep w programie Davida Lettermana – przyp. red.

224 Rok po śmierci Maharishiego zaproszeni przez Davida Lyncha McCartney i Starr wzięli udział w koncercie dobroczynnym w Nowym Jorku, mającym zasilić konto fundacji Medytacji Transcendentalnej Maharishiego. Wsparli finansowo edukację dzieci w tym kierunku, a w licznych wywiadach podkreślali jej znaczenie w ich własnym życiu – przyp. red.

225 Obecnie The Quarrymen wciąż koncertują. W roku 2011 wystąpili w Krakowie – przyp. red.

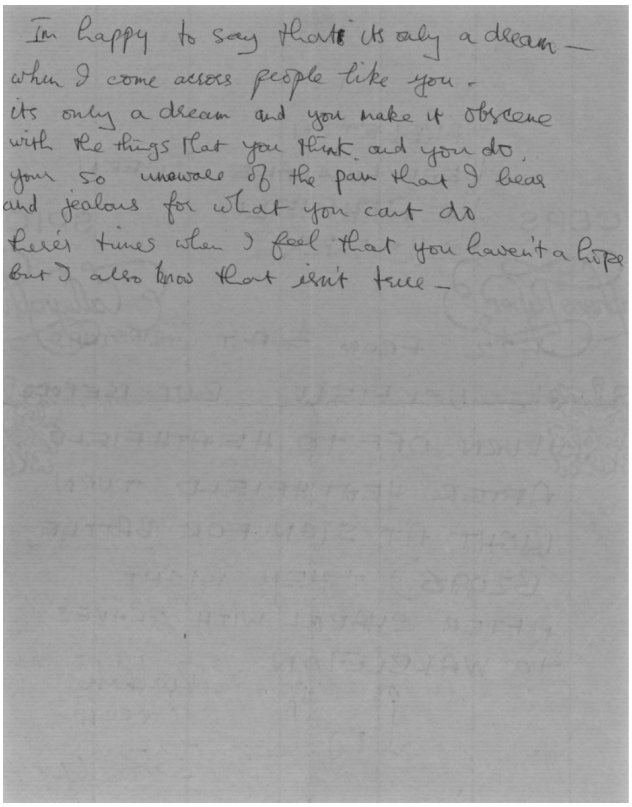
I'm happy to say that it's only a dream —
when I come across people like you.
it's only a dream and you make it obscene
with the things that you think and you do,
your so unaware of the pain that I bear
and jealous for what you can't do
there's times when I feel that you haven't a hope
but I also know that isn't true —

THE BEATLES

Britain's most exciting new vocal and instrumental quartet.

DIRECTION & PERSONAL MANAGEMENT:	BRIAN EPSTEIN, Nems Enterprises Limited, 12/14 Whitechapel, LIVERPOOL 1. Phone: ROYal 7895
RECORD COMPANY:	PARLOPHONE RECORDS, EMI House, 20 Manchester Square, LONDON W.1.
RECORDING MANAGER:	GEORGE MARTIN, EMI House, Phone: HUNter 4488
PRESS REPRESENTATIVES:	TONY CALDER ENTERPRISES, 15 Poland Street, LONDON W.1. Phone: GERrard 6202
THE BEATLES' FAN CLUB:	Miss R. Brown, 90 Buchanan Road, WALLASEY, Cheshire.
THE BEATLES' FIRST PARLOPHONE RECORD:	"LOVE ME DO" C/W "P.S. I Love You" Release: Friday 5th October 1962. PARLOPHONE 45-R 4949

-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-

Dear Mr. Low,

I am sorry about the time I have taken to write to you, but I ~~shall~~ hope I have not left it too late. Here are some details about the group.

It ~~is made up~~ consists of ~~four~~ four boys:- Paul (guitar) McCartney
John (guitar) Lennon ~~and~~ Stuart (bass) and George (another Harrison guitarist.) ~~and~~ is called the ~~Beatles~~. This line-up may at first seem rather dull, but it must be appreciated that as the boys all have above-average ~~playing~~ instrumental ability, they achieve a surprising variety of ~~sounds~~ varied effects. Their basic beat is the off beat, but this has recently ~~been~~ tended to be accompanied by a faint on-beat; thus the overall sound is ~~rather~~ reminiscent of the 4-in the bar beat of traditional jazz. This could possibly be put down to the influence on the group of Mr. McCartney, who

Beat
Mr. Mac.
50 Lines
Billy Fury
Places
Competitions
Records.

Introducing
THE BEATLES

RECORDING FOR THE PARLOPHONE LABEL

above Family snap of George (centre), aged eight, with his parents, Harold and Louise, and, behind, his brothers, Harold (left) and Peter.

right George, aged five.

Rodzina Harrisonów: ośmioletni George (w środku) z rodzicami, Haroldem i Louise. Za nimi bracia George’a – Harold (po lewej) i Peter.
Pięcioletni George.

above John, aged eight, with his mother, Julia – a family snap taken in 1949. I have the original copy, which was given to me by John, but until recently I had never known who took it. It was John's cousin, Stanley Parkes. Thank you, Stanley.

below Polyphoto strip of John, aged five, looking a very sweet and innocent little boy, as his aunt Mimi always preferred to remember him.

Ośmioletni John z mamą Julią, rok 1949. Oryginał zdjęcia sprezentował mi sam John, ale do niedawna nie wiedziałem, kto był jego autorem. Okazuje się, że to kuzyn Johna, Stanley. Z podziękowaniami dla Stanleya.
Pięcioletni John. Słodkie niewiniątko –
właśnie takim zawsze chciała go widzieć ciotka Mimi.
Fred Lennon – ojciec Johna.

Mimi – ciotka Johna, która wychowywała go od trzeciego roku życia.

above Paul, aged nine.

Dziewięcioletni Paul.

top The McCartney family at the races, 1968: Michael, Angela (Paul's stepmother), Paul, Jim McCartney (Paul's father and racehorse owner).

above Paul (left) aged seven with his mother and brother Michael.

na górze: Rodzina McCartneyów na wyścigach konnych, rok 1968. Michael, Angela (macocha Paula), Paul i Jim McCartney (ojciec Paula i właściciel konia wyścigowego).
na dole: Siedmioletni Paul (po lewej) z mamą i bratem Michaelem.

Richard Starkey, ojciec Ringo.
Dziesięcioletni Ringo z mamą Elsie.

Ringo około ósmego roku życia.
Ringo w nastroju do zabawy, rok 1960.

Piętnastoletni George (po prawej) na pierwszej potańcówce. Włosy obowiązkowo zaczesane do góry.
Szesnastoletni Ringo (po prawej) w pracy, jako barman na promie.

Niedawno odnalezione zdjęcie zespołu The Quarrymen, występującego na ciężarówce w dniu pierwszego spotkania Johna i Paula podczas odpustu przy kościele św. Piotra w Woolton, 6 lipca 1957 roku.
Od lewej: Pete Shotton, Eric Griffiths, Len Garry (tyłem), John Lennon, Colin Hanton (na perkusji) i Rod Davis (stoi). Zdjęcie zrobił tata Roda Davisa. Wraz z innymi zdjęciami na starej rolce filmu trafiło zapomniane na dno szuflady, nie doczekawszy się wywołania. W 2009 roku Rod odnalazł je i wywołał za pomocą nowoczesnego czytnika przeźroczy, dzięki czemu ujrzał je po raz pierwszy po pięćdziesięciu dwóch latach.

John na czele
The Quarrymen, około 1957 roku.

above Ringo, aged about 15, enjoying himself with friends.

below George in Hamburg, with Stu in the background.

Ringo w wieku około piętnastu lat bawi się z kumplami.
George w Hamburgu. W tle widoczny Stu.

above The Beatles with some of the staff of EMI – an unpublished photograph, taken around January, 1964.

below Notes from John about 'Lucy in the Sky'.

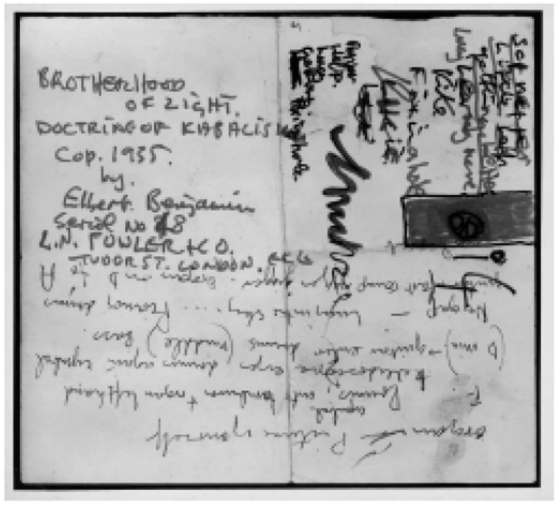

Beatlesi z częścią załogi EMI. Niepublikowane dotąd zdjęcie zrobione w okolicach stycznia 1964 roku.
Zapiski Johna do *Lucy in the Sky with Diamonds*.

above John at the microphone.

left Ringo, the teenage Teddy Boy. His grey streak is already beginning to show.

John przy mikrofonie.
Ringo – nastoletni teddy boy. Już tutaj widać początki jego siwego kosmyka.

poniżej i na kolejnej stronie: Paul, John i George w niemieckich skórach z kowbojskimi akcentami. Hamburg, rok 1961.

below Paul and John in underpants.

Paul i John w bieliźnie.

Beatlesi pną się w górę – w windzie przed koncertem w kinie Lonsdale w Carlisle, 21 listopada 1963 roku. Wprowadzono ich po kryjomu tylnym wejściem i wpakowano do windy towarowej w obawie przed rozgorączkowanymi nastolatkami czekającymi na zewnątrz. Poważna pracownica kina pilnuje porządku. Zdjęcie, które zrobił Jim Turner z „Cumberland News”, po raz pierwszy publikowane jest w niniejszej książce.

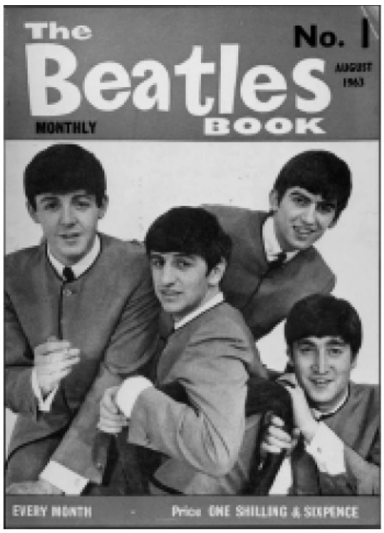

„Beatles Monthly” – pierwsze wydawnictwo fanklubowe ruszyło w sierpniu 1963 roku. Do grudnia 1969 roku ukazało się 77 numerów. Okładka książeczki z zapisem nutowym *Please Please Me* wydanej w styczniu 1963 roku. Piosenka ta stała się pierwszym hitem Beatlesów.

above Official handout photo, 1963. **below** The Beatles, 1965.

powyżej: Oficjalne zdjęcie, rok 1963.
poniżej: Beatlesi, rok 1965.

above The Beatles, 1967. **below** The Beatles, 1968.

powyżej: Beatlesi, rok 1967.
poniżej: Beatlesi, rok 1968.

left Brian Epstein. He became the Beatles' manager in December 1961.

below Celebration dinner at the George V in Paris in January 1963 for the news that 'I Want to Hold Your Hand' had become Number One in the USA. Left to right: Judy Martin, Ringo, George, Paul, John and George Martin. Brian Epstein is wearing a chamber pot.

Brian Epstein. Został menedżerem Beatlesów w grudniu 1961 roku. Uroczysta kolacja w hotelu George V w Paryżu z okazji sukcesu piosenki *I Want to Hold Your Hand*, która dotarła do pierwszego miejsca listy przebojów w Stanach. Od lewej: Judy Martin, Ringo, George, Paul, John, George Martin i Brian Epstein z nocnikiem na głowie. Styczeń 1963 roku.

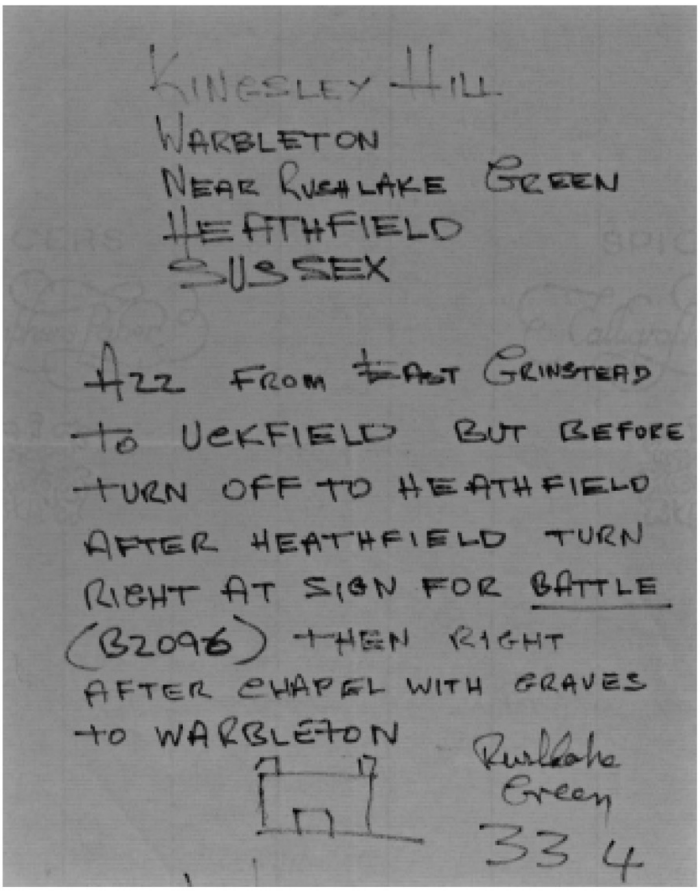

Odręczne wytyczne Briana Epsteina, jak trafić do jego domu na wsi. Na odwrocie George zapisał, niedawno przeze mnie odnalezione, słowa piosenki (zob.: *Przedmowa*).

above John Lennon at home, 1971.

left Ringo at the premiere of *Born to Boogie*.

John Lennon u siebie w domu, rok 1971.
Ringo na premierze filmu *Born to Boogie*.

Ringo, sierpień 1969.
John, rok 1969. Przed wylotem do Genewy.

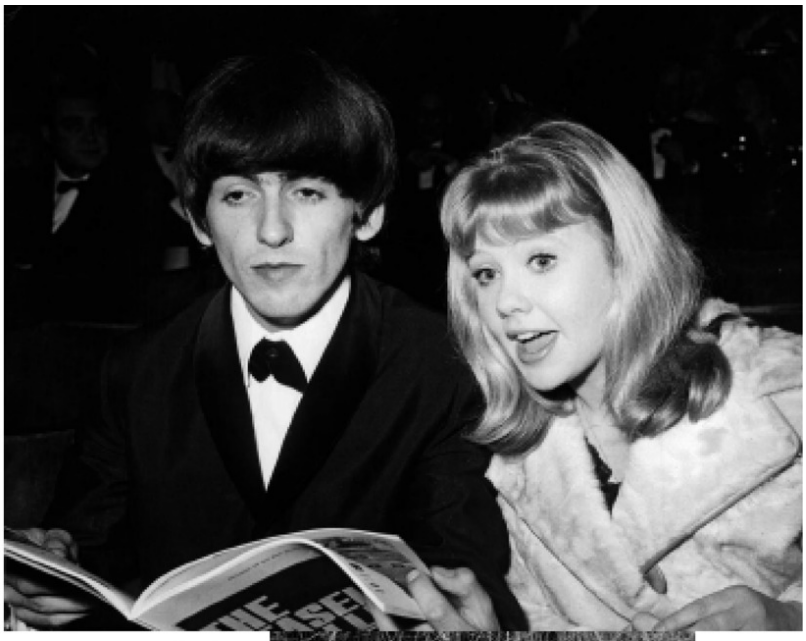

above George Harrison escorts Hayley Mills to the cinema, 1964.

right Ringo and his bride, Maureen Cox, on their honeymoon in 1965.

George i Hayley Mills w kinie,
rok 1964.
Ringo i Maureen Cox w podróży poślubnej, rok 1965.
Od premiery niniejszej biografii 30 września 1968 roku minęło ponad czterdzieści lat. Heinemann, mój wydawca, postarał się o wyjątkowo kuszącą zapowiedź w katalogu reklamowym.

Announcing the definitive, authorised biography...

The Beatles

by Hunter Davies

This is the only authorised biography of the four working class Liverpool lads who, in four years, became millionaires and the best known people in the world.

Hunter Davies has had the full collaboration of the Beatles themselves, their families, business associates and friends.

Throughout, the Beatles are talking about themselves, then and now.

This is their story, mainly in their own words, warts and all.

There are 32 pages of photographs, the majority of them unpublished.

There is a contemporary picture of each of the Beatles, showing them at home with their family, children and pets, taken especially for the book by ace photographer Ringo Starr.

In short, this is the BIG book for the autumn.

September 30 | Demy 8vo. | 30s.

HEINEMANN

The Beatles at home with their families in 1968, taken by ace photographer, Ringo Starr, especially for the first edition of this book:

left Paul McCartney and Jane Asher.

below Bottom: the John Lennons: Julian, Cynthia and John.

Beatlesi w domowych pieleszach, rok 1968. Zdjęcia na potrzeby pierwszego wydania biografii wykonał znakomity fotograf – Ringo Starr.
Paul McCartney i Jane Asher.
Lennonowie – Julian, Cynthia i John.

above The Ringo Starrs: Jason, Maureen, Zak and Ringo. A bit grainy as Ringo had to set the timer on his camera and rush back to his position.

right Pattie and George Harrison.

Rodzina Starrów – Jason, Maureen, Zak i Ringo. Wyszło trochę nieostro, ponieważ Ringo musiał nastawić aparat i pospiesznie wrócić na kanapę.
Pattie i George Harrisonowie.

Ja (po prawej) i Neil Aspinall w studiu przy Abbey Road, rok 1967. Przyglądamy się, jak Beatlesi pracują nad płytą *Sgt. Pepper*.

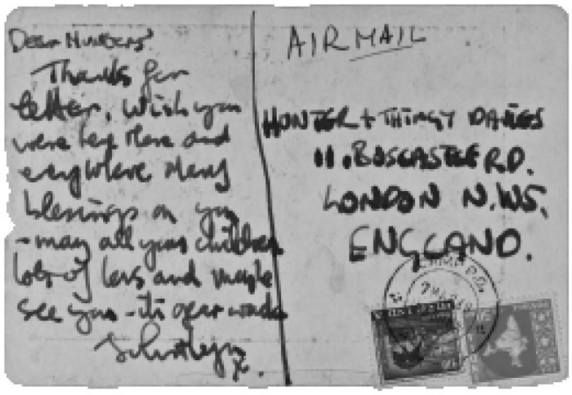

Pocztówka od Johna z 1968 roku, gdy przebywał w Indiach z wizytą u Maharishiego. Przezabawna. Podpisana „John i Cyn”.
Jedyne (niestety) zdjęcia z tych osiemnastu miesięcy wspólnej pracy, na których pojawiam się razem z Beatlesami.
I do tego przedruki. Niemniej chwała gazecie „Cheshire Observer”, że 1 września 1967 roku złapali nas przez okno wagonu na stacji Chester w drodze do Bangor na spotkanie z Maharishim. U góry: ja (po prawej) z George’em. Na dole: tył mojej głowy oraz naprzeciwko – Paul, Ringo i John.

DURRANT'S PRESS CUTTINGS
19-20, Mount Pleasant, London, W.C.1.
Telephone: CENTRAL 8141 (Two lines)
Cheshire Observer
Chester.
1 SEP 1967

Sept 1967

BEATLES AT THE STATION

Right: George Harrison passes during a conversation with his father Harold at Chester General Station last Friday.

Below: Paul McCartney, Ringo Starr, John Lennon and George Harrison (back to camera) enjoy tea, watched by hundreds of fans at Chester General Station last Friday.

Beatles John Lennon, Paul McCartney, Ringo Starr and George Harrison, dashed back to London on Sunday from a "Hideaway" at Bangor, on hearing news of their manager, Brian Epstein.

The four Beatles, who travelled up to Bangor last Friday, were welcomed by fans at Chester General Station, where their train stopped before continuing its journey to North Wales.

top Fred Lennon, holding up his number as a prisoner aboard a liberty ship. He was about 40 at the time, the same age as John was when he was killed. The resemblance is striking. Fred gave me this photo, but too late to include it in the first edition.

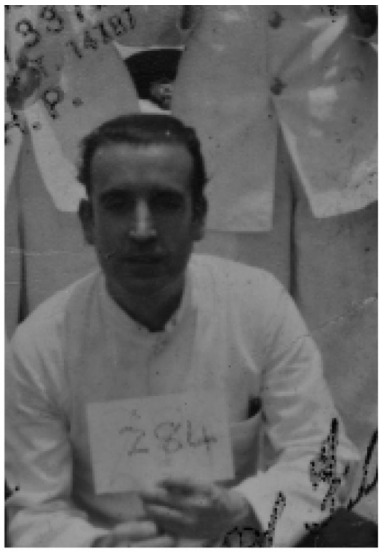

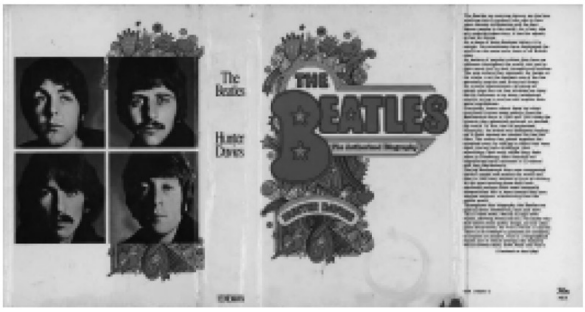

Fred Lennon trzyma swój numer więzienny na pokładzie statku „Liberty”. Miał wówczas czterdzieści lat, tyle co John w chwili śmierci. Podobieństwo jest uderzające. Niestety Fred podarował mi to zdjęcie za późno, by trafiło do pierwszego wydania.

Chciałem kupić tę wyjątkową ilustrację, która ukazała się na okładce pierwszego wydania niniejszej biografii z 1968 roku. Wykonał ją niezrównany Alan Aldridge, który wówczas mieszkał dwie przecznice ode mnie i z którym graliśmy w jednej drużynie piłkarskiej. Niestety zanim złożyłem mu przyzwoitą propozycję cenową, zdążył sprzedać oryginał japońskiemu kolekcjonerowi. Dziś sporą sumę trzeba zapłacić również za same egzemplarze tego pierwszego wydania.

Wakacje w Portugalii, rok 1968. Od lewej: ja z synkiem Jakiem na ręku, Linda, Paul, córka Lindy Heather, moja żona Margaret i nasza córka Caitlin.

Pocztówki, które wysyłał mi Paul w Portugalii.

Tytuł oryginału:
THE BEATLES
Copyright © by Hunter Davies 1968, 1985, 2002, 2009
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2013
Copyright © for the translation by Aleksandra Machura
Biuro Tłumaczeń i-translations 2013
Współpraca przy tłumaczeniu – Aleksandra Kubiak
Redakcja i korekta
Joanna Mika-Orządała, Sonia Miniewicz, Kamil Misiek
Redakcja merytoryczna
Piotr Metz
Opracowanie typograficzne i skład
Agnieszka Szatkowska
Joanna Pelc
Okładka
Paweł Szczepanik
Cover photograph
Getty Images / Flash Press Media

All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie,
zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana
w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.
ISBN EPUB: 978-83-7924-113-2
ISBN MOBI: 978-83-7924-114-9

www.wsqn.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSQN

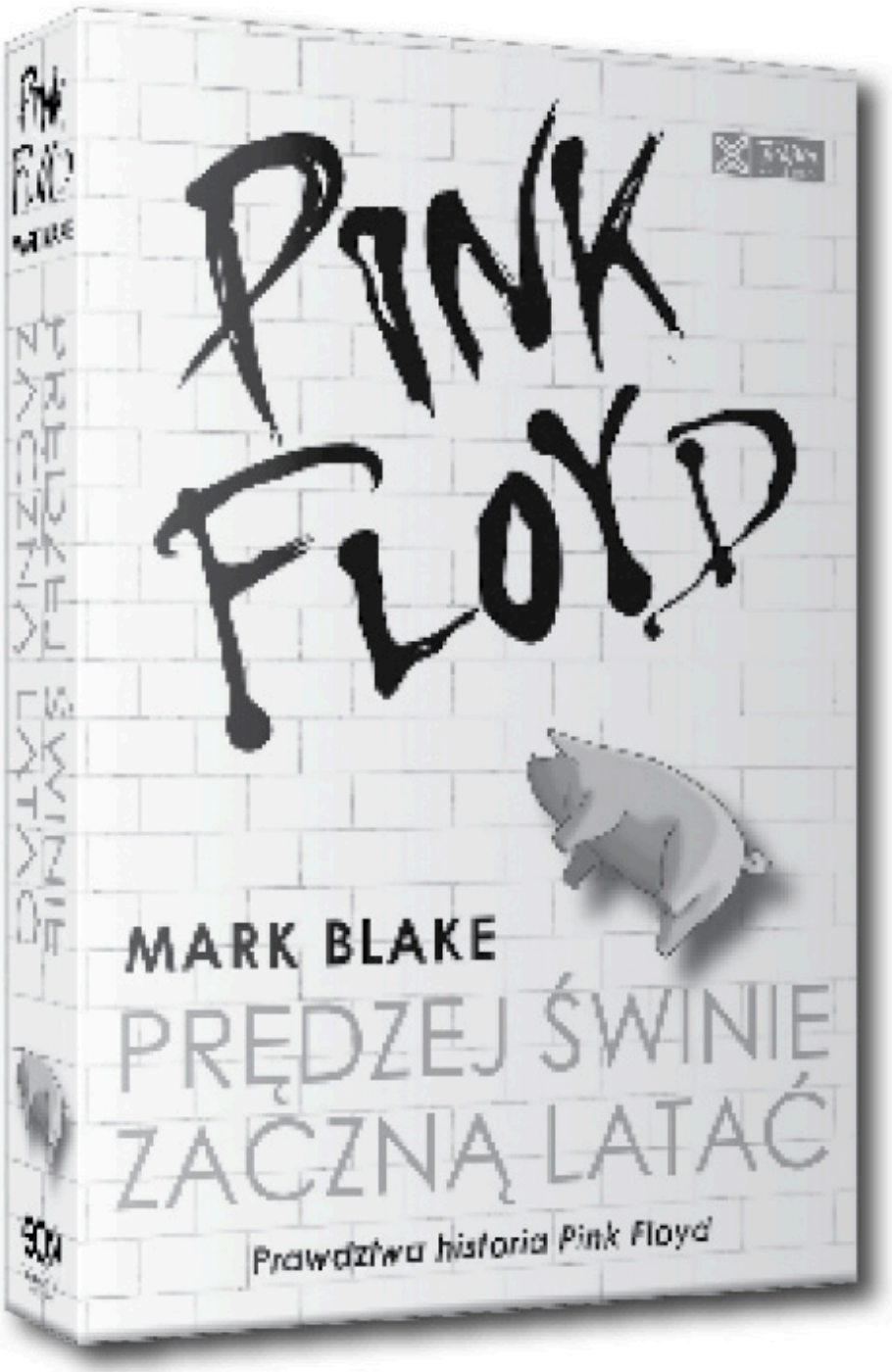
PINK FLOYD
MARK BLAKE
PRĘDZEJ ŚWINIE ZACZNĄ LATAĆ
Prawdziwa historia Pink Floyd

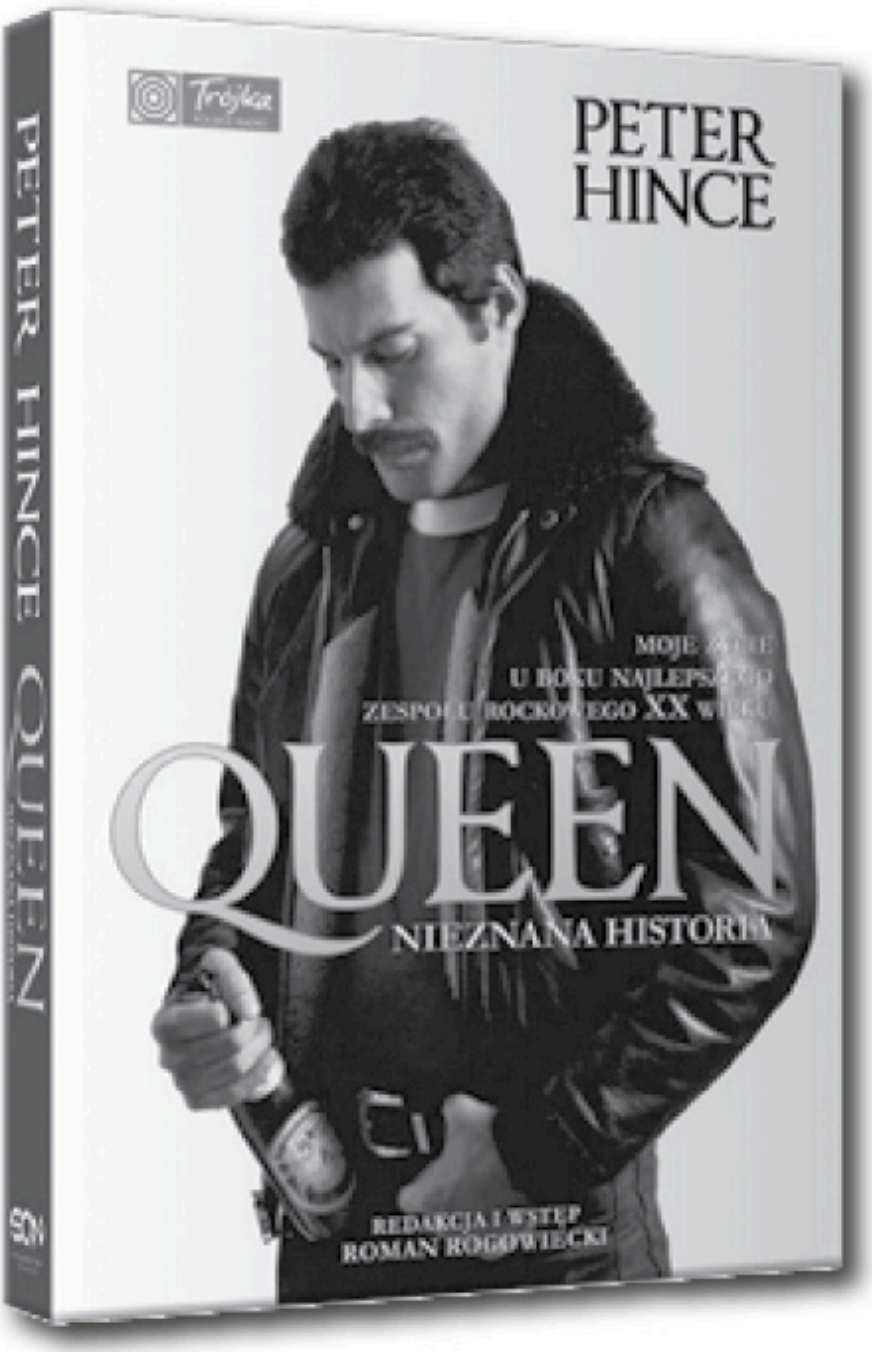
PETER HINCE
QUEEN
PETER HINCE
QUEEN
NIEZNANA HISTORIA
REDAKCJA I WSTĘP
ROMAN ROGOWIECKI

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

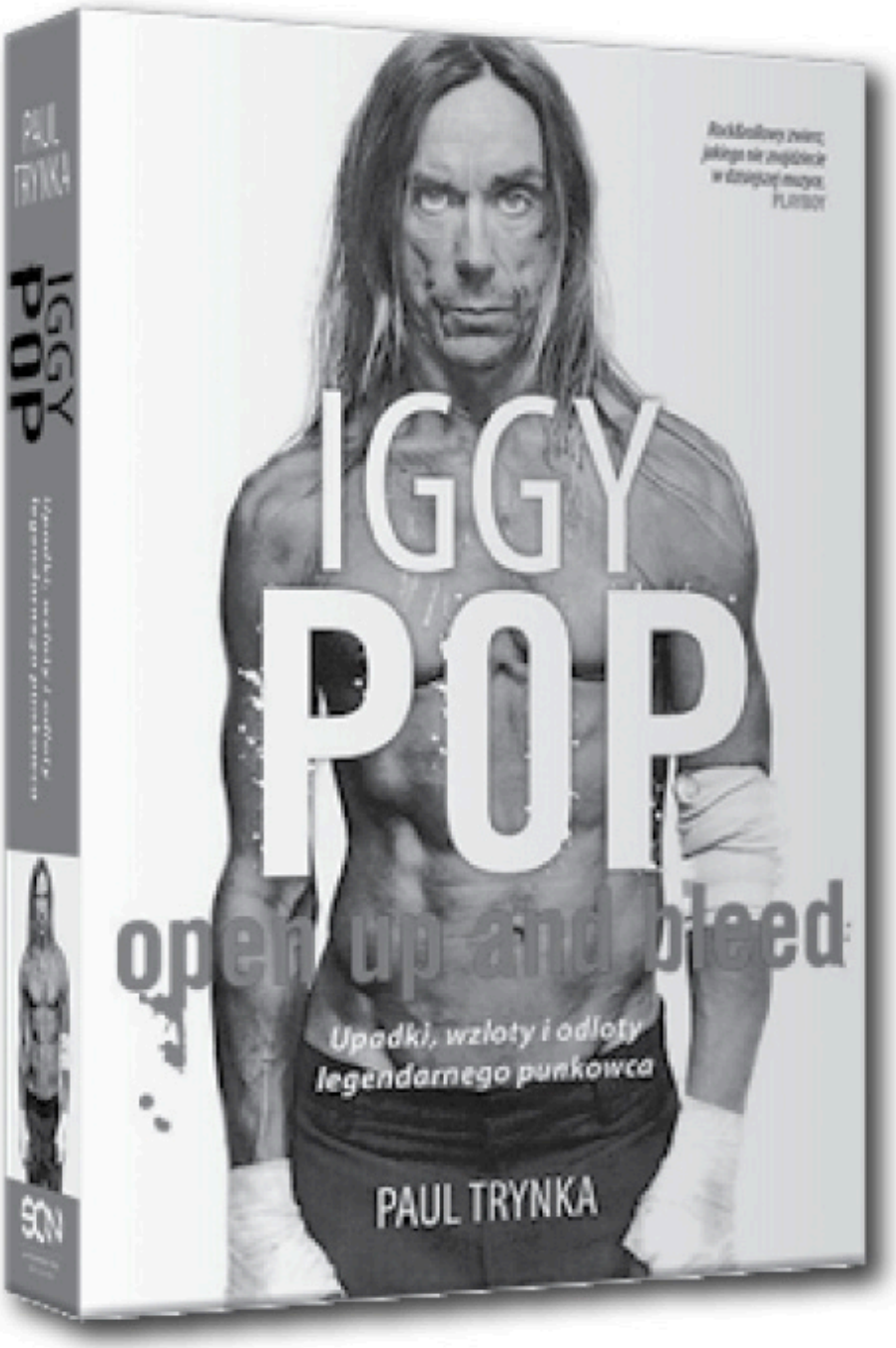
PAUL TRYNKA
IGGY POP
Upadki, wzloty i odloty legendarnego punkowca
IGGY
POP
open up and bleed
Upadki, wzloty i odloty
legendarnego punkowca
PAUL TRYNKA

szukaj na LaBotiga.pl

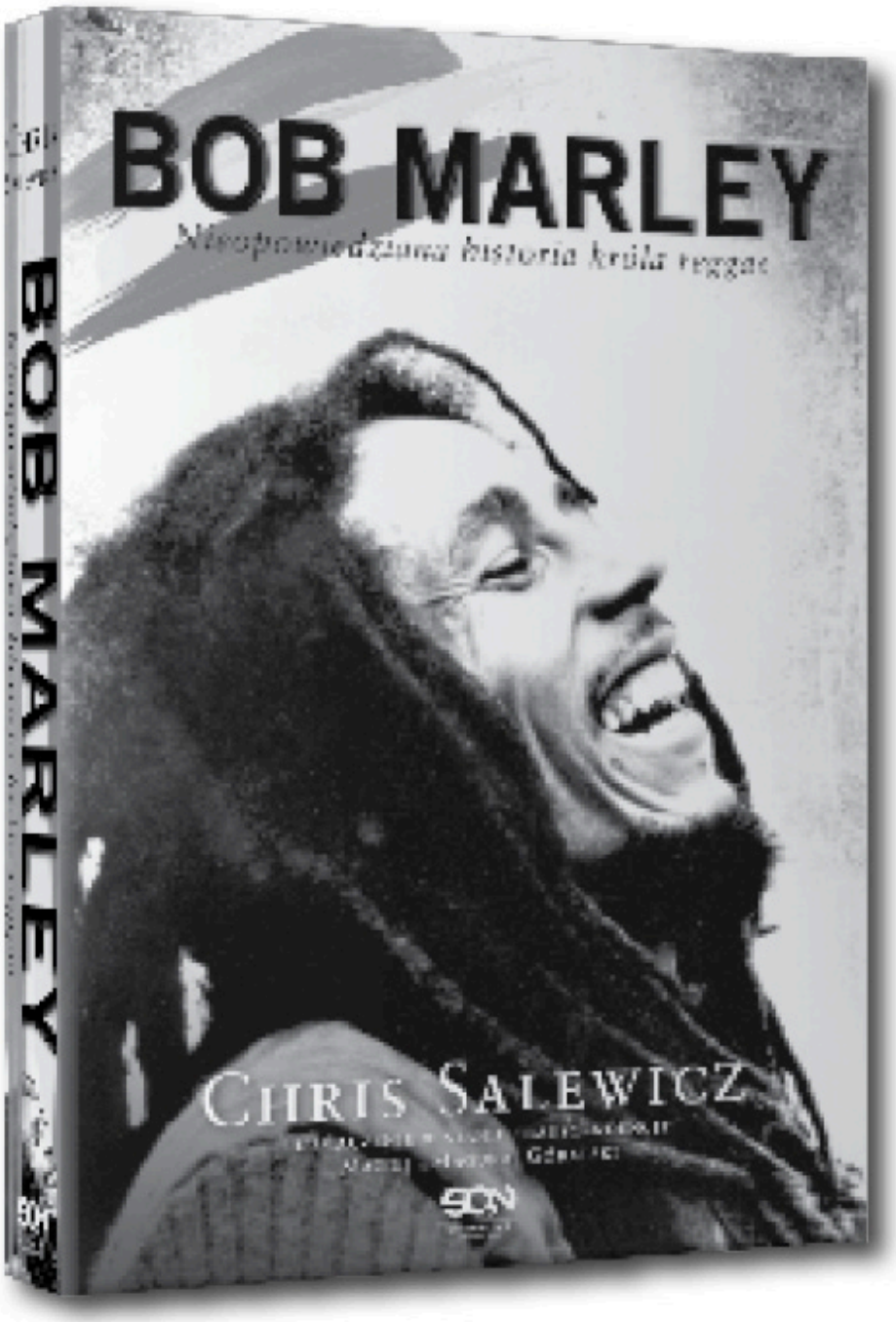
BOB MARLEY
Nieopowiedziana historia króla reggae
CHRIS SALEWICZ

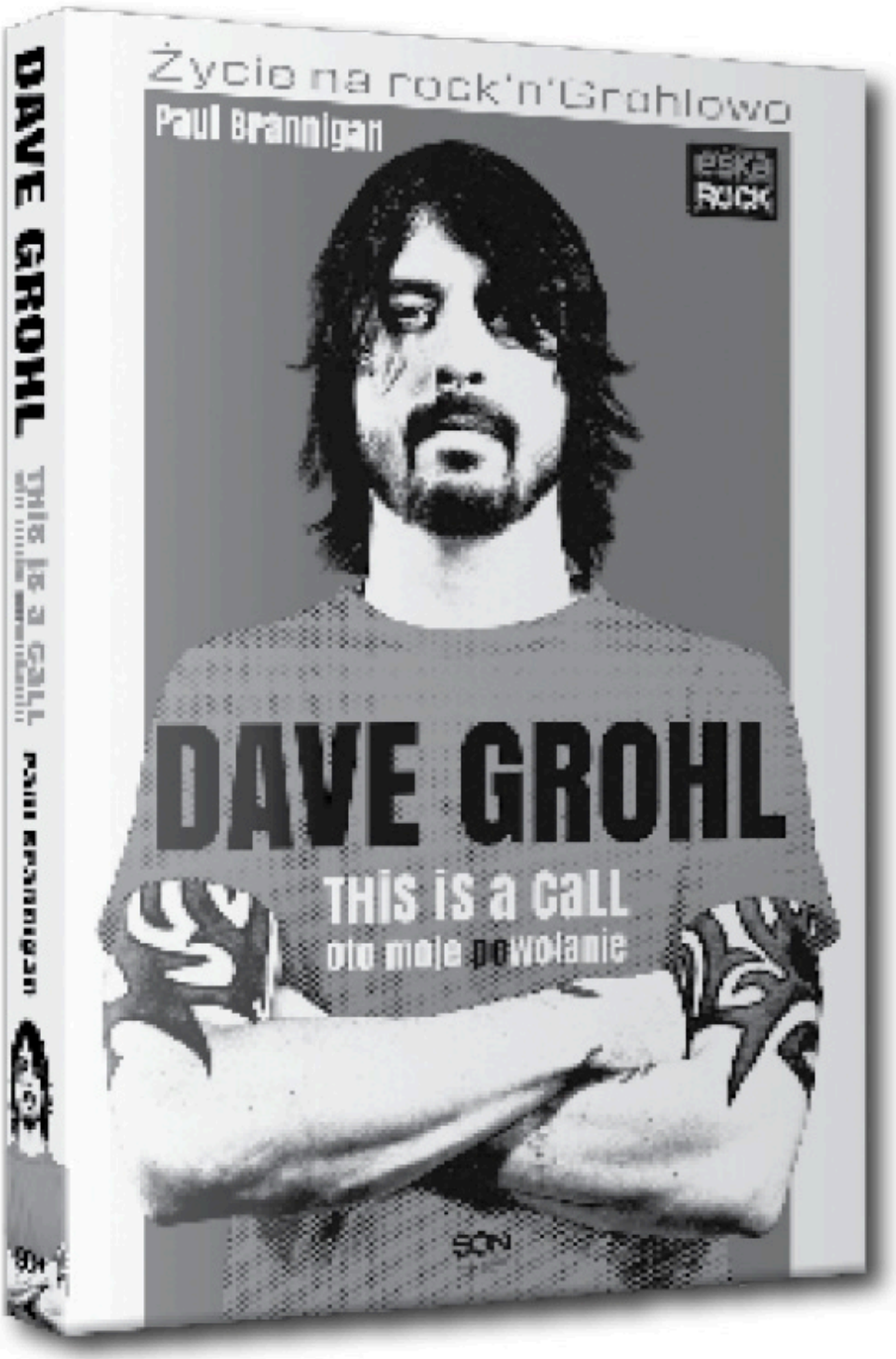
Życie na rock'n'Grohlowo
Paul Brannigan
eska ROCK
DAVE GROHL
THIS IS A CALL
DAVE GROHL
This is a call
Paul Brannigan

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

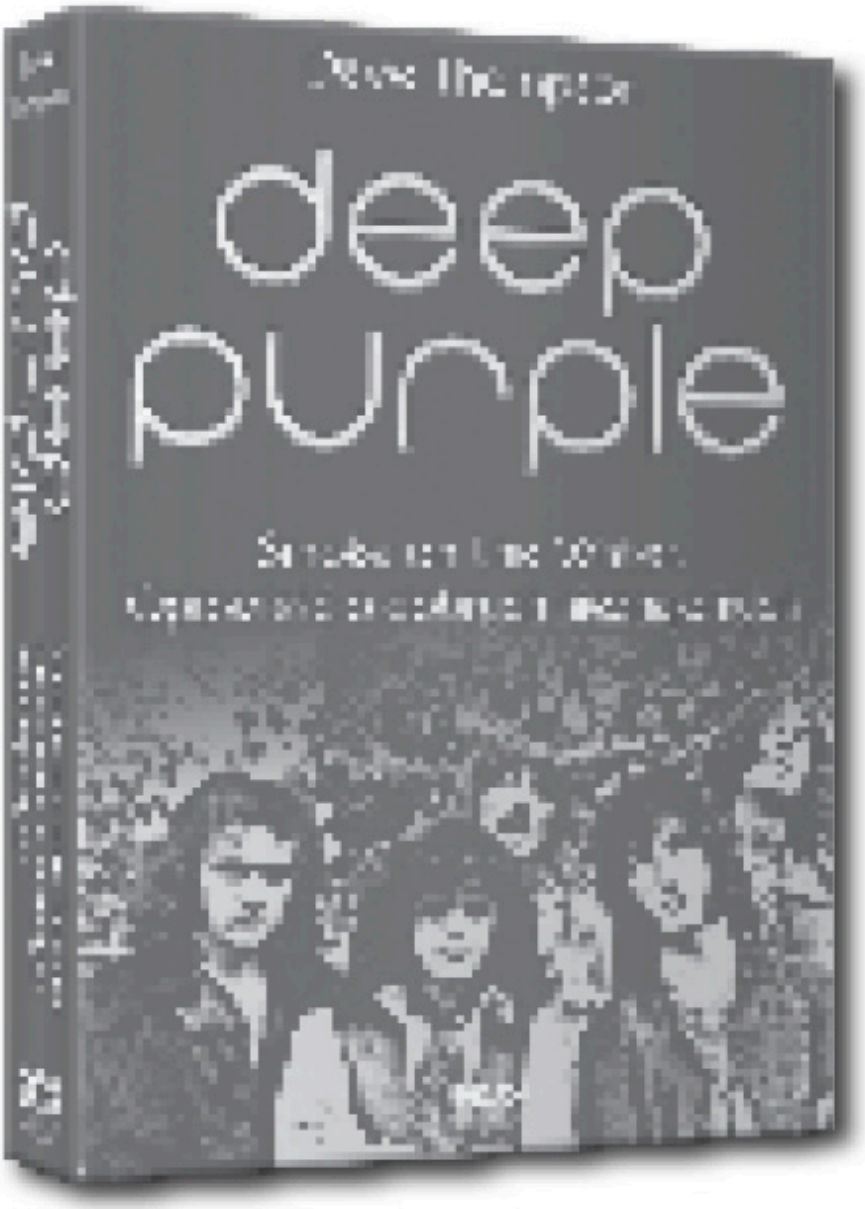
deep
purple

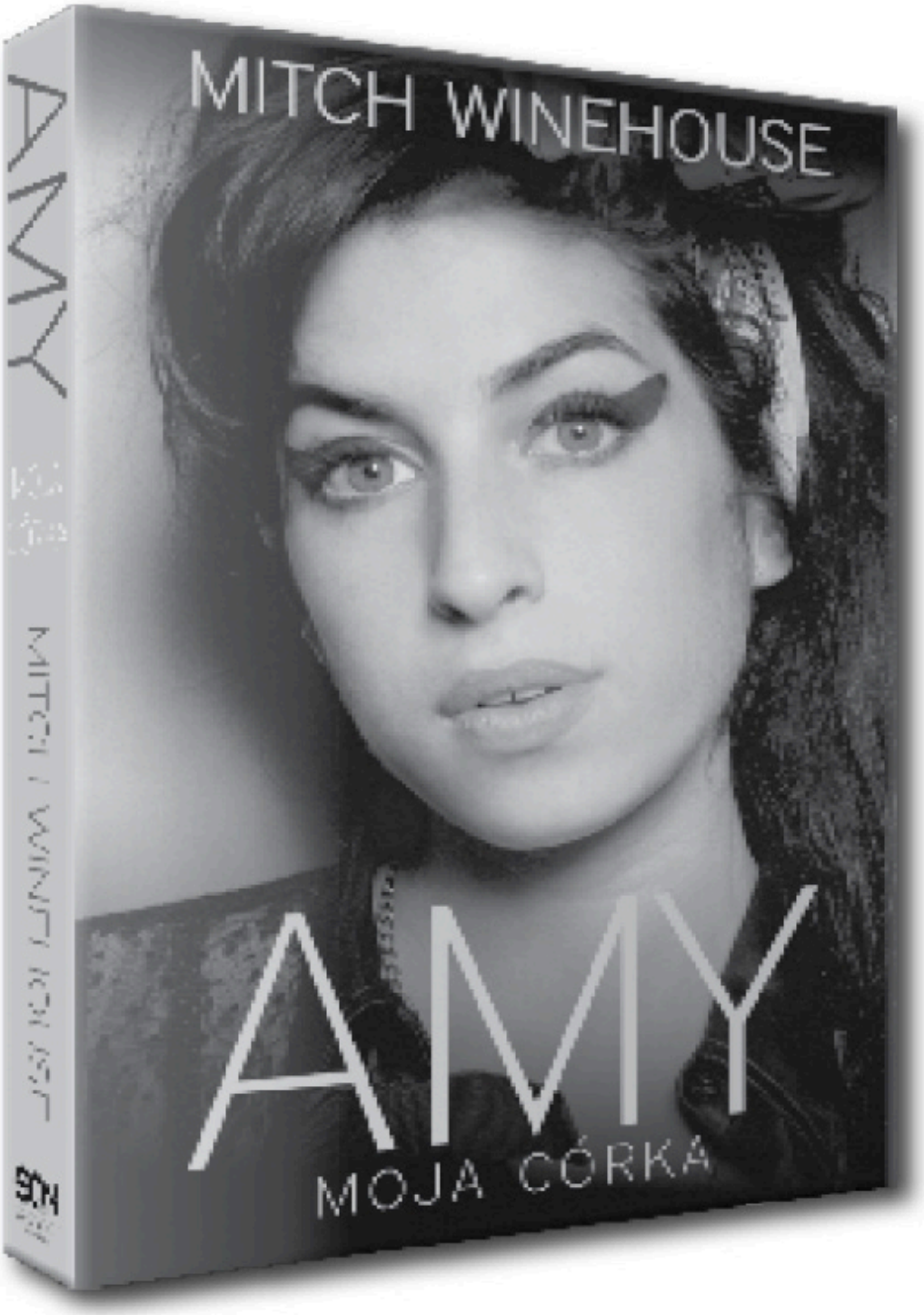
MITCH WINEHOUSE
AMY
MOJA CÓRKA
AMY
MOJA CÓRKA
MITCH WINEHOUSE

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
facebook.com/WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Przedmowa
Część 1
- Rozdział 1 John
- Rozdział 2 John i The Quarrymen
- Rozdział 3 Paul
- Rozdział 4 Paul i The Quarrymen
- Rozdział 5 George
- Rozdział 6 George i The Quarrymen
- Rozdział 7 John w Art College
- Rozdział 8 Od The Quarrymen do The Moondogs
- Rozdział 9 Stu, Szkocja i The Silver Beatles
- Rozdział 10 Casbah
- Rozdział 11 Hamburg
- Rozdział 12 Astrid i Klaus
- Rozdział 13 Liverpool: Litherland i The Cavern
- Rozdział 14 Dreptanie w miejscu – Liverpool i Hamburg
- Rozdział 15 Brian Epstein
- Rozdział 16 Brian menedżerem Beatlesów
- Rozdział 17 Decca i Pete Best
- Rozdział 18 Ringo
- Rozdział 19 Ringo i Beatlesi

Część 2
- Rozdział 20 George Martin i Dick James
- Rozdział 21 Trasy
- Rozdział 22 Beatlemania
- Rozdział 23 Stany Zjednoczone
- Rozdział 24 Wielka Brytania i powrót do Stanów Zjednoczonych
- Rozdział 25 Koniec tras koncertowych
- Rozdział 26 Śmierć Briana Epsteina
- Rozdział 27 Beatlesi – od narkotyków do Maharishiego

Część 3
- Rozdział 28 Przyjaciele i rodzice
- Rozdział 29 Imperium Beatlesów
- Rozdział 30 Beatlesi i ich muzyka
- Rozdział 31 John
- Rozdział 32 Paul
- Rozdział 33 George
- Rozdział 34 Ringo

Posłowie 1985
Aneks A Memento mori: 2009
Aneks B Dyskografia oryginalnych nagrań Beatlesów
Dodatek Na dachu Apple Records
Zdjęcia oraz podziękowania
Zdjęcia
Strona redakcyjna